

BESTSELLEROWY AUTOR NEW YORK TIMESA

DAVID ELLIS



PRZYJRZYJ SIĘ

NAJLEPSZE KŁAMSTWA TO TE NAJBLIŻSZE PRAWDZIE

DAVID ELLIS

PRZYJRZYJ SIĘ

TŁUMACZENIE: KATARZYNA MATCZUK



HARDE
WYDAWNICTWO

Spis treści

Przyjrzyj się

1 **Simon**

Przed Halloween. 13 maja

2 **Simon**

Siedem tygodni później. Lipiec

3 **Poniedziałek, 4 lipca 2022 r.**

4 **Simon**

5 **Vicky**

6 **Piątek, 15 lipca 2022 r.**

7 **Vicky**

8 **Simon**

9 **Piątek, 29 lipca 2022 r.**

Dzień po Halloween

10 **Jane**

Przed Halloween. Sierpień

11 **Czwartek, 11 sierpnia 2022 r.**

12 **Simon**

13 **Vicky**

14 **Wtorek, 16 sierpnia 2022 r.**

15 **Vicky**

16 **Simon**

Dzień po Halloween

17 **Jane**

Przed Halloween. Sierpień

18 **Simon**

19 **Vicky**

20 **Simon**

21 **Wtorek, 30 sierpnia 2022 r.**

Dzień po Halloween

22 **Jane**

Przed Halloween. Wrzesień

23 **Vicky**

24 **Vicky**

25 **Christian**

26 **Simon**

27 **Poniedziałek, 12 września 2022 r.**

28 **Christian**

29 **Simon**

30 **Wtorek, 13 września 2022 r.**

31 **Simon**

32 **Środa, 14 września 2022 r.**

Dzień po Halloween

33 **Jane**

Przed Halloween. Wrzesień

34 **Christian**

35 **Vicky**

36 **Piątek, 16 września 2022 r.**

37 **Simon**

38 **Christian**

39 **Simon**

Dzień po Halloween

40 **Jane**

Przed Halloween. Październik

41 **Wtorek, 18 października 2022 r.**

42 **Simon**

43 **Vicky**

44 **Christian**

45 **Środa, 19 października 2022 r.**

46 **Simon**

47 **Czwartek, 20 października 2022 r.**

48 **Simon**

49 **Vicky**

Dzień po Halloween

50 **Jane**

Przed Halloween. Październik

51 **Sobota, 22 października 2022 r.**

52 **Simon**

53 **Vicky**

54 **Simon**

55 **Christian**

56 **Christian**

57 **Vicky**

58 **Christian**

Dzień po Halloween

59 **Jane**

Dni przed Halloween

60 **Czwartek, 27 października 2022 r.**

61 **Vicky**

62 **Christian**

63 **Vicky**

64 **Simon**

65 **Vicky**

66 **Christian**

67 **Vicky**

68 **Simon**

69 **Vicky**

70 **Simon**

71 **Vicky**

72 **Simon**

Dni po Halloween

73 **Jane**

74 **Jane**

75 **Jane**

76 **Jane**

Halloween

77 **Simon**

Dni po Halloween

79 **Simon**

Halloween

80 **Simon**

81 **Christian**

82 **Vicky**

83 **Vicky**

84 **Simon**

Dni po Halloween

85 **Jane**

86 **Jane**

87 **Jane**

Halloween

88 **Simon**

Dni po Halloween

89 **Vicky**

90 **Jane**

91 **Simon**

92 **Jane**

93 **Simon**

94 **Simon**

95 **Simon**

96 **Jane**

97 **Jane**

98 **Vicky**

99 **Jane**

100 **Vicky**

101 **Simon**

102 **Vicky**

103 **Simon**

104 **Simon**

105 **Simon**

Przypisy

Copyright © by David Ellis, 2022

Tytuł oryginału: Look Closer

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Opracowanie graficzne: TYPO Marek Ugorowski

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Tłumaczenie: Katarzyna Matczuk

Redakcja: Monika Bielska

Korekta: Joanna Misztal, Beata Wójcik

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

ISBN 978-83-67502-87-0

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa



Więcej o naszych autorach i książkach:

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie **Zecer**

Mojej pięknej Susan

1

Simon

Sprawdzam godzinę na swoim jednorazowym telefonie. Jest dwudziesta pięćdziesiąt jeden. Dziewięć minut do dwudziestej pierwszej. Prawie dwie godziny temu dzieciaki przestały chodzić po domach i zbierać cukierki. Grace Village jest pogrążone w ciemności, a mieszkańcy tego miasta-sypialni szykują się już do snu.

Dzisiejszej nocy okolicę będą patrolować policyjne radiowozy, ale na razie na Lathrow Avenue nie ma ani jednego. A przynajmniej żadnego nie widzę, stojąc u Lauren w przestronnym holu i patrząc przez wizjer drzwi wejściowych, choć przyznaję, że z nadmiaru emocji widzę niewyraźnie i obraz wydaje się nieco rozmyty. Nie, nie z powodu łez. Nie płaczę. Szczerze powiedziawszy, myślałem, że będę. Spodziewałem się tego. Ale nie. Brak łez w tej chwili daje mi pewność, że już ich nie uświadczę. Płacz jest dobry dla tych, którzy odczuwają smutek, żal bądź też wyrzuty sumienia.

Chociaż nie ukrywam, daleko mi teraz do spokoju i tak zwanej normalności. Nawet bardzo. Słyszę tępe dzwonienie w uszach i bicie własnego serca: ŁUP-ŁUP, ŁUP-ŁUP... – odbija się we mnie echem, jest jak dudniący bęben basowy niepasujący do żadnej orkiestry symfonicznej. Mimo wszystko nie czuję drżenia rąk, gdy łapię za klamkę i odblokowuję zdobioną złotą zasuwkę, której nie powstydziliby się żaden królewski skarbiec. Jednak za tymi drzwiami nie ma klejnotów ani innych kosztowności. Tylko niebezpieczeństwo. Nie powinno mnie tu być. W domu Lauren.

Odwracam się, by ostatni raz spojrzeć na hol.

Ciało Lauren zwisa z półpiętra. Jej palce u nóg znajdują się ledwie parę stóp¹ nad marmurową podłogą holu. Nie rusza się. Wisi z twarzą skierowaną w moją stronę i nienaturalnie wygiętą w prawo szyją, wokół której został zawiązany sznur. Na tej pętli spoczywa jej głowa, tak przekrzywiona, że wygląda, jakby w każdej chwili mogła odpaść i potoczyć się po tej pięknej marmurowej posadzce. Ma na sobie obcisły kostium kotki i odpowiednio zrobiony makijaż, w tym namalowane wąsy i okrągły nosek przypominający guzik. Do tego paznokcie u rąk i nóg zostały pomalowane na czarno. Halloweenowa Barbie, jeśli coś takiego w ogóle istnieje; chociaż sądzę, że tak. Sznur wisi napięty na ozdobnej balustradzie z kutego żelaza, prowadzącej na pierwsze piętro. Wprawdzie uroda Lauren jest niezaprzeczalnie olśniewająca, a strój seksowny,

ale patrząc na nią teraz, od razu mam przed oczami widok tusz wołowych zwisających w rzeźni z wielkich haków zamontowanych w suficie chłodni. Nic na to nie poradzę.

Wesołego Halloween, Lauren.

Robię krok do przodu, ale coś chrzęści mi pod butem. To odłamki szkła z rozbitej w holu misy z cukierkami na Halloween. Co ja wyprawiam? Dlaczego robię krok w jej stronę? Ostatnie pożegnanie? Chęć wymiany obcasa, który odpadł od jej lewej szpilki? Po chwili zastanowienia odwracam się i kieruję swe kroki w stronę wyjścia.

Pociągam za kłamkę i otwieram drzwi wejściowe. Chłodne październikowe powietrze wdziera się do wnętrza naciągniętego na głowę kaptura, który nie tylko zasłania mi całą twarz, ale i uniemożliwia swobodne rozglądanie się na boki. Przed wyjściem zapominam jeszcze raz zerknąć przez wizjer. Jest to prawdziwe niedopatrzenie. A tej nocy nie ma miejsca na błędy.

Przemierzam puste ulice Village w stroju Ponurego Żniwiarza, ściskając kurczowo poszewkę na poduszkę. Mijam zawieszane na drzewach tandetne szkielety, postawione na podwórkach „nagrobki”, pomarańczowe lampiony oświetlające krzewy i spoglądające na mnie zza okien „duchy”.

Metr osiemdziesiąt wzrostu i głowa schowana w wydłużonym kapturze... Mógłbym uchodzić za nastolatka zbierającego cukierki (choć ten numer by nie przeszedł, biorąc pod uwagę fakt, że w Village poważnie podchodzi się do kwestii „godziny policyjnej”) lub dorosłego wracającego do domu z imprezy (której ani adresu, ani gospodarza nie byłbym w stanie wskazać). Powinienem iść swobodnym krokiem. Przechadzać się beztrąsko. W końcu jestem całkowicie anonimowym człowiekiem od stóp do głów ubranym na czarno w tę jedyną w roku noc, kiedy to nie wzbudza niczyjego zdziwienia. Powinienem też mieć przygotowaną historyjkę dla policji, na wypadek gdyby zatrzymał mnie jakiś radiowóz.

Kiedyś usłyszałem z ust pewnej mądrej kobiety: „Najlepsze kłamstwa to te najbliższe prawdzie”.

Wracam do domu – tak powiem, jeśli ktoś mnie zapyta, co robię. – Za dużo wypięm.

To będzie musiało wystarczyć za całe usprawiedliwienie. Fragment o picciu to kłamstwo, ale jednocześnie wystarczająco trudny do obalenia argument. Natomiast stwierdzenie, że wracam do domu, jest bliskie prawdy. Przynajmniej idę we właściwym kierunku.

Dochodzę do parku na południowo-wschodnim krańcu miasta. Idę ścieżką po przekątnej, mijając kilku bezdomnych, huśtawki, siłownię w plenerze oraz na wzgórzu grupkę przyczajonych z piwem nastolatków. Jedna stopa. Potem druga.

Staram się zachowywać normalnie. Myśleć o zwyczajnych, przyziemnych rzeczach. Dawno tego nie robiłem.

Od trzynastego maja nie czuję się normalnie.

Bawię się w „Co – by było – gdyby?”. Co by było, gdyby moja wizyta u fryzjera została przełożona z trzynastego maja na inny dzień? Co by było, gdyby prodziekan nie wezwał mnie wtedy do swojego gabinetu? Te dziesięć–piętnaście sekund różnicy mogło wystarczyć, byśmy się minęli. Nie dowiedziałbym się, że wróciła.

Ale to mnie nie uspokaja, zaczynam więc myśleć o tym, co będzie dalej. O moim dzienniku. Tym z zieloną okładką, kolorystycznie pasującym do telefonu. Pozbyłem się tego dziennika, prawda? Spaliłem go na popiół w moim kominku. Prawda? Nie przyśniło mi się to, co nie? Gdyby ten zielony dziennik kiedykolwiek trafił w ręce policji... to byłby szach-mat. Koniec gry.

To także niespecjalnie pomaga mi zredukować stres, dlatego koncentruję się na zabawach językowych. Kiedy byłem dzieckiem, koły mi nerwy. Język potrafi zaskakiwać i bywa naprawdę dziwny. Na przykład – dlaczego mówi się „rok dwutysięczny”, ale już nie „dwutysięczny pierwszy”? Czemu mamy „może” przez „ż” i „morze” pisane przez „rz”? I jak to się stało, że istnieją słowa, które mają tylko liczbę pojedynczą, jak „powietrze”, a inne jedynie mnogą: „nożyczki”, „spodnie”, „usta”, „drzwi”... Nie wiem, dlaczego dziwność, sprzeczność i osobliwość mnie uspokaja; ale zawsze tak było. Być może ma to związek z faktem, że te cechy są mi w pewien sposób bliskie. Widzę, że w dużej mierze sam je posiadam.

Znienacka się zatrzymuję. Nagle, nie wiedzieć czemu, nogi się pode mną uginają. Ogarnia mnie ogromne zmęczenie. Wręcz wyczerpanie. Jakby tego było mało, puls znów przyspiesza, aż wibruje mi w gardle. Zaledwie parę kroków dzieli mnie od Harlem Avenue. Za moment przekroczę granicę miasta. Tylko kilka stóp i opuszczę Grace Village. Przejdę do znacznie większego miasta – Grace Park. Tam właśnie mieszkam.

Udaje mi się schować za szopą na narzędzia należącą do parku miejskiego. Siadam na ziemi, ściągam kaptur, zdejmuję maskę i opieram spoconą głowę o ceglana ścianę. Szukam noża schowanego w poszewce na poduszkę. Jest duży. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, kroiliśmy nim indyka w Święto Dziękczynienia. Pomyślałem, że może mi się dziś przydać. Wyciągam swój zielony telefon i zaczynam pisać:

Przepraszam, Lauren. Jest mi przykro. Z powodu tego, co zrobiłem. Z powodu tego, że mnie nie kochałaś. Ale nie zamierzam przeproszać za to, że kocham cię jak nikt inny. Idę do ciebie. Mam nadzieję, że

przyjmiesz mnie z otwartymi ramionami, że pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie kochanym na tym świecie.

Po napisaniu wiadomości kładę telefon na kolanach, obok noża. Wyciągam do przodu rękę dłonią w dół i patrzę na nią. Nadal nie drży.

Biorę głęboki wdech i kiwam głową. Zrobię to. Jestem gotowy.

Przed Halloween

13 maja

2

Simon

– Wiesz, z czym masz problem? – mówi do mnie Anshu, choć wcale go o to nie pytałem. Gdybyśmy mieli teraz poddać analizie wszystkie moje problemy, musielibyśmy tu przesiedzieć całe popołudnie. – Nie masz odpowiedniego wizerunku – kontynuuje, nie czekając na jakąkolwiek reakcję z mojej strony.

– Nie mam odpow... – zerkam na swoją koszulę OCBD i niebieskie džinsy. – Co ci nie pasuje?

– Ubierasz się jak student, a powinieneś jak profesor.

– Co mam niby nosić? Tweedową marynarkę z łatami na łokciach? A może jeszcze fajkę do tego?

Siedzę w swoim gabinecie na drugim piętrze wydziału prawa wraz z profesorem Anshumanem Bindrą, który odpowiedni wizerunek ma z natury: poważna twarz przywodząca na myśl puchacza, starannie przycięta broda i włosy sztywne jak szczotka do szorowania, które w ogóle się nie poruszały, a i tak jakimś cudem wyglądały na rozczochrane. Anshu odchyła się w swoim fotelu ze słowami:

– Simon, mój drogi przyjacielu, właśnie zostałeś zacytowany w uzasadnieniu Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. To tak, jakby jego sędziowie zstąpili z Waszyngtonu do Chicago i szepnęli Komisji: „Zróbcie z tego faceta profesora”. Powinieneś dumnie kroczyć i zachowywać się jak nowy król czwartej poprawki. Ale nie. Zamiast tego wolisz wyglądać tak, jakbyś wybierał się na imprezę jakiegoś studenckiego bractwa.

– To, jak się ubieram, nie powinno mieć żadnego znaczenia. To, co mówię i piszę, czego uczę... To powinno mieć...

Jednak Anshu już składa dłoń w dzióbek i zaczyna nim ruszać, jakby chciał powiedzieć: „Ble, ble, ble”, po czym zauważa:

– Weźmy na przykład Reida. On należycie się prezentuje. Ma odpowiedni wygląd. Codziennie nosi sportową marynarkę i spodnie w kant.

Reid Southern? Ten facet jest dla uczelni tym, czym Pauly Shore dla aktorstwa dramatycznego. Jego starzy mają koneksje. To wszystko.

– Nosi sportową marynarkę, bo ma wystający bebzon – odpowiadam. – I pewnie nie mieści się w żadne džinsy.

Anshu spuszcza głowę i łapie się za nasadę nosa:

– Tja... może i biegasz w maratonach i zapewne połowa twoich studentek chce się z tobą przespać, ale to Reid wygląda i zachowuje się jak profesor prawa. Ten facet słucha w swoim gabinecie Mozarta. A ty? R.E.M, Panic! at the Disco i N.W.A.

– OK, po pierwsze – mówię, pochylając się do przodu – nie słucham i nawet nie zamierzam nigdy słuchać Panic! at the Disco. A po drugie, od kiedy to ma jakiegokolwiek znaczenie, jakiej słucham muzyki?

– Nie chodzi tylko o to, ale o całokształt... niechlujny wygląd, muzykę... całe twoje nastawienie. Myślisz, że pozory nie mają znaczenia? Wiem, że nie powinny, ale...

– Ale mają. Tak, wiem.

Tyle że nie zamierzam się z tego powodu zmieniać. Dlaczego niby miałbym to robić? Na uczelni nie ma żadnego *dress code*'u. Jestem dużo lepszym wykładowcą niż Reid Southern. Studenci go nie znoszą. Czytałem w internecie, jakie ma opinie. A jego dorobek naukowy można określić (w najlepszym wypadku) jako „drobiazgowy”. On pisze o różnych interpretacjach „porozumienia stron” w prawie zobowiązań, a ja o tym, że rządzący codziennie łamią konstytucyjne prawa swoich obywateli.

– Sam sobie umniejszasz. Jesteś zbyt skromny – mówi Anshu.

Jasne, czemu nie. Kontynuujmy. Brnijmy w to dalej.

– Wolałbyś, żebym był nadęty? Wpadł w samouwielbienie? Jeeezu, Anshu... chcesz zaprzepaścić wszystko, czego nauczyła mnie matka?

Macha na mnie ręką ze słowami:

– A możesz mi powtórzyć, co właśnie powiedziałaś Loomisowi na korytarzu? Wiceprzewodniczący cholernej Komisji do Spraw Stopni i Promocji Naukowych pogratulował ci tego, że twój artykuł został zacytowany przez Sąd Najwyższy, a ty co? Co mu na to odpowiedziałaś?

– Nie pamiętam, co takiego mu niby powiedziałem?

– Powiedziałeś: „To musiał być długi dzień w Sądzie”.

A tak, rzeczywiście. Tak powiedziałem.

– A gdzie „dziękuję”? – mówi dalej Anshu. – Najwyższa instancja w tym kraju dopiero co zacytowała jeden z twoich artykułów. Mógłbyś chociaż trochę ponapawać się tą sytuacją. Przez chwilę pławić się w blasku chwały. Ale nie, ty

nawet nie potrafisz przyjąć komplementu. Wolisz sam umniejszać swoje zasługi. A poza tym Reid nie ma bloga – dodaje.

Rozkładam ręce.

– Co jest nie tak z moim blogiem?

– Śmieszkujeś sobie na nim – mówi. – I robisz przytyki.

– Ale piszę też o decyzjach i wyrokach sądowych. O ich słuszności lub jej braku.

– Napisałeś limeryk o prezesie Sądu Najwyższego.

– Napisałem. Był zabawny, co nie?

– Był, ale jak możesz tak się zachowywać? Być taki swobodny... prześmiewczy i lekceważący?

– Pytasz się mnie, jak mogę nie być sztywniakiem? Jak mogę nie robić przypisów? Jak mogę nie używać sentencji łacińskich? Dobrze wiesz, jaki mam stosunek do przypisów i...

– Tak, wiem, jaki masz stosunek do przypisów – wyciąga do mnie ręce jakby w błagalnym geście. – Ale profesorowie prawa robią przypisy! Profesorowie prawa używają sentencji łacińskich!

Ja nie. Nie zamierzam ubierać się inaczej. Nie chcę podlizywać się członkom Komisji i reszcie kadry akademickiej podczas partyjek pokera oraz imprez wydziałowych. W nosie mam używanie sentencji łacińskich. I za cholere nie będę robił przypisów.

No dobra, może daleko mi do Roosevelta w czasie bitwy pod San Juan, ale obstaję twardo przy swoim.

– Najpierw załatw sobie stołek – mówi. – Kiedy już będziesz profesorem, a nie profesorem uczelni, możesz podważać wszelkie uczelniane konwencje i konwenanse. Proszę bardzo. Droga wolna. Ale ten twój cały luz...

Nie jestem wyluzowany. W żadnym razie. Daleko mi do luzu. Jestem uparty, a to zupełnie insza inszość.

– Chcesz łaciny? Proszę bardzo – mówię. – *Ego facturus est via mea.*

Anshu wzdycha.

– I zapewne zaraz mi powiesz, co to znaczy.

– Oczywiście. Powiedziałem, że zrobię to po swojemu.

– Jasne. Jakżeby inaczej. Jak zawsze.

– A teraz proszę mi wybaczyć, panie profesorze, ale muszę się ostrzec.

– Chwała Bogu. Twoja fryzura to kolejny problem. Masz za długie włosy.

Wyglądasz jak...

– Jak student. Tak, wiem.

Nagle słyszę, że dzwoni mój telefon.

Niecałe pięć minut później wchodzi do gabinetu Martina Comstocka, jednego z prodziekanów. Tak się akurat złożyło, że jest również przewodniczącym Komisji do Spraw Stopni i Promocji Naukowych. Siwowłosa elegancik z jaskrawoczerwoną muszką. Uosobienie wielu prawniczych stereotypów.

Nosi muszki tylko po to, żeby ludzie go o nie pytali. Wtedy „niechętnie” wyjaśnia, że kiedyś współpracował z Johnem Paulem Stevensenem – sędzią Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, a następnie senatorem Paulem Simonem. Co łączyło obu tych panów? Nosili muszki. Prodziekan lubił mówić: „Co? O to pytasz? Cóż, jeśli już musisz wiedzieć... to mogę zdradzić, że jest to coś w rodzaju hołdu”.

W przyszłym roku nasz dziekan odchodzi na emeryturę i chodzą słuchy, że Comstock przejmie po nim stery. Nie wszystkim się to podoba. Mnie również nie. Comstock to polityk, a nie naukowiec. Błękitna krew, nie uczony. Reprezentuje wszystko to, czego nie akceptuję w środowisku akademickim.

Pomijając ten drobny szczegół, zapewne spoko z niego gość.

– Ach, Simon! Dobrze, że jesteś. Proszę, wejdz – mówi, gdy pukam do jego otwartych drzwi.

– Dzień dobry, panie dziekanie – lubi być tak nazywany, chociaż udaje, że nie.

Comstock dokonuje szybkiej, dezaprobującej oceny mojego stroju. Żeby było jasne: moja koszula jest wpuszczona w spodnie, a dzinsy czyste i niepodarte. Wyglądam normalnie.

– Dzięki, że wpadłeś – mówi. – Przejdę od razu do rzeczy.

Gabinet, w którym króluje skóra i orzech, stanowi pomnik jego wielkości: te wszystkie dyplomy, nagrody i zdjęcia z prezydentami oraz sędziami Sądu Najwyższego. Comstock siedzi rozparty w swoim skórzanym fotelu z wysokim oparciem za imponującym biurkiem.

– Simon, chcesz zostać profesorem. Zamierzasz złożyć wniosek – mówi, układając sobie na kolanach dłonie w wieżyczkę.

– Zgadza się.

– Jasne, to zrozumiałe. Nic w tym dziwnego – ciągnie dalej. – Robisz kawał dobrej roboty. Cały czas to wszystkim powtarzam.

Nadszedł czas na „ale”.

– Proszę, nie obraż się, ale...

W całej historii ludzkości nie było chyba przypadku, aby ktoś nie obraził się po usłyszeniu zdania rozpoczynającego się od: „nie obraż się, ale”.

– Zastanawiam się... – zaczyna. – Powiem wprost. Czy wiesz, że Reid Southern również ubiega się o to stanowisko?

Pewnie, że tak! Wiem też, że jego ojciec w ciągu ostatniej dekady przekazał uczelni pięć milionów dolarów. Początki tej niezwyklej hojności dziwnym trafem zbiegły się w czasie z momentem, kiedy Reid zaczął tu pracować.

– Tak – odpowiadam.

– Zapewne wiesz również, że Reid jest tutaj o rok dłużej od ciebie.

– Jestem tego świadomy. Jak również tego, że jest tylko jedno miejsce.

– Tak, dokładnie. Dokładnie... – mówi tak ochoczo i protekcyjnie, jakby miał za chwilę rzucić mi psiego smaczka. – To delikatna sprawa i zapewne wiesz, że Reid cieszy się sporym poparciem. Wiesz, jak to jest... nadeszła jego kolej.

Wielu profesorom uczelni odmówiono awansu na stanowisko profesora. Nie mówi się ludziom, że „nadeszła ich kolej”. Chyba że ich ojciec jest chodzącym bankomatem.

– Nie chciałbym... – zaczyna machać palcami w powietrzu, jakby próbował uchwycić nimi właściwe słowa. Jak gdyby nie przygotował się zawnazu do tej rozmowy i nie wiedział dokładnie, co chce powiedzieć. – Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś poczekał, aż zwolni się kolejne miejsce. Lepiej dla ciebie. Wtedy mógłbyś się ubiegać o stanowisko bez piętna, że już raz złożyłeś wniosek i twoja kandydatura została odrzucona.

– Myśli Pan, że moja kandydatura zostanie odrzucona – nie mówię tego w formie pytania. Ale to JEST pytanie. Tak sędzę. Mamy wprowadzić na uczelni pewne hermetyczne grono, kilku oldschoolowych typów, którym prawdopodobnie nie przypadnę do gustu, ale jest tu też wielu dobrych, niebawiających się w politykę ludzi, jak Anshu, uważających, że liczy się jakość nauczania i osiągnięcia naukowe, a nie ubiór oraz znajomości.

– Cóż, oczywiście nie chcę wywierać na tobie żadnej presji. W końcu nic nie jest jeszcze przesądzone. Ale jak mówię, Reid cieszy się dużym poparciem. Nie żeby ktokolwiek kwestionował twoje osiągnięcia naukowe, Simon. Powiem to jeszcze raz: robisz kawał dobrej roboty.

Jasne. I cały czas to wszystkim powtarzasz.

– Dał mi pan do myślenia, panie dziekanie – mówię.

Wychodzę z jego gabinetu, by mógł swobodnie zadzwonić do tatusia Reida. Powiedzieć mu, że odfajkował rozmowę ze mną i wszystko idzie jak po maśle.

Jestem spóźniony na wizytę u fryzjera. Zazwyczaj idę do niego na piechotę, bezpośrednio po wyjściu z pracy, ponieważ zakład fryzjerski znajduje się w odległości raptem kilku przecznic. Jednak tym razem kieruję się na uczelniany

parking zewnętrzny. Zwykle przyjeżdżam do pracy wcześniej niż pozostali i staję na jednym z lepszych miejsc.

Znajduję srebrnego mercedesa coupé i sięgam do kieszeni po kluczyk. Rozglądam się dookoła i przejeżdżam nim po boku samochodu, robiąc ohydny rysę na całej długości, od strony kierowcy.

Ojej, przepraszam, panie dziekanie.

Teraz mogę iść do fryzjera.

I tak oto zmierzam w swoim niegodnym profesora uczelni stroju na spotkanie ze starym Ruskiem o imieniu Ygor (serio). Dam sobie skrócić włosy. Tak na wszelki wypadek, by reszta kadry akademickiej nie uznała, że przez ich długość nie zasługuję na awans. Zresztą teraz to bez znaczenia – najwyraźniej powinienem zrezygnować ze składania wniosku.

Jest parne popołudnie. Przepycham się przez tłum na Michigan Avenue: turystów, bogaczy, performerów ulicznych i bezdomnych. Kwintesencja Magnificent Mile. W dzisiejszych czasach naprawdę powinni rozważyć zmianę nazwy². Ale co tam – mam ważniejsze sprawy na głowie.

Na przykład – dlaczego to właśnie uprzywilejowani starzy biali mężczyźni w czarnych togach mają najwięcej do powiedzenia w kwestii tego, jak to jest być afroamerykańskim dzieciakiem zatrzymanym na ulicy przez policjanta? Czemu prawnicy sądzą, że mądrzej brzmi, gdy mówią „*interalia*” zamiast „między innymi”? I kto, do cholery, wpadł na to, żeby wymyślić „słowo” konstantynopolitańczykowiec? Bez sensu.

Takie i podobnie głębokie myśli zaprzatają mi umysł, gdy mijam Chicago Avenue. Znajduję się zaledwie przecnicę od salonu fryzjerskiego.

I nagle staję. Na przejściu dla pieszych. Ktoś idący z tyłu wpada na mnie i zmusza do zrobienia kroku w przód dla złapania równowagi.

Staję, ponieważ coś czuję. TWOJĄ obecność. Przysięgam, że czuję ją, jeszcze zanim cię zauważam. Wychodzisz z Bloomingdale's. Nie wiem, po czym cię poznaję. Może po kształcie twojej głowy... podbródka... Lub po sposobie, w jaki zaciskasz usta, gdy się na czymś skupiasz. Po czymś, co sprawia, że jesteś sobą. Definiuje cię nawet po upływie dziewiętnastu lat. Po czymś, co aż krzyczy: LAUREN...

Lauren.

Lauren.

Hej, Simon, jak się masz?

Doskonale, Lauren. A co u ciebie?

...zanim obracasz się w moim kierunku, w za dużych okularach przeciwsłonecznych w stylu Audrey Hepburn.

Tak, to ty. Twoje blond włosy są dłuższe i o ton jaśniejsze, ale to ty.

Wchodzisz na przejście dla pieszych sprężystym krokiem. Z pewnością siebie charakterystyczną dla kogoś, kto przywykł do lawirowania w tłumie bez nawiązywania kontaktu wzrokowego z innymi. Poruszasz ustami. Nie widzę telefonu, ale kiedy wiatr unosi twoje włosy, dostrzegam w uszach AirPods.

Typowa zagrywka, którą sam stosuję, gdy chcę uniknąć z kimś kontaktu? Telefon. Przykładam go do ucha i schylam głowę, jakbym miał słaby zasięg i próbował lepiej usłyszeć rozmówcę. W ten sposób udało mi się uniknąć setek rozmów na korytarzach mojej uczelni.

Jednak teraz tego nie robię. Nie sięgam po telefon.

Powinienem się ruszyć, a nie stać na środku przejścia, tworząc przesmyk między morzami pieszych, mijających mnie z obu stron. Powinienem iść w twoim kierunku tak pewnie, jak ty zmierzasz w moim, ale nie mogę. Nie jestem w stanie. Mój organizm jest w trakcie zamykania systemu. Stopy nie chcą się ruszyć. Czuję pulsowanie w głowie. Jakbym został odarty ze skóry i paradował z wnętrznościami na wierzchu.

Mam wrażenie, że czuję zapach twoich perfum, gdy mnie mijasz. Zmieniłaś je.

Nie zauważasz mnie. Pewnie zostaję przysłonięty przez ludzką chmurę, albo jesteś zbyt skupiona na rozmowie telefonicznej. A może mnie zauważyłaś, ale najzwyczajniej w świecie nie poznałaś? W końcu jestem dla ciebie tylko odległym wspomnieniem. Nieprawdaż?

Odwracam się i idę za tobą.

– Hmm... nie, bardzo dziękuję. To się nazywa: „mieć trochę godności”? – wypowiadasz zdanie jak pytanie retoryczne. Potem się śmiejesz.

Śmiech się nie zmienił. To naprawdę ty.

Masz na sobie różową sukienkę podkreślającą walory twojej figury. Niesiesz dwie torby z wyraźnie drogimi zakupami. Masz pieniądze. To żadna niespodzianka. Masz na palcu pierścionek z dużym kamieniem. To też żadna niespodzianka. Zawsze potrafiłaś przyciągać uwagę bogatych facetów. Nie miałaś z tym najmniejszych problemów.

Poklepać cię po ramieniu? Powiedzieć: „Hej, kopę lat. Pamiętasz mnie?”.

Czy złapać cię za ramię? „HEJ, LAUREN, PAMIĘTASZ MNIE?”.

Jestem za blisko, więc zwalniam kroku.

Przechodnie się na ciebie gapią. No jasne, że tak. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Nic dziwnego. Jesteś prawdziwym dziełem sztuki. Musisz być tego świadoma. Na pewno to wiesz. Idziesz jak gdyby nigdy nic, pewnym krokiem.

Za to ja mam nogi jak z waty. Czuję pieczenie w gardle wywołane refluksem. *Fuuuj...*

Mijasz Chicago Avenue i wchodzisz do jednego z budynków.

Jeśli wejdę za tobą do środka – zakładam, że jest to lobby apartamentowca – nie pozostanę anonimowy. Ludzie nie wchodzi, ot tak sobie, do tego typu miejsc.

Ale nie dbam o to. Popycham drzwi obrotowe jakieś pięć sekund po tobie. Tyle wystarczy, żebyś mnie nie zobaczyła. Wchodzę do eleganckiego, bogato zdobionego i klimatyzowanego lobby luksusowego apartamentowca w centrum miasta.

– Pani Betancourt! – mówi mężczyzna stojący za biurkiem recepcji. – Wpadła pani na weekend?

– Nie, Charlie. Wpadłam tylko podzucić kilka rzeczy – mówisz. – Jak tam dzieci? Wszystko w porządku?

Betancourt. Betancourt.

Wysłaś za męża, Lauren.

Wychodzę z powrotem na upał. Z obu stron mijają i popychają mnie ludzie. Moja stopa spada z chodnika na ulicę. Słyszę klakson samochodowy. To na mnie ktoś trąbi...

Robię krok w tył, o włos mijając się z taksówką jadącą na południe Michigan Avenue.

By złapać równowagę, kładę dłoń na zaparkowanym aucie z gorącym silnikiem.

– Gościu, co ty odpierdalasz?! – kolejny taksówkarz. Wystawia głowę przez okno stojącego na krawężniku samochodu.

Podnoszę rękę w przeproszającym geście i, potykając się, wracam na chodnik. Nie jestem pewien, w którą stronę mam teraz iść. Potrząsam głową i szepczę:

– Betancourt. Betancourt.

Betancourt, Betancourt, Betancourt, Betancourt.

W Chicago i jego okolicach mieszkają dziesiątki osób o tym nazwisku, ale tylko jedna z nich ma na imię Lauren. I to właśnie jesteś ty. Patrzą na twoje zdjęcie profilowe na Facebooku. Pozujesz na nim w obcisłej białej sukience i w fantazyjnym kapeluszu – wyglądasz, jakbyś była na Kentucky Derby.

Podnosisz kieliszek wypełniony napojem z bąbelkami i układasz usta w uroczy, delikatny dzióbek. Czy naprawdę byłaś aż taka szczęśliwa, robiąc to zdjęcie, Lauren? A może przez cały czas myślałaś tylko o tym, że nada się świetnie na profilowe na Facebooku? Czy to tylko fałsz, jak wtedy, kiedy ludzie koloryzują swoje opowieści, by wydawały się zabawniejsze, niż są w rzeczywistości? Czy bardziej przejmujesz się tym, jak widzą cię inni, niż jak sama siebie postrzegasz?

Tysiące facebookowych znajomych i „lubię to” pod setkami zdjęć stanowiących maleńkie okienko na twój świat, życie w ciągu ostatniej dekady: szczyt wieży Eiffla, safari w RPA, drinki na Times Square, morsowanie w jeziorze Michigan, triathlon i jakiś wyścig w błocie. Na każdym zdjęciu otaczają cię przyjaciele i przystojni mężczyźni, a ty sama jesteś skąpana w słońcu, szczęśliwa, olśniewająca, seksowna, rozrywkowa, pełna energii oraz swobody.

Wysłałaś za niejakiego Conrada Betancourta, ale nie masz dzieci.

I nie mieszkasz w samym Chicago, tylko w Grace Village, zaraz obok mojego Grace Park.

Wróciłaś do domu, Lauren.

Biorę głęboki oddech. Uspokój się, Simon. Może gry językowe pomogą? Cokolwiek. Kolejny głęboki oddech.

Dlaczego „bicie” i „misie” trochę się rymują, a trochę nie i czemu coś takiego nazywa się rymem niedokładnym?

Głęboki oddech.

Dlaczego, kiedy przymiotnik pełni funkcję kategoryzacyjną, stawiamy go po rzeczowniku, a w innych przypadkach przed? W zależności od kontekstu możemy powiedzieć „biały niedźwiedź” lub „niedźwiedź biały”.

I czemu nie mogę powiedzieć grenlandzki biały niedźwiedź? Musi być koniecznie ten niedźwiedź biały grenlandzki?

Głęboki oddech.

Wszystko wraca. Jak obmywająca mnie fala. Rośnie we mnie. Jak nowotwór. Czuję się, jakby w moich żyłach płynęła trucizna. Powinienem przestać. Opamiętać się. W tej chwili. Zapomnieć, że cię widziałem. Zostawić to wszystko za sobą. Zostawić siebie. Tak, musisz zostać tam, gdzie byłaś – w moim lusterku wstecznym. Tak jest lepiej. Ze mną jest lepiej. Wiem, że tak. Vicky mówi, że jest lepiej. Nie mogę do tego wracać. Wszystko jest dobrze. Wszystko jest w porządku.

Tak, właśnie to zamierzam zrobić, Lauren. Opuścić. Należysz do przeszłości i to takiej sprzed dziewiętnastu lat.

OK, to tyle. Postanowione. Zapomnę, że dzisiaj cię widziałem.

Siedem tygodni później

Lipiec

3

Poniedziałek, 4 lipca 2022 r.

O... mój... Boże - wyszeptałem. Nawet pomimo tego, że wpadłem dziś do klubu dla snobów pierwszy raz od lat tylko z twojego powodu. W nadziei, że będziesz na przyjęciu z okazji czwartego lipca³. Nawet pomimo tego, że myślałem o tobie od tamtego majowego dnia... kogo ja oszukuję z „tamtym majowym dniem”? Od piątku, trzynastego maja, od godziny 14:04 - kiedy zobaczyłem cię na Michigan Avenue. Nawet pomimo tego, że próbowałem wykombinować, jak tu na ciebie „przypadkiem” wpaść. Nawet pomimo tego, że ćwiczyłem sobie różne teksty i scenariusze przed lustrem, jak podenerwowany nastolatek.

Tak, to wszystko nie miało znaczenia, Lauren, bo kiedy tylko zobaczyłem cię na patio klubu, na tle pola golfowego, poczułem coś świeżego, czystego i właściwego. Jakby wszystko nagle było na swoim miejscu. Jakbym widział cię pierwszy raz w życiu.

Rozłożyłem ręce tak, jak gdybym coś wyczarował. W sumie to ma sens. Magia to odpowiednie słowo. Właściwe, by opisać... ciebie.

Miałaś na sobie białą letnią sukienkę. Byłaś opalona. I po raz kolejny założyłaś te okulary à la Audrey Hepburn. Poza tym twoje włosy były upięte z tyłu. Śmiałaś się razem ze swoimi przyjaciółmi, ale musiałaś zobaczyć mnie kątem oka, ponieważ nagle bez powodu odwróciłaś się w moją stronę.

- To - odezwałaś się, zdejmując okulary i mrużąc oczy od słońca. Wydawałaś się mniej zaskoczona ode mnie. -

Simon - powiedziałaś to tak, jakby wymawianie mojego imienia sprawiało ci przyjemność.

Odłączyłaś się od swojej grupki, w której najwyraźniej nie było twojego męża Conrada. Cieszę się, że pomyślałaś o tym, byśmy na naszym pierwszym spotkaniu (a przynajmniej pierwszym po dziewiętnastoletniej przerwie) mieli odrobinę prywatności, nawet jeśli i tak otaczała nas setka ludzi, którzy przybyli do klubu na grilla i fajerwerki zorganizowane z okazji czwartego lipca.

- Co ty... co ty tu... - nie dokończyłem zdania.

- Ach... wróciłam - powiedziałaś. - No, prawie. Mieszkam w Village.

- W Grace Village? - zapytałem.

- Tak. Jestem tu od kilku lat. Mam męża. A ty wciąż mieszkasz w Grace Park?

- W tym samym domu - odpowiedziałem.

Na co ty kiwnęłaś głową ze słowami:

- Nie dziwi mnie to. I dlatego spodziewałam się, że prędzej czy później mogę cię spotkać w tym klubie. Pamiętałam, że twoi rodzice byli członkami. Ja... myślałam nawet, żeby do ciebie zadzwonić. Tak po prostu, by przełamać lody...

Machnąłem ręką.

- E tam, nie przejmuj się. To było... dawno temu.

Wyglądałaś, jakby kamień spadł ci z serca. Uśmiechnęłaś się do mnie, jakby z wdzięcznością.

Myślałem, że będę bardzo zdenerwowany. Miałem w głowie obraz naszego ponownego spotkania. Byłem pewien, że zacznę się jąkać, pocić i zrobię z siebie debila. Ale nie. Kiedy tylko cię zobaczyłem, wszystko przestało mieć znaczenie. Wyćwiczone kwestie od razu wyparowały mi z głowy. Nie były potrzebne. Liczyliśmy się tylko my. Znowu razem. Wszystko inne było bez znaczenia.

- Jesteś żonaty? - zapytałaś, widząc obrączkę na moim palcu.

- Prawie dziesięć lat - odparłem. - Ma na imię Vicky.

- Jest gdzieś tutaj?

Nie. Vicky ze mną nie było. Siłą bym jej nie zaciągnął w takie miejsce.

- Nie mogła przyjechać - odpowiedziałem. Wyglądałaś, jakbyś zdała sobie sprawę z tego, że poruszyłaś drażliwy temat. Musiałaś odgadnąć to po wyrazie mojej twarzy.

Nie jesteś tak piękna jak dziewiętnaście lat temu. O nie, Lauren. Jesteś piękniejsza. Wyglądasz na doświadczoną. Mądrzejszą. Nie jesteś już gorącą dwudziestolatką, wspinającą się po szczeblach kariery w kancelarii mojego ojca, tylko dojrzałą, elegancką i pewną siebie kobietą, która swoje przeżyła, zna swoją wartość, a przede wszystkim siebie.

Czułem się niekomfortowo, bo cię okłamałem. Chciałem powiedzieć, że widziałem cię w maju na Michigan Avenue i że zobaczyłem wasze imiona - twoje i Conrada - na liście członków klubu. Pragnąłem przyznać się, że przyszedłem na tę głupią imprezę w Grace Country Club tylko dlatego, że miałem nadzieję spotkać tam ciebie. Wyznać, że moje „zaskoczenie” na twój widok nie było do końca szczere. Gryzło mnie to, że coś, co mogłoby być niewymuszone i autentyczne między nami, zaczęło się od takiego podstępu z mojej strony.

Dlatego obiecałem sobie, że na tym poprzestanę. Jedno niewinne kłamstewko i na tym koniec. Nigdy więcej nie będę z tobą nieszczerzy.

W drodze do domu kupiłem sobie ten oto kołonoatnik z zieloną okładką. (Nie wiem, co mną kierowało. Może to, że zielony kojarzy mi się z nowym początkiem). Od lat nie prowadziłem dziennika. Przestałem spisywać swoje codzienne przemyślenia. Być może dlatego, że nie miałem nic specjalnie ciekawego do przekazania. Prowadzę teraz bloga, piszę artykuły i wykładam na uczelni. Prawo mam we krwi. Płynie w moich żyłach. Oddycham i żywię się nim. Żyję nim. O czym innym miałem pisać? O nudnym małżeństwie, w którym brakuje miłości? Rekordzie w biegu na dziesięć kilometrów?

Ale teraz to co innego - witaj, Zielony Dzienniku - bo znów mam o czym pisać, Lauren. A raczej o kim. O takiej jed(y)nej, wyjątkowej osobie.

O kimś, kto zgodził się pójść ze mną na kawę w przyszłym tygodniu!

Nie ma w tym nic złego, prawda? To tylko kawa bez zobowiązań, mam rację?

4

Simon

Niepotrzebnie narażam się na ryzyko. Już sam fakt, że zaparkowałem samochód na końcu ulicy Lauren chwilę przed ósmą rano, może mnie wpędzić w kłopoty. To tu stoją domy, które miejscowi zwykli nazywać „rezydencjami Lathrow”. W samym środku Grace Village. Są niczym atrakcja turystyczna. Niektórzy przewrażliwieni mieszkańcy Lathrow Avenue dzwonią na policję, jak tylko zobaczą kogoś, kto „nie jest z sąsiedztwa”. I choć ten kod zazwyczaj nie dotyczy postaci takich jak ja – biały facet w średnim wieku w przyzwoicie wyglądającym SUV-ie – to jednak... Jeśli będę tu siedział za długo, na pewno zwrócę na siebie czyjąś uwagę, a wtedy mili panowie policjanci przyjadą radiowozem, by zadać mi kilka pytań. *Czy wszystko w porządku, proszę pana? Mogę zapytać, co pan robi? Czy mógłbym prosić o pana dowód osobisty?*

Nie mogę im przecież powiedzieć prawdy. Oświadczyć, że w wakacje nie prowadzę żadnych zajęć na uczelni, więc wykorzystuję wolny czas na szpiegowanie mojej dawnej dziewczyny i jej męża oraz pozyskiwanie wszelkich możliwych informacji na ich temat. To nie zabrzmiałoby najlepiej, nieprawdaż?

Ostatnie, czego mi trzeba – to gliny, które zaczną urządzać scenę. Może nawet wlepią mi mandat za nieprawidłowe parkowanie. Tymczasem Lauren wyjdzie z domu i zobaczy starego Simona Dobiasa, który najwyraźniej zaparkował w pobliżu i nie był w stanie podać żadnego sensownego powodu takiego zachowania. Pomyśli sobie, że niezły ze mnie świr!

Pochodzę stąd, ale nie do końca z TEJ okolicy. Mieszkam w Grace Park, zamieszkanym w większości przez przedstawicieli klasy średniej, dumnych ze swojej postępowości – wystarczy nas o nią zapytać. Jednak kiedy Mortimer Grace założył Park w 1800 roku, odłączył od niego kawał ziemi o powierzchni trzech mil kwadratowych⁴ jako osobny projekt – Grace Village. Poglądy Mortimera w kwestii klas, ras i religii wedle obecnych standardów nie zostałyby uznane za oświecone. Chciał, aby Village była zamkniętą społecznością białych, anglosaskich protestantów, takich jak on sam.

Wprawdzie już w latach czterdziestych ubiegłego wieku dawne zakazy zostały zniesione, a prawa miejskie znowelizowano, by nie zawierały niestosownych zapisów, ale niektórzy twierdzą, że niewiele to dało i od tamtego czasu Village niespecjalnie się zmieniła. A już na pewno nie uległ zmianie fakt, że zamieszkiwali ją bogacze. Większość dzieciaków z Village nie uczęszcza do

Grace Consolidated High School (sam ukończyłem ten ogólniak), tylko do prywatnych szkół. Ale często już jako dorośli ludzie wracali do Village, by założyć własne rodziny. Są nawet tacy, którzy mieszkają tu od sześciu pokoleń.

Lauren też nie jest stąd. Pochodzi z Old Irving Park w północnej części Chicago. Kiedy ją poznałem, wciąż tam mieszkała. (W kancelarii mojego ojca Lauren była wtedy asystentką, a ja chłopcem na posyłki). Jednak to już przeszłość. Teraz mieszka w rezydencji przypominającej pałac i jest trzecią żoną Conrada Betancourta, o piętnaście lat od niego młodszą. Facet zarządza jednym z czołowych funduszy hedgingowych na świecie.

Wyczerpałem już chyba swój limit szczęścia w misjach zwiadowczych na ten tydzień. Zresztą, jak na razie, zgromadziłem wystarczająco dużo informacji. W ramach przypomnienia wyrywam stronę z mojego zielonego dziennika i zaczynam czytać.

Każdego ranka, punktualnie o szóstej, pod dom podejżdza kierowca w wypasionej bryce, by zawieźć Conrada autostradą do centrum. Betancourt najpierw ćwiczy w East Bank Club, a potem jedzie do swojego biura w Civic Opera Building na Wacker Drive. Wraca do domu o różnych porach – a przynajmniej w tym tygodniu tak było.

Lauren – z tego, co udało mi się ustalić – raczej nie ma pracy. W tym tygodniu codziennie rano grała w tenisa w Grace Country Club. Potem zaliczała rundkę golfa, dwukrotnie, wraz z grupką kobiet. Kolację jadła w centrum, ale ani razu z Conradem. Wtedy też nocowała w swoim mieszkaniu przy Michigan Avenue.

Kiedy jednak spędzała noc tutaj, w Grace Village, każdego ranka robiła sobie przebieżkę po mieście. Zwykle na dystansie około trzech lub czterech mil⁵. Wracała przed ósmą trzydzieści.

Bieganie, tenis, golf... nic dziwnego, że jesteś w tak dobrej formie, Lauren.

Dwie nastolatki idą chodnikiem. Rozmawiają i patrzą w telefony, podczas gdy prowadzony przez nie na smyczy pomeranian wącha hydrant.

Jedna z dziewcząt zerka na mnie raz, a potem drugi. W uszach mam słuchawki, więc zaczynam mówić. Udawać, że rozmawiam przez telefon. Nie wiem dlaczego, ale to działa. Z jakiegoś powodu siedzenie w zaparkowanym samochodzie wydaje się wtedy mniej dziwne.

Boże, co ja robię? Powinienem to zakończyć. Zapomnieć o tym wszystkim. Zapomnieć, że cię widziałem, Lauren. Ruszyć do przodu, jak sobie obiecałem. Jednak ciągle przegrywam tę walkę sam ze sobą.

Wydaje mi się, że tym razem nie potrafię odpuścić.

5 Vicky

Administrator na oddziale ratunkowym patrzy na identyfikator zawieszony na mojej szyi i skinieniem głowy zezwala mi na wejście. Niektórzy już zdążyli mnie poznać, ale nie ten.

– Pomoc społeczna?

– Tja. Jestem Vicky z Safe Haven⁶. Przyszłam do Brandi Stratton.

Około dwudziestej na oddziale ratunkowym panuje względny spokój. Jakaś kobieta otacza ramieniem chłopca, który pociąga nosem i gra na tablecie. Pewien mężczyzna siedzi z ręką owiniętą ręcznikiem. On również ma kobiece towarzystwo.

– Jest tam, szósta zasłona – mówi administrator – ale proszę poczekać, bo jeszcze ją zszywają.

– Jasne.

Słyszę, że dzwoni mój telefon. M&Msy – Mariah i Macy, córki mojej siostry, chcą porozmawiać przez kamerkę. Przechodzę przez automatyczne drzwi, ledwie unikając zderzenia z kobietą na wózku, która wprawdzie ma twarz wykrzywioną w grymasie, ale zachowuje przy tym stoicki spokój. Prowadzi ją ratownik medyczny.

Wkładam do uszu moje AirPods i odbieram. Widzę je obie – Macy, lat dziesięć, i Mariah, trzynastolatka, która mogłaby uchodzić za dziewiętnastolatkę. Obie są piękne, podobne do swojej matki. Monica miała oczy w kształcie migdałów i lśniące włosy – niestety, ja nie wygrałam tych cech na loterii genetycznej. Kiedyś żartowałam, że musimy mieć różnych ojców. Chociaż teraz, patrząc z perspektywy czasu, uważam – że może jednak to nie do końca był żart.

– Cześć, miśki – staram się wyglądać i brzmieć na wesołą, ale średnio mi to wychodzi.

– Hej, Vicky – mówią jednocześnie. Przysuwają twarze bliżej siebie, by lepiej mnie zobaczyć.

– Oddzwaniamy dopiero teraz – mówi Mariah – bo wcześniej nie mogliśmy. Kiedy dzwoniłaś, byliśmy na basenie, a potem tata powiedział, że możemy z tobą porozmawiać dopiero po lekcji gry na fortepianie.

Miało to sens, bo czasem naprawdę potrafimy się rozgadać. Tym razem będzie jednak inaczej, ponieważ muszę porozmawiać z Brandi Stratton, która czeka na mnie za szóstą zasłoną.

Dzwoniłam dziś wcześniej głównie po to, by wy badać, czy wszystko u nich w porządku. Nie byłam pewna, czy moje siostrzenice zdają sobie sprawę z tego, jaki dziś mamy dzień. To rocznica śmierci ich matki. Wszyscy pamiętają o urodzinach, ale mało kto skupia się na tej mniej przyjemnej dacie. Ja tak. Czasami nie pamiętam o urodzinach mojej siostry. Jednak nigdy nie zapomnę dnia jej śmierci.

Najwyraźniej jednak ta rocznica umknęła uwadze moich siostrzenic. Dla nich to był tylko kolejny lipcowy dzień spędzony na basenie z nianią i przyjaciółmi. Dlatego na pewno nie będę im niczego przypominać. Wygląda na to, że radzą już sobie o wiele lepiej. Macy (ta młodsza) nie tak dobrze jak jej siostra, ale zdaje się, że obie prowadzą całkiem normalne i szczęśliwe życie. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Niestety, ostatnio nasz kontakt ogranicza się głównie do rozmów wideo. A nawet kiedy widzę je na żywo, mogę jedynie podjąć próbę wnikięcia w procesy psychiczne zachodzące w ich nastoletnich umysłach.

– Muszę wracać do pracy – mówię – więc zdzwonimy się jutro, dobrze? Macy, ty i tak już powinnaś być w łóżku, mam rację?

– Eee... są wakacje?

Wracam tam, skąd przyszedłam. Administrator kiwa na mnie głową.

– Muszę lecieć, ślicznotki. Porozmawiamy jutro, dobrze? Kocham was, miśki!

– Szósta zasłona – przypomina mi administrator. – Zna pani drogę?

O tak. Zdecydowanie wiem, którądy iść.

Administrator otwiera drzwi, a ja wchodzę do pomieszczenia. Kierując się w stronę szóstej zasłony, czuję dobrze połączenie zapachów – środka do dezynfekcji, ludzkiego mięsa i alkoholu. Za jedną zasłoną jęczy mężczyzna, za drugą krzyczy i awanturuje się – rzecz jasna, pijany.

Dochodzę do miejsca, gdzie stoi młoda policjantka.

– Pomoc społeczna? – pyta mnie.

– Tja, Safe Haven. Funkcjonariusz Gilford?

– To ja – funkcjonariuszka kiwa głową w kierunku kącika wydzielonego zasłoną, a ja podążam za nią. – Jej mąż wykręcił jej niezły numer. Pobił patelnię. Najwyraźniej nie smakowała mu kolacja, którą zrobiła. Nawet nie poczekał, aż patelnia ostygnie. A potem to już klasyka gatunku – przeszedł do rękoczynów.

Zrywam kontakt wzrokowy po słowach:

– Ale Brandi nie chce wnieść zarzutów.

– Zgadza się – funkcjonariuszka stara się zachować profesjonalizm, ale każdy ma swoje granice. Gdy ktoś je przekracza, trudno jest ukryć odrazę i rozczarowanie, bez względu na to, jak często ma się styczność z podobnymi sprawami.

– I ma córkę?

– Tak, Ashley. Słodka dziewczynka. Ma cztery latka.

To by się zgadzało. W mojej dokumentacji jest o niej wzmianka.

– A ten dupek nazywa się... Steven? – pytam.

– Aha, Steven Stratton.

Odsuwam zasłonę. Matka, Brandi, lat dwadzieścia dwa, siedzi na szpitalnym łóżku ze śpiącą Ashley na kolanach. Dziewczynka, dzięki Bogu, wygląda na nietkniętą. Prawe oko Brandi jest tak spuchnięte, że nie może go otworzyć, a lewa strona jej twarzy została porządnie zabandażowana. Ma też opatrzone prawe przedramię – w jej karcie jest napisane, że próbowała ręką odeprzeć atak gorącą patelnią.

Brandi mierzy mnie wzrokiem, ze szczególnym uwzględnieniem identyfikatora.

– Cześć, Brandi – mówię cicho, choć wątpię, by dziewczynka się obudziła. – Jestem Vicky. Z Safe Haven. Chcesz zatrzymać się u nas na noc?

– Nie mogę... – odwraca wzrok i wolną ręką odgarnia kosmyk włosów za ucho.

Nie może tam wrócić. Ani dziś. Ani jutro. Ani nigdy. Ale prawie wszystkie to robią. On przeprosi. Zafunduje masę czułości. Sprawia, że poczuje się szczęśliwa i kochana. Wtedy to ona zacznie się obwiniać i ulegnie złudnemu wrażeniu, że nie ma innego wyjścia. Innych opcji.

– Oczywiście to twoja decyzja, Brandi. Nasz obiekt nie jest zbyt duży. Musiałybyście dzielić pokój. Do tego klimatyzacja jest do bani i cały czas wysiada, więc jesteśmy zdani na wiatraki. Ale jest cicho i bezpiecznie. Mamy porządny system zabezpieczeń i strażnika. Może... może tobie i Ashley przydałoby się trochę snu i spokoju?

Może dasz się namówić do spędzenia nocy w naszej placówce, żebym mogła cię przekonać, że zostawienie w diabły tego psychologa, skończonej mendi, którą nazywasz mężem, jest najlepszym rozwiązaniem? Możemy zrobić dla nich tak wiele, jeśli tylko nam na to pozwolą. Mogą zostać u nas do dwóch tygodni. Możemy załatwić terapię i prawnika *pro bono* – by pomógł im uzyskać zakaz zbliżania się i złożyć papiery rozwodowe. Możemy znaleźć dla nich alternatywne miejsce zamieszkania. Ale muszą powiedzieć „tak”. Muszą nauczyć się o siebie walczyć.

6

Piątek, 15 lipca 2022 r.

Cóż, po raz kolejny stworzyłem w swojej głowie jakiś straszliwy scenariusz, który nijak się miał do rzeczywistości. Było o niebo lepiej, niż zakładałem.

Zacznijmy od tego, że nie miałem pewności, czy do naszego spotkania w ogóle dojdzie. Łatwo jest komuś powiedzieć: „Jasne, chodźmy na kawę”, a potem odwołać w ostatniej chwili. Obiecać, że nadrobicie zaległości, po czym się nie odzywać lub nie odpowiedzieć na otrzymany esemes. I nie sposób wtedy dociec, czy było to celowe działanie, czy też jedna z tak wielu rzeczy w życiu, która pomimo szczerych chęci nie dochodzi do skutku i trudno kogokolwiek o cokolwiek obwiniać. Taka, którą kwitujesz tekstem w stylu: „No trudno”.

Wmówiłem więc sobie, że kiedy spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu w klubie, tylko kurtuazyjnie zgodziłaś się pójść ze mną na kawę. Chciałaś być miła. No bo co innego miałaś niby odpowiedzieć? Normalna sprawa: najpierw powiedzieć komuś „tak”, żeby się odczepił, a potem go olać. Wykręcić się jakąś zręczną wymówką.

Ale nie. Ty tego nie zrobiłaś, Lauren. Naprawdę przyszłaś do Max's Café, tak jak obiecałaś. W białym komplecie do tenisa i czapce z daszkiem, w której był otwór na twoje związane w kucyk włosy.

Do tego naprawdę byłaś ciekawa, co u mnie słyhać. Oczywiście, był to przejaw twoich dobrych manier i życzliwości, ale jakoś się tego nie spodziewałem. A ja w odpowiedzi na zadawane przez ciebie pytania nie kłamałem i nie koloryzowałem. Obiecałem sobie, że więcej cię nie okłamię, Lauren, i nie zrobiłem tego.

Byłem też szczerzy, jeśli chodzi o Vicky. Zaczęło się od zwykłej pogawędki. Takiej gadki szmatki: czym się zajmuję, jak długo jesteśmy małżeństwem i ani się obejrzałem, jak zacząłem się przed tobą otwierać. Opowiadać o dzieciństwie Vicky, jej dorastaniu w biedzie w Wirginii Zachodniej, ucieczce z domu w wieku

siedemnastu lat, uzależnieniu od narkotyków i robieniu poniżających rzeczy, by móc się utrzymać. O tym, że gdy się poznaliśmy, oboje byliśmy w rozsypce, ale każdy w inny sposób. Tonęliśmy, ale jakoś pomogliśmy sobie nawzajem dopłynąć do brzegu. Zazaczyłem również, jak bardzo jestem dumny z Vicky i jak wiele dla mnie znaczy. Nawet nie wiem, kiedy poczułem się na tyle swobodnie, że zacząłem ci się zwierzać ze wszystkiego. Naprawdę ze WSZYSTKIEGO, Lauren. Wyznałem, że bardzo kocham Vicky i zawsze będę, ale tak wiele nas dzieli. Mieliśmy zupełnie inny start. Jakbyśmy szli z dwóch różnych kierunków i nigdy nie spotkali się gdzieś pośrodku. Paplałem o tym, jak wiele dla siebie znaczymy i że zrobilibyśmy dla siebie wszystko, ale nasz związek „ewoluował”, a raczej się wypalił. Nie było w nim już ognia. Stwierdziłem, że obecnie bliżej nam do współlokatorów niż małżonków. Staliśmy się dla siebie bardziej kumplami niż kochankami.

Kiedy skończyłem swój przydługi wywód, zaśmiałem się nerwowo.

- Rany, pewnie teraz żałujesz, że zapytałaś, co u mnie - powiedziałem. - Przepraszam za tę brutalną szczerłość.

Jednak nie zbyłaś tego żartem ani nie uciekłaś w popłochu. Nie, twoja odpowiedź odmieniła moje życie.

- Jeśli cię to pocieszy - powiedziałaś - moje małżeństwo to kompletna porażka.

Tak. Jeśli mam być szczerzy, to było bardzo pocieszające. I był to właśnie jeden z wielu powodów, dla których nigdy nie przeczytasz tego dziennika, Lauren. Nie chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo pragnąłem usłyszeć te słowa. Wiem, jak to brzmi, ale taka jest prawda. Liczyłem na to, że powiesz mi coś w tym stylu. Dasz znać, że też jesteś nieszczęśliwa w swoim małżeństwie.

Następne kilka godzin spędziliśmy na analizowaniu naszego życia małżeńskiego pod każdym możliwym kątem. Czasem łatwiej jest to zrobić z nieznanym niż z kimś bliskim. A może jeszcze lepiej z kimś, kogo kiedyś kochało się bardziej niż kto kiedyś był ci bliski. Nawet jeśli przez lata ta osoba stała się dla ciebie praktycznie obca.

A może nie ma co dorabiać do tego żadnej teorii i najzwyczajniej w świecie nadajemy na tych samych falach.

Nigdy nie przypuszczałem, że będę się tak dobrze bawił, opowiadając o tym, jak to moja żona już mnie nie kocha. Ale wiesz co? Te dwie godziny spędzone w ogródku Max's Café same w sobie wydawały się nowym życiem. Były jak narodziny czegoś niezwykłego. Obietnica czegoś wiecznego.

Tak, wiem. To był słaby tekst. Ckliwe i banalny. Ale co tam. Pieprzyć to. I tak nikt nigdy tego nie przeczyta. Mogę walić oklepanymi tekstami ile wlezie. Kiedy tylko zechcę. Zresztą kto nie myśli stereotypowo? Czyja miłość nie jest oklepana? Ckliwa? Tylko boimy się o tym mówić na głos. Ze strachu. Z obawy przed kompromitacją.

A potem ten pocałunek. Gdybym to ja miał wyjść z inicjatywą, zapewne nigdy by do niego nie doszło; a raczej na pewno nie. Właśnie żegnaliśmy się po „kawowym spotkaniu” (ostatecznie zjedliśmy też po kawałku ciasta marchewkowego). Staliśmy obok twojego samochodu. Dwoje starych znajomych nadrabiających zaległości i mówiących sobie „adieu”.

Pochyliłaś się i pocałowałaś mnie delikatnie. Zupełnie się tego nie spodziewałem. Nie byłem na to przygotowany. Do tego stopnia, że niewiele brakowało, a nie zdążyłbym zamknąć ust (wtedy dopiero byłoby niezręcznie). Twoje wargi złączyły się z moimi. Pocałunek trwał wystarczająco długo, bym nie miał wątpliwości, że to nie przyjacielskie cmoknięcie ani żaden platoniczny gest. Nic w stylu „świetnie się bawiłam!”.

O nie. Nic z tych rzeczy. Serce waliło mi jak młotem.

Spojrzałaś na mnie i powiedziałaś – może część naszych dialogów sparafrazowałem, ale tych słów nigdy nie zapomnę – „Hej, chciałbyś się ze mną jeszcze zobaczyć?”.

Choć znałaś przecież odpowiedź.

7 Vicky

Spotykam Rambo na parkingu Home Depot w Merrillville w Indianie. Nie chciałam rozmawiać z nim ani przez telefon, ani przez mail. Musiałam to zrobić osobiście. Poza tym mam niewiele czasu, bo umówiłam się z Simonem na lunch. Muszę się sprężyć i wrócić do Chicago o odpowiedniej porze.

Wysiada ze swojego rzechowatego chevroleta z teczką w ręku.

– Panienko Vicky – mówi.

Zawsze mnie tak nazywał, odkąd się tylko poznaliśmy. Pracowałam wtedy jeszcze w „branży rozrywkowej”, a on był policjantem. I moim klientem. To było jeszcze przed przeprowadzką do Chicago, zanim poznałam Simona i wyszłam na prostą. Rambo był w porządku. Nigdy nie używał wobec mnie przemocy. Nie zabawiał się na ostro. Poza tym zawsze mi płacił, a przecież jako glina mógł liczyć na „numerek” gratis. Zawsze uważałam, że to między innymi dzięki niemu nie miałam problemów w związku ze swoją profesją, choć nigdy wprost nie przyznał, że mnie chronił.

Tak naprawdę nazywa się Roger Rampkin, ale wszyscy mówią na niego Rambo. Nie tylko ze względu na nazwisko. Przed wstąpieniem do policji w Indianapolis służył w armii. Co więcej, był z niego kawał chłopca. Był tym typem gliniarza, przez którego zapewne niejednen podczas przesłuchania narobił w gacie.

Przeszedł na emeryturę jakieś cztery lata temu i teraz dorabiał jako prywatny detektyw i „ochroniarz”, nieraz udowadniając mi, że jest wart swojej ceny.

– Dobrze się panienska trzyma – mówi.

Chciałabym móc powiedzieć to samo o nim, jednak z Rambo czas nie obszedł się zbyt łaskawie. Przybyło mu co najmniej dziesięć kilogramów, głównie w obwodzie, ma worki pod oczami, a jego broda woła o pomstę do nieba. Nie wygląda już jak policjant-złodupiec. Raczej jak świr prosto z buszu.

Biorę od niego teczkę i w zamian wręczam mu kopertę z gotówką.

– Bardzo dziękuję, sir – mówię.

Rambo wrzuca kopertę na przednie siedzenie przez otwarte okno samochodu i zapala papierosa. Częstuje mnie, ale odmawiam. Rzuciłam palenie w komplecie ze wszystkim innym, chociaż z fajkami naprawdę niełatwo było zerwać. Trudniej niż z kokainą.

– Powiedz mi, proszę, dlaczego? – pyta.

– Nigdy wcześniej nie pytałeś – rzucam w odpowiedzi.

Wypuszcza dym papierosowy z ust i mówi:

– Bo zawsze wiedziałem dlaczego. Ale kapuję. Wiem, do czego pijesz.

Do tego, że to nie jego sprawa.

– Grzeczny chłopiec – mówiąc to, macham teczką. Dopiero teraz zauważam, jaka jest lekka. – Prawie nic tam nie ma.

– Zgadza się. Prawie nic tam nie ma.

– Opowiedz mi tak w skrócie, co tam znajduję. Najważniejsze informacje.

– Najważniejsza informacja jest taka... że prawie nic tam nie ma. Zrobiłem jeszcze raz pełny research. Tak jak prosiłaś. Sprawdziłem, gdzie tylko mogłem. Vicky Lanier urodziła się w Fairmont w Wirginii Zachodniej. Chodziła do ogólniaka – Fairmont Senior High School. Zniknęła w 2003 roku w wieku siedemnastu lat. Od tamtej pory słuch po niej zaginął. Została uznana za zaginioną, ale tak naprawdę nie wiadomo, czy uciekła z domu, czy została porwana, czy też zamordowana. Nie ma po niej śladu w sieci. Żadnych kont w mediach społecznościowych. Nigdy nie wypełniła zeznania podatkowego. Nie była aresztowana. Brak jej odcisków palców w bazie. Nie poszła na studia. Nie otworzyła konta w żadnym banku. Jakby w wieku siedemnastu lat zapadła się pod ziemię.

– OK, czyli nic nie przykuło twojej uwagi? Nie zapaliła ci się czerwona lampka ostrzegawcza?

– Nie. Nic nie przykuło mojej uwagi. Żadnych czerwonych lampek.

– Czyli podsumowując – mówię – nadal mogę bez obaw przedstawiać się jako Vicky Lanier?

– Tak, choć nigdy nie zrozumiem, dlaczego wybrałaś tożsamość kobiety, która ma na imię tak samo jak ty.

Widać ma krótką pamięć. Zginam nogę, wysuwam stopę z buta i unoszę ją do góry, by mógł zobaczyć tatuaż nad moją prawą kostką – małe czerwone serduszko, którego górna część jest owinięta wstęgą z imieniem Vicky. Błąd młodości. Durny pomysł szesnastolatki. Trudno byłoby mi się z niego wytłumaczyć, gdybym chciała używać imienia Jane, Molly lub Gina.

– Aaa... no tak. Rzeczywiście. Uciekło mi to z głowy. Sporo czasu minęło, odkąd...

Odkąd widziałeś mnie nago. Aj, Rambo... Rambo... wolałabym do tego nie wracać. Staram się zostawić to za sobą. Właściwie to zostawiłam to za sobą. A przynajmniej na tyle, na ile da się zostawić za sobą coś takiego.

– Czyli nikt nie może stwierdzić, że nie jestem Vicky Lanier. Tak?

– Nikt nie może tego podważyć. Przynajmniej tak długo, jak długo będziesz trzymać się historyjki, że odkąd uciekłaś z domu w Fairmont w wieku

siedemnastu lat, żyjesz pod kamieniem. Płacisz za wszystko gotówką i takie tam.

Smutne... moja historia niewiele różni się od tej przedstawionej przed chwilą przez Rambo. Jednak to nie przypadek. Właśnie dlatego wybrałam tożsamość Vicky Lanier. Sam Rambo powiedział mi: „Najlepsze kłamstwa to te najbliższe prawdzie”, a ten facet zdecydowanie znał się na rzeczy. W końcu był wtedy jeszcze policjantem i musiał wiedzieć, kiedy podejrzani mówią prawdę, a kiedy mu wciskają kit. Nie mieszkałam w Wirginii Zachodniej i nikt mnie nie porwał, ale opuściłam dom rodzinny w 2003 roku, mając siedemnaście lat. Więc kiedy poprosiłam Rambo o znalezienie dla mnie nowej tożsamości, chciałam, by była to dziewczyna o imieniu Vicky, która zaginęła jako siedemnastolatka. W roku 2003. Nie byłam pewna, czy znajdzie się choć jedna osoba spełniająca wszystkie te kryteria. Okazało się, że aż trzy nastolatki pasowały do podanego opisu, co samo w sobie było dość niepokojące. Vicky Lanier z Fairmont była do mnie najbardziej podobna, dlatego to właśnie ją wybrałam.

– Po prostu bądź ostrożna. I w razie czego nie daj sobie pobrać odcisków palców – mówi Rambo – bo wtedy w bazie wyskoczy twoje prawdziwe nazwisko.

No tak. Mądrała. Niby jaki mam na to wpływ?

Rambo przekrzywia głowę i mówi:

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że zapłaciłaś mi dwa razy za to samo? Kiedy miałem ci znaleźć nową tożsamość, zanim zaproponowałem Vicky Lanier, upewniłem się, że jest czysta.

– Mała aktualizacja researchu nie zaszkodzi – odpowiadam.

– Eee tam. Wiem, co się święci – mówi półgębkiem. – Spodziewasz się, że ktoś będzie węszył. Szukał informacji o tobie. Spodziewasz się kłopotów.

Wpatruję się w niego ze zdawkowym uśmiechem.

– Zresztą nieważne – mówi. – Nie chcę wiedzieć.

Ma rację w obu kwestiach. Będą kłopoty i naprawdę nie chce wiedzieć.

8

Simon

Spotykam się z Vicky w chińskiej restauracji niedaleko uczelni. Często pracuje cały dzień, więc kiedy akurat ma wolną chwilkę, staramy się wyrwać na wspólny lunch. Szczególnie latem, kiedy mam luźny grafik.

Całuje mnie w policzek na przywitanie.

– Cześć, przystojniaczku – oblizuje palec i ściera mi szminkę z twarzy. A potem siada w łóżko naprzeciwko mnie. – Jak tam twój koleżka, Pierdziekan?

– O, nie. Nie zaczynajmy znowu tego tematu – mówię. – Co mam niby zrobić? Postawić się? Zrobić mu na przekór? Napluć w twarz najbardziej wpływowemu facetowi na uczelni?

– Sam zaczął. Pamiętaj, że to on napluł ci w twarz jako pierwszy.

Vicky (niech jej Bóg błogosławi) trzyma moją stronę. Walczy o mnie. Nie podoba się jej, że Comstock zmusza mnie do rezygnacji z ubiegania się o stanowisko profesora. Potrafi nieźle się zagotować, gdy ktoś okazuje mi brak szacunku. Strasznie mnie to w niej kręci. Sam nie wiem czemu.

– Simon, przecież nic takiego nie robisz. Aplikujesz tylko na stanowisko profesora. Masz do tego takie samo prawo jak ten patafian z bogatym tatusiem... Reid, czy jak mu tam... Kogo obchodzi, co o tym wszystkim myśli pan dziekan Ciućmok?

– Comstock – śmieję się. – Facet, który jednym telefonem może pogrzebać moją karierę? Chyba jednak trochę mnie obchodzi, co myśli.

Potrząsa głową. Jest zła i rozczarowana. Kocham tę kobietę i zawsze będę. Nie kłamałem, kiedy pisałem to w swoim dzienniku. Problem polega na tym, że ona nie odwzajemnia mojego uczucia. Lubi mnie i zależy jej na mnie, ale nic więcej. Nie działałam na nią w ten sposób. Dla mnie to jak spuścić powietrze z balonu. Cała frajda gdzieś ulatuje. Być może Freud miałby tutaj coś do powiedzenia o id i superego, ale nie jestem jednym z tych facetów, którzy lubią wyzwania. Nie pociąga mnie ktoś, kogo ja nie pociągam.

Poznałem Vicky raptem sześć tygodni po tym, jak jej siostra popełniła samobójstwo. Było w niej tyle złości. Smutku, rzecz jasna, też, ale przede wszystkim złości. A ja byłem w stanie jej pomóc. Być może jedynie to ją do mnie przyciągało. I na odwrót. Być może właśnie to przyciągało mnie do niej. Niestety, serce nie pisze uzasadnień dla swoich decyzji.

– Wszyscy wiedzą, że zamierzasz złożyć wniosek, prawda? – dopytuje. – Musisz jeszcze dosłać jakieś papiery, ale masz na to czas do któregoś tam września, tak?

– Tak, tak i tak – mówię. – Ale nie będę aplikował.

Łapie mnie za rękę. Mogę sobie wmawiać, co tylko zechcę, ale to na mnie działa.

– Simon, zasługujesz na ten awans. Jesteś jednym z najwybitniejszych umysłów na tej uczelni. I kochasz swoją pracę. Jesteś do niej stworzony. Nie mogę patrzeć, jak jakiś skończony bufon wkłada ci palucha w oko. I co? Masz nie reagować? Powiedzieć: „Ojej, dziękuję, panie dziekanie. Cóż za zaszczyt. Może pan zrobić z drugim to samo?”.

– Wiem, wiem. Ja też nie jestem zachwycony.

– To może łaskawie coś byś z tym zrobił? Niech chociaż obieca, że następnym razem cię poprze.

– To tak... To tak nie działa.

– Niby dlaczego? – opada na poduszki, którymi wyłożone jest oparcie łóży. – Właśnie, że tak to działa. Sam mówiłeś, że ten facet to przede wszystkim polityk. W takim razie dogadaj się z nim. Zawrzyjcie układ. Tym razem odpuścisz, ale następnym on cię poprze.

Przewracam stronę menu. Nie dlatego, że nie wiem, co chcę zamówić. Skupiam wzrok na menu, bo wiem, że Vicky ma rację. Powinienem coś zrobić. Jednak, znając mnie, zapewne nic z tym nie zrobię. Dlatego nie mogę spojrzeć jej w oczy.

– Wiesz, że masz jeszcze inne opcje, prawda? – mówi z delikatną nutką szelmostwa w głosie.

Zerkam na nią znad menu.

– O nie, Vicky.

– Nawet nie wiesz, co chciałam...

– Domyślam się, co chciałaś powiedzieć i moja odpowiedź brzmi: „nie”.

Kelner przynosi nam napoje – dla mnie wodę, a dla Vicky *pinot grigio*. Udaje, że nie podsłuchiwał naszej rozmowy.

Vicky podnosi kieliszek i sący swoje wino.

– Potwierdź, że mnie zrozumiałaś. Powiedz, że słyszałaś moje „nie”.

Robi wielkie oczy.

– Dobrze, już dobrze. Słyszałam cię, słyszałam... – odpowiada.

Piątek, 29 lipca 2022 r.

Może to i lepiej, że po tamtym spotkaniu przy kawie pojechałaś z przyjaciółkami do Paryża. Miałem czas, żeby to wszystko przemyśleć.

I oto do jakich wniosków doszedłem, Lauren: ja nie robię takich rzeczy. Nie postępuję w ten sposób. Jestem zwykłym facetem ze zwyczajnym małżeństwem. Mam zwykłą pracę. Mieszkam w zwyczajnej okolicy. Moje zainteresowania również są jak najbardziej zwyczajne. Nie jestem tym typem faceta, który wdaje się w romanse. Takim, który ma kochanki!

I jeszcze nie jest za późno, żeby powiedzieć: „stop!”. Jeszcze do niczego nie doszło. Zresztą kto wie, może to ty naciśniesz hamulec... może to ty stchórzysz?

Nie wiem jak ty, ale ja z pewnością mam powód, by w to nie brnąć. Vicky. Vicky Lanier Dobias jest moją żoną od prawie dziesięciu lat. Vicky nie jest szczęśliwa w naszym małżeństwie. Do tego życzy mi z pewnością szczęścia. Wiem, że tak. Ale mi ufa i to zaufanie jest dla niej wszystkim. Jestem chyba pierwszym facetem, którego nim obdarzyła od czasu jej dzieciństwa, które było kompletnie do bani. Pomogłem Vicky zbudować fundamenty nowego życia. Jeśli teraz je zburzę, nie wiem, co się z nią stanie. Nie mogę jej zawieść.

Nie, nie mogę tego zrobić. Muszę to przerwać, zdusić w zarodku.

Powiem ci to prosto w twarz, kiedy wrócisz z wyjazdu. I to by było na tyle, Lauren.

Dzień po Halloween

10 Jane

– Święta Maryjo, Matko Boska – szepcze do siebie sierżant Jane Burke, wpatrując się w ciało Lauren Betancourt, które zwisa na sznurze przymocowanym do balustrady prowadzącej na piętro. Pierwsze zabójstwo w jej karierze i (z tego, co wie) w historii Grace Village.

Jej partner, sierżant Andy Tate, schodzi ostrożnie po schodach, omijając poręcz oraz ślady butów i porysowań na poszczególnych schodkach.

– Szef już dzwonił?

– Zaraz zadzwoni. Dosłownie za chwilę.

W ciągu ostatniej godziny rozmawiała z szefem przez telefon już trzy razy. Odkąd tylko sprzątaczką Betancourtów odkryła ciało i zadzwoniła na policję. Jane dopiero szykowała się do pracy, kiedy otrzymała telefon.

– Pan Betancourt jest już w drodze – mówi Andy. – Jeden z naszych odbierze go z lotniska.

– Przypomnij mi, proszę, gdzie on właściwie był? – pyta Jane.

– W Neapolu. Zrobił sobie wycieczkę z synami. Grali w golfa. – Andy okrąża trupa, jakby to był wielki drogocenny żyrandol. – Nie najgorsze alibi.

Może i tak, ale jeśli mąż jest w to zamieszany i ma kupę kasy, zleciłby brudną robotę komuś innemu.

– Niezła laska – mamrocze Andy, przyglądając się zwłokom. Wprawdzie *rigor mortis* zrobiło swoje, ale Jane musiała przyznać mu rację. Lauren Betancourt była prawdziwą pięknoscią. Miała doskonałą figurę, o którą wyraźnie dbała, twarz o delikatnych rysach i jedwabście gładkie, lśniące blond włosy. Jednak jej strój, który po śmierci wydawał się jeszcze bardziej krzykliwy, pozostawił niewiele miejsca dla wyobraźni – opięte body z lamparcim nadrukiem. Kostium kocicy na Halloween. Oczy Lauren, szeroko otwarte, zdawały się patrzeć na Jane. Rozchylone wargi wyglądały tak, jakby przed śmiercią o czymś rozmyślała. Czarna szminka na ustach pasowała do kocich

wąsików namalowanych na jej twarzy. Drogi manicure. Czarny lakier na paznokciach.

Od strony pleców nie było widać nic szczególnego poza ciemną plamą między nogami. Utrata kontroli nad zwieraczami to tylko jeden z wielu paskudnych atrybutów śmierci.

Jane ma w uszach słuchawki, więc słyszy bzyczenie telefonu. Szturcha Andy'ego ze słowami:

– Szef dzwoni.

– OK, Janey, jestem już w aucie. Powinienem być na miejscu za mniej więcej trzy godziny. Pierwsza sprawa: czy pismaki już się zleciały?

– *Jeśli tak, to nic mi o tym nie wiadomo* – Jane wygląda przez okno. Może i na razie nie widać żadnych reporterów, ale sąsiadów owszem. Godna reprezentacja rozlała się po trawnikach, stoją na ulicy i na chodniku. Niektórzy są ubrani do pracy, inni nadal mają na sobie szlafroki i kapcie. Widać też dzieci z plecakami, które w drodze do szkoły zatrzymały się na chwilę z ciekawości. W końcu jest wtorek i za dziesięć minut pierwszy dzwonek. Z pewnością sześć radiowozów to wystarczający powód, by przykuć uwagę mieszkańców Grace Village, jednak Jane podejrzewała, że słyszeli już najświeższe ploteczki.

– Chryste – mówi komendant. – Pierwsze zabójstwo w Grace Village... akurat kiedy jestem w Indianie. Zastrane seminarium.

Jane podchodzi do kuchennych drzwi, ponieważ według jej najlepszej wiedzy nie tędy wszedł napastnik i nie tu rozegrała się walka o życie Lauren. Zależy jej na tym, by zminimalizować ryzyko kontaminacji dowodów przed przybyciem techników kryminalistyki, których przyśle tu Grupa Zadaniowa.

Zdejmuje ochraniacze na obuwiu i wychodzi na zewnątrz, zaciągając się świeżym powietrzem. Andy idzie za nią w stronę drzwi frontowych, gdzie rozegrała się akcja tego dramatu.

Dzień po Halloween Grace Village było pokryte resztkami rozwalonych dyń i papierkami po cukierkach, którymi były upstrzone nie tylko trawniki, ale i kraty kanalizacyjne. Plastikowe siatki fruwały na wietrze lub zdołały gałęzie nagich drzew.

To, co się tu dzieje w Halloween, to prawdziwe szaleństwo. Village jest istną mekką dla dzieci z zachodniej części Chicago, drugiej strony rzeki Des Plaines, a nawet z Grace Park. Czasami przyjeżdżają autobusami, by zobaczyć wymyślnie udekorowane rezydencje i zebrać tyle cukierków, ile tylko zdołają unieść. Starsze nastolatki zjawiają się pod koniec czterogodzinnej zabawy w „cukierek albo psikus” (takie ramy czasowe wyznaczono na zabawę), licząc na to, że będą mogły opróżnić do końca miski z cukierkami. Z reguły są wręcz do

tego nakłanianie przez co bardziej neurotycznych sztywniaków, którzy tu mieszkają.

Setki ludzi wałęsały się wczoraj po ulicach tego miasta. Wiele osób w kostiumach, maskach i z pomalowanymi twarzami w tę jedyną w roku noc, kiedy na nikim nie robiło to najmniejszego wrażenia. Morderca mógł przebrać się nie do poznania, nie wyróżniając się przy tym z tłumu. Wszystko to znacznie utrudni śledztwo.

Podsumowując: jeśli chce się kogoś sprzątnąć, Halloween to nie najgorszy wybór.

– Szefie, powiem, jakimi informacjami dysponujemy na chwilę obecną.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze: okno od frontu.

Wzdłuż budynku rozciągają się równiutko przycięte krzewy. Za nimi znajdują się duże okna. Jane idzie po trawie i zagląda przez krzewy.

Pod jednym z okien widoczne są ślady butów – wyraźne, głębokie i doskonale nadające się do zabezpieczenia. Wyglądają, jakby już zostały utrwalone w ziemi.

– Mamy głębokie ślady butów – mówi Jane. – Wyglądają na obuwie dorosłego. Tak na oko rozmiar 46 lub 47. Poprosimy techników o zabezpieczenie śladów. Zobaczmy, czy wyskoczy nam coś w bazie.

– Super.

– Wczoraj po południu trochę padało. Tuż przed „cukierek albo psikus”. Dla nas to jak dar niebios. Ziemia zrobiła się na tyle miękka, że sprawca mógł zostawić takie piękne ślady. Dodatkowo wygląda na to, że stał tam jakiś czas.

– Obserwował ją przez okno?

– Dokładnie. Nic innego nie mógł robić, będąc tak ustawionym.

– Mamy ramy czasowe?

– Na tym polega problem, szefie. Wczoraj było Halloween. Wie pan, jak to tutaj wygląda.

– Taaa... dzieciaki mogą się bawić od piętnastej do dziewiętnastej, a potem wypad. Światła gasną.

Zgodnie z tradycją mieszkańcy Grace Village dają w ten sposób do zrozumienia, że zabawa w „cukierek albo psikus” dobiegła końca. Również o dziewiętnastej wszyscy rodzice krzyczą: „Wesołego Halloween!” – prawdopodobnie mrużąc pod nosem: „a teraz won z mojej ziemi” – po czym gaszą wszystkie światła na zewnątrz swoich rezydencji.

– Nasz Pan Zboku-Po-Zmroku nie mógł się tu zakraść przed dziewiętnastą – mówi Jane – wszyscy by go zauważyli, a ruch był spory.

– Ale kiedy tylko wybiła dziewiętnasta...

– Kiedy tylko wybiła dziewiętnasta, w Grace Village zrobiło się tak ciemno, jak w żadną inną noc w roku. Sprawca mógł stać przed jej oknem ile dusza zapragnie. Niezauważony.

– No dobra, co dalej?

– Nasz Zboku-Po-Zmroku kieruje się w stronę drzwi wejściowych – mówi Jane. – Nie ma śladów jego butów ani na chodniku, ani na podjeździe. Przeszedł od okna prosto do drzwi.

Nad drzwiami wejściowymi znajduje się ceglane zadaszanie w kształcie litery „A” wykończone kamieniem. Wycieraczka przed drzwiami posiada nadruk z napisem: „Betancourt”. Światła zewnętrzne są wyłączone. Rama drzwi wejściowych pozostała nietknięta. Podłoga na ganku jest wyłożona kamieniem. Do tego całkiem brudna po wczorajszej zabawie w „cukierek albo psikus”. Dzieciaki nawnosiły na nią ziemi.

– Na ganku też są ślady jego butów – kontynuuje Jane. – O wiele wyraźniejsze od tych pozostawionych przez dzieciaki. Pewnie dlatego, że są najświeższe. Do tego są też na drzwiach, szefie.

– OK. Na drzwiach. Czyli w nie kopał.

– Właśnie tak. Są pod kątem, więc przypuszczamy, że odsunął się trochę, żeby móc mocniej w nie kopnąć.

– Czy właśnie tak dostał się do środka? Wyważył drzwi?

– Nie. Nic nie wskazuje na to, że wszedł do domu siłą. Drzwi nie zostały w żaden sposób uszkodzone.

– Więc musiała wpuścić go do środka.

– Więc musiała wpuścić go do środka.

– Wpuściła kogoś, kto kopał w jej drzwi?

– Też mnie to zdziwiło. Więc stąd przypuszczenie, że ofiara знаła sprawcę.

– Że co? Dobra, dobra... słyszę cię, parszywy gnojku!

To brzmiało tak, jakby ktoś zaczął trąbić na komendanta. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jego „styl” jazdy. Niektórzy gliniarze myślą, że mogą jeździć jak gliniarze, nawet wtedy, kiedy nie są na służbie.

– Przepraszam, Janey. Wracając do tematu: tak, to raczej oczywiste, że się znali i wpuściła go do środka.

– Być może zaczął robić sceny – ciągnie Jane – i nie chciała, żeby sąsiedzi słyszeli.

– Jest to jakaś hipoteza. Dość konkretna. Ale to tylko jedna z możliwości. Nie zamykaj się zbyt szybko na inne, Janey. Nie chcę, żebyś zafiksowała się na jednej wersji.

– Na niczym nie jestem zafiksowana. Ale nie mam prawie żadnych wątpliwości, że facet stał pod jej oknem, a potem podszedł do drzwi

wejściowych i zaczął je kopać. A ona wpuściła go do środka.

– No dobra, i co dalej?

Jane i Andy z powrotem nakładają ochraniacze na buty. Bez nich nie wejdą do środka. Jane otwiera ostrożnie drzwi, wpuszcza przez nie Andy'ego, po czym szybko je za sobą zamyka. Ostatnie, czego by chciała, to żeby sąsiedzi zobaczyli trupa zwisającego z balustrady schodów.

– W holu – mówi Jane – mamy rozbitą misę, w której były cukierki na Halloween. Być może napastnik wytrącił ją z ręki Lauren. Kopniakiem? A może to ona w niego rzuciła. Trudno powiedzieć.

– OK...

– Potem Lauren ucieka po schodach.

– Po schodach? A nie do kuchni po nóż?

– Nie. Nic nie wskazuje na to, że była z napastnikiem w kuchni. Za to wyraźnie widać, że gonił ją po schodach – Jane śledzi wzrokiem ślady butów od marmurowej podłogi w holu po drewniane schody. – Lauren biegła w szpilkach, co z pewnością nie było łatwe. Choć z drugiej strony, łatwiej było jej na schodach niż na marmurowej podłodze.

– Serio? A to niby czemu?

– Jak się biegnie po schodach, to ciężar ciała naturalnie spoczywa na śródstopiu, a na podłodze już nie.

Jane podąża za śladami butów i kilkoma głębszymi rysami świadczącymi o tym, że Lauren próbowała się bronić za pomocą obcasów. Dociera na półpiętro. Tutaj się zatrzymuje.

– Prawdopodobnie udało mu się ją obezwładnić dopiero na półpiętrze. Jest tu krew. Nie było jeszcze techników, więc wszystko, co panu mówię, to na razie tylko nasze przypuszczenia, ale najpewniej to właśnie tu uderzył ją w tył głowy.

Jane patrzy w dół na zwisające ciało Lauren. Szczególnie na jej głowę, na której widać ranę oraz krew.

– Czym ją uderzył?

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale ranił ją do krwi. Podejrzewamy, że w ten sposób ogłuszył ofiarę, przynajmniej na chwilę. Tyle wystarczyło, by zarzucić jej pętlę na szyję.

– W jaki sposób przywiązał sznur do balustrady?

– Zrobił to całkiem sprytnie – mówi Jane, kucając. – To gruby, pleciony sznur z węzłami zawiązanymi mniej więcej co stopę, a balustrada jest z kutego żelaza... zresztą widział pan zdjęcia.

– Widziałem, ale to nie balustrada przykuła moją uwagę.

– Jasne, ma się rozumieć. Są na niej takie fikuśne, kręcone ornamenty. Wie pan, o co chodzi? Wyglądają trochę jak takie gotyckie wzory lub elementy

jakiegoś herbu rodzinnego.

– Albo jak test Rorschacha.

– Tja, albo jak test Rorschacha. Mnóstwo misternie wykonanych spirali, zawijasów i innych kształtów.

– No i...

– Drugi koniec sznura wcisnął między zwoje spirali, a później owinął go jeszcze raz czy dwa wokół ornamentu. To wystarczyło. Sznur trzymał się mocno.

– I co potem?

Jane wzrusza ramionami i odpowiada:

– Potem przerzucił ofiarę przez balustradę.

– Ech...

Taa... ech. Ale prawdopodobnie tak właśnie było.

– Dlaczego po prostu jej nie udusił?

– Najwidoczniej nie mógł – mówi Jane. – A przynajmniej byłoby to dość trudne. Wiła się. Szamotała. Walczyła o życie. On był za nią i zaciskał jej pętlę na szyi, ale ofiara nie ułatwiała mu zadania. Nie poddawała się. Ma połamane paznokcie. Próbowwała się wyswobodzić. Ściągnąć sobie pętlę z szyi. I gdyby mogła kopnąć go tymi szpilkami... cóż, to byłoby prawie jak pchnięcie nożem. Są naprawdę ostre. Możliwe, że łatwiej było mu jedną ręką pilnować, by pętla na szyi pozostała odpowiednio napięta, a drugą wetknąć sznur w zwoje spirali. Wtedy wystarczyło przerzucić ofiarę przez balustradę.

– Jezu. Dobra. Już kapuję. Grupa Zadaniowa może sobie wysyłać techników, ale na tym koniec. Reszta zostaje u nas, rozumiano?

– Tak.

Przez dłuższą chwilę komendant nie odpowiada. Zbiera myśli.

Jane słyszy odgłos zamykania ciężkich samochodowych drzwi. Zapewne to lekarz medycyny sądowej lub technicy.

– Myślisz, że to pokłósie kłótni kochanków?

– Raczej nie chodziło o kradzież – mówi Jane. – Nie była to też napaść na tle seksualnym ani nawet jej próba. Wygląda na to, że sprawca przyszedł tu w jednym konkretnym celu: by zabić Lauren Betancourt.

– To coś osobistego – mówi komendant. – Ktoś naprawdę pragnął ją wykończyć. Pragnął jej śmierci.

– Albo ktoś naprawdę pragnął JEJ. Kropka – mówi Jane. – Ale nie mógł jej mieć.

Przed Halloween

Sierpień

11

Czwartek, 11 sierpnia 2022 r.

Próbowałem. Naprawdę próbowałem, przysięgam! Kiedy przyszedłem dziś do ciebie, byłem gotów postąpić, jak należy. Słowo! To było nasze pierwsze spotkanie, odkąd wróciłaś z Paryża. Kiedy otworzyłaś mi drzwi, od razu zwróciłem uwagę na to, jak pięknie wyglądasz. Taka elegancka i opalona. Mimo to powiedziałem do siebie: No dawaj, Simon. Zrób to. Powiedz Lauren to, co masz do powiedzenia. Po prostu wyrzucić to z siebie. I tak też zrobiłem. Powiedziałem ci, że nie mogę zdradzić Vicky. Zawieść jej zaufania w taki sposób. Powiedziałem, że musimy to zdusić w zarodku. Zakończyć, zanim na dobre się zacznie.

A ty, w swojej wspaniałomyślności okazałaś zrozumienie.

- To, co powiedziałaś, bardzo dobrze o tobie świadczy. Właśnie po czymś takim można poznać, że jesteś świetnym facetem - stwierdziłaś.

Aż skręciło mnie w żołądku. Miałem wrażenie, że klatka piersiowa zaraz mi eksploduje. Jednak staliśmy tak przez chwilę w milczeniu. Wmawiałem sobie, że tak będzie lepiej i po pewnym czasie sam sobie podziękuję, nawet jeśli teraz trudno w to uwierzyć i czuję się do dupy.

Wtedy cię uścisnąłem, a ty nie pozostałaś mi dłużna. Staliśmy tak przez chwilę, złączeni w uścisku. O chwilę za długo. To było dla mnie zbyt wiele. Zaraz potem nasze ręce zaczęły błądzić po nie swoich ciałach. Twoje najpierw, ale moje nie pozostały w tyle. Poczułem, że cały płonę. Nasze wargi się złączyły i usłyszałem twój jęk, Lauren. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak to na

mnie podziałało - świadomość, że odpowiadasz na moje pieszczoty w taki sposób. Przyjmujesz je z rozkoszą. Świadomość, że tak na ciebie działałam. Czy wiesz, jak wiele czasu minęło, odkąd kobieta reagowała tak na mój dotyk? Reagowała tak na mnie?

Tyle tygodni rozmyślań i powtarzania sobie, że nie może do tego dojść... wszystko jak krew w piach. Dziesięć minut. Tyle wystarczyło, by złamać własne postanowienie. Dziesięć minut i do tego doszło. Nie mogliśmy utrzymać rąk przy sobie ani oderwać ich od siebie nawzajem. Leżymy nadzy na twojej sofie i robimy to jak zwierzęta: drapieżne, spragnione i zachłanne. Ulegliśmy pożądaniu. Byliśmy cali spoceni.

I nic na tym świecie nie było dla mnie tak satysfakcjonujące jak twój orgazm, Lauren. Moment, gdy na chwilę zabrakło ci tchu, a potem zaczęłaś dyszeć mi do ucha. Poczułem drgawki na twoim ciele. Prawdziwe spazmy twoich bioder. Czułem się jak w siódmym niebie! Czy tak właśnie czują się zakochani? Czy mając przy sobie ukochaną osobę, czują się tak, jakby byli niezwykłymi? Jakby złożono im świat u stóp? To było tak dawno... zdążyłem zapomnieć, jakie to uczucie.

A teraz? Czuję się tak, jakbym zdjął ręce z kierownicy, zamknął oczy i wcisnął gaz do dechy.

12 Simon

Zaczynam dzień od mojego „Pięc o piątej” – pięciomilowego biegu o piątej nad ranem. Moja mama kiedyś robiła dokładnie to samo. Cztery razy w tygodniu, punkt piąta wkładała buty i zaczynała „zdzierać asfalt”, jak to zgrabnie ujmowała. Miała na swoim koncie osiemnaście maratonów. Wielokrotnie udawało jej się zakwalifikować do Maratonu Bostońskiego. „To twój czas. Dla ciebie i nikogo innego” – mawiała. – „Żadnych telefonów, kłótni, niepotrzebnych dyskusji i stresu. Tylko ty. To jak najlepsza terapia. Za darmo. A warta każdych pieniędzy”.

Kieruję się na wschód i przebiegam przez Austin w zachodniej części Chicago. Większość zapewne nie nazwałaby najbardziej niebezpiecznej okolicy w tym mieście malowniczą, ale mnie ujmuje coś w braku pokory i żarliwej determinacji jej mieszkańców.

Wszyscy na myśl o tej części Chicago od razu wyobrażają sobie strzelaniny i krwawe jatki. Ja zaś każdego ranka o świcie widzę nastolatkę grającą na skrzypcach przy oknie swojej sypialni na pierwszym piętrze budynku w pobliżu bulwaru Augusta i alei Waller; starszego pana z przekrwionymi oczami, który przed pracą siedzi w beżowym uniformie na schodkach budynku z termosem w rękę i nazywa mnie „skończonym idiotą”, kiedy mijam Long Avenue; staruszkę wraz z kilkoma dziećmiakami studiujących na ganku Biblię, gdy tylko pogoda dopisuje (w pozostałe dni zajmują miejsce przy oknie w salonie); kelnerkę z mieszkania przy Leclair, wracającą do domu z nocnej zmiany w zielonym fartuszkę i z plecakiem wypchanym książkami.

Bieganie po tej okolicy przypomina mi, że ci ludzie mają większe zmartwienia niż jakiś durny awans na profesora. Niektórzy walczą o byt i godne życie.

Wszyscy myślą, że skoro tutaj biegam, muszę być niespełna rozumu. Może Vicky ma rację i chcę po prostu postawić na swoim. Jestem zbyt uparty, by tu nie biegać. Jakbym próbował coś wszystkim udowodnić. Nie pamiętam już, ileż to razy policjanci w radiowozie hamowali na mój widok, by zapytać, co ja sobie myślałem, wybierając tę trasę. Może i jestem „skończonym idiotą”, ale hej – słyszałem już gorsze opinie na swój temat.

Jak na przykład przezwisko „Mini Mój”. Tak wołał na mnie Mitchell Kitchens – ogromny typ, który był wtedy w ostatniej klasie mojego ogólniaka. Reprezentował naszą szkołę w międzystanowych zawodach zapaśniczych. Ja dopiero zaczynałem wtedy swoją „przygodę” z Grace Consolidated. Miałem może trochę ponad pięć stóp⁷ wzrostu i ważyłem jakieś sto funtów⁸. Zaś Mitchell budową przypominał wielkiego, zwalistego kłoca. Miał szyję jak pień drzewa, tak grubą, że nie wiadomo było, w którym miejscu zaczyna się jego głowa. Do tego te wstrętne zęby, wiecznie nieświeży oddech i krzywy nochal – widać było, że złamany nie raz i nie dwa. Z tymi malutkimi, szeroko rozstawionymi ślepiami wyglądał jak człowiek pierwotny.

Latem wszedł na ekrany sequel *Austina Powersa*. Najwidoczniej Mitchell widział ten film, kiedy mieliśmy wolne z okazji Święta Dziękczynienia. Pamiętam, że kiedy tylko wróciliśmy do szkoły, Kitchens zaczął pokazywać na mnie palcem i krzyknąć: „Hej! To Mini Mój!”. No i przezwisko się przyjęło. Oczywiście, że tak. Tylko znienawidzone przezwiska się przyjmują.

Codziennie, kiedy wysiadałem ze szkolnego autobusu, od razu widziałem Mitchella. Stał przy ogrodzeniu i wołał do mnie: „No chodź, Mini Mój!”. To samo krzyczał na korytarzach, a nawet kiedy wchodziłem do klasy na matnę (tak, mieliśmy razem matematykę – ja świeżak, on w ostatniej klasie – więc możesz sobie wyobrazić, jak „wybitnym” był uczniem). Z początku starałem się go ignorować. Nic nie odpowiadać. Ale to tylko pogarszało sprawę. Wołał tak w kółko, dopóki nie zareagowałem, więc po jakimś czasie zacząłem to robić już po pierwszej zaczepce.

Tak, nie lubiłem Mitchella. Nie mam na jego punkcie żadnej obsesji. Nic z tych rzeczy. Jednak nigdy go nie zapomnę. Nie mógłbym. Nie pozwoliłaby mi na to blizna na lewym policzku. Pamiątka po dniu, w którym za bardzo go poniosło.

„Dobry prawnik ma w głowie przygotowaną odpowiedź na każde pytanie” – mawiała moja mama. – „Dobry prawnik wie, co powie w mowie końcowej, jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Właśnie tak. Zaczynasz od końca. Od tego, co chcesz osiągnąć, a potem planujesz sobie cały proces tak, żeby mieć w dowodach poparcie dla każdej tezy”.

Kwadrans po szóstej jestem już po prysznicu i zabieram się do golenia. Przecieram zaparowane lustro, by móc choć trochę przejrzeć się w nim.

Vicky wchodzi do łazienki z jękiem. Ma mocno zmrużone oczy i poczochrane włosy, które sterczą we wszystkie strony. Opiera się o moje plecy i mówi:

- Jak ty możesz wstawać tak wcześnie?
- To moja ulubiona część dnia – odpowiadam.
- To łóżko jest takie... wygodne.
- Cieszę się, że ci podpasowało.

Siada na desce klozetowej i zaczyna sikać, podczas gdy ja kończę się golić. Wkładam maszynkę pod bieżącą wodę i stukam nią lekko o umywalkę.

- Ciężka noc? – pytam.

Głowa opada jej prawie między nogi.

- Zadzwonili do nas pięć minut przed północą.
- Uuu... pięć minut przed końcem twojej zmiany? Nie mogłaś przerzucić tego na kogoś innego?

– Mogłam, ale tego nie zrobiłam. Jej mąż też był na SOR-ze. Próbował ją przekonać, żeby wróciła do domu i wycofała zarzuty. Zrobił jej niezłą scenę. Potrzeba było aż trzech gliniarzy, żeby go unieruchomić. Nawet na mnie się zamachnął.

- Serio? Ale nie trafił, prawda?

– Nie.

Lepiej dla niego.

- A ta kobieta? – dopytuję. – Pojechała z tobą?

– Tja, ostatecznie tak. Dopiero około drugiej mogłam stamtąd wyjść i wrócić do domu.

- Wracaj do łóżka. Pośpij sobie jeszcze trochę.

– Nie martw się, właśnie mam taki zamiar.

Vicky wraca do łóżka, powłócząc nogami. Baatański marsz śmierci. Następnie dosłownie pada na twarz. Leży na brzuchu, z głową na poduszce i mruczy z zadowoleniem.

Ubieram się i nastawiam kawę. Biorę trochę na wynos – mam przed sobą spory kawałek do przejechania. Wracam do sypialni, żeby się pożegnać.

- Hej, ślicznotko, tatuś wychodzi.

Vicky otwiera jedno oko i mówi:

- Zbok.

Przyglądam się jej przez chwilę. Jest taka seksowna, nawet leżąc w przydużej koszulce Cubsów⁹. Podczas snu ta twardzielka wygląda tak niewinnie i bezbrinnie.

Muszę ją chronić. Muszę dopilnować, by wyszła z tego bez szwanku.

Przed wizytą w Wisconsin zatrzymuję się na krótko w pobliżu domu Lauren. Jej męża już nie ma. Szofer zawiózł go na trening do eleganckiego East Bank Club w centrum. Przed panowaniem w swojej firmie i spuszczeniem nad wielomilionowymi inwestycjami, warto się nieco napompować. Czy obczaja tam

wytrenowane ciała kobiet ubranych w ciuchy ze spandexu? Czy szuka już żony numer cztery? Czy podobnie było z Lauren? Znudził się swoją drugą żoną i wymienił ją na młodszy model?

Cóż, staruszkule, lepiej zacznij szukać kolejnej. Trzy lata z Lauren to i tak niezły wynik. Czwartej rocznicy nie będzie.

Patrzę na drugą stronę ulicy, na jej rezydencję. Główna sypialnia zajmuje całą północną część domu. To właśnie z niej można dostać się na balkon, na którym Lauren lubi się opalać. Myślisz, że masz tam odrobinę prywatności? Naprawdę, Lauren? Założę się, że okoliczni mężczyźni zaopatrzyli się już w lornetki.

A może dobrze wiesz, że cię obserwują, co, Lauren? Lubisz się z nimi droczyć? Rozbudzać i podsycać w nich pożądanie? Wciąż potrzebujesz tego typu potwierdzenia? Czy zdałaś sobie wreszcie sprawę z tego, że to wszystko nie ma znaczenia?

A może zawsze będziesz pragnąć więcej?

– Ta różowa – mówię. – Nie, ta jaskraworóżowa.

Pulchny sprzedawca z bliznami potrądzikowymi na twarzy – w supermarkecie w Racine w Wisconsin, jakieś osiem mil na północ od Chicago – skanuje opakowanie z obudową na telefon.

– Tysiąc minut? – wolę się upewnić.

– Taa... tysiąc minut. A z naszym planem może pan otrzymać miesięczną...

– Nie, żadnych planów.

– Nie chce pan żadnego planu?

– Nie. Tylko telefon, tysiąc minut i tę jaskrawo różową obudowę. Proszę się nie martwić – dodaję z chichotem. – Nie jestem przestępcą. To dla mojej córki. Na próbę. Chcę sprawdzić, jak szybko wykorzysta te minuty, zanim zdecyduje, czy dziesięciolatce naprawdę tak bardzo potrzebny jest telefon.

Żałuję, że nie mam dzieci. Vicky z kolei ich nie chce. Obawia się, że trucizna z jej zepsutego dzieciństwa w jakiś sposób wsiąknie w kolejne pokolenie.

Sprzedawca mierzy mnie szybko wzrokiem, kiwa głową i przyjmuje plik banknotów, po czym rzuca mi jeszcze jedno spojrzenie. Nic dziwnego – jednorazówka na kartę, żadnego planu i płatność gotówką.

– Tę zieloną – mówię podstarzałej sprzedawczyni w supermarkecie w Valparaiso w Indianie, czyli jakieś 130 mil na południowy zachód od Racine i około 60 mil od Chicago.

Znowu zielony. Jak mój dziennik. Na nowy początek – nowy, świeży, kwitnący i takie tam. Pierdzielenie.

- I mówi pan, że chce tysiąc minut? – dopytuje.
- Tak – wyciągam gotówkę i upuszczam ją na ladę.
- A... może byłby pan zainteresowany którymś z naszych miesięcznych planów...
- Nie, dziękuję. Poproszę tylko telefon, minuty i tę zieloną obudowę.
Kobieta przygląda się gotówce.
- Jestem dilerem – mówię. – Sprzedaję dzieciakom heroinę.
Teraz skierowała wzrok na mnie.
- Taki żarcik. To dla mojego dziesięcioletniego syna. Tak na próbę. Nie chcę decydować się na żaden plan, dopóki nie przekonam się, ile czasu zajmie mu wykorzystanie tych minut.
- O! Ja mam dziesięcioletnią wnuczkę – mówi, promieniejąc. – Czy pana syn będzie teraz w piątej klasie?
- Nie inaczej!
- A gdzie chodzi do szkoły?
- O rany.*
- Nie posłaliśmy go do szkoły. Uczy się w domu – mówię i wyciągam z kieszeni swój telefon. Udaję, że go odbieram, zanim ta wścibska kobieta zacznie jeszcze bardziej drążyć temat.
- Ta cała mistyfikacja jest dużo trudniejsza, niż mogłoby się wydawać.

13 Vicky

Wstaję kilka godzin po wyjściu Simona i przeszukuję jego komodę. Jest na tyle zorganizowany, że trzyma „na wszelki wypadek” listę wszystkich swoich haseł. Jednak nie na komputerze. Ma paranoję na punkcie inwigilacji elektronicznej. W końcu to jego chleb powszedni. Jest przekonany, że rząd ma dostęp do informacji o obywatelach w znacznie szerszym zakresie niż powinien (przynajmniej zgodnie z prawem) i za nic ma czwartą poprawkę. Simon woli trzymać się „starych dobrych rozwiązań” – uważa, że papier i długopis to najlepsza opcja. Zapisuje więc swoje hasła na kartce z zeszytu, którą trzyma w szufladzie na skarpetki. A może na majtki? Nie pamiętam.

Na komodzie stoją oprawione w ramkę zdjęcia Glory. Niektóre zrobione przed, jednak większość – po ślubie z Tedem Dobiasem. Simon jest zdecydowanie podobny do matki. Odziedziczył po niej kasztanowe włosy, ciepłe spojrzenie i promienny uśmiech, którym zbyt rzadko obdarza ludzi.

Zdjęcia na komodzie naprawdę są z wczesnego okresu: Glory z rodzicami, na stadionie baseballowym Wrigley Field – kiedy była jeszcze małym brzdącem, z twarzą umorusaną musztardą. Jest też fotografia ze szkolnego albumu, zrobiona w tej charakterystycznej, niezręcznej szkolnej pozie. Znalazło się tu też zdjęcie z molo Navy Pier. Glory w todzie i birecie trzyma na nim dyplom ukończenia studiów – prawa na Uniwersytecie Chicagowskim.

Na późniejszych zdjęciach, tych po ślubie, w ogóle nie ma taty Simona, Teda Dobiasa. Tylko Glory z synem. Wśród nich jest jedno z porodówki, na którym leży na szpitalnym łóżku i trzyma na rękach opuchniętego noworodka. Widać, że jest wyczerpana, ale z twarzy bije radość świeżo upieczonej matki. Jest też zdjęcie, na którym Glory z synem śmieją się do siebie i prawie stykają nosami. Simon miał wtedy pięć lub sześć lat. Na jednej fotce widać ich dwoje stojących przed filharmonią. Na drugiej – jedzących w Gino’s East pizzę, z której ser ciągnie się jak guma. Została też uwieczniona chwila, gdy mały Simon jest w objęciach Glory, która właśnie ukończyła Chicago Marathon. Matka ma na sobie przeciwdeszczowe poncho biegacza. Jej włosy, całe w nieładzie, są mokre od potu. Na tym zdjęciu Simon trzyma medal matki i przygląda mu się badawczym wzrokiem. Takie spojrzenie zachował do dziś.

To właśnie Glory, którą znam z opowieści syna – pełna werwy, lubiąca się wygłupiać i pożartować. Zawsze miała w pogotowiu jakiś głupi żart. I uśmiech.

Jest jeszcze Glory prawniczka, skupiona i drobiazgowa pani adwokat. Stąd zdjęcie matki i syna stojących na schodach Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w dniu, w którym przed najwyższą instancją użyła siły swej argumentacji w jednej z prowadzonych przez siebie spraw. „Największy prawniczy umysł, ostry jak brzytwa” – tak mówi o niej Simon. – „Do tego najbardziej cięty język. Była nieustraszona i potrafiła wyrazić swoje myśli w dosadny sposób”.

Na ścianie wisi oprawiona w ramkę transkrypcja protokołu rozprawy, w której Glory była obrońcą oskarżonego jeszcze jako młoda prawniczka. Pracowała wtedy dla prestiżowej kancelarii. Była w niej jedną z nielicznych kobiet. Transkrypcja wygląda następująco:

SĄD: Sprzeciw zostaje podtrzymany, pani Dobias.

OBROŃCA: Wysoki Sądzie, oświadczenie złożone poza rozprawą zostało przywołane nie w celu poświadczenia prawdziwości przytoczonych twierdzeń, lecz jedynie po to, by dowieść, że takie oświadczenie zostało złożone.

SĄD: Rozumiem, złotko, ale kiedy sędzia podtrzymuje sprzeciw, obrońca przechodzi do następnego pytania. Bez względu na to, jak bardzo jest atrakcyjny.

OBROŃCA: Wydaje mi się, że rozumiem, Wysoki Sądzie. A... co robi obrońca, kiedy Wysoki Sąd zachowuje się jak koński zwis?

SĄD: Słucham? Coś ty do mnie powiedziała?

OBROŃCA: Pytałam czysto hipotetycznie, Wysoki Sądzie. Proszę o wyrozumiałość. Te wszystkie zasady i formalności potrafią sprowadzić umysł niewieści na manowce.

SĄD: Czy ty przed chwilą nazwałaś mnie końskim zwisem?

OBROŃCA: A czy Wysoki Sąd przed chwilą nazwał mnie złotkiem? Atrakcyjną? Być może oboje się przestęszeliśmy.

Simon powiedział mi, że po tych słowach sędzia wyprosił protokolanta i wezwał prawników do swojego gabinetu. Poprosił Glory, żeby podała mu choć jeden powód, dla którego miałby nie ukarać jej za obrazę sądu. Odpowiedziała, że obawia się reakcji komisji dyscyplinarnej na fakt, że sędzia podczas rozprawy

traktował panią mecenas w sposób umniejszający, co zostało zaprotokołowane. Na to sędzia zarządził przerwę. Do końca dnia.

Informacja o całym zajściu szybko dotarła do kancelarii Glory i komitet wykonawczy zażądał, aby przeprosiła sędziego. Odmówiła. Tego samego dnia odeszła z kancelarii i nigdy tam nie wróciła.

Jednak jedna z kobiet, która w dniu tamtej rozprawy siedziała na miejscu dla publiczności, zdobyła transkrypcję protokołu. Oprawiła tę stronę w ramkę i podarowała Glory.

Wydaje mi się, że polubiłabym mamę Simona.

Dwa ostatnie zdjęcia zostały zrobione pod koniec życia Glory, gdy była już przykuta do wózka. Zamiast twarzy pełnej ekspresji, widać było na nich nieobecne spojrzenie. Promienny uśmiech Glory został zastąpiony przez coś na kształt grymasu. Nie wiem, dlaczego Simon zachował te zdjęcia. Dwa ostatnie lata życia jego matki były trudne dla wszystkich jej bliskich. Nie tak powinni ją pamiętać. Z pewnością ona nie chciałaby być tak zapamiętana. Przynajmniej tak mi się wydaje, biorąc pod uwagę wszystko, co o niej słyszałam.

Myślę, że Simon trzyma te zdjęcia, by przypominały mu, jak wszystko się rozpadło.

Jest. Lista haseł. W szufladzie na skarpety. Hasło do konta trustu Simona to: Glory010455, czyli imię i data urodzin jego matki.

Schodzę na dół. Simon przed wyjściem zostawił mi kawę w kubku termicznym. Wciąż jest gorąca. I przepyszna. Kupuje naprawdę dobre ziarna. Dodał do nich przyprawy dyniowej przed zmieleniem i zaparzeniem. Jeszcze nie ma września, ale ten aromat od razu przywodzi na myśl jesień, moją ulubioną porę roku. Jestem pewna, że właśnie dlatego Simon dodał tę przyprawę. Robi mi takie drobne przyjemności cały czas.

Szkoda, że nie może być między nami inaczej. Chciałabym, żeby częściej wychodził ze swojej bańki. Nie wiem, czy prawo stało się dla Simona bezpieczną przystanią po tej całej historii z jego rodzicami, czy też miał je we krwi, ale nie widzi świata poza uczeniem, mówieniem i pisaniem o nim. To jego pasja, całe życie. Rozpromienia się, gdy tylko zaczyna rozkładać dane zagadnienie na czynniki pierwsze, a potem składać je w taki sposób, by miało głębszy sens. Zyskało nowe życie. Jakby było żywym organizmem. Nawet mnie, osobę, która wiedzę o prawie czerpie z telewizji, potrafi zaciekawić swoimi wywodami.

Podobno prawo to zazdrosna kochanka, ale to nieprawda. O nie. Prawo skradło serce Simona i za nic nie chce go oddać. W tym układzie to ja jestem

zazdrosną kochanką.

Przynajmniej tak sobie wmawiam. Interpretuję fakty pod tę tezę. Prawdopodobnie po to, by móc zwalić winę na niego. Tak naprawdę większym problemem i powodem, dla którego od początku nie mieliśmy szans, są dzieci. Simon chce je mieć, a ja nie. Marzy mu się cały pakiet: żona i dzieci. Podstawowa komórka społeczna. Rodzina nuklearna. W takiej się wychowałam i mam złe doświadczenia. Nie, dziękuję. Nie piszę się na to.

Simon mówi, że najzwyczajniej w świecie boję się i jest to normalne. Tak, to prawda. Boję się. Boję się, że zniszczę im życie. Boję się, że staną się takie jak ja. Czego niby miałabym je nauczyć? Jaki mam dać im przykład? Nie jestem wzorem do naśladowania. A co, jeśli bym je urodziła i dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że jednak nie dam rady i to nie dla mnie? Kiedy byłoby już za późno?

Kocham moje siostrzenice – M&Msy. Lubię być ciocią. Czy to nie wystarczy? Simonowi z pewnością nie.

Ach, wiem, że poszedłby w tej kwestii na ustępstwo, ale nie chcę, żeby robił to dla mnie. Rezygnował z założenia rodziny z mojego powodu.

Po prostu do siebie nie pasujemy.

Siadam przy kuchennym stole i otwieram laptop. Wchodzę na stronę internetową i wklepuję hasło, by dostać się do danych dotyczących jego trustu.

Simon odziedziczył pieniądze po ojcu, który zmarł dwanaście lat temu. Z tego, co wiem, nie tknął ani centa. Od początku to była niezła sumka, ale przez lata jeszcze urosła, dzięki odsetkom i zachowawczym, acz przemyślanym, decyzjom inwestycyjnym powiernika trustu. Oczywiście, nie jest nim Simon. I dobrze. Simon nie umie zarządzać pieniędzmi.

Na dzisiaj saldo konta trustu wynosi 21 106 432 dolary.

Dwadzieścia jeden milionów z kawałkiem.

I to rozumiem.

Kontynuuję swój wcześniejszy research w Google. Szukam doradcy inwestycyjnego. W końcu wybrałam cztery nazwiska. Pierwsze: Broderick. Łysy facet w średnim wieku, który szczyci się swoim indywidualnym podejściem do klienta. Wygląda na kogoś, kto cierpi na halitozę i ma nadciśnienie.

Gość o nazwisku Lombardi, górna półka, zajmuje się „zarządzaniem majątkiem” – określenie, które podczas mojego researchu widziałam wielokrotnie. Jego uśmiech aż razi po oczach. Jest jakiś taki ulizany. Picuś-glancuś. Z takim wyglądem nadawałby się na sprzedawcę środków do

czyszczenia dywanów i wykładzin. Mógłby też wystąpić w jakiejś reklamie informacyjnej.

Bowers, z wieloma stopniami naukowymi wymienionymi po nazwisku, oferuje z kolei nie tylko zarządzanie majątkiem, ale również „bezpieczeństwo”. Stąd zdaje mi się, że chciałby nie tylko zostać moim doradcą inwestycyjnym, ale też wcisnąć mi jakieś ubezpieczenie. Wygląda na cherlawego mola książkowego ze swoimi małymi oczkami i chudą szyjką.

Ostatni na mojej liście jest Christian Newsome. W życiu nie widziałam doradcy inwestycyjnego, który wygląda jak model Calvina Kleina – przynajmniej od klatki piersiowej w górę, bo tylko tyle widać na zdjęciu.

Ten jest młodszy od pozostałych. Po trzydziestce. Na stronie internetowej są dwa jego zdjęcia. Na obu ma na sobie niezły garnitur, ale bez krawata. Tylko dobrze wykrochmaloną białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem podkreślającym szerokie ramiona i szyję. Pewnie właśnie dlatego nie nosi krawata – by eksponować swoje walory. Widać, że kiedyś dużo ćwiczył, ale pewnie nie tykał się żadnych agresywnych sportów. Nie ryzykowałby zepsucia tej ślicznej buźki. Uszkodzenia dużych niebieskich oczu. Ten trzydniowy zarost i kosmyki włosów opadające swobodnie na twarz – to starannie przemyślany chaos. Wie, że jest przystojny, co czyni go irytującym.

Ale mimo to muszę przyznać, że wygląda na zwycięzcę.

Szperam dalej. Chcę dowiedzieć się o nim więcej. Imponująca biografia: robił licencjat na Harvardzie, jest po MBA i jeszcze zanim skończył studia, odnosił pierwsze sukcesy na giełdzie.

Na jego stronie internetowej jest artykuł z „Fortune” sprzed trzynastu lat – z marca 2009 roku. Dotyczy tego, jak to się stało, że Christian Newsome, w wieku zaledwie dwudziestu jeden lat, jako jeden z pierwszych odpowiednio zainwestował w „swapy ryzyka kredytowego” przed kryzysem w 2008 roku, przewidując to, na co nie wpadli inni – załamanie rynku „papierów wartościowych zabezpieczonych hipoteką”.

Kolejny artykuł na stronie pochodzi z „Newsweeka” sprzed trzech lat. Traktuje o nowym przedsięwzięciu Christiana Newsome’a z udziałem małej grupki inwestorów. Fundusz: ponad pięć milionów dolarów. „Newsome nabrał wody w usta. Nie zdradza, jakie będą jego kolejne ruchy, a od wyżej wymienionych inwestorów możemy dowiedzieć się jedynie, że swapy ryzyka kredytowego to przy tym pikus”.

Popijam kawę. Czytam ponownie artykuły. Przyglądam się przez jakiś czas jego zdjęciu.

A potem biorę do ręki telefon i zaczynam umawiać się na spotkania.

Wtorek, 16 sierpnia 2022 r.

Dziś po południu spotkaliśmy się w twoim apartamencie na Michigan Avenue. To, że go masz, znacznie ułatwia sprawę. Mogę wpadać do ciebie w drodze z uczelni, a ty nie potrzebujesz jakichś specjalnych wymówek, żeby pojechać do centrum.

Naprawdę się na to zdecydowałem. My. My się zdecydowaliśmy. Wiem, wiem, co mówiłem o Vicky, ale nie mogę się powstrzymać.

I nie mogłem się doczekać, żeby pokazać ci telefony! Nie wspominałem o nich wcześniej, bo chciałem ci zrobić niespodziankę.

Ale od początku. Wszedłem do twojego apartamentu, rozebraliśmy się i... znowu to zrobiliśmy. W pokoju z widokiem na Michigan Avenue. Na czternastym piętrze. Byłaś oparta o szybę. W filmach ta pozycja wygląda na łatwą, ale to tylko pozory. Myślałem, że plecy mi wysiądą, więc przenieśliśmy się na łóżko.

Potem wypiliśmy trochę wina. Aż mnie nosiło, żeby pokazać ci telefony. Więc to zrobiłem. Jaskraworóżowy dla ciebie, a zielony dla mnie.

Z początku nie powiedziałaś ani słowa. Moje serce zaczęło ćwiczyć kalistenikę, ale taką nastawioną na spalanie.

- Czy to znaczy, że jestem twoją kochanką? - powiedziałaś, podnosząc na mnie wzrok.

- Ja tylko... pomyślałem, że byłoby dobrze, gdybyśmy mogli bez obaw porozmawiać...

- Chcesz móc zadzwonić, kiedy tylko będziesz miał ochotę mnie przelecieć.

- Nie... to nie tak - odpowiedziałem.

- Jestem teraz dla ciebie panienką na telefon, tak? - zapytałaś. - Taką jak twoja żona, zanim się poznaliście. Chcesz, żebym była jak twoja żona? O to chodzi? Chcesz drugiej Vicky?

- Nie, posłuchaj. To zupełnie nie tak - z tego, co pamiętam, powiedziałem coś w tym stylu. Nie jestem na sto procent pewien, co wydukałem w ramach protestu.

Ale to, co wydarzyło się potem, pamiętam doskonale. Podeszłaś do mnie. Tak, że nogi się pode mną ugięły. Masz nade mną taką władzę. Słowo „gracja” powstało z myślą o tobie, Lauren. Przynajmniej tak to widzę. Brakowało tylko saksofonu w tle.

Pochyliłaś się i szepnęłaś mi do ucha:

- Chce pan, żebym była pana dziwką, profesorze Dobias? Jeśli tak, proszę mi powiedzieć. Powiedzieć, czego pan chce.

Chcę, żebyś po prostu była sobą, Lauren. Nic więcej. Nie potrzebuję sprośnej gadki i odgrywania scenek. Jakoś nigdy mnie to specjalnie nie kręciło. Chcę ciebie. Taką jaka jesteś.

Ale w tamtej chwili czułem, że powinienem po prostu wejść w rolę. Dać się ponieść tej narracji.

Złapałem cię za włosy tak, byś na mnie spojrzała.

- Tak. Tego właśnie chcę - powiedziałem.

Zobaczyłem błysk w twoich oczach. Kąciki twoich ust jedynie nieznacznie się wykrzywiły.

- Więc tak właśnie mnie przeleć - odparłaś.

15 Vicky

Newsome Capital Growth znajduje się w apartamencie numer 1320. Myślałam, że większość budynków nie ma trzynastego piętra z powodu przesądów. Czy to jakiś zły omen?

Przechodzę przez szklane drzwi. Wita mnie młoda kobieta siedząca za wąskim biurkiem. Na głowie ma słuchawki z mikrofonem. Cóż, to już chyba znak rozpoznawczy profesjonalnego i eleganckiego korporacyjnego stylu współczesnej Ameryki. W naszym ośrodku ledwo możemy sobie pozwolić na jeden telefon stacjonarny. Używamy wiatraków zamiast klimatyzacji. I wyrzucamy przeterminowane mleko dopiero wtedy, gdy zaczyna śmierdzieć

– Vicky Lanier. Jestem umówiona na spotkanie z Christianem Newsome'em – mówię.

– Ach tak, pani Lanier, proszę chwilkę poczekać – kobieta naciska guzik na dużym telefonie. – Przyszła pani Lanier. Była umówiona na szesnastą. Jasne – podnosi na mnie wzrok. – Christian za minutkę panią przyjmie. Może coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Słyszę jakiś dźwięk dochodzący z gabinetu za recepcją. Mocny i gardłowy śmiech należący do mężczyzny pewnego siebie lub próbującego za takiego uchodzić.

– Pani Lanier? Christian Newsome.

Szybkim krokiem wychodzi ze swojego gabinetu i ściska mi rękę. Dziś spotkałam się już z trzema doradcami inwestycyjnymi, ale dopiero ten czwarty ma porządny uścisk. Reszta zachowywała się tak, jakby moja dłoń miała rozpaść się na kawałki pod wpływem ich niezwyklej siły.

Wygląda jak na zdjęciach ze strony internetowej. A różnie z tym bywa. Jest po trzydziestce, obowiązkowo w dobrze skrojonym garniturze, ale wciąż bez krawata – nie da się przecież spętać konwenansom, myśli nieszablonowo, a poza tym w rozpiętej koszuli może eksponować swoją szeroką szyję.

Widać, że wciąż stawia na trzydniowy zarost. Wygląda tak samo jak na stronie. Ciekawe. To znaczy, że dba o to, żeby nie zapuścić się bardziej, ale też nie ogolić do końca, by zawsze mieć na twarzy trochę seksownej szczeciny. Włosy też wciąż zaczesuje tak, aby pojedyncze kosmyki opadały na twarz, tworząc wrażenie seksownego nieładu.

I ten gabinet. Również nie przypomina pozostałych, które dziś odwiedziłam. Tamte były w stonowanych barwach. Takie całkiem bezpieczne. W tym – po jednej stronie widzę skórzaną kanapę, nad którą stoi jakaś fikuśna lampa, barek z drogimi trunkami i ścianę karmiącą ego – oprawione artykuły z jego nazwiskiem w nagłówku i zdjęcia ze sławnymi ludźmi. Po drugiej stronie wiszą trzy telewizory. Na każdym jest włączona inna stacja: CNBC, Fox Business i Bloomberg. Przewijają się na nich indeksy Nasdaq, Nikkei oraz Dow Jones. Nic mi to nie mówi. Znam się na finansach tak jak na fizyce jądrowej. Czyli wcale.

– Moim zdaniem nie ma nic bardziej zbliżonego do sportów kontaktowych – mówi do mnie Christian. – Ciągła rywalizacja. Lubię trzymać rękę na pulsie. Cały czas mieć oko na to, co dzieje się na „boisku”.

Siada za swoim stalowym biurkiem i zaczyna mi się przyglądać. Obczaja mnie. Choć stara się nie robić tego ostentacyjnie, średnio mu to wychodzi. W tej dziedzinie mężczyźni są tak subtelni jak spadająca na głowę cegła. Jakby tego było mało, domyślam się, co sobie myśli. Z chęcią zabawiłby się ze mną raz czy dwa, ale nie widzi we mnie materiału na żonę.

Co innego moja siostra, Monica. Ona zdecydowanie była materiałem na żonę. Cheerleaderka i szóstkowa uczennica, która została wybrana królową balu absolwentów. Jej uśmiech był promienny i zaraźliwy. Faceci się za nią uganiali. Ja byłam tą gorszą. Nie dorównywałam jej urodą, ale za to mogłam się poszczycić większymi cyckami i prowokującym uśmiechem. Paliłam papierosy z wykolejeńcami i zostałam wyrzucona ze szkoły za uprawianie seksu w sali do nauki indywidualnej w bibliotece.

Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że nigdy nie będę taka jak moja siostra, starałam się jak mogłam, by stać się jej przeciwieństwem. Muszę przyznać, że w dużej mierze mi się to udało. Cóż za sukces.

– To nie jest gra o sumie zerowej – mówi Christian. – Każdy może wygrać. Trzeba tylko wiedzieć, jak grać – opuszcza rękę na stalowe biurko, na którym nie ma nic oprócz piłki baseballowej z autografem i dwóch wypasionych komputerów. – Więc jak mogę pani pomóc, pani Lanier?

– Szukam doradcy inwestycyjnego. Byłam już dziś na paru spotkaniach. Z ludźmi, których zapewne pan zna – kładę przed nim trzy wizytówki. – Wkrótce znacznie się wzbogacę.

Zerka na wizytówki, po czym mówi:

– Dopiero co przeniosłem się do Chicago, więc nie znam ich osobiście, ale oczywiście kojarzę te nazwiska. Znam takich na pęczki i jestem pewien, że każdy z nich potrafiłby odpowiednio „zarządzać” pani pieniędzmi. Ale nie po to pani tu przyszła.

– Nie?

– Nie. Pani chce je pomnażać. Nie chce pani latać pierwszą klasą, tylko prywatnym odrzutowcem.

Opieram się plecami o oparcie fotela i zakładam nogę na nogę. Ten facet ma zdecydowanie bardziej agresywne podejście do sprawy. Reszta mężczyzn, z którymi dziś rozmawiałam, raczyła mnie gadką, z której niewiele wynikało. Wciskała kit o rzetelnym podejściu, konieczności poznania indywidualnych potrzeb inwestora, minimalizacji ryzyka i strategiach ochrony aktywów. Próbowali sprawić, bym poczuła się pewnie i bezpiecznie. Z kolei ten zdaje się mówić: „Zapnij pasy i przygotuj się do startu”.

– Wspomniała pani, że wkrótce znacznie się wzbogaci – mówi. – Czy chodzi o spadek? Mam nadzieję, że nie straciła pani niedawno nikogo bliskiego?

– Nie. Tak właściwie to chodzi o pieniądze mojego męża, Simona.

– Ach, pana Laniera.

– Dobiasa – mówię. – Simona Dobiasa. Zachowałam swoje panieńskie nazwisko i tym się posługuję.

– Doskonale.

– Jednak wkrótce będę mogła zarządzać pieniędzmi – mówię. – Za dwanaście tygodni. Chcę być na to odpowiednio przygotowana.

Przez chwilę się nie odzywa. Nie rozumie, o co chodzi.

– Co się stanie za dwanaście tygodni?

– Będziemy świętować z Simonem naszą dziesiątą rocznicę ślubu. Trzeciego listopada. Wtedy zyskam dostęp do pieniędzy.

– Acha... – mówi. – Rozumiem, że chodzi o trust?

Bardzo dobrze. Załapał pan, panie Newsome. W istocie, chodzi o trust.

– Tak. Ojciec Simona pozostawił mu pieniądze w formie trustu – mówię. – Czy zajmował się pan już wcześniej trustami?

Zbývá pytanie machnięciem ręki.

– Setki razy. Zdziwiłaby się pani, co ludzie robią ze swoimi pieniędzmi. Ale to ich sprawa. Mnie nic do tego.

– Na razie tylko Simon jest beneficjentem, ale zgodnie z postanowieniami trustu, po dziesięciu latach małżeństwa staniemy się współbeneficjentami.

– Taki warunek postawił ojciec Simona? Musicie państwo pozostać w związku małżeńskim przez dziesięć lat, zanim uzyska pani dostęp do tych środków?

– Zanim uzyskam do nich dostęp i Simon będzie mógł wydać na mnie choćby centa z tego trustu.

Christian odchyła się w swoim fotelu.

– Naprawdę?

– O tak. Naprawdę – mówię nieco ostrym tonem. – Powiernik trustu musi wyrazić zgodę na każdy wydatek. Simon może kupić samochód, ale tylko na swoje nazwisko. Może kupić drugi dom na Florydzie, czy gdziekolwiek indziej, ale tylko na swoje nazwisko. Kiedy chciał sprawić mi diamentowy naszyjnik na naszą piątą rocznicę, powiernik się nie zgodził. Simon nie mógł go kupić za pieniądze z trustu.

– To naprawdę restrykcyjne...

Uśmiecham się i mówię:

– Ojciec Simona nie miał do mnie zaufania.

Te słowa wyraźnie wzbudziły zainteresowanie Christiana. Oczy mu rozbłyły. Pewnie zastanawia się teraz, czy jestem niegrzeczną dziewczynką.

Sama nie wiem... jestem?

– Doszedł do wniosku, że jeśli naprawdę kocham Simona, nie będę miała nic przeciwko temu, żeby poczekać dziesięć lat na dostęp do pieniędzy.

Nie odpowiada, ale widzę, że dostrzega w tej konstrukcji sens. Na pewno zastanawia się też, o jakiej kwocie mówimy. Domyśla się, że musi być znaczna. Ale o nią nie pyta. Przynajmniej na razie. Na stronie małym druczkiem jest napisane, że w przypadku chęci skorzystania z jego usług wartość inwestycji musi wynosić minimum dziesięć milionów. To samo powiedziała mi recepcjonistka, kiedy rozmawiałam z nią przez telefon, jednak dodała, że czasem Christian jest skłonny zrobić wyjątek. Powiedziałam jej, że w tym przypadku nie będzie takiej potrzeby.

– I czy przez te wszystkie lata ojciec Simona nie zmienił o pani zdania? – pyta mnie z uśmiechem na ustach.

– Ach, ojciec Simona zmarł, jeszcze zanim się pobraliśmy.

– Och, przykro mi to słyszeć. Ale jesteście państwo małżeństwem od dziesięciu lat – mówi. – A raczej będziecie. Trzeciego listopada.

– Zgadza się. Trzeciego listopada – potwierdzam. – Wtedy będę mogła wydawać te pieniądze, kiedy i na co tylko zechcę. Chcę je zabrać jak najdalej od tego głupiego banku i protekcyjnego powiernika, który ciągle pieprzy o bezpieczeństwie i...

Łapię się na tym, że mnie poniosło.

– Bardzo przepraszam – mówię. – Możliwe, że jestem odrobinę... rozgoryczona.

– Jeśli nawet, to wcale się pani nie dziwię – odpowiada. – Jest pani obywatelem drugiej kategorii w swoim własnym małżeństwie.

Potakuję i wyjaśniam:

– Simon tego nie chciał. Nie miał wyboru. Nie może zmienić postanowień trustu. Ale tak, obywatel drugiej kategorii to bardzo trafne określenie.

Podnosi rękę.

– Powinienem być zachować ten komentarz dla siebie.

– Nie, naprawdę. Proszę się nie przejmować. Doskonale podsumowuje to, jak się czuję.

Pochyłam się do przodu. Chyba już najwyższy czas, żeby przejść do rzeczy.

– Czy mogę o coś spytać, panie Newsome? Czy kiedy trzeciego listopada staniemy się współbeneficjentami trustu, to będę mogła wydawać pieniądze bez zgody Simona? A nawet bez jego wiedzy?

Zadaję dziś to pytanie po raz czwarty. Do tej pory uzyskałam trzy praktycznie takie same odpowiedzi. Po pierwsze, doradcy zastrzegli, że będą w stanie odpowiedzieć dopiero po zapoznaniu się z postanowieniami trustu. Po drugie, co do zasady, w przypadku współwłasności konta nie ma potrzeby uzyskiwania zgody współwłaściciela. Ale (po trzecie) i tak najlepiej byłoby go wtajemniczyć, by uniknąć sporu sądowego z bankiem (w który mógłby zostać także wciągnięty doradca inwestycyjny).

Christian Newsome nie odpowiada od razu. Oczywiście mógłby mi powiedzieć mniej więcej to samo, co tamci. Ale nie. Nie myśli teraz o niuansach prawnych. Nie na nich się skupia. Zastanawia się, jaką jestem osobą, skoro zadaję takie pytania. Co więcej, nie wygląda, jakby przejął się tym, że je usłyszał. Przez chwilę na jego twarzy błąka się lekki uśmiech.

– Tak, są na to sposoby – mówi. – I proszę, mów mi Christian.

Rozglądam się po jego gabinecie. Przyglądam się wyświetlanym na telewizorach indeksom giełdowym, dyplomowi z Harvardu i różnym certyfikatom. Wszyscy ci faceci są w dużej mierze do siebie podobni.

Ale nie pod każdym względem.

– Christianie, to najlepsza odpowiedź, jaką dzisiaj usłyszałam.

Podnoszę z biurka trzy wizytówki, które wcześniej na nim położyłam, i ostentacyjnie rwę każdą z nich na pół.

– I proszę, mów mi Vicky.

16

Simon

Idę półtorej mili od uczelni do Chicago Title & Trust Building na rogu Clark i Randolph w Loop. Trochę nadkładam drogi, żeby zahaczyć o jedno z moich ulubionych miejsc – betonową promenadę na nabrzeżu jeziora. Wzburzona woda po mojej lewej. Pędzące Lake Shore Drive samochody po prawej. Trujące chmury wzbijają się w niebo, ale to nie przeszkadza rolkarzom i biegaczom mijać się w zawrotnym tempie. Jak ja kocham to miasto.

Budynek ma teraz inną nazwę, ale wiele osób wciąż nazywa go Chicago Title & Trust Building, czyli tak samo jak w latach dziewięćdziesiątych, kiedy mój ojciec prowadził w nim swoją kancelarię. Otworzył ją sam po tym, jak pokłócił się z partnerami. W tamtych czasach wiele kancelarii miało tu siedzibę. Właśnie w tym budynku. Może nadal tak jest.

Pamiętam, że kiedyś zabrał mnie tu w sobotę. Pojechalśmy Zieloną Linią kolei metropolitalnej – samo to było dla mnie nie lada przygodą, szczególnie w weekend. Pojechalśmy windą na szesnaste piętro. Kancelaria ojca zajmowała całkiem sporą przestrzeń. Pamiętam drzwi z matowego szkła, na których widniał napis: „KANCELARIA PRAWNA THEODORE’A DOBIASA”. Wtedy ta wymyślna czcionka wydawała mi się szpanerska.

To były czasy, kiedy tata „zbierał ochłapy”, jak sam to nazywał. Zajmował się głównie sprawami o odszkodowanie z tytułu wypadku przy pracy i zadośćuczynienie za uszczerbek na zdrowiu. Wypadki samochodowe, upadki, poślizgnięcia i takie tam. Brał nawet sprawy karne, przede wszystkim te dotyczące prowadzenia pod wpływem alkoholu i posiadania narkotyków. Musiał się podszkolić z czwartej poprawki, ale na szczęście miał mamę. Ale tak – na co dzień był łowcą nieszczęść:

„Zranił/a się pan/i podczas pracy? W takim razie potrzebuje pan/i kogoś po swojej stronie. Mogę pomóc!”.

Na szczęście nigdy nie kręcił tandetnych reklam ze swoim udziałem i nie widziałem jego twarzy na żadnym autobusie.

A potem trafił na prawdziwą żyłę złota – sprawę dotyczącą porażenia prądem, dzięki której zarobił miliony. Zmienił siedzibę kancelarii. I nie tylko. Zmienił wiele rzeczy.

Wewnątrz Chicago Title & Trust Building kupuję sobie na parterze kawę ze Starbucksa i siadam na jednej ze skórzanych kanap.

Wyciągam zielony telefon, który kupiłem w Indianie, i wkładam do niego kartę SIM. Wcześniej nie uruchamiałem go ani razu, czekam więc, aż zaskoczy. Pierwsze kilka sekund z mojego tysiąca minut. Biorę głęboki wdech i zaczynam pisać:

Halo... Halo... Próba mikrofonu... 1, 2, 3... 1, 2, 3. Próba mikrofonu... 1,2,3. Czy to urządzenie w ogóle działa?

Naciskam „wyślij” i robię głęboki wydech.

Czeka na wiadomość ode mnie (przynajmniej taką mam nadzieję). Nasz pierwszy esemes. Miałem go wysłać o dziesiątej rano. Liczę na to, że siedzi teraz z jaskraworóżowym telefonem w ręce i czeka.

Mój zielony telefon wibruje. Odpowiedziała. Prawie oblałem się kawą.

No proszę, proszę... witaj, nieznajomy

Jej wiadomości wyświetlają się inną czcionką niż moje. Adekwatną do osoby. Moja czcionka jest zwyczajna i taka trochę grubo ciosana, a jej bardziej subtelna, delikatna i zdecydowanie przyjemniejsza dla oka. Tak, wydaje się odpowiednia. Odpowiadam:

Nie masz problemu z zasięgiem?

Mało seksowna wiadomość, żeby nie powiedzieć, że w ogóle, ale Lauren mieszka w starym domu z grubymi ścianami, jak większość w Grace Village. Niektórzy moi znajomi mają tam problem z zasięgiem.

Odpisuje:

Jestem na balkonie

Racja, balkon z wejściem od głównej sypialni.

Piszę więc:

Musimy być ostrożni.

Jednak nie wysłałam tej wiadomości. Moje poprzednie esemesy były lamerskie. To ma być ekscytująca, sekretna rozmowa kochanków, a ja co? Zaczynam ją od pytania o zasięg? A teraz zamierzam dodać jeszcze do tego, że musimy być ostrożni. Taki tekst jest w stanie zgasić każdy ogień. Bardzo nieseksowne.

Powinienem był lepiej to przemyśleć, ale tego nie zrobiłem. Kasuję tekst i zamiast tego piszę:

Nie chcę, żebyś miała przeze mnie problemy, dlatego musimy być ostrożni.

Od razu lepiej. Ten esemes kładzie nacisk na troskę. Ale wciąż jestem smutasem-marudą, który psuje całą zabawę. *Postaraj się bardziej, Simon.*

Pierwszy raz w życiu robię coś takiego.

To prawda – nigdy czegoś takiego nie robiłem.

Pytanie za sto punktów: co napisałby ktoś, kto JEST pewny siebie i nie ma kompleksów?

- a. Naprawdę mnie lubisz? Jesteś pewna? Bo ja ciebie bardzo!
- b. Nie jesteś zmęczona? W końcu chodziłaś mi po głowie całą noc.
- c. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś takiego jak ty.
- d. Chyba cię Kocham.
- e. Żadna z powyższych odpowiedzi nie jest prawidłowa.

Wybieram odpowiedź e). Nie użyję słowa na „k”. A może lepiej coś takiego:

Nie mogę przestać o tobie myśleć.

O tak. Zdecydowanie lepiej. Wysyłam, zanim się rozmyślę. Biorę kolejny łyk kawy. Zastanawia się nad odpowiedzią. W końcu wypluwa:

Porozmawiamy później

Wow. Uff... poszło gładko.

Wyłączam telefon i wyciągam z niego kartę SIM.

Wicker Park. Za moich studenckich czasów to była modna miejscówka. Dobra do życia i spotkań towarzyskich. Dla wielu osób taka pozostała, ale młodzież woli mniej japiszonowate klimaty. Poza tym niektóre świetne knajpy, kawiarnie, a nawet klimatyczne spelunki zostały zastąpione przez sklepy, takie jak AT&T i Lululemon. Jest tam też oddział Fifth Third Bank.

Pracuję na uczelni do późna. Wychodzę około dziewiętnastej piętnaście i zaczynam swoją dziesięciomilową przebieżkę do Wicker Park i z powrotem.

Zatrzymuję się przy barze Viva Mediterránea na Damen. Nigdy tu nie byłem. Patio na tyłach jest dziś pełne imprezowiczów: ludzi w służbowych ciuchach, cieszących się, że mogą zostać jeszcze trochę dłużej w czasie obowiązywania promocji na drinki, oraz studentów, którzy dopiero się rozkręcają. Zaraz obok znajduje się zaułek.

Zatrzymuję się w nim cały spocony i pozytywnie zmęczony. Rozglądam się. Na prawo widzę patio Vivy. Na lewo tyły apartamentowca, znajdującego się na następnej ulicy. Kilku właścicieli właśnie robi grilla i raczy się koktajlami na własnym patio.

Jestem w pobliżu dobrze bawiących się osób, a jednocześnie nikt mnie nie popycha i nie przepycha się łokciami. Poza tym oświetlenie jest kiepskie. Czego chcieć więcej.

Tak, to będzie moje miejsce. Zaułek za Viva Mediterránea.

Planujemy pisać do siebie dwa razy dziennie: o dziesiątej rano i ósmej wieczorem. Musimy się zgrać, a te godziny pasują nam obojgu. Przez resztę dnia nasze jednorazowe telefony będą wyłączone. Musimy być ostrożni, co jest w pełni zrozumiałe, zważywszy na okoliczności. Nie można tak po prostu zostawiać swojego sekretnego telefonu na wierzchu. A co by było, gdyby taki telefon zadzwonił lub zabzyczał w niewłaściwym miejscu? W nieodpowiednim czasie? Powiedzmy, w obecności twojego małżonka lub małżonki?

Oznacza to jednak, że będę musiał biegać o innej porze niż zazwyczaj. Szkoda, bo lubię robić to z samego rana, ale wieczorne bieganie też ma swoje plusy, a trasa od uczelni do Vivy jest całkiem przyjemna.

Już dwudziesta, więc wyjmuję swój zielony telefon, wkładam do niego kartę SIM i wysyłam następującą wiadomość:

Próba mikrofonu, próba mikrofonu... nieważne. Dobry wieczór, złota niewiasto.

Odpowiada szybko:

Niebezpiecznie tak rozmawiać z nieznajomymi

Kładzie nacisk na niebezpieczeństwo. Staram się o nim nie myśleć, ale to nie zmienia faktu, że istnieje. I nie zniknie. Dopisuje szybko:

Tylko złota?

Złota to nawiązanie do blond włosów. Droczy się ze mną.

Gdzieżby znowu. Zdecydowanie nie tylko złota.
Jesteś seksowna, zabawna, potrafisz zaskoczyć i sprawić,
że moje serce bije jak szalone.
Lepiej?

Odpowiada:

Zdecydowanie lepiej

Słyszę przyśpiewkę klientów Vivy. Jest tam telewizor. Contreras właśnie zaliczył wszystkie bazy i fani Cubsów szaleją. Młodość rządzi się swoimi prawami. Skupiam się znowu na telefonie i piszę:

Chcę ci robić... różne rzeczy.

Na co ona odpowiada:

Mnie czy ze mną?

Naprawdę ułatwia mi zadanie:

Tobie.

Zastanawia się nad ripostą i... leci:

Ojoj... jak na kogoś z tak religijnym imieniem potrafisz być bardzo niegrzeczny...

Nieźle. Podoba mi się. Tak na marginesie, moja matka nie nazwała mnie Simon Peter na cześć apostołów¹⁰. Drugie imię mam po dziadku, tacie mamy, która zawsze chciała, żebym był Simonem. Co nie zmienia faktu, że na religii w Saint Augustine nauczyciele zawsze zwracali się do mnie w szczególny sposób. Uwielbiali używać obu imion.

Odpowiadam więc:

Nie znasz mnie jeszcze z niegrzecznej strony.

Uśmiecham się do siebie. Wyłączam telefon, wyjmuję z niego kartę SIM i wpycham oba te przedmioty do kieszeni moich szortów do biegania.

Ten sposób komunikacji będzie dla nas odpowiedni, o ile zachowamy ostrożność.

O ile będziemy bardzo, bardzo ostrożni.

Dzień po Halloween

17
Jane

Sierżant Jane Burke kuca i przygląda się dokładnie twarzy Lauren Betancourt. Miejsce zdarzenia oraz wiszące zwłoki zostały już obfotografowane pod każdym możliwym kątem. Wśród zdjęć znalazły się zbliżenia na sznur i ozdobną balustradę schodów. Wreszcie nadszedł czas na opuszczenie ciała. Doszło do tego pod nadzorem lekarza medycyny sądowej z hrabstwa Cook, który instruował funkcjonariuszy: jednych na drabinie, innych w holu. Tak by ciało, po poddaniu się sile grawitacji, trafiło bezpiecznie do pokrowca na zwłoki umieszczonego na specjalnym wózku.

Na twarzy Lauren są widoczne zadrapania wokół podbródka. Jane jest pewna, że powstały, kiedy ofiara próbowała walczyć z pętlą zaciśniętą wokół szyi. Wskazują na to również połamane paznokcie Lauren. Badania z pewnością potwierdzą to przypuszczenie. Co więcej, ślady na szyi pani Betancourt wskazują, że również pozostałe podejrzenia Jane są słuszne. Część z nich powstała po przerzuceniu kobiety przez balustradę, gdy nie tylko została całkowicie odcięta od tlenu, ale również nastąpiło złamanie karku. Jednak widać także ślady biegnące pod innym kątem, bardziej poziomo, co uprawdopodobnia hipotezę Jane, że wcześniej napastnik znajdował się tuż za Lauren i mocno napierał sznurem na jej tchawicę, gdy próbowała wyswobodzić się z pętli.

Oczywiście szczegółowe odtworzenie przebiegu całego zdarzenia może okazać się niemożliwe. Jane doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Będzie to jeszcze trudniejsze, jeśli napastnik majstrował przy miejscu zdarzenia. Choć tutaj na to nie wygląda. Zresztą nawet w idealnych warunkach nie jest możliwe precyzyjne określenie przebiegu zdarzenia na podstawie samego miejsca. Tak przynajmniej zawsze tłumaczyła jej matka.

- Jane? – jej partner, sierżant Andy Tate, wchodzi kuchennymi drzwiami.
- Co jest?

Przywołuje ją do siebie ruchem palca wskazującego. Wychodzą razem na zewnątrz. Andy wskazuje na drugą stronę ulicy, na północ.

– Widzisz ten biały dom? Ten w stylu wiktoriańskim? – mówi. – Północno-zachodni róg Thomas i Lathrow.

– Taaa... i co w związku z nim?

– Mieszka w nim rodzina Dunleavych – zaczyna wyjaśniać Andy. – W tym sześćdziesięcioletnia Mary Dunleavy.

– OK. I?

– Wczoraj Mary położyła się do łóżka około dziewiętnastej trzydzieści. Jak na nią to wcześnie, ale rozboleła ją brzuszka. Pewnie zjadła za dużo cukierków, co nie? W końcu wczoraj było Halloween.

– Możliwe.

– Około dwudziestej lub może pół godziny później spojrzała przez okno swojego pokoju, które wychodzi na południe.

Jane widzi to okno.

– Zobaczyła mężczyznę stojącego za drzewem. Patrzył w stronę domu Betancourtów. Powiedziała, że obserwowała go przez „długi czas”. Nie potrafiła określić dokładniej, jak długo mu się przyglądała. Powiedziała tylko, że ten mężczyzna gapił się w stronę domu Betancourtów. Oczywiście również przez „długi czas”. W końcu tak się wystraszyła, że zeszła na dół. Powiedziała mamie, że się boi, ale nie powiedziała dlaczego. Opowiedziała o tym dopiero teraz. Dosłownie przed chwilą.

Jane wskazuje palcem na miejsce.

– Chodzi o to ogromne drzewo. O tam, na południowy wschód? Na rogu?

– Tak, właśnie o to chodzi – potwierdza Andy.

– Powiedz mi coś więcej o tym facecie.

– Miał na sobie kostium. Czarny kostium z szerokim i długim kapturem. Taką jakby szatę. Od stóp do głów. Mary nie widziała jego twarzy.

– Była może w stanie podać więcej szczegółów odnośnie do tego kostiumu?

– Właściwie tak – mówi Andy i pokazuje Jane swój telefon. – Przejrzeliśmy w sieci katalog kostiumów halloweenowych.

Jane patrzy na zdjęcie w telefonie Andy’ego. Przeszywa ją dreszcz. Patrzy na czarną szatę z wydłużonym kapturem.

– Brakuje tylko kosa, co nie? Czy co on tam nosi – mówi Andy.

Jane kieruje wzrok na swojego partnera i pyta:

– Czy to... Ponury Żniwiarz?

– Jane, proszę cię z powrotem do środka.

Jane wraca więc do domu Betancourtów. Ria Peraino, technik kryminalistyki z Lokalnej Grupy Zadaniowej ds. Zbrodni stoi na schodach prowadzących na pierwsze piętro. Parę lat temu Jane pracowała z Rią przy sprawie napaści na tle seksualnym i od razu ją polubiła.

– Mamy tu coś, co może was zainteresować – mówi Ria i przywołuje Jane ruchem ręki.

Jane ostrożnie wchodzi na schody, a za nią podąża Andy. Ria zatrzymuje ich przed wejściem na półpiętro.

– Stop. Tylko ja idę dalej, OK? Na całym półpiętrze są ślady krwi.

– Jasna sprawa – mówi Jane.

Ria ostrożnie podchodzi do ściany. Omija przy tym znaczki kryminalistyczne. Tuż przy ścianie, poniżej kolorowego impresjonistycznego obrazu, który pozostał nietknięty, znajduje się mały antyczny drewniany stolik w ciepłym odcieniu brązu. Pewnie ten kolor ma jakąś wymyślną nazwę jak cappuccino. Stolik ma gięte nóżki i półeczkę, która jest pusta. Wygląda na to, że służył jako podstawa pod kwiaty (porozwalane teraz po podłodze wraz z kawałkami wazonu) oraz oprawione zdjęcie Betancourtów (również leżące na ziemi, szybko do dołu).

Ria patrzy na kolegów z takim uśmiechem, jakby była prowadzącą teleturniej i za chwilę miała ujawnić, jaka jest główna nagroda. Robi zamaszysty, lekko teatralny gest i podnosi drewniany stolik, by pokazać, co leży pod nim.

– Telefon – mamrocze pod nosem Jane.

Jaskraworóżowy telefon.

– Andy, zadzwoń jeszcze raz na numer Lauren – mówi Jane. – Ten zarejestrowany w Village.

Z torebki na dowody rozlega się bzyczenie. To telefon zarejestrowany na Lauren Betancourt, który znaleźli na kuchennym blacie.

– W takim razie o co chodzi z TYM telefonem? – mamrocze Jane. Bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

– To jednorazówka – mówi Andy. – Lauren raczej nie wyszłaby z czymś takim na ulicę. Wybrałaby wypaszonego iPhone'a albo samsunga. To, moje drogie koleżanki, jest telefon miłosny.

Przed Halloween

Sierpień

18
Simon

– Chciał mnie pan widzieć, panie dziekanie? – mówię.

– Ach, Simon... proszę, proszę. Usiądź.

Dziś prodziekan Comstock ma fioletową muszkę pasującą do barw uczelni. W całym swoim życiu ani razu nie założyłem muszki. Nie znoszę muszek.

Mógł przyjść do mojego gabinetu. Przecież by od tego nie umarł. Ale to by zaburzyło jego koncepcję. Zachwiało dynamiką naszej relacji. Jakby już nie miał nade mną wystarczającej władzy.

– Mam nadzieję, że zdążyłeś zastanowić się nad tym, o czym ostatnio rozmawialiśmy.

Taa... „rozmawialiśmy” o tym, że chcesz, żebym wycofał się po cichu i pozwolił synowi twojego darczyńcy wepchać się na stanowisko profesora.

– Obiecałem panu, że porządnie to przemyślę – mówię. – I właśnie to robię.

Wciąż ani nie dałem znać, że się wycofuję, ani nie złożyłem wniosku wraz z niezbędnymi materiałami. Jednak wciąż mogę to zrobić. Termin mija dopiero za parę tygodni.

Sam nie wiem, dlaczego nie dałem sobie z tym siana. Może to mój pasywno-agresywny protest przeciwko naciskom ze strony pana dziekana. Chęć trzymania go w niepewności do ostatniej chwili.

A może naprawdę złożę ten wniosek. W końcu Vicky wyraziła się w tej sprawie jasno, a zawsze potrafiła wywrzeć na mnie wpływ.

Najwyraźniej nie tego się spodziewał. Zakładał, że po naszej rozmowie (tej przed wakacjami), formalnie zrezygnuję z aplikowania na to stanowisko. Kto wie, być może nawet obiecał to tatusiowi Reida Southerna, Panu Bankomatowi. Jeśli tak, to by znaczyło, że stawiam go w niezręcznej sytuacji, a tego przecież nie chcemy, prawda?

– Mam nadzieję, że rozumiesz... chcę dla ciebie jak najlepiej. Naprawdę – mówi.

Kiwam głową. Tylko na tyle mnie stać. Gdybym próbował zmusić się do akceptowalnej społecznie odpowiedzi, chyba puściłbym pawia.

– Simon – to mówiąc, odchyła się na swoim wielkim skórzanym fotelu. – Z pewnością rozumiesz, że w obecnych czasach uczelnia musi być niezwykle ostrożna i wyczulona na kwestie związane z reputacją swojej kadry.

To co PAN tu robi, panie dziekanie?

– Oczywiście – mówię.

– Na pewno więc zdajesz sobie sprawę z tego, że musimy być niezwykle wyczuleni nie tylko na obecną reputację naszych kandydatów, ale także na ich... ich przeszłość.

Mrugam, a następnie stopniowo narasta we mnie napięcie pod wpływem jego intensywnego spojrzenia.

– Wszyscy znamy takie przypadki... ludzie potrafią stracić swoją pozycję przez coś, co miało miejsce... dwanaście, a nawet piętnaście lat temu – kontynuuje.

Dwanaście lat temu. Piętnaście lat temu. Nie wybrał tych liczb przypadkowo.

Nie próżnował pan, panie dziekanie.

– Najmniejszy szczegół może zaważyć na ogólnej ocenie – mówi. – Szczególnie kiedy poziom obu kandydatów jest tak wyrównany, jak w przypadku ciebie i Reida.

Uśmiecha się. Widać, że dobrze się przy tym bawi.

– Rzecz jasna, gdyby wybór był oczywisty, jak może mieć to miejsce w przypadku aplikowania przez ciebie innym razem – mówi to z protekcyjnym, a jednocześnie mocno sugestywnym spojrzeniem – bardzo możliwe, że nie byłoby potrzeby grzebać tak głęboko w przeszłości. Naprawdę wątpię, by w takich okolicznościach ktokolwiek DOCIEKAŁ, co młody człowiek robił jakieś dwanaście lat temu.

Jakieś dwanaście lat temu. Jakieś dwanaście lat temu.

– Ale w przypadku tak zaciętej rywalizacji. Tak silnej konkurencji... – mówię, starając się zapanować nad swoim głosem.

Rozkłada ręce.

– Naturalne jest, że ludzie szukają wszystkiego, co tylko może przeważać na korzyść lub też niekorzyść kandydata. Prześwietlają całą jego przeszłość. Nawet rzeczy, o których kandydat zapomniał wspomnieć, aplikując po raz pierwszy do pracy na tej uczelni.

Moja szczęka zaciska się tak mocno, że aż boli. Zęby zgrzytają. Mam mroczki przed oczami.

– Nie miałem obowiązku ujawniać tych informacji – szepczę.

– Rozumiem, Simon. W pełni rozumiem – mówi. – Poza tym istnieje coś takiego jak domniemanie niewinności. Oczywiście nic nigdy nie zostało udowodnione. Po prostu zastanawiam się... co by się stało, gdyby wszyscy się o tym dowiedzieli? O procesie i całej reszcie.

Tak, proces i cała reszta.

– Dlatego po raz kolejny mówię ci, że chcę dla ciebie jak najlepiej. Stąd bierze się moja sugestia. Po prostu wydaje mi się, że to nie najlepszy czas, żebyś aplikował na to stanowisko.

Powoli podnoszę na niego wzrok. Patrzę mu prosto w oczy. Plus dla niego za to, że trzyma się twardo. Przymilny uśmiezek nie schodzi mu z twarzy. Nie odwraca wzroku.

– A jeśli się wycofam? Nie będę aplikował? – mówię.

– Cóż, wtedy nie będzie najmniejszego powodu, żeby ktokolwiek przejmował się takimi zamierzchłymi czasami – mówi. – Przynajmniej ja tak to widzę.

19

Vicky

Wracam z dziennej zmiany w ośrodku – na którą składało się między innymi robienie zakupów, sesja grupowa i próba naprawienia zepsutej klimatyzacji w pokoju na górze – prawie o osiemnastej. Parkuję w garażu przy alejce za domem. Wchodzę od strony podwórka. Jest tu zacisznie, a wysoki żywopłot zapewnia prywatność. Wchodzę tylnymi drzwiami przy akompaniamencie alarmu robiącego bim-bam. Elektroniczny kobiecy głos oznajmia: „tylne drzwi”.

Nie słyszę Simona. Ani na dole, ani na górze.

– Halo?! – wołam.

– Odkładam swoją torebkę i idę w stronę schodów.

– Simon? – próbuję znowu.

Nic. Nie bierze prysznic, bo słyszałabym dźwięk lecącej wody.

– Simonie Peterze Dobiasie!

Może nie ma go w domu. Powiedział, że będzie. Może poszedł pobiegać. To jego bieganie...

Wchodzę po schodach.

– Haa-ll-oo – mówię śpiwnym głosem.

Coś słyszę. Coś na górze. Wchodzę na korytarz. Schodki (na co dzień schowane w suficie) są rozłożone. Jest na tarasie na dachu.

Wchodzę po schodkach, otwieram dodatkowe drzwi zabezpieczające przed wichurą i staję na drewnianej podłodze tarasu. Simon siedzi na jednym ze składanych foteli ogrodowych, które sam tutaj przytaszczył, i pije Jacka Daniel'sa.

– Hej! – wołam do niego.

Odwraca się i przywołuje mnie machnięciem ręki.

– Nie słyszałem, jak wchodziłaś – bełkocze.

– Wszystko w porządku?

Siadam na drugim rozkładanym fotelu i przyglądam się Simonowi. No tak, szkliste spojrzenie. Ktoś tu sobie nie żałował whiskey.

Zabieram mu butelkę.

– Co się stało?

– Co się stało? – zrywa się z fotela i rozkłada ręce w taki sposób, jakby przemawiał do mas. – Co się stało? To się stało, że on wie, co się stało.

– Kto wie? Co wie?

– Pan Dziekan Ciućmok, jak go pięknie zwiesz – podnosi brodę i kiwa głową. – Wiesz co? Też będę go tak nazywał.

– CO wie, Simon? Co on wie?

– On WIE – odwraca się i zaczyna iść, zataczając się. Nie jest wprawdzie blisko skraju tarasu, ale i tak zaczynam się denerwować.

– Simon...

– O ile mnie pamięć nie myli, zdarzyło się to dwanaście lat temu! – woła, zachowując się przy tym jak cyrkowy konferansjer. Kręci się w kółko dla swojej wyimaginowanej widowni.

Dwanaście lat...

O nie. O kurwa.

– Rok 2010! Z tego, co pamiętam, sprawa dotyczyła zabójstwa znanego...

– Hej! – łapię go za ramiona i opieram swoje czoło o jego. – Mów ciszej, bo jeszcze ktoś cię usłyszy.

– Nie obchodzi mnie...

– Obchodzi cię, obchodzi – syczę, przytrzymując ramiona Simona, podczas gdy ten próbuje się wyswobodzić. – Przestań zachowywać się jak debil i porozmawiaj ze mną. Pozwól sobie pomóc.

– Mam totalnie przejebane – mówi Simon, opierając się o drewnianą barierkę tarasu z twarzą ukrytą w dłoniach. – Prodziekan ma mnie w garści.

Przejeżdżam dłonią w górę i w dół po jego plecach.

– Wcale nie masz przejebane. Coś wymyślimy – mówię.

– Nad czym tu myśleć? Trzyma mnie za jajca.

– No i co niby takiego ma? Nie zostałeś wymieniony w uzasadnieniu z im...

– Och, daj spokój, Vick – podnosi głowę i patrzy na mnie. Jest błądy i cały się trzęsie. – Równie dobrze mogli podać moje pełne dane. Każdy myślący człowiek w pięć sekund rozwiąże tę „zagadkę”. Zorientuje się, że Sąd Apelacyjny mówił o mnie. „Członek rodziny” – tak zostałem określony w jednym miejscu. A w drugim Sąd wspomniał, że „członek rodziny” to dwudziestoczteroletni mężczyzna. A ilu męskich członków rodziny miał mój ojciec? Szczególnie tych, którzy mieli dwadzieścia cztery lata w 2010 roku? Mama nie żyła, a ja byłem jedynakiem. Podobnie zresztą jak mój ojciec. Nie miał żony, innych dzieci, braci, sióstr, siostrzenic, siostrzeń...

– OK, OK – biorę go za rękę. – Kapuję. Każdy, kto zna kontekst i przeczyta uzasadnienie, będzie wiedział, że chodzi o ciebie.

– A i tak zapytaliby mnie o to wprost – mówi. – Gdyby ktoś poinformował o tym Komisję do Spraw Stopni i Promocji Naukowych, zostałbym poproszony

o potwierdzenie, że chodzi o mnie. A wtedy musiałbym powiedzieć: „tak”.

– Nie musiałbyś.

Rzuca mi piorunujące spojrzenie i mówi:

– Nawet gdybym skłamał w tej sprawie – czego nie zamierzam robić – nikt by mi nie uwierzył. Wszyscy mieliby mnie za kłamcę. Jakby bycie podejrzanym o zabójstwo nie wystarczyło.

– Oj, przestań już dramatyzować z tym „podejrzanym o zabójstwo” – mówię.
– On nie żyje od dwunastu lat, Simon, a jakoś nie widzę, żebyś siedział teraz w pierdlu.

– Tak, a zgadnij dlaczego? Przeczytaj uzasadnienie. Wszyscy pomyślą, że upiekło mi się ze względów formalnych.

– Przesadzasz. Kto jak kto, ale zgraja profesorów prawa chyba rozumie i docenia znaczenie tajemnicy zawodowej.

– Oczywiście, że tak, i zapewne nawet zgodziliby się z decyzją sądu. Ale to o niczym nie świadczy. A już na pewno nie o tym, że nie zabiłem ojca.

Na to już nie mam żadnej przyzwoitej odpowiedzi. Ma rację. Staram się go pocieszyć, pomóc mu się otrząsnąć, ale ma rację. To uzasadnienie cały czas wisiało mu nad głową. Czaiło się dwanaście lat, żeby spaść na niego w najmniej odpowiednim momencie. Dotyczyło wezwania na przesłuchanie wydanego przez wielką ławę przysięgłych w sprawie zabójstwa Theodore’a Dobiasa w jego domu w St. Louis w Missouri. Przeniósł się tam po śmierci Glory, kiedy Simon nie chciał mieć z nim już nic wspólnego. Sąd Apelacyjny nie wskazał, rzecz jasna, Simona z imienia i nazwiska, ale wymienił go jako dwudziestoczteroletniego mężczyznę, który był członkiem rodziny Teda. I Simon ma rację – tylko on pasuje do tego opisu.

Prokurator okręgowy w St. Louis był bardzo ciekawy, czego dotyczyła poranna rozmowa telefoniczna Simona z jego psychoterapeutką, dzień po tym, jak Ted został znaleziony w swoim basenie – zadźgany. Wielka ława przysięgłych wezwała terapeutkę na przesłuchanie w charakterze świadka, jednak ta zasłaniała się tajemnicą zawodową. Simon postanowił walczyć. Zatrudnił prawnika. Sprawa trafiła do sądu apelacyjnego, który orzekł na korzyść Simona. Nikt nie mógł zapytać jego terapeutki, co usłyszała tamtego ranka.

Policja prawdopodobnie nadal uważa, że to syn zabił swojego ojca, ale w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie tego udowodnić. Poza tym Simon ma rację. Coś takiego nie wyglądałoby dobrze przed tą jego uczelnianą Komisją. Wszyscy pomyśleliby, że uniknął odpowiedzialności fartem. Tak, gdyby Komisja się dowiedziała, Simon byłby skończony.

Teraz przechadza się po środku swojego tarasu na dachu z rękami na biodrach. Rozgląda się dookoła.

– Moi rodzice kiedyś tańczyli na tym tarasie – mówi. – Opowiadałem ci kiedyś o tym?

Podchodzę do niego.

– Nie – odpowiadam.

– No to teraz już wiesz. Przychodzili tu z butelką wina i małym boomboksem. Włączali muzykę i tańczyli. Czasem mama nawet śpiewała. Miała fatalny głos, ale rany... jak bardzo ją to nie obchodziło. Nic a nic – wskazuje na miejsce, gdzie stoją fotele ogrodowe. – Czasami robiliśmy sobie tutaj mały piknik. Wtedy siedziałem na krześle z kartonikiem soku i kanapką w ręku, a oni tańczyli. Szkoda, że nie... Szkoda, że nie widziałas, jak ona na niego patrzyła. Pamiętam, co sobie wtedy myślałem. Zastanawiałem się, jakie to musi być wspaniałe uczucie, kiedy ktoś patrzy na ciebie w taki sposób.

Dotykam jego ramienia.

– Przepraszam – mówi. – Ja... za dużo wypilem.

Obejmuję go i kładę głowę na jego piersi.

– Zatańcz ze mną – szepczę.

Kołyszemy się w przód i w tył. Śpiewam pewnie nie lepiej od jego matki, więc po prostu bujamy się do dźwięków ulicy na dole: bawiących się i krzyczących dzieciaków, muzyki z przejeżdżających samochodów i świergotu ptaków. Przyciska mnie mocno do siebie. Słyszę, jak szybko bije mu serce.

Simon zasługuje na kogoś, kto będzie patrzył na niego tak jak Glory na Teda. Zasługuje na więcej, niż mogę mu dać.

– Nie wiem, co ona w nim widziała. Co takiego miał w sobie – mówi. – Będąc dzieckiem, człowiek nie zdaje sobie sprawy... to znaczy, widzi się tych ludzi tylko jako swoich rodziców. Z perspektywy czasu jest dla mnie oczywiste, że była od niego sto razy lepszym człowiekiem. Pod każdym względem. Ale, Boże, jak ona do niego lgnęła. Upajała się nim. Był dla niej wszystkim. A kiedy on... kiedy on...

– Wiem – szepczę. – Wiem.

– To ją zniszczyło. Wiesz? To ją normalnie... ZŁAMAŁO.

Simona też to złamało. Podobnie jak teraz. Dławi się łzami.

Pocieram mocno jego plecy.

– Wszystko będzie dobrze – mówię. – Wszystko jakoś się ułoży.

– Szkoda, że ja nie mam w sobie takiej pewności.

– Pozwól sobie pomóc – mówię. – Pozwól, że pomogę ci z tym dziekanem.

– Nie – Simon wyrywa się z mojego uścisku i macha mi przed twarzą palcem. – Nie. Dziękuję ci, ale nie.

– Dlaczego nie? Przecież sam powiedziałeś, że Pierdziekan ma cię w garści. Jeśli teraz się ugniesz, już zawsze będzie wykorzystywał twoją przeszłość

przeciwko tobie. Nigdy się od niego nie uwolnisz. Będziesz grzecznie chodził u niego na smyczy.

– Nieważne, nie obchodzi mnie to. Najwyżej... zmienię uczelnię. Będę wykladał gdzie indziej.

– Ale przeszłość nie da ci spokoju. Będziesz miał na tym punkcie obsesję. Dobrze cię znam. Będiesz zafiksowany na Panu Dziekanie Ciućmoku i Reidzie Southernie. A wiesz, skąd to wiem? Bo masz taką samą obsesję na punkcie tego członka z ogólniaka, Mitchella Kitchensa.

Podnosi butelkę Jacka i bierze kolejny duży łyk. Wiatr zgarnia mu włosy z czoła.

– Wcale nie. Nie mam żadnej obsesji na punkcie tego człowieka.

– He, he! Dobrze sobie.

Patrzy na mnie i widać, że chciałby coś odpowiedzieć, ale w porę się powstrzymuje. Simon często żartuje, że ma irlandzkiego alzheimera – pamięta tylko o doznanych krzywdach i upokorzeniach.

– To co innego – mówi. – Tu chodzi o moją karierę. O coś, co sam sobie w życiu wybrałem. Nie chcę, żeby to zostało... sam nie wiem, jak to ująć... splugawione. Nie chcę dostać tego awansu tylko dlatego, że sytuacja się odwróciła i nie wiem... zaszantażowałem czymś prodziekana.

– Dostaniesz ten awans, kiedy wydział, a potem Komisja tak zdecydują. Ale na podstawie twoich osiągnięć i niczego innego – mówię. – Chodzi tylko o to, żebyś miał równe szanse. Żeby Pierdziekan cię nie sabotował.

Potrząsa głową, długo i powoli.

– Nie, Vicky. Nie ma mowy.

Simon idzie do łóżka pijany i przybity. Zwykle kładzie się wcześniej, bo wstaje bladym świtem. Przykrywam go kołdrą i idę do gabinetu.

Obiecałam Christianowi Newsome'owi, że pokażę mu postanowienia trustu, który ogranicza Simona w rozporządzaniu pieniędzmi, a jego żonę od nich odcina na pierwsze dziesięć lat małżeństwa.

Odpalam PDF-a z obwarowanym warunkami Trustem Theodore'a Dobiasa, który wprawdzie przekazał synowi pieniądze, ale musiał się przy tym trochę porządzić. Skupiam się na użytych sformułowaniach. Cóż za wspaniałą niespodziankę Ted zostawił synowi na wypadek swojej śmierci:

1) Jeśli SIMON zawrze związek małżeński, środki z niniejszego trustu nie mogą zostać

wydane w żaden sposób przez lub na rzecz jego MAŁŻONKI przez okres pierwszych 10 (dziesięciu) lat trwania małżeństwa, liczonych od dnia jego

zawarcia.

Zastrzeżenie to obejmuje, lecz nie ogranicza się do:

a) wydatków poczynionych dla wspólnej korzyści SIMONA i jego MAŁŻONKI, w tym między innymi...

Co za dupek. Jak mógł zrobić coś takiego Simonowi? Próbować sterować jego życiem nawet z za grobu? Albo dajesz komuś pieniądze, albo nie. Łaski bez. Ale położyć tak łapę na cudzym małżeństwie i to w dodatku takim czysto hipotetycznym? To dopiero próba wykastrowania własnego syna.

No i oczywiście jest ten cudny fragment:

Jedynie w przypadku, gdy SIMON i jego MAŁŻONKA pozostaną w związku małżeńskim przez okres 10 (dziesięciu) lat i w tym czasie ani SIMON, ani jego MAŁŻONKA nie złożą pozwu o rozwód, zastrzeżenie, o którym mowa w punkcie pierwszym przestanie obowiązywać.

Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką i pozostaniesz przez dziesięć lat w związku małżeńskim z Simonem, MAŁŻONKO, i nie tylko się nie rozwiedziecie, ale też żadne z was niełoży pozwu o rozwód, MAŁŻONKO, wtedy będziesz mogła położyć swoje chciwe, brudne łapska na forsie. Bo dopiero wtedy będzie można uznać, że sobie na nią zapracowałaś, MAŁŻONKO.

Skąd ten cynizm, Teddy? Nie wszystkie kobiety wychodzą za mąż dla pieniędzy. Tylko niektóre.

Drukarka w rogu pokoju zaczyna mieć i wypluwać strony trustu. Nagle dzwoni mój telefon. Najwyraźniej moje kochane M&Msy chcą porozmawiać na kamerce. Wkładam do uszu AirPods, żeby nie obudzić Simona.

Kiedy odbieram, okazuje się, że tylko moja starsza siostrzenica chce pogadać. Jakość obrazu pozostawia wiele do życzenia, ale widzę, że Mariah jest nie w sosie. Nikt nie potrafi marszczyć brwi tak dobrze jak trzynastolatka.

– Hej, słońce ty moje! – staram się mówić dość cicho, ale i tak zamykam drzwi gabinetu.

– Stało się. Dostałam – mówi.

Dostałam... Ach, no tak!

– OK... tylko spokojnie. Byłyśmy na to przygotowane, prawda? Spodziewałyśmy się tego.

Potakuje, ale jej twarz wykrzywia grymas.

– To normalne, Mariah. Całkowicie normalne. Założyłaś podpaszkę?

Potakuje, a po policzku płyną jej łzy. Sam fakt dostania pierwszej miesiączki generuje wystarczająco dużo silnych emocji, więc kiedy doda się do tego jeszcze brak matki, z którą można by było o tych sprawach porozmawiać, tworzy się mieszanka wybuchowa. Takie „podwójne szczęście”.

– No to super! A powiedziałaś może o tym tacie?

– Nie! – fuka na mnie.

– Słońce, wiesz, że nie możesz ukrywać tego przed tatą. Przecież on też dobrze wie, że w tym wieku to normalne.

Tak, mój szwagier (a właściwie były szwagier), Adam, w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że nastoletnie dziewczynki dostają okresu, i bardzo bał się nadejścia tej chwili. Mężczyźni nie mają pojęcia o kobiecej anatomii.

– Kiedy... kiedy przyjeżdżasz? – nie czy, tylko kiedy. Jak widać, już postanowione.

– Wpadnę w ten weekend, dobrze, słoneczko? Przyjadę w piątek wieczorem.

– OK – jęczy – a kiedy przyjedziesz do nas na stałe?

Ach, o to chodzi.

– W listopadzie – mówię. – Pamiętasz? Mówiłam ci...

– Ale do listopada zostały ponad dwa miesiące!

Biorę głęboki wdech. Tak, zgadza się. Do listopada zostały ponad dwa miesiące, ale czas szybko leci. Mam wrażenie, że to już za chwilę.

– Mariah, kwiatuszku, przed listopadem możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko najdzie cię ochota, OK? No i przyjadę na cały weekend. Pójdziemy na shake’a do tego twojego ulubionego miejsca.

– Barton’s.

– Do Barton’s. Będzie fajnie. Zobaczysz – mówię. – A zanim się obejrzyś, będzie listopad.

Po rozmowie z Mariah idę sprawdzić, co z Simonem. Śpi spokojnym, pijackim snem. Ciekawe, co mu się śni? Pewnie wielka ława przysięgłych i pierdziekan Ciućmok.

W listopadzie się stąd zmywam. Już postanowione. Tak będzie lepiej dla wszystkich, a dziewczynki mnie potrzebują. Ale nie zostawię Simona samego z tym problemem. Na pastwę losu. Kiedy jego kariera naukowa wisi na włosku.

Bo tak właśnie jest. Jeśli teraz się nie postawi i pozwoli się szantażować, równie dobrze może od razu pakować manatki. A to by go zabiło. Jasne, może wykładać gdzie indziej, ale on kocha Chicago i tę uczelnię.

Jeśli nic z tym nie robi, już zawsze będzie wyglądał tak jak dzisiaj: na zrezygnowanego i pokonanego.

Nie. Nie pozwolę na to. I nie zamierzam prosić Simona o pozwolenie.

Ten Ciućmok jest mój.

Wyciągam telefon i wybieram numer Rambo.

– Panienska Vicky! – słyszę, że jest na głośniku. – Czy aby o tej porze nie powinna panienska spać?

– Znowu potrzebuję twojej pomocy – mówię. – Kiedy możemy się spotkać?

20

Simon

Nie mam żadnej „obsesji” na punkcie Mitchella Kitchensa. Po prostu czasem o nim myślę.

Oczywiście wałkował przezwisko „Mini Mój” ile wlezie i zawsze wybierał na to najbardziej nieodpowiedni dla mnie moment. To było takie żenujące. Zawstydzające. Wołał tak na mnie, kiedy wychodziłem ze szkolnego autobusu. Przy wszystkich. Robił to też na korytarzu pełnym ludzi. Czasem udawało mu się namierzyć mnie w sali gimnastycznej przed apelem. Wtedy cała szkoła słyszała. Raz nawet krzyknął tak przy mojej mamie, która przysła odebrać mnie ze szkoły, bo źle się poczułem. Przechodziliśmy razem przez salę gimnastyczną i akurat pech chciał, że Mitchell miał wtedy swój zapaśniczy trening. (Wuefista był jednocześnie trenerem zapaśników, więc ci mieli zajęcia z wychowania fizycznego razem i robili z nich drugi trening – oprócz tego po szkole).

Mniejsza o to. Przechodziłem z mamą przez salę gimnastyczną i rzecz jasna Mitchell zaczął skutecznie swoje końskie zaloty: „O! To Mini Mój! Hej, Mini Mój!”. Nie zareagowałem. Wiedziałem, że normalnie by mi nie odpuścił i wołałby, dopóki bym nie zareagował, jednak tym razem myślałem, że z powodu mojej mamy odpuści. Da sobie siana. Ale nic z tego.

Moja mama zatrzymała się gwałtownie w pół kroku i odwróciła w stronę Mitchella. Nic nie powiedziała. Nie widziałem nawet wyrazu jej twarzy, ale byłem w stanie go sobie wyobrazić. Znając moją mamę z jej wybitnym intelektem i umiejętnościami werbalnymi, mogłem sobie wyobrazić, że prawdopodobnie ma w zanadrzu tuzin ciętych ripost, po których taki neandertalczyk jak Mitchell na pewno by zaniemówił. Ale nic nie powiedziała. Tylko zmierzyła go wzrokiem i ruszyła dalej przed siebie.

Nigdy nie poruszyła tematu Mitchella. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo wstydlivy był to dla mnie temat, i pewnie czekała, aż sam go zacznę. Nigdy tego nie zrobiłem.

Szkoda, że na przezwisku się nie skończyło. Czyż nie było wystarczająco upokarzające?

Cóż, nie są to najprzyjemniejsze wspomnienia, stąd cieszę się, że nie mam żadnej obsesji na punkcie Mitchella Kitchensa.

Anshu właśnie stoi przy drzwiach swojego gabinetu na końcu korytarza na drugim piętrze i wkłada klucz do zamka, by otworzyć drzwi, podczas gdy ja śpieszę się na zajęcia ze studentami.

– No proszę, proszę, kogo my tu mamy. Profesor Bindra – mówię. – Jesteś dziś wcześniej.

– Spotkania, spotkania, a na dokładkę jeszcze więcej spotkań – mówi. – Uroki bycia profesorem. Ale hej, możesz aplikować i sam się przekonać, jak to jest! Wciąż masz czas. Nie jest jeszcze za późno na złożenie wniosku!

– Nie zaczynaj.

Anshu nie zna całej historii. Wie, że prodziekan poprosił mnie o wstrzymanie się z aplikowaniem, by Reid Southern nie miał konkurencji. Jednak nie wie o mojej drugiej wizycie w gabinecie Ciuémoka i jego niespecjalnie zawołowanych groźbach. I nigdy się nie dowie. W tym właśnie tkwi całe piękno tego, co zrobił mi pan dziekan – doskonale wie, że nie mogę ujawnić faktu grożenia mi bez przedstawienia kontekstu. Wyznania, czym mi groził.

Mam szczęście, że cała historia nie wypłynęła wtedy tutaj, w Chicago. To była lokalna sprawa i nie stanowiła łakomego kąska dla chicagowskich mediów. W końcu ojciec już parę ładnych lat przed śmiercią nie był prawnikiem w tym mieście. Pracował wtedy nad „azbestowymi sprawami” z hrabstwa Madison, które wzbogaciły niejedną kancelarię i wykończyły niejedną firmę. Mieszkał z kolei w St. Louis, więc zarówno morderstwo, śledztwo, jak i batalia sądowa miały miejsce w zupełnie innym stanie.

Kiedy tutejsza policja przeszukała mój dom, byłem pewien, że to wycieknie do gazet. Jednak tak się nie stało. O dziwo, uratowały mnie roboty drogowe, przez które samochód techników kryminalistyki i dwa radiowozy musiały zaparkować w alejce za moim domem, zamiast od frontu. Ze wszystkich moich sąsiadów tylko Dearbornowie mogliby zobaczyć policjantów wchodzących i wychodzących tylnym wejściem, ale w tym czasie byli poza miastem. To cud, że choć w przeszukaniu brała udział policja z Grace Park, nie doszło do żadnego przecieku do prasy. Pewnie paru moich sąsiadów zauważyło radiowozy. Być może byli ciekawi, co do cholery się tutaj wyprawia, ale nawet jeśli, to nic nie mówili. O nic nie pytali. Zresztą i tak rzadko bywałem w domu. Większość czasu spędzałem na uczelni.

Spodziewałem się jakiegoś sensacyjnego nagłówka w prasie, czegoś w stylu: *POLICJA PRZESZUKAŁA DOM SYNA OFIARY. MIESZKANIEC GRACE PARK MOŻE BYĆ ZAMIESZANY W MORDERSTWO W ST. LOUIS.* Ale nigdy się takiego nie doszukałem. Nic, żadnej wzmianki. Całe miesiące, a później lata żyłem w poczuciu zagrożenia. Obawiałem się, że sprawa w końcu wypłynie. Kiedy wezwano moją terapeutkę, doktor McMorrow, na przesłuchanie

w charakterze świadka i musiałem walczyć o swoje prawa przed Sądem Apelacyjnym w Missouri, byłem pewien, że wokół sprawy zrobi się szum. Ale znowu się pomyliłem. Mówiono o niej w St. Louis, ale nie w Chicago.

Nie wspomniałem o tym wszystkim, kiedy aplikowałem na stanowisko profesora uczelni, bo niby czemu miałbym to robić? I co takiego właściwie miałem powiedzieć? Że byłem „prawie tak jakby podejrzanym” w sprawie o zabójstwo, ale ostatecznie nie przedstawiono mi żadnych zarzutów?

Cóż, wprawdzie byłem kimś więcej niż „prawie tak jakby podejrzanym”, ale nic z tego nie wynikło.

Nie jestem pewien, co policja spodziewała się znaleźć w moim domu. Czy gliny naprawdę myślały, że zabójca byłby na tyle głupi, żeby zostawić u siebie ślady? A może inne walające się po domu dowody?

Poczułem się urażony. Prawie.

– Czy naprawdę panowie myślą, że na zabicie własnego ojca – powiedziałem wtedy gliniarzom, kiedy zabrali mnie na przesłuchanie do St. Louis – wybrałbym noc przed moim ostatnim egzaminem na studiach? Że niby pojechałem z Grace Park aż do St. Louis po to, żeby dźgnąć ojca w brzuch. A potem co? Musiałbym od razu wsiąść do samochodu, jechać z powrotem sześć godzin i po praktycznie nieprzespanej nocy podejść do egzaminu o ósmej rano. Przecież to się nie klei. Gdzie w tym sens?

– Nigdzie. Nie ma żadnego – powiedział policjant prowadzący sprawę, detektyw Rick Gully. – I właśnie dlatego to doskonałe alibi.

Trudno było mi powstrzymać uśmiech.

A tak przy okazji... dostałem A ¹¹ z tamtego egzaminu.

– Dziękuję, Mario – mówię i łączę dłonie z klaśnięciem – więc większość była zdania, że policja może nurkować ludziom po śmietnikach w celu pozyskania dowodów popełnienia przestępstwa bez uprzedniego uzyskania nakazu. A co na to sędzia Brennan? A może ktoś inny niż Maria, która w sposób godny podziwu do tej pory brała na swe barki cały ciężar odpowiedzi?

Nie przepadam za metodą sokratejską. Nie zamierzam wywoływać nikogo do odpowiedzi tylko po to, żeby bezlitośnie go przemaglować. Sam nie znosiłem stresu na studiach. Tej „adrenalinki”, a raczej strachu, kiedy profesor błądził wzrokiem po liście obecności, szukając ofiary, którą weźmie w krzyżowy ogień pytań.

Żeby nie było, kiedy już się zgłoszą, nie mają ze mną lekko. I dobrze o tym wiedzą. Jednak można kogoś przepytwać w sposób, który promuje analizę krytyczną i debatę, pobudzając tym samym zainteresowanie danym

zagadnieniem, co z kolei przekłada się na lepsze skupienie podczas zajęć. Tyle że takich efektów nie osiągnie się, bazując na strachu. Nie tędy droga. Przynajmniej tak uważam.

– Tak, Brad? – mówię, kiedy podnosi rękę do góry.

– Sędzia Brennan się z tym nie zgodził – odpowiada.

– Tak, Brad, istotnie. Na tym właśnie polega zdanie odrębne, ale dziękuję ci za przypomnienie, jaka jest esencja tej instytucji. A teraz, panie Bradzie, czy byłby pan tak uprzejmy i rozwinął nieco swą myśl? – to mówiąc, kłaniam mu się.

– Twierdzi, że kiedy ludzie wkładają śmieci do worka, zakładają, że pozostają ich prywatną sprawą. Wyrzucamy rzeczy dlatego, że musimy. Ale nie spodziewamy się, że po wyrzuceniu ktoś będzie przeszukiwał nasze śmieci.

– Ale zakładamy i spodziewamy się tego, że śmieciarze je zabiorą – mówię. – Prawda?

– Zakładamy, że zabiorą śmieci i wyrzucą je na wysypisko – mówi – a nie zaczną otwierać worki i przeszukiwać ich zawartość.

– Ale czy wystawienie swoich śmieci przed dom nie jest równoznaczne z zakomunikowaniem rezygnacji ze swoich praw do rzeczy? Ochrony posesoryjnej? Czy nie komunikuje się wtedy światu: „Nie chcę już tych rzeczy”?

– Noo... chyba tak.

– Więc dlaczego, skoro porzuca się swoją własność, ma się prawo do oczekiwań względem tego, co się z nią stanie? Dlaczego ma się prawo do sprzeciwu wobec tego, co się z nią dalej dzieje?

Na te pytania jest wiele możliwych odpowiedzi. Tyle niuansów... to właśnie esencja prawa. Powód, dla którego jest takie wspaniałe. Niesamowite. Najważniejsze w studiowaniu prawa nie jest kucie na blachę, ale uczenie się tego, jak myśleć, dokonywać rozróżnień, być wyczulonym na szczegóły i odpowiednio argumentować oraz bronić swojego stanowiska. Kluczowe jest również zdobycie wiedzy w zakresie wykorzystywania i podkreślania swoich mocnych stron oraz minimalizowania wpływu własnych słabości. Nauka walki zarówno z pasją, jak i ze zdrowym rozsądkiem.

Po moich porannych zajęciach idę do Chicago Title & Trust Building. Docieram na miejsce przed dziesiątą. Na parterze, dzierżąc w dłoni kawę ze Starbucks, wkładam do mojego zielonego telefonu kartę SIM i odpalam to ustrojstwo. Piszę:

Jak się dziś mamy o poranku?

Na to ona odpowiada mi szybko:

Witaj, nieznajomy

Jej flagowy tekścik na rozpoczęcie naszych rozmów.

Nieznajomy? Czyli mam być zupełnie obcy? I tak już jestem wyobcowany. Nie wiem, czy potrafię być jeszcze bardziej.

Na co ona odpowiada:

W takim razie: Witaj, wysoki ciemnowłosy przystojniaczku

Ta wiadomość sprawia, że się uśmiecham. Nie jestem jakoś specjalnie wysoki, moje włosy nie należą do najciemniejszych, a określenie „przystojniaczek” – to gruba przesada, ale to o wiele lepszy tekst. Przymknę nawet oko na fakt, że ciągle zapomina o kropkach. Mój telefon znowu wibruje:

Nie jesteś wyobcowany tylko tajemniczy

Miło z jej strony, ale nie. Jestem wyobcowany. I kolejna wiadomość:

Lubię twoją ciemną stronę. Lubię być dla niej światłem

Mogę odetchnąć z ulgą, bo przynajmniej jedna rzecz w moim życiu zmierza w dobrym kierunku.

Wtorek, 30 sierpnia 2022 r.

To niezwykle przyjemna i ekscytująca podróż, ale na jej końcu znajduje się przepaść. Czy tak właśnie czuje się ktoś uzależniony od narkotyków? Zażywasz coś, bo nic w twoim życiu nie jest tak ważne jak stan, w którym znajdujesz się po danej pigułce czy proszku? Nawet pomimo tego, że ta droga prowadzi cię do destrukcji i dobrze o tym wiesz? I tak to robisz. Powiedzieć, że „i tak to robisz” to jakby nic nie powiedzieć... nie tylko to robisz, ale niczego bardziej nie pragniesz, niż to zrobić. Stawiasz autodestrukcję ponad wszystko inne. Czy to aby nie oznacza, że właśnie o autodestrukcję tu chodzi? Czy to ona od początku jest celem, ale nie potrafisz być ze sobą na tyle szczery, by to przyznać? Dlatego ukrywasz ją pod płaszczykiem czegoś powierzchownie i chwilowo przyjemnego – jak na przykład narkotyczny haj?

Jeśli naprawdę chodzi o autodestrukcję, to po co te całe ceregiele? Marnowanie czasu? Czemu nie zakończyć tego szybko nożem lub pistoletem? No co? Dlaczego nie? Dlatego że nie o koniec ci chodzi, tylko o cierpienie, ból i upadek, podczas gdy twoje ciało niszczeje, środki na koncie bankowym topnieją, czy też zawodzisz tych, których kochasz. Chcesz obserwować własne upodlenie. Chcesz ukarać samego siebie.

Czy to właśnie robię z tobą? Czy jesteś moim narkotykiem, Lauren? Czy w ten sposób wymierzam sobie karę? Nie widząc poza tobą świata, jednocześnie wiedząc, że znów mnie zostawisz? Czy pędzę jak szalony w stronę przepaści?

Czasami właśnie tak się czuję, kiedy leżę w łóżku w nocy, zastanawiając się, co my najlepszego wyprawiamy i w którą stronę zmierzamy. Dręczony brakiem wiary w to, że coś takiego może być prawdziwe. Kwestionuję twoją miłość. Kwestionuję twoje zaangażowanie. Wmawiam sobie, że pewnego dnia obudzisz się i zadasz sobie pytanie, co

takiego wspaniałego we mnie widzisz, i nie spodoba ci się odpowiedź.

A wtedy nie wiem, co zrobię. Wszystko oprócz ciebie jest teraz w moim życiu pozbawione sensu.

Dzień po Halloween

22
Jane

– No dobra, pokażcie, co macie – mówi komendant Ray Carlyle, wpadając do sali konferencyjnej, którą zajęliśmy na posterunku. Wrócił do miasta zaledwie dziewięćdziesiąt minut temu. Najpierw zahaczył o dom Betancourtów, gdzie Jane oprowadziła go po miejscu zbrodni i poinformowała o najnowszym znalezisku.

Sierżant Jane Burke patrzy w górę i mruga. Przyzwyczajają oczy. Trzydziestosiedmiolatka zawsze miała doskonały wzrok. Dopiero niedawno zaczęła oswajać się z myślą, że może przydałyby jej się drugie oczy do czytania z bliska. Teraz, po spędzeniu ostatnich czterdziestu pięciu minut na przeglądaniu zapisów wiadomości tekstowych z różowego telefonu znalezionej w domu Lauren Betancourt, naprawdę żałuje, że nie sprawiła sobie żadnych pingli.

Poza salą konferencyjną cała komenda dwoi się i troi. Wszyscy funkcjonariusze patrolu obecni na służbie (a jest ich dwunastu) łączą siły z technikami kryminalistyki Grupy Zadaniowej. Na miejscu jest też czterech z sześciu sierżantów oraz komendant i jego zastępca. Wszyscy skupiają się na tej jednej sprawie. Jane właśnie uświadomiła sobie, że jej praca będzie teraz polegać głównie na zarządzaniu większością tych ludzi.

– Z zapisów wynika, że z jednorazowego telefonu Lauren kontaktowano się tylko z jednym numerem – mówi Jane. – Żadnych telefonów. Tylko esemesy. No może z wyjątkiem paru nieodebranych połączeń zaraz przed Halloween. Oprócz nich tylko esemesy.

– Więc telefon miał jeden, konkretny cel.

– Tak, bardzo konkretny – mówi sierżant Andy Tate. – Tak jak myśleliśmy. Ci dwoje mieli romans.

– Żadnych imion i nazwisk, jak mniemam?

– Byłoby za dobrze – mówi Jane i podaje komendantowi wydruki. – Byli bardzo ostrożni. Pod każdym względem. Pisali do siebie dwa razy dziennie:

o dziesiątej rano i ósmej wieczorem. Zdarzało im się opuścić kilka takich „sesji”, ale kiedy już do siebie pisali, to zawsze o tych konkretnych godzinach.

Komendant Carlyle kiwa głową i mówi:

– Widocznie te godziny najbardziej im pasowały. Pewnie wtedy nie było w pobliżu ich współmałżonków. A przynajmniej męża Lauren. Wiadomo, czy jej kochaś jest żonaty?

– Po pierwszym czytaniu tych wiadomości nie jesteśmy pewni – mówi Andy. – Ale będziemy jeszcze nad nimi ślęczeć. Przyjrzymy się każdemu szczegółowi. Może i byli bardzo ostrożni, ale na pewno coś znajdziemy.

– Zacznijmy od puenty, szefie – mówi Jane. – Ostatniej wiadomości, którą wysłał sprawca. Ma ją pan tu na samym końcu.

Komendant Carlyle podnosi plik wydruków i zagląda na ostatnią stronę. Jane również, po raz kolejny, czyta wiadomość:

PON., 31 PAŹ., 22:47

Przepraszam, Lauren. Jest mi przykro. Z powodu tego, co zrobiłem. Z powodu tego, że mnie nie kochałaś. Ale nie zamierzam przepraszać za to, że kocham cię jak nikt inny. Idę do ciebie. Mam nadzieję, że przyjmiesz mnie z otwartymi ramionami i pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie kochanym na tym świecie.

– Hmm... „Jest mi przykro. Z powodu tego, co zrobiłem”. Widzę, że mamy tu przyznanie się do winy. „Idę do ciebie” i „pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie kochanym na tym świecie”. Czyli że co? Nasz sprawca postanowił wyświadczyć wszystkim przysługę i strzelić samobója? – komendant patrzy na Jane. – Czy był tak uprzejmy wspomnieć, gdzie zamierza dokonać tego altruistycznego czynu?

– Sprawdzamy informacje o podejrzanych zgonach z całego regionu – mówi Jane. – Wkrótce się czegoś dowiemy.

Komendant uśmiecha się półgębkiem.

– Czy cokolwiek w tych wiadomościach wskazywało na to, że dojdzie do czegoś takiego?

– Cóż, proszę spojrzeć na wczorajsze esemesy – mówi Jane. – Te z Halloween. Proszę cofnąć się o dwie strony.

Komendant Carlyle znajduje odpowiedni fragment. Jane znów czyta razem z nim wiadomości z 31 października, po tym jak zabawa w „cukierek albo psikus” już się zakończyła:

NIEZNANY ROZMÓWCA TELEFON OFIARY (DOWÓD NR 1)

PON., 31 PAŹ., 20:09

Cukierek albo psikus?

PON., 31 PAŹ., 20:12

Halo? Jesteś w domu?

Muszę z tobą porozmawiać.

PON., 31 PAŹ., 20:14

Próba mikrofonu... 1, 2, 3...1, 2, 3...

próba mikrofonu... 1, 2, 3

PON., 31 PAŹ., 20:15

Nie ma mnie w domu. Mówiłam ci,
że jestem poza miastem

PON., 31 PAŹ., 20:16

Dziwne. Mógłbym przysiąc,
że dopiero co widziałem cię
w salonie. Może to jakiś duch!

PON., 31 PAŹ., 20:16

Jesteś przed moim domem???

PON., 31 PAŹ., 20:17

Chcę tylko porozmawiać

PON., 31 PAŹ., 20:18

Nie ma o czym. Proszę cię, wracaj do domu!
Proszę!

PON., 31 PAŹ., 20:18

Wpuść mnie. Nie traktuj mnie
jak dziecko. Wiem, że wciąż
mnie kochasz. Czemu udajesz,
że nie?

PON., 31 PAŹ., 20:19

Więc ZACHOWUJ SIĘ jak dorosły. Przykro
mi. Przecież wiesz, że mi przykro, ale to
koniec

PON., 31 PAŹ., 20:21
Co ty robisz zwariowałeś??!

PON., 31 PAŹ., 20:22
Przestań mi kopać drzwi
bo zadzwonię na policję

PON., 31 PAŹ., 20:23
Proszę bardzo, dzwoń sobie
na zdrowie.

PON., 31 PAŹ., 20:25
Wpuszczę cię jeśli obiecasz że
będziesz się zachowywał normalnie

PON., 31 PAŹ., 20:26
Obiecuję, przysięgam.

Komendant gwizdże.

– No i, kuźwa, robi nam się z tego niezła wersja. Miała dość faceta, więc go rzuciła, ale on nie mógł się z tym pogodzić. Przyjechał pod jej dom. Gapił się na nią przez okno. Napisał do niej, a ona skłamała, że wyjechała. Wytyka jej kłamstwo, bo przecież widzi ją przez okno. Robi na zewnątrz scenę, kopie w drzwi, więc ofiara go wpuszcza. I wtedy sprawca ją zabija.

– W kostiumie Ponurego Żniwiarza – dodaje Andy. – W naprawdę ciemną noc.

– Może sobie nosić, co chce – mówi komendant. – I tak mu to nie pomoże.

Przed Halloween

Wrzesień

23

Vicky

Po Święcie Pracy¹² wracam do Newsome Capital Growth. Znów jestem umówiona na szesnastą. Po przeczytaniu propozycji Christiana spoglądam na niego. Wygląda tak samo jak wcześniej. Przystojniak z trzydniowym zarostem w drogim, ale prostym garniturze i rozpiętej koszuli. Nadal epatuje pewnością siebie, jakby jego życie było niekończącym się pasmem sukcesów.

– Woda? – mówię.

– Mówię ci, to złoty interes. – odpowiada Christian. – Woda staje się towarem deficytowym. I będzie nim coraz bardziej z powodu wzrostu populacji. Mniej niż jedna dziesiąta procenta światowych zasobów wody nadaje się do wykorzystania przy pojeniu iżywieniu siedmiu, a właściwie prawie ośmiu miliardów ludzi.

– Wow.

– No właśnie. Wow – mówi, wskazując na mnie długopisem. – Więc możemy wykorzystać tę szansę. Oczywiście, moglibyśmy zainwestować w obszary bogate w wodę i ją transportować, ale bariera wejścia w ten biznes jest zbyt wysoka.

– Bariera wejścia... ?

– Trudno jest transportować wodę. Potrzebne są do tego rury, które same w sobie generują różnego rodzaju problemy. Rury są drogie i politycznie niepopularne. Do tego dochodzą kwestie własności... Poza tym zaburzają ekosystem, bo jak się nad tym zastanowić... to w końcu transport wody z dala od jej pierwotnego źródła. Przepis na katastrofę, istny efekt domina. Życie wodne, roślinne i obszary przybrzeżne – wszystko może ucierpieć.

– Więc jaka jest alternatywa?

– Najlepiej zainwestować w wodę poprzez żywność. To najmniej kontrowersyjny sposób na jej redystrybucję. UPRAWY i HODOWLA. Prowadzisz je na obszarach bogatych w wodę. Dopiero potem transportujesz żywność. Dokąd? Na obszary w nią ubogie. Czy wiesz, ile wody potrzeba do

wyprodukowania nawet niewielkich ilości jedzenia? Weźmy na przykład taką wołowinę. Potrzeba prawie dwóch tysięcy galonów¹³ wody, żeby wyprodukować jeden funt mięsa¹⁴. A sprzedaż żywności jest opłacalna, prawda? Przemysł spożywczy nie zrezygnuje z kierunku, który gwarantuje zrównoważoną redystrybucję.

– Czyli wykupujesz pola uprawne?

– Dokładnie tak. W ten sposób zapewniłem swoim inwestorom zwroty z inwestycji na poziomie ponad trzystu procent. ROI nie kłamie. Zresztą sama widziałaś nasze wyniki. A będzie jeszcze lepiej. Jeśli dasz mi swoje dwadzieścia jeden milionów, za pięć lat oddam ci sto. Obiecuję, Vicky, że zafunduję ci niezapomniane wrażenia. Przygodę życia.

Biorę głęboki wdech. Niezapomniane wrażenia... przygodę życia, powiadasz? Kiedy miałam sześć lat, musiałam wiązać sznurówkę wokół mojego lewego buta, bo całkiem odeszła od niego podeszwa, a nie było nas stać na nową parę. Cały rok dziwacznie chodziłam, utykałam, żeby tylko się nie rozleciał. Kiedy miałam osiemnaście lat i byłam już zdana tylko na siebie, raz w tygodniu oddawałam osocze. Rzecz jasna, dla pieniędzy. Z kolei kiedy miałam dwadzieścia lat, przespałam się z właścicielem mieszkania, które wynajmowałam, bo nie miałam na czynsz.

Najwyraźniej zbyt długo milczę, bo Christian dodaje:

– Albo druga opcja. Jeśli nie lubisz ryzyka, daj mi dziesięć milionów, a ja zamienię je w pięćdziesiąt. Pozostałe dziesięć baniek zainwestujemy w azjatyckie akcje. Też wystrzelą w górę. Wprawdzie nie zarobisz na nich tyle, co na wodzie, ale taka dywersyfikacja środków może zapewnić ci komfort psychiczny.

Jeszcze zanim skończyłam dwadzieścia cztery lata, seks stał się dla mnie jedynym sposobem na przetrwanie. Postrzegałam go jako transakcję. Mieszkałam w Indianapolis i byłam panienką do towarzystwa. Na początku swojej „przygody” z prostytutką poznałam kobietę, która poradziła mi, żebym zawsze miała wśród swoich klientów gliniarzy. Powiedziała, że to najlepszy sposób, by przetrwać w tej branży i nie narobić sobie kłopotów. Pomagają uniknąć aresztowania. Można też na nich liczyć w sytuacji, gdy trafi się agresywny klient. Posłuchałam tej rady. Moimi klientami byli głównie żonaci bogacze i gliniarze. Nawet kiedy seks nie był transakcją bezpośrednią, zawsze traktowałam go tak pośrednio. Nauczyłam się, jak sprawić, by mężczyźni robili dla mnie różne rzeczy. Na przykład fundowali drogie kolacje, które kończyły się w mojej lub jego sypialni. Wszystko po to, aby mieć w lodówce resztki na dwa dni.

Sumy, o których mówi Christian, są dla mnie tak realne jak perspektywa lotu na Marsa.

– Albo – mówi – nie zrobimy żadnej z tych rzeczy.

Tymi słowami sprowadza mnie z powrotem na ziemię. Zaczynam koncentrować całą swoją uwagę na Christianie.

– Słuchaj, Vicky, rozwiązania, o których mówiłem, nie są dla wszystkich – kontynuuje. – Moi inwestorzy nie boją się ryzykownych inwestycji, bo wiedzą, że mogą na nich najwięcej i najszybciej zarobić. Nie przejmują się przy tym tak bardzo ewentualnymi stratami. Mogą sobie na nie pozwolić. Dla nich strata dwudziestu milionów nie będzie dotkliwa. Mają o wiele więcej. Ty nie. Dlatego w pełni rozumiem, że możesz mieć obawy. Zresztą powiedzmy sobie szczerze, dwadzieścia jeden milionów to i tak kupa kasy. Możesz po prostu na niej siedzieć i, podejmując nieduże ryzyko, inwestować w fundusze obligacji i jakieś fundusze indeksowe. Żyć głównie z odsetek. Możesz sobie na to pozwolić. Nie musisz opuszczać swojej strefy komfortu. Wręcz przeciwnie. Możesz mieć naprawdę komfortowe życie. Nawet bardzo. Jeśli na tym ci zależy... powinnaś pójść w tym kierunku. Mogę ci w tym pomóc. Ja albo którykolwiek z tych inwestorów, z którymi wcześniej rozmawiałaś. Z czymś takim każdy z nich sobie poradzi. Nie będę miał do ciebie żalu, jeśli zdecydujesz się na kogoś innego.

Spoglądam na niego znad propozycji, którą wcześniej mi przedstawił.

– Naprawdę pomógłbyś mi stworzyć portfel niskiego ryzyka?

– Tak, jeśli wolisz iść w tym kierunku.

– Ale z tego co wiem, nie zajmujesz się takimi rzeczami. To znaczy... trochę o tobie czytałam i zdaje się, że to nie twoja bajka.

– Masz rację. Tak naprawdę do tej pory nigdy tego nie robiłem.

– Ale zrobiłbyś to dla mnie?

Podnosi do góry jedno ramię.

– Zrobiłbym.

– Dlaczego?

– Bo... lubię cię – odpowiada. – Podoba mi się twój styl.

Tak myślałam.

Powoli kiwam głową. Patrzy mi prosto w oczy. W końcu to ja zrywam kontakt wzrokowy, by móc przekierować spojrzenie na skórzaną kanapę, a potem znowu na niego. Christian nie odrywa ode mnie wzroku.

– Masz dziś jeszcze jakieś spotkania?

Chwilę wstrzymuje się z odpowiedzią, po czym mówi:

– Nie mam.

– O której twoja recepcjonistka kończy pracę?

Patrzy w kierunku drzwi, coraz bardziej przekonany o tym, że prawidłowo odczytał moje intencje.

– O siedemnastej – odpowiada.

– Możesz ją dzisiaj zwolnić trochę wcześniej? – sugeruję.

Teraz jest już pewien i doskonale wie, co robić.

– Mogę – mówi.

Uśmiecham się znacząco.

– Więc zrób to.

Naciska guzik na telefonie.

– Emily, kończę na dziś i nie ma sensu, żebyś siedziała tu do siedemnastej. Możesz wyjść wcześniej.

Wstaję i zaczynam rozpinać sukienkę. Nie śpieszę się. Jeden guzik... drugi... trzeci... obserwuję go, gdy tak na mnie patrzy. Moja sukienka opada na podłogę. Pochyliłam się nad biurkiem.

– Zostanę przy opcji numer jeden, panie Newsome – mówię. – Proszę zafundować mi niezapomniane wrażenia. Przygodę życia.

24 Vicky

– Możesz mieć rację z tą wodą – mówię. – Bo właśnie tego mi teraz trzeba.

Wyplątuję swoje spocone ciało z uścisku Christiana i złączę z kanapy.

– Jest w lodówce, przy barku – mówi. – Gdzie moje maniery?

Prezentuje ten pełen samozadowolenia uśmiezek charakterystyczny dla facetów, którym się wydaje, że właśnie zawojowali świat.

Był w porządku. OK. Nie tak dobry, jak mu się wydawało, ale w porządku. Wiedział, co robi. Po prostu nigdy z nikim nie doszłam do momentu, w którym czułabym prawdziwą bliskość w trakcie seksu. Zbliżenia to dla mnie w najlepszym wypadku tylko krótkotrwała, czysta przyjemność.

Biorę dla nas po jednej butelce wody i wracam do niego. Podnosząc się z kanapy do pozycji siedzącej, wykorzystuje kolejną możliwość zaprezentowania mi swoich wyraźnie zarysowanych mięśni brzucha. Ma świetne ciało. Tego nie można mu odmówić. Facet musi codziennie godzinami pakować na siłowni. Niektórzy przyrównują kulturystykę do masturbacji. Jest coś na rzeczy.

Christian bierze łyk i wzdycha z zadowoleniem.

– No, no, pani Dobias, to było naprawdę...

Tylko nie mów „cudowne”. Proszę.

– ...bardzo przyjemne.

– Masz w sobie mnóstwo energii.

– To ty ją we mnie wyzwalasz.

– Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

Upijam trochę wody i sięgam po telefon. Za kwadrans dziewiętnasta. Robiliśmy to przez ponad dwie godziny. Jutro będę obolała. Wyszłam z wprawy. Nie uprawiałam seksu od miesiący.

– Mogę o coś spytać? – mówi.

– Śmiało.

– Robiłaś już kiedyś coś takiego?

Wkładam majtki i zapinam stanik.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Jesteś pewien? Nie wolisz dalej podsycać swojej męskiej fantazji? Życ w błogiej nieświadomości? Przeświadczeniu, że tylko ty jesteś w stanie obudzić we mnie dziką tygrysicę?

– Wow – mówi, chichocząc.

Pochylam się do niego. Jesteśmy teraz twarzą w twarz.

– Nie, Christianie. Nigdy wcześniej nie robiłam czegoś takiego. Przez ostatnie dziesięć lat byłam bardzo grzeczną dziewczynką.

Wkładam z powrotem sukienkę. Trochę się wygniotła.

– W końcu nie omówiliśmy postanowień tego trustu – mówi Christian, wkładając spodnie.

– A co z nimi?

– Nigdy nie widziałem podobnego zastrzeżenia, ale miałaś rację. Jest ważne. Musicie być małżeństwem przez dziesięć lat. Do tego czasu nici z kasy dla ciebie.

– No co ty nie powiesz. Ale co z odpowiedzią na moje pytanie?

– Chodzi ci o to, czy kiedy stuknie wam dziesiąta rocznica, będziesz mogła wydawać kasę bez zgody męża?

Odwracam się i patrzę na niego.

– Tak, dokładnie o to mi chodzi.

Przez chwilę ma kamienną twarz, ale zaraz potem do mnie mruga.

– Jak najbardziej. Mój prawnik coś naskrobie dla formalności i jeśli Simon to podpisze, będziesz mogła odetchnąć spokojnie i wydać te pieniądze, na co tylko zechcesz. Pewnie i tak byś mogła, ale lepiej, żeby podpisał te papiery.

– Podpisze – mówię. – Mam to jak w banku.

Oboje przez chwilę milczymy, zdając sobie sprawę, jak ironicznie to zabrzmiało.

– Zależy mi na nim – mówię. – Nie chcę, żeby w jakikolwiek sposób ucierpiał. Nie chcę go skrzywdzić.

– Spokojnie – zbywa moje wątpliwości machnięciem ręki. – Pomogę ci zarobić tyle kasy, że nie będzie wiedział, na co ją wydać.

Przytakuję i zaczynam zbierać się do wyjścia.

– I co będzie dalej?

– W jakim sensie? Przekonam go, żeby podpisał papiery, które mi dasz.

– Nie... – mówi. – Chodziło mi o to... co będzie dalej z nami?

Patrzę na niego.

– Uszanuję każdą twoją decyzję – kontynuuje. – Nie chcę wywierać na tobie żadnej presji.

– Czy to nie kobieta z reguły zadaje takie pytanie?

Śmieje się,

– Może i tak.

– No więc teraz kobieta pyta – mówię. – To ty mi powiedz. Dokąd to zmierza?

– Ja... – wzrusza ramionami. – Już ci mówiłem. Lubię cię. Nie wiem jak ty, ale ja jestem na tak.

Tym razem moja kolej na mrugnięcie.

– Odezwę się – mówię.

Zawsze sprawiaj, by chcieli więcej.

25 Christian

Po dwugodzinnym grzmoceniu Vicky na kanapie w moim biurze wracam do domu. Już prawie dwudziesta. Seks z mężatkami jest najlepszy, bo stanowisz dla nich ujście, sposób na rozładowanie emocji. Jesteś ich Discovery Channel w przeciwieństwie do kluchowatych mężusiów, których pukają tylko z poczucia obowiązku lub wdzięczności. Nawet nie wiesz, co te kobiety potrafią dla mnie zrobić. Do czego jestem je w stanie nakłonić.

Skoro już mowa o kanapach... Gavin właśnie siedzi na mojej z laptopem na kolanach i piwem w ręku.

– Co jest, kurwa? – mówi. – Spóźniłeś się. Mam nadzieję, że chociaż zamoczyłeś – patrzy na mnie, kiedy podchodzę bliżej. – Aha, widzę, że tak. Której świrusce się poszczęściło?

Udaję, że wrzucam piłkę do kosza.

– Celuje i... zalicza! Punkt zdobyty, tłumy szaleją. Kto by się spodziewał!

– Nie pierdol? Numer siedem? Ta z dwudziestoma bańkami i wielkimi balonami?

Nie mówię mu, jak mają na imię. Dla Gavina Vicky jest „numerem siedem” i nim pozostanie. Moim siódmym celem.

Ta anonimowość służy naszej przyjaźni. Pozwala uniknąć kłopotów. Gavin ma swoje przekręty, a ja swoje. Nie dzielimy się ze sobą szczegółami. Przyjaźnimy się od dziecka, ale bez względu na to, jak bardzo mu ufam, wolę nie kusić losu. Gdyby został złapany, coś mogłoby go korcić, żeby mnie wsypać i tym samym złagodzić sobie karę. Wolę nie ryzykować. I *vice versa*. Ja raczej siedziałbym cicho, nawet gdyby federalni mnie dorwali. Gavin podobnie. Ale lepiej mieć pewność. Tak jest dużo prościej.

Tak, w tym mieszkaniu Vicky Lanier Dobias jest po prostu „numerem siedem”. Gavin przygotował dla niej plan finansowy, a ja tylko wpisałem jej imię, nazwisko i nacisnąłem „drukuj”.

– Co tu dużo gadać. Dzisiaj biedaczka nie miała żadnych szans, za to jutro będzie miała zakwasy.

Odkłada laptopa.

– Brawo, Nicky. Teraz to dopiero NADZIANA laska.

Przyjmuję to z właściwą sobie skromnością.

– No dawaj – mówi. – Czekam na pikantne szczegóły.

Biorę butelkę szkockiej z barku. Wróciłem do Chicago latem, po moim ostatnim przekręcie. Numer sześć mieszkała w Lexington w Kentucky. Miała pięćdziesiąt trzy lata i męża, którego zostawiła dla mnie. Dała mi do zainwestowania milion dolarów z ugody rozwodowej. I tyle mnie widziała. Przez kilka miesięcy byłem ostrożny. Ukrywałem się. Potem pojechałem do Chicago. Gavin tu mieszka. Poza tym obaj niedaleko stąd dorastaliśmy.

– Dżentelmen nie opowiada o swoich podbojach – odpowiadam.

– OK, będę na przyszłość pamiętał, gdyby jakiś się tutaj pojawił. No dawaj, nie bądź taki. Rzuć mi jakiś ochłap. Zaliczasz dwadzieścia razy więcej ode mnie.

– Nieprawda. Zapomniałeś chyba, ile to jest dwadzieścia razy zero.

Nalewam sobie trochę szkockiej, podnoszę kieliszek w ramach toastu i połykam jego zawartość z satysfakcjonującym cmoknięciem.

– No weź, Nick.

Macham na niego palcem.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Ojej, przepraszam, panie Christianie. A tak w ogóle to po chuj wybrałeś taką lamerską przykrywkę?

Dolewam sobie szkockiej i biorę kolejny łyk. Lubię mocne, niesłodkie alkohole – zero węglowodanów.

– Bo nikt nie wybrałby na przykrywkę takiego imienia jak Christian.

Gdybym mógł, w ogóle nie zdradzałbym Gavinowi, jakiego imienia teraz używam. To jedyny wyjątek od zasady, że oddzielamy naszą relację przyjacielską od tej biznesowej. Jest to pewien mankament, przyznaję, ale Gavin tworzy moje fałszywe tożsamości i załatwia wszystko, co z nimi związane: historię kredytową i zatrudnienia, prawo jazdy, karty kredytowe, dyplomy i certyfikaty, a nawet te nieprawdziwe artykuły z „Fortune” i „Newsweeka”.

Opadam na fotel.

– Mówię ci, G, to jest to. Myślałem, że numer pięć była dziana, ale ta... o stary.

– Piątka to ta z Milwaukee? Była dziana. Miała kilka milionów, no nie?

– Taa... ale przy siódemce? Dwadzieścia jeden milionów? Po tej robocie przechodzę na pieprzoną emeryturę. W wieku trzydziestu czterech lat. To jak wygrać na loterii.

– Podobała jej się moja propozycja? Te pierdy o wodzie i azjatyckich akcjach?

– Łyknęła to jak młody pelikan. Ale to nie jest totalna ściema? Ludzie w to inwestują, co nie? Tak mówiłeś.

– Ogólnie rzecz biorąc, tak – mówi. – Ludzie spekulują na wodzie. Ale taki zwrot w pięć lat? Nie ma opcji. Ale co ona tam wie?

– Nie wiem – mówię. – I nie obchodzi mnie to.

Kręci głową.

– Ty to masz fart. Ja urabiam się po łokcie za pięćdziesiąt, w porywach do stu tysi, a ty kradniesz seksownej dupencji dwadzieścia jeden milionów i do tego jeszcze ją posuwasz!

– G... posuwam ją, ŻEBY móc ukraść te dwadzieścia jeden milionów. Sama chciała, a wręcz to zainicjowała. Zaczęła się rozbierać w moim gabinecie i paradować w samych majtkach i staniku. Co miałem niby zrobić? Powiedzieć jej, że nie jestem zainteresowany? Od razu zwinęłaby manatki i więcej bym jej nie zobaczył.

– Rozebrała się do gaci w twoim gabinecie? W środku dnia? W środku spotkania? Ja pierdzielę. Dlaczego nie spotkało mnie nigdy coś takiego?

Może dlatego, że twoje nawyki żywieniowe pozostały niezmienione od czwartej klasy szkoły podstawowej. Może dlatego, że nie robisz pięciuset brzuszków dziennie i nie spędzasz dwóch godzin na wolnych ciężarach oraz ściance wspinaczkowej. Może dlatego, że jesteś wielkim, strasznym skurwielem (choć przy tym moim najlepszym przyjacielem).

– Ale numer siedem jest inna. Różni się od tych poprzednich – mówię.

– Co, zależy ci na niej?

– No co ty, weź... Chodzi o to, że nie muszę jej w sobie rozkochiwać, żeby odeszła od męża.

Z reguły właśnie tak to działa. To był jedyny wspólny motyw wszystkich moich dotychczasowych przekrętów. Nakłaniałem je do rozwodu z mężami, którzy nawet nie wiedzieli o moim istnieniu, a co dopiero o tym, że pukam ich żony. Potem przejmowałem kasę i się z nią ulatniałem. To przekręt doskonały, bo najpierw te kobitki z oczywistych względów utrzymują moje istnienie w tajemnicy, a po wszystkim czują się upokorzone i jest im tak głupio, że nie chcą o tym mówić. Namawiam je, żeby nie wyjeżdżały z wysokimi oczekiwaniami rozwodowymi. Dzięki temu ich mężowie szybko się zgadzają. Są bogaci i gotowi zapłacić jednorazowo pewną, niewielką dla nich sumę, żeby mieć to wszystko jak najszybciej z głowy. Fakt, że mógłbym wydoić od nich więcej, ale tego nie robię, trochę mi ciąży. Nie będę ukrywał. Ale dzięki temu mogę pozostać anonimowy i dość szybko powiedzieć: „adios”.

Za każdym razem działałam w trochę inny sposób; i jest to celowe. Nie mogę wciąż powielać jednego schematu. Kilka razy udawałem grubą rybę, odnoszącego sukcesy pana inwestora – jak teraz z Vicky. Ale przed nią ostatni raz odgrywałem tę rolę lata temu, z numerem cztery w Santa Fe. Mogę być, kimkolwiek zechcę. Dla numeru trzeciego byłem instruktorem fitness w Naples. Dwójeczka знаła mnie jako aspirującego aktora, który dorabiał w knajpie.

Z kolei numer sześć z Lexington dał się nabrać, że jestem studentem. Znajduje odpowiednią kobietę – czasem ona znajduje mnie – i sprawiam, że mnie pragnie, kradnę ją mężowi, a na koniec kładę łapę na forsie.

– Numer siedem jest inna – mówię – bo nie muszę jej przekonywać, żeby odeszła od męża. Owinęła go sobie wokół palca. Może zrobić z pieniędzmi, co zechce, i wygląda na to, że właśnie taki ma plan.

Gavin wreszcie załapał. Pochyliła się do przodu i wskazuje na mnie palcem ze słowami:

– Czyli nie dostaniesz jakiegoś niewielkiego ułamka tej kwoty. Kasy z ugody rozwodowej. Zgarniesz WSZYSTKO?!

– Tak, zgarzę dwadzieścia milionów – mówię. – A właściwie dwadzieścia jeden.

– Aż mi się nie chce wierzyć. Zastrany szczęściarz.

– Stary, pamiętaj, że odpalę ci dziesięć procent. Też nie będziesz biedował.

Dziesięć procent dla Gavina, bo bez niego nie miałbym ani grosza. Nie udało mi się przeprowadzić tego przekrętu bez fałszywej tożsamości, którą mi stworzył, ale też jego finansowej wiedzy.

– Ale problem polega na tym, że na razie muszę trzymać się w ryzach – kontynuuję. – Do listopada wszystko musi być na tip-top, bo dopiero wtedy dostanie kasę.

– Aaa... no tak, chodzi o ten warunek.

Gavin przejrzał dla mnie też postanowienia trustu. Musiałem tylko wcześniej zamazać dane Simona. Nazwisko Vicky nie pojawia się w treści dokumentu ani razu. Jest tam tylko określenie „MAŁŻONKA”.

– Jeśli będzie chciała, żebyś ją dalej pieprzył, to będziesz ją dalej pieprzył – mówi Gavin – ale jeśli nie, jeżeli dojdzie do wniosku, że dla niej to była tylko jednorazowa przygoda i nie chce brnąć w to dalej, będziesz musiał się z tym pogodzić. A właściwie nie tyle pogodzić, co zadbać o to, żeby czuła się z tym wszystkim komfortowo. Jeśli zacznie czuć się winna z powodu tego, że zdradziła męża, a ty swoją obecnością będziesz jej o tym fakcie przypominał, może sobie poszukać innego doradcy. Zabrać kasę gdzie indziej.

Dokładnie tak. Doskonale to podsumował. Do trzeciego listopada muszę się zachowywać bez zarzutu. Wzorowo. Muszę dopilnować, żeby z Vicky wszystko szło gładko i komfortowo.

– Ale mogę się założyć, że nie czuje się winna – mówię. – Zrobiła dokładnie to, na co miała ochotę. Raczej nie przeżywała żadnego rozdarcia wewnętrznego. Nie. Numer siedem przez ostatnie dziesięć lat robiła, co do niej należało. Zapracowała sobie na to wszystko i teraz zbliża się czas wypłaty. Nie pozwoli, żeby coś tak błędnego jak poczucie winy stanęło jej na drodze.

26

Simon

– Nazywam się Simon Dobias – przedstawiam się ludziom na sali.

Trzyście osób, w tym dwie nowe twarze – mężczyzny, którego włosy nie chcą grzecznie pozostać pod czapką z daszkiem, oraz kobiety w średnim wieku ubranej na czarno. Wszyscy siedzą na tandetnych składanych krzesłach w słabo oświetlonej kościelnej piwnicy.

– Część jest tu nowa, część nie... ale wszystkich was witam w SOS. Przede wszystkim musicie wiedzieć, że tutaj nie ma żadnych zasad. Możecie przychodzić i wychodzić, kiedy tylko chcecie. Nikt nie będzie wam robił wyrzutów, jeśli będziecie opuszczać spotkania. Nikt nie przydzieli wam sponsora, który przymuszałby was do robienia różnych rzeczy. Nie mamy tu programu dwunastu kroków, ani żadnych innych kroków. Nikt nie będzie was zmuszał do mówienia. Jeśli ktoś chce tylko słuchać, niech słucha. A jeśli ktokolwiek z was będzie chciał do mnie zadzwonić, nie krępcie się. Mój numer jest na tablicy.

– Wiem, że jest teraz „modne” mówienie o bezpiecznej przestrzeni. Jeśli mam być szczery, to uważam, że w dużej mierze jest to wciskanie kitu, takie tam pierdzielenie. Ale tutaj naprawdę możecie się czuć bezpieczni. Wszyscy jesteśmy tu po to, by się wspierać. Pomagać sobie nawzajem. Myślę, że możemy to zrobić. Wszyscy mamy za sobą podobne doświadczenia.

Robię chwilę przerwy, żeby odchrząknąć i wziąć głęboki oddech.

– Moja matka popełniła samobójstwo osiemnaście lat temu – mówię. – Określono je jako przypadkowe przedawkowanie i myślę, że mój ojciec naprawdę w to wierzył. Chciałbym wam móc powiedzieć, że ja też. Naprawdę. Dlaczego? Ponieważ wypadek... cóż, oczywiście też jest do bani, to zawsze okropna, wielka tragedia, ale taka, o którą się nie obwiniamy. Wypadek to po prostu jedna z tych przypadkowych rzeczy w życiu. Coś, co może spotkać każdego. Ale ja wiedziałem, że przedawkowanie mamy nie było przypadkowe. Moja matka była genialnym, biegającym w maratonach profesorem prawa. Kochała życie i czerpała z niego garściami. Śpiewała na całe gardło, choć zupełnie nie miała do tego głosu. Straszliwie fałszowała. Potrafiła sypać czerstwymi żartami jak z rękawa i była mistrzem gry słów. Śmiała się jak hiena, ale tym swoim śmiechem potrafiła zarazić wszystkich dookoła. Do tego była najmądrzejszą osobą, z jaką miałem w życiu do czynienia.

– Ale potem miała ciężki udar i przez to straciła tak wiele. Nie mogła dłużej uczyć. Nie tylko nie mogła biegać, ale nawet chodzić. Była przykuta do wózka. Na przeróżnych mocnych lekach, w tym tych przeciwbólowych. Mój ojciec... cóż, mojemu ojcu daleko było do Florence Nightingale. Nie był typem opiekuna. Ani trochę. Wynajął kogoś do opieki nad mamą. Studiowałem wtedy w Chicago, ale starałem się jej pomagać.

– Potem nasza sytuacja finansowa uległa, delikatnie rzecz ujmując, znacznemu pogorszeniu. Wcześniej mieliśmy sporo pieniędzy, ale z powodu złych decyzji finansowych mojego ojca wszystko straciliśmy. Byliśmy spłukani. Ojciec był adwokatem, ale w tamtym czasie nie stać go było na opłacanie opieki nad mamą w pełnym wymiarze. Musiał więc zwolnić jej opiekunkę.

– Wtedy ojciec stwierdził, że jedynym rozsądnym wyjściem będzie umieszczenie mamy w domu opieki lub innej tego typu placówce. Nie chciałem tego. Powiedziałem, że zrobię sobie przerwę w studiach i zajmę się mamą do czasu, aż uda nam się znaleźć lepsze rozwiązanie.

Wzdycham.

– Moja matka przedawkowała leki przeciwbólowe. Prawdopodobnie z więcej niż jednego powodu. Utraciła sprawność, samodzielność i możliwość robienia rzeczy, które kochała. Zapewne dochodziła do tego myśl o tym, że być może nie będzie mogła zostać z nami w naszym domu. Poza tym, choć ciężko to przyznać, udar ograbił ją z czegoś jeszcze – jej funkcje poznawcze były zaburzone. Jednak nie potrafię wskazać jednego, konkretnego powodu, dlaczego to zrobiła. Powiedzieć, co doprowadziło ją do ostateczności.

Tak naprawdę potrafię, ale zachowam to dla siebie.

Sekrety, kłamstwa... te fragmenty opowieści pomijam.

Nie mówię ludziom tego, że mój ojciec złamał mamie serce. Tego, że ją zdradzał. Tego, że swoje ostatnie dni przeżyła ze świadomością, że mąż już jej nie chciał. Tego, że nie tylko straciła sprawność ciała i po części umysłu, ale też miłość i lojalność mężczyzny, który obiecał jej „w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia”.

Nie mówię im o tym, że wiedziałem o zdradzie ojca. O tym, że go nakryłem. O tym, że nie powiedziałem mamie, bo wiedziałem, że ją to kompletnie załamie. O tym, że go kryłem i tym samym stałem się jego współnikiem w zdradzie. O tym, że mogłem zrobić więcej, bardziej starać się go powstrzymać. O tym, że gdybym to zrobił, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Pomijam te szczegóły, ponieważ brzmią jak całkiem niezły – ekhem – powód do zabicia ojca. Motyw. Sprawa z St. Louis pozostaje nierozwiązana, a zabójstwo nie ulega przedawnieniu.

– Nie potrafiłem sobie poradzić z jej śmiercią – kontynuuję. – Popełniłem parę głupich błędów, wpadłem w kłopoty. Spędziłem trochę czasu na oddziale zamkniętym. Mam szczęście, że to wszystko nie skończyło się dla mnie gorzej, bo mogło. Dopiero kiedy zamiast wściekać się, zacząłem słuchać, byłem w stanie wypłynąć na powierzchnię. Rozmawiałem z przeróżnymi terapeutami, którzy wytłumaczyli mi, że patrzymy na samobójstwo przez pryzmat kontroli. Myślimy, że możemy kontrolować wszystko w swoim życiu, w tym innych ludzi. Więc kiedy ktoś, kogo kochamy, odbiera sobie życie, od razu wydaje nam się, że mogliśmy temu zapobiec. Myślimy sobie, że schrzaniiliśmy sprawę. Tak bardzo nie chcemy pozbyć się przeświadczenia, że mamy nad wszystkim wokół nas kontrolę, że wolimy zadreć się poczuciem winy z powodu czyjegós samobójstwa. Wolimy pójść tą drogą, niż przyznać, że od początku tej kontroli nie mieliśmy.

Z mojego doświadczenia, jako osoby pracującej z innymi ocalałymi, mogę powiedzieć, ta rada to strzał w dziesiątkę. Pomaga większości ludzi. Nie mnie, ale większości.

Mnie pomogła Vicky. A ja jej. To tutaj się poznaliśmy, na SOS. To skrót od Spotkania Ocalałych z Samobójstwa. Jej strata siostry była o wiele „świeższa” od mojej, ale pomogliśmy sobie nawzajem rozmową sam na sam. Daliśmy radę. Przeszliśmy przez to razem. Zawarliśmy pakt.

Obmyśliliśmy plan ataku – jak to określiła Vicky – wypowiedzieliśmy wojnę naszej żalobie.

To było w czwartek wieczorem. Przedostatni dzień mojej wakacyjnej pracy w kancelarii ojca przed rozpoczęciem studiów na Uniwersytecie Chicagowskim. Przez lato zarobiłem trochę pieniędzy, więc postanowiłem kupić ojcu prezent za niewielką część moich oszczędności. To była drobna rzecz, złota statuetka – waga Temidy na drewnianej podstawie z grawerem: „KANCELARIA PRAWNA THEODORE’A DOBIASA”.

Ojciec myślał, że po pracy wróciłem do domu, ale ja najpierw poszedłem odebrać zamówioną statuetkę, a potem wałęsałem się po centrum dla zabicia czasu. Chciałem poczekać, aż wszyscy wyjdą z kancelarii. Zakradłem się tam z powrotem dopiero po dziewiętnastej.

Z reguły o tej porze nikogo już nie było. Prawnicy zajmujący się odszkodowaniami z tytułu wypadku przy pracy nie rozliczają się ze swoimi klientami na podstawie stawki godzinowej, więc nie zależy im na tym, by spędzić nad daną sprawą jak najwięcej czasu (a właściwie, by ich asystenci ślęczeli nad nią do nocy). Stąd są bardziej efektywni w swojej pracy i nie siedzą

w kancelarii do późna, chyba że przygotowują się do rozprawy, co nieczęsto się zdarza. Prawdopodobieństwo, że zastanę tam kogoś po godzinach, było więc niewielkie.

Użyłem swojej karty magnetycznej do otwarcia drzwi i wślizgnąłem się do środka. W recepcji było ciemno. Z reguły ostatnia wychodząca osoba gasiła światło. Wziąłem to za dobrą monetę. Jednak kiedy prześlizgnąłem się przez drugie szklane drzwi, od razu zauważyłem, że światło w gabinecie mojego ojca było zapalone. Przenikało przez szczelinę między zamkniętymi drzwiami a podłogą. Zatrzymałem się na chwilę, żeby pomyśleć, co w tej sytuacji zrobić. Zamierzałem położyć ojcu prezent na biurku, tak by znalazł go następnego dnia rano, zaraz po naszym wspólnym przyjeździe do pracy. W tej sytuacji nici z mojego pierwotnego planu. Jednak wciąż mogłem zanieść prezent do mojego boksu i rano wręczyć go ojcu. Postanowiłem, że tak właśnie zrobię.

Wtedy usłyszałem jakiś dźwięk. W pierwszej chwili pomyślałem, że ojcu coś się stało. Od razu miałem przed oczami obraz Teda dostającego ataku serca lub doznającego poważnej kontuzji podczas przesuwania w swoim gabinecie jakiegoś ciężkiego mebla.

Teraz, z perspektywy czasu, widzę, jak bardzo byłem wtedy naiwny. Często ganiłem się za to w myślach. Chociaż może to i dobrze, że jako nastolatek nie spodziewałem się po własnym ojcu od razu najgorszego.

Podszedłem powoli do drzwi. Jęczenie i stękanie nie ustawało. Potem usłyszałem głuchy odgłos i głos kobiety, która ewidentnie nie mogła złapać tchu.

Drzwi do gabinetów w kancelarii nie można było zamknąć na klucz. Pamiętam, że ojciec traktował to jako pewnego rodzaju przesłanie. Pierniczył, że otwarte drzwi są wyrazem egalitarnego podejścia do pracowników.

Żałuję, że drzwi nie były zamknięte na klucz. Żałuję, że je otworzyłem.

Żałuję, że musiałem słuchać, jak przeprosza i płaszczy się przede mną, próbując usprawiedliwić jakiś fakt, że zdradza matkę, podczas gdy ta prawdopodobnie była właśnie karmiona łyżką przez Edie, swoją opiekunkę.

To był ten moment. Potem, kiedy nie mieliśmy już pieniędzy, zrobiło się, rzecz jasna, jeszcze gorzej. Nie mogliśmy sobie pozwolić na usługi Edie i ojciec chciał oddać moją czterdziestodziewięcioletnią matkę do domu opieki. Ale wtedy, w kancelarii, na szesnastym piętrze Chicago Title & Trust Building, gdy ojciec biegł za mną korytarzem, podciągając jednocześnie spodnie, próbując odciąć mi drogę do windy i błagając, żebym był rozsądny i nie robił czegoś, czego wszyscy będziemy potem żałować... dla mnie to był ten moment, kiedy wszystko się zmieniło.

Żałuję, że dałem się wtedy przekonać do tego, żeby niczego nie mówić mamie.

Żałuję, że pozwoliłem ojcu zrobić z siebie współnika zbrodni.

Bo na tym się nie skończyło. Nie przestał. O nie. Nawet po tym, jak go nakryłem, kontynuował swój romans. Przyłapałem go po raz kolejny. Kilka miesięcy po „incydencie” w kancelarii, tuż przed Świętem Dziękczynienia ¹⁵, kiedy wyszedłem na werandę na tyłach domu, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, znalazłem na niej pustą butelkę po szampanie i dwa kieliszki.

Dwa kieliszki. Nie jeden. A moja mama nie mogła już pić alkoholu. Nie tylko ją zdradzał. Jego kochanka zakradała się do naszego domu, kiedy moja mama już spała, a ja siedziałem do późna na uczelni.

Ta zasrana butelka i dwa czerwone, plastikowe kieliszki do szampana, które można kupić prawie w każdym sklepie, świadczyły o tym, że mój ojciec nie był tylko ułomnym człowiekiem, któremu zdarzyła się chwila słabości... był kłamcą. Zdrajcą. Zaspokajanie seksualnych potrzeb było dla niego ważniejsze, niż przysięga złożona mojej mamie i naszej rodzinie.

Nie wyrzuciłem tych śmieci. O mały włos tego nie zrobiłem. Wrzuciłem butelkę po szampanie i kieliszki do pustego worka na śmieci, ale nie poszedłem z nim do kontenera, tylko schowałem w szafie w moim pokoju.

Zrobiłem to, żeby nie zapomnieć. By móc patrzeć na butelkę i kieliszki każdego dnia. Zawsze pamiętać, jakim człowiekiem jest mój ojciec.

Dzień, w którym znalazłem tę butelkę i zdałem sobie sprawę, że on nigdy nie przestanie... to właśnie był dzień, w którym zmarł Ted Dobias.

Zaś w dniu, w którym został znaleziony w swoim basenie z nożem w brzuchu, tylko przestał oddychać.

Poniedziałek, 12 września 2022 r.

Wiedziałaś, że dzisiaj w nocy coś było nie tak. Próbowałem to ukryć. Nie dać po sobie poznać. Przywitałem się z tobą tak jak zawsze - wziąłem cię w ramiona, uniosłem lekko do góry i pocałowałem.

Ale potem się zorientowałaś. Chciałaś wiedzieć, o co chodzi. Zaczęłaś na mnie naciskać, a ja złożyłem przysięgę - tutaj, w tym dzienniku - że więcej cię nie okłamię i nie będę przed tobą niczego ukrywał, więc wyrzuciłem to z siebie.

- Mój ojciec zdradzał matkę - powiedziałem. - To ją zniszczyło.

Wyglądałaś na zaskoczoną. Znałaś mojego ojca dość krótko i wprawdzie był twoim szefem, ale nie bezpośrednim przełożonym, tylko bardziej nazwiskiem na drzwiach i w nazwie kancelarii. Pewnie miałaś go za sympatycznego i przyzwoitego faceta. A może wcale nie? Może miałaś go za dupka? Tak czy owak nie znałaś go za dobrze. Nie znałaś go tak naprawdę.

Najwyraźniej ja też nie, choć myślałem inaczej. Wprawdzie nie byłem z nim tak blisko jak z mamą, ale mimo wszystko myślałem, że go znam. Dopiero później zdałem sobie sprawę, jak bardzo niepewnym siebie i zakompleksionym był człowiekiem. Ogólnie rzecz biorąc, pracował w tej samej branży, co moja mama, ale była od niego bystrzejsza, zdolniejsza i odnosiła większe sukcesy zawodowe.

Wykładała prawo konstytucyjne na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w kraju - na Uniwersytecie Chicagowskim, podczas gdy ojciec biegał za karetkami i brał każdą sprawę jak leci.

Nie rozumiał, że mamy to nie obchodziło. Nie mierzyła wartości człowieka w ten sam sposób co on. Może to kwestia różnicy płci?

A potem ojcu się udało. Trafiła mu się duża sprawa faceta, z którym dorastał w Edison Park. Kiedy mężczyzna

pracował na budowie, wysięgnik obsługiwanej przez niego wiertnicy dotknął linii wysokiego napięcia. Prąd, który przepłynął przez jego ciało, potwornie go okaleczył. Oszpecił. Sprawa zakończyła się trzydziestomilionową ugodą. Jedną trzecią tej kwoty zainkasowała Kancelaria Prawna Theodore'a Dobiаса. Oznaczało to, że do kieszeni ojca wpadło prawie dziesięć milionów.

Myślałem, że taka kwota go dowartościuje. Poczuje się pierwszoligowym graczem. Równym lub prawie równym mamie.

Ale najwyraźniej to nie wystarczyło. Chciał więcej. Wciąż było mu mało. Teraz był znanym prawnikiem. Grubą rybą w drogim garniturze, jeżdżącą porsche. Najwidoczniej w jego mniemaniu do całości wizerunku brakowało młodej ślicznotki u boku.

Powiedziałem mu, co o tym myślę. I to niejednokrotnie. Ale on nie przestał. Twierdził, że jest zakochany. Powiedział też, że są pewne rzeczy, których tak młody mężczyzna jak ja może nie doceniać, czytaj: chciał zamoczyć, a mama była przykuta do wózka. Tak. Miałem osiemnaście, a nie osiem lat. Wiedziałem, co ma na myśli. Jednak niektóre rzeczy tak młody mężczyzna potrafiłby docenić, jak na przykład dotrzymanie złożonej obietnicy nawet w obliczu tak strasznej tragedii jak udar. ZWŁASZCZA w obliczu tak strasznej tragedii jak udar.

Ojciec przepuścił całą kasę na swój nowy, luksusowy styl życia. Podejmował idiotycznie złe decyzje finansowe. Inwestował w totalne niewypały. Wydawał pieniądze na swoją kochankę bez opamiętania. I tak źródółko wyschło.

Mama wymagała stałej opieki, a ojca nie było na nią stać.

Przyznał się do romansu dopiero po tym, jak wszystkie pieniądze przepadły. Po udarze mama nie była już taka sama, ale wciąż zostało w niej na tyle dużo z dawnej siebie, bym mógł się przekonać, jak bardzo ta wiadomość ją zdruzgotała. Świadomość, że jej mąż zrobił coś takiego.

Moja matka była na tyle dumną kobietą, że nigdy by się do tego nie przyznała, ale wydaje mi się, że wiedziała o tym, że ja wiedziałem i jej nie powiedziałem. Nie mogę być tego pewien, ale tak sędzę. Nawet nie jestem w stanie

sobie wyobrazić skali upokorzenia, jakie musiała odczuwać. Tego, jak doszczętnie ją to zniszczyło.

Mama popełniła samobójstwo, ponieważ nie pozostało jej nic z dawnego życia. Była żoną mężczyzny, który zmienił się nie do poznania i już jej nie kochał.

A ja? Co teraz robię?

Zdradzam żonę...

Stałem się mężczyzną, którym gardzę.

28 Christian

Nie potrzebuję informacji o mężu Vicky, Simonie. Prawdopodobnie nie muszę wiedzieć niczego poza tym, że jest dziany i jego forsa wkrótce trafi do mnie. Ale drobny research nie zawadzi.

Urodził się i wychował w Grace Park. Nudy. Wyróżniał się w nauce – OK. Do tego nieźle biegał. Widzę, że kiedy był w ostatniej klasie ogólniaka, zajął drugie miejsce w zawodach stanowych i pobił rekord swojej szkoły w biegu na dwie mile. Brawo, Simon.

Ale potem robi się ciekawiej. Simon skończył szkołę – Grace Consolidated – w maju 2003 roku. Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Tylko co stało się potem? Ukończył studia na Uniwersytecie Chicagowskim dopiero w maju 2010 roku.

Potrzebowałeś aż siedmiu lat, żeby skończyć studia, Simon? Taki bystrzacha jak ty? Może zrobiłeś sobie małą przerwę? A jeśli tak, to na co?

Oznacz to jako istotne i lecimy dalej z tym koksem.

Jego ojciec, Theodore Dobias, dwadzieścia lat temu dorobił się na sprawie, w której jakiegoś gościa poraził prąd. Przynajmniej tyle zrozumiałem. Theodore był prawnikiem tego faceta. Ugoda na trzydzieści milionów. Kupa kasy. Hurra dla Theodore'a.

W 2004 roku profesor Uniwersytetu Chicagowskiego Glory Dobias – matka Simona i żona Teda – zmarła po przedawkowaniu środków przeciwbólowych. Samobójstwo? Wszystkie informacje na temat jej śmierci są niejasne i bardzo ogólnikowe. Wypowiedź rzecznika prasowego uczelni również nie okazała się zbyt pomocna. Wygląda na to, że miała problemy zdrowotne. Przeszła udar – tyle się dowiedziałem. Nic konkretnego.

Potem Theodore przeprowadził się z Grace Park do St. Louis. Pracował w Alton w Illinois, w pobliżu granicy z Missouri. Tam też się obłowił. Tym razem na sprawach dotyczących ekspozycji na azbest. Dokopałem się do starego biogramu Teda ze strony jego kancelarii. Wychodzi na to, że wywalczył dla swoich klientów łącznie ponad dwieście milionów dolarów odszkodowania.

To by tłumaczyło, skąd wzięło się dwadzieścia jeden milionów, które tatuś zostawił Simonowi w formie trustu.

Ale to jeszcze nic. Najciekawszy w tej historii jest rok 2010, a konkretnie maj. Theodore Dobias, wtedy już megabogaty i znany prawnik, został znaleziony

martwy w swoim basenie. Dźgnięty w brzuch. I zgadnij, kogo podejrzewała policja?

Z tego, co wiem, Simona nigdy nie aresztowano, ale gliny potwierdziły prasie, że „osoba podejrzana” była w tej sprawie wielokrotnie przesłuchiwana. Pismaki nie miały problemu z rozgryzieniem, o kogo chodzi. W końcu Simon to jedynek.

– Simonie Peterze Dobiasie – szepczę sam do siebie. – Zabiłeś swojego ojca?

Przypominam też sobie słowa Vicky: „Ojciec Simona nie miał do mnie zaufania”.

Staruszek Teddy miał cię za chciwą zdzirę, Vicky, i chyba się nie pomylił, nieprawdaż? Jak się z tym czujesz?

Pani Vicky Lanier Dobias, co PANI robiła w noc zabójstwa ojca Simona?

29

Simon

Wychodzę z uczelni piętnaście po dziewiętnastej na swoją przebieżkę do Wicker Park, a konkretniej do zaułku za Viva Mediterránea. Docieram na miejsce sporo przed czasem. Może i nie jestem tak szybki jak kiedyś, ale wciąż, z palcem w tyłku, przebiegam milę w sześć minut.

Rozciągam się i przysłuchuję głośnym rozmowom klientów Vivy na patio. Przyglądam się ludziom w apartamentach ulicę dalej. Grillują i drinkują.

Nigdy nie mieszkałem ani w tej, ani w podobnej okolicy. Nigdy nie mieszkałem w większym mieście. Tak naprawdę w ogóle nie opuściłem domu rodzinnego w Grace Park. Ojciec zmył się wkrótce po tym, jak umarła mama, kiedy dałem mu jasno do zrozumienia, że dla mnie jest również martwy. Przeniósł się do St. Louis. Zajął się pozywaniem firm, które choćby w niewielkim stopniu używały przy produkcji azbestu oraz reprezentowaniem osób rzekomo narażonych na kontakt z jego włóknami, u których wykryto mezoteliomę. W hrabstwie Madison w Illinois był wtedy prawdziwy wysyp „mezo” spraw. Wielu prawników zbudowało na nich swój majątek.

Tak więc ojciec wreszcie znalazł potwierdzenie swojej wartości, którego tak bardzo pragnął.

A ja zostałem w Grace Park i dojeżdżałem na uczelnię. Nie chciałem wyprowadzić się z domu. Chyba po prostu za bardzo kojarzył mi się z mamą. Stanowił z nią pewnego rodzaju łącznik. Dlatego nigdy nie zrobiłem tego, na co decyduje się większość studentów i młodych absolwentów – nie zamieszkałem w dużym mieście.

W takiej okolicy. W jednym z tych apartamentowców.

Zamiast tego mieszkam w mniejszym mieście. W dużym domu. Samotny.

No może nie licząc krótkiej przerwy, tych osiemnastu miesięcy spędzonych w New Horizons – wariatkowie, jeśli masz ochotę na odrobinę niepoprawności politycznej lub „ośrodka dla osób borykających się z różnego rodzaju problemami natury psychicznej”, jeżeli akurat znajdujesz się w bardziej kulturalnym towarzystwie.

Zwał jak zwał, ale pobyt tam mi pomógł. Dr McMorrow była dobrą terapeutką. Więcej słuchała niż mówiła. Po śmierci mojej matki byłem wrakiem człowieka. Próbowałem kontynuować studia, ale wiedziałem, że nic z tego nie będzie, więc zgłosiłem się dobrowolnie. Dr McMorrow... Anne – chciała,

żebym nazywał ją po imieniu – sprawiła, że zacząłem kwestionować swoją winę. Prawiła te same kazania, co ja teraz podczas SOS – musimy sobie uświadomić, że nie mamy kontroli nad wszystkim i wszystkimi.

Ale najbardziej pomogło mi jej najprostsze, najbardziej oczywiste stwierdzenie: „Twoja matka nie chciałaby, żebyś tak się czuł. Chciałaby, żebyś wrócił na studia, skończył je i miał dobre życie. Więc na co, do cholery, czekasz?”.

To mnie zmotywowało. Wtedy postanowiłem, że wrócę na studia. Zdobędy dyplom. Anne miała rację. Byłem w stanie iść do przodu.

Nie uleczyć ran, ale iść do przodu.

Iść do przodu, ale nie zapomnieć.

O dwudziestej wkładam kartę SIM do mojego zielonego telefonu i włączam go. Wysyłam następującą wiadomość:

Cieszysz się z jutrzejszego golfa?

To taki nasz żarcik. Udajemy, że mówimy szyfrem, mając pełną świadomość tego, że każdy, po przeczytaniu wszystkich naszych poprzednich esemesów, od razu by nas przejrzał. Odpowiada szybko:

Nie mogę się doczekać

Dobrze, super. Ale zaraz dodaje:

Nie mogę się doczekać, żeby z tobą porozmawiać

To może oznaczać wiele rzeczy. Zrobiła to specjalnie. Specjalnie tak mętnie to napisała.

Wszystko OK?

Odpowiada:

Sporo o nas myślałam. Lepiej żebyśmy porozmawiali na żywo

Odpowiadam w ekspresowym tempie:

Dobrze czy źle?

Powiniennem się martwić?

Wtorek, 13 września 2022 r.

O co ci chodzi do cholery?! Sporo o nas myślałaś i lepiej, żebyśmy porozmawiali na żywo? Chcesz ze mną zerwać, Lauren? Czy to koniec?!

Jeśli tak, to nie wiem, co zrobię. Nic oprócz naszych spotkań i esemesów pisanych dwa razy dziennie nie ma teraz dla mnie znaczenia.

Chodzi o naszą wczorajszą rozmowę? O to, co powiedziałem o moim ojcu? O to, co ci wyznałem? Że dorastając, niczego bardziej na świecie nie nienawidziłem niż niewierności, a teraz sam zdradzam żonę?

Po co w ogóle otwierałem tę niewyparzoną gębę? Trzeba było siedzieć cicho. To nie to samo, Lauren. Vicky już mnie nie kocha. Nie jestem dumny z tego, że ją oszukuję, ale to nie to samo, co mój ojciec zrobił mamie! A twoje małżeństwo to też farsa.

Nie zdradzamy. Nie w tym sensie. Naprawdę!

Tego... tego... TEGO właśnie nienawidzę. Tej słabości. Poczucia bezbronności. Przyrzekłem sobie, że nie pozwolę na powtórkę z rozrywki, ale właśnie to robię. Trzymałem gardę przez prawie dwie dekady po tym, jak kompletnie mnie zniszczyłaś. Ale wystarczyło zobaczyć cię na Michigan Avenue, by wszystkie zapory puściły. Bym otworzył się na ciebie po raz kolejny. Wystawił na zranienie.

Może przesadzam. Za bardzo się przejmuję i robię z igły widły. Być może to, co dzieje się teraz w moim życiu - perspektywa awansu wylądowała w śmietniku i moje małżeństwo to tylko koleżeństwo - sprawia, że jestem przewrażliwiony. Niewykluczone, że tak naprawdę wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, że taki esemes to czysta tortura? Teraz muszę grzecznie czekać do jutra, do rana, żebyś w ogóle włączyła ten zasrany telefon. Nie mogę cię też tak po prostu odwiedzić,

prawda? Dzięki Lauren. Wielkie dzięki za to, że znowu wywracasz mi życie do góry nogami.

Wiedziałem, że tak będzie. Po prostu wiedziałem.

31

Simon

Lauren Lemoyne poznałem pierwszego dnia pracy w kancelarii mojego ojca. Dopiero co skończyłem szkołę i szykowałem się na studia. Ogólniak nie był dla mnie żadnym wyzwaniem intelektualnym, ale towarzyskim jak najbardziej. Dopiero w ostatniej klasie zaliczyłem skok rozwojowy i dobiłem do pięciu stóp i jedenastu cali wzrostu ¹⁶. Tak, wiem. Zdaję sobie sprawę, że to niewiele ponad przeciętny męski wzrost, ale kiedy zaczynasz z pułapu, gdzie ludzie nazywają cię „Mini Mój”, mając pięć stóp i jednaście cali, czujesz się jak Paul Bunyan ¹⁷.

Przez większość czasu spędzonego w Grace Consolidated byłem knypkowanym molem książkowym. Jak można się domyślić, dość niepewnym siebie.

Potrzebowałem sobie trochę dorobić przed studiami, więc tata zaproponował mi, żebym został chłopcem na posyłki w jego kancelarii. W tamtym czasie mógł sobie na to spokojnie pozwolić, ponieważ, jak to mówił, „rozbił bank”. Chodziło mu oczywiście o tę trzydziestomilionową ugodę w sprawie porażenia prądem. Na zespół Kancelarii Prawnej Theodore’a Dobiasa składało się wtedy trzech partnerów, pięciu starszych prawników, dziesięciu młodszych prawników i czterech asystentów.

Lauren Lemoyne pracowała na ostatnim z wyżej wymienionych stanowisk. Zostałem wszystkim przedstawiony przez jednego z pozostałych partnerów (ojciec chciał, żebym sam sobie radził). Po raz pierwszy zobaczyłem Lauren, gdy stała pochylona nad kartonem z dokumentami. Miała na sobie obcisłą minispódniczkę. Było jej widać prawie całe nogi. Przez chwilę czułem się tak, jakbym występował we własnym pornosie. Jednak Lauren szybko zorientowała się, że spódnica podjechała jej za wysoko. Poprawiła ją i przywitała się ze mną w przyjazny, acz dość zdawkowy sposób.

Choć wtedy nie wydawał mi się zdawkowy. Od razu byłem tyleż zauroczony, co onieśmielony. Dla mnie Lauren wyglądała jak dziewczyna z plakatu. Piękna i na swój sposób egzotyczna modelka. Należała do tych, które mogłem podziwiać tylko z daleka. Była totalnie poza moim zasięgiem. Zupełnie nie moja liga. Wyjąkałem jakieś żałosne „cześć”, próbując brzmieć przy tym na luzie, co mi się kompletnie nie udało.

Dopiero w drugim tygodniu mojej pracy nasze ścieżki ponownie się skrzyżowały. Wpadliśmy na siebie przypadkiem w kuchni. Tak przynajmniej

nazywaliśmy to pomieszczenie, bo była w nim lodówka, zlew i ekspres do kawy. Właśnie myłem ręce po brudnym pudle z dokumentami, które chwilę wcześniej przyniosłem z sądu.

– Więc jesteś synem Teda.

Kiedy ją widziałem, starałem się zachowywać nonszalancko, ale po raz kolejny efekt był żalospny. Odwróciłem się od zlewu i wyprostowałem. Woda skapywała mi z dłoni na podłogę.

– Jestem Lauren. Tak na wszelki wypadek, gdybyś nie zapamiętał. Tyle nowych twarzy i imion. Łatwo się w tym wszystkim pogubić.

Miała całkowitą rację. Musiałem spamiętać dużo imion na raz, co nigdy nie było moją mocną stroną. To prawda. Ale jej imienia bym nie zapomniał.

– Miło mi – powiedziałem, choć dopiero co ustaliliśmy, że już się poznaliśmy.

Udało mi się już co nieco o niej dowiedzieć od recepcjonisty. Lauren pochodziła z północnej części Chicago. Miała dwadzieścia lat, wciąż mieszkała z rodzicami, oszczędzała pieniądze na studia i była wielką fanką Cubsów. Wolałem nie drążyć bardziej tematu. Nie wypytywać recepcjonisty tak ostentacyjnie o więcej szczegółów. Choć na pewno dobrze wiedział, o co mi chodzi. To musiało być oczywiste. Wystarczyło spojrzeć na Lauren. Była boginią. Niedostępny ideałem piękna.

– Słyszałam, że jesienią zaczynasz studia – powiedziała. – Na Uniwersytecie Chicagowskim, prawda? Poza tym doszły mnie słuchy, że wygłaszałeś przemówienie na koniec szkoły i niezły z ciebie biegacz. Ponoć dobrze ci poszło na zawodach stanowych – jej uśmiech rozjaśnił najciemniejsze zakamarki mojej duszy. – Twój tata lubi się tobą chwalić.

– Z tymi zawodami to był fart, przysięgam.

Zaśmiała się, a ja poczułem się tak, jakbym wygrał na loterii, czy coś w tym stylu. To był tekścik mamy. Użyła go, kiedy wygrała sprawę przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Pomyślałem sobie wtedy, że to zgrabny sposób na przyjęcie komplementu. Dlatego go zapamiętałem. Tak na przyszłość. I całe szczęście, bo dzięki temu udało mi się rozśmieszyć tę piękną istotę!

Zmrużyła oczy z figlarnie udawanym sceptycyzmem.

– Hmm... mądry, przystojny, a na dodatek skromny – powiedziała. – Simonie Dobiasie, złamiesz niejedno serce.

Środa, 14 września 2022 r.

Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem cię zobaczyć. Zamiast napisać o dziesiątej rano, pojechałem do ciebie. Byłaś zaskoczona, a nawet trochę zaniepokojona, kiedy zobaczyłaś mnie na progu swojego domu. Ale przecież musiałaś wiedzieć, Lauren... MUSIAŁAŚ wiedzieć, że tym esemesem doprowadzisz mnie do szaleństwa. Takie trzymanie kogoś w niepewności to prawdziwe tortury – nie wiesz, że zostały zakazane przez Konwencję genewską?

Całą noc nie zmrużyłem oka. Rano musiałem wyglądać jak gówno, ale miałem to gdzieś. Trudno. Cokolwiek miałaś mi do powiedzenia – a byłem przygotowany na wszystko – musiałem to usłyszeć jak najszybciej.

– Sporo myślałam na temat tego, co mi ostatnio powiedziałaś – zaczęłaś. – Tego, jak twój ojciec zdradzał żonę i tego, że nie chcesz być taki jak on. Też tego nie chcę. Nie chcę, żebyś zdradzał żonę. Nie chcę zdradzać męża.

Byłem na to przygotowany. Wiedziałem, że to spotkanie może być naszym ostatnim. Mówiłem sobie: „Simon, jesteś starym koniem. Dorosłym facetem. Poradzisz sobie. Zachowaj się z klasą, bez względu na to, co usłyszysz. Bez względu na to, jak bardzo cię zabolą. Zrób tak, żebyś był potem dumny ze swojej reakcji”.

Okazało się jednak, że nie byłem przygotowany na wszystko. Takiego obrotu spraw się nie spodziewałem. Prawdę mówiąc, w ogóle nie brałem pod uwagę, że usłyszę te słowa:

– Pobierzmy się.

Dzień po Halloween

33
Jane

– Ooo... tak, poznałam Lauren.

Cassandra Barclay zakłada nogę na nogę i odchyła się na krześle w pokoju przesłuchań.

Była żoną Conrada przez dwadzieścia sześć lat. Kawał czasu. Doczekali się dwójki dzieci, synów – jeden ma obecnie dwadzieścia cztery, a drugi dwadzieścia dwa lata. Para rozwiodła się zaledwie kilka miesięcy przed ślubem Conrada z Lauren.

– Taka trochę laleczkowata. W stylu Kewpie doll, prawda? Gra w golfa. Wiedziała pani? Tak się poznali. Connie za Chiny Ludowe nie nauczy się grać jak człowiek, ale uważa ten sport za dobry pretekst do wyjścia z kolegami, palenia cygar i gadania o forsie. Bardziej podoba mu się idea golfa niż sama gra.

– I mówi pani, że ją poznała – upewnia się Jane.

– Kogo? Lauren? Tak, widziałam ją wiele razy. Czasami wciąż chodzę do klubu.

– Do Grace Country Club?

– Tak, dokładnie tak. Nie bywam tam zbyt często. Synom się znudził, więc siłą rzeczy i ja straciłam po części zainteresowanie. Ale kiedy tylko mam ochotę, to tam chodzę. Nie chciałam, żeby myślała, że mnie stamtąd przepędziła. Z mojego klubu. Nie zamierzałam dać jej tej satysfakcji.

Jane przytakuje, dając świadkowi czas, żeby się rozkręcił.

– Jest dokładnie taka, na jaką wygląda – kontynuuje Cassandra. – Nie ma w tym żadnej głębi. Banał. Historia stara jak świat. Connie ma pieniądze, a ona miała na nie chrapkę, więc mi go ukradła. Była ode mnie o piętnaście lat młodsza. Do tego ładniejsza. O tak. Ładniejsza, niż ja kiedykolwiek byłam, nawet w jej wieku. Prosta sprawa. Ja byłam stara i nudna, a ona młoda i ekscytująca.

Cassandra Barclay w żadnym razie nie wygląda na nudną, a czas obszedł się z nią niezwykle łaskawie. Przynajmniej według Jane. Jest wysportowana,

szczupła, ma ładną skórę i ubiera się stylowo. Jane chciałaby tak wyglądać w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

– Żeby nie było – dodaje Cassandra. – Ja nikomu nie ukradłam Conniego. Spotkałam go, kiedy był już po rozwodzie i jeszcze nie zbudował swojej fortuny. Byliśmy młodzi i naprawdę zakochani.

Zabawne, jak bardzo ludzie przejmują się tym, co inni o nich pomyślą. Nawet ci obcy, których prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczą na oczy.

– Rozmawiała pani ostatnio z byłym mężem? – pyta Jane.

– Właściwie to tak. Dziś rano. Kiedy dowiedziałam się o Lauren, zadzwoniłam do niego. Złożyłam mu kondolencje. Tak, wiem. To było wspaniałomyślne z mojej strony.

– A co na to Conrad?

– Wydaje mi się, że wciąż to nie do końca do niego dotarło – Cassandra zastanawia się chwilę. – Domyślałam się, że jego uczucia do Lauren stały się dość skomplikowane. Zresztą wcale mnie to nie dziwi.

Jane czeka na więcej. Ale Cassandra milczy. Kiedy zaczyna się na nią wymownie gapić, Jane pyta:

– Dlaczego? W jakim sensie skomplikowane?

– Cóż, nigdy nie jest miło usłyszeć, że komuś przytrafiło się coś takiego. Nawet jeśli już ci z tą osobą średnio po drodze.

– Średnio po drodze? Conradowi i Lauren było średnio po drodze?

Cassandra spojrzała na Jane, jednocześnie przekrzywiając głowę.

– Rozwodzili się. Nie wiedziała pani?

– Nie wiedziałam. Nie miałam jeszcze okazji spotkać się z panem Betancourtem. Rozmawialiśmy tylko chwilę przez telefon. Ale niedługo tu będzie.

– Rozumiem. W każdym razie tak. Conrad złożył już pozew.

– Czy może wie pani kiedy?

– Jakiś czas temu. Zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć, ale nie wiem dokładnie, kiedy to było. Wrzesień? Może początek października? To było miesiąc... no może z sześć tygodni temu.

– Zadzwonił, żeby powiedzieć pani, że rozstaje się z Lauren?

– Tak. I żeby mi podziękować – próbuje ukryć na twarzy oznaki satysfakcji.

– Podziękować? Za co?

– Za to, że zasugerowałam mu intercyzę. Wtedy, rzecz jasna, nie chodziło mi o to, żeby dawać mu jakiegokolwiek rady. Chciałam mu najzwyczajniej w świecie dogryźć. To było wredne, ale szczere.

Jane czeka na więcej i znów nie może się doczekać. Widać, że Cassandra lubi mieć widownię.

– Czy mogłaby pani rozwinąć tę myśl, pani Barclay?

– To chyba oczywiste? Chodziło mi o to, że chciała wyjść za niego nie z miłości, tylko dla pieniędzy. Wprawdzie to nie powstrzymało Conniego przed ślubem, ale był na tyle bystry, żeby wziąć sobie do serca moje słowa i potraktować je jako ostrzeżenie. Widocznie zasiałam w jego głowie wątpliwości, bo ostatecznie spisali intercyzę.

– Ile na jej podstawie Lauren miała otrzymać na wypadek rozwodu? – pyta Jane.

– Chyba milion dolarów.

Jest to wprawdzie niemała kwota, ale jednocześnie raptem niewielki procent majątku Conrada.

– Czy mogę zadać pani jedno pytanie, pani sierżant?

– Oczywiście – mówi Jane.

– Czy Lauren miała romans z innym mężczyzną?

Jane trudno jest zachować neutralną minę. Szczególnie że prawie podskoczyła na krześle, słysząc to pytanie.

– Dlaczego... dlaczego pani tak uważa?

Na to Cassandra lekko chichocze.

– No bo przecież sama się nie zabiła. Poza tym mówimy tu o Lauren Lemoyne.

– Chce pani powiedzieć, że tego należałoby się po niej spodziewać? Zdrady?

Cassandra próbuje się uśmiechnąć, ale jej szczęka jest zbyt napięta, by mogła sobie na to pozwolić.

– NA BANK, pani sierżant. Lauren? Lauren zawsze miała oko na numer jeden. Było to po niej widać na kilometr. Conrad też by to zauważył, gdyby nie zaślepiła go jej uroda.

– Cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że wciąż badamy różne tropy, pani Barclay. Czy ma pani jakiegokolwiek informacje na temat związku Lauren z innym mężczyzną?

– Nic nie wiem o życiu Lauren. Conrad nigdy mi o niej nie opowiadał. I bardzo dobrze, bo wcale nie chciałabym tego słuchać. Zapytałam panią o to tylko dlatego, że znam ten typ. Wiem, jakiego rodzaju kobietą była.

Ciekawe. Tylko czy to jedynie opinia rozgoryczonej byłej żony, czy też Cassandra rozgryzła Lauren?

– Nie mam wątpliwości, że Lauren zamierzała przeskoczyć na kolejnego żywiciela – mówi Cassandra. – Rzecz jasna, takiego przy forsie. Milion dolarów z pewnością by jej nie zadowolił. Proszę zapamiętać moje słowa: Lauren Lemoyne szukała sobie kolejnego sponsora.

Przed Halloween

Wrzesień

34

Christian

Zaciska szczękę, wypuszcza odrobinę powietrza z płuc, drży i... opada na mnie z rozmachem. Otaczam jej spocone ciało ramionami i podtrzymuję je nogami zgiętymi w kolanach. Z tego, co zauważyłem, woli być na górze. Nie zdejmuje też szpilek – to pewnie dla mnie. I tak, dobrze trafiła. Obcasy to jest to. Działają na mnie. Nie jestem zbyt oryginalny w swoich upodobaniach. Jednak zdecydowanie najbardziej podnieca mnie obrączka na jej palcu.

Oboje potrzebujemy trochę czasu, żeby uspokoić oddech. Potem Vicky schodzi ze mnie i idzie do łazienki. Bez słowa. Zostawia mnie samego – zmęczonego i zaspokojonego – na kanapie w moim apartamencie.

To nasza czwarta schadzka. Tylko pierwszy raz był w biurze. Później spotykaliśmy się wyłącznie w moim apartamencie. Oto, czego udało mi się przez ten czas dowiedzieć o Vicky, moim numerze siedem: nie jest cicha podczas seksu, o nie. Wręcz przeciwnie. Ale jest milcząca po nim. Odlatuje myślami gdzie indziej. Jakiś zakompleksiony typ mógłby sobie ubzdurać, że myśli o kimś innym, ale ja w to wątpię. Widzę, że Vicky mnie pragnie. Jestem tym, czego chce.

I dobrze, bo w innym wypadku mógłbym się zacząć nad tym wszystkim zastanawiać. Vicky nie prawi mi komplementów. Nie rozpływa się nad tym, jaki jestem cudowny w łóżku, i nie mówi, że ze mną jest jej o niebo lepiej niż z mężem.

– Co TO jest?! – woła z łazienki.

Ups. Czym sobie nagrabiłem? Czy zostawiłem na wierzchu coś, czego nie powinna widzieć?

Pędzę do łazienki, starając się przy tym wyglądać na luzaka. Trzyma moją szczoteczkę do zębów.

– Aaa... o to chodzi – mówię.

– Co to jest? Jakiś drogi metal...

– Tytan – wyjaśniam.

– Masz tytanową szczoteczkę do zębów? I... – przygląda się mojej półce łazienkowej – obcinacz do paznokci... i... jakiś trymer i... co to właściwie jest?

– To uchwyt do nici dentystycznej – mówię nieśmiało, tak jakbym był lekko zawstydzony faktem, że mam matowoczną szczoteczkę do zębów z czystego tytanu na antybakteryjnym stojaku w zestawie z innymi tytanowymi przedmiotami: obcinaczem do paznokci, trymerem do nosa i uchwytem do nici dentystycznej. A! I elektryczną maszynką do golenia.

– Rany, ile to kosztowało?

Cena rynkowa to ponad osiem i pół tysiąca dolarów. Wiem, bo sprawdziłem w internecie. Dostałem ten zestaw w prezencie od mojego wcześniejszego celu – numeru cztery. Oczywiście zanim kobitka dowiedziała się, że wziąłem ją sobie na celownik.

Na początku chciałem go schować, ale doszedłem do wniosku, że Vicky musi zobaczyć kilka takich przedmiotów z górnej półki. Musi odnieść wrażenie, że to dla mnie żaden wydatek. Drobniaki.

– Serio pytam – mówi. – To musiało kosztować kilka tysięcy.

– To dobra inwestycja – mówię. – Amortyzacja przez cały okres użytkowania. Cóż, może nie jest to najtańsza opcja, ale za to zdecydowanie bardziej rozsądna.

– Nie wiedziałam, że można amortyzować szczoteczki do zębów – mówi. Odkłada ją i kładzie dłonie na mojej nagiej kłacie. – Fajnie być tak bogatym i byстрыm, co?

Dotyka swoimi wargami moich ust. Czuję, że się uśmiecha.

Znów ma na mnie ochotę. Tym razem zrobimy to na łóżku.

Po wszystkim Vicky błądzi wzrokiem po moim mieszkaniu. Jest pogrążona w myślach.

Nie kupiłem tego apartamentu. Tylko go wynajmuję, ale, rzecz jasna, nie powiem o tym Vicky. Kiedy latem wróciłem do Chicago, nie widziałem sensu w kupowaniu mieszkania. Wiedziałem, że nie zabawię tu długo, a poza tym mam niewiele ponad milion dolarów oszczędności i chcę trzymać jak najwięcej z tej kwoty w gotówce.

Postanowiłem, że wynajmę naprawdę elegancki apartament w drogiej dzielnicy. Co prawda czynsz jest tu wywalony w kosmos, ale to rozwiązanie krótkoterminowe.

Mimo wszystko ten apartament nie „pachnie” luksusem. Nie ma odpowiedniej aury ogromnego bogactwa. Mój biogram sugeruje, że zarobiłem na swoich odważnych inwestycjach setki milionów dolarów. Ten apartament może

więc wydać się zbyt skromny, nie pasować do scenariusza i roli, jaką w nim odgrywam. Ale i na to mam swoje patenty. Mój sprawdzony sposób na radzenie sobie z tego rodzaju dysonansem jest bardzo prosty. Mówię kobietom, że większość pieniędzy lokuję w inwestycjach. Tych samych, do których je zachęcam. Wytlumaczenie i niezły chwyt marketingowy w jednym.

Kiedy gram rolę bogatego mężczyzny, jak w tym przypadku, dbam o to, by wyraźnie zaznaczyć celowi, że dorastałem w skromnych warunkach (co jest zresztą zgodne z prawdą), dzięki czemu nauczyłem się żyć oszczędnie (to akurat półprawda) i weszło mi to w krew. Tak, mam kupę kasy, ale nie zamierzam epatować bogactwem i kupować nie wiadomo jak dużych domów, kiedy nie potrzebuję tak wielkiej przestrzeni.

Zależy mi na zachowaniu równowagi. Bogactwo przyciąga kobiety, ale obrzydliwe bogactwo potrafi je onieśmielać. Staram się więc umiejętnie balansować między dwoma światami. Czasami demonstruję coś, co ma świadczyć o moim bogactwie – patrz tytanowa szczoteczka do zębów – ale przez resztę czasu staram się być skromny i bagatelizować wielkość swojej fortuny.

– Ten apartament to tylko tymczasowe rozwiązanie – mówię. – Podoba mi się tutaj, a poza tym wartość nieruchomości w tej okolicy co chwila wzrasta. To porządna inwestycja.

– Wszystko jest dla ciebie inwestycją – wkłada stanik, majtki, spódnicę i top. W tej kolejności. – Planujesz zostać w Chicago na stałe?

No i proszę. Wiedziałem, że prędzej czy później o to zapyta. Zastanawia się, co zamierzam. Wydaje mi się, że wiem, co ona planuje: odejść. Założę się, że właśnie to zamierza zrobić. Kiedy tylko po dziesięcioletnim wyroku zwanym „małżeństwem” zabierze Simonowi pieniądze, raczej nie zostanie w pobliżu, by oglądać jego smutną buźkę. O nie. Planuje wyjechać. Tylko dokąd? Tego nie wiem.

Może do Nowego Jorku? Neeee... jakoś tego nie widzę. Manhattan do niej nie pasuje. Doceniłaby jego energię i nocne życie – jeśli o to chodzi, byłaby w swoim żywiole, ale nie wygląda mi na wielkowiejską dziewczynę. Zdaje się nie widzieć żadnej różnicy między Carruades de Lafite kosztującym czterysta dolarów za butelkę a czerwonym winiaczem, którego kupiłem za dwadzieścia dolców w spożywcza. Kiedy rozmowa zeszała na teatr, prawie się nie odzywała. Nie potrafiłem również wyobrazić jej sobie w roli małomiasteczkowej kury domowej piekającej ciasteczka, z gromadką dzieciaków uczepionych spódnicy.

Do tej pory udawało się Vicky ukrywać swoje myśli i plany w sposób godny podziwu. Nawet dla mnie, człowieka, który żyje z rozszyfrowywania kobiet, płęć przeciwna pozostaje pod pewnymi względami tajemnicą.

Oto, co wiem o Vicky Lanier – prawie nic. Za każdym razem, gdy pytam o jej przeszłość, zmienia temat. Wspomniała jedynie, że miała nieszczęśliwe dzieciństwo i raz rzuciła bezmyślnie jakiś komentarz o Wirginii Zachodniej. W zeszłym tygodniu zrobiłem, co mogłem z tymi informacjami. Czytaj: uskuteczniałem mało wyszukane googlowanie. Research nie jest moją mocną stroną i z reguły nie jest mi aż tak potrzebny w „pracy”, a nie mogę poprosić o pomoc Gavina, bo wtedy poznałby jej imię i nazwisko. Przestałaby być dla niego „numerem siedem”. Jednak zdołałem dowiedzieć się tyle, że nastoletnia Vicky Lanier z Fairmont w Wirginii Zachodniej zaginęła w 2003 roku.

To musi być ona. Wychodzi na to, że nie miała łatwego startu w życiu. Musiała walczyć o przetrwanie. Radzić sobie sama. Zgaduję, że Simon Dobias dał jej bardziej poczucie bezpieczeństwa i stabilizację niż miłość i namiętność. Znalazła w nim źródło utrzymania. Była w potrzebie i na tej podstawie podjęła decyzję odnośnie do swojej przyszłości. Te ostatnie dziesięć lat u boku Simona to była jej inwestycja.

Ale teraz? Pyta o moje zamiary. W ten sposób bada grunt. Jest zbyt ostrożna, by mówić o tym otwarcie, ale myśli o wspólnym życiu ze mną. I to ją przeraża. Muszę za wszelką cenę zdobyć jej zaufanie.

– Dużym plusem mojej pracy jest to – mówię – że mogę ją wykonywać, gdziekolwiek zechcę. Tutaj, na Manhattanie, albo na plaży w Monterey. Myślałem też o Paryżu lub Toskanii, ale raczej zostanę w Stanach, żeby trzymać rękę na pulsie i śledzić najnowsze trendy. Część rzeczy trudniej jest robić zdalnie. Ale kto wie?

Obserwuje mnie, gdy mówię rzeczowym tonem i jednocześnie wkładam spodnie. Z reguły zostawiam gołą klatę jak długo się da, bo kobitki uwielbiają podziwiać moje mięśnie.

– Widzę, że bierzesz pod uwagę różne opcje... Czyli niekoniecznie musi to być duże miasto? – dopytuje.

O tak, chce wiedzieć. Myśli o różnych miejscach – choć nie mam pojęcia, o których dokładnie – i chce, żebym jej towarzyszył.

– Niekoniecznie – potwierdzam. – A ty? Wiążesz swoją przyszłość z Chicago?

Odbijam piłeczkę. Podobnie jak ona robię to w delikatny sposób. Nie wprost. Krążę wokół tematu, zaszczepiając jej w głowie wizję wspólnej przyszłości. Ewidentnie nie chce się z niczym śpieszyć, więc też działam powoli. Nie zamierzam jej popędzać. Podpaść w jakikolwiek sposób. Gavin ma rację. Muszę się pilnować. Utrzymywać z numerem siedem stały kurs. Przynajmniej do trzeciego listopada.

Zerkam na nią. Nie odrywa oczu od panoramicznego okna, z którego rozciąga się wspaniały widok na miasto. Widać też przez nie moje patio.

– Na pewno nie zostanę w Chicago – mówi. – Wszystko, tylko nie Chicago.

– Dasz się zaprosić na kolację? – pytam.

– A dokąd? – dopytuje.

– Dokądkolwiek zechcesz. W okolicy jest ze dwadzieścia restauracji. Moglibyśmy się przejść, jeśli oczywiście masz ochotę.

Przygryza wargę i patrzy na zegarek. Dochodzi dziewiętnasta.

– Robi się późno – zauważa.

– Nie chcesz się ze mną pokazywać publicznie? – śmieję się.

Kieruje na mnie wzrok.

– Właściwie to tak. Nie w tym sensie, ale tak. Dziwisz mi się? Nie obawiałbyś się na moim miejscu? A co, jeśli ktoś znajomy nas zobaczy?

– No tak, chyba masz rację.

– Chyba mam rację? To nie są żarty, Christianie. A co, jeśli Simon się dowie?

– OK, ja...

– A co, jeśli Simon się dowie i złoży pozew o rozwód?

Podnoszę ręce do góry. Uderzyłem w czułą strunę. Jej oczy płoną gniewem.

– A co, jeśli Simon się dowie i złoży pozew o rozwód PRZED TRZECIM LISTOPADA? – kontynuuje. – Czytałeś postanowienia trustu, prawda?

– Czytałem.

– Jeśli złoży pozew przed naszą dziesiątą rocznicą, to po ptakach. Po mnie. Nie dostanę ani centa.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Wstaje z kanapy i podnosi swoją torebkę.

– Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę. A czy również zdajesz sobie sprawę z tego, że ja nie mam czterystu milionów dolarów w inwestycjach jak ty? Zdajesz sobie sprawę z tego, że bez pieniędzy z trustu nie mam niczego?

Chwila moment, przystopuj. Zaczynasz się nakręcać, dziewczyno.

– Tak. I bardzo cię przepraszam – mówię. – Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało... jakbym nie rozumiał powagi sytuacji. Hej, hej już dobrze – podchodzę do niej, choć wyraźnie nie ma teraz ochoty na bliskość i pocieszenie. – Vicky, nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby zagrozić twoim planom. Słyszysz mnie? Niczego. Nie rozumiesz? To, co jest ważne dla ciebie, jest też ważne dla mnie. TY jesteś dla mnie ważna. Nie widzisz tego?

Wciąż kipi ze złości. Wciąż się martwi. Wciąż nie chce na mnie spojrzeć. Nic nie robię. Czeka, gotowy dostosować się do każdej jej reakcji.

W końcu, tak jak myślałem, kieruje na mnie wzrok. Patrzy mi prosto w oczy.

35

Vicky

– Ja mogę zrobić zakupy – mówię.

– O rany... i niby czym za nie zapłacisz? – pyta Miriam, moja szefowa, pochylona nad sejfem w swoim gabinecie. Stara się wyskrobać jakąkolwiek gotówkę. Oszczędza, na czym tylko się da. Jej „gabinet” to tak naprawdę przerobiony garaż. Wszystko po to, żeby w naszym ośrodku mogło się zmieścić jak najwięcej osób.

Safe Haven jest życiowym projektem Miriam. Była jedną z osób, które stworzyły to miejsce trzydzieści lat temu. Wygląda poważnie jak na swój wiek. Prawie nigdy się nie uśmiecha. Ma twarz poraną zmarszczkami i ciasno upięte włosy. Przypomina instruktora musztry i podobnie się zachowuje, ale ma przy tym złote serce. Największe ze wszystkich, jakie spotkałam na swojej drodze.

– Kończy nam się kasa? Tak szybko? – pytam. – Jest dopiero połowa miesiąca.

– Mamy dwadzieścia dwa dolary – mówi – a potrzebujemy zrobić zakupy za dwieście – grzebie w kieszeni i wyciąga z niej drobniaki.

– Nie przejmuj się, mam przy sobie trochę kasy – mówię. Chyba zbierze się z tego jakieś czterdzieści dolców.

– Nie wydawaj swoich pieniędzy. Ani mi się waż – mówi. – I tak za mało ci płacę.

Ale ludzie muszą coś jeść. Co to za „bezpieczna przystań”, skoro nie jesteśmy w stanie zaspokoić podstawowych potrzeb kobiet, które nam zaufały? Które szukają u nas schronienia, często razem ze swoimi dziećmi? I tak przecież kupujemy wszystko jak najtaniej. Szukamy przeróżnych promocji i zamienników. Dobrze, że mam w tym lata praktyki.

– Nie przejmuj się, to nic takiego. Pozwól mi pomóc. Kupię, ile się da.

Idę do kuchni, sprawdzam stan zapasów i tworzę listę. Potem zastanawiam się, czy zrobić zakupy w supermarkecie oddalonym o dziesięć mil, czy iść do pobliskiego spożywcza z całym plikiem kuponów. Co do zasady w supermarkecie jest taniej, a dzięki programowi lojalnościowemu dostajemy dodatkowe rabaty. Jednak zebraliśmy tyle kuponów, że tym razem bardziej opłacalne mogą okazać się zakupy w spożywcza. Mam dwadzieścia dwa dolary od Miriam i trzydzieści siedem własnych, które znalazłam w torebce. Muszę wycisnąć z tej kwoty ile się da.

Jestem właśnie w trakcie porównywania ofert obu sklepów z kuponami i kalkulatorem w rękę, kiedy mój telefon nagle zaczyna bzyczyć. Tego się nie spodziewałam. To esemes od Rambo. Dlaczego do mnie pisze? Czytam wiadomość, całe trzy cyfry: 911. ¹⁸

Zrywam się z krzesła i wychodzę na zewnątrz. Jest mi potrzebny dobry zasięg, ale przede wszystkim prywatność.

– Chyba sobie robisz jaja?! – mówię, wychodząc na parking przed ośrodkiem z telefonem na ramieniu. Pod moimi stopami chrzęści żwir. – Proszę, powiedz mi, że to żart.

– Sorry Gregory – mówi Rambo. – Niestety, to nie żart, dzieciaku.

– Kiedy? – pytam. – Kiedy to się stało?

– Ciało znaleźli pięć tygodni temu, ale zidentyfikowali je na podstawie DNA dopiero przedwczoraj. Pisali o tym w „Register-Herald”. Artykuł jest online. Możesz sama sobie przeczytać.

Za cholerę. Nie zamierzam wyszukiwać tego artykułu ani na telefonie, ani na żadnym komputerze, który można ze mną powiązać.

– Gdzie? Gdzie znaleźli ciało? – pytam, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Na szlaku Bolt Mountain. Coś ci to mówi?

– Pierwsze słyszę. Nigdy nie byłam w tej części kraju.

– Ja też nie – mówi. – To jakieś dwieście mil od jej domu rodzinnego.

– I to na pewno ona? – pytam, wymachując rękami.

– Wiem tylko tyle, ile przeczytałem, dzieciaku. Nic więcej. „W sierpniu na szlaku Bolt Mountain znaleziono szkielet zaginionej w 2003 roku siedemnastolatki, Vicky Lanier, która mieszkała w Fairmont w Wirginii Zachodniej”. Brzmi znajomo?

Boże, biedna dziewczyna. Ktoś ją zabił i zakopał gdzieś w górach.

Ale też... biedna ja.

Patrzę w niebo.

– Czyli zaginiona, pod którą się podszywam, nie jest już zaginioną. Nie jest już poza zasięgiem.

– W pewnym sensie jest...

– To nie jest śmieszne, Rambo. Czyli, mówiąc krótko, mam totalnie przesrane.

Nie. O nie. Nie, teraz, kiedy jestem tak blisko. Nie, kiedy... To... To się nie dzieje. To nie może być prawda. Czy to możliwe, żebym miała aż taki niefart?

– Ach, panienko Vicky, panienko Vicky... – Rambo wzdycha. – Nie wiem, co tam kombinujesz i NIE CHCĘ WIEDZIEĆ, ale na ten moment lepiej, żebyś nie mówiła ludziom, że nazywasz się Vicky Lanier, pochodzisz z Fairmont w Wirginii Zachodniej i opuściłaś dom rodzinny w 2003 roku w wieku siedemnastu lat. Wyszukiwarka szybko wypluje im coś, co mogą zinterpretować na dwa sposoby: albo dojdą do wniosku, że kłamiesz, albo uznają za prawdopodobne, że w miasteczku o populacji poniżej dwudziestu tysięcy mieszkańców żyły dwie Vicky Lanier, które były w tym samym wieku i zginęły w tym samym roku.

– No weź, Rambo. Pomóż mi. Czy jest coś, co mogę zrobić? Co ty byś zrobił?

– Nic nie możesz z tym zrobić. Nie sprawisz przecież, że ten i inne artykuły znikną. Chcesz wiedzieć, co ja bym zrobił? – mówi. – Modliłbym się o to, żeby nikt nie obczaił mnie w internecie lub przestałbym robić rzeczy, do których używałem tożsamości nieżywej kobiety.

Nie, nie mogę się wycofać. Nie teraz, kiedy jestem tak blisko. Do listopada zostało tylko siedem tygodni.

Czyli mogę się jedynie modlić o to, żeby w ciągu najbliższych siedmiu tygodni nikt mnie nie zdemaskował. Bo inaczej... wszystko się posypie.

Piątek, 16 września 2022 r.

Ślub. Znowu będę brał ślub! Ale gdzie?!?

- W Paryżu - powiedziałaś. - Zawsze marzyłam o tym, żeby wziąć ślub w Paryżu.

W Wenecji. W Cabo. Na Maui. Gdziekolwiek. Ożenię się z tobą, gdziekolwiek tylko zechcesz, Lauren. Ożeniłbym się z tobą nawet w piwnicy lub w wannie z lodowatą wodą, gdybyś tylko miała taką fantazję.

Vicky i ja pobraliśmy się w Meksyku. Taki kaprys. Moi rodzice nie doczekali tej chwili, a ona nie miała kontaktu ze swoimi, odkąd opuściła Wirginię Zachodnią jako nastolatka, więc nie potrzebowaliśmy hucznego wesela. Jednak jestem domatorem, z sercem nierozzerwalnie związanym z Chicago, dlatego właśnie w tym mieście chciałbym wziąć ślub.

Oj, Vicky, Vicky... to nie będzie łatwe. Muszę znaleźć możliwie najlepszy sposób, by jej to przekazać. Na początku będzie ciężko. Nawet bardzo. Ale z czasem na pewno zrozumie, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

No i nie muszę z tym wyskakiwać od razu, prawda? Jest jeszcze trochę czasu. W końcu muszę się wstrzymać z pozwem o rozwód do trzeciego listopada, do naszej dziesiątej rocznicy, żeby miała coś na otarcie łez. Swój udział. Może to nieco załagodzi sytuację?

„Słuchaj Vicky, mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Zła jest taka, że się rozwodzimy, a dobra, że właśnie stałaś się bogatsza o dziesięć milionów dolarów”.

Tak, to może poczekać. Będzie dobrze. Wszystko jakoś się ułoży. Nie wiem, po co się tak martwię.

37

Simon

Zapisuję ostatnią myśl w swoim zielonym dzienniku i chowam go do torby, z którą chodzę na uczelnię. Właśnie tam zawsze go trzymam. Nie chciałbym, żeby wpadł w niepowołane ręce. W końcu nie jest to coś, czym pragnę się dzielić z całym światem, prawda?

Anshu zagląda do mojego gabinetu.

– Hej, daj mi jeszcze pięć minut – mówi.

– Dobra, nie ma sprawy.

Anshu wyciąga mnie dziś na lunch. Gdybym zapytał go o to wprost, zaprzeczyłby, ale dobrze wiem, że w ten sposób próbuje mnie pocieszyć. Dziś piątek, szesnasty września – ostatni dzień na złożenie wniosku o awans na stanowisko profesora. Anshu wie, że Pierdziekan jest przeciwny mojej kandydaturze. Wie również, że nie złożyłem wniosku, choć nie wie dlaczego.

Tak, strasznie mnie to gryzie, ale mniej niż fakt, że Anshu WIDZI, jak strasznie mnie to gryzie. Staram się nie okazywać emocji i jestem z siebie dumny, kiedy mi się to udaje.

– OK, jestem gotowy – wchodzi do mojego gabinetu z torbą i płaszczem przerzuconym przez ramię.

– Kończysz na dzisiaj? – pytam. – O pierwszej po południu?

– Cóż, biorę pod uwagę ewentualność, że nasze wyjście ewoluuje w lunch – mówi. – W końcu dziś piątek.

Tak, zdecydowanie próbuje mnie pocieszyć. Naprawdę złoty z niego człowiek. Pocziwiec. Jest jedną z niewielu osób na wydziale, które potrafię zdzierżyć. Ma do siebie dystans. Prawdopodobnie jest w pierwszej dziesiątce najwybitniejszych specjalistów z zakresu prawa deliktów w kraju, ale w ogóle się z tym nie obnosi. Woli mówić o swojej żonie i dzieciach oraz rozprawiać o kolejnym spadku formy Cubsów.

– Serio, nie przejmuj się. Nic mi nie jest – mówię. – Naprawdę. Nie musisz mnie pocieszać.

– Może ciebie nie, ale siebie tak – odpowiada. – Chcę mieć na pokładzie ludzi, którzy zapracowali sobie na swoje stanowisko, a nie wbili się tylnymi drzwiami za kasę tatusia. Uczelnia jakoś by sobie poradziła bez tych hojnych darowizn. Biedna nie jest. Więc proszę cię, pomóż mi zatopić smutki, dobrze?

Skoro tak stawia sprawę... jakże mógłbym odmówić?

- OK, ale ja stawiam – odpowiadam.
- Nie będę protestować.

Francuska restauracja, do której zabiera mnie Anshu, znajduje się niedaleko uczelni, w pobliżu Michigan Avenue. Idziemy więc do niej na piechotę. Zdaniem Anshu podają tam najlepszą na świecie żabnicę. Wierzę mu na słowo. Nigdy nie jadłem żabnicy i raczej prędko się to nie zmieni. Bardziej kusi mnie dobrze zaopatrzona część barowa, którą zapewne odwiedzimy po lunchu.

– Dzień dobry, rezerwacja na nazwisko Bindra. Stolik dla dwóch osób – mówi Anshu, przekraczając próg restauracji. – No nie, to chyba jakieś jaja.

Rozglądam się po sali i prawie od razu ich zauważam.

Dziekan Comstock siedzi w łoży w towarzystwie swojego nowego protegowanego, profesora uczelni Reida Southerna (wkrótce profesora). Między nimi, na stoliku, chłodzi się szampan.

Serio?! To naprawdę są jakieś jaja. Już świętują jego awans? Do tego muszę na to patrzeć? Może niech od razu ktoś da mi mokrą szmatą w ryj?

– Możemy iść gdzie indziej – szepcze do mnie Anshu. – Serio. Wszystko jedno gdzie.

– I nie spróbować żabnicy? – mówię, poklepując go po ramieniu. – No co ty. Na samą myśl o niej cieknie mi ślinka.

– Daj spokój, Simon.

– Już i tak nas widzieli – dodaję. – Jeśli teraz tak po prostu sobie pójde, wyjdę na buraka i dupka.

To prawda. Zauważyli nas i teraz szepczą coś między sobą, jednocześnie przybierając na nasz użytek swoje najbardziej dobrodusze miny. Jakby grali fair.

– Czy wszystko w porządku? – pyta nas miła pani przy wejściu.

W jak najlepszym! Tylko proszę nas nie sadzać obok tamtych dwóch. Wtedy może jakoś uda mi się przetrwać ten lunch.

– No proszę, cóż za niespodzianka! – woła do nas dziekan Comstock, dziś występujący jako Pan Pomarańczowa Muszka.

Jego srebrna spinka do mankietu bije mnie po oczach, kiedy wyciąga rękę. Miałem nadzieję, że za sprawą pandemii COVID-19 zwyczaj ściskania ludziom dłoni na powitanie odejdzie do lamusa. Wyginie jak dinozaury. Ale prodziekan to facet starej daty, więc robię mu tę przyjemność i ściskam jego dłoń.

– Miło cię widzieć, Reid – mówię, choć w tej chwili wolałbym mieć wyrywane paznokcie kombinerkami.

Anshu wielokrotnie mi dokuczał, mówiąc, że Reid wygląda jak rasowy profesor. Istotnie. Trudno się nie zgodzić: sportowa marynarka, okrągłe okulary, szpakowata kozia bródka i permanentny wyraz samozadowolenia na twarzy.

– O! Nie prowadziłeś dziś żadnych zajęć? – pyta Reid, mierząc mnie wzrokiem. Pije do mojego typowego stroju, czyli koszuli OCBD i dżinsów.

To trochę cios poniżej pasa, nie uważasz, Reid? Przecież dobrze wiesz, jak się ubieram. Podobnie jak wiesz, że twój koleżka, Pierdziekan Ciućmok uitorował ci buldożerem drogę do stanowiska profesora, żebyś się przypadkiem nie zestresował konkurencją. Mogłeś chociaż zachować jakieś pozory, odrobinę klasy. Ale nie. Nie mogłeś się pohamować, co nie? Musiałeś pokazać, gdzie moje miejsce. Z lekka mnie upokorzyć.

Wiesz, jak to się rozegrało, prawda, Reid? Podejrzewam, że prodziekan nie zdradził ci wszystkich szczegółów, ale z pewnością nie omieszkął poinformować ciebie i twojego naszpikowanego forsa tatusia, że „przemówił mi do rozsądku” lub „pomógł zrozumieć” sytuację i „załatwił sprawę”. Na pewno powiedział ci to ze swoją quasi-dyplomacją.

O tak. Na sto procent wiedziałeś. Widzę to po twoim protekcyjnym uśmiešku. Aura uprzywilejowania bije od ciebie na kilometr. Nie przeszkadza ci fakt, że jesteś tu dziś tylko dzięki swoim koneksjom. Nic a nic. Jesteś wręcz z tego dumny i dajesz mi to do zrozumienia. OK, wprawdzie nie złożyłem wniosku – więc ostatecznie zachowałem się jak na grzecznego chłopca przystało – ale jak ja w ogóle śmiałem POMYŚLEĆ o ubieganiu się o to stanowisko, wiedząc, że REID SOUTHERN aplikował, i to pierwszego dnia? Jak mogłem ROZWAŻAĆ zakwestionowanie twoich pretensji do tronu? Za kogo ja się w ogóle uważam i czy naprawdę sędzę, że mogę robić coś więcej niż czyścić ci buty?

Dobrze rozumiem, Reid?

– Gratulacje – mówi Anshu do Reida. – Nie mogę się doczekać, kiedy dołączysz do naszego grona.

– Och, jak miło mi to słyszeć, panie profesorze – odpowiada Reid. – A tak przy okazji, Simon, wczoraj czytałem twojego bloga – dodaje. Mówi mi po imieniu, podczas gdy do Anshu zwraca się per „panie profesorze”. Tak, nie uszło to mojej uwadze. – Coś o konsekwencjach dobrowolnego przekazywania różnym podmiotom informacji na swój temat, prawda?

– Zgadza się.

– Zabawny wpisik – mówi Reid.

Zabawny wpisik? Dokonałem w nim dość wnikliwej analizy uzasadnienia sądu i wykazałem, że jest to przykład rozumowania cyrkularnego.

Zabawny wpisik. Sądy dają rządowi wolną rękę, pozwalają mu stale zwiększać stopień ingerencji w prywatność obywateli, do niewyobrażalnego wręcz poziomu. I to ma być niby zabawny wpisik?

Uśmiecham się do niego.

Spokojnie, Simon.

Dotykam kieszeni moich spodni, udając, że właśnie przyszedł do mnie esemes. Wyciągam telefon i mówię:

– Przepraszam na chwilę.

Odchodzę nieco na bok, podczas gdy reszta kontynuuje gadkę szmatkę. Biorę głęboki oddech.

Spokojnie. Oddychaj. Dobrze. Oczyść umysł. Ćwiczenie uspokajające... 3... 2... 1... start!

„Co najmniej” pisze się oddzielnie, ale „przynajmniej” i „bynajmniej” razem. Do tego tych dwóch ostatnich słów nie można stosować wymiennie.

Dokopuję się do swojego maila, ale nie sprawdzam ani odebranych, ani wysłanych, tylko przechodzę do wersji roboczych.

„Oko” i „kajak” mają takie samo znaczenie, bez względu na to, czy czytamy je normalnie, czy wspak.

„Okres czasu” to masło maślane, choć mało kto zdaje sobie z tego sprawę.

Nikt nie „włancza” światła, choć wielu próbuje. Podobnie jak „iść po najmniejszej linii oporu”.

Czy skoro w weganizmie chodzi o jedzenie warzyw, to czy w humanizmie chodzi o jedzenie ludzi?

Dobra, wystarczy. Pieprzyć to. Mam dość bycia spokojnym. Koniec tego dobrego.

Znajduję mail do Joyce Radler z sekretariatu i czytam go jeszcze raz:

Droga Joyce,

w załączeniu znajduje się mój wniosek o awans na stanowisko profesora wraz z kompletem pozostałych wymaganych dokumentów w formacie PDF (zgodnie z prośbą).

W razie jakichkolwiek pytań pozostaję do dyspozycji.

Naciskam „wyslij” trzy i pół godziny przed upływem terminu.

Załącznik jest konkretnych rozmiarów, więc mail międli się dobre pół minuty. I... poszło. Kiedy mój telefon dla potwierdzenia robi „bzyk-bzyk”, podnoszę wzrok i uśmiecham się.

Tak. Skompletowałem wszystkie potrzebne materiały. Na wszelki wypadek. Szczerze powiedziawszy, już myślałem, że nie złożę tego wniosku. Szczególnie że teraz dziekan na pewno wytoczy przeciwko mnie ciężką artylerię. Zniszczy mnie. Moją karierę na tej uczelni. Albo w ogóle moją karierę. Kropka.

A może nie? Kto to wie.

Byłem gotowy odpuścić, Reid. Wziąć to na klatę i liczyć na szczęście przy następnej okazji. Ale ty nie mogłeś, co, Reid? Nie mogłeś odpuścić. Musiałeś mnie sprowokować.

Naprawdę próbowałem. Starłem się zachować spokój i rozsądek, ale czasem przejmuję się niektórymi rzeczami bardziej, niż powinienem. Tak już mam. Wiem, brzydka cecha.

38 Christian

– Chodźmy na miasto – mówi Gavin od progu, po czym idzie prosto do kuchni po alkohol. – Chodźmy na mecz Cubsów, najeść się chipsów. A potem do klubu, podotykać biustów – widać, że podoba mu się ten pomysł, bo zaczyna nucić pod nosem „Cubsów... chipsów... biustów...”, nalewając sobie bourbona.

– Chyba dziś nie czuję weny. Nie chce mi się – mówię.

– Nie chce ci się iść na Cubsów? OK, w takim razie tylko klub. Pójdziemy na stek, a potem uderzymy do West Loop.

Moją jedyną reakcją jest jęk.

– W takim razie Trójkąt – mówi. – A może Tavern?

– No nie wiem.

– Czego nie wiesz? Jest piąteczek. Piątunio. Co, chcesz zostać w domu?

– Może. Jestem zmęczony.

Potrząsa głową.

– Nie, nie, nie. Nicky nie jest zmęczony w piątkowy wieczór. Nicky narąbie się ze swoim kumplem Gavinem, a potem wybierze sobie jakąś młodą gąskę i pofrunie z nią do domu.

– Rany, G, po prostu nie czuję się dobrze. Pozwij mnie.

Gavin bierze duży łyk bourbona i wlepia we mnie gały. Grozi mi palcem i pyta:

– A jak tam ci idzie z numerem siedem?

– Dobrze, nawet bardzo. Owinąłem ją sobie wokół małego paluszka.

– Tja?

– Tja.

– OK, możemy wypić drinka albo dwa przed wyjściem – dochodzi do wniosku. – Opowiedz mi o niej.

– Nie taką mamy umowę.

– Nie chodzi mi o imię, tylko... no wiesz. Tak ogólnie. Co to za jedna?

Wzruszam ramionami.

– Nie ma specjalnie o czym opowiadać. Zdaje się, że uciekła z domu.

To go zaskoczyło. Mnie też, kiedy robiłem swój mały research. Ale po głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że to ma sens. Im więcej czasu spędzam z Vicky, tym bardziej widzę, że jest samotniczką. Wojowniczką. Większość kobiet, które biorę na celownik – a właściwie sześć poprzednich –

miało całkiem normalne życie. Oczywiście pomijając fakt, że cieszyły się licznymi przywilejami wynikającymi z zasobności portfela. Żadna z nich nie miała podobnych doświadczeń do moich.

– W sensie uciekła z domu za dzieciaka? – dopytuje Gavin. – I co potem robiła?

– Nie wiem. Nie chce mówić o swojej przeszłości. W necie też prawie nic o niej nie ma.

– W takim razie dobrze wiesz, co robiła – mówi Gavin, nalewając sobie drugi kieliszek bourbona.

– Nie, nie wiem.

– Co innego mogła robić? Uciekła z domu. Musiała przecież jakoś na siebie zarobić.

– Zamknij się, G.

– Była dziwką. Albo aktorką porno. Coś z seksbiznesu. Nie ma innej opcji, Nicky.

Wyciągam butelkę wody z lodówki.

– A co? Nie pieprzy się jak dziwka?

– STUL PYSK, Gavin! – upuszczam odkręconą butelkę. Korek odlatuje. Woda rozpryskuje się na wszystkie strony.

– Jezuuu... – Gavin lekko się cofa. – Kurwa, brachu. Co jest?

Łapię za ścierkę i wycieram mokrą podłogę. W międzyczasie Gavin idzie do salonu i włącza wielki telewizor.

Wrzucam mokrą ścierę do zlewu, nalewam sobie bourbona i wychodzę na patio. Wieczorem ta okolica dosłownie tętni życiem. Uwielbiam to. Podoba mi się tutaj. Zawsze chciałem zamieszkać w Chicago na stałe, oczywiście po wystarczającym obłowieniu się na przekrętach. Ale bezpieczeństwo przede wszystkim. Jeśli będę musiał opuścić kraj, zrobię to. Jak dotąd zgrabnie unikałem odpowiedzialności. Większość kobiet nawet nie stara się mnie namierzyć, a co dopiero ganiać za mną po kraju. Po tym, jak ulatuję z ich hajsem, jest im zbyt głupio. A ich mężowie, rzecz jasna, mają je w dupie. Trudno im się dziwić, po tym wszystkim, co przez nie przeszli: zdrada, rozwód, a do tego ugoda. A nawet gdyby któraś mnie wytropiła... to co? Co by zrobiła? Jestem ich brudnym sekretem. Nikt z ich otoczenia mnie nie zna. Poza tym za każdym razem posługuję się inną tożsamością. Byłem już między innymi Collinem Danielsem, Richardem Nantzem, Davidem Jennerem... więc jedyne, co muszę zrobić, to wszystkiemu zaprzeczyć: „Nie, to nie ja”, „Jakie pieniądze?”. Niczego nie mogą mi udowodnić.

Vicky? Nie mam pojęcia, co zrobi, gdy już wycisnę ją jak cytrynę. Jej przypadek jest inny. Ona zabierze mężowi praktycznie WSZYSTKO, a potem ja

jej. Tylko czy złodziej może mieć pretensje do drugiego złodzieja? Pewnie tak. Może próbować. Vicky wygląda na taką, co nie tylko nie zapomina, ale i nie odpuszcza. Pielęguje urazę. Ale tak naprawdę jej nie znam. Wciąż muszę sobie o tym przypominać.

Nie, ona nie jest jak tamte. Nie odpuści mi. Będzie mnie ścigać. Na bank. Ja na pewno bym tak zrobił, a ona jest do mnie podobna.

Wchodzę do salonu, gdzie Gavin zdążył już rozwalić się na mojej kanapie. Ogląda film i pije bourbon. Kiedy mnie zauważa, wskazuje na ekran.

– *Spy Game* – mówi. – Widziałeś ten film?

– Nie.

– Staroć z Redfordem i Pittem. Ten pierwszy gra starego wyjadacza. Agenta CIA, który wdraża Pitta. Tłumaczy mu, jakie są zasady. Coś w stylu: nie przywiązuj się do nikogo i niczego, odłóż hajs na emeryturkę i za cholerę go nie wydawaj. I zawsze chroń przede wszystkim swoją dupę. A potem się okazuje, że tylko tak gada. Udaje twardziela, a facet ma złote serce. Wiesz, co ty i Redford macie ze sobą wspólnego?

Siadam na kanapie.

– Nie, niby co?

– Nic – odpowiada. – Absolutnie nic. A wiesz dlaczego? Bo to tylko zasrany film. Fikcja. Bajeczka. A ty, Nicky, żyjesz w prawdziwym świecie. Więc zrób sobie i przede wszystkim MI przysługę, dobra?

– Niby jaką?

– Nie pozwól, żeby ci się zebrało na wyrzuty sumienia – mówi. – I pod żadnym pozorem NIE zakochuj się w tej kobiecie. Zabierz jej kasę i siema, nara. Potem droga wolna, możesz sobie szukać swojej księżniczki.

– No dobra – mówi Gavin. – Jeszcze jedno, a potem idziemy na stek.

– Nie mam ochoty.

Stoimy teraz na moim patio na pierwszym piętrze.

– To może chodźmy chociaż tam – nie odpuszcza.

– Gdzie?

– Tam, po drugiej stronie ulicy, Einsteinie. Widzisz? Mają tam patio. Wszyscy tam chleją i dobrze się bawią, w przeciwieństwie do nas. Już wiesz, o które miejsce mi chodzi? To z patio, na którym widzę ze dwadzieścia laseczek, gotowych rozłożyć dla ciebie nogi, gdybyś tylko zechciał łaskawie na nie mrugnąć. Oczywiście, o ile jeszcze nie jesteś zakochany po uszy w numerze siedem.

– Zamkniesz się wreszcie?

– Zamknę się po trzecim listopada, kiedy numer siedem oskubie swojego mężusia, a ty numer siedem. Wtedy wezmę swój procent i zamknę ryj. Ale na razie... martwię się o ciebie.

– Nie zakochałem się w niej i nie zakocham.

– No dobra. To co powiesz na kolację w tej knajpce? Mają tam steki?

– Nie sądzę, ale zaraz sprawdzę. Mam gdzieś menu.

– Żadnego zamawiania, mordeczko ty moja. Idziemy tam. Tylko powiedz mi, co dobrego tam mają.

– Shoarma z kurczaka jest całkiem niezła.

– Że CO z kurczaka?

– Kofta też nie jest najgorsza.

– Co proszę? Kaf... co? Kafka? Jezu, Nicky. Co się z tobą dzieje?

Pochylam się i mówię ściszym głosem:

– Możesz przestać mnie tak nazywać, do kurwy nędzy? Niby tak się o mnie martwisz, a wrzeszczysz „Nicky” z mojego patio. Może jeszcze ogłoś w zasranym „Chicago Tribune”, że nie nazywam się Christian Newsome, co?

Kiwa głową i upija większość swojego drinka.

– Słusznie. Masz rację, CHRISTIAN. Przepraszam. I zdaję sobie sprawę, że musisz jeść jakieś dziwactwa, żeby utrzymać tę swoją boską sylwetkę. Pokornie wycofuję się więc ze swych poprzednich słów, mości Christianie. Czy zechciałbyś mi towarzyszyć w... – patrzy na patio lokalu po drugiej stronie ulicy. – Jak właściwie nazywa się ta knajpa?

– Viva – mówię. – Viva Mediterránea.

39

Simon

Poniedziałek rano. Budzę się sam w domu. Vicky znowu pojechała na weekend do Elm Grove, zobaczyć się ze swoimi siostrzenicami. Starsza z nich, Mariah, kilka tygodni temu dostała pierwszej miesiączki i bardzo się tym przejęła. Prawdopodobnie dlatego, że nie ma przy niej jej mamy. To dla niej tak jakby podwójny cios. Vicky uparcie twierdzi, że mogła zapobiec samobójstwu siostry. Uważa, że gdyby zrobiła dla niej więcej, nie doszłoby do tego. Dlatego teraz często spędza z siostrzenicami weekendy.

Ale hej! To przecież jeden z powodów, dla których ją kocham.

Moja mama by ją polubiła. Nie przeszkadzałyby jej, że Vicky czasem zachowuje się niestosownie. Doceniłaby jej odwagę, szczerość i dosadność. Moja matka była znana z tego, że zawsze mówiła to, co myślała. Często działało to na jej niekorzyść. Tata opowiedział mi kiedyś anegdotkę o mamie z czasów, kiedy zaraz po studiach została zatrudniona w prestiżowej kancelarii. To były lata osiemdziesiąte. Pracowało w niej dziewięciuset prawników, w tym tylko sześć kobiet. Mama organizowała dla swoich koleżanek różne spotkania po pracy: lunche, drinki i takie tam. Można to było nazwać swoistą grupą wsparcia. Pewnego razu jeden z partnerów kancelarii, wyraźnie rozbawiony, głośno skomentował ulotkę, którą mama zawiesiła na tablicy ogłoszeń: „Kobięcy wieczór”? A dlaczego nie męski wieczór? (W tym momencie moja mama dodała, że nieprzypadkowo taki komentarz padł akurat w chwili, kiedy stała obok na korytarzu). Nikogo, kto znał moją matkę, nie mogło dziwić, że nie puściła tej uwagi mimo uszu. Odpowiedziała: „Ponieważ KAŻDY wieczór to męski wieczór”.

„Lepiej nic nie mów, jeśli nie masz nic do powiedzenia” – często powtarzała podczas naszych wieczornych rozmów, tuląc mnie do snu. – „A kiedy już zdecydujesz się coś powiedzieć, mów, co myślisz, myśl, co mówisz, i zawsze bądź gotów bronić swojej wypowiedzi. Jeśli nie będziesz w stanie znaleźć argumentów dla swojego stanowiska w jakiejś sprawie, to znaczy, że tak naprawdę od początku ich nie miałeś”.

Jest jeszcze bardzo wcześnie. Dopiero piąta rano, a właściwie kilka minut po. Odkąd biegam wieczorami do Wicker Park, odpuszczam sobie „Pięć o piątej”. Zamiast tego idę więc na długi spacer, wracam do domu, biorę prysznic i wrzucam tekst na mojego bloga „Simon Says”¹⁹. Esej traktujący o wyjątku

„dobrej wiary” od wymogu posiadania nakazu przeszukania. Kończę akurat tak, żeby zdążyć na zajęcia o ósmej rano.

Moja mama na pewno pokochałaby blogowanie. Miała, rzecz jasna, swoją specjalizację, jak każdy profesor, ale czytała przeróżne wyroki i decyzje. Pochłaniała wszystkie uzasadnienia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i dyskutowała o nich z nami przy obiedzie. Robiła podsumowanie faktów, omawiała argumenty za i przeciw i przedstawiała nam wynik swoich rozważań, który z reguły różnił się od stanowiska Sądu Rehnquista²⁰.

Około dziewiątej trzydzieści idę promenadą w kierunku Chicago Title & Trust Building. Każdego ranka, kiedy tu przychodzę, myślę o moim ojcu i jego kancelarii. I nie są to miłe wspomnienia. Pewnie niejeden terapeuta powiedziałby mi, że przychodzenie tu codziennie nie jest zbyt zdrowe. Ale od czasu tamtego feralnego porannego telefonu do doktor McMorrow nie rozmawiam z psychoterapeutami. Przez tę całą batalię sądową mi się odechciało.

Kupuję sobie kawę w Starbucksie i siadam na parterze budynku. Włączam telefon i piszę:

Dzieńdoberek, moja gołąbeczko.

Nie odpowiada. Próbuję więc jeszcze raz:

Dzień dobry, moja królowo.

Nadal nic. Nawet nie zaczęła pisać. Nie widzę wielokropka. Wygląda na to, że w ogóle nie otrzymała wiadomości.

Widzę, że jesteś zajęta. W takim razie napiszę do ciebie wieczorem, miłości ty moja.

Wyłączam telefon i wyjmuję z niego kartę SIM. To była strata czasu, ale przynajmniej zrobiłem sobie przyjemny spacer przy ładnej pogodzie.

Nie mam obsesji na punkcie Mitchella Kitchensa. Po prostu czasem o nim myślę. Mitchell potrafił podnieść do góry sto funtów i rzucić nimi na odległość piętnastu stóp²¹. Skąd to wiem? Bo ja na początku ogólniaka ważyłem sto funtów i niejednokrotnie rzucał mną na piętnaście stóp. Jego rekord to osiemnaście stóp i trzy cale²².

Sala gimnastyczna, na której trenowali zapaśnicy, znajdowała się zaraz przy głównym wejściu do szkoły – pod które podrzucał nas szkolny autobus. Mitchell

krzyczał do mnie „Mini Mój!” i bez względu na to, czy reagowałem, czy też nie, potrafił złapać mnie za chabety i zaciągnąć do sali gimnastycznej.

A tam czekały na nas maty oraz dwa oznaczenia: czerwona taśma wyznaczająca punkt startowy oraz niebieska z najlepszym wynikiem Mitchella. Jedną ręką na moim pasku, drugą mocno ściskającą koszulkę. No i sru. Mitchell rzucał naprawdę wysoko, a ja lądowałem twardo na macie. Jego kumple śmiali się, dopingowali go i mierzyli dystans. Czasem, kiedy Kitchens nie był zadowolony z pierwszego rzutu, robił powtórkę.

„Nie masz chyba nic przeciwko, co, Mini Mój?” – mówił wtedy, poklepując mnie po plecach tak mocno, że ledwo trzymałem się na nogach. Mimo wszystko bardzo dobrze zapamiętałem ten tekst. Facet miał IQ hydrantu, ale zawsze pamiętał, żeby o to zapytać, i upewniał się, że uzyskał ode mnie pozwolenie. Zapewniał sobie w ten sposób dupochron. W razie kłopotów mógłby użyć tego argumentu na swoją obronę: „Powiedział OK. Nie miał nic przeciwko. Lubił tę zabawę. Tylko się wygłupialiśmy”.

Oczywiście, że nie lubiłem tej „zabawy” i miałem coś przeciwko. To było upokarzające. I czasem bolesne. Ale nauczyłem się całkiem dobrze upadać. Chroniłem twarz przed uderzeniem o matę i zaciskałem dłonie w pięści, by nie połamać sobie palców.

Tyle razy zastanawiałem się, dlaczego ja? Co ja mu takiego zrobiłem? Jasne, byłem kujonowatym pokurczem. Ofermą. Chodzącym stereotypem ofiary takiego szkolnego łobuza jak Mitchell. Ale nie ja jeden.

Teraz, patrząc z perspektywy czasu, nietrudno podać powód. Chodziliśmy razem na matkę. Zajęcia, które ja miałem w pierwszej klasie, dla niego stanowiły wyzwanie w ostatniej. Dostawałem same piątki, a on ledwo zdał.

Jakby tego było mało, zaczął mnie też podczas lunchu. Widocznie nasza poranna „zabawa” mu nie wystarczała. Podchodził do mojego stolika na stołówce i klepał mnie po głowie. Codziennie dostawałem do szkoły butelkę gatorade’a. W tamtym czasie mama próbowała mnie nieco podtuczyć. „Nie masz nic przeciwko, prawda, Mini Mój?” – mówił do mnie i zabierał gatorade’a ze stolika. Raz wziąłem drugą butelkę, wiedząc, że z jedną będę musiał się pożegnać, ale i tamtą zmiotł. „O, nie wiedziałem, że mam urodziny dwa razy w roku” – powiedział wtedy. Inne dzieciaki przy moim stoliku odwracały wzrok. To byli w większości pierwszoklasiści. Wiedzieli, że na moim miejscu zrobiliby dokładnie to samo – czyli nic.

Mitchell był jednym z najbardziej popularnych dzieciaków, był królem szkoły. Swojego czasu dzięki zapaśniczemu talentowi mógł przebierać w ofertach uczelni. Ostatecznie jednak wszystko mu się posypało. Schrząnął swoją szansę. Zaczął być na bakier z prawem. Prawie wylądował w więzieniu.

Więc może rzeczywiście istnieje coś takiego jak karma. Być może nie powinienem rozgrzebywać przeszłości. Ale za każdym razem, kiedy patrzę na bliznę na swoim lewym policzku, mimowolnie zaczynam o nim myśleć.

Chwilę po dziewiętnastej wychodzę z uczelni i biegnę pięć mil do Wicker Park. Zatrzymuję się w zaułku na tyłach Viva Mediterránea. Dziś po południu trochę padało. Jesienna pogoda nie rozpieszcza. To wystarczy, by ostudzić entuzjazm klienteli Vivy względem patio. Jednak znalazło się kilku śmiazków, którzy w lekkich kurtkach i swetrach popijają koktajle, trzymając się kurczowo resztek lata.

Punkt dwudziesta wyciągam mój zielony telefon, wkładam do niego kartę SIM i piszę wiadomość:

Dobry wieczór, moja gołąbeczko.

Odpowiada:

Hmmm... porównujesz mnie do ptactwa, ale niech ci będzie

Ajajaj, ktoś tu jest trochę drażliwy. Piszę więc:

Czyżby mój gołąbek był nie w sosie?

Na co ona odpowiada:

*Źle dziś spałam. Con strasznie głośno chrapie
<ziew>*

Uuu... to mocno działa na wyobraźnię. Do tego mówienie zdrobniale o MEŻU. No cóż, życie. Odpowiadam:

Czyli to dlatego nie odpisałaś mi rano?

Na co ona:

Po jego wyjściu spałam przez pół poranka

Aha, i wszystko jasne.

Nie ukrywam, że wolę nie wyobrażać sobie was razem w łóżku.

Na co ona pisze:

To jego dom, nie bądź zjazd

Po chwili dodaje:

LOL. Nie bądź ZAZDROSNY. Cholerna autokorekta. Muszę lecieć. Pa

I to by było na tyle. Wyłączam telefon, wyjmuję kartę SIM i upycham oba te przedmioty do kieszeni szortów.

Patrzę na apartamenty z patio wychodzącym między innymi na ten zaułek. Na jednym akurat nikogo nie ma, ale w mieszkaniu pali się światło.

To właśnie apartament Christiana Newsome'a, faceta, który od kilku tygodni posuwa Vicky.

Tja, wiem o tym. Widziałem Christiana na patio kilka razy, kiedy przybiegałem tu wieczorem. Czasem samego, kiedy indziej z przyjacielem Gavinem.

Ale nigdy z Vicky. Nie, Vicky jest zbyt ostrożna, by dać się zobaczyć z nim publicznie.

Czy wkurza mnie, że Vicky uprawia seks z innym mężczyzną? Oczywiście, że tak. Jestem tylko człowiekiem. Ale w tych okolicznościach nie mam prawa się ciskać i mieć pretensji, prawda?

W tej sytuacji staram się zachować rozsądek. Czasem potrafię być nad wyraz rozsądny.

A kiedy indziej przejmuję się niektórymi rzeczami bardziej, niż powinienem.

Dzień po Halloween

40 Jane

Conrad Betancourt siedzi na kanapie w swoim salonie. Ma szkliste oczy, pod którymi bardzo wyraźnie zarysowują się ciemne worki. Zdecydowanie jego największym atutem jest porządna opalenizna.

Jeden z funkcjonariuszy pojechał po niego na lotnisko O'Hare. Samolot Conrada wylądował mniej więcej dwie godziny temu. Wdowiec został przewieziony do kostnicy w celu identyfikacji zwłok. Raport funkcjonariusza był dość skąpy: Conrad powiedział tylko: „Dobry Boże”, potwierdził, że to ciało jego żony, i poprosił o chwilę prywatności. Nie wiadomo, czy tylko uronił parę łez, zaczął ryczeć, jak na zrozpaczonego męża przystało, czy też pozostał niewzruszony. Jane tego nie wie, ponieważ funkcjonariusz nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Po wyjściu z kostnicy Conrad milczał całą drogę do domu.

– Kto to zrobił? Kto to zrobił mojej żonie i dlaczego? – pyta.

„Mojej żonie” a nie „Lauren”. Odkąd przyjechał do domu, ani razu nie wypowiedział jej imienia. Mówił o niej jak o rzeczy. Typowo męskie zachowanie. Jane zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby jej mążnek mówił o niej w taki sposób. Może kiedyś będzie miała okazję się przekonać. Tylko najpierw musi wyjść za mąż.

– Proszę nam pomóc się tego dowiedzieć – mówi Jane.

– Cóż, na pewno nie popełniła samobójstwa.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Nie zrobiłaby tego.

Nie rozwija tej myśli. Za bardzo przywykł do roli szefa. Przywódcy, wydającego autorytatywne osądy bez konieczności tłumaczenia czegokolwiek. Jane jest pewna, że nie chciałaby dla niego pracować.

– Czy cierpiała na depresję? – dopytuje Jane.

– Nie, wprawdzie się rozwodziliśmy, więc pewnie to nie był najszczęśliwszy czas w jej życiu, ale nie miała depresji.

– Czy któreś z państwa wniosło już pozew o rozwód? – pyta Jane, choć zna odpowiedź na to pytanie od byłej żony Conrada, Cassandry.

– Ja wniosłem.

– Czy mogę zapytać, z jakiego powodu? – zastanawia się, czy właściwie sformułowała to pytanie. Tak jakby potrzebowała aprobaty. Pozwolenia. To śledztwo w sprawie zabójstwa. Ma prawo pytać i domagać się odpowiedzi. Nawet w przypadku tak osobistych kwestii. Spróbuje zapamiętać to na przyszłość.

Betancourt mierzy ją wzrokiem, mrużąc przy tym oczy w wyrazie dezaprobaty.

– Z powodu różnic nie do pogodzenia – odpowiada.

– Czy mógłby pan rozwinąć to stwierdzenie?

Na początku wydaje się rozbawiony. Prawdopodobnie, gdybym nie była policjantką, powiedziała by, że jestem bezczelna. „Bezczelne babsko”. Jednak szybko odwraca wzrok i wlepia go w ścianę.

– Nie układało nam się – odpowiada.

– Czy pana żona zgodziłaby się z tym stwierdzeniem?

To pytanie jeszcze bardziej go bawi. Kwituje je słowami:

– Z pewnością.

– Kiedy wniósł pan pozew?

– Kilka tygodni temu.

– Więc w październiku.

Wzrusza ramionami.

– Nie jest to trudno sprawdzić. Proszę to zrobić.

Jane przymyka oko na tę odpowiedź, bo w sumie Conrad ma rację.

– Czy do państwa związku wkradła się niewierność?

Rusza szczęką z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Czy miała romans? Nie wiem. W pewnym momencie przeniosłem się do naszego apartamentu na Michigan Avenue. Mieszkam tam od... hmm... sierpnia albo września. Więc gdyby chciała, spokojnie mogłaby mieć romans. Nie przeszkadzałbym jej. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że kogoś miała. Ale jeśli pyta mnie pani, czy wiem to na pewno, to nie. Nie wiem.

– A pan? – pyta Jane.

– O! Przypomniałem sobie – pstryka palcami. – Wyniosłem się jedenastego września. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy, że moje małżeństwo runęło jak World Trade Center.

Jane zauważa coś w wyrazie twarzy swojego partnera Andy’ego Tate’a, ale odpuszcza i ponawia swoje pytanie:

– A pan, panie Betancourt? Czy pan dochował wierności żonie?

Wiedział, że to pytanie prędzej czy później się pojawi. Mimo to na jego twarzy maluje się rozczarowanie. Myślał, że po swojej próbie skupienia się na Lauren i udzieleniu szczegółowej odpowiedzi na poprzednie pytanie Jane wybierze inny kierunek. W końcu współpracował, a wcale nie musiał tego robić. Teraz skupia się na swoich paznokciach u grubo ciosanych dłoni.

– Poproszę następne pytanie – mówi.

Czyli nie. Nie był wierny. Jane przygląda mu się w milczeniu. Warto spróbować. Taka sztuczka. Mówi się, że kiedy przesłuchujący milczy, zdenerwowany świadek zaczyna mówić, by wypełnić czymś ciszę. Jane jednak wątpi, że to zadziała na Conrada Betancourta.

I nie działa. W końcu przenosi na nią wzrok i powtarza swoją odpowiedź:

– Poproszę następne pytanie.

To wszystko jest jak subtelny taniec. Jane, by poprowadzić go w odpowiednim kierunku, musi zrobić to w zdecydowany sposób. Trochę na niego nacisnąć, ale nie za mocno, ponieważ jej świadek ma asa w rękawie, którego może użyć w każdej chwili. Tak naprawdę Jane jest zaskoczona, że do tej pory tego nie zrobił – może odmówić odpowiedzi na pytania, szczególnie bez adwokata.

Ale to też by jej coś powiedziało. Ostatecznie przecież nie musiał zabić Lauren własnymi rękami. Nie musiał być nawet obecny na miejscu zbrodni. Szczególnie że facet ma kasy jak lodu. A kiedy jest na to lepszy czas niż podczas urlopu spędzonego na Florydzie?

– No dobrze, panie Betancourt – mówi Jane. – Moje następne pytanie brzmi: Ile ma pan pieniędzy?

– Ach, no i proszę – przekrzywia swoją wielką głowę i uśmiecha się gorzko. – Naprawdę jestem podejrzanym? Myśli pani, że zabiłem żonę, żeby tylko nie dać jej tych paru centów? Uczyła się pani zawodu z seriali o glinach, czy co?

Jane odchyła się na krześle i rozkłada ręce.

– Cóż, muszę jakoś pana wykluczyć. Przecież dobrze pan wie. Proszę mi w tym pomóc, panie Betancourt.

– Spisaliśmy intercyzę. W przypadku rozwodu miała dostać milion dolarów. To niewielka kwota, z którą nie żal byłoby mi się pożegnać. Do tego zaoferowałem, że dam jej pieniądze na adwokata.

– Być może miała w planach podważenie tej intercyzy – mówi Jane.

– Być może, ale nie było na to szans. Poza tym reszta mojego majątku jeszcze przed małżeństwem wylądowała w truście. Nie miała do niego dostępu i nic nie mogła z tym zrobić. Więc bez względu na to, czy zdecydowałyby się na próbę podważenia intercyzy, czy też nie, przejmowałbym się tym w identycznym stopniu: czyli wcale.

– Panie Betancourt – mówi Andy – jest pan pewien, że wyprowadził się pan z domu w Grace Village jedenastego września?

Conrad nie od razu kieruje wzrok na Andy’ego. Daje sobie czas. W końcu mówi:

– Już mówiłem, że tak. To charakterystyczna data. Pamiętam, że pomyślałem wtedy o bliźniaczych wieżach. Tak, jestem pewien, że wyprowadziłem się jedenastego września do apartamentu w centrum.

– I jest pan tego absolutnie pewny? – naciska Andy.

Conrad mruga nerwowo. Naturalna reakcja, kiedy jest się przypieranym do muru. Wbija wzrok w sufit, a potem z powrotem w Andy’ego

– Tak, jestem absolutnie pewny tej daty.

– I od tamtej pory ani razu nie wrócił pan do domu w Grace Village? Na przykład na noc?

– Nie. Ani razu. Nie byłem w tym domu od jedenastego września.

– A czy Lauren bywała w tym mieszkaniu w centrum po jedenastym września? Na przykład na noc?

Conrad pochyla się do przodu.

– Dobrze, powiem to najprościej, jak umiem. Od jedenastego września nie widziałem Lauren na oczy. Czy teraz wszystko jasne? Proszę zapytać w recepcji. Powiedzą panu, czy Lauren tam była, czy nie.

Teraz Andy odchyła się na krześle.

– Pozwoli pan, że coś panu pokażę. – Jane podnosi różowy telefon w torebce na dowody. – Czy widział pan może kiedyś ten telefon?

– Nie. Nie – mówi. – Co to ma być? To znaczy wiem, że to telefon, ale czyj?

– Nie wie pan?

– Pojęcia nie mam – wyraz jego twarzy tężeje. Pewnie pomyślał sobie to samo, co Andy i Jane, kiedy po raz pierwszy zobaczyli ten telefon – jednorazówka ułatwiająca stosunki pozamałżeńskie.

Rozgląda się po pokoju, jakby szukał czegoś do roztrzaskania.

– Czyli BYŁ ktoś inny – mówi Conrad. Teraz, kiedy nie jest to czysta spekulacja, od razu wygląda na bardziej przejętego niż jeszcze chwilę temu. Robi się czerwony z gniewu. Jego szczęka mocno się zaciska. – Kto? Kim on jest?

– Nie wiemy, czy miała romans – mówi Jane. – A jeśli nawet miała, to nie wiemy z kim.

– Co tam... – mówi, wskazując na telefon. – Nie ma tam żadnych esemesów? Muszą być...

– Niestety, nie możemy przekazywać panu takich informacji – mówi Jane.

– Ale proszę powiedzieć tylko, czy są tam wiadomości? Miłosne esemesy?

– Istotnie znajdują się na nim esemesy. Obiecuję, że kiedy tylko będę mogła...

– Kiedy to się zaczęło? Jak długo... – odwraca wzrok i uśmiecha się półgębkiem.

– Nie mogę odpowiedzieć panu na to pytanie.

– Proszę powiedzieć mi chociaż tyle. Podać datę.

– Panie Betancourt, proszę... wkrótce, obiecuję, ale nie teraz.

Conrad gotuje się ze złości. Hamuje się z ledwością. Jednak stopniowo emocje zaczynają opadać i zdaje sobie sprawę, że jego reakcja na myśl o romansie żony może tylko wzmacniać wszelkie podejrzenia policji względem niego.

– Świetnie – mówi. – Po prostu... świetnie.

– Panie Betancourt, czy możemy pana na chwilę przeprosić? – mówi Andy.

Jane idzie za swoim partnerem do kuchni Betancourtów. Andy wyjmuje z teczki kopię zapisu wiadomości tekstowych.

– O tutaj – szepcze Tate. – Proszę, przeczytaj wiadomości z dziewiętnastego września.

Jane czyta mu przez ramię:

NIEZNANY ROZMÓWCA TELEFON OFIARY (DOWÓD NR 1)

PON., 19 WRZ., 10:01

Dzieńdoberek, moja gołąbeczko.

PON., 19 WRZ., 10:04

Dzień dobry, moja królowo.

PON., 19 WRZ., 10:06

Widzę, że jesteś zajęta.

W takim razie napiszę do ciebie wieczorem, miłości ty moja.

PON., 19 WRZ., 20:00

Dobry wieczór, moja gołąbeczko.

PON., 19 WRZ., 20:01

Hmmm... porównujesz mnie do ptactwa,
ale niech ci będzie

PON., 19 WRZ., 20:01

Czyżby mój gołąbek był nie w sosie?

PON., 19 WRZ., 20:02

Źle dziś spałam. Con strasznie głośno
chrapie <ziew>

PON., 19 WRZ., 20:02

Czyli to dlatego nie
odpisałaś mi rano?

PON., 19 WRZ., 20:04

Po jego wyjściu spałam przez pół poranka

PON., 19 WRZ., 20:05

Nie ukrywam, że wolę nie
wyobrażać sobie was
razem w łóżku.

PON., 19 WRZ., 20:05

To jego dom, nie bądź zjazd

PON., 19 WRZ., 20:06

LOL. Nie bądź ZAZDROSNY. Cholerna
autokorekta. Muszę lecieć. Pa

To nie ma sensu...

– To nie ma sensu – mówi Andy. – Dziewiętnastego września Lauren narzeka na chrapanie Conrada, a ten z kolei zarzeka się, że od jedenastego września nie widział się z Lauren. Wydaje mi się, że nie kłamał w tej sprawie. Przecież bardzo łatwo zweryfikujemy jego słowa. Conrad musiałby być idiotą, żeby kłamać w taki sposób. Podając konkretną datę.

– Zgadzam się – szepcze Jane. – Conrad nie kłamie. To Lauren okłamała swojego rozmówcę.

– Tylko po co? Dlaczego? – pyta Andy. – Po co miałyby kłamać swojemu kochasiowi?

– A skoro okłamała go w takiej sprawie – mówi Jane – to ciekawe, na jaki jeszcze temat kłamała?

Przed Halloween

Październik

41

Wtorek, 18 października 2022 r.

To może być problematyczne. Co mam zrobić?

To dla mnie bardzo ważne, Lauren. Nie mogę tego zrobić Vicky. Oczywiście mogę jej o nas powiedzieć. Mogę to zrobić dziś wieczorem, kiedy wróci z pracy. Powiedzieć jej, że zamierzam wnieść pozew o rozwód i ożenić się z tobą. Ale nie mogę złożyć pozwu przed trzecim listopada. Nie przed naszą dziesiątą rocznicą. Jeśli to zrobię, pozbawię ją pieniędzy z trustu.

Już ci to mówiłem. Wiele razy.

- Powiem Vicky dziś wieczorem - powiedziałem. -

Wyprowadzę się z domu. Wynajmę coś. Możemy też od razu zamieszkać razem. Jeśli tylko zechcesz. Na razie nie mogę tylko wnieść pozwu o rozwód, ale ani się obejrzemy, a już będzie listopad. Za mniej niż miesiąc. Co to jest jeden miesiąc?

- Ona nie ma prawa do tych pieniędzy - odpowiedziałaś.

- Odziedzyczyłeś je po ojcu. To twoje pieniądze. Jej się nie należą. Nie zasłużyła sobie na nie.

- Nie zasłużyła? Jesteśmy małżeństwem od prawie dziesięciu lat.

- A jak myślisz, dlaczego? - powiedziałaś. - Czy ty tego nie widzisz, Simon?

Nie zrozumiałem wtedy, o co ci chodzi, a może zwyczajnie nie chciałem zrozumieć.

Przez chwilę milczałaś. Zabrakło ci słów. Potem wyrzuciłaś to z siebie. Przestałaś owijać w bawełnę:

- Nie kochacie się i nigdy nie kochaliście.

Prawie ścięło mnie z nóg.

- To nieprawda - zaprzeczyłem.

- Ona nigdy cię nie kochała, Simon. Potrzebowała kogoś, kto by się nią zaopiekował. I ty to zrobiłeś. A teraz już tylko czeka na tę kasę z trustu. W końcu jest już prawie na wyciągnięcie ręki. Czekala na nią dziewięć lat i jedenaście miesięcy.

Cofnąłem się o kilka kroków. Prawie upadłem na łóżko.

- Mówisz to tak, jakby odsiadywała jakiś wyrok.

Wtedy podeszłaś do mnie i wzięłaś mnie za rękę.

- Zaslugujesz na wiele więcej - powiedziałaś. - Wiem, że chcesz być w porządku wobec Vicky. Rozumiem to. Skoro tak, płac jej alimenty. Tylko proszę, nie dawaj jej tych milionów z trustu. To twoje pieniądze.

Wtedy mnie pocałowałaś. Najpierw delikatnie, a potem głęboko i namiętnie. Aż skoczyła mi temperatura.

- Raczej nasze pieniądze - mówię.

- Wiesz, że nie zależy mi na tych pieniądzach - wyszeptalaś, sięgając do sprzączki mojego paska.

- Wiem.

Uklękaś i rozpięłaś mi spodnie.

- Obiecaj mi, że nie będziesz czekał z wniesieniem tego pozwu - powiedziałaś.

42 Simon

Tym razem postanowiłem zrobić sobie przebieżkę z rana. Taką wariację mojego „Pięc o piątej”, które porzuciłem, odkąd zacząłem biegać wieczorami od uczelni do Wicker Park. Brakuje mi joggingu po zachodniej stronie Chicago, ale dziś nie jest na to odpowiedni dzień. Kiedy indziej to nadrobię. Dziś biegnę w innym kierunku. W stronę Grace Village. W stronę domu Lauren.

Już i tak wiele razy byłem tam autem. Lepiej nie przykuwać uwagi jej wścibskich sąsiadów. Ostatecznie to nie moja okolica. Zainteresowanie sąsiadów Lauren to ostatnie, czego mi trzeba.

Ponadto podjechałem tu wczoraj o piątej trzydzieści rano. Zaparkowałem samochód na końcu ulicy Lauren. Wprawdzie zrobiłem to pierwszy raz od tygodni, ale ostrożności nigdy za wiele.

Czekałem, aż Conrad zostanie wywieziony w swojej wypasionej bryce do East Bank Club o szóstej rano, ale żaden samochód po niego nie podjechał.

A teraz biegam jak głupek blisko Lathrow Avenue. Często zmieniam trasę i kierunek, by nie zwracać na siebie uwagi, podczas gdy coraz lepiej oświetlają mnie promienie słoneczne. Piątek rano. Piąta trzydzieści zamienia się w piątą czterdzieści pięć, a potem w szóstą i dziesięć po szóstej.

Nadal żaden samochód nie przyjechał po Conrada Betancourta.

Może jest poza miastem. Możliwe, że wyjechał w interesach, albo z kumplami. Niewykluczone, że właśnie o to chodzi.

Gdzie jesteś, Conradzie?

Zatrzymuję się niedaleko domu Lauren i uważnie mu się przyglądam. *Jeszcze nie jest za późno* – powtarzam sobie, nie wiem już który raz. – *Jeszcze nie jest za późno. Wciąż mogę się wycofać.* Zapomnieć o tym majowym dniu, w którym zobaczyłem Lauren na Michigan Avenue. Boże, mam wrażenie, że minęło o wiele więcej czasu niż pięć miesięcy, odkąd znów pojawiła się w moim życiu. Może dlatego, że tak naprawdę nigdy go nie opuściła.

– Słyszałam, że ktoś tu niedługo będzie miał urodziny – Lauren szepnęła mi to do ucha dziewiętnaście lat temu. Poczulem zapach alkoholu z jej ust.

To były złote czasy kancelarii mojego ojca. Teddy właśnie zgarnął dużą kasę z ugody w sprawie porażenia prądem i tak naprawdę co piątek mieliśmy małą

pracową imprezę. Nigdy nie zostawałem wtedy długo. W pozostałe dni najczęściej wracałem z pracy prosto do domu, żeby pobyć wieczorem z mamą. Była już wtedy przykuta do wózka i całe dni spędzała w towarzystwie swojej opiekunki Edie.

Na imprezach ojciec zawsze pozwalał mi wypić jedno piwo (choć miałem wtedy dopiero siedemnaście lat). To był jego sposób na pokazanie mi, że chce być „spoko starym”. Takim na luzie. Imprezy najczęściej zaczynały się o szesnastej. Z reguły zostawałem na nich przez pierwszą godzinę, a potem wracałem Zieloną Linia do domu.

Pierwszy miesiąc wakacji. Lauren była wtedy dla mnie taka miła. Dużo żartowała, prawiała mi komplementy, a może nawet – patrząc z perspektywy czasu – trochę ze mną flirtowała. Jednak wtedy wszyscy byli dla mnie supermili. Obchodzili się ze mną jak z jajkiem. W końcu byłem synem szefa. Na co dzień dostawałem mnóstwo wyrazów wdzięczności i pochwał. Zapewne nikt inny na moim stanowisku nie miałby tak dobrze.

Jednak tamtego wieczoru, w ostatni piątek czerwca, Lauren zaczęła patrzeć na mnie inaczej. Po alkoholu atmosfera znacznie się rozluźniła. Lauren najwyraźniej też. Uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, że po raz pierwszy w swoim życiu poczułem się jak dorosły.

– Mam dla ciebie prezent – wyszeptła.

Nigdy nie byłem z kobietą. W tamtym czasie miałem za sobą jedynie kilka niezręcznych pocałunków i parę bolesnych randek, na których czułem się straszliwie spięty i nie na miejscu.

Spotkałem się z nią jeszcze w tym samym tygodniu, w niedzielę. Pojechałem do domu Lauren w Old Irving Park. Byliśmy umówieni na piątnastą, ale przyjechałem wcześniej cały zestresowany. Zaparkowałem hondę mojej mamy przy Kedvale.

Tak naprawdę nie byłem podniecony, tylko przerażony. Pełen obaw, a nie ekscytacji. Miałem ochotę zawrócić, zanim zdążę ją rozczarować.

Lauren miała wtedy dwadzieścia lat i wciąż mieszkała z rodzicami w skromnym ceglany domku w kształcie litery „A”. Jej rodziców nie było w domu (a przynajmniej tak mi się wydaje). Otworzyła mi drzwi w koszulce z rozpiętymi górnymi guzikami. Miała gołe nogi.

– Dzień dobry, solenizancie – powiedziała do mnie.

W każdej innej sytuacji byłbym na maksa podniecony. O tak. To była scena jakby żywcem wyjęta z jakiejś fantazji. Mokry sen nastolatka. Uwodziła mnie kobieta, której plakat mógłbym sobie powiesić na ścianie. MNIE! Ale w tym momencie ze stresu wszystko mi opadło. Dosłownie.

– Nie stresuj się – powiedziała, doskonale odczytując moją reakcję.

Wzięła mnie za rękę i wciągnęła do swojego domu. Zobaczyłem małą kuchnię z brudnymi naczyniami w zlewie, kaloryfer z odchodzącą farbą, miskę z psią karmą i żwirek dla kota. To mnie uspokoiło. W tym jakże prozaicznym otoczeniu zobaczyłem w niej kobietę z krwi i kości. Skupiłem więc całą uwagę na takich detalach.

Kiedy znaleźliśmy się w jej sypialni, bardzo mi to wszystko ułatwiła. Choć z drugiej strony nie miałem porównania. W tamtych czasach swoją wiedzę o seksie czerpałem z pornoli i scen erotycznych w filmach, gdzie wszyscy byli pewni siebie i doskonale dopasowani.

Powoli przybliżyła się do mnie. Tak, że poczułem zapach jej perfum. Zaczęła muskać ustami moją szyję. Przesuwać ręce w górę i w dół po moich udach. Zaczęła się kołysać, choć nie było żadnej muzyki. Nuciała coś, czego nie kojarzyłem.

Odwróciła się. Przycisnęła pośladki do mojego krocza. Oparła głowę na moim ramieniu. Modliłem się o erekcję. O to, żebym przestał się denerwować i zaczął czerpać rozkosz z tej chwili. Wzięła mnie za ręce, przycisnęła moje dłonie do swoich piersi i jęknęła.

– Twój dotyk jest taki przyjemny – wyszeptała.

Po tych słowach moje ręce zaczęły żyć własnym życiem. Ścisnąłem jej piersi, łapałem za szyję, dotykałem włosów i napierałem na jej jedwabne majtki.

I udało się. Zacząłem czerpać rozkosz. Pomogła mi trochę, pokazała co i jak, jednak szybko byłem gotowy przejąć ster.

Chciałbym móc powiedzieć, że Lauren cieszyła się tego popołudnia wielogodzinną ekstazą. Niestety nie. Całość trwała może ze cztery minuty, a i tak starałem się, jak mogłem, żeby nie skończyć wcześniej. Dla Lauren zapewne żadna sekunda nie była jakoś specjalnie ekstatyczna. Nie wiedziałem, jak długo powinienem się powstrzymywać, a tym bardziej – jak doprowadzić przedstawicielkę płci przeciwnej do orgazmu.

Jednak Lauren zachowywała się tak, jakbym dał jej nieziemską rozkosz. Jak gdyby to były najlepsze chwile w jej życiu. Oplotła moje plecy nogami i przytrzymała mnie w sobie przez dłuższy czas.

– Podoba mi się to uczucie, gdy czuję ciebie w sobie – wyszeptała.

Prawdę mówiąc, ja czułem przede wszystkim ulgę.

Przyniosła nam parę piw. Piliśmy i rozmawialiśmy na jej łóżku. Niedługo miałem zacząć studia, więc siłą rzeczy zeszło na ten temat. Powiedziała, że również chce zrobić dyplom. Dlatego odkłada pieniądze na studia. Rozmawialiśmy też o muzyce, baseballu i tak od jednego piwa przeszliśmy do drugiego. Wcześniej nigdy tyle nie piłem, ale po swoim pierwszym

doświadczeniu seksualnym czułem się tak nabuzowany adrenaliną, że alkohol nie był w stanie bardziej mnie upoić.

Stanęliśmy przy komodzie, żeby pooglądać jej licealne zdjęcia. Wtedy Lauren spojrzała na zegar na ścianie.

– Za jakąś godzinę wrócą moi rodzice – powiedziała. – Czasami są trochę wcześniej.

– W takim razie solenizant musi się chyba zbierać – odpowiedziałem.

– Hmm... – położyła rękę na mojej klatce piersiowej. – Tak mówi się na chłopców, a ty jesteś przecież mężczyzną. Więc może łaskawie zerznąłbyś mnie jeszcze raz przed wyjściem?

Trzeba przyznać, że dobrze wiedziała, jak mnie uruchomić.

A teraz, dziewiętnaście lat później, zbliżam się coraz szybciej do przepaści. Jeszcze nie jest za późno, żeby zawrócić. Na tym polega cały urok tej sytuacji. Zanim przekroczę pewną granicę, mogę się rozmyślić.

Moje życie jest przecież całkiem w porządku. Pozbierałem się i poszedłem do przodu. Wciąż mogę wrócić do tego życia. A raczej je zachować. Jest dość wygodne i bezpieczne. Może trochę nudne i niewiele się w nim dzieje, ale ma dla mnie wartość i sens. Nawet jeśli dziekan Comstock wykurzy mnie z uczelni, mogę znaleźć inną. Bylebym mógł dalej uczyć, rozmawiać i pisać o prawie.

Jeśli teraz wyciągnę wtyczkę, nie wiem, co się stanie i jak skończę. Może się okazać, że to największy błąd w moim życiu. To może być mój koniec.

43

Vicky

Siedzę w fotelu z wysokim oparciem przed salą balową w hotelu Peninsula, gdzie osiemset najbogatszych osób w Chicago jest pochłoniętych zabawą, rozmową i kasynowymi grami. Zysk z tych ostatnich ma zostać przeznaczony na kampanię zwiększającą świadomość oraz społeczną akceptację autyzmu. Nie jestem odpowiednio ubrana na tę okazję i nie mam zaproszenia, ale i tak wcisnęłam się w kieckę, żeby jakkolwiek wtopić się w tłum.

Na moich kolanach leży telefon, a w uszach mam AirPods. Wyglądam, jakbym oglądała coś na telefonie. Ale nie. Ekran jest czarny. Jednak słowa wypowiedane na sali o wdzięcznej nazwie Gold Coast słysząc całkiem wyraźnie:

On: *Zostajesz tu dziś na noc?*

Ona: *Nie. A ty?*

On: *Tak. Mam apartament.*

Ona: *No dobrze, a czemu mi to mówisz?*

On: *Uch-och. Powiedz mi, jeśli zachowuję się niestosownie.*

Ona: *Nie wiem, ty mi powiedz. Powiedz, o czym w tym momencie myślisz.*

On: *Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.*

Ona: *Dlaczego nie?*

On: *Bo mogę dostać w twarz.*

Cisza.

Ona: *Myślisz, że dałabym ci w twarz?*

On: *Ty albo moja żona, gdyby mogła mnie usłyszeć.*

Nieźle sobie pogrywa. Sprawdza ją. Zanurza palec w wodzie i czeka na jej ruch, ale jednocześnie pozostawia sobie furtkę. Możliwość zgrabnego wycofania się w każdej chwili.

Ona: *W takim razie chyba dobrze, że twojej żony tu nie ma.*

Siedemdziesiąt pięć minut później (szybciej, niż się spodziewałam) dźwięk jest o niebo lepszy. To dlatego, że w pokoju hotelowym jest o wiele ciszej niż w sali balowej. Wprawdzie jego jęki są irytujące, ale pomocne.

On: Jesteś taka... pełna niespodzianek.

Ona: Podoba ci się to?

On: Podoba mi się... Bardzo mi się podoba.

Ona: Żona ci tak robi, Paul?

On: Moja żona? Daj spokój. Leży jak kłoda. Co jakiś czas muszę sprawdzać, czy w ogóle jeszcze oddycha.

Oboje zaczynają się śmiać.

Ponad godzinę później, po północy, Melanie schodzi na dół. Ma na sobie tę samą sukienkę, w której poszła na bal, jednak teraz narzuciła na siebie dodatkowo marynarkę. Znam Mel jeszcze z czasów swojej pracy w „branży rozrywkowej”, której ona nadal nie opuściła, ale zamierza. Studiuje socjologię. Mam nadzieję, że zrobi dyplom i szybko się z tego wyrwie. Można sobie wmawiać, co tylko się zechce, żeby móc spać po nocach, ale na dłuższą metę nie da się przetrwać w tej „branży”.

Wręcam jej kopertę. Otwiera ją i przelicza pieniądze.

– To za dużo – mówi. – Nie mogę tego przyjąć.

– Potraktuj to jako bonus. Premię za naprawdę niezły materiał.

– Taa... nie przepada za swoją żoną, co nie?

Odpina kryształową broszkę od swojej sukienki i podaje mi ją.

– Jestem prawie pewna, że uwieczniłam tutaj całą „akcję” – mówi Mel. – Ale jeśli zdecydujesz się tego użyć, zasłonisz mi najpierw twarz, prawda?

– Jasne, że tak. Ale mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby.

Ściskam ją, bo czas się pożegnać.

– Skończ te studia – mówię. – Obiecuj mi, że skończysz.

– Obiecuję. Zostały mi już tylko dwa semestry – patrzy dookoła i pochyla się, żeby szepnąć mi coś do ucha. – Czym tak bardzo wkurwił cię ten gostek?

44 Christian

Vicky leży na mnie i bawi się moimi włosami na kłacie. Znowu o czymś myśli, a ja nie mam pojęcia o czym. Zachowuje wszystko dla siebie. A ja muszę być ostrożny. Nie mogę na nią naciskać. Muszę uważać, by jej nie odstraszyć. Nie zrazić do siebie.

Tak naprawdę nie muszę wiedzieć, czy jestem dla niej kimś więcej niż finansowym geniuszem i atrakcyjnym facetem świetnym w łóżku. Gavin ma rację. Liczy się tylko kasa. To na niej muszę się skupić. Został już niecały miesiąc.

Trzeci listopada zbliża się wielkimi krokami. Im bliżej tej daty, tym bardziej się martwię. Czuję się jak miotacz, któremu do tej pory wszystkie rzuty wychodziły perfekcyjnie, ale im bliżej ostatniego, tym większą odczuwa presję i napięcie.

– Jak to właściwie było z tobą i ojcem Simona? – pytam, ponieważ dobrze by było, gdybym dowiedział się czegoś o tej całej sprawie z Theodorem Dobiasem. Jeśli jego syn jest zdolny posunąć się aż do morderstwa, chyba powinienem o tym wiedzieć, zanim pomogę Vicky ukraść jego kasę, co nie?

– Cóż... najwyraźniej uważał, że jestem z Simonem dla pieniędzy. Może miał problem ze mną, a może po prostu ogólnie z kobietami.

– Może nie ufał Simonowi.

– Och, to z pewnością też. Simon... – opiera brodę na mojej kłacie i patrzy na mnie. – Z pozoru Simon wygląda na miłego gościa. Potrafi być czarujący i zabawny, ale zanim mnie poznał, nie miał najlepszych relacji z kobietami. Z tego, co wiem, miał tylko jedną dziewczynę tak na poważnie i to chyba w wieku osiemnastu lat. Tę całą Lauren, która złamała mu serce. To było mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zmarła jego matka. Można powiedzieć, że cały świat mu się zawalił.

– Ooo... kiedy jego matka umarła? – pytam, rznąc głupa.

– Och, to cała historia – mówi Vicky. – Matka Simona, Glory, była profesorem prawa, tak jak Simon. Zresztą mniejsza z tym. Miała udar, po którym była przykuta do wózka. Do tego musiała zrezygnować z kariery. Teddy, ojciec Simona, zarabiał wtedy kupę kasy i zaczął prowadzić hulaszczy tryb życia. I zdradzał żonę. Simon go nakrył.

– Naprawdę go NAKRYŁ?

– No. Przyłapał na gorącym uczynku. Teddy gził się z kochanką w swoim gabinecie, a Simon tam wszedł i ich zobaczył.

– Grubo.

– No. Grubo. Podwójnie grubo, bo Simon idealizował swoją matkę. Nie mógł się zebrać, żeby jej powiedzieć o romansie Teddy’ego. Więc siedział cicho. Teddy dość szybko przehulał całą kasę i nie miał pieniędzy na opiekę nad Glory. W skrócie: chciał oddać swoją żonę do domu opieki, a Simon się na to nie zgadzał. Wkrótce potem Glory połknęła całe opakowanie środków przeciwbólowych. – Vicky podnosi wzrok. Patrzy mi teraz prosto w oczy. – Pewnie żałujesz, że zapytałeś, co?

– Czyli ojciec Simona przepuścił wszystkie pieniądze na kobietę, albo kobiety i nie chciał, żeby jego syn zrobił to samo? Stąd ten warunek w truście?

– Chyba tak. Na to wychodzi.

– I co się stało z Teddym?

Przygląda mi się dłuższą chwilę.

Powinienem inaczej sformułować to pytanie. Powinienem był zapytać bardziej ogólnie, na przykład: „I co było dalej? Co się stało po śmierci Glory? Czy Simon pogodził się z ojcem?”. Tak, by nie zasugerować, że wiem, jak skończył Teddy.

Następnym razem postaraj się bardziej, Nicky. Skup się na grze.

Ale szybko uświadamiam sobie, że Vicky nie zastanawia się nad tym, czy coś wiem, czy nie. Nie o to chodzi. Zastanawia się, ile mi powiedzieć. Na ile wpuścić mnie do swojego życia.

– Aż trudno w to uwierzyć, ale Teddy został zamordowany – mówi. – Mieszkał już wtedy w St. Louis. Ktoś dźgnął go nożem i wrzucił do jego własnego basenu.

– Wow. Kto go dźgnął?

Jej spojrzenie powędrowało gdzieś na bok.

– Nie wiadomo. Policja myślała, że to Simon, ale następnego dnia zdawał ostatni egzamin na studiach w Chicago, więc byłoby mu bardzo trudno to zrobić.

Bardzo trudno, ale nie było to niemożliwe. Co więcej, gdyby faktycznie to zrobił, właśnie w tej trudności tkwiłby cały myk.

– O czym myślisz? – pyta mnie.

Wracam na ziemię.

– O niczym.

– Zastanawiasz się, czy Simon zabił Teddy’ego.

– Neeee... to znaczy...

– Zastanawiasz się, czy ja to zrobiłam.

– Co? Nie! – stanowczo zaprzeczam. – Jasne, że nie.

Ale rzecz jasna tak – zastanawiam się nad tym.

– Po prostu się o ciebie martwię – tłumaczę. – Jeśli Simon jest zdolny do czegoś takiego, a ty pokłócisz się z nim o pieniądze...

– Czyli jednak myślisz, że to on.

– Hej – podnoszę jej twarz tak, żeby nasze oczy się spotkały. – Nie znam gościa. Nie wiem, do czego jest zdolny. Jeśli ty twierdzisz, że tego nie zrobił, to pewnie tego nie zrobił. Po prostu chcę, żebyś była ostrożna. To TY jesteś dla mnie ważna. Jesteś moją długoterminową inwestycją.

– Aha... – Vicky sięga ręką w dół, między moje nogi. – Cała ta gadka o przemoc i morderstwach nieźle cię nakręciła.

Boże, jak ta kobieta dobrze mnie zna. Co jest dość imponujące, zważywszy, że moja tożsamość jest całkowicie zmyślona.

Siada na mnie okrakiem. Wtedy w nią wchodzę i zaczynam ruszać biodrami do góry. W odpowiedzi Vicky jęczy z rozkoszy. Robiliśmy to godzinę temu, więc zdążyłem już nabrać nieco sił. Funduję jej długą przejażdżkę.

Z początku znowu odpływa gdzieś myślami, ale potem pochyła się do przodu. Przybliżyła swoją twarz do mojej i zaciska szczękę.

Nagle otwiera oczy i zwalnia. Jej ruchy są teraz delikatne i miarowe. Przybliżyła się do mnie jeszcze bardziej. Tak, że nasze nosy się stykają. Wtedy szepcze do mnie:

– Simon to zrobił. Zabił swojego ojca. A ja nie próbowałam go powstrzymać. I tak, wyszłam za niego dla pieniędzy. Teraz już wiesz. I masz szansę wziąć nogi za pas.

Teraz moja kolej. O tak. Moje pchnięcia są gwałtowne. Vicky lekko na mnie podskakuje i zamyka oczy.

– Nigdzie... się... nie... wybieram – mówię.

– Nie znasz mnie – mówi wciąż z zamkniętymi oczami. Jej twarz jest teraz odwrócona od mojej. – Nie możesz mi ufać.

– Znam cię i ufam ci – błędę rękoma po jej ciele, przyśpieszam jeszcze bardziej. Czuję, jak wzbiera we mnie fala gorąca.

– Nikt... nigdy... mi... nie ufał – mówi, odchylając głowę do tyłu i oddychając ciężko.

Srogi orgazm. Najlepszy w moim życiu.

Środa, 19 października 2022 r.

- Nie powiedziałaś jej - wyczytałaś z mojej twarzy, kiedy tylko otworzyłaś drzwi.

- To... nie jest takie proste.

- Umówiłeś się już na konsultację z tym prawnikiem od rozwodów?

- Dzwoniłem do niego - powiedziałem, ale to było kłamstwo. A przecież obiecałem, że więcej cię nie okłamię, Lauren. Więc z podkulonym ogonem od razu zacząłem prostować swoje słowa. - To znaczy zacząłem dzwonić, ale się rozłączyłem. To nie jest dla mnie łatwe, Lauren. Daj spokój.

- Mam dać ci spokój? Traktujesz nas poważnie czy nie?

Jestem szaleńczo, a wręcz desperacko w tobie zakochany, Lauren. Co do tego jednego nie mam żadnych wątpliwości. Ale przecież dobrze wiesz, jak trudne to będzie dla Vicky. Dlaczego nie możesz mnie zrozumieć? Dlaczego nie pozwalasz mi samodzielnie podjąć decyzji?

- Nie zamierzam być „tą drugą” - powiedziałaś. - Nie będę cię dręczyć, błagać, przekonywać ani niczego żądać. Jeśli nie traktujesz nas poważnie...

- Powiem jej dziś wieczorem - obiecałem.

I tak też zrobię. Vicky niedługo będzie w domu. Wtedy jej powiem. O Boże, to będzie takie okrutne. O! Już wróciła. Właśnie idzie po scho...

46

Simon

Wrzucam zielony dziennik do torby, którą noszę na uczelnię, w chwili gdy Vicky akurat wchodzi do mojego gabinetu na piętrze.

– Coś czułam, że cię tu znajdę – mówi.

– Masz nosa.

Trzyma laptop przy piersi tak, jakby to były szkolne książki.

– Chcę ci coś pokazać – mówi. – Zobacz całość, zanim cokolwiek powiesz.

„Żona ci tak robi, Paul?” – pyta kobieta na nagraniu.

„Moja żona? Daj spokój. Leży jak kłoda. Co jakiś czas muszę sprawdzać, czy w ogóle jeszcze oddycha”.

– Dobra, wystarczy tego – mówię, naciskając pauzę, po czym oddaję Vicky laptop. – Obiecałaś, że nic nie zrobisz.

– I dotrzymałam obietnicy – mówi. – Nic z tym nie zrobiłam. Nie ma pojęcia, że był nagrywany. Sam zdecyduj, co z tym zrobić.

Przeczesuję sobie palcami włosy.

– To Paul Southern? Ojciec Reida?

– Nie inaczej – odpowiada. – Facet, który kupił swojemu synalkowi stanowisko profesora.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś, co zamierzasz.

– Bo byś mi próbował wybić to z głowy.

– Dokładnie.

– Cóż... jeszcze tego w żaden sposób nie wykorzystałam. Tylko naładowałam dla ciebie pistolet. Od ciebie zależy, czy pociągniesz za spust.

Chowam twarz w dłoniach. Powinienem był się domyślić, że zrobi coś takiego.

– Rozumiem, że niczego nie masz na dziekana Comstocka? – pytam.

– Nic a nic – zamyka laptop. – Ale tak sobie pomyślałam, że gdybyś zaszantażował pierdziekana Ciućmoka, stałbyś się dla niego wrogiem numer jeden. To nie najlepszy układ, nie sądzisz? Lepiej udać się do źródła problemu. Kogoś, kogo pierdziekan chce zadowolić.

– I co? Co dalej? – pokażemy to Paulowi i każemy mu, żeby poparł mnie, a nie własnego syna?

Wzrusza ramionami.

– Tak. Dokładnie to zrobimy.

– I co Comstock sobie wtedy pomyśli? Czy nie sądzisz, że uzna to za podejrzanę, jeśli Paul nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, poprosi: „Awansuj tego drugiego”?

– Kogo obchodzi, co sobie pomyśli? – mówi. – Paul nie harował na swoje pieniądze w pocie czoła. Wiedziałeś o tym?

– Nie. Nie wiedziałem.

– Wżenił się w nie. Jego żona odziedziczyła zarówno fortunę, jak i spółkę. Paul jest wprawdzie prezesem, ale całkowicie od niej zależnym – stuka palcem laptop. – Jak myślisz, co pomyśli sobie jego żona, kiedy usłyszy te rewelacje na swój temat? Nie wspominając już o tym, jak zareaguje na „zabawy” męża.

– Zapewne nie byłaby zachwycona, gdyby zobaczyła to wideo, ale nie zobaczy.

– Oczywiście, że nie. Paul do tego nie dopuści. Będzie dwoić się i troić, żeby nagranie nie wyciekło.

– Paul też go nie zobaczy, Vicky. Nie wykorzystam tego.

Spoglądam na nią. Patrzy na mnie jak niezadowolony rodzic, co samo w sobie ma dość ironiczny wymiar, biorąc pod uwagę, że w tej sytuacji to ja chcę się zachować przyzwoicie.

– To nie jest wina Paula Southerna – tłumaczę. – On tylko próbuje pomóc swojemu synowi. Nie powiem, że podoba mi się sposób, w jaki to robi, ale nie jest jakimś strasznym złodupcem. Nie zasłużył sobie na to.

– Ojej... jak mi go szkoda. Biedny Paul. Wydaje się takim szlachetnym człowiekiem! – mówi.

Ten sarkazm i udawana wesołość...

I tutaj ja i Vicky się różnimy. Wprawdzie potrafię odpłacić pięknym za nadobne, ale co do zasady nie jestem nieufny wobec ludzi. Vicky całe życie była wykorzystywana, głównie przez mężczyzn, więc wychodzi z zupełnie innego założenia: każdemu należy się kop w dupę, dopóki nie udowodni, że ma dobre intencje. Postrzega Paula jako kogoś, kto zasłużył sobie na coś takiego, choć tak naprawdę nic nam nie zrobił. Żadne z jego działań nie było wymierzone personalnie we mnie.

– Pozwalasz im sobą pomiatać – mówi.

– Hej! Przecież złożyłem aplikację, prawda?

– Prawda, ale teraz Ciućmok cię rozjedzie, jeśli nie będziesz się bronił. Dlaczego nie chcesz przyjąć mojej pomocy?

Ponieważ nie chcę w ten sposób zbrukać swojej pracy.

Ponieważ pozwoliłem, by czyny innych przejęły kontrolę nad moim życiem. OK, przyznaję – na mojej wewnętrznej sali sądowej to ja ustalam zasady. Jestem jednocześnie sędzią, ławą przysięgłych i prokuratorem. Jasne. Ale to mój wewnętrzny, posrany świat, a nie moja praca.

Ponieważ kocham prawo za jego czystość, szczerłość i uczciwość oraz poszukiwanie sprawiedliwości.

Ponieważ uwielbiam uczyć tego specyficznego rzemiosła. Zaznajamiać z jego narzędziami. Ostrzyć umysły i pokazywać im majestat prawa w zenicie.

Ponieważ nie pozwolę nikomu i niczemu tego skazać.

Właśnie dlatego.

Większość osób by mnie wyśmiała, gdybym powiedział coś takiego na głos. Ale nie Vicky. Ona by to doceniła. Jednocześnie wcale nie muszę tego mówić. Ona dobrze to wie. Vicky mnie rozumie.

Otrząsam się ze swojego zamyślenia i spoglądam na nią. Prostuje rękę. Jakby próbowała zwrócić na siebie uwagę. Podnoszenie ręki do góry nie jest w jej stylu. Ani trochę.

„Podniosła” rękę w ten sam sposób w dniu, kiedy się poznaliśmy. Byliśmy w SOS. Ona po raz pierwszy. Dziewczyna w bezrękawniku, szortach i czapce bejsbolówce, siedząca w tylnym rzędzie. Po wypowiedziach kilku osób nie było kolejnych chętnych. Wtedy wyciągnęła rękę – nawet nie na wysokość ramion – pokazując mi wewnętrzną część dłoni. Miała taki wyraz twarzy, jakby tak naprawdę nie chciała, żebym udzielił jej głosu.

„Moja siostra popełniła samobójstwo sześć tygodni temu” – powiedziała. – „Wszyscy tutaj mówią o swoim poczuciu winy... Czy tylko ja jestem wkurwiona?”

Wszyscy się zaśmiali i zaczęli klaskać, doceniając ten sposób na rozładowanie napięcia, a także bezpośredniość, z jaką mówiła o emocji, której doświadczyła większość zebranych. Wtedy właśnie się w niej zakochałem. W tym momencie. Wtedy też zdałem sobie sprawę z tego, że zrobiłbym dla niej wszystko.

– Dobra, nieważne – mówi teraz. – Zły pomysł. Nie było tematu.

Powód, dla którego wciąż kocham Vicky, może się wydawać dość dziwny. Po tym wszystkim, co przeszła i co musiała robić, by przetrwać, można było pomyśleć, że mężczyzna, który ją kocha, szanuje, ma o niej jak najlepsze zdanie, troszczy się o nią i zrobiłby dla niej wszystko – wystarczy jej. A ja spełniam wszystkie te kryteria.

Jednak ona chce czegoś więcej. Chce być zakochana. Chce czuć motyle w brzuchu. A ja, bez względu na to, co do mnie czuje, nie mogę jej tego dać.

Dlatego właśnie mnie opuści. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale to zrobi. Tak. Zrobi to w listopadzie.

Czwartek, 20 października 2022 r.

Kiedy dziś po południu przekroczyłem próg, ty już na mnie czekałaś. Stałaś w pewnej odległości, zachowując dystans. Czekałaś na to, co powiem.

- Widziałem się dzisiaj z prawnikiem od rozwodów - powiedziałem.

Na co ty pokiwałaś głową i zapytałaś:

- Powiedziałaś Vicky?

- Jeszcze nie, ale to zrobię.

- Kiedy?

- Zanim złożę pozew - odpowiedziałem. - Czyli po trzecim listopada. Nie mogę pozbawić Vicky tych pieniędzy, Lauren. Nie mogę jej tego zrobić. Nie chcę.

Wyraźnie spochmurniałaś.

- Rozumiem - wyszeptowałaś. Nie wyglądałaś na jakoś specjalnie zaskoczoną.

- Zastanów się, czy będziesz potrafiła uszanować moją decyzję. Mam nadzieję, że tak, bo nie zmienię zdania. Tak postanowiłem i to moje ostatnie słowo.

Poradzimy sobie z tym, prawda? Zrozumiesz mnie. W tym momencie powinnaś była powiedzieć, że to jeden z powodów, dla których mnie kochasz. Fakt, że troszcę się o Vicky i chcę o nią zadbać przed rozstaniem.

Jednak odpowiedziałaś tylko:

- Muszę to przemyśleć. Daj mi weekend.

To chyba nie był dobry znak.

48

Simon

Piątkowy wieczór. Większość ludzi spędza czas z rodziną lub rozładowuje całotygodniowy stres, pijąc drinki z kolegami. A ja? Siedzę w swoim gabinecie na uczelni i kończę wpis blogowy o sprawie dotyczącej przechwytywania rozmów, która trafiła na wokandę Sądu Najwyższego.

W ten weekend mam cały dom dla siebie, ponieważ Vicky znowu pojechała do Elm Grove spędzić trochę czasu ze swoimi siostrzenicami. Pracuję więc dłużej niż zazwyczaj. Jest już po dwudziestej, a ja dopiero teraz przygotowuję się do wieczornej przebieżki do Wicker Park. Do zaułku za Viva Mediterránea. Za apartamentem Christiana Newsome'a.

Przebieram się. Zdejmuję koszulę i džinsy. Wieszam je na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi gabinetu. Wkładam szorty, odpowiednie buty, koszulkę do biegania oraz czapkę narciarską. Na zewnątrz jest rześko, ale nie pada. Idealne warunki do biegania. No może nie licząc ciemności, które czasami utrudniają nawigację po tłocznych ulicach miasta.

Na patio Vivy prawie nie ma ludzi, chociaż postawiono lampy grzewcze. Tylko kilka osób w grubych płaszczach zdecydowało się wypić koktajl na świeżym powietrzu.

Z reguły pilnuję, by dobiec do zaułku w Wicker Park przed dwudziestą, żeby zdążyć na wieczorną sesję esemesową. Ale dziś jest piątek, a w piątek wieczorem i w weekendy nie wysyłamy sobie wiadomości. Nasze jednorazówki pozostają wyłączone aż do poniedziałkowego poranka. Więc dzisiaj nie przybiegłem tutaj, żeby esemesować.

Nie. Dzisiaj chcę się lepiej przyjrzeć apartamentowi Christiana.

Front budynku na Winchester jest ogrodzony, jednak nie ma tam żadnej strzeżonej bramy. Prawdopodobnie chodzi tylko o to, by obce psy nie biegały po ogródku, który został wydzielony przed budynkiem. Żeby dostać się do drzwi frontowych, trzeba wejść po schodkach. Tam też znajduje się domofon. Od strony bocznej uliczki mieszczą się garaże. Ten Christiana jest trzeci od końca, tuż pod jego apartamentem. Garaż ma automatyczną bramę, która wygląda na wyjątkowo solidną.

Mimo wszystko lepiej wejść z tej strony – uliczka jest słabo oświetlona. Poza tym, o ile klienci Vivy nie będą kręcić się w okolicy patio, to raczej nie należy spodziewać się w pobliżu tłumów.

Właśnie wtedy wchodzi Vicky, kiedy odwiedza Christiana. Nie od oświetlonego frontu, tylko od strony ciemnego garażu. W ten sposób unika możliwości potencjalnego spotkania z którymś z sąsiadów.

Vicky wyjechała, więc co dziś porabiasz, Christianie? Chlejesz ze swoim kolegą Gavinem? Dobrze się bawicie?

Mogę się rozejrzeć po twoim mieszkaniu? Nie masz nic przeciwko temu?

Nie. Przynajmniej nie dzisiaj. Może innym razem.

49

Vicky

– Cieszę się, że przyjechałaś. Dziewczynki lubią, kiedy nas odwiedzasz – mówi Adam, wręczając mi kieliszek pinot, podczas gdy moje siostrzenice – M&Msy – grają w kosza na podjeździe.

– A ja lubię was odwiedzać – zapinam płaszcz po szyję. Szkoda tylko, że jest tak zimno.

– Nadal chcesz z nami zamieszkać?

– Tak, o ile wy też nadal tego chcecie – mówię. – Nic się nie zmieniło. W listopadzie. Może w okolicach Święta Dziękczynienia.

Patrzę na Adama Tremonta. Dobiega czterdziestki i na skroniach widać już pierwsze oznaki siwizny. Jest wzorcowym amerykańskim facetem z bujną czupryną i szerokim uśmiechem na twarzy. Prawie zawsze tryska dobrym humorem. Nigdy nie brakowało mu kasy. Był czas, kiedy wszystko w jego życiu układało się doskonale. Wraz z moją siostrą Monicą tworzyli idealną parę. Byli jak Ken i Barbie. Piękni, charyzmatyczni, kipiący energią i pozytywnymi wibracjami. Aż chciało mi się rzygać. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie byłam skupiona na swoim żalu i poczuciu niesprawiedliwości, że Monice się w życiu udało.

Adam i Monica poznali się na studiach. Totalnie zawrócił jej w głowie, ale w tym jak najbardziej pozytywnym sensie. Adam to była naprawdę niezła partia.

– Wczoraj wieczorem – mówi – Macy zapytała, czy jest podobna do swojej mamy.

– Oj tak, zdecydowanie jest – potwierdzam. – Ale Mariah jeszcze bardziej. Pamiętam, że kiedy była młodsza, widziałam więcej podobieństwa do ciebie. Ale teraz, kiedy dorasta... ta twarz... Cała Monica.

– Wiem. To wręcz trochę przerażające.

Dla mnie też. Czasem jestem w szoku, że kiedy z nimi rozmawiam, widzę twarz swojej siostry, której nie zdołałam pomóc. Dla której nie zrobiłam wystarczająco dużo.

Sprzedaję mu kuksańca.

– Czy ty w ogóle wychodzisz czasem ze swojej skorupy?

– Hmm... – bierze łyk wina i kręci głową. – Masz na myśli randki?

– Tak, mam na myśli randki.

– Aha... w sumie to byłem na całych dwóch. Nic poważnego.

Mariah, ta starsza – trzynastolatka, właśnie sprzątnęła Macy sprzed nosa piłkę i teraz ta twierdzi, że to nie fair, bo jej siostra jest starsza i wyższa.

– Dziewczynki by zrozumiały – mówię do Adama. – Na początku może być dziwnie i niezręcznie, ale prędzej czy później to sobie poukładają. Dadzą sobie radę.

– Nie wiem tylko, czy ja dam sobie radę – mówi. – Mówię ci. Te całe internetowe randki to czyste szaleństwo. Totalny kosmos. To nie dla mnie. Wolę bardziej staroświeckie metody. Jeśli w ogóle coś z tego będzie.

– No co ty? Przystojniak, człowiek sukcesu... myślę, że jakoś sobie poradzisz na rynku matrymonialnym.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Rozumiem, o co mu chodzi. Upijam nieco wina. Rodzina Tremontów rozkręciła sieć mikrobrowarów, które całkiem nieźle prosperowały. Adam, będąc jedynakiem, przejął biznes jakieś dziesięć lat temu. Wszystko szło jak po maśle, aż do czasu COVID-19. Pandemia mocno uderzyła w jego biznes.

– Dopiero co rozkręcamy na nowo część restauracyjną – tłumaczy. – Ale bardzo dobrze, że postawiliśmy na sprzedaż detaliczną. Jednej rzeczy ludzie na pewno nie przestali robić w czasie pandemii. Pić.

– Ale nadal krucho u was z kasą? – mówię to w taki sposób, jakbym próbowała tylko podtrzymać rozmowę, a nie wściubiać nochal w nie swoje sprawy.

– Taa... całkiem krucho. W zeszłym tygodniu zamknęliśmy kolejny browar.

– Ojej, nie wiedziałam. Przykro mi.

Pozwala sobie na chichot i z goryczą w głosie mówi:

– Gdyby Monica tu była, powiedziałaaby, żebym patrzył przed siebie, a nie wstecz.

Tak, to by było bardzo w jej stylu. Cieszę się, że taką ją pamięta. Właśnie taką Monicę poznał na studiach. W takiej się zakochał. To ona była matką jego dzieci. A nie ta Monica, która – doznawszy urazu kręgosłupa – zaczęła brać OxyContin i nie zauważyła, kiedy przekroczyła granicę między zapotrzebowaniem oxy na ból a zapotrzebowaniem na oxy... Nie ta, która zrobiła rzecz niewyobrażalną – przynajmniej dla dawnej Moniki. Porzuciła rodzinę dla faceta, który załatwiał jej opioidowe leki przeciwbólowe.

O dziwo, to właśnie mnie wybrała na swoją powierniczkę, na ile oczywiście była gotowa rozmawiać z kimkolwiek o tym, jak bardzo trucizna zdominowała każdy aspekt jej życia. Byłam zakałą rodziny, czarną owcą, więc, być może, czuła się komfortowo w rozmowie ze mną, a nie z Adamem. Jednak dzieliła nas spora odległość, trzysta mil, więc rozmawiałyśmy głównie przez telefon. Choć nie wpadła w szpony nałogu z dnia na dzień, nie zdawałam sobie sprawy z tego,

w jakim kierunku zmierza. Gdybym była na miejscu, z pewnością zauważyłabym, w jakim stopniu się stoczyła.

A przynajmniej tak sobie wmawiam. W końcu byłam dla niej tylko młodszą popapraną siostrą, z którą mogła popisać i porozmawiać na odległość. Byłyśmy z dwóch różnych światów. Ona była prawdziwą piękną, szkolną gwiazdą, która poszła na studia i poślubiła przystojnego i bogatego faceta. Urodziła dwójkę przepięknych dzieci. Czy wzięłaby na poważnie rady kobiety, która rzuciła szkołę i w całym swoim życiu nie podjęła ani jednej dobrej decyzji?

Ale wiedziałam, że nie jest z nią dobrze. Traciła trzeźwy ogląd sytuacji. Wiedziałam, że ktoś powinien być przemówić jej do rozsądku.

Czy naprawdę zrobiłam wszystko, co mogłam? Czy może jakaś część mnie czerpała satysfakcję, patrząc, jak Panna Idealna spada z piedestału?

– Potrzebujesz pieniędzy? – bez ogródek zadaję pytanie.

– A co? Chcesz się podzielić? – jak zawsze obraca wszystko w żart. – Damy sobie radę. Ale przez jakiś czas będzie ciężko. Być może będę musiał zamknąć kolejny browar. Dziewczyny, robi się zimno! Koniec gry!

Macy wyje w ramach protestu, ponieważ nie chce przegrać, a wygląda na to, że jej siostra radzi sobie o wiele lepiej.

– Jeszcze tylko chwila – mówi młodszy M&Ms.

Adam prawdopodobnie wiedział, że tak będzie. Z tymi dziewczynkami każda rozmowa jest negocjacją, a polecenie jedynie propozycją i zaproszeniem do dalszej dyskusji.

Jednak nie uszło mojej uwadze, że zmienił temat.

Wzdycha ciężko.

– Niesamowite, jak to bywa w życiu. W jednej chwili wydaje ci się, że masz wszystko dobrze rozkminione, zaplanowane i zabezpieczone, a w następnej... – pstryka palcami. – A w następnej... bęc! Wszystko leży.

– Tja.

– A dopiero co pozbieraliśmy się trochę po Monice – mówi. – Ten rok, w którym nas zostawiła, był prawdziwą torturą. Próbowałem wytłumaczyć dziewczynkom, że ich mamusia odeszła przez narkotyki, a nie przez nie. A potem przedawkowała i cała nadzieja na to, że do nas wróci...

– Wiem.

– I właśnie wtedy, kiedy zaczynaliśmy stawać na nogi po, wiadomo, dwóch najgorszych latach naszego życia, nagle przyszedł COVID. Moje browary padają. Mam z połowę tego, co wcześniej, a zanosi się na kolejne straty...

Łapię go za ramię.

– Dziewczynki mogą cię usłyszeć – mówię.

Patrzy na swoje córki, które zupełnie nie zwracają na nas uwagi. Biegają za piłką na podjeździe. Chyba przed chwilą musiały którejś wypaść.

– Jezu, przepraszam – chichocze. – Nie jest tak codziennie. Serio. Przymierzam. Na co dzień jakoś sobie radzę. Tylko czasami, szczególnie wtedy, kiedy wypiję trochę tego – podnosi kieliszek po winie. – To wszystko do mnie wraca. Uderza z zaskoczenia.

– Nie masz się czego wstydzić. To normalne. Będzie dobrze.

Uśmiecha się do mnie.

– Patrz przed siebie, co nie?

Cóż, może warto czasem spojrzeć TROCHĘ wstecz.

Dzień po Halloween

50 Jane

– Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale... Lauren i Conrad byli w trakcie rozwodu. – Shari Rowe siedzi odchyłona do tyłu na krześle w pokoju przesłuchań i czeka na reakcję swoich rozmówców. Jane Burke i Andy Tate przesłuchali już tego wieczora pozostałe przyjaciółki Lauren.

– Jesteśmy tego świadomi – mówi Jane. – Jak Lauren się z tym czuła?

– Rzecz jasna, nie była wielce szczęśliwa z tego powodu, ale...

Shari ma trzydzieści sześć lat. Jest rozwódką i nauczycielką w szkole w centrum Chicago. To pewna siebie i efektowna kobieta. Jane nigdy nie czuła więzi z takimi osobami. Wygląda na to, że pani Betancourt wręcz przeciwnie. Wszystkie przyjaciółki Lauren były pod tym względem do siebie podobne. Wszystkie pięć. Na facebookowym profilu Lauren jest pełno ich wspólnych zdjęć: z klubów, weekendowych brunchów, czy też zajęć jogi i „wieczorków filmowych”.

– Ale co?

– Lauren była gotowa iść do przodu. Takie odniosłam wrażenie. Już od pewnego czasu nie układało jej się z Conradem, więc kiedy powiedziała o rozwodzie, żadna z nas nie była specjalnie zaskoczona. Ale romans? Nigdy o nim nie wspomniała.

– A myśli pani, że Lauren by o tym wspomniała? Powiedziała by pani o romansie?

Shari przez chwilę się nad tym zastanawia. Potem odpowiada:

– Wszyscy mamy swoje sekrety, prawda? Ale byłyśmy ze sobą całkiem szczerze. O wszystkim innym rozmawiałyśmy dość otwarcie. Wspierałyśmy się. Jedno jest pewne. Gdyby chciała mieć romans, chętnych by nie brakowało.

– Miała duże powodzenie u mężczyzn?

– O tak. Za każdym razem, kiedy razem wychodziłyśmy. Zaczęła znowu wychodzić z nami na miasto jakiś rok temu, kiedy przestało jej się układać z Conradem. Nie mogła się opędzić od mężczyzn. Wystarczy na nią spojrzeć... –

po tym zdaniu na chwilę zamiera. W jej oczach zaczynają zbierać się łzy. Właśnie zdała sobie sprawę, że już nikt nigdy nie spojrzy na Lauren. – Myślicie państwo, że miała romans i ten facet ją... zabił?

– Na tym etapie badamy różne tropy – mówi Andy, któremu wyraźnie podobało się przesłuchiwanie atrakcyjnych przyjaciółek Lauren.

– Wydaje mi się, że... – Shari przechyla głowę. – Wydaje mi się, że Lauren była gotowa znów wrócić do gry. Powiedziała, że brakuje jej seksu. Wiem z doświadczenia, że kiedy małżeństwo się rozpada, seks jako pierwszy idzie w odstawkę.

– Naprawdę? – Jane stara się mówić obojętnym głosem. – Kiedy Lauren powiedziała, że brakuje jej seksu?

– Och, to było podczas naszego ostatniego wspólnego wyjścia.

– W ostatni czwartek, dwudziestego siódmego października?

Wygląda na to, że wszystkie sześć kobiet spotkało się wtedy na imprezie w River North.

– Dokładnie. Właśnie wtedy. Boże, to było niecały tydzień temu. Wciąż nie mogę... nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

Potrząsa głową, ocierając łzy.

Jane spogląda ukradkiem na Andy'ego, który nerwowo marszczy brwi.

– No to mówcie. Czekam na świeżynki. Co tam ciekawego macie? Czego się dowiedzieliście? – pyta komendant, wyginając plecy w łuk. Choć jest już dwudziesta pierwsza, najwyraźniej nikt nie chce opuścić komendy jako pierwszy w dzień znalezienia zwłok Lauren Betancourt.

– OK, zacznijmy od telefonów – mówi Jane.

– Znamy dostawcę usług telekomunikacyjnych dla obu numerów, czyli Lauren i osoby, z którą pisała – mówi Andy Tate. – Jest tak, jak myśleliśmy. To ten sam dostawca. Próbowaliśmy namierzyć drugą jednorazówkę, ale nie mogliśmy jej zlokalizować.

– Telefon jest wyłączony – mówi komendant.

– Dokładnie tak. Telefon jest wyłączony. Nie ma sygnału.

– Może jest razem z tym kolesiem na dnie rzeki?

Jane wzrusza ramionami. Nie jest przekonana co do wersji o samobójstwie sprawcy. Wprawdzie nie ulega wątpliwości, że końcówka esemesa wysłanego przez kochasia Lauren mocno to sugeruje: „i pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie kochanym na tym świecie”, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić.

– Jutro lub pojutrze powinniśmy już mieć historię lokalizacji – mówi Jane.

– Świetnie. Macie coś jeszcze?

– Przyjaciółki Lauren – mówi Jane. – Udało nam się przesłuchać wszystkie pięć. Są zgodne co do faktu, że Lauren i Conrad byli w trakcie procedury rozwodowej. Stąd podkreślały zarówno obawy pani Betancourt odnośnie do jej przyszłości, jak i pewnego rodzaju ekscytację i chęć pójścia przez nią do przodu. I wie pan, co jeszcze, szefie? W ostatni czwartek Lauren powiedziała swoim przyjaciółkom, że brakuje jej seksu.

– Że co?! Brakuje jej seksu?

– Dziwne, prawda? – mówi Andy Tate. – Patrząc na te esemesy, można by pomyśleć, że Lauren i jej kochaś robili to jak króliki. Z drugiej strony nie wspomniała też przyjaciółkom o romansie. Zgodnie z ich wiedzą Lauren była wierna Conradowi.

– Wygląda na to, że utrzymywała swój romans w tajemnicy nawet przed najbliższymi przyjaciółkami. Oprócz tego wiemy, że nie była szczerą ze swoim „przyjacielem”. Przynajmniej ten jeden raz, kiedy napisała, że Conrad w nocy strasznie chrapał, podczas gdy jej mąż nie nocował już wtedy w domu w Grace Village.

– Czyli nie odkryła przed nim wszystkich kart – komendant się krzywi. – Wygląda na to, że ta kobieta miała jakiś plan.

Jane przytakuje.

– Zgadza się. Sekretne życie Lauren Betancourt wydaje się coraz dziwniejsze.

Kiedy Jane i Andy wychodzą z gabinetu komendanta, wpadają na sierżanta Matthew Mooneya, który trzyma w ręku jakieś papiery.

– Cześć, Matt.

– Prosiłaś o sprawdzenie Lauren.

– I co? Ma kartotekę?

– Powiedzmy. Spójrz sama.

Jane bierze od niego plik papierów. To stary policyjny raport. Andy Tate czyta jej zza głowy.

– Jasna cholera – mamrocze Jane.

– To ma sens – mówi Andy. – Ale to było tak dawno temu. Kto wie, czy ten facet wciąż mieszka w okolicy?

– Mieszka – mówi Jane. – A przynajmniej mieszkał, kiedy ostatni raz go widziałam.

– Ostatni raz go... Znasz tego gościa, Janey?

Jane patrzy w sufit i mówi:

– Niespecjalnie. Tak ledwo, ledwo. Był z mojego rocznika w Grace Consolidated. Wygłaszał przemowę na zakończenie szkoły. Cichy, nieśmiały i wycofany. Pamiętam, że bardzo dobrze biegał. Naprawdę dobrze. Oboje byliśmy na zlocie absolwentów kilka lat temu, ale zamieniliśmy ze sobą raptem parę słów.

Andy bierze raport od Jane i ponownie go czyta.

– No cóż, pani sierżant Burke, zanoszą się na to, że czeka panią kolejny „złot” z Simonem Dobiąsem.

Przed Halloween

Październik

51

Sobota, 22 października 2022 r.

Chciałaś, żebym dał ci weekend na przemyślenia, Lauren, ale sam też w ten sposób z niego korzystam. Doszedłem do wniosku, że pokażę ci, jak wiele dla mnie znaczysz, spełniając twoją prośbę. Złożę pozew o rozwód jeszcze przed trzecim listopada i tym samym pozbawię Vicky praw do tych pieniędzy.

Już nie mogę się doczekać, żeby ci o tym powiedzieć. Aż mnie skręca. Szkoda, że nie mogę zrobić tego od razu, ale wiem, że wybrałaś się na weekend do Wisconsin i nie zabrałaś ze sobą swojego różowego telefonu. No trudno. Muszę poczekać do poniedziałku. Naprawdę nie mogę się doczekać! Chcę jak najszybciej zacząć budować z tobą wspólne życie!

Niedziela, 23 października 2022 r.

Nie mogę tego zrobić. Ilekroć wyobrażam sobie wyraz twarzy Vicky, gdy jej to mówię, dociera do mnie, że nie mogę jej tak zdradzić. Poza tym ten okropny wydźwięk... jak by to wyglądało, gdybym złożył pozew tuż przed terminem wyznaczonym w truście? To brzmi tak diabolicznie, jakbym chciał zrobić jej na przekór. Nie mogę. Po prostu nie mogę tego zrobić. To by całkiem załamało Vicky.

Wiem, że mnie zrozumiesz. A raczej mam nadzieję, że to zrobisz. Tak, na pewno zrozumiesz.

A jeśli nie, to znaczy, że nie jesteś taka, jak myślę.

Poniedziałek, 24 października 2022 r.

Chciałaś się spotkać na neutralnym gruncie, czyli na południowym skraju parkingu Grace Country Club, co odebrałem jako zły znak.

Przyjechałem przed czasem, cały spocony, pomimo chłodnego porannego powietrza. Serce waliło mi jak młotem. Jednak mimo wszystko miałem nadzieję. W głębi duszy byłem przekonany, że pomimo niezadowolenia - zrozumiesz. Wiem, że dla ciebie to nie jest kwestia pieniędzy i nawet jeśli dam Vicky połowę, wciąż zostanie mi dziesięć milionów dolarów! Po cóż komu więcej?

Zaparkowałaś obok mnie. Kiedy wysiadłaś z samochodu, wyglądałaś na zmęczoną. Wyglądałaś... inaczej. Trudno opisać, w czym rzecz. Po prostu coś się zmieniło.

W tej sytuacji nie miałem nic do powiedzenia. Piłka była po twojej stronie. Wyglądałaś, jakbyś miała się zaraz rozpłakać.

- Powiedz, co tylko chcesz powiedzieć. Nie przejmuj się, zniosę to. Cokolwiek by to było - powiedziałem i położyłem rękę na twoim ramieniu.

Zaśmiałaś się beznamiętnie i otarłaś łzę z policzka.

- Jesteś pewien? - powiedziałaś.

- Tak, jestem pewien - odpowiedziałem. Byłem pewien. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Jestem w ciąży.

52

Simon

Już świta. Całą noc nie mogłem zasnąć. Nic dziwnego. W końcu zbliżamy się do punktu krytycznego. Skraj przepaści jest coraz bliżej. Postanowiłem, że sam sporządzę szkic dokumentu. W końcu to żadna filozofia. Jestem prawnikiem, mam wszystkie niezbędne informacje i nietrudno się zorientować, jakie elementy powinny znaleźć się w pozwie o rozwód. Jesteś w związku małżeńskim, ale już nie chcesz w nim być. Staraleś się, jak mogłeś, ale nie wyszło i nie wyjdzie.

Popijam sobie kawę i po raz kolejny czytam wszystko, co do tej pory udało mi się spłodzić:

Do:

SĄDU OKRĘGOWEGO HRABSTWA COOK W STANIE ILLINOIS,
WYDZIAŁ CYWILNY RODZINNY

Powód:

SIMON PETER DOBIAS

Pozwana:

VICTORIA LANIER DOBIAS

POZEW O ROZWÓD

Ja, Simon P. Dobias, oświadczam, co następuje:

1. Powód, Simon Peter Dobias, ma 37 lat i jest mieszkańcem Village of Grace Park w hrabstwie Cook w stanie Illinois;
2. Pozwana, Victoria Lanier Dobias, ma 36 lat i jest mieszkanką Village of Grace Park w hrabstwie Cook w stanie Illinois;
3. Strony zawarły związek małżeński w dniu 3 listopada 2012 roku w Playa del Carmen w Meksyku;
4. Między stronami powstały różnice nie do pogodzenia, które spowodowały zupełny i trwały rozpad pożycia małżeńskiego. Wszelkie dotychczasowe próby pojednania nie powiodły się, a przyszłe byłyby niecelowe.

„Różnice nie do pogodzenia” – zwrot, który pomógł zakończyć niejedno małżeństwo, opisując w mglisty sposób niezliczone zawilości, które zmusiły niegdyś zakochaną parę do rozejścia się.

„Nie jestem dla ciebie odpowiednią partią” – powiedziała Vicky, kiedy za pierwszym razem oświadczyłem się jej; choć z perspektywy czasu wydaje mi się, że chodziło jej o to, że to ja nie byłem odpowiednią partią dla niej. „Dziękuję nam różnice nie do pogodzenia” – równie dobrze mogłaby powiedzieć właśnie coś takiego. I miałyby rację.

Przechodzę korytarzem z mojego gabinetu do sypialni. Vicky wciąż śpi z twarzą zakopaną w poduszce.

„Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało” – tak powiedziała mi mama w dniu, który okazał się jej ostatnim. Siedzieliśmy w kuchni – ona na wózku przysuniętym do stołu. Mówiła wtedy z trudnością, jakby miała bardzo ciężki język lub znajdowała się pod wpływem substancji odurzających. To ostatnie nie było dalekie od prawdy, biorąc pod uwagę fakt, że brała mocne środki przeciwbólowe.

Ująłem wtedy jej dłonie, pocałowałem je i powiedziałem: „To TY jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało”.

Wtedy wydała z siebie odgłos niezadowolenia, zamknęła oczy i potrząsnęła głową. „Mam nadzieję, że... że pewnego dnia t-to się zm-mieni. Ob-biecaj mi... że b-będziesz miał dzie-dzieci. Nig-gdy nie za-zaznasz... większej m-miłości”.

„Jasne, że będę mieć, mamo” – odpowiedziałem, nie mając pojęcia, że właśnie daje mi ostatnią życiową radę. Wtedy to nie wydawało mi się tak oczywiste jak teraz.

W wieku dziewiętnastu lat nawet perspektywa posiadania stałego i poważnego związku wydawała mi się dość odległa. A co dopiero dzieci. Moja jedyna próba zbudowania bardziej zażyłej relacji romantycznej (z Lauren) zakończyła się totalnym fiaskiem. Nie tyle się sparzyłem, ile położyłem dłonie płasko na palniku i patrzyłem, jak skwierczą. Stąd zapewniłem matkę, że będę miał dzieci, bez większego przekonania. Tak, jasne. Będę miał dzieci. Kiedyś...

Nie była już wtedy sobą. Tą energiczną i porywczą duszą o szerokim i zaraźliwym uśmiechu oraz fatalnym głosie. Jednak udar nie zdołał odebrać jej wszystkiego. Dobrze wiedziała, kiedy była zbywana pustymi obietnicami.

Jej prawa ręka złapała moją z całej siły, a nie było jej za dużo. Moja mama powiedziała stanowczym głosem: „Ob-biecaj... m-mi”.

– OK, obiecuję. Obiecuję, że będę miał dzieci.

Chcę je mieć. Powiedziałem to Vicky przy pierwszych oświadczeniach. Wygłosiłem jej całą przemowę o tym, że chcę się z nią ożenić i mieć dzieci.

Stworzyć rodzinę opartą na szczerości i otwartości, w której wszyscy członkowie troszczyliby się o siebie nawzajem. Własną niezwykłą i szczęśliwą drużynę.

A co ona na to? „Nie jestem dla ciebie odpowiednią partią”. Miała rację, choć zrozumiałem to dopiero po czasie.

Szkoda, że nie może być między nami inaczej, Vicky. Naprawdę.

Wracam do swojego gabinetu i otwieram zielony dziennik.

Wtorek, 25 października 2022 r.

A już myślałem, że nigdy nie dotrzymam obietnicy złożonej mamie. Szczerze powiedziawszy, nawet się z tym pogodziłem. Latka lecą, a ja, niestety, z wiekiem nie młodnieję. Doszedłem do wniosku, że moje życie jest całkiem w porządku. Takie jakie jest.

Ale ty sprawiłaś, że wszystko sobie przewartościowałem. Tak, Lauren. Na nowo zdefiniowałaś dla mnie tak wiele rzeczy. Pokazałaś zupełnie inne możliwości. Pomogłaś mi przejrzeć na oczy. Zrozumieć, że pragnę od życia o wiele więcej.

To jedno mogę ci obiecać: zrobię wszystko, by nasze dziecko czuło się kochane i bezpieczne. Zapewnię tobie i naszemu maleństwu wszystko, co tylko zdołam.

Nie musiałaś nawet tego mówić, Lauren. Sytuacja się zmieniła. Wszystko się zmieniło. Właśnie redaguję pozew o rozwód. Mój prawnik poprosił mnie o uzupełnienie i przesłanie pewnych szczegółów z prywatnego życia, rozwianie paru wątpliwości i podanie ważnych danych, ale dopilnuję, żeby pozew został złożony przed – tak, przed – trzecim listopada.

A konkretnie w środę, drugiego listopada. Tak. Jeden dzień przed naszą dziesiątą rocznicą. Już ustaliłem tę datę z moim prawnikiem. Nie może zrobić tego wcześniej, ale to i tak bez znaczenia. Co za różnica, czy robi to dzień czy tydzień wcześniej? Pozew zostanie przygotowany i złożony przed czasem.

Cieszę się, że to już ustalone. Zaklepane.

Masz rację co do tego wszystkiego, Lauren. Nie powinienem iść na ustępstwa. Nie powinienem zadowalać się

relacją z kimś, kto mnie nie kocha. Nie powinienem trwać przy osobie, która nie chce mieć dzieci.

I nie powinienem czuć się zobowiązany do oddania Vicky połowy pieniędzy z trustu. To wszystko jest nasze. Moje, twoje i naszego dziecka.

Masz też rację co do tego, kiedy powinienem powiedzieć o wszystkim Vicky.

- Powiedz jej po wniesieniu pozwu - zaproponowałeś.

Nie taki był mój plan.

- A nie lepiej, żebym powiedział jej o tym wcześniej?

- Najpierw złóż pozew - powtórzyłaś. - Zaufaj mi.

W sumie racja. Lepiej prosić o przebaczenie niż o pozwolenie, prawda?

Po skończeniu wpisu w zielonym dzienniku sprawdzam godzinę.

- O cholera!

Jest po siódmej. Spóźnię się na moje zajęcia o ósmej. I to bardzo. Zupełnie straciłem poczucie czasu.

Wybiegam z gabinetu i dosłownie na sekundę zaglądam do Vicky. Wciąż śpi. Ma lekko świszczący oddech.

Naprawdę żałuję, że nie było między nami inaczej.

53

Vicky

Budzę się z koszmaru. Kiedy otwieram oczy, krzyk pełen udręczenia znika. Wyskakuję z łóżka i biorę do ręki telefon. Jest prawie dziewiąta rano.

Przeciągam się, korzystam z toalety i wychodzę z sypialni. Z korytarza widzę, że w gabinecie Simona wciąż pali się światło. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Dobrze wie, jak bardzo nie znoszę marnowania prądu. Oszczędzam, na czym się da. Stary nawyk. Pozostałość po czasach, gdy żyłam od wypłaty do wypłaty. Czasami odnoszę wrażenie, że zostawia światło specjalnie, żeby się ze mną podroczyć. Taki żarcik.

Schodzę na dół do kuchni. Widzę resztki kawy, którą Simon zrobił sobie bladym świtem. Z reguły przed wyjściem przygotowuje sobie kolejną partię. Dzięki temu o poranku czeka na mnie świeżutka kawa w kubku termicznym.

Ale nie dziś. Dzisiaj nigdzie nie widzę zaparzonej kawy. Simon nie wziął też ani łyka na wynos. Zostawił swój kubek termiczny. Zdawało mi się, że w półśnie słyszałam, jak w pośpiechu zbiega po schodach. Simon nienawidzi się spóźniać. Naprawdę tego nie znosi.

No trudno. Robię sobie kawę i zabieram kubek na górę. Zerkam na światło w gabinecie Simona.

Postanawiam wejść do środka. Zostawił na biurku otwarty laptop, obok którego leży zielony notes.

Na wygaszaczu ekranu widzę kreskówkowego Wuja Sama przypominającego Pac-Mana. Pac-Sam. Przesuwając się po ekranie, pożera prawa konstytucyjne.

Siadam przy biurku i naciskam przycisk klawiatury. Pojawia się pole do wpisywania hasła.

Nie muszę grzebać w szufladzie ze skarpetkami Simona, żeby znaleźć hasło. Znam je:

Kocham_Vicky.

54 Simon

Po zajęciach idę do Chicago Title & Trust Building. Robię to, co zwykle: kupuję kawę w Starbucksie i siadam na kanapie na parterze budynku. Wkładam kartę SIM i włączam telefon. O dziesiątej wysyłam wiadomość:

Dzień dobry, księżniczko.

Odpowiada szybko:

Dzień dobry, mój ty Książę z Bajki. Co tam u ciebie?

„Książę z Bajki”? Nigdy nikt mnie tak nie nazwał. Odpowiadam:

Nie mogę się na niczym skupić. Cały czas myślę tylko o tobie. Dzisiaj w połowie zajęć zapomniałem, co omawialiśmy. Kompletnie zawróciłaś mi w głowie.

Na to ona:

Teraz nie bardzo mogę rozmawiać. Wieczór też odpada. Pogadamy jutro, OK?

Piszę więc:

W takim razie jutro, moja królowo. Niedługo będziemy mieli dla siebie tyle czasu, ile tylko zechcemy.

Wyłączam telefon, wyciągam kartę SIM i zamykam oczy. Naprawdę to zrobimy.

Na uczelnianym korytarzu spotykam mojego ulubieńca. Nadciąga z naprzeciwka. W każdy inny dzień wolałbym zeżreć korę prosto z drzewa niż zmusić się do rozmowy z dziekanem Comstockiem.

Ale tym razem nie jestem w nastroju do ucieczki i chowania się po kątach. Nie dziś.

Gdy mnie zauważy, wyraz jego twarzy od razu się zmienia.

– Uszanowanko, Simon – mówi, wpychając dłonie do kieszeni, żebym nie liczył na uścisk ręki. – Muszę przyznać, że jesteś pełen niespodzianek.

Nie rozmawialiśmy od czasu złożenia przeze mnie wniosku o awans. Szkoda, że nie mogłem zobaczyć jego miny, kiedy się dowiedział.

– Myślałem, że doszliśmy do pewnego porozumienia – kontynuuje.

– Nie pamiętam, żebym na cokolwiek się zgadzał, panie dziekanie.

– To prawda, ale myślałem, że rozumiesz... Rozumiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej. Co z twoją...

– Godną pożalowania historią?

– Ty to powiedziałeś, ale tak.

Patrzę dookoła, podobnie jak on. Upewniam się, że jesteśmy sami na korytarzu. Pochylam się delikatnie w jego stronę i obniżam głos:

– Zamierza pan na mnie donieść, panie dziekanie? Taki ma pan plan?

– Cóż, jak już wcześniej mówiłem, Simon... w przypadku tak wyrównanego poziomu ludzie szukają...

– Wszystkiego, co może przeważać na korzyść lub też niekorzyść kandydata. Tak, wiem, pamiętam – mówię. – Obaj wiemy, że jestem lepszym profesorem uczelni. Mam większy i bardziej znaczący dorobek naukowy. To ja zasługuję na to stanowisko.

– Cóż, masz oczywiście prawo do swojego zdania na ten temat.

– Tak jak wszyscy inni. Niech podstawą będą osiągnięcia. Osiągnięcia, panie dziekanie. Nie plotki i oczernianie. Nie koneksje.

– Wiesz, Simon, nie mogę dyktować wydziałowi, co ma uważać za ważne lub nie...

– Nie ma pan jaj – mówię.

Dziekan odchyła się do tyłu i mówi:

– Słucham? Możesz powtórzyć?

– Oczywiście, z przyjemnością. Nie ma pan jaj, panie dziekanie.

Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem jego opanowania. Oczy mu rozbłysły a szczęka mocno się zacisnęła, ale poza tym trzyma się naprawdę nieźle. Zdobył się nawet na cichy chichot.

– Mój drogi przyjacielu, każdy, kto mnie nie doceniał, gorzko tego pożalował. Nie popełniaj tego błędu.

Poklepuję go po ramieniu.

– Zabawne – mówię. – Zamierzałem powiedzieć dokładnie to samo.

55 Christian

Przychodzę do pracy jak każdego ranka. Witam się z moją recepcjonistką Emily, a potem wchodzę do swojego gabinetu. Nie jestem specem od finansów i nie potrzebuję tego biura, ale muszę zachować pozory. Poza tym chyba dostałbym zajoba, siedząc cały dzień w domu. Dobrze mi robi taka zmiana scenerii.

Czasem naprawdę zdarzało mi się tu pracować, choć moja „praca” sprowadza się do wyszukiwania kolejnych potencjalnych celów, a nie sprawdzania wykresów i prognozowania inwestycji. Tyle że teraz, kiedy znalazłem Vicky i jej dwadzieścia jeden milionów, dalsze poszukiwania są zbędne. Niedługo zwijam interes.

Przy Emily, dziewiętnastoletniej studentce, którą znalazłem przez agencję pracy tymczasowej, odgrywam tę samą rolę co przy Vicky – bogatego geniusza finansów, który ma tylko kilku, ale za to obrzydliwie bogatych klientów. Wy tłumaczyłem jej, że większość tych inwestorów korzysta z mojej pomocy od lat, ale mieszkają w różnych zakątkach świata i kontaktują się ze mną osobiście, najczęściej przez komórkę. Dlatego też biuro funkcjonuje w bardzo niestandardowy sposób.

Prawdopodobnie Emily myśli, że jestem jednym z tych megabogatych ekscentrycznych ultramózgowców, dla których koszty utrzymania takiej przestrzeni oraz recepcjonistki to marne drobnaki i po prostu chcą mieć miejsce, które mogliby nazywać biurem. Nie narzeka, bo i nie ma na co. Dla niej to praca marzeń. Ma uczelnię rano i wieczorem, a u mnie pracuje tylko popołudniami. Nie narobi się przy tym. Przez większość czasu odrabia przy swoim biurku zadania domowe. Czasem daję jej do zapłacenia rachunki i proszę o wyszukanie jakichś „ważnych” informacji. Tak dla niepoznaki. Ale generalnie może się opierdzielać.

Tuż przed jedenastą dzwoni mój telefon. Nie ten zwykły, tylko jednorazówka. Używam jej do rozmów z Vicky, choć ta oczywiście o tym nie wie. To konieczne. Kiedy już zawinę się z jej hajsem, muszę spalić za sobą wszystkie mosty. Całkowicie zerwać kontakt. Tak, by w jej życiu nie został po mnie żaden ślad. I vice versa.

– Muszę z tobą porozmawiać – mówi przez telefon Vicky. Słysząc, że nie może złapać tchu.

– Co się stało? Wszystko OK?

- Nie, zdecydowanie nie OK. Gdzie jesteście?
- W moim biurze.
- Nie chcę tam rozmawiać. Możemy się spotkać gdzie indziej?

Vicky stoi w uliczce obok mojego garażu. Jest ubrana w bluzę z kapturem i niebieskie dżinsy. Zero makijażu, a jej włosy są w całkowitym nieładzie. Odstają na wszystkie strony. Nigdy jej takiej nie widziałem. Nie to, żebym miał coś przeciwko. Nawet podoba mi się ta stylówka. Ale pełen napięcia wyraz jej twarzy sprawia, że zaczynam się denerwować.

Przerzuca sobie niebieską torebkę przez ramię.

– Chodźmy na górę – mówi, kiedy wysiadam z samochodu.

Idę za nią na górę do mojego apartamentu. Wyciąga ze swojej torebki laptop oraz zielony notes i kładzie je na stole kuchennym. Wskazuje na nie palcem, jakby były z kryptonitu.

– On mnie... on mnie zostawi – mówi drżącym głosem. – Złoży pozew o rozwód przed... przed trzecim listopada.

– Zaraz, zaraz... co? – odpowiadam. – Ja... poczekaj chwilę. Ochłoń.

– Poczekać chwilę? OK, poczekam tu sobie i pozwolę, żeby ta zdzira zabrała mi Simona i kasę. Moją kasę. MOJĄ, do chuja pana.

– O kim ty mówisz? Jaka zdzira? Czy możesz...

– Lauren – wypluwa z siebie. – Lauren Lemoyne. Ta suka, z którą się spotykał jako nastolatek. Pamiętasz? Mówiłam ci o niej.

– Yyy... noo... coś tam pamiętam. Mówiłaś, że jakaś laska złamała mu serce.

– Najwyraźniej tym razem postanowiła mu je skraść. Na dobre. Wróciła. Są razem i zamierzają się pobrać!

– Na pewno przesadzasz.

– Przesadzam? Tak myślisz? Serio?!

Otwiera laptop i wpisuje hasło.

Pokazuje mi jakiś dokument. Nie jestem prawnikiem, ale dzięki poprzednim celom widziałem w swoim życiu niejednego pozew o rozwód. Zresztą jest napisane jak wół. „Pozew o rozwód”. Powodem jest Simon Peter Dobias, a pozwaną Victoria Lanier Dobias. Czytam dalej: „Między stronami powstały różnice nie do pogodzenia, które spowodowały zupełny i trwały rozpad pożycia małżeńskiego. Wszelkie dotychczasowe próby pojednania nie powiodły się, a przyszłe byłyby niecelowe”.

O kurwa. Faktycznie. Simon chce się rozwieść z Vicky.

– Nadal uważasz, że przesadzam?

– Chwila moment.

Otwieram notes z zieloną okładką. To jakiś ręcznie pisany pamiętnik. Są tu daty. Pierwszy wpis jest z czwartego lipca.

– Boże, po prostu nie wierzę – mówi Vicky. – Do naszej rocznicy zostało tylko dziewięć dni. Dziewięć dni!

Chrząkam i czytam fragment pierwszego wpisu: „Nawet pomimo tego, że wpadłem dziś do klubu dla snobów pierwszy raz od lat tylko z twojego powodu. W nadziei, że będziesz na przyjęciu z okazji 4 lipca. Nawet pomimo tego, że myślałem o tobie od tamtego majowego dnia...”

– Taa... najwyraźniej zauważył ją w maju na Michigan Avenue i jego żalodne zasrane serduszko znów zabiło mocniej. Na tyle, że przed ponownym spotkaniem musiał ćwiczyć kwestie przed lustrem.

Kolejny wpis jest z piętnastego lipca. Simon i Lauren spotkali się w jakiejś kawiarni.

– „A potem ten pocałunek” – czytam na głos. – „Gdybym to ja miał wyjść z inicjatywą, pewnie nigdy by do niego nie...”

– Gdyby to on miał wyjść z inicjatywą – Vicky prycha. – Jaką inicjatywą? Jakby miał tutaj cokolwiek do powiedzenia. Wpadł w jej sidła. Od początku koncertowo go rozgrywała. Zasadza się na jego kasę!

– Nie wiesz tego – mówię. – Może...

– Eee... raczej wiem. Czytaj dalej. Możesz przejść do końcówki i darować sobie, a przede wszystkim mnie, przywoływanie szczegółów ich obleśnych schadzek. Jak to rozkładała przed nim nogi, uskuteczniała sprośną gadkę i pierwszorzędnie nim manipulowała. Owinęła go sobie wokół małego zdirowatego paluszka.

Czytam kilka ostatnich wpisów. Tym razem na siedząco. Początkowy szok ustąpił miejsca coraz większemu bólowi w dołku.

– Ona jest w ciąży?

– Tak powiedziała Simonowi – odpowiada Vicky. – Tja. Akurat. W dupie, nie w ciąży!

– Myślisz, że to zmyśli...

– Każda może powiedzieć, że jest w ciąży. Przeczytałeś te kilka ostatnich wpisów? Starła się go przekonać, żeby złożył pozew o rozwód przed naszą dziesiątą rocznicą. Ale Simon się opierał. Ona swoje, a on swoje. Wciąż naciskała, a Simon odmawiał. I nagle jest w ciąży, tak? Nie ma opcji. Nie ma, kurwa, takiej opcji – potrząsa głową z gorzkim uśmiechem na ustach. – Dobrze wie, co dzieli mnie i Simona. On chce mieć dzieci, a ja nie. Więc gdy wszystko inne zawiodło, wyciągnęła asa z rękawa. Wyskoczyła nagle z tą swoją ciążą urojoną. Ta mała, zakłamana...

– OK, OK. Pozwól mi to przeczytać, dobrze? Całość.

– No dobra. Tylko szybko – mówi. – Nie mam za dużo czasu.

Czytam najszybciej jak się da, próbując jednocześnie wychwycić najważniejsze fragmenty. Na początku romansu Simon ślinił się do niej jak ząbkujący szczeniak. Najwyraźniej Lauren była jego pierwszą miłością. Zresztą Vicky o tym wspominała. Patrząc na te wpisy, można to dostrzec od razu. Złamała mu serce prawie dwie dekady temu, ale wróciła. Zobaczył ją w Chicago. Lauren mieszka w Grace Village. Opowiadała mu o tym, że jej małżeństwo jest skazane na porażkę. Najwyraźniej Simon również zna to uczucie.

Ciekawe, kiedy dowiedziała się o forsie z trustu? Na pewno dość szybko. W pamiętniku jest napisane, że pracowała w kancelarii ojca Simona, więc musiała wiedzieć, że Teddy był dziany. Musiała też w pewnym momencie dowiedzieć się o śmierci starego Dobiasa i o odziedziczonej przez jego syna fortunie.

Aha. Potem wytoczyła artylerię.

Widać to po wpisie z szesnastego sierpnia: „Chce pan, żebym była pana dziewczynką, profesorze Dobias?”.

Trzydziestego sierpnia Simon sam przyznaje, że złapała go w swoje sidła. Pisze o swoich rozterkach. Widać, że walczy sam ze sobą: „Czy jesteś moim narkotykiem, Lauren?”.

Mimo wszystko biorą górę wyrzuty sumienia. Istotny jest tutaj wpis z dwunastego września. Simon opisuje w nim, jak Teddy zdradzał swoją żonę, i zauważa, że sam robi teraz dokładnie to samo. Powtarza błędy ojca zamiast przerwać cykl: „Stałem się mężczyzną, którym gardzę”. Wygląda na to, że wygadał się z tego wszystkiego Lauren, a potem ona przesłała mu jakąś enigmatyczną wiadomość z serii „musimy porozmawiać”. Simon nie mógł wytrzymać niepewności. Zamiast grzecznie czekać i wysłać jej esemes na tę różową jednorazówkę, postanowił ją odwiedzić. I co takiego sobie wymyśliła? Jest naprawdę niezła w te klocki... Powiedziała, że nie zdradzaliby nikogo, gdyby się pobrali!

Brawo. Lauren. Trzymała go w zawieszeniu. Całą noc zastanawiał się, o co chodzi i czy ją straci. Nie wie, co by bez niej począł. A potem ona wyskakuje z tekstem: „Pobierzmy się”, ale robi to w taki sposób, żeby myślał, że tak naprawdę ten pomysł w pewnym sensie wyszedł od niego.

Zarzuciła przynętę i go złapała. Simon był w siódmym niebie. Fantazjował o tym. Bał się powiedzieć Vicky, ale poza tym był szczęśliwszy niż kiedykolwiek.

Szczwany lis z tej Lauren. Całkiem nieźle ukrywała swoją prawdziwą motywację. Aż do połowy października czekała z rozmową o pieniądzach z trustu.

A potem te ostatnie wpisy. Koniec zeszłego tygodnia i początek tego. Vicky ma rację. Simon bił się z myślami. Nie był pewien, kiedy złożyć pozew o rozwód. Więc Lauren musiała walnąć z grubej rury: „Nie kochacie się i nigdy nie kochaliście” i „Ona nigdy cię nie kochała, Simon. Potrzebowała kogoś, kto by się nią opiekował. I ty to zrobiłeś. A teraz już tylko czeka na tę kasę z trustu. W końcu jest już prawie na wyciągnięcie ręki”.

No cóż, choć w jednym Lauren miała rację. Vicky ma tę kasę już prawie na wyciągnięcie ręki.

I ja też.

Ale tak. Przyznaję. Lauren nieźle to rozegrała. Manipulowała Simonem od samego początku. I na koniec zrzuciła tę bombę o ciąży. Coś pięknego. Ostatnia deska ratunku na wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. A tutaj właśnie tak się stało. Lojalność Simona wobec Vicky była zbyt silna, dlatego Lauren musiała uciec się do ostateczności – „dać” mu to, czego od Vicky nie dostanie.

W innych okolicznościach chyba bym się polubił z tą całą Lauren. O tak. Obczaiłem jej profil na Facebooku i jestem pewien, że bym ją polubił. 10/10. Pierwsza klasa. Bez dwóch zdań.

Ale stoi mi na drodze. Może i dorwała Simona, zanim upatrzyłem sobie Vicky, ale ja nie gram fair. Ta forsa jest moja. Nie pozwolę, żeby mnie ubiegła. Nie dam się wygryźć.

Vicky chodzi nerwowo w tę i we w tę po moim apartamencie. Klnie przy tym pod nosem. No, może nie zawsze pod nosem. W pewnym momencie była bliska wybicia dziury w ścianie. Kiedy widzi, że odkładam notatnik, podchodzi do mnie i nerwowo kiwa głową.

– No i co? Mam przesrane, co nie?

Aż sam się sobie dziwię, jak bardzo jestem spokojny, zważywszy na okoliczności. Mogę stracić pieniądze na swoją wcześniejszą emeryturę. Z drugiej strony, po co panikować? W niczym by mi to nie pomogło. OK, mam konkurentkę. Przeciwnika. I to nie byle jakiego. Naprawdę godnego. Tyle że to dla mnie nie pierwszozna. Brałem udział w niejednych zawodach.

I dotąd ani razu nie przegrałem.

– Nie zrobi tego. Nie złożę pozwu dzień przed waszą rocznicą – mówię. – Drugi listopada... to za jakiś tydzień, licząc od jutra?

Vicky kiwa głową, obgryzając jednocześnie paznokcie.

– Tylko pytanie, co zrobimy?

– Powiem ci, co ja mam ochotę zrobić – mówi. – Mam ochotę skrócić mu kark.

– No i co wtedy? Co by to dało?

Vicky mruga nerwowo. Stopniowo wyraz jej twarzy się zmienia.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że ci na nim zależy – wyjaśniam. – Więc moje pytanie brzmi: jak bardzo?

Vicky podchodzi do okna i patrzy na zaułek. Podejrzewam, że przez ostatnie czterdzieści pięć minut zadawała sobie dokładnie to samo pytanie.

– Jeśli umrze przed naszą dziesiątą rocznicą – mówi – nie dostanę ani centa z tego trustu.

Interesująca odpowiedź. Nie powiedziała nic w stylu: „No co ty!” lub „Nie zrobiłabym krzywdy Simonowi!”. Zwróciła jedynie uwagę na fakt, że nic by to nie dało. A to oznacza, że jest otwarta na różne propozycje.

– Lauren jest mężatką – mówię. – Jej mąż ma na imię Conrad, tak?

Vicky rozkłada ręce.

– Najwyraźniej tak – odpowiada.

– A co ty na to, żebyśmy powiedzieli mu o romansie?

– Pewnie już wie – zauważa Vicky, zwracając się w moją stronę. – A nawet jeśli nie, to co z tego? Wygląda na to, że ich małżeństwo to też farsa.

Siadam przy stole. Mam totalną pustkę w głowie.

– Ostatnio zachowywał się inaczej – mówi Vicky.

– Simon?

Potakuje.

– Przez ostatnie kilka dni był tak jakby... nieobecny. Wcześniej w ogóle... w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Często taki jest. Żyje w swoim świecie. W ogóle nie pomyślałam, że coś może być na rzeczy.

Robię głośny wydech.

– A gdyby tak... gdyby tak Simon został ciężko ranny, ale przeżył?

– Daj spokój.

– O co ci chodzi? Jakie „daj spokój”? Mówię poważnie.

Vicky potrzebuje chwili, żeby to przetrwać.

– Chodzi ci o to, żeby go trochę uszkodzić? Na tyle, by był wyłączony z życia powiedzmy na... tydzień? Do trzeciego listopada?

– Dokładnie – mówię.

– Dokładnie? A jak DOKŁADNIE to sobie wyobrażasz? Potrącisz go autem na tyle mocno, żeby trafił do szpitala, ale nie umarł? Postrzelisz go, ale w taki sposób, żeby ominąć najważniejsze organy? Uderzysz go w głowę tak, żeby zapadł w śpiączkę, ale nie na tyle mocno, by doszło do śmierci mózgu?

– OK, OK. Dobra. Kapuję.

Chwyta mnie za ramię i mówi:

- Uwierz mi, gdyby to było takie proste... Ale nie jest.
- W takim razie, Vicky Lanier, może czas najwyższy, żebyś zaczęła być dla męża NAPRAWDĘ miła? Bardzo, bardzo miła...

W pierwszej chwili nie rozumie, o czym mówię, ale szybko to do niej dociera. Przewraca oczami.

- Nic z tego. To nic nie da.
- Potrafisz być urocza. Czarująca...
- Moja magia nie działa na Simona.
- Nie? Na pewno? W swoim pamiętniczku pisze, że cię kocha. Tyle że bez wzajemności. Może pokaż mu, że się myli?

Widzę, że przez moment się nad tym zastanawia, ale szybko zaczyna kręcić głową.

- Nieee... za późno. Gdybym wiedziała wcześniej, co się święci, z pewnością od tego bym zaczęła – mówi i uderza czołem w otwartą dłoń. – Jak mogłam tego nie zauważyć?

Nie zauważyłaś, bo byłaś zbyt zajęta myśleniem o forsie. I o mnie.

Oboje zaczynamy główkować. Głucha cisza wypełnia się jedynie desperacją graniczącą z paniką. Patrzę, jak wszystkie moje wysiłki giną w odmętach muszli klozetowej.

- A może powinnam się z nim skonfrontować? – mówi w końcu. – Powiedzieć mu prosto z mostu, że o wszystkim wiem. Błagać go. Tak. Tak zrobię. Będę go błagać o dziesięć milionów.

Taa... mogłabyś, ale to tylko połowa. Ty chcesz zgarnąć wszystko. I ja też.

Zresztą już wcześniej o tym myślałem i odrzuciłem ten pomysł.

- Jedyne, co przemawia na twoją korzyść – mówię – to fakt, że Simon nie chce ci tego zrobić. Sama myśl go dręczy. Dobija. Jeśli mu powiesz, całe to napięcie z niego zejdzie. A wtedy równie dobrze może stwierdzić, że w takim razie nie warto czekać, i złożyć pozew od razu.

– Ale czytałeś, co ta suka mu powiedziała. Chce, żeby najpierw złożył pozew. Przed rozmową ze mną.

- No wiem, wiem... Ale jeśli powiesz mu, że wiesz, tylko pogorszysz sprawę. Szambo wyleje. Nie może wiedzieć, że ty wiesz.

– Muszę uciekać – mówi. – Jeśli wróci przede mną i zobaczy, że nie ma laptopa i tego notesu, będzie wiedział, że to ja je zabrałam.

– O której wraca do domu?

– Chyba dość późno.

– Chyba? Chyba nas nie urządza.

Przyznaje mi rację kiwnięciem głową.

– Ma dość elastyczne godziny pracy. Z samego rana, o ósmej prowadzi zajęcia ze studentami. Potem z reguły siedzi na uczelni do wieczora. Ślęczy nad artykułami i postami na swojego bloga. Ale tak, w sumie, gdyby chciał, mógłby wrócić wcześniej. Na przykład po południu.

– Szczególnie wtedy, gdyby się zorientował, że zostawił w domu swój laptop i pamiętnik.

– O kurde – wali głową w otwartą dłoń. – Faktycznie. Masz rację. Muszę lecieć. Mogę wpaść później. Około osiemnastej.

Odprawiam Vicky na dół i otwieram drzwi garażowe.

– Hej, Vicky. Poczekaj – mówię do niej, kiedy jest już jedną nogą na ulicy. Patrząc na mnie, podnosi brew.

– Simon pisał w swoim pamiętniku, że używają jednorazówek, prawda? – pytam. – Jego jest zielona...

– A jej różowa. Tja. Urocze. Normalnie sama słodycz...

– Spróbuj ją namierzyć. Pewnie gdzieś ją chowa.

Vicky po krótkim namyśle kiwa głową.

– Tak, to dobry pomysł – przyznaje.

– Ale przede wszystkim pamiętaj – mówię – nie może wiedzieć, że ty wiesz.

Vicky wróci za jakieś pięć godzin. W międzyczasie muszę obmyślić jakiś plan. Wybieram numer Gavina. Odbiera po drugim sygnale.

– Jadę do ciebie – mówię. – Potrzebuję twoich szarych komórek.

56 Christian

Gavin milczy. Ma zamknięte oczy i siedzi na ławce we Wrightwood Park ze złączonymi dłońmi. Jakby się modlił.

Wątkowaliśmy ten temat przez ostatnie trzy godziny. Najpierw podczas lunchu, potem przy piwie, a teraz spacerując po parku niedaleko jego mieszkania w Lincoln Park. Musiałem zrobić wyjątek od zasady, że nie używamy imion i nazwisk osób związanych z naszymi przekrętami. Wcześniej Vicky była dla niego tylko „numerem siedem”, a Simona znał jako „męża numeru siedem”. Ale teraz, kiedy omawiamy sytuację z każdej strony, bawienie się w pseudonimy mija się z celem. Szczególnie że do zabawy dołączyła kolejna osoba: „kochanka męża numeru siedem”.

Tak więc Gavin poznał następujące imiona i nazwiska: Vicky Lanier, Simon Dobias i Lauren Betancourt.

W końcu otwiera oczy, rozkłada ręce i mówi:

– Nie widzę innej opcji.

– Jezuuu... serio?! – ale ja też nie jestem w stanie wymyślić nic lepszego.

– No chyba że ty masz jakiś lepszy pomysł, Nick – mówi Gavin. – Ostatecznie ja w ogóle nie znam tych ludzi.

Tak naprawdę ja też nie.

– Znam Vicky – mówię. – Ją rozumiem. I z nią nie powinno być problemu.

– A co z tą całą Lauren?

Wzruszam ramionami.

– Wcześniej ledwo wiedziałem o jej istnieniu. Vicky wspomniała raz czy dwa o tym, że Simon był przed nią w jednym poważnym związku i tamta laska złamała mu serce. Lata temu. Chyba był wtedy nastolatkiem. Ale czytając ten pamiętnik... no wiesz... Lauren jest taka sama jak ja. To moja żeńska wersja. Ma chrapkę na ten hajs i jest gotowa iść po trupach. Urabia Simona tak samo jak ja Vicky. Owca

– No dobra. OK. A co z Simonem?

– Hmm... jego trudniej rozgryźć – mówię. – Wcześniej znałem go tylko z opowieści Vicky, ale teraz, kiedy przeczytałem jego pamiętnik, muszę przyznać, że chyba dość wiernie go opisała.

– Czyli jak?

– Mózgowiec, ale taki z bezużyteczną wiedzą. Profesorek – mówię. – No wiesz, o co chodzi. Ten typ faceta, który może ci wyrecytować z pamięci wzór na deltę lub inne gówno, ale miałyby problem z obsługą otwieracza do puszek.

Widzę, że ten tekścik przypadł Gavinowi do gustu. Przytakuje.

– Jedno wiem na pewno. Daje się laskom wodzić za nos – mówię. – Dostaje zajoba z miłości. Wiedział, że tkwi w nieudanym małżeństwie, ale nic z tym nie robił, dopóki Lauren nie zaczęła go kokietować.

– Ale z tego, co wcześniej powiedziałaś, wynika, że wcale nie jest takim nieszkodliwym mięczakiem – zauważa Gavin. – Mówię o tej sprawie z St. Louis.

– No właśnie. Cicha woda, co nie? Gościu jest mistrzem w kiszeniu urazy. To na pewno. W końcu przez całe lata czekał, żeby się zemścić na ojcu. Najwyraźniej nie potrafił wybaczyć, a tym bardziej zapomnieć. Niezłe to sobie zaplanował. Pojechał do St. Louis przed ostatnim egzaminem na studiach. Zadźgał ojca i wepchnął go do basenu. A potem, jak gdyby nigdy nic, ruszył w drogę powrotną, żeby z samego rana móc podejść do egzaminu.

– Dziwny typ. Taki trochę gadzi – przytakuje Gavin. – Ale wiesz... to ma swoje plusy i minusy.

– O co ci chodzi?

– Z jednej strony musisz na niego uważać. Nie chcesz przecież zaleźć mu za skórę.

– To mało powiedziane – mówię i robię sobie małe rozciąganie, uwalniam nagromadzone napięcie.

– Ale z drugiej strony mówisz, że gliny z St. Louis cały czas uważają, że jest winny. Nie mogą tylko tego udowodnić. Zgadza się?

– Na to wygląda. Tak powiedziała mi Vicky. I tak kiedyś przedstawiała to gazety. Trochę czytałem o tej sprawie.

Gavin przechyla głowę. Widzę błysk w jego oczach.

– To dobrze. To może być naprawdę pomocne.

– Przejdźmy jeszcze raz przez wszystkie możliwości – mówię. Jesteśmy teraz w mieszkaniu Gavina. To kawalerka z niezłym widokiem na zachód.

– Opcja pierwsza – mówi Gavin, stawiając w powietrzu ptaszka. – Na jakiś czas wyłączasz Simona z życia. Nie możesz go zabić, bo wtedy Vicky nie dostanie złamanego centa. I ty też. Trochę go uszkodzasz. Na tyle, by do trzeciego listopada był hospitalizowany, nieprzytomny... nieważne.

– To byłaby spoko opcja. Wręcz idealna – mówię. – Gdyby tylko nie była zajebiście problematyczna.

– Zgadza się. Zbyt wiele rzeczy może tutaj pójść nie tak. Tak że tej opcji mówimy stanowczo „nie”.

Gavin jest niezły w te klocki. W knuciu i planowaniu. Ma łeb jak sklep. Szybko łączy fakty i wyciąga właściwe wnioski. Jestem boskim graczem. To bez dwóch zdań. Ale Gavin jest zdecydowanie lepszym trenerem.

– Opcja druga: robisz to, w czym jesteś najlepszy, czyli próbujesz zawrócić w głowie Lauren, żeby kopnęła Simona w dupę – mówi Gavin. – Ładna buźka i ściema – że jesteś multimilionerem, który dorobił się na trafionych inwestycjach – powinny pomóc. Po rozstaniu z Lauren Simon zapewne wróciłby z podkulonym ogonem do Vicky. To byłoby nawet do zrobienia – zauważa Gavin – gdyby nie fakt, że musiałbyś się uwinąć ze wszystkim w tydzień. To za mało czasu.

– Prawda. Za mało czasu – przytakuje.

– Opcja trzecia – kontynuuje Gavin – grozisz Lauren. Odstraszasz ją. Ale to ryzykowne. Nawet nie mam pomysłu, jak by to ugryźć. Co? Przystawisz jej gnata do skroni i każesz zerwać z Simonem? I co potem? Nie wiadomo. Na dwoje babka wróżyła.

– Racja, to nie wypali – mówię, siadając obok niego na kanapie. – Albo by się przestraszyła, albo powiedziała o wszystkim Simonowi. A ten typ nie jest głupi. Od razu by się zorientował, że to Vicky maczała w tym palce. I jak myślisz, co by zrobił? Przestałoby go gryźć sumienie i złożyłby pozew o rozwód w trybie ekspresowym.

– I dlatego tak naprawdę masz tylko jedną opcję, mój drogi przyjacielu – Gavin klepie mnie po plecach. – I pozostaje tylko jedno pytanie: jak bardzo chcesz zgarnąć te dwadzieścia jeden milionów?

57 Vicky

– Dlatego tak naprawdę mamy tylko jedną opcję – mówi Christian, stojąc w salonie swojego apartamentu.

– Jaką? – pytam, siedząc na kanapie. Wysłuchałam już wszystkich innych opcji, które tak naprawdę żadnymi opcjami nie były.

Jest wpół do dziewiętnastej. Jestem u Christiana po raz drugi tego samego dnia. Po naszym pierwszym spotkaniu wróciłam do Grace Park. Odłożyłam na miejsce laptop i zielony notes, a potem popracowałam trochę z domu nad stroną internetową ośrodka dla kobiet. A przynajmniej próbowałam, chociaż cały czas zastanawiałam się nad tym, co wymyśli Christian.

– I żeby była jasność. Nie musimy się na nią decydować – podkreśla Christian. – Po prostu nie widzę innego wyjścia.

– Po prostu to z siebie wyrzucić.

– OK – wyciąga przed siebie ręce, jakby chciał mnie uspokoić. – Przez całe popołudnie o tym myślałam. Rozważałam różne możliwości i według mnie tylko ta opcja pozwoli nam osiągnąć założone cele.

– No powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

– No... wiesz – udaje, że przykłada sobie do głowy pistolet. – Wiesz, o co mi chodzi.

Gapię się na niego.

– Pozbędziemy... pozbędziemy się jej – szepcze.

– Masz na myśli zabójstwo?

– Yyy... tak. Tak – mówi.

Potrzebował całego popołudnia, żeby na to wpaść?

Mnie to zajęło dziesięć sekund.

– Obawiałam się, że możesz powiedzieć coś takiego.

Tak naprawdę obawiałam się, że może tego NIE powiedzieć. Wtedy musiałabym podsunąć mu ten pomysł, a wołałam, żeby sam na niego wpadł.

– Wiem, że to skrajne rozwiązanie – rozkłada ręce. – Ale nie wierzę, że uda nam się ją odstraszyć. Jediną sensowną opcją jest usunięcie jej z drogi. Całkowicie. I tak jak mówię, nie musimy tego robić. Po prostu...

– To jedyny sposób, który na pewno zadziała.

– Tak – potwierdza.

– Yhmmm – potakuję. – I... tak czysto hipotetycznie...

– Jasne, czysto hipotetycznie...

– Jak sobie to wyobrażasz? – zerkam na niego. – Skoro Simon ma z nią romans, pewnie w jej domu jest mnóstwo śladów jego obecności. Jeśli zostanie zabita... zastrzelona, zadżgana, uduszona... nieważne, w pierwszej kolejności zaczną się przyglądać bliżej kochankowi, a w drugiej – ŻONIE kochanka.

– Taaa... gliny będą podejrzewać Simona, Conrada i ciebie – mówi Christian.

– Masz całkowitą rację. A gdybyś została z tym w jakikolwiek sposób powiązana... nie mogłabyś wziąć pieniędzy z tego trustu. Gliniarze śledziliby każdy twój ruch.

– Masz rację. Masz absolutną rację.

– Dlatego uważam, że... to ja powinienem to zrobić – mówi.

– TY...? – patrzę na niego. – Ale...

– Ale co? Sama powiedziałaś, że nie możesz być z tym w żaden sposób powiązana.

– Wiem, ale... Christian, jesteś prawdziwym człowiekiem sukcesu... masz wszystko. Pieniądze, karierę... nie musisz tego robić. Nie musisz się mieszać w coś takiego.

Podchodzi bliżej. Jest tuż obok. Klęka i bierze mnie za rękę.

– Ale dla ciebie te pieniądze są szansą na nowe życie.

– Dla mnie tak. Ale dla ciebie? Masz forsy jak lodu.

– Nie robiłbym tego dla siebie – mówi – tylko dla ciebie.

– Nie mogę... nie mogę cię o to prosić.

– Nie musisz prosić. – Dotyka mojej twarzy. – Wciąż nie rozumiesz? Nie wiesz, co do ciebie czuję?

Patrzę na niego i potrząsam głową.

– Nigdy nie byłam... Ja nigdy nie...

– Ja też nie – mówi. – Dopiero kiedy poznałem ciebie. Wcześniej myślałem, że nie jestem do tego zdolny.

Zaczynam się śmiać.

– Ty? To JA myślałam, że nie jestem do tego zdolna.

Zaczyna rozpinać mi koszulę.

– Zrobię to dla ciebie – mówi. – Ale tylko jeśli mi pozwolisz. Jeśli nie będziesz miała z tym problemu.

Jeśli nie będę miała z tym problemu?

Nie będę miała. Żadnego. Na sto procent.

A myślisz, że dlaczego jestem z tobą, Christianie? Bo mi na tobie zależy? Bo jesteś sexy? Bo jestem „samotną żonką”, która nie może się nacieszyć twoim drągalem?

Daj spokój. Proszę cię. Wybrałam cię nie bez powodu. I to właśnie ten powód. Wiedziałam wszystko o Lauren, zanim cię poznałam. Po prostu wcześniej nic nie mówiłam. Zdecydowałam się zrobić to dzisiaj. Planowałam to, odkąd tylko po raz pierwszy przekroczyłam próg twojego biura.

Nie jesteś człowiekiem sukcesu. Wielkim inwestorem. Jesteś Nick Caracci. Krętacz. Oszust. Naciągacz. Hochsztapler, który myśli, że tym razem naprawdę mu się przyfarić. Co? Wydaje ci się, że spotkanie ze mną było prawdziwym darem od losu?

Od początku nie zamierzałeś zainwestować tych pieniędzy, a ja od początku nie zamierzałam cię do nich dopuścić choćby na krok.

Chcę od ciebie tylko jednego. Chcę, żebyś pomógł mi zabić Lauren Betancourt.

58 Christian

Dobrze. Jak na razie wszystko idzie w dobrym kierunku. W miarę gładko. Vicky się zgodziła.

Teraz powoli. Niech emocje trochę opadną. Nie chcę przytłoczyć jej nadmiarem szczegółów, ale stworzyliśmy z Gavinem pewien wstępny zarys tego, jak to zrobić.

Po pierwsze, to musi być w Halloween. Do drugiego listopada nie ma żadnego bardziej sensownego dnia. Dziś mamy dwudziesty piąty. Jutro lub pojutrze, czyli w środę lub w czwartek, byłoby za wcześnie. Potrzebuję więcej czasu. Weekend też odpada. Piątek i sobota są zbyt nieprzewidywalne. Bazując na profilu Lauren z Facebooka, dochodzę do wniosku, że zwykle rezerwuje sobie te dni na imprezowanie z przyjaciółkami w centrum Chicago.

A poniedziałek trzydziestego pierwszego – Halloween – wydaje się idealnym terminem, prawda? Większość ludzi siedzi wtedy w domu, żeby móc przyjąć dzieciaki zbierające cukierki. Mogę schować broń w kostiumie lub torbie „na słodczyce”. To jedyny dzień w roku, kiedy kobiety są skłonne otworzyć drzwi facetowi w dziwnym przebraniu z maską na twarzy.

Ale, jak mówiłem, nie chcę zdradzać jej wszystkich tych szczegółów naraz. Najpierw chcę, żeby nacieszyła się Specjalnością Nicky’ego. O tak. Serwuję Vicky niezłą ucztę. Podnoszę ją do góry, przypieram do ściany, pozwalam jej opleść moje plecy nogami i zaczynam ją ostro rżnąć. Aż do samego szczytu. Założę się, że Simon nigdy jej tak nie robił. Ba! Ten cherlak nawet by jej nie utrzymał. A przecież wcale nie potrzeba dużo czasu. Z reguły dochodzi bardzo szybko. Do tego teraz ta cała gadka o zabijaniu pewnie zadziałała na nią jak afrodyzjak. Wiem, że na mnie tak.

To taka przypominajka. Chcę, żeby pamiętała, na co w moim wydaniu może liczyć po tym, jak załatwi mężusia na cacy.

Po wszystkim jest bardzo odprężona. Ma na sobie moją koszulę i... nic więcej. Siedzi na kanapie z butelką wody.

– Halloween? To... genialny pomysł – mówi, kiedy pokrótce przedstawiam jej wstępny plan. – O! Do tego w Grace Village... no wiesz... wszyscy gaszą wtedy światła o dziewiętnastej.

Nie wiedziałem. Ale teraz już wiem. Tłumaczy mi cały ten durny rytuał.

– A skoro od dziewiętnastej będzie ciemno – kontynuuje – możesz przyjść do niej chwilę przed. Myślę, że zgodzi się wpuścić jeszcze jedną, ostatnią osobę.

Może. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to robię. Zamierzam zastrzelić człowieka. Zabić człowieka. Zaczynam powtarzać sobie osiem sylab jak mantrę:

Dwadzieścia jeden milionów.

OK. Łatwo poszło. Teraz będzie pod górkę. Ja i Gavin długo to rozkminialiśmy, a im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że miał rację.

No to do dzieła. Dawaj, Nicky.

– Słuchaj, jest jeszcze jedna ważna sprawa – mówię. – Chodzi mi o gliniarzy. O to, co sobie pomyślą, kiedy zobaczą Lauren...

– Martwą. Sztywną jak jebany drut.

Nie przypuszczałem, że będzie w niej tyle entuzjazmu. Ale podoba mi się to. Ten gniew. Gniew jest dobry. Widzę, że weszła w to jak w masło.

– Taa... – mówię. – Dokładnie tak. Jak myślisz, Vicky, ile im zajmie połapanie się, że Simon miał z nią romans? Pewnie dość szybko na to wpadną. W końcu byli kiedyś parą. Wiem, że to było lata temu, ale jednak. Do tego odwiedza ją w tym luksusowym apartamencie w centrum na miłosne sesje, prawda? To strzeżony budynek. Jest tam ochrona, recepcja i...

– Na pewno policja dość szybko się zorientuje – mówi. – I to właśnie mnie martwi. Jeśli zaczną się bliżej przyglądać Simonowi, to i mnie...

– Stąd pomyślałem sobie – mówię – że skoro i tak gliniarze będą się przyglądać Simonowi, to może dobrze by było... ich do tego zachęcić?

Prostuje się na kanapie. Widzę, że udało mi się przyciągnąć w pełni jej uwagę.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, żebyśmy skierowali policję w jego stro...

– Chcesz WROBIĆ Simona?

Podnoszę ręce do góry.

– Próbuję cię tylko chronić – tłumaczę jej. – To wszystko.

– Hmm... – mruczy i zaczyna się pakować.

Ale nie powiedziała „nie”. Zdaje się, że o tym myśli. Zaczyna powoli przechadzać się po mieszkaniu. Próbuje sobie to wszystko poukładać.

– Wiem, że ci na nim zależy, ale...

– To było, zanim dowiedziałam się, że dyma Lauren! – nagle wybucha. – I próbuje wydymać mnie! Zabrać MOJE pieniądze!

Muszę zapamiętać sobie tę reakcję. W końcu zamierzam ją okraść. Chyba będę musiał zwać naprawdę daleko.

Pozwalam jej oswoić się z tą myślą. Nastawiam kawę i wypijam kubek, podczas gdy ona wciąż łązi w kółko. Od czasu do czasu mamrocze do siebie i kręci głową. Najwyraźniej wciąż nie może uwierzyć w ten nagły zwrot akcji. Przechodzi płynnie od wściekłości na Simona do wściekłości na siebie za to, że do tego dopuściła. To jest ten moment, kiedy podejmuje decyzję. Zastanawia się, jak daleko jest skłonna się posunąć, by naprawić tę sytuację.

W połowie dwudziestego okrążenia zatrzymuje się i obraca w moją stronę, kładąc dłonie na nagich biodrach. Kiwa głową.

– Dobra. Zrobimy to. Dopilnujemy, żeby policja skupiła się na Simonie, a nie na mnie. Wrobimy tego skurwiela! – macha na mnie palcem. – I doskonale wiem, jak to zrobimy.

Dzień po Halloween

59
Jane

Jane Burke po raz kolejny jedzie do domu Betancourtów pod koniec najdłuższego dnia w swojej policyjnej karierze. Jej myśli zaprzatają wspomnienia z ogólniaka.

– Cześć, Rob – z AirPodsami wetkniętymi w ucho mówi do telefonu.

– Hej, Jane – odpowiada Robert Dalillo, sierżant z siostrzanego departamentu policji w Grace Park. – Słyszałem, że wreszcie macie u siebie sprawę PRAWDZIWEJ zbrodni.

– I zgadnij, komu ją przydzielili?

– Serio? Gratulacje! Czego potrzebujesz?

– Pamiętasz Simona Dobiasa? Chodziliśmy razem z nim do szkoły.

– Yyy... nie. A powinienem? Był z twojego rocznika czy z mojego?

– Z mojego – mówi Jane. – Naprawdę bystry dzieciak. Prymus. Wygłaszał mowę na zakończenie szkoły.

– Nie znałem zbyt wielu dzieciaków młodszych ode mnie.

– OK, nieważne. Wasi ludzie przesłali nam info o zawiadomieniu, które u was złożył. To było w 2004 roku.

– Czy to ma jakiś związek z tą waszą sprawą o zabójstwo?

– Któż to wie... mógłbyś mi przesłać wszystko, co na niego macie? Simon Dobias. D-O-B-I-A-S.

– OK. Jasne, Jane. Dostaniesz wszystko jutro z samego rana. Myślisz, że ten typ z twojego rocznika ją wykończył?

– Nie mam pojęcia. Jeszcze zdecydowanie za wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić – mówi Jane, parkując na Lathrow, zaraz przy domu Betancourtów. – Muszę kończyć. Porozmawiamy jutro.

– Proszę, powiedz mi, że nie byłaś tu przez cały ten czas – mówi Jane do Rii Peraino z Lokalnej Grupy Zadaniowej ds. Zbrodni, która wita się z nią od progu rezydencji Betancourtów.

– Nieee... pojechałam do domu, utuliłam dzieciaki do snu i wróciłam tutaj. Wiedziałam, że i tak będziesz w tym czasie zajęta innymi sprawami. Poza tym niektórymi rzeczami w tej robocie lepiej zajmować się w nocy. Ten dom ma tyle okien, że w dzień wpada tu strasznie dużo światła słonecznego.

Jane wkłada rękawiczki i ochraniacze na buty, po czym ostrożnie idzie za Rią na półpiętro, gdzie doszło do zbrodni.

Ria traktuje drewnianą podłogę luminolem w sprayu. Psik, psik, psik. Ten dźwięk przypomina Jane, jak bardzo jej własne mieszkanie wymaga sprzątanía.

– Gotowa? – pyta Ria.

– Gotowa.

Ria gasi światło na półpiętrze. Ich oczom ukazują się świecące niebieskie wzory. Od małych kropeczek, poprzez nieco większe plamy, aż do smug. Reakcja chemiluminescencji powstaje po zetknięciu się luminolu z żelazem z krwi.

Jak zwykle jest więcej krwi, niż można by było przypuszczać. Rozbryzgi przypominające małe kleksy znajdują się na obszarze pomiędzy barierką a antycznym stolikiem.

– Napastnik uderzył ją w tył głowy, po prawej stronie. Prawdopodobnie w tym miejscu – mówi Ria i pokazuje, gdzie doszło do uderzenia. Jej palec widać tylko dzięki kontrastowi ze świecącą na niebiesko krwią. – Najgrubsze kropelki krwi znajdują się z reguły najbliżej miejsca, w którym zadano ranę. Im dalej od rany, tym ślady robią się mniejsze.

Jane przygląda się plamkom.

– Nie ma tu za dużo krwi, ale w końcu rana na głowie nie była tak poważna. – kontynuuje Ria.

– Widzę sporo krwi obok stolika – mówi Jane. – Tego, pod którym znaleźliśmy telefon.

– Taak, to ciekawe, nie sądzisz?

Ria pryska roztworem luminolu obszar przy stoliku. Tym razem świeci się na niebiesko jeszcze bardziej niż poprzednio.

– Krwawe smugi – mówi Ria. – Telefon przeleciał po podłodze kilka stóp i znalazł się bardzo blisko stolika. A potem znowu zmienił położenie. Telefon drugi raz przeleciał po podłodze, ale tym razem wylądował pod stolikiem.

Jane widzi, o czym mówi Ria. Pierwsza smuga kończy się przed stolikiem. Druga znajduje się pod nieco innym kątem – jest to różnica dziesięciu, może piętnastu stopni. Ta smuga znika pod stolikiem.

– I to jest w tym wszystkim dla mnie bardzo dziwne – mówi Ria. – Pierwsza smuga, OK. Telefon mógł przelecieć po podłodze w czasie walki ofiary

z napastnikiem. Na komórce znajduje się trochę krwi. W porządku. Telefon bierze krew na przejazdzkę.

– Nooo i...?

– Mogło do tego dojść na kilka różnych sposobów. Najprawdopodobniej napastnik obezwładnił ofiarę na półpiętrze. Walnął ją w głowę. Polała się krew. Kobieta upadła na podłogę i wtedy wyleciał jej telefon.

– Być może to napastnik nim rzucił – mówi Jane. – Żeby ofiara nie mogła po niego sięgnąć.

– Niewykluczone. Mogła też go upuścić i niechcący kopnąć podczas walki. Mogła też próbować po niego sięgnąć. Kto wie? Nie z tym mam problem. To, że telefon przeleciał po podłodze jeden raz, nie dziwi mnie.

– To na czym polega problem?

– Na tym, że potem telefon przeleciał po podłodze po raz drugi. Pod innym kątem. Widzisz to, prawda?

– Tak, całkiem wyraźnie.

– To drugi, oddzielny ruch telefonu.

– Zgadza się – mówi Jane. – Może upadł podczas szarpaniny ofiary ze sprawcą. Wtedy mógł zostać kopnięty dwa razy. Nawet przypadkiem. Pod innym kątem. A może... po tym, jak telefon jej wypadł, ofiara próbowała po niego sięgnąć i zadzwonić na policję. Może napastnik kopnął komórkę, właśnie po to, żeby Lauren nie mogła jej dosięgnąć.

– Jasne, teoretycznie to wszystko jest możliwe, ale... – mówi Ria – kiedy kopiesz telefon lub próbujesz sięgnąć po niego, szczególnie z poziomej podłogi, najpewniej wejdiesz w kontakt z samą podłogą, prawda?

– Chyba... tak. Raczej tak. Prawdopodobnie.

– NAJPRAWDOPODOBNIJ, Jane. Gdybym sięgała po telefon w desperackiej próbie ratowania życia, raczej rozmazałabym tę pierwszą plamę, prawda? A ta jest nienaruszona. Piękna wyraźna smuga.

– OK, czyli nikt nie zanurkował na podłogę po komórkę. Jasne, rozumiem. A może w takim razie ktoś ją kopnął?

– Cóż, nikt też nie wdepnął w tę plamę, prawda? Nie ma na niej śladów obuwia.

– OK, a nie mogło być tak, że ktoś stał w pewnym oddaleniu od tej smugi i delikatnie kopnął komórkę pod stół? Wtedy nie rozmazałby śladu, prawda?

Ria zapala światło.

– Niby tak – mówi Ria. – Ale czy to nie byłoby dziwne?

Jane potrzebuje chwili, żeby jej oczy przyzwyczyły się do światła.

– Zresztą kto miałby to zrobić? Na miejscu zdarzenia były tylko dwie osoby, Jane. Sprawca i ofiara. Ofiara nie stanęłaby w pewnym oddaleniu od telefonu

i nie kopnęła go ostrożnie i spokojnie pod stolik, jakby grała w golfa.

– Jasne, że nie – mówi Jane. – Ofiara na pewno nie robiła nic spokojnie. Walczyła o życie. To musiał być sprawca. On kopnął telefon.

– OK, ale kiedy Lauren wciąż walczyła o życie, sprawca też z pewnością nie robił nic ani spokojnie, ani ostrożnie, ani metodycznie. Zgadza się?

– Zgadza się – Jane bierze głęboki oddech, ale się nie poddaje. – No dobra, czyli sprawca kopnął telefon już po śmierci ofiary.

– No dobra, założmy, że tak było – Ria podchodzi bliżej, żeby zrekonstruować tę scenę. – Po śmierci Lauren sprawca podchodzi do telefonu, ale ostrożnie, żeby nie wdepnąć w krew i... – udaje, że kopie coś lewą nogą w stronę stolika – kopie telefon pod stolik. Robi to w taki sposób, by jego but nie dotknął podłogi.

Jane myśli przez chwilę, po czym kiwa głową i mówi:

– Tak, prawdopodobnie właśnie tak było.

– No dobrze, ale po co? Po co sprawca miałby to robić?

– Noo... żeby ukryć telefon? Nie?

Ria nie wydaje się przekonana.

– Jane, na tym etapie Lauren wisi już na sznurze. Na półpiętrze jest krew. Sprawca z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że będzie prowadzone śledztwo i policja zbada miejsce zdarzenia. I co? Nikt nie zajrzy pod stolik, który znajduje się pięć stóp od miejsca, w którym ofiara została obezwładniona? Serio wydaje ci się, że tak sobie pomyślał?

– OK, kapuję. Ale posłuchaj... przestępcy popełniają naprawdę różne, czasem kretyńskie błędy. Zwłaszcza wtedy, gdy nigdy wcześniej czegoś takiego nie robili lub nie są zawodowcami. Tym bardziej jeżeli to była zbrodnia w afekcie. Sprawca dopiero co zabił Lauren. Zobaczył telefon. Spanikował i kopnął go pod stolik. Z pewnością nie jest ani myślicielem epoki, ani geniuszem zbrodni, ale nie on jeden. Mogło być tak, jak mówię.

Ria potrząsa głową.

– Co? Coś mi umknęło? – pyta Jane.

Ria wzrusza ramionami.

– Nie chodzi o to. Niby mogło być tak, jak mówisz. Sprawca zobaczył komórkę, spanikował i kopnął ją pod stolik.

– Noo... tak. Dokładnie.

– Tylko dlaczego po prostu jej ze sobą nie zabrał?

– Dlaczego jej nie zabr... Hmm... – Jane zaczyna kręcić się w tę i we w tę, jak to ma w zwyczaju, kiedy intensywnie nad czymś myśli, ale szybko przestaje i strofuje samą siebie. W końcu jest na miejscu zbrodni. Powinna bardzo uważać i ograniczać ruchy do niezbędnego minimum. – OK – kontynuuje. – Jestem

sprawcą. Mam romans z Lauren. Używamy jednorazowych telefonów i to tylko w jednym celu. Żeby przesyłać sobie miłosne esemesy.

– Zgadza się.

– Właśnie zabiłem Lauren – mówi dalej Jane. – Może to zaplanowałem, a może nie. Nagle widzę, że jej różowa jednorazówka leży na podłodze. Doskonale wiem, co to za telefon i do czego jej służył. Wiem, że jeśli gliny dostaną go w swoje łapy, przeczytają wszystkie wiadomości. Dowiedzą się o romansie. Więc podchodzę do komórki...

– I kopiesz ją pod stolik, tak? – pyta Ria. – Wiedząc, że ją tam znajdziemy?

– Nie. Biorę ją ze sobą – Jane patrzy na Rię. – Zabieram ją. Nie mogę pozwolić, żeby gliny ją znalazły. Biorę ją ze sobą, żeby policja nie dowiedziała się o jej istnieniu. W końcu po co używaliśmy jednorazówek? Żeby nie można było nas namierzyć.

– W takim razie dlaczego sprawca kopnął telefon pod stolik, wiedząc, że go znajdziemy? – pyta Ria.

Jane podnosi głowę i mówi:

– Ponieważ chciał, żebyśmy go znaleźli. Natomiast nie chciał, żebyśmy wpadli na to, że zostawił tę jednorazówkę specjalnie. Zależało mu na tym, by to nie wyglądało zbyt ostentacyjnie. Równie dobrze mógłby zapakować telefon w ładne pudełeczko prezentowe. Takie ze wstążką. Chciał, żebyśmy pomyśleli, że próbował ukryć komórkę, kopiąc ją pod stolik. Ale, jak sama słusznie zauważyłaś, dobrze wiedział, że tam też zajrzemy. Przecież zaraz obok doszło do zbrodni.

Ria przytakuje:

– Chciał, żebyśmy ją znaleźli.

– Chciał, żebyśmy ją znaleźli – mówi Jane, próbując przetrwać tę myśl. – Chciał, żebyśmy skupili się na osobie, z którą Lauren wymieniała esemesy. Jej kochanku. Patrzy na Rię. – O, w mordę!

– Więc może to wcale nie jest sprawka kochanka Lauren – mówi Ria. – I może nie powinniśmy zakładać, że sprawcą jest mężczyzna.

Jane przeczesuje palcami włosy i mówi:

– No ładnie. Mózg przegrzany. I to pod sam koniec naprawdę długiego dnia. No i co teraz? Muszę pomyśleć nad tym jeszcze trochę. Przepalić sobie do końca wszystkie obwody.

– Wybacz, że utrudniam ci życie – mówi Ria.

Jane uśmiecha się do niej, ale szybko rzednie jej mina i mówi:

– W takim razie może w tej całej miłosnej intrydze nie tylko Lauren była w związku małżeńskim. Może kochanek Lauren ma żonę, która dowiedziała się o romansie, zabiła Lauren i próbuje wrobić swojego niewiernego męża.

– Marzenie każdej zdradzanej kobiety – z szerokim uśmiechem odpowiada
Ria. – Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Dni przed Halloween

60

Czwartek, 27 października 2022 r.

Chyba popadam w paranoję, co nawet jakoś specjalnie mnie nie dziwi, zważywszy na okoliczności. Może poczucie winy z powodu tego, co zamierzam zrobić Vicky, zaczyna mieszać mi w głowie.

Ale mógłbym przysiąc, że Vicky zachowuje się ostatnio inaczej. Jest bardziej czuła i troskliwa.

Wczoraj nawet położyła się o tej samej porze co ja. Z reguły zasypiam dość wcześnie, bo jestem rannym ptaszkiem. Vicky w przeciwieństwie do mnie jest nocnym markiem. Kładzie się po północy, a wstaje o ósmej lub dziewiątej.

Jednak wczoraj położyliśmy się razem.

- Mogę ci trochę potowarzyszyć? - powiedziała.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Co robić. Byłem w kropce. Teraz jestem z tobą, Lauren. W każdym możliwym znaczeniu; oprócz tego urzędowego. Dlatego sypianie z własną żoną paradoksalnie byłoby zdradą.

O rany, ale to wszystko pokręcone. Czułem się głupio, próbując się wykręcić. Powiedziałem Vicky, że nie czuję się najlepiej. Słaba wymówka, wiem.

Mam paranoję, prawda? To tylko zbieg okoliczności, że Vicky zaczęła się mną bardziej interesować.

Tak, to na pewno przypadek. Niemożliwe, żeby cokolwiek podejrzewała.

61

Vicky

Nikt nie zwraca uwagi na kobietę w stroju treningowym i ze słuchawkami w uszach, maszerującą szybkim tempem po okolicy. Nawet pomimo tego, że jest tu zupełnie obca i ma tendencję do zatrzymywania się na dłużej przed jednym, konkretnym domem. Codziennie. Facetowi byłoby trudniej. Od razu zostałaby wzięty za jakiegoś zboka. Stalkera. Typa, na którego trzeba mieć oko. A kobieta? Kobieta może chodzić sobie codziennie tą samą trasą i nikomu nie będzie to przeszkadzać.

Wiem to z doświadczenia. Przez te wszystkie tygodnie nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Przynajmniej z tego, co wiem. Mijam dom Lauren jak gdyby nigdy nic. Czasem się pod nim zatrzymuję, ale tylko na chwilę. Udaję wtedy, że czytam na telefonie ważną wiadomość. W końcu jestem tylko bezbronną kobietą. Zupełnie nieszkodliwą.

Czasami przejeżdżam obok jej domu samochodem, ale wtedy muszę bardzo uważać, bo auta zdecydowanie bardziej przykuwają uwagę. Dlatego wolę spacerować. Jeśli już korzystam z samochodu, to tylko w nocy i zatrzymuję się jedynie na kilka minut.

Ale tak. Spacerować się sprawdzają. Szczególnie w ciągu dnia. Na przykład o ósmej trzydzieści. Jak teraz. Do tego mogę dowolnie zmieniać swoją trasę. W razie potrzeby minąć jej dom po raz kolejny.

Nie mogę nie doceniać faktu, że Lauren Chciwasucz praktycznie wcale nie modyfikuje swojego reżimu treningowego, uzależniając go od pogody. I pół roku. Codziennie około ósmej rano robi sobie przebieżkę po Grace Village. W tygodniu o dziesiątej trzydzieści gra w tenisa w Grace Country Club z tą samą partnerką, z którą potem chodzi na lunch. Do tego o trzynastej ma golfa.

Mnie męczy samo myślenie o tylu aktywnościach. Ale Lauren Chciwasucz musi przecież dbać o swoją piękną wysportowaną sylwetkę, nieprawdaż?

Ciekawe, jaki zaplanuje trening, kiedy zrobi się naprawdę zimno i nieprzyjemnie, jak to bywa w Chicago. Czy zamierza, okutana w ciepłe ciuchy, grać w tenisa i golfa? Chyba w pewnym momencie i tak musiałyby zrezygnować z tych aktywności na świeżym powietrzu. Na przykład z powodu śniegu.

Ale czy to ważne? Nie wiem, po co w ogóle się nad tym zastanawiam. I tak nie dowiem się, jak Lauren spędza zimę, ponieważ jej nie doczeka. Ani w Chicago, ani nigdzie indziej. Zostało jej... niech policzę... dzisiaj jest

czwartek... jakieś sto sześć godzin. Wtedy kończy się halloweenowa zabawa w „cukierek albo psikus”. W poniedziałek o dziewiętnastej.

Halloween to idealny dzień na zabójstwo. Lauren będzie w domu. Zrobi się naprawdę ciemno. A do tego Christian będzie mógł się przebrać, jak tylko zechce, bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. No błagam! Idealna sytuacja. Dwie minuty przed dziewiętnastą, pod sam koniec „cukierek albo psikus”, Christian schowa się pod ceglany zadaszaniem, które znajduje się nad drzwiami wejściowymi rezydencji Lauren. Zresztą będzie już wystarczająco ciemno. Nikt go nie zauważy. Kiedy Lauren otworzy mu drzwi, strzeli do niej z pistoletu z tłumikiem i tadam! Pani już dziękujemy. A potem, kiedy wszyscy wyłączą swoje zewnętrzne światła, Christian odejdzie pod osłoną najciemniejszej nocy w roku.

Dziwi mnie, że wcześniej nikt na to nie wpadł w Grace Village.

I ogólnie, dlaczego więcej osób nie decyduje się na morderstwo w Halloween?

Dzięki Bogu, że Christian...

Rany, dlaczego nawet w myślach nazywam go Christianem? Siła przyzwyczajenia. Tak bardzo bałam się pomylić w jego obecności, że zmusiłam się do tego, by zawsze myśleć o nim jak o Christianie. Christian Newsome, Christian Newsome! – tak powtarzałam sobie w głowie.

Dzięki Bogu, że Christian wpadł na pomysł z zabójstwem w Halloween. Na szczęście, nie musiałam mu tego sugerować. Mężczyźni i ich ego.

No i wrobienie Simona... ten pomysł też wyszedł od niego. To była kolejna rzecz, o której wolałam nie wspominać. O wiele lepiej jest pozwolić facetowi myśleć, że sam na coś wpadł. Z Christianem mam o tyle ułatwione zadanie, że ostatnią rzeczą, jaką można by było mu zarzucić, jest brak pewności siebie.

Ciekawe, czy przegadał to wszystko ze swoim kolegą Gavinem. Tak, o nim też co nieco wiem. W liceum nigdy nie lubiłam odrabiać pracy domowej, ale ostatnimi czasy zaczęłam doceniać walory porządnego przygotowania.

Prawdopodobnie wymyślili ten plan razem. Główkowali nad nim godzinami. Rozważali wszystkie możliwości. Pewnie rozmawiali też o tym, jak mentalnie mnie „przygotować”. Oswoić z „zabójczym pomysłem” i ideą wrobienia Simona – jak gdyby to nie był dla mnie najważniejszy punkt tego planu.

À propos... gdybym chciała wejść nieproszona do domu Lauren pod jej nieobecność, jak najlepiej byłoby to zrobić?

Od frontu? Nieee... wprawdzie drzwi wejściowe są bardzo dobrze osłonięte ceglany zadaszaniem, ale wątpię, żeby Lauren miała w zwyczaju zostawiać je otwarte. Na lewo od frontowych drzwi znajduje się garaż z miejscem na trzy samochody. Tędy na pewno nie. Na prawo od drzwi wejściowych – moje prawo

– widzę kawałek ogródka, jakieś krzewy i ogromne okna. Prawdopodobnie mogłabym przez nie zobaczyć dużą część parteru, ale wątpię żeby się otwierały. Zresztą i tak nie zamierzam próbować. Zakradanie się w biały dzień pod okna i otwieranie ich siłą przy wszystkich przechodzących i przejeżdżających przez Lathrow Avenue ludziach byłoby szczytem głupoty.

Stawiałabym na południową część domu. Za garażem. Ta część posesji jest osłonięta wysokim drewnianym płotem zapewniającym prywatność. Znajduje się tam również okno (najpewniej kuchenne), które przez ostatnie pięć dni było uchylone. Wygląda na spore. Na tyle wysokie i szerokie, że raczej bym przez nie przelazła. Musiałabym tylko rozwalić moskitierę.

O, no i proszę. Wraca. Biegnie Lathrow Avenue. Piękna i seksowna Lauren Chciwasucz. Ma na sobie niebieskie legginsy do biegania, od których zapewne każdemu mijanemu przez nią mężczyźnie staje w spodniach namiot.

Jest przepiękna. Tego, z bólem serca, nie mogę jej odmówić. Nie mogę też mieć za złe Simonowi, że się w niej zadurzył.

A nie. Zaraz. Jasne, że mogę.

Czas na mnie. Pora ruszać w dalszą drogę. Spokojnie. Na luzie. Dziś też mam na sobie treningowe ciuchy. W uszach słuchawki. Gdy mnie mija, nawet nie patrzę w jej kierunku.

Ciesz się życiem, Lauren. Zostało ci go zaledwie pięć dni.

Wracam spacerkiem do mojego samochodu, który zaparkowałam przy szkole podstawowej (to jedyne miejsce, gdzie można stanąć na dłużej przy krawężniku, nie narażając się przy tym na ciekawskie spojrzenia). Jadę z powrotem do Grace Park. Parkuję w garażu przy alejce za domem i wchodzę od strony podwórka – jak zawsze.

Otwieram szafę na płaszcze, która stoi zaraz przy tylnych drzwiach do domu. Simon w ogóle jej nie używa. Wyciągam z niej kostium na Halloween, który kupiłam Christianowi. To szata z długim kapturem. Dorwałam ją w jednym z tych sklepów tematycznych, które otwierają się tylko w październiku. Ich właściciele wynajmują puste powierzchnie handlowe i wieszają ocozobne szyldy.

Oczywiście za kostium zapłaciłam gotówką. Upięłam włosy, założyłam czapkę bejsbolówkę, okulary zerówki i ciepłą kurtkę, w której wyglądałam jak baleron. Wprawdzie nie zauważyłam tam żadnych kamer, ale lepiej dmuchać na zimne. W takim przebraniu sama siebie nie poznałam.

„Ponury Żniwiarz”. Tak nazywa się ten kostium. W zestawie była jeszcze długa kosa, ale ją wyrzuciłam. Zbędny balast. Szata jest zupełnie bezkształtna.

To dobrze. Ukryje wszelkie walory i cechy charakterystyczne sylwetki Christiana. Kaptur jest o tyle praktyczny, że zakryje mu twarz, ale nie ograniczy nadmiernie pola widzenia. Będzie mógł obserwować otoczenie.

Idealne przebranie.

Do tego nowe buty Paul Roy Peak Explorer w rozmiarze Christiana – 47. Te też kupiłam za gotówkę. Akurat była na nie promocja. Tym razem miałam na sobie zupełnie inne przebranie.

Zabieram buty i kostium do szafy od frontu, niedaleko wejścia do garażu, w którym parkuje Simon. Otwieram drzwiczki i patrzę na stare mokasyny Simona, których nie nosi już od dłuższego czasu, oraz zapasowe buty do biegania.

I tak, leży tam też taka sama para Paul Roy Peak Explorer jak ta, którą kupiłam Christianowi.

Identyczny model i kolor.

Idę na górę do głównej sypialni i otwieram szafę Simona. Na tyłach wisi kostium Ponurego Żniwiarza. Simon kupił go sobie w zeszłym roku, ale ani razu nie założył.

Również ten sam model, który sprawiłam Christianowi.

Identyczne kostiumy. Identyczne buty.

Nie tylko Simon potrafi chować urazę.

62 Christian

– Mam – mówi Vicky, przekraczając próg mojego apartamentu.

Podaje mi torbę ze strojem Ponurego Żniwiarza.

– Zapłaciłaś gotówką? – pytam. – Unikałaś kamer?

– Tak.

Wyjmuję kostium z torby i zakładam go z pomocą Vicky.

– Jak wyglądam?

– Powiem ci, jak wyglądasz – odpowiada. – Wyglądasz jak żywcem wyjęty z ekranizacji jakiejś powieści Stephena Kinga. Ale, co ważniejsze, jesteś w tym przebraniu zupełnie anonimowy.

Wchodzimy do łazienki, żebym mógł przejrzeć się w lustrze.

– Ten kostium jest całkowicie bezkształtny – zauważa Vicky. – Do tego kaptur dobrze zasłania twarz.

– Tak. Nadaje się.

– Wyglądasz totalnie bezosobowo. W tym stroju równie dobrze możesz być kościstym i wysokim nastolatkiem, jak i kluchowatym tatuśkiem z piwnym brzuszkiem.

– Lub Simonem?

– Dokładnie.

– Podoba mi się. Jest świetny. Idealny. Dobra robota. A udało ci się kupić buty?

– Tak – mówi. – Simon ma taką samą parę.

– Jaki to rozmiar? 47?

– Tak, 47 – odpowiada. – Za buty też zapłaciłam gotówką. Założyłam okulary, kapelusz i ogólnie byłam ubrana inaczej niż podczas kupowania kostiumu.

Dobrze. Wszystko idzie dobrze. Wracamy do salonu.

– Musimy na jakiś czas zerwać ze sobą kontakt. Całkowicie – mówię do Vicky. – Nikt nie może wiedzieć, że się znamy. Zobaczyć nas razem.

– Jasna sprawa.

– Czy Simon wie, że byłaś u mnie na konsultacji?

– Nie wie nawet o twoim istnieniu – odpowiada. – Nie mówiłam mu o moich spotkaniach z doradcami inwestycyjnymi. Nie chciałam, żeby o nich wiedział.

– Masz w domu jakieś materiały... na przykład broszury... cokolwiek, co wskazywałoby na to, że mogłaś być w moim biurze?

– Chyba tak.

– Znajdź je, podrzyj i wyrzuć. Albo spal.

– OK.

– Zapisałaś sobie gdzieś moje nazwisko? Obczajałaś mnie w necie?

Przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Kiedy szukałam doradcy inwestycyjnego. Wtedy znalazłam cię w internecie.

– W takim razie wywal ten komputer.

– Mogę go sformatować...

– Nie, nie... to nie wystarczy. Gliny mogą to wszystko odzyskać. Rozwal drania na kawałki i wrzuć do rzeki. Ja nie żartuję, Vicky. To ważne.

– OK, OK. Zrobię to.

– Ja już tak potraktowałem swój laptop. Roztrzaskałem go. Połamałem na pół, a potem i tak jeszcze rozebrałem. Pozbyłem się z tego mieszkania wszystkich śladów twojej obecności.

– A masz może wciąż kopię trustu Simona? – pyta.

– Miałem, ale już nie mam. Dzisiaj wrzuciłem ją do niszczarki, a potem ścinki do kominka. Gliny mogą chcieć przeszukać całe to mieszkanie. Nie znajdą w nim żadnego śladu po tobie. Ani na komputerze, ani na żadnym dokumencie. Nigdzie.

– A co z innymi dowodami mojej obecności? No wiesz...

– Chodzi ci o DNA? – pytam. – O tym też pomyślałem. Wyrzuciłem całą pościel do śmietnika. A i tak wcześniej dla pewności ją wyprałem. Śmieciara zabierze wszystko przed poniedziałkiem.

Siadam obok niej.

– No i jeszcze twój telefon – przypominam. – Dzwoniliśmy do siebie i pisaliśmy.

Rumieni się.

– To jednorazówka – odpowiada.

– Używasz jednoraz... używasz jednorazówki?

– Tak. Do kontaktowania się z tobą. No co? Dziwi cię, że używałam telefonu na kartę? Nie chciałam, żeby Simon spojrzął na billing i zainteresował się numerem, z którym tak często się kontaktowałam.

No tak, to ma sens. Uff... to zdecydowanie ułatwia sprawę. Ja też używałam jednorazówki do kontaktu z Vicky, ale z innego powodu. Żeby nie mogła mnie namierzyć, kiedy odfrunę z jej milionami w siną dal. No ale cóż. Nie mogę się z nią tym podzielić.

– No to ekstra – mówię. – Rozwalisz komputer, pozbędziesz się jednorazówki i git majonez – to mówiąc, zacieram ręce.

– Masz już pistolet?

Nie, jeszcze nie. Dostanę od Gavina. Taki z tłumikiem. Ale Vicky nie wie o Gavinie, więc odpowiadam po prostu – Spokojnie. Wkrótce będę miał.

Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, że to robię.

Dwadzieścia jeden milionów – mówię do siebie. – Dwadzieścia jeden milionów.

– Coś się stało? Potrzebujesz czegoś? – pyta Emily, zaglądając do mojego gabinetu w czwartkowe popołudnie.

– Taa... proszę, wejdz na chwilę, Em. Usiądź sobie.

Pewnie zastanawia się, o co może chodzić. W końcu prawie nic tutaj nie robi. Jej głównym zadaniem jest odbieranie telefonu, który prawie nigdy nie dzwoni. Odkąd tu jest, odbyłem całe pięć spotkań z potencjalnymi inwestorami, z czego dwa z Vicky. Pozostałe trzy osoby, które przyszły po niej, delikatnie spławiłem. Walnąłem ściemę, że powiadomię je o kolejnej rundzie inwestycyjnej.

Ani razu nie prosiłem Emily o napisanie listu, nic jej nie dyktowałem – choć nie wiem, czy w ogóle ktokolwiek jeszcze to robi. Nigdy nie zrobiła mi nawet kubka kawy. Tak właściwie płacę tej dziewiętnastolatce dwadzieścia dolarów za godzinę za odrabianie pracy domowej na uczelnię. A w tygodniu przychodzi tu codziennie. Na cztery godziny.

Siada i chyba zastanawia się, czy nie powinna była wziąć ze sobą notatnika. Jej włosy w kolorze brudnego blondu są związane w kucyk, majtający się na boki, gdy rozgląda się po gabinecie w poszukiwaniu czegoś do pisania.

– Posłuchaj, Em, nie będę owijał w bawełnę – mówię. – Postanowiłem zmienić siedzibę. Chyba na jakiś czas przeniosę się do Paryża. Lecę tam jeszcze dziś.

– O... OK – przyjęła to całkiem nieźle, choć domyślam się, że lubi tę pracę.

– Dlatego niestety musimy się pożegnać. Możesz dziś wyjść wcześniej. Wziąć ze sobą wszystkie swoje rzeczy – to mówiąc, wręczam jej gotówkę. Dwa tysiące dolarów. – To dla ciebie. Coś na kształt odprawy.

– Ale ja jestem pracownikiem tymczasowym, panie Newsome. Nie musi pan płacić mi odprawy.

– No dobra, w takim razie nazwijmy to premią, OK? Bonusem? – mówię. – Na fundusz uczelniany, Emily.

Przelicza pieniądze i aż otwiera usta z niedowierzania, jakby chciała powiedzieć: „wow!”. To więcej, niż zarabiała tutaj przez cały miesiąc.

- Jest pan pewien? – pyta z niedowierzaniem.
- Jasne, że tak. Powodzenia, Emily. Mam nadzieję, że jeszcze usłyszę o tobie i twoich wielkich osiągnięciach.

Odhaczone. Po wyjściu Emily odłączam wypasiony komputer stacjonarny, który stał w recepcji i rozwalam go w drobny mak. Pomagam sobie przy tym młotkiem. Worki na śmieci są niepraktyczne, jeśli chodzi o wyrzucanie ciężkich części komputerowych. Dlatego mam coś lepszego. Pakuję je do worków marynarskich.

Otwieram szuflady Emily. Przeglądam wszystko. W jednym z notatników zapisywała daty spotkań. Jest tam nazwisko Vicky. Rwę każdą stronę na drobne kawałeczki i wrzucam je do worka na śmieci.

Całe biuro jest teraz wywrócone do góry nogami, ale to nieważne. Gra pozorów się skończyła. Przynajmniej w Newsome Capital Growth. Jego dni są policzone.

I nie ma w nim już ani jednego śladu po Vicky Lanier.

63

Vicky

Piątkowy poranek, kwadrans po siódmej. Conrad Betancourt wychodzi z apartamentowca na Michigan Avenue. Ma na sobie drogi wełniany płaszcz i niesie... Niczego nie niesie. Ale portier, który idzie zaraz za nim, jest nieźle objuczony. Niesie walizkę i długi pokrowiec, w którym najpewniej znajduje się torba golfowa.

I wszystko jasne. Conrad był tutaj, a nie w domu w Grace Village. Zatrzymał się na dłużej w swoim miejskim apartamencie.

Conrad siada na tylnym siedzeniu czarnego samochodu, podczas gdy portier wkłada jego graty do bagażnika.

Czekam na odpowiedni moment. Samochód odjeżdża. Podbiegam do portiera, zanim ten zdąży wrócić do budynku.

– Przepraszam! – krzyczę do niego. – Czy mi się zdaje, czy właśnie minęłam się z panem Betancourtem?

Siwy, wysoki mężczyzna o miłej aparycji uśmiecha się do mnie i mówi:

– Niestety tak. Przykro mi. Właśnie pojechał na lotnisko.

– Niech to. Pracuję dla „Tribune”. Chciałam zadać mu kilka pytań. Powiedział pan, że pojechał na lotnisko?

– Tak, proszę pani. Może pani zostawić dla niego wiadomość w recepcji.

– Och, dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Mam jego numer. Przede wszystkim chciałam mu zrobić zdjęcie do artykułu.

– Niestety wraca dopiero we wtorek wieczorem. Zrobił sobie mały urlop. Będzie grał w golfa.

Conrad robi sobie mały urlop golfowy?

Czyli wróci dopiero po Halloween. Doskonale.

64 Simon

Piątkowy poranek jest ciemny i chłodny. Odpowiednia oprawa. Nie ma co. Idę do Chicago Title & Trust Building. Docieram na miejsce grubo przed dziesiątą. Musiałem strasznie szybko iść. Nawet tego nie zauważyłem. To pewnie przez te nerwy.

Kupuję sobie kawę i odpalam telefon. O dziesiątej piszę esemesa:

Dzień dobry, księżniczko.

Nie odpowiada od razu. Popijam kawę i obserwuję ludzi wchodzących i wychodzących z budynku, przechodzących przez bramki oraz czekających przy windach. W końcu słyszę sygnał przychodzącej wiadomości:

Hej

Nie wysiliła się zbyt. Moja odpowiedź jest zdecydowanie bardziej rozbudowana:

Nie cierpię piątków. Większość osób je uwielbia, ale ja nie. Dobija mnie myśl, że nie będę miał z tobą kontaktu przez cały weekend.

Nie odpowiada. Rozsądny człowiek pewnie pomyślałby sobie, że jest zajęta lub nie ma ochoty rozmawiać. Ale ja brnę dalej:

Każdy dzień bez rozmowy lub spotkania z tobą to dla mnie tortura.

Odpowiada dopiero po dwóch minutach:

Wiem. Do dupy

Nie jesteśmy chyba dzisiaj zbyt rozmowni, co? Staram się więc nieco ją zachęcić:

Niedługo będziemy mogli być ze sobą CODZIENNIE.

Nie odpowiada. Kawa ostygła na tyle, że mogę ją pić wielkimi haustami. Tak też czynię, ponieważ nie mam nic lepszego do roboty. To nie rozmowa, tylko monolog. Próbuję inaczej:

Coś się stało? Wszystko OK? Wydajesz się nieobecna.

Tym razem odpowiada szybko:

Tak. Przepraszam

Co „tak”? Do której części mojej wiadomości się odnosi? Coś się stało, wszystko OK, czy jest nieobecna? Nieważne. Nie ma sensu naciskać. Każdy choć w połowie zdrowy psychicznie człowiek by odpuścił, więc to właśnie robię:

OK. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Nie mogę się doczekać poniedziałku. Kocham cię! Miłego weekendu!

Tym razem odpowiada szybko:

Nawzajem

Przez dłuższą chwilę gapię się w telefon, ale nie pojawia się nic więcej. To by było na tyle. Wyłączam komórkę, wyciągam kartę SIM i chowam te przedmioty do kieszeni. Wychodzę z budynku akurat w momencie, kiedy zaczyna padać.

65

Vicky

W piątek, w samo południe docieram pod garaż Christiana. Wpisuję kod. Drzwi się otwierają. Składam parasol i wchodzę do środka. Christian już tam na mnie czeka. Naciska guzik, by zamknąć za mną garaż.

Na pierwszy rzut oka Christian wygląda tak jak zwykle: model ze śliczną buźką. Ale widać po nim, że jest kłębkim nerwów. Ten grymas i cienie pod oczami mówią więcej, niż potrzebuję wiedzieć.

Idę za nim po schodach. W jego apartamencie pachnie inaczej niż zwykle. To znaczy... z reguły żaden zapach nie wychodzi tak bardzo przed szereg. Czasem nieśmiało na prowadzenie wysuwa się woda kolońska, kiedy indziej lekka nutka potu, jeśli akurat niedawno ćwiczył, ale teraz powietrze jest przesycone zapachem detergentu.

– Chyba porządnie tutaj sprzątałeś, co?

– Wyszorowałem wszystko co do cala – mówi. – W razie czego nie znajdą tu twoich odcisków palców. Poodkurzałem też najlepiej, jak tylko mogłem. Musiałem usunąć każdy ślad twojej obecności.

Grzeczny chłopczyk.

– Hmm... mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że bym skorzystała z toalety?

– No co ty. Proszę bardzo. Śmiało. Po twoim wyjściu i tak jeszcze raz wszystko wypucuję.

Cieszy mnie fakt, że tak poważnie podszedł do tematu. Tak, w tym apartamencie nie może być żadnych śladów mojej obecności.

Wchodzę do łazienki i zerkam na namacalne dowody jego próżności: tytanową szczoteczkę do zębów, tytanowy obcinacz do paznokci, tytanowy trymer do nosa, tytanową maszynkę do golenia i jebany tytanowy uchwyt do nici dentystycznej. Aż dziw bierze, że kosz na brudy nie jest powlekany tytanem. Tak do kompletu.

Czeka na mnie pod drzwiami toalety. Znerwicowany Nellie.

– Zniszczyłaś swój komputer? – pyta.

– Roztrzaskałam go na kawałki, które powyrzucałam w różnych miejscach.

– Dobrze. Bardzo dobrze. A jednorazówka? Jej też się pozbyłaś?

– Jeszcze nie – mówię. – Pomyślałam, że może się jeszcze przydać. W końcu dopiero piątek. Możliwe, że będziemy musieli jeszcze coś obgadać.

– Nie. Koniec gadania – odpowiada. – Chyba lepiej, żebyśmy przez jakiś czas się nie spotykali. Nie tylko do poniedziałku. Potem też.

Unoszę brwi, jakby perspektywa rozłąki była dla mnie szczególnie dotkliwa. Wręcz nie do wytrzymania. Moja mina mówi: „Nie wiem, co pocznę bez mężczyzny moich marzeń” lub „Jak ja zniosę tak długą rozłąkę?”.

– Sprecyzuj „jakiś czas” – mówię.

– Vicky... będzie... będzie całe śledztwo – kładzie mi ręce na ramionach. Teraz robi mi wykład o tym, jak wyglądają sprawy o zabójstwo. A ja będę musiała udawać, że go słucham. Zachowywać się tak, jakbym nie była o dziesięć kroków z przodu.

– To bogata kobieta z bogatego miasta – mówi. – To będzie naprawdę duża sprawa. O ile Simon nie był naprawdę bardzo ostrożny, a nie możemy na to liczyć, gliny szybko połapią się, że miał z Lauren romans. Musisz się przygotować na przeszukanie waszego domu.

Jestem.

– Musisz być również przygotowana na to, że policja może zechcieć cię przesłuchać.

Nie jestem. Boże, to byłaby prawdziwa tragedia. Katastrofa.

– Musisz być też gotowa spojrzeć Simonowi prosto w oczy i wyglądać na zaskoczoną, kiedy ci powie, że niejaka Lauren Betancourt została zamordowana w Grace Village.

Jezu, naprawdę jest kłębkim nerwów.

– Jeśli Simon zacznie cię podejrzewać, choć w najmniejszym stopniu, może zdecydować się na złożenie papierów rozwodowych. A wtedy to wszystko będzie na mar...

– Poradzę sobie z Simonem. Radziłam sobie z nim przez dziesięć lat.

– Taa... cóż... lepiej, żebyś się wzniosła na wyżyny swoich umiejętności aktorskich. To rola twojego życia, skarbie.

– Masz już ten pistolet?

– Że nie wspomnę o... Co?

– Czy ogarnąłeś już sobie pistolet? – pytam po raz kolejny. – Powiedziałeś, że to zrobisz.

– Tak, ogarnąłem.

– Jaki?

– To... Znasz się na broni? – wygląda na zaskoczonego.

– Dorastałam w Wirginii Zachodniej. Nie pamiętasz?

Wprawdzie to Vicky Lanier dorastała w Wirginii Zachodniej, a nie ja, ale mój ojciec był zapalonym myśliwym i czasem zabierał mnie ze sobą na polowanie. Pozwalał mi nawet strzelać ze swojej krótkiej broni.

– Jaki masz pistolet? – pytam ponownie.

– To glock.

– Jaki glock? 23?

Robi krok do tyłu.

– Kurde, serio wiesz, o czym mówisz. Z tego, co mi wiadomo, to glock 17.

– OK, w porządku. A masz tłumik?

– Czy co mam?

– Tłumik.

– Tak, mam.

– Był od razu dołączony?

– Tak, on... był dołączony.

„On”, czyli Gavin Finley, jak miemam. Ma pozwolenie i trzy sztuki broni krótkiej. A przynajmniej tyle nabył legalnie.

O tak, dobrze mieć takiego Rambo po swojej stronie.

Nie spodziewałabym się, że Gavin dał Christianowi któryś ze swoich własnych pistoletów. Nieee... na pewno załatwił go przez słupa lub jakiegoś innego lewego nabywcę. Ja na jego miejscu właśnie tak bym zrobiła.

– Pokaż mi go – mówię. – Chcę go zobaczyć.

– Nie mam go tutaj, ale nie bój nic. Facet, który mi go załatwił, zna się na rzeczy.

– Jak dobrze się znacie? – dopytuję. – Czy mówiłeś mu o mnie?

– Nie, nie. To nie tak. Nic nie mówiłem.

Właśnie, że tak. To musiał być Gavin. I jestem pewna, że wie, kim jestem. Jest najlepszym przyjacielem Christiana – tfu – Nicka. Jeszcze z dzieciństwa. Plus to jego kolega po fachu. Krętacz. Tylko zajmuje się mniej intratnymi przekrętami.

– Poćwicz strzelanie – mówię.

– Serio? Chcesz, żebym ćwiczył?

– Nigdy wcześniej tego nie robiłeś. Musisz się trochę oswoić z bronią. Nawet strzelanie z bliska wymaga choćby podstawowego treningu. Musisz się upewnić, czy pistolet jest odpowiednio naładowany, poćwiczyc przeładowywanie, przywyknąć do ciężaru broni w twojej dłoni i tłumika...

– Kurde, nie wiedziałem, że taka z ciebie G.I. Jane!

Poklepuję go po kłacie i mówię:

– Obiecuj mi, że potrenujesz, dobrze? Po prostu nie chcę, żebyś obudził się w Halloween z ręką w nocniku. Bez żadnego wcześniejszego kontaktu z bronią. Kompletnie nieprzygotowany.

– Czyli nie udało ci się znaleźć zielonej jednorazówki Simona? – pyta mnie Christian.

– Nie. Niestety. Nie znalazłam jej. A pamiętasz, co było napisane w pamiętniku o weekendach. Nie używają wtedy tych telefonów. Po porannym piątkowym esemesowaniu nie kontaktują się ze sobą aż do dziesiątej w poniedziałek.

– No tak, pamiętam. Wyłączają je zupełnie. Zero kontaktu. Całkiem mądrze.

– Tja. Brawo oni. Hurra – odpowiadam. – Ale to oznacza, że gdziekolwiek Simon by ten telefon chował, pozostanie w ukryciu aż do poniedziałkowego poranka. Zgaduję, że trzyma go w swoim gabinecie na uczelni.

– Ciekawe, gdzie Lauren trzyma swoją różową jednorazówkę.

– Pewnie też jest dobrze ukryta. Wcisnięta gdzieś na cały weekend.

Potrząsa głową i mówi:

– Na tym etapie to już nieważne. Mamy wszystkie niezbędne informacje. Mamy plan. Nie potrzebujemy ich telefonów.

Może ty nie, ale ja tak.

– Masz rację – mówię.

Christian odprowadza mnie do garażu. Odwracam się w jego stronę, kiedy otwiera mi drzwi.

– Pozbądź się swojej jednorazówki – mówi.

– Zatrzymam ją do poniedziałku.

– Vicky...

– Tak na wszelki wypadek – mówię. – Nigdy nic nie wiadomo.

– OK, w sumie racja.

– W razie jakichkolwiek kłopotów napisz. Tylko z głową. Moja jednorazówka będzie co do zasady wyłączona. Tylko od czasu do czasu do niej zajrzę. Może tak być?

– Może tak być.

– Tak czy siak widzimy się w poniedziałek, prawda?

Wzdycha. Przez chwilę nad tym rozmyśla.

– Myślisz, że to rozsądne spotykać się w Halloween?

– Znowu: tak na wszelki wypadek – mówię. – Żeby się upewnić, że wszystko w porządku i nie pojawiła się żadna nowa okoliczność, którą należałoby uwzględnić. Żeby przejść jeszcze raz przez cały plan. Punkt po punkcie.

Mięknie. Dał się przekonać.

– OK. Chyba nie zaszkodzi się spotkać i jeszcze raz to obgadać.

– Przyjdę o dwunastej – mówię. – Będę tutaj czekać. Przy garażu.

– OK.

– Obiecaj mi, że przez weekend poćwiczysz trochę strzelanie z glocka, dobrze?

– Dobrze.

Przez chwilę oboje milczymy. Chyba przyszedł moment czułego pożegnania. Niech myśli, że się o niego martwię. Martwię się o nas. O naszą wspólną przyszłość. Powinno być rzewnie. Może odrobinę dramatycznie? W końcu nie zobaczymy się przez cały weekend.

OK. Lecimy z tym koksem.

– Obiecaj mi, że będziemy razem. Kiedy to wszystko się skończy – mówię, starając się wykrztusić z siebie te słowa i jednocześnie nie rzygnąć.

Ujmuje moje dłonie i całuje je delikatnie.

– Oczywiście, że będziemy – szepcze. – Przecież właśnie dlatego to robimy, prawda?

Kiwam głową, zaglądam mu prosto w oczy i mówię:

– Nie wiem, co zrobię, jeśli...

...jeśli przez kolejne kilka sekund będę musiała udawać, że jestem zakochana w tym narcystycznym dupku.

– Nic mi nie będzie – zapewnia mnie. – Wszystko pójdzie jak z płatka. Będzie dobrze.

66 Christian

Jest sobota rano. Zapinam kurtkę pod samą szyję. Minęła godzina, odkąd nastał świt, a w lesie jest tak ciemno, że równie dobrze można by pomyśleć, że jest środek nocy. Do tego ten ziąb. Jest raptem parę stopni.

Po kilku minutach dostrzegam Gavina idącego ścieżką. Jest ubrany w zieloną kurtkę myśliwską i czapkę.

– Spałeś ty chociaż trochę? – pyta.

– Prawie wcale.

– Stresujesz się.

– A żebyś wiedział. I to jeszcze jak. Byłoby o wiele prościej, gdybyś ty to zrobił. Jesteś myśliwym. Znasz się na broni.

– Ooo... nie. Już to przerabialiśmy, Nick. Twój cyrk, twoje mały – ty strzelasz.

Rozciągam ręce. Robię krążenia głowy i szyi. Nigdy wcześniej nie miałem w dłoni pistoletu, a za dwa dni mam kogoś zastrzelić. Z bliskiej odległości, ale jednak.

– Ufasz tej całej Vicky? – dopytuje Gavin.

Czy ufam kobiecie, która jest gotowa zabić dla pieniędzy? Czy ufam kobiecie, która jest gotowa okraść ze wszystkiego własnego męża?

– Ufam, że chce tych pieniędzy, chce, żebym je zainwestował, i chce mnie. Kropka. I tyle w zupełności wystarczy. Niczemu więcej nie muszę ufać.

– Aha. – Gavin rusza nerwowo szczęką, której przydałby się kontakt z maszynką do golenia. – Tja. Aaa... co potem? Kiedy już zabijesz Lauren?

– Simon całkiem konkretnie się załamie – mówię. – Wtedy nie będzie mu już zależeć na szybkim rozwodzie. Najpewniej... najpewniej będzie totalnie rozpieprzony. A Vicky odegra rolę kochającej i wspierającej żony, czytaj: będzie rznąć głupa.

– A co, jeśli Simon się zorientuje, że to Vicky za tym wszystkim stoi? Co jeśli zacznie ją podejrzewać? Ostatecznie nie tak trudno na to wpaść. Ma romans, planuje rozwieść się z żoną, odciąć ją od pieniędzy i... nagle „ta druga” pada trupem.

– Vicky twierdzi, że sobie z nim poradzi, i w to też wierzę.

– Tak? Chyba do tej pory nie radziła sobie z nim najlepiej, co nie? – zauważa Gavin. – Simon miał kobitę na boku i próbował wymiksować Vicky z trustu, a ta

się nie połapała.

– To akurat chyba moja wina – zauważam. – Za dobrze się spisałem. Straciła dla mnie głowę. Tak bardzo pilnowała tego, by Simon nie dowiedział się o mnie, że nie zauważyła, co ON robił za jej plecami.

Gavin zaczyna iść ścieżką w kierunku miejsca, gdzie mam trenować strzelanie.

– Co? Wciąż masz jakieś wątpliwości? – dopytuję się.

– OK, Nicky. Powiedzmy, że Vicky poradzi sobie z Simonem. Tak jak twierdzisz. Do trzeciego listopada będzie rznąć głupa i zgrywać kochającą żonkę. Wtedy przejmie kontrolę nad kasą.

– Zgadza się. Przez kilka dni musi udawać, a potem, po trzecim listopada, hulaj dusza...

– A co z glinami? – pyta Gavin, odwracając się w moją stronę.

– Jak to co? Raczej nie będzie im trudno dojść do tego, że Simon miał z Lauren romans. Na pewno będą chcieli go przesłuchać w tej sprawie.

– Vicky też.

– No tak, Vicky prawdopodobnie też. Ale ona sobie z nimi poradzi. Po raz kolejny musi tylko rznąć głupa, co nie? Gliny nie znajdą niczego, co mogłoby mnie z nią powiązać.

– Z tego wynika, że sporo tutaj zależy od Vicky.

– Wcale nie tak dużo, jak mogłoby się wydawać – mówię. – Po pierwsze, wrabiamy Simona. W Halloween włożę takie same buty i kostium Ponurego Żniwiarza, jakie leżą u niego w szafie. Jeśli ktokolwiek mnie zobaczy i zostawię jakieś ślady butów, to beknie za to Simon, a nie Vicky. Jej z facetem raczej nikt by nie pomylił. Poza tym musimy się jakoś utrzymać na powierzchni tylko kilka dni, prawda? Simon dowie się o morderstwie dopiero pierwszego listopada. Będzie załamany. Vicky z kolei uda, że nie wie, o co chodzi. Być może Simon nawet jej się zwierzy. Powie o romansie. A może nie. Kto to wie? Ale potem musimy wytrwać już tylko jeden dzień – drugiego listopada, bo trzeciego już będziemy bogaci.

– Eee... chyba raczej Vicky będzie bogata.

Gavin nagle się zatrzymuje. Chyba dotarliśmy do miejsca, w którym chciał poćwiczyć ze mną strzelanie do celu.

– Nie. MY będziemy.

Gavin pokazuje mi jeden ze swoich firmowych uśmiechów.

– Skąd wiesz, że kiedy przyjdzie trzeci listopada, Vicky nie zapomni o twoim istnieniu?

– Nie robi tego – mówię. – Wierz mi, nie robi tego.

– A niby skąd możesz to wiedzieć?

– Wiesz co, G? Pierdol się. A gdzie zaufanie?

Gavin wyciąga pustą puszkę, kładzie ją na pniaku i mówi:

– Tobie ufam – mówi. – Ale Vicky za cholere nie. A co, jeśli ona chce tylko, żebyś pociągnął za spust? Zabił kochankę Simona? A kiedy już wykonasz zadanie, „siema nara” – zapomni o twoim istnieniu. „Christian Newsome? Kto to?” Co jeśli jesteś dla niej tylko facetem, który załatwi za nią „problem z Lauren”?

W połowie jego wypowiedzi zaczynam kręcić głową. Potem mówię:

– Gadasz bez sensu. Po pierwsze, Vicky zaczęła mieć „problem z Lauren” dopiero kilka dni temu. A po drugie, przez dwa ostatnie miesiące nie myślała o niczym innym, jak o dwóch rzeczach: dorwaniu się do tego hajsu i dorwaniu się do mojego fiuta. Dla Vicky jestem nie tylko facetem, który zapewnia jej ruchanko życia, ale też może jej pomóc pomnożyć pieniądze. Tak właśnie działam ze swoimi celami. Przyciągam je do siebie i dbam, żeby same dopraszały się o więcej. I jestem w tym naprawdę dobry. Namierzam je bezbłędnie. Nigdy nie spudłowałem. I Vicky nie jest tutaj wyjątkiem.

Wyciągam glocka z tłumikiem z mojej torby treningowej. Gavin zaznacza miejsce, z którego mam celować. Jest oddalone od puszek o jakieś dziesięć stóp.

– Poza tym – mówię – jestem zbyt blisko, żeby się wycofać. Zdecydowanie zbyt blisko. Nie pozwolę, by jakaś blondyna kręcąca tyłkiem dla Simona sprzątnęła mi forszę sprzed nosa. Nieważne, jak duże jest ryzyko. Warto. W końcu chodzi o dwadzieścia jeden milionów, G. Nic nie jest pozbawione ryzyka. Jeśli po drodze złapiemy gumę, jakoś sobie z tym poradzimy.

Celuję w pustą puszkę stojącą na pniaku i strzelam. Rzeczywiście dźwięk jest inny niż na filmach, ale tłumik działa dobrze. To nie on stanowi problem, tylko typ, który go używa.

Puszka, a nawet pniak, pozostają nietknięte.

– Trudniej jest celować z tłumikiem – mówi Gavin.

– Nic. Zero na pięć. Nie mogę trafić.

– Tak, ale pamiętaj, że strzelasz do puszek oddalonych o dziesięć stóp – zauważa Gavin. – W Halloween będziesz strzelał do człowieka stojącego w odległości mniej więcej dwóch stóp. Ciężko spudłować. Po prostu celuj w korpus. Nie spudłujesz. Na twoim miejscu strzeliłbym parę razy. W magazynku masz siedemnaście naboju. Pif-paf, pif-paf, pif-paf! Po prostu strzelaj dalej.

Opuszczam pistolet i mówię:

– Nie wierzę, że to robię.

– Hej, spójrz na to – mówi Gavin, wskazując na pobliskie drzewo. Jest na nim zawieszona opona. Huśta się na boki. – To może się przydać. Tak w razie czego. Zawsze dobrze jest mieć plan B, co nie?

– Co? Mam spuścić jej oponę na głowę?

– Nie, dekle. Sznur. – Gavin podchodzi do drzewa i patrzy w górę. – Możesz przewiązać sobie sznur w pasie. Będzie zajebiście pasował do kostiumu Ponurego Żniwiarza.

– Sznur? Jako plan B? A nie lepiej nóż czy coś w tym stylu?

– Nie, nie, nie... – mówi Gavin i potrząsa głową. – Nóż to nie jest dobry pomysł. Nie chcesz się w to bawić. Za duże ryzyko, że niechcący się chłaśniesz i zostawisz tam swoje DNA lub zaplamisz się jej krwią. Sznur jest bezkrwawym rozwiązaniem. Tak, to dobry plan B.

– Czyli co? Jeśli nie będę w stanie jej zastrzelić, mam ją udusić?

– Noo... jeśli zajdzie taka potrzeba, to tak – maca sznur z supłami zawiązanymi mniej więcej co stopę, który zwisa z grubej gałęzi drzewa. – Tak, podoba mi się ten sznur. Te supły zapewniają niezłą przyczepność. No i od razu masz na nim ładną pętlę. Nadaje się na stryczek.

– Stryczek? Jezu Chryste, G, nie zrobię czegoś takiego. Nie ma bata.

– Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B, Nicky. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak...

– Co niby miałyby pójść nie tak?

– Kurde, nie wiem – mówi. – Wiem tylko, że warto mieć plan B. Pomóż mi zdjąć ten sznur.

– Nie wierzę. Po prostu w to wszystko nie wierzę. Ale nie ma już odwrotu.

Dwadzieścia jeden milionów. Lauren albo ja.

67 Vicky

Niedzielny poranek. 30 października. Dzień przed Halloween.

Dzień jak co dzień. Ze słuchawkami w uszach zaliczam kolejny trening w swoim stroju sportowym i akurat tak jakoś wyszło, że muszę się zatrzymać, by odbyć fikcyjną rozmowę telefoniczną przed domem Lauren Betancourt na Lathrow Avenue w Grace Village w stanie Illinois.

Wpadłam tu tylko na chwilę. Sądny dzień zbliża się wielkimi krokami. Co nie znaczy, że nadmiernie się śpieszę. Robię małe kółka i mówię: „Co nie?” i „Ty jesteś zaskoczona? Szkoda, że nie widziałaś mojej miny, kiedy się dowiedziałam!”. Udamę, że jestem podekscytowana. Nawet trochę się śmieję.

Jednak tak naprawdę jestem tu tylko po to, żeby zerknąć na południową stronę domu Lauren. Tę za garażem. Osłoniętą wysokim drewnianym płotem.

Tak, okno (prawdopodobnie kuchenne) nadal jest otwarte. Z tego, co wiem, od ponad ośmiu dni. Co oznacza, że Lauren po prostu cały czas zostawia je otwarte. Może taki ma zwyczaj lub zupełnie o nim zapomniała. Nawet nie myśli o potencjalnym niebezpieczeństwie.

To okno znajduje się trochę ponad poziomem wzroku. Potrzeba małej drabinki, krzesła lub jakiejś ławki, by się przez nie wdrapać. To utrudnia sprawę. I generuje dodatkowe ryzyko.

Jednak bez wątpienia jest to sposób, by dostać się do jej domu.

68 Simon

O dziewiętnastej trzydzieści sznuruję buty do biegania. Tym razem zostawiłem sobie dłuższą przebieżkę na niedzielny wieczór.

Choć uwielbiam biegać po zachodniej stronie Chicago, nie mogę zaprzeczyć, że te okolice są nękane przemocą. Nie jest to więc najbezpieczniejsza opcja na wieczorny jogging. Wszystkie te gule, czarownice, maski z *Krzyku* i inne halloweenowe dekoracje również niespecjalnie pomagają mi w ukojeniu zszarganych nerwów.

Ale i tak nie zamierzam przestać biegać tymi ulicami. Inspirują mnie. Ci wszyscy ludzie, którzy walczą z biedą i gównianymi szkołami... którzy całe życie wyciągają najkrótszą zapałkę, a mimo to się nie poddają. W porównaniu z nimi miałem w życiu dużo szczęścia. Zdaję sobie z tego sprawę. Jasne, bywało różnie, ale nigdy nie musiałem się martwić o to, czy będę miał co jeść i czy stać mnie będzie na studia. Zawsze mogłem podejść do okna bez obawy przed strzelaniną. I nigdy nikt mi nie powiedział, że nie ma dla mnie nadziei. Mój głos nie był ignorowany.

„Znajdziesz sobie kogoś, kogo pokochasz” – tak powiedziała mi mama w ostatnim tygodniu swojego życia, z trudem wypowiadając każde słowo. Miała rację. Nie miałem problemu ze znalezieniem kogoś do pokochania. Zalażłem nawet dwie takie osoby. Problem polegał tylko na braku wzajemności. Utworzył dziurę w moim sercu, którą czułem, zanim zorientowałem się, że ją w sobie noszę.

Ostatecznie przebiegłem dystans siedmiu mil szybciej, niż się spodziewałem – to z pewnością zasługa mojej nerwowej energii. I to w jakim czasie! Mniej niż czterdzieści minut.

Zatrzymuję się w zaułku za Viva Mediterránea. Zimne powietrze owiewa moją spoconą twarz, choć naprawdę porządnie zasłoniłem sporą jej część czapką. Nie żebym się obawiał, że Christian mnie rozpozna. Szczerze wątpię, żeby zwrócił na mnie uwagę. Ale nawet gdyby stał na swoim patio w ten chłodny wieczór i spojrzał w dół, niewiele by zobaczył. Czy wie, jak wyglądam? Może. Pewnie tak. Raczej obczaił moje zdjęcia w internecie. Jednak nie miał okazji mnie poznać – nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

O dwudziestej włączam telefon i wkładam do niego kartę SIM. Widzę, że w skrzynce już czeka na mnie esemes:

Wiem, że odczytasz tę wiadomość dopiero jutro rano i przepraszam, że do ciebie piszę, zamiast przekazać wszystko osobiście, ale byłoby mi bardzo ciężko powiedzieć to prosto w twarz.

Dlatego zrobię to tutaj. Teraz.

Dużo o nas myślałam i doszłam do wniosku, że nie możemy być razem.

Po prostu do siebie nie pasujemy.

Uważam, że jesteś NIEZWYKLE wyjątkową osobą, ale jeśli czegokolwiek nauczyłam się, biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia, to właśnie tego, że relacja dwojga ludzi musi mieć sens.

A nasza nie ma. Nie mogę z tobą być ani tym bardziej za ciebie wyjść.

Wyjeżdżam z miasta na parę dni, żeby pozbierać myśli.

Będę miała wyłączoną komórkę.

Wiem, że to brutalny sposób na zakończenie relacji, ale muszę mieć na względzie swoje dobro.

A to jest dla mnie dobre.

Proszę, uszanuj moją decyzję

i nie próbuj się ze mną kontaktować.

Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro.

Nie chciałam cię zranić

Zaczynam pisać tak szybko, że w pewnym momencie prawie upuściłem telefon:

Czy to jakiś żart? Chyba nie mówisz poważnie? Przecież między nami wszystko świetnie się układa. Proszę, powiedz mi, że to żart!

Odpowiedź przychodzi szybko:

Przykro mi, ale to nie żart.

Nie mogę z tobą być.

Proszę, uszanuj to.

Tego właśnie chcę i nie zmienię zdania.

Uwierz, że tak będzie lepiej dla nas obojga

Odpowiadam od razu:

Porozmawiajmy o tym osobiście.
Proszę, nie rób tego przez telefon.
Jeśli coś jest nie tak, porozmawiajmy o tym.
Proszę, daj mi chociaż szansę to naprawić.
Jesteś teraz w domu?

Reaguje równie szybko:

*Nie, przecież ci powiedziałam, że wyjeżdżam na kilka dni.
Jeśli mnie kochasz, uszanuj moją decyzję.
Wyłączam komórkę*

Odpowiadam w ekspresowym tempie, łamiąc zasadę numer jeden o nieużywaniu imion:

Lauren, proszę...
Porozmawiaj ze mną bezpośrednio.
Albo chociaż zadzwoń

Nie odpowiada.

Lauren, proszę. Jeśli MNIE KOCHASZ,
porozmawiaj ze mną. Daj mi choć tyle

Znowu nic.

Lauren, błagam

Klikam „wyślij”.

Tak traktujesz kogoś,
kogo niby KOCHASZ??????

Tym razem po kilku chwilach pojawia się odpowiedź:

*Nie Kocham cię, OK? Nigdy nie kochałam.
Potrzebowałam odmiany po nieudanym małżeństwie.
Byłeś dla mnie tylko odskocznią.
Nie chciałam ci tego mówić,
bo to przykre i okrutne,
ale mnie do tego zmusiłeś.*

*Proszę, zostaw mnie w spokoju.
Nie kontaktuj się ze mną więcej*

Nie piszę więcej. Zamiast tego postanawiam zadzwonić. Włącza się poczta głosowa, informująca mnie o tym, że abonent jest chwilowo niedostępny.

Nie nagrywam się na pocztę głosową. Dzwonię ponownie. Znowu poczta.

Próbuję po raz kolejny. Poczta głosowa.

I jeszcze raz. Poczta głosowa.

Wracam więc do wiadomości. Czuję, że moje tętno szaleje i trzęsą mi się ręce, kiedy wysyłam ostatniego esemesa:

To jeszcze nie koniec.

69 Vicky

Choć ludzie są bardziej czujni w nocy i tak kobiecie jest zdecydowanie łatwiej szwendać się po ulicach Grace Village. A poza tym, co ja takiego robię? W niedzielny wieczór po prostu zatrzymuję się tylko na chwilę na chodniku jednej z bardziej „ruchliwych” ulic, jaką jest Lathrow Avenue.

Rozumiem, dlaczego kogoś takiego jak Lauren przyciągnęła okolica. Piękne drzewa osłaniające ulicę, wypasione rezydencje i dużo przestrzeni. Cisza i spokój. Jednak rozumiem też, dlaczego co poniektórym Grace Village zwyczajnie nie pasuje. Mowa tu na przykład o Simonie i podobnych mu ludziach, mieszkających w mieście obok.

O wilku mowa. Różowy telefon znowu bzyczy, informując mnie o nowej wiadomości:

Lauren, proszę. Jeśli MNIE KOCHASZ,
porozmawiaj ze mną. Daj mi choć tyle

No niestety. Życie to nie bajka. Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.
I kolejna wiadomość:

Lauren, błagam

Taa... błagam dalej. Proszę bardzo. Trzymam różowy telefon w ręce i czekam.
Daję mu jeszcze trochę czasu. No dawaj. Błagam dalej.

Tak traktujesz kogoś,
kogo niby KOCHASZ???????

Najwyraźniej.

Dobra, wysłał już cztery wiadomości z rzędu. Teraz czas na ostateczny cios od Lauren. Prosto między nogi:

*Nie kocham cię, OK? Nigdy nie kochałam.
Potrzebowałam odmiany po nieudanym małżeństwie.
Byłeś dla mnie tylko odskocznią.
Nie chciałam ci tego mówić,*

*bo to przykre i okrutne,
ale mnie do tego zmusiłeś.
Proszę, zostaw mnie w spokoju.
Nie kontaktuj się ze mną więcej*

Naciskam „wyslij”. Tak, całkiem ostro, ale Lauren Chciwasucz jest zdolna do czegoś takiego, nieprawdaż? Prawdaż, prawdaż...

Telefon dzwoni. A niech se dzwoni.

Dzwoni po raz kolejny. Nie odbieram.

I znowu. Niech se dzwoni, niech se dzwoni...

I znowu. Nikt nie odbierze, Simon. Pytanie tylko, czy wyślesz kolejną wiadomość? Czy pozwolisz Lauren mieć ostatnie słowo? No weź. Wiem, że masz to w sobie.

Różowy telefon bzyczy. Kolejny esemes od naszego bohatera dnia:

To jeszcze nie koniec.

Wyłączam telefon. Obserwuję gasnący ekran. Idę na południe. Zerkam za ogrodzenie. Okno kuchenne wciąż jest otwarte. Lauren naprawdę powinna być ostrożniejsza.

Nie zatrzymuję się po raz kolejny. Idę dalej chodnikiem zadowolona z tej ostatniej wiadomości od Simona. Ma rację. To jeszcze nie koniec.

Ale niedługo będzie. Mniej więcej za dwadzieścia cztery godziny.

70 Simon

Trzecia nad ranem. Praktycznie rzecz biorąc, już jest Halloween. Vicky smacznie śpi w sypialni, a ja nie mogę zmrużyć oka. Jestem zbyt nabuzowany. Mam straszną ochotę pobiegać, ale jest za wcześnie, nawet jak dla mnie.

Gapię się na zielony telefon. Nie. Nie tu, nie teraz.

Nie chcę wyrywać ze snu Vicky, więc schodzę na dół i zaczynam chodzić po parterze w tę i z powrotem. Cały się trzęsę. Sam nie wiem, czy bardziej z nerwów, czy z zimna, ale czuję, że przeszywa mnie chłód.

Nie przestaję chodzić. Rozcieram sobie ręce i myślę. A przynajmniej próbuję myśleć. Nie mogę się skupić.

Głęboki oddech. Uspokój się, Simon. Głęboki oddech.

Dlaczego tak wiele osób pisze „napewno” i „na prawdę”?

I czemu „naprzeciwko” to jeden wyraz, a „na wprost” dwa?

Głęboki oddech.

„Jedyny wybór” to oksymoron.

Nie. Nie. Te stare sztuczki wcale nie działają. Nic a nic. Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, Lauren. O niczym oprócz twoich słów, wypowiedzianych dziewiętnaście lat temu i towarzyszącym im wyrazie twarzy. Jakbyś się nade mną litowała.

„Mam nadzieję, że nie liczyłeś na to, że się pobierzemy?” – powiedziałaś.

I wtedy się zaśmiałaś. Wydałaś z siebie krótki chichot. Jakby sama myśl o związku ze mną wydawała ci się śmieszna. Najwyraźniej tak było. Cała sytuacja była dla ciebie śmieszna. JA byłem dla ciebie śmieszny.

Miałaś to gdzieś. Nawet cię to nie obeszło.

A potem, kiedy dokonałaś już swojego dzieła zniszczenia, odeszłaś. Na tyle starczyło ci przyzwoitości.

A ja byłem gotów ci odpuścić. Zajęło mi to naprawdę dużo czasu. Łatwo nie było. Wręcz przeciwnie. Było cholernie ciężko, ale postanowiłem, że tak właśnie zrobię. I zrobiłem, Lauren. Poszedłem do przodu. Nigdy o tobie nie zapominałem, nawet na jeden dzień, ale poszedłem do przodu.

Tyle że wróciłaś. I nawet mi nie powiedziałaś. Wróciłaś tu, jak gdyby nigdy nic. Jakby to, co wtedy zrobiłaś, nie miało żadnego znaczenia. Jakbyś mogła tak po prostu zamieszkać sobie w sąsiednim mieście. Jasne, czemu nie? A co tam. Pieprzyć to. I jeszcze w dodatku ten klub. W ogóle tam nie chodzę. Mam

członkostwo tylko dlatego, że moi rodzice je mieli, ale WIEDZIAŁAŚ o tym. I MUSIAŁAŚ brać pod uwagę ewentualność, że mnie tam spotkasz. Ale to nie powstrzymało cię przed chodzeniem tam CODZIENNIE. Nie, skądże. Miałaś to gdzieś, co Lauren? Bo przecież liczysz się tylko ty. Nikt inny. Zawsze tak było.

Żałuję, że zobaczyłem cię wtedy w maju. Pięć sekund. Jezu, pięć sekund i prawdopodobnie byśmy się minęli. Nie wiedziałbym, że wróciłaś.

Rozpalam ogień w kominku w salonie i siadam blisko niego. Słyszę dźwięk palącego się drewna. Wystawiam ręce, ale wciąż się trzęsę i nie mogę przestać.

Podnoszę akt małżeństwa. Acta de Matrimonio. Nombre Simon Peter Dobias. Nombre Victoria Lanier. Fecha de Registro 3-11-2012.

Dzięki Vicky mi się poprawiło. Stałem się lepszy. Kochałbym ją do końca swoich dni, gdyby tylko mogła odwzajemnić moje uczucie.

Otwieram metalowe drzwiczki i wrzucam akt małżeństwa do ognia. Patrę, jak czarnieje, zwija się i zamienia w proch.

Teraz czas na zielony dziennik. Nienawidzę tego dziennika. Mam już dość tego skurczysyna. Przeglądam go smagany ciepłem bijącym od kominka. Czuję je na twarzy. Czytam jeszcze raz wszystkie wpisy: od wiosny, poprzez lato, aż do jesieni.

„Zobaczymy się jeszcze?”

Wyrywam stronę i wrzucam ją do kominka.

„Chce pan, żebym była pana dziwką, profesorze Dobias?”

Rwę i ciskam do ognia. Patrę, jak płonie.

„Czy jesteś moim narkotykiem, Lauren?”

Płoń.

„Stałem się mężczyzną, którym gardzę”.

Płoń!

„Pobierzmy się”.

Płoń, płoń, PŁOŃ, KURWA!

Niech płonie. Niech wszystko płonie. Okładka i cała reszta. Wszelkie dowody jego istnienia.

Zbieram popiół i wychodzę z nim na podwórko za domem. Krzewy i drzewa zapewniają mi dodatkową ochronę przed wścibskim wzrokiem w tę ciemną noc. Rzucam proch na wiatr, jakby to były szczątki zmarłego.

Potem schodzę do piwnicy. Do małego pomieszczenia z sejfem, który był w tym domu od początku, jeszcze zanim mama i ojciec wprowadzili się do niego trzydzieści lat temu.

Na prawo 9, na lewo 19, na prawo 81 i gotowe. Ledwo udaje mi się otworzyć drzwiczki jedną ręką. Są ciężkie i skrzypią. To masywny sejf w starym stylu. Wbudowany w podłogę. Wygląda bardziej jak piec niż miejsce do

przechowywania kosztowności. Nawet gdyby ktoś pokusił się o zrzucenie na ten dom bomby, sejf pozostałby nietknięty. Kiedyś trzymałem w nim dokumenty podatkowe i inne ważne papiery, ale to już przeszłość. Teraz leżą w nim tylko dwie rzeczy.

Pierwsza to stos banknotów. Milion dolarów w gotówce. To pieniądze, które wypłaciłem tego lata z trustu. Wypełniają prawie cały sejf.

Prawie, bo jest jeszcze druga rzecz – pistolet Vicky.

Powiedziała, że to glock 23. Cokolwiek to znaczy. Nie znam się zbytnio na pistoletach, ale wiem wystarczająco dużo. Wiem, że mogą zabić.

Przykładałam glocka do skroni i zamykam oczy.

No proszę, facet, który prowadzi Spotkania Ocalałych z Samobójstwa. A gdyby tak strzelił sobie w łeb? Och, cóż to by była za ironia! No nie?

Jeszcze nie jest za późno. Wciąż mogę zawrócić. Oszczędziłbym wszystkim tyle bólu i kłopotu. Być może tak byłoby lepiej.

Nie.

Kładę broń na sejfie.

Nie puszczę ci tego płazem, Lauren. Nie odpuszczę tak łatwo.

To jeszcze nie koniec. Tak napisałem w swoim ostatnim esemesie i nie żartowałem. To jeszcze nie koniec.

71 Vicky

Stoję w uliczce obok garażu Christiana. W samo południe. Tak jak obiecałam. W ten ostatni poniedziałek października świeci słońce, jednak powietrze jest dość rześkie. Wczesnym popołudniem może trochę popadać, ale jeśli nawet, to nie za długo. I bardzo dobrze. Doskonała pogoda na zbieranie cukierków. Doskonała noc na morderstwo. Hmm... to brzmi jak cytat z jakiegoś filmu.

Ale jedna rzecz się nie zgadza. Drzwi do garażu się nie otwierają. Do tej pory Christian zawsze był punktualny. Nie chciał, żebym sterczała na ulicy. Wystawiona na widok publiczny.

Cholera, Christian... musisz się spóźnić akurat dzisiaj?

Znam kod do drzwi garażowych, ale nie chcę go używać. Nie chcę go brać z zaskoczenia. I tak wydaje się już dobrze zestrachany. Wolałabym, żeby zszedł na dół i sam mi otworzył.

Patrzę w górę na jego apartament, ale słońce świeci mi prosto w oczy i nie jestem w stanie dojrzeć, co się tam dzieje.

Pięć po dwunastej zaczynam z lekka panikować. Muszę się z nim zobaczyć. Co on wyprawia? Zapomniał o naszym spotkaniu? Ale jak mógł zapomnieć?

Zaczyna mu odwalać, ot co. Totalnie odpie...

Aż podskoczyłam. Drzwi do garażu się podnoszą. Przewieszam sobie torebkę przez ramię i wchodzę do środka.

Christian stoi w drzwiach do swojego apartamentu w brudnej białej koszulce. Włosy wpadają mu do oczu, pod którymi coraz wyraźniej rysują się cienie.

– Wesołego Halloween! – mówię, jednak on nie reaguje uśmiechem się na te słowa. – Co się stało? Wyglądasz masakrycznie.

Wchodzę za nim do środka.

– Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? – pytam.

Wchodzi do kuchni i patrzy na mnie.

– Wszystko w porządku. Chyba po prostu trochę się denerwuję. Nigdy czegoś takiego nie robiłem.

Nie cykorz, Christian. Nie możesz się wycofać. Nie teraz. Potrzebuję cię, typie.

Ma szkliste oczy, prawie tak, jakby płakał. Jest blady, spocony i cały się trzęsie.

Jaja sobie robisz? Wypniesz się na mnie? Zostało tylko kilka godzin...

- Należę ci wody – mówię.
- Włóż rękawiczki – to mówiąc, wskazuje na blat kuchenny, na którym czeka na mnie para nowych gumowych rękawiczek. Sprytnie.
- Sprzątałem cały weekend. Wszystko wyszorowałem... żeby nie było tu śladu po tobie – mówi.
- Wkładam gumowe rękawiczki, biorę szklanę z szafki, napełniam ją wodą i podaję Christianowi.
- Napij się – mówię. – Czy ty nie masz aby grypy? Albo czegoś podobnego?
- Dopiero co... wymiotowałem – przyznaje. – Ale to nie grypa. Raczej nerwica żołądka.
- Chodź, zmierzmy ci temperaturę. Masz termometr?
- Yyy... chyba tak. Taki stary.
- Wchodzę do łazienki. Wali rzygami. Deska sedesowa wciąż jest podniesiona. Rany, co za mięczak. Jednak czego się spodziewałam po facecie, który ma nie tylko tytanową szczoteczkę do zębów, ale i trymer do nosa?
- Trochę tu posprzątam! – wołam do niego. – Powinieneś się położyć. Odpocząć. Musisz mieć siłę.
- Musisz mieć siłę i trochę jaj.

Wychodzę z łazienki i widzę, że Christian leży na kanapie. Próbuje się zrelaksować, ale najwyraźniej mu to nie wychodzi. Odkładam swoją torebkę na bok i siadam obok niego. Kładę jego stopy na moich kolanach.

- Mamy tylko jedno podejście. Jedną szansę – mówię.
- Tak, wiem. Nie martw się. Możesz na mnie liczyć.
- Ćwiczyłeś trochę z glockiem?
- Potakuje.
- Ćwiczyłem. Chyba mam do tego dryg albo jest taki łatwy w obsłudze. I dobrze leży w dłoni.
- OK. O której wyruszasz?
- Głośno wypuszcza powietrze z płuc.
- Pewnie coś koło osiemnastej trzydzieści. Postaram się wtopić w tłum. Zrobię tak, żeby być pod jej domem pięć minut przed dziewiętnastą.
- Świetnie. Kilka minut przed dziewiętnastą. I zadzwoń dzwonkiem. Jeśli będzie po siódmej, może nie otworzyć...
- Wiem, wiem, spokojnie. Zrobię tak, żeby było dobrze.
- Tylko też nie równo o dziewiętnastej, bo wtedy ludzie mogą wystawiać głowy za drzwi i krzyczeć „Wesołego Halloween!”.

– Wiem, Vicky. Kilka minut przed siódmą. A co, jeśli w tym czasie jakieś dzieciaki przyjdą do niej po cukierki?

– Mało prawdopodobne – mówię – ale nawet jeśli, zwyczajnie poczekaasz, aż sobie pójdą. Musisz być ostrożny. Stale monitorować otoczenie.

– A czy jesteś na sto procent pewna, że Conrad wyjechał za miasto?

– Jestem pewna. To Lauren otworzy drzwi. Będzie tam sama. OK? – mówię, potrząsając jego nogę. – Wszystko OK? To dobry plan.

– Taa... – mówi, jakby próbował przekonać nie tylko mnie, ale i siebie samego – Wszystko dobrze.

Ja pierdzielę. Czy on chce położyć łapy na tych dwudziestu jeden milionach, czy nie?

72 Simon

To jeszcze nie koniec.

Po wyjściu Vicky w ten piękny poniedziałkowy poranek staram się znaleźć ujście dla swojej nerwowej energii. Sprzątam na parterze: pryskam, wycieram, ścieram i odkurzam. Na koniec rozciągam plecy, obolały, ale uspokojony pracą fizyczną. Zaglądające do salonu światło słoneczne też poprawia mi humor. Środek ciemnej nocy spędzony w odosobnieniu nie działa na mnie najlepiej, ale dzień to zupełnie co innego.

I jak to dobrze mieć z głowy ten zielony dziennik. Spłonął doszczętnie, po czym jego szczątki zostały porwane przez wiatr i teraz jako popiół użyźniają glebę w moim ogródku.

Teraz został już tylko zielony telefon, który leży wyłączony w mojej kieszeni.

Jadę do pracy. Sam nie wiem po co. Nie mam dziś zajęć ze studentami ani żadnej papierkowej roboty na uczelni, ale i tak jadę. Może z powodu wrażenia, że powinienem i będzie to dobrze widziane. Dzień jak co dzień. Jednak nie jestem w stanie myśleć o prawie. Jedynie ona zaprzęta teraz moje myśli. Próbuję przeczytać e-biuletyn traktujący o najnowszych sprawach związanych z czwartą poprawką (dostaję go na maila w każdy poniedziałek), ale zupełnie mi to nie idzie. Staram się skupić na swoim kolejnym artykule dotyczącym wyjątku „dobrej wiary” od wymogu posiadania nakazu przeszukania, ale wciąż wracam do niej myślami. Zakładam słuchawki na uszy i puszczam sobie najgłośniejszą muzykę, jaką mogę znaleźć: Metallicę i Rage Against the Machine...

*Uwięziony wewnątrz siebie, ciało moją celą
Pusty kieliszek jestestwa rozbity gdzieś w jego wnętrzu*

...robię głośniej i głośniej, ale w głowie mam tylko: Lauren, Lauren, Lauren, Lauren, LAUREN.

Otwieram oczy. Jestem w domu. Jakoś wróciłem do domu. A... no tak. Przecież nawet jechałem samochodem.

Jestem w ciemnej piwnicy. Nie muszę tego robić. Nie muszę.

Nie musisz tego robić.

Simonie Peterze Dobiasie... Możesz sobie odpuścić. Możesz jej odpuścić.

Idę do spiżarni i otwieram ją. Sześćset czterdzieści cukierków – cztery torebki po sto sześćdziesiąt sztuk w każdej. Wesołego Halloween.

Która to godzina? Po piętnastej. W Grace Park zabawa w „cukierek albo psikus” zaczyna się o szesnastej, czyli godzinę później niż w Village.

Czekam. To czekanie wierci mi dziurę w brzuchu, ale nic innego nie mogę teraz zrobić. Muszę jakoś to przecierpieć. Głęboki oddech, Simon. Głęboki oddech.

Dlaczego zawsze „cukierek albo psikus”, a nie „psikus albo cukierek”? Przecież to zupełnie to samo. Podobnie raczej nikt nie mówi, że coś jest „biało-czarne”.

Czemu ślinka cieknie, ale łzy już płyną?

Wszystko dobrze, Simon. Wszystko gra.

Zbliża się szesnasta. Musisz otwierać drzwi, uśmiechać się i dawać cukierki. Tak musisz zostać dziś zapamiętany – jako facet rozdający słodycze. Po to, by ludzie mogli powiedzieć: „Simon Dobias? Był w domu. Rozdawał cukierki. A o co chodzi, panie władzo? Myśli pan, że Simon Dobias poszedł do domu Lauren Betancourt i strzelił jej w głowę, ponieważ zdeptała wszystko, co było dla niego ważne i jeszcze się z tego śmiała? O nie, panie władzo. Simon Dobias był w domu i rozdawał cukierki”.

Nogi mi się trzęsą, ale muszę wrócić na górę. Udaje mi się to. Jeszcze nie ma szesnastej. Nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić. Otwierać ludziom drzwi, uśmiechać się i dawać cukierki ze słowami: „Wesołego Halloween!”. Ale to zrobię, bo muszę. Poradzę sobie. Dam radę. Ale najpierw muszę podładować telefon. Nie, nie ten zielony. Mojego iPhone’a. Podłączam go do ładowarki na szafce nocnej. Szuflada jest w niej lekko wysunięta. No nie. Nigdy jej takiej nie zostawiam. Otwieram ją i zaglądam do środka.

Obrączka Vicky. Miała ją na sobie dziś rano.

To ta sama obrączka, którą kiedyś, cały w nerwach, wsunąłem jej na palec.

Tak, to był pierwszy raz, kiedy poprosiłem ją o rękę. Powiedziała „nie”.

– Wesołego Halloween! Proszę, częstujcie się. Niech każdy weźmie sobie po pięć!

Siedemnasta trzydzieści.

– Wesołego Halloween! Śmiało! Bierzcie, ile tylko chcecie!

Osiemnasta piętnaście.

Idę na górę, otwieram szafę w sypialni i zaglądam w głąb. Jest. Po prawej stronie. Wyciągam kostium, który kupiłem sobie w zeszłym roku. Jest nienoszony. Miałem założyć go na imprezę halloweenową, ale ostatecznie na nią nie poszedłem. To był studencki spęd. A jako że należy zachować szczególną ostrożność podczas socjalizowania się ze studentami, ostatecznie zrezygnowałem w ostatniej chwili. To kostium Ponurego Żniwiarza. Długa, całkowicie czarna szata z przedłużonym kapturem.

Podnoszę iPhone'a, który wciąż ładuje się na szafce.

Odpalam Netflixa i wyszukuję *House of Cards*. Patrę na opisy poszczególnych odcinków z sezonu pierwszego i przypominam sobie imiona bohaterów: Frank, Claire, Zoe, Peter, Stamper, oraz ogólny zarys fabuły. Następnie odpalam pierwszy odcinek pierwszego sezonu.

Przebieram się w niebieski garnitur i czerwony krawat. Wkładam też maskę Baracka Obamy. Jestem podobnej budowy co były prezydent, więc oprócz oczywistej różnicy w pigmentacji skóry uważam to przebranie za całkiem udane. Tak. Jestem Barack Obama, czterdziesty czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wszystkie potrzebne rzeczy chowam do poszewki na poduszkę. Kostium Ponurego Żniwiarza sprawia, że jest cięższa, niż sądziłem, i trudno ją nieść, ale nic na to nie poradzę.

Wychodzę tylnymi drzwiami przez zacisze mojego podwórka na spokojną alejkę.

Nie śpieszę się zbyt, by nie zjawić się na miejscu za wcześnie. Na zewnątrz jest zimno i wilgotno. Jestem zdecydowanie za lekko ubrany. Do tego stopnia, że ludzie zaczepiają mnie z tego powodu na ulicy. „O! Jaki fajny kostium! Nie jest ci zimno?” – tego typu komentarze słyszę od mijających mnie przechodniów. Jednak tym razem zimno mi nie przeszkadza. A wręcz hartuje.

Nareszcie teraz przechodzę do działania. Koniec zamartwiania się, popadania w obsesję, debat i gdybania. Muszę przyznać, że pozbycie się wewnętrznego konfliktu jest szalenie wyzwalające. Teraz mogę się skupić.

O osiemnastej czterdzieści pięć docieram na skrzyżowanie Lathrow i Division w Grace Village. O tej porze już bardzo niewiele osób zbiera cukierki. Głównie starsze dzieciaki.

Nie powinnaś była wracać, Lauren.

Dni po Halloween

73
Jane

Sierżanci Jane Burke i Andy Tate wysiadają z samochodu i zmierzają w kierunku siedziby Lokalnej Grupy Zadaniowej ds. Zbrodni w Forest Park. Dziś – drugiego dnia śledztwa – Jane stawiała się na komendzie o szóstej rano. Andy pół godziny później.

– Owszem, dość brutalne – mówi Jane.

– Nawet bardzo – mówi Andy. – „Nie Kocham cię, OK? Nigdy nie kochałam. Potrzebowałam odmiany po nieudanym małżeństwie. Byłeś dla mnie tylko odskocznią”. To naprawdę okrutne. Zresztą nieważne, czy coś jest trochę mniej, czy trochę bardziej okrutne. Okrutne to okrutne. A co ty byś zrobiła, gdyby ktoś napisał ci taką wiadomość? Potrafisz sobie coś takiego wyobrazić?

Patrzy na niego spode łba.

– Nie – mówi Jane – i właśnie w tym rzecz. To się wydaje takie... wyreżyserowane.

– Och, daj spokój, Janey. Naprawdę myślisz, że to sprawka kobiety? Naprawdę myślisz, że zrobiła to żona kochasia Lauren?

Jane zatrzymuje się przed wejściem do siedziby Grupy Zadaniowej. Ich oddechy unoszą się w chłodnym powietrzu jako para wodna.

– Wiem tylko tyle, że ślady krwi nie kłamią, Andy. Ktoś pchnął lub kopnął różowy telefon już po morderstwie. To musiał być sprawca. Nie ma innej opcji. A jeśli to kochanek Lauren, musiałby być skończonym deklek, żeby nie podnieść i nie zabrać ze sobą tego telefonu.

– Aha. I nigdy nie miałaś do czynienia z przestępcą, który popełnia głupie błędy?

Kilku funkcjonariuszy z Forest Park mija ich w przejściu. Jane kojarzy jednego z nich, ale nie potrafi sobie przypomnieć jego nazwiska. Mimo to wita się z nimi skinieniem głowy.

– Tak, przestępcy popełniają błędy. Sprawca mógłby nie zauważyć telefonu albo go zgubić. Jasne. Może się zdarzyć. Coś takiego w pełni bym zrozumiała –

przybliżyła się do swojego partnera i mówi znacznie ciszej. – Ale w tym przypadku było inaczej. Sprawca nie zgubił ani nie przegapił telefonu. On się na nim skupił. Delikatnie i ostrożnie popchnął go ręką lub nogą tak, by znalazł się pod stolikiem. Zrobił to celowo, Andy. A przecież musiał wiedzieć, że jest obciążający. Myślisz, że nie wpadłby na to, żeby zabrać go ze sobą, albo chociaż rozwalić na pierdyliard kawałków?

– Czyli to była kobieta? Żona kochanka? – mówi Andy. – Postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, tak? Zabiła Lauren, a teraz wrabia swojego męża. I całą tę teorię opierasz na tym, że telefon został przesunięty nie raz, ale dwa razy?

– Nie jest to koronny dowód, przyznaję – mówi Jane. – Ale coś mi tu nie gra.

– Czy kobieta dałaby radę przerzucić ofiarę przez barierkę, podczas gdy ta szarpała się i wierzgała nogami?

– A kto powiedział, że się szarpała i wierzgała nogami? Cios w głowę mógł sprawić, że straciła przytomność. Tak, wiem, nawet wtedy to niełatwe, ale wiele kobiet byłoby w stanie coś takiego zrobić. Proszę cię, po prostu... Po prostu bądź otwarty na różne możliwości.

– Proszę bardzo, Jane – mówi Marta Glasgow, technik z Grupy Zadaniowej. Wskazuje na obraz, który wyskoczył na ekranie jej komputera. – To te buty.

Jane pochyla się, zagląda jej przez ramię i czyta:

– Peak... Explorer.

– Tak jest. Marki Paul Roy. Ma kolekcję Peak, a to konkretnie jest Explorer. Zwróć uwagę na bieżnik.

Po prawej stronie ekranu widać podeszwę buta. No tak, rzeczywiście. Bieżnik jest dość charakterystyczny, z ukośnym paskiem przechodzącym przez środek podeszwy i trójkątnym kształtem przypominającym szczyt góry.

– Paul Roy Peak Explorer.

– Tak. Męskie. Rozmiar 47.

– Jesteś pewna?

– Tak. Pasuje zarówno do odlewu gipsowego jak i fotografii wykonanych na miejscu zdarzenia. Macie szczęście, że tamtego dnia trochę popadało. W sam raz, żeby deszcz zmiękczył nieco glebę pod oknem.

– Wiesz może, ile lat mają te buty? – pyta Jane.

Marta parska śmiechem:

– Bez przesady, Jane. Nie jestem cudotwórcą. Ale mogę powiedzieć ci jedno: te buty nie są znoszone. Mogą być całkiem nowe lub bardzo rzadko noszone.

– Dzięki, Marta.

Jane patrzy na Andy'ego i od razu zaznacza:

- Wiem, co chcesz powiedzieć, więc możesz sobie darować.
- Kobieta z męską stopą w rozmiarze 47?

– Czy masz pojęcie, ile telefonów odebrałem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin? Ludzie są zaniepokojeni. Niektórzy wręcz przerażeni – mówi burmistrz Village Alex Galanis, zakładając nogę na nogę w gabinecie komendanta. – Niejedna osoba mówiła mi, że przeniosła się tu z Chicago właśnie po to, by uciec od tego rodzaju przemocy.

– Uważam, że to lekka przesada, Alex. Ludzie są zwyczajnie przewrażliwieni – mówi komendant Carlyle. – Wydaliśmy przecież oświadczenie w tej sprawie.

– Oświadczenie to za mało. Macie jakiegoś podejrzanego? Albo chociaż osobę podejrzaną? – wzdycha Galanis, bawiąc się swoim krawatem. To już jego druga kadencja. Z wykształcenia jest prawnikiem. Jeśli wierzyć plotkom, będzie startował w wyborach do Senatu w 2024 roku. Jane znała jego młodszego brata, Nikosa. Chodzili razem do ogólniaka.

– Sierżant Burke prowadzi śledztwo na pełnych obrotach – mówi komendant. – To nasz najlepszy człowiek. Jane, może powiesz nam kilka słów o poczynionych postępach?

Jane docenia fakt, że komendant daje jej wolną rękę. Pozwala przejąć pałeczkę. W razie powodzenia śledztwa to jej zostaną przypisane zasługi. Jednak każdy kij ma dwa końce. Wina również może spaść w całości na nią.

Pałeczka bardzo łatwo może zamienić się w pałkę, która zostanie użyta przeciwko niej.

– Wszystko wskazuje na to, że ofiara znała sprawcę – mówi Jane. – Posiadamy zapis wiadomości tekstowych pochodzących z telefonu na kartę. Jednorazówki. Są to miłosne esemesy. Lauren Betancourt miała romans, a te wiadomości wskazują na to, że próbowała go przerwać. To daje nam całkiem przyzwoity motyw. Jednak niełatwo będzie nam zidentyfikować osobę, z którą ofiara wymieniała wiadomości.

Jane zdaje sobie sprawę z tego, że znacznie upraszcza, ale takie krótkie podsumowanie powinno na razie wystarczyć.

– Ofiara znała sprawcę? Choć tyle dobrego – stwierdza Galanis. – To znaczy, że nie grasuje nam po okolicy żaden seryjny morderca. I myślicie, że zabójca... mógł zabić też siebie?

– Cóż, ostatni wysłany przez niego esemes istotnie brzmiał jak list pożegnalny.

Galanis przytakuje. Rzecz jasna nikomu nie życzy śmierci, ale to zdecydowanie wyeliminowałoby potencjalne zagrożenie dla reszty mieszkańców.

– Więc jak długo wam się z tym zejdzie?

– Na ten moment trudno powiedzieć.

– Tygodnie? Miesiące?

– Mam nadzieję, że nie, jednak jest za wcześnie, by to stwierdzić.

– Czyli to może potrwać MIESIĄCE?

– Potrwa tyle, ile będzie trzeba, proszę pana – mówi Jane, przygotowując się psychicznie na ewentualny przytyk.

– Och nie, nie, Alex. Na pewno nie miesiące – interweniuje komendant. – Sierżant Burke działa niezwykle metodycznie. Liczymy na to, że śledztwo nie potrwa zbyt długo. Choć oczywiście nie możemy niczego zagwarantować.

– Wiesz, co wszyscy będą gadać, prawda? – mówi Galanis. – Ludzie będą gadać, że mamy tutaj bandę przeciętnych, małomiasteczkowych gliniarzy i pech chciał, że trafiła im się sprawa, która ich przerosła. Będą mieli rację? – patrzy dookoła. – Jest tak?

– Oczywiście, że nie. Współpracujemy z FBI i Lokalną Grupą Zadaniową ds. Zbrodni. Do tego wszyscy nasi ludzie są zaangażowani w tę sprawę.

Galanis nie wygląda na usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią.

– Macie mnie codziennie informować o postępach w śledztwie – mówi, po czym zapina guziki swojego eleganckiego płaszcza i wychodzi z gabinetu.

Komendant patrzy na Jane, puszcza do niej oko i mówi:

– Kolejny zadowolony petent. Kto ogarnia dla nas historię lokalizacji telefonu? Grupa Zadaniowa czy FBI?

– FBI – mówi Jane. – Znam tam agentkę, dla której coś takiego to bułka z masłem.

– OK. I będziemy to mieli dziś?

– Tak jest.

– Dobrze. Bardzo dobrze. O! I Janey... dostaliśmy stopy papierzyk z Grace Park. Co to jest?

– Wszystko, co mają na Simona Dobiasa – mówi Jane.

– Przypomnij mi... czy to ten facet, który złożył zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa w 2004?

– Dokładnie tak.

– I nadal mieszka w Grace Park?

– Tak. A przynajmniej tak wynika z jego ostatniego zeznania podatkowego.

– Czyli myślisz, że może mieć z tym coś wspólnego? To było tak dawno temu...

- Tak, wiem – mówi Jane. – Ledwo go znam. Chodziliśmy razem do liceum.
- I myślisz, że mógłby zrobić coś takiego?
- No cóż, to było tak dawno temu... i jak mówię, nie znałam go za dobrze.
- No tak, ale opowiedz szefowi o tej akcji z liceum, Jane – wtrąca Andy. –
Tej z Mitchellem Kitchensem.

74 Jane

– Tak, opowiadałam Andy’emu tę historię. Simon i ja jesteśmy z tego samego rocznika – mówi Jane. – I jak już wspomniałam, nie znałam go za dobrze. Mieliśmy razem kilka zajęć. Na początku liceum był bardzo niski. Dopiero pod koniec szkoły wystrzelił w górę. Chyba w wakacje przed ostatnią klasą. Był też całkiem niezły w biegach. Ale to nie zapewniło mu popularności. Kiedy Simon zaczynał ogólniak, był chudym, niskim i nieśmiałym superbystrzakiem. I, jak można się domyślić, znaleźli się tacy, którzy mu dogryzali.

– Typowe – mówi komendant.

– Szczególnie jeden się na niego uwziął. Nazywał się Mitchell Kitchens. Kiedy zaczynaliśmy szkołę, on akurat ją kończył. Została mu tylko jedna klasa – kontynuuje Jane. – Był zapaśnikiem. Naprawdę dobrym. Jednym z najlepszych w całym stanie w swojej kategorii wagowej. Swego czasu spotykałam się z jednym z zapaśników, więc wiem, że dla młodszych dzieciaków Mitchell Kitchens był niemal jak Bóg. Prawdziwe bożyszcze. Gwiazda sportu, która mogła liczyć na stypendium na niejednym uniwerku.

– OK. Wiadomo, o co chodzi – mówi komendant Carlyle.

– Więc... najwyraźniej Mitchell był dla Simona naprawdę okropny. Znęcał się nad nim. To wyszło dopiero później. Po całej sprawie.

– Jakiej sprawie?

– No właśnie... Mitchell czepiał się Simona. Ale w bardzo specyficzny sposób. Podobno miał w zwyczaju rzucać nim każdego ranka.

– Jak to? Co masz na myśli? Jak to „rzucać nim”?

– Mam na myśli to, że podnosił go za koszulkę i pasek, a potem rzucał nim do góry.

– Czy to było coś w stylu tych barowych konkursów na rzucanie karłami?

– Eee... nic nie wiem o takich konkursach, ale pewnie tak. Mitchell najwyraźniej traktował to jako swego rodzaju konkurencję. Był ciekawy, jak daleko jest w stanie rzucić cherlawym świeżakiem.

– Jezu! I nikt go nie powstrzymał? Nikt nie wstawił się za Simonem?

Jane wzrusza ramionami.

– Nie robił tego przecież przy wszystkich. Zapaśnicy mieli do dyspozycji małą salę gimnastyczną zaraz obok wejścia do szkoły. Właśnie na niej Mitchell codziennie próbował pobić swój rekord w rzucaniu Simonem. A jego koledzy

zapaśnicy tylko się śmiali i przyklaskiwali. Poza tym Simon nigdy nikomu się nie poskarżył.

– No nieźle.

– I to nie wszystko. Najwyraźniej Simon codziennie dostawał do szkoły lunch, w którym była butelka gatorade'a. Mitchell mu ją zabierał. Podchodził do stolika Simona w czasie lunchu i mówił coś w stylu: „Przyniosłeś mojego gatorade'a?”. Przynajmniej tak słyszałam. Już po wszystkim.

– To może przejdź do tej najważniejszej części, Jane.

– Jasne, do tego zmierzam. To było w czasie sezonu zapaśniczego, a właściwie pod sam jego koniec. Zawody regionalne czy coś takiego. Taka przepustka do mistrzostw stanowych.

– Półfinały, zawody regionalne... nieważne. Zwał jak zwał.

– Dokładnie. Nieważne. Mitchell Kitchens dostał się na ten poziom regionalny, na którym miał walczyć z godnym przeciwnikiem – świetnym młodym zapaśnikiem z tej samej kategorii wagowej. Coś jak starcie tytanów. Pamiętam, że mój ówczesny chłopak, ten zapaśnik, strasznie się tym podniecał. Zresztą to właśnie nasza szkoła, Grace Consolidated, była gospodarzem w tych zawodach regionalnych. Pojawili się na nich łowcy talentów z najlepszych uniwersytetów. To było naprawdę spore wydarzenie. I wielka szansa dla Mitchella.

– OK... i?

– I wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Wszystko było gotowe. Mięśniaki biegały w tych swoich śmiesznych obcisłych trykotach i...

– ...i – zniecierpliwiony komendant kręci dłonią. – Mitchell Kitchens walczył z tym drugim wymiataczem, tak?

– No właśnie nie – mówi Jane. – Nie walczył. Ogłoszono to przy wszystkich. Zrobiono z tego wielkie halo. Mitchell został zdyskwalifikowany, ponieważ oblał test antidopingowy.

Komendant odchyła się w swoim fotelu z otwartymi ustami i lekko wystawionym na wierzch językiem. Mruży oczy i słucha dalej.

– Nie pamiętam już, co to była za substancja – kontynuuje Jane. – Chloro-cośtam. Pamiętam, że nazwa była trochę podobna do chloroformu. Jakiś środek diuretyczny... nie! Powiedzieli, że to „środek maskujący”. Czyli taki, którego używa się do ukrycia obecności w organizmie innych niedozwolonych substancji.

– Tak, tak. Środki maskujące. OK. Wiem, o co chodzi. Słyszałem o tym. Ale co to ma wspólnego z twoim kolegą Simonem? Zaraz, zaraz – komendantowi aż szczęka opada. – Ooo... czy ty chcesz mi powiedzieć, że Simon Dobias dodał tej

niedozwolonej substancji do swojego gatorade'a, wiedząc, że Mitchell Kitchens wypije mu ten napój?

– No cóż, jedno jest pewne. Mitchell tak właśnie twierdził – mówi Jane.

– Wow... to... to naprawdę...

– Diaboliczne – wtrąca Andy. – Trudno to inaczej nazwać.

– I byli w stanie to wszystko udowodnić? – pyta komendant.

– To, że Simon dodał coś do swojego gatorade'a? Nie. Jak niby mieliby to udowodnić? Takie substancje zostają w organizmie przez kilka dni. Zawody były w piątek. Simon mógł zaprawić swojego gatorade'a jakiegoś innego dnia. Zanim Mitchell miał robiony test, a tym bardziej zanim uzyskał wynik pozytywny na obecność niedozwolonej substancji, butelka po napoju już dawno leżała na jakimś śmietniku, a przynajmniej była przywalona toną innych śmieci. Mitchell był święcie przekonany, że to sprawka Simona. I wiele osób mu wierzyło lub brało pod uwagę taką ewentualność. Ale nie było jak tego udowodnić.

– Jasne – komendant uśmiecha się niechętnie i gorzko. – Rozumiem.

– Recz jasna, Mitchell próbował. Cała jego rodzina próbowała. Ale problematyczne w tym wszystkim było nawet samo opowiedzenie całej historii. Wyjaśnienie, dlaczego Simon miałby coś takiego zrobić i w jaki sposób zyskał ku temu sposobność. Mitchell musiał się przyznać, że regularnie okradał młodszego ucznia z lunchu. Oczywiście, przedstawiał to w ten sposób, że Simon dobrowolnie oddawał mu codziennie swój napój, no ale bez jaj... nikt w to nie wierzył. Zresztą Dobias sam potwierdził, że Mitchell codziennie zabierał mu gatorade'a, a wszyscy, którzy jedli lunch przy jego stoliku, to potwierdzili.

– Jasna sprawa – mówi komendant i kiwa głową. – Wow. Żeby oskarżyć Simona i wskazać motyw, Mitchell musiał przyznać, że znęcał się nad tym dzieciakiem.

– Dokładnie tak. A jeśli chodzi o zarzuty wobec Simona – mówi Jane – Dobias wcale nie musiał się zbytnio wysilać, żeby je odeprzeć. Wystarczyło, by zaprzeczył. Powiedział, że nic nie wie o tych całych „środkach maskujących”, testach antydopingowych i w ogóle o zapasach. W końcu był chudym kujonem. W jaki sposób ktokolwiek mógł podważyć jego słowa?

– A Mitchell daleko nie zaszedł ze swoją wersją.

– Udało mu się jedynie pogorszyć swoje położenie. Podczas badania całej sprawy przez szkołę udowodnił tylko to, że uprzykrzał życie mniejszemu i młodszemu uczniowi. Nie przedstawiło go to w najlepszym świetle. Ostatecznie to Simon wyszedł na tego pokrzywdzonego. Ofiarę.

– W sumie słusznie.

– To prawda. Był ofiarą prześladowania. I to, co Mitchell zrobił później... jak już mówiłam, walka miała się odbyć w piątek wieczorem, więc musiał

przeczekać weekend. I w poniedziałek rano zgotował Simonowi małe piekielko.

– Co się stało?

– Cóż, wiem tylko z opowieści. Nie było mnie na miejscu, ale wszyscy o tym mówili. Kiedy tylko Simon wysiadł ze szkolnego autobusu, Mitchell dosłownie się na niego rzucił. Powalił go i zaczął okładać pięściami. Wielkolud z ostatniej klasy tłukł drobnego świeżaka. Policjant przydzielony do tej szkoły próbował interweniować. W konsekwencji też oberwał.

– Mitchell walnął policjanta?

– O tak. Ostatecznie funkcjonariusz wezwał wsparcie. Zrobiła się z tego niezła scena. Policjanci musieli potraktować Mitchella paralizatorem. Został wyprowadzony z terenu szkoły w kajdankach.

– Został aresztowany? Postawiono mu zarzuty?

– Tak i tak – mówi Jane. – Simon machnął na całą sprawę ręką i nie złożył zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, ale mniejsza z nim. Przede wszystkim Mitchell uderzył policjanta. Do tego miał wtedy siedemnaście lat, więc mógł być sądzony jako dorosły. Nie siedział. Dostał zawiasy, ale wywalili go ze szkoły. Z tego, co wiem, robi teraz w budowlance.

Komendant potrząsa głową, pochyla się do przodu i mówi:

– OK. Czyli niewykluczone, że Simon Dobias jest jakimś diabolicznym geniuszem – tu puszcza oko do Andy’ego, bo właśnie użył jego określenia. – Przechytrzył tego łobuza i sprawił, że ten właściwie sam załatwił się na cacy.

– A Simonowi nic nie udowodniono – mówi Jane.

– Nieźle to sobie wykombinował – mówi Andy Tate.

– OK, a teraz sprawa z... 2010 roku. Dobrze mówię? – pyta komendant. – Dlaczego śledczy z St. Louis myślą, że Simon Dobias zabił swojego ojca?

– By to zrozumieć – mówi Jane – najpierw musimy się cofnąć do 2004 roku i do zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa złożonego przez Simona w Grace Park. Te dwie sprawy się ze sobą łączą.

75

Jane

– OK, jak na razie chyba nadążam – mówi komendant. – Więc w 2002 roku matka Simona Dobiasa miała ciężki udar i w zasadzie stała się inwalidką przykutą do wózka. Wymagała opieki.

– Zgadza się – mówi Jane.

– A ojciec Simona... Ted, zgadza się?

– Tak jest, szefie, Theodore Dobias, więc chyba Ted jest w porządku.

Komendant macha ręką i mówi:

– Ted trafił na żyłę złota – sprawę o odszkodowanie. Pieniądze oraz sukces uderzyły mu do głowy. Miał ochotę poużywać życia, ale nie było to łatwe przy niepełnosprawnej żonie. Nie pasowała do jego nowego stylu życia. Przygruchał więc sobie młodą ślicznotkę. Jak do tej pory wszystko się zgadza?

– Jak najbardziej, szefie.

– Przepuścił całą kasę i nie stać go było na opiekę nad schorowaną żoną.

– Cóż, Simon twierdził, że ojciec wcale nie „przepuścił całej kasy” – zaznacza Jane. – Według niego pieniądze zostały skradzione.

– No dobrze, ale przez kogo?

Przed odpowiedzią Jane zerka na Andy'ego:

– Lauren Lemoyne.

Komendant wlepia w nią oczy.

– Lauren? Naszą ofiarę, Lauren? – upewnia się.

– Tak, Lauren Lemoyne to panińskie nazwisko Lauren Betancourt.

– Okradła rodzinę Dobiasów? – komendant uderza otwartą dłońią w stół. – To ona była tą młodą ślicznotką, którą Ted sobie przygruchał?

– Tak i tak – mówi Jane. – Lauren Lemoyne była „młodą ślicznotką”, którą Ted sobie „przygruchał”, jak to pan ujął. Pracowała w jego kancelarii. On był starszym partnerem, a ona piękną asystentką. Niezbyt oryginalnie.

– Bez kitu.

– Bez kitu – mówi Jane. – Ponoć pewnego wieczora Simon nakrył ich na miłosnych igraszkach w gabinecie Teda. Ale na tym romans się nie zakończył. Ted był zakochany.

– Simon złożył zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa kradzieży, oszustwa i co tam mu tylko przyszło do głowy – wtrąca Andy. – Chciał, żeby policja w Grace Park aresztowała Lauren. Twierdził, że uwiodła jego ojca i miała z Tedem długi romans nie po to, by dowieść siły swojej miłości, tylko żeby uczynił ją współwłaścicielką swojego konta bankowego.

– I udało się? – pyta komendant. – W sensie, czy ją aresztowano?

Jane wzrusza ramionami.

– Nie było ku temu podstaw. Nie popełniła żadnego przestępstwa. Miała pełne prawo wypłacić z konta pieniądze. Z prawnego punktu widzenia należały do niej tak samo jak do Teda.

Komendant myśli nad tym, oblizując policzek, po czym pyta:

– Ile ukradła?

– Ponad sześć milionów dolarów – mówi Jane. – Wyczyściła konto do zera. Były na nim wszystkie pieniądze Teda, a właściwie całej jego rodziny. Zabrała im wszystko.

– Jezusku – komendant kręci głową. – Czyli zrujnowała tę rodzinę i uciekła, a Ted nie był w stanie zapewnić odpowiedniej opieki swojej żonie, tak?

– Cóż... na pewno już nie było ich stać na prywatną opiekunkę – mówi Jane.

– Ted postanowił oddać żonę do domu opieki.

– I wtedy żona się zabiła. Przez romans?

– Przez tę całą sytuację – mówi Jane. – Była niesamodzielną, mąż stracił do niej serce, nie mieli pieniędzy, a na dodatek czekał ją dom opieki. Poza tym kto wie, w jakim stanie psychicznym znajdowała się po udarze. W każdym razie bardzo możliwe, że romans przelał czarę goryczy. Lauren pozostawiła po sobie prawdziwe zgliszcza – Jane rozkłada ręce. – Więc teraz sam pan rozumie, szefie, dlaczego policja w St. Louis jest pewna, że to Simon zabił swojego ojca.

– Taa... wypiął się na żonę i znalazł sobie kochankę.

– Simon miał też niejedną motyw, by zabić Lauren Betancourt. Nie tylko namieszała w głowie jego ojcu i sprawiła, że Glory Dobias pękło serce, choć wiadomo, że niektórzy zabijają za znacznie mniej...

– Ale Lauren zrobiła znacznie więcej – mówi komendant. – Simon prawdopodobnie obwinił Lauren o śmierć swojej matki i zniszczenie całej jego rodziny.

76

Jane

– Czy uważam, że Simon Dobias zabił swojego ojca? Tak, bez dwóch zdań.

Jane, Andy i komendant Carlyle siedzą przed laptopem tego ostatniego. Właśnie są w trakcie wideokonferencji na Zoomie z Brendą Tarkington z policji w St. Louis i emerytowanym policjantem Rickym Gullym, obecnie mieszkającym w Wyoming.

– Zgadzam się z Brendą. W stu procentach – mówi Gully. – Przed ostatnim egzaminem na studiach pojechał do St. Louis, walnął Teda Dobiasa w głowę butelką po winie, a potem dźgnął go w brzuch, kiedy ten leżał na ziemi obok swojego basenu. Następnie Simon wepchnął ojca do wody. Potem wrócił, bo przecież egzamin był w Chicago, i z samego rana zadzwonił do terapeutki. Najpewniej, żeby zrzucić z siebie ciężar tego, co zrobił. Ale, niestety, nie mogliśmy uzyskać informacji od terapeutki. Odmówiła odpowiedzi, zasłaniając się tajemnicą zawodową. Sąd stanął po stronie Simona. Pomimo faktu, że Dobias nie rozmawiał z tą kobietą od kilku lat, sąd orzekł, że wciąż pozostawał z nią w relacji pacjent–terapeuta.

– I bez tego nie dało się nic zrobić? Niczego udowodnić? – pyta Jane.

– Nie mieliśmy żadnych fizycznych dowodów – mówi Gully. – Na nożu nie było żadnych odcisków. Znaleźliśmy jakieś na butelce po winie, ale nie mieliśmy ich w rejestrze. Żaden z odcisków nie należał do Simona. Na miejscu zdarzenia znaleźliśmy również kobiece DNA – na kieliszku po winie, jednak okazało się, że to też ślepy zaułek. Żadnych wyników w bazie. Pewnie wcześniej Ted pił sobie wino z jakąś „koleżanką” i dlatego zarobił w głowę butelką. Po prostu się nawinęła. A poza tym...

– Nie mieliśmy takich narzędzi, jakie mamy dziś – dodaje porucznik Tarkington. – Simon jeździł jakimś starym rżęchem, więc o GPS-ie można było co najwyżej pomarzyć. Nie tylko nie mogliśmy ustalić, gdzie pojechał tamtej nocy, ale też czy w ogóle gdziekolwiek pojechał. Monitoring miejski był wtedy dopiero w powijkach. Jeśli po drodze zatrzymał się na stacji benzynowej, na pewno nie zapłacił kartą. I uwierzcie, że sprawdziliśmy kamery przy wszystkich stacjach na trasie do St. Louis. Oczywiście te, które mogliśmy. Część nagrań została już skasowana, zanim o nie poprosiliśmy. Niektóre kamery nie działały. A jeszcze inne w ogóle nie były włączane i funkcjonowały jedynie jako „straszaki”. Na tych, które działały, nie było Simona Dobiasa.

– Twierdził, że całą noc spędził w domu i zakuwał przed egzaminem. Nie mieliśmy jak tego podważyć – mówi Rick Gully. – Nie było na czym oprzeć sprawy przeciwko niemu.

– Miał paragon za pizzę – wtrąca Tarkington. – Dobrze pamiętam?

Tak. Jane wie to z akt sprawy, które zostały im dostarczone.

– A no tak. Kurde, zupełnie o tym zapomniałem. – Gully się śmieje. – Stąd wiedzieliśmy, ile miał czasu. Tym razem zapłacił kartą. To było jakoś około siedemnastej. Dostawca potwierdził, że Simon otworzył drzwi i zapłacił za pizzę. Z tego, co pamiętam, Dobias dał mu też duży napiwek.

Jane uśmiecha się półgębkiem. Dał duży napiwek, żeby dostawca go zapamiętał.

– Facet jest niezły w te klocki – szepcze Andy Tate.

– Egzamin był o ósmej rano – mówi Tarkington – więc miał naprawdę mało czasu. Tak na styk, żeby pojechać do St. Louis, dźgnąć ojca nożem kuchennym, wrócić i podejść do egzaminu w Chicago.

– Świetne alibi. Normalnie idealne – mówi Gully.

– I nikt inny nie był podejrzany? – pyta Jane.

– Nie znaleźliśmy nikogo takiego. Ted Dobias miał pieniądze, ale nie został okradziony. Wiele firm go nie znosiło, ponieważ pozywał je i wygrywał sprawy, ale duże spółki raczej nie mordują prawników swoich powodów. Pewnie nawet by chciały, ale i tak zaraz kolejny wskoczyłby na zwolnione miejsce.

– Ted Dobias nie miał też w tamtym czasie żadnej dziewczyny – dodaje Tarkington. – Z tego, co się zorientowaliśmy, miał lekką paranoję na punkcie kobiet. Korzystał z usług pań do towarzystwa, ale nie był w żadnym związku. Prawdopodobnie wciąż miał uraz po tym, jak Lauren Lemoyne ukradła mu pieniądze, o czym dowiedzieliśmy się później od kolegów z Grace Park.

– Poza tym – wtrąca Gully – dość szybko zaczęliśmy podejrzewać właśnie Simona i to na nim skupiliśmy całą uwagę. Ofiarą był bogaty facet. Pierwsze pytanie nasuwa się więc samo: kto po nim dziedziczy? Oczywiście Simon. Tylko on. Jakieś szesnaście czy siedemnaście milionów dolarów. Ale potem dowiedzieliśmy się, że Simon nie utrzymywał kontaktu z ojcem, odkąd ten przeprowadził się do St. Louis. Żadnych telefonów. Kartek świątecznych. Nic. Więc Simon mógł nawet nie wiedzieć, że jest co dziedziczyć.

– Nie chodziło o pieniądze. To nie one przykuły naszą uwagę – mówi Tarkington. – Chodziło o samego Simona. Podczas przesłuchania facet sprawiał wrażenie zimnego jak ryba. Pamiętam, że właśnie tak sobie pomyślałam. Lodowaty. Zero emocji. A potem dowiedzieliśmy się o jego zawiadomieniu o popełnieniu przestępstwa z 2004 roku i o Lauren Lemoyne. O tym, jak

wparowała w życie Teda i wyparowała z jego pieniędzmi. O samobójstwie matki Simona i jego terapii po jej śmierci.

– Tja. Wszystko wiemy.

– Potem usłyszeliśmy o tej sprawie z zapaśnikiem i gatorade'em. A jeszcze później dowiedzieliśmy się o telefonie wykonanym przez Simona do swojej terapeutki po nocy, w której Ted Dobias został zamordowany. Nie kontaktował się z nią przez kilka lat, a tu nagle taka rozmowa.

– Dużo poszlak, żadnych dowodów – mówi Jane. – Nie rozumiem jednego... Czemu czekał aż do 2010 roku? Jego matka zmarła w 2004 roku. OK, po tej tragedii musiał zadbać o swoje zdrowie psychiczne i spędził jakiś czas w ośrodku. Ale jak długo tam był? Osiemnaście miesięcy? Dwadzieścia miesięcy? To znaczy, że opuścił tę placówkę w 2006 roku. Dlaczego czekał jeszcze cztery kolejne lata? I czemu wybrał na zabójstwo akurat dzień swojego ostatniego egzaminu na studiach?

Po tych pytaniach następuje chwila ciszy.

Potem Brenda Tarkington wydaje z siebie głośny chichot, a zaraz po niej również Gully wybucha śmiechem.

– O co chodzi? Co w tym zabawnego? Co takiego powiedziałam?

– Ależ, nic, pani sierżant. Zupełnie nie o to chodzi. Nie chciałam, żeby odebrała to pani jako przejaw braku szacunku – mówi Tarkington. – Chodzi o to, że zadawaliśmy sobie dokładnie takie same pytania. Czemu czekał z zabójstwem tak długo? Poszedł do przodu. Poszedł nawet na studia i był już o krok od ich ukończenia. Świat stał przed nim otworem. Dlaczego akurat wtedy postanowił zemścić się na swoim ojczulku?

– I do jakich wniosków państwo doszli? Jaka jest odpowiedź na te pytania?

– Odpowiedzią są same pytania, pani sierżant – mówi Gully. – Fakt, że je sobie zadawaliśmy i w ten sposób podawaliśmy w wątpliwość jego sprawstwo. Czemu tak długo? Czemu akurat w przeddzień egzaminu, kiedy zabójstwo było dla niego logistycznie prawie niemożliwe? Czemu w momencie, kiedy zaczęło mu się w życiu układać i miał szansę na sukces?

– Długodystansowiec.

– O tak, pani sierżant – mówi Gully. – A żeby pani wiedziała. Zdecydowanie długodystansowiec.

– Wygląda na to, że to jego modus operandi – dodaje Tarkington. – Z tym zapaśnikiem też czekał na odpowiedni moment.

– Ale jednak te dwie sprawy znacznie się od siebie różnią – wtrąca Andy Tate. – I nie chodzi mi tu jedynie o ciężar gatunkowy. Z tym zapaśnikiem... Simon użył jego sadystycznych praktyk przeciwko niemu. Zachowanie Kitchensa odbiło się na nim rykoszetem. Simon go zmanipulował. Doprowadził

do sytuacji, w której Mitchell nie tylko sam sobie zaszkodził, ale i musiał przyznać się do nękania pierwszoklasisty. W przypadku ojca Simona trudno dopatrzeć się manipulacji.

– Cóż, z ojcem nie miał takiej możliwości – zauważa Tarkington. – Był za daleko. Zupełnie zerwali kontakt. Simon musiałby spędzić w St. Louis kupę czasu, by stworzyć plan działania. Zorientować się w nowym życiu ojca. Do tego musiałby się tłumaczyć, dlaczego tak często tam jeździł. Nie, z ojcem sytuacja była zupełnie inna. Najlepsze, co mógł zrobić, to zapewnić sobie solidne alibi i pobrudzić nieco rączki.

– Albo chciał zrobić to sam. Traktował to zbyt osobiście – mówi Jane.

– Tak, jasne. To też możliwe. – Gully macha na nich palcem. – Ale im więcej z nim rozmawialiśmy i im więcej dowiadaliśmy się o tej sprawie z zapaśnikiem, tym bardziej nabieraliśmy przekonania, że Simon Dobias jest przede wszystkim manipulatorem. Brenda ma rację. W St. Louis nie miał tak dużego pola do popisu. Inaczej by z niego skorzystał.

Jane odchyła się na krześle i kiwa głową. Patrzy na Andy'ego, by upewnić się, że ten też nie ma już żadnych pytań.

– Słuchajcie, drodzy koledzy i koleżanki – kontynuuje Gully. – Jeśli przyglądacie się Simonowi w sprawie zabójstwa Lauren, a pewnie powinniście, lepiej przygotujcie się na to, że będzie miał solidne alibi. Musicie być gotowi wyjść poza schemat. Myśleć w nowatorski sposób. Jak sierżant Burke słusznie zauważyła, facet jest długodystansowcem. Wszystko dokładnie planuje. To nie ten typ, który zostawi na miejscu zbrodni swoje odciski palców.

Tarkington przytakuje, uśmiecha się i mówi:

– On jest od aranżowania. Ktoś inny odwała za niego brudną robotę i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Halloween

77

Simon

Zostało dziesięć minut do dziewiętnastej. Dziesięć minut do końca zabawy w „cukierek albo psikus” i zgaszenia wszystkich świateł z wyjątkiem kilku latarni ulicznych znacznie oddalonych od tutejszych rezydencji. Grace Village pograży się w ciemności. Zabijam czas najlepiej, jak tylko mogę. Mijam dwóch nastolatków. Nie wysilili się zbytnio ze swoimi strojami. Obaj mają na sobie koszulki bejsbolowe i czapki z daszkiem. Do tego czarną farbę pod oczami. Liczą na to, że uda im się zgarnąć resztki słodyczy od mieszkańców, którzy chętnie pozbędą się nadmiaru łakoci ze swojego domu.

– O! Obama! Sztos! – mówi jeden z nich, przybijając mi piątkę. Pewnie trochę się zdziwił, że noszę rękawiczki, ale nie mam na sobie żadnego płaszcza. Tylko ten niebieski garnitur i czerwony krawat do kompletu z maską Baracka.

Zbliżając się do Thomas Street, zwalням kroku. Jestem już bardzo blisko domu Lauren. W moją stronę zmierza grupa kolejnych dzieciaków. Tym razem trzech. Jest wśród nich również jeden starszak. Jednak ostatecznie skręcają w Thomas.

Słyszę typowo halloweenową muzykę dla dzieci. Najpierw Monster Mash, a potem coś Willa Smitha, czego wcześniej nie słyshałem – kawałek zawierający motyw z *Koszmaru z ulicy Wiqzów*.

Prawie podskakuję, kiedy go zauważam. Idzie Thomas Street na wschód, w kierunku Lathrow.

Ponury Żniwiarz. Z twarzą zasłoniętą kapturem wygląda złowieszczo, ale przede wszystkim anonimowo.

Witaj, Christianie.

Piątek, piętnastego sierpnia 2003 roku. Poranek po tym, jak cię przyłapałem, Lauren.

Poranek po tym, jak przyłapałem ciebie i mojego ojca parzących się niczym króliki w jego gabinecie.

Stałem w drzwiach pokoju asystentów, który dzieliłaś z trzema innymi osobami. W środku nie tyle się gotowałem, ile wręcz płonąłem. Do tego cały się trząsałem. Czułem się pusty w środku. Wybebeszony.

Siedziałaś tam sama i przeglądałaś jakieś dokumenty. Kiedy mnie zobaczyłaś, na chwilę zamarłaś. Potem przez chwilę wydawałaś się spłoszona, wręcz zawstydzona. Skruszona.

– Jak... jak...? – powiedziałem drżącym głosem. Z emocji ścisnęło mnie w gardle.

Wtedy podniosłaś brodę do góry i w pełni opanowana odpowiedziałaś:

– Oboje jesteśmy dorośli i to była nasza wspólna decyzja. Nasz wybór, Simon.

– Ale co z... co z...

– Zamknij drzwi – powiedziałaś.

Tak też zrobiłem, a potem znów zwróciłem się w twoją stronę.

– Chyba nie masz na myśli tego jednego razu u mnie w domu – powiedziałaś.

– Dobrze się bawiłam, ale to był prezent urodzinowy. Mam nadzieję, że nie liczyłeś na to, że się pobierzemy?

I wtedy się zaśmiałaś. Drobnym chichot. Jakby to był dla ciebie żart. Jakbym ja był dla ciebie żartem.

Jak gdybym to ja był tym nierozsądnym. Nie chodziło mi o ten jeden raz u ciebie w domu. Ale tobie nawet przez myśl nie przeszło, że może chodzić o coś... o KOGOŚ innego.

– A co z... moją matką? – powiedziałem, dławiąc się własnymi słowami.

– Ach – przestałaś patrzeć mi w oczy. – Choroba twojej matki... to bardzo trudna sytuacja dla wszystkich. Rozumiem cię. Ale ty też zrozum, że nie próbuję stanąć między twoimi rodzicami. Naprawdę.

– Ale... już stanęłaś.

– Słuchaj – wstałaś z krzesła i podeszłaś do mnie. – Musisz zrozumieć, że relacja twojego taty i mamy się zmieniła. Wiesz, o co mi chodzi. Ale on nigdy jej nie zostawi. Nigdy nie przestanie się o nią troszczyć. Jestem po prostu inną częścią jego życia.

Ale ojciec zbudował sobie wspólne życie z mamą. Całe życie. Które miało trwać, póki śmierć ich nie rozłączy.

Podniosłaś rękę jak do przysięgi i powiedziałaś:

– Nigdy nie zrobię niczego, co sprawi, że twój ojciec opuści swoją żonę. Zawsze z nią będzie. Zawsze będzie się nią opiekował. Zawsze będzie ją KOCHAŁ. Nie zamierzam w to ingerować. Nigdy w życiu. Za żadne skarby.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Kompletnie mnie zatkało. Twoja reakcja najzwyczajniej w świecie nie mieściła mi się w głowie. Nie mogłem

uwierzyć, że ktoś może tak postępować. Myśleć w ten sposób. Naprawdę istnieją tacy ludzie?

Chciało mi się krzyczeć. Płakać. Zrobić ci krzywdę. Jednak nie mogłem nawet się ruszyć. Z trudnością łapałem oddech. To było jak koszmar, w którym chcesz krzyczeć, ale z twoich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Głos uwiązał mi w gardle.

Spojrzałaś na zegarek i oświadczyłaś:

– Przepraszam cię, ale Bill potrzebuje mojej pomocy przy przesłuchaniu. Jestem już spóźniona.

Wzięłaś swoje rzeczy i wyszłaś z pokoju, przechodząc tuż obok mnie. Mnie – nieruchomej statui. Głupiego, bezsilnego i bezużytecznego dzieciaka, który był tak zajęty bzdurami, że nawet nie zauważył, kiedy cały jego świat legł w gruzach.

Od tamtego dnia nie widziałem cię przez prawie dziewiętnaście lat.

Trzy miesiące później. Dzień przed Świętem Dziękczynienia. Rozmawiałem z mamą, dopóki nie zasnęła w łóżku i nie zaczęła lekko pochrapywać, leżąc na plecach.

Wtedy postanowiłem się przewietrzyć. Przed wyjściem na werandę włożyłem płaszcz i rękawiczki. Było naprawdę zimno, ale miałem to gdzieś. Po położeniu mamy do łóżka zawsze lubiłem zaczerpnąć świeżego powietrza. Zmienić na chwilę otoczenie. Nigdy nie chorowałem tak poważnie, więc nawet nie mogłem sobie wyobrazić, co musiała czuć. Jednak bardzo dobrze wiedziałem, jak to jest obserwować pogarszanie się stanu zdrowia osoby, którą się kocha. Patrzeć, jak popada w ruinę.

Od jej udaru minął już ponad rok, więc miałem czas, by nieco oswoić się z tą sytuacją. Jednak ostatnie kilka miesięcy było dla mnie trudniejsze, bo musiałem przywyknąć też do całkowicie nowego środowiska – akademickiego. W pewnym sensie rozpoczynałem nowe życie. Swoje życie. Na wielu płaszczyznach. Było pełne wyzwań, nerwów, ale i ekscytacji. Jednak niezwykle trudno było mi pogodzić się z faktem, że to wszystko działo się, podczas gdy moja mama gasła w oczach, spędzając całe dnie w domu i mając skończony wór gnoju za męża.

Na zewnątrz zaciął wiatr. Pozwalałem mu owiewać moją twarz, bawić się włosami, a nawet wchodzić pod płaszcz. I stałem tak przez jakiś czas. Z zamkniętymi oczami.

Zauważyłem ją dopiero wtedy, kiedy obróciłem się, żeby wrócić do środka. Leżała na stole, niedaleko grilla.

Pusta butelka po szampanie. A obok dwa barwione na czerwono plastikowe kieliszki. Taniocha, jaką kupuje się na piknik lub koncert.

Tyle że moja mama od czasu udaru nie piła alkoholu. Nie mogła.

Dwa kieliszki. Nie jeden. Dwa czerwone plastikowe kieliszki do szampana.

Podszedłem do nich. Gapiłem się na nie i na butelkę po szampanie Laurent-Perrier Ultra Brut. Nie miałem pojęcia, czy to jakaś droga, wyszukana marka, czy też tani sikacz. Wiedziałem tylko, że takiego alkoholu raczej nie żłopie się z kolegami.

Stałem tak i patrzyłem na butelkę oraz kieliszki na tyle długo, aż cały przemarzłem. Zacząłem się trząść z zimna.

Wtedy wszedłem na chwilę do środka i wziąłem worek na śmieci. Wróciłem na werandę. Wrzuciłem butelkę wraz z kieliszkami do worka, mając nadzieję, że moja mama ich nie widziała.

Tego wieczora nie odezwałem się do ojca ani słowem. Po prostu poszedłem do swojego pokoju i zamknąłem za sobą drzwi.

Nazajutrz było Święto Dziękczynienia.

– To tylko jedna noc – powiedział mój ojciec, wycierając naczynia, podczas gdy ja myłem już kolejne. Mama została położona do łóżka godzinę wcześniej. – Ten potencjalny klient miał naprawdę poważny wypadek.

– Kto umawia się na konsultację prawną dzień po Święcie Dziękczynienia? – zapytałem. – I kto zostaje na noc u swojego klienta?

– Przecież już ci mówiłem – brnął dalej ojciec, otwierając szafkę i wkładając do niej paterę. – Ta rodzina mieszka w Kankakee. To spory kawałek drogi.

– Gówno prawda.

Obrócił się w moją stronę.

– Coś ty do mnie powiedział, młody człowieku?

– Powiedziałem: gówno prawda. Nadal się z nią spotykasz, prawda? Obiecałeś, że nie będziesz, ale spotykasz się z nią, mam rację? Nadal jesteś z... Lauren – wypowiadając jej imię, czułem się tak, jakbym miał truciznę na języku.

– Simon...

– Tak czy nie, tato?

– Cii... – spojrział na sufit. – Mów trochę ciszej.

– Znalazłem na werandzie butelkę po szampanie i dwa kieliszki – wyplułem te słowa wyjątkowo cichym szeptem. – Wygląda na to, że zapomniałeś pozbyć się dowodów.

Zaciął się. Przypomniał sobie. Pewnie ganił się w myślach za swój błąd. Kontener na plastiki do recyklingu stoi w alejce. Późną jesienią i zimą czasem

zdarzało się nam wynosić śmieci na drugi dzień z samego rana, ale najwyraźniej ojciec zupełnie o nich zapomniał.

– Czyli co, tato, teraz przychodzi już nawet do naszego domu? Zakrada się tutaj, kiedy mama śpi, a ja jestem do późna na uczelni? Co jeszcze, do kurwy nędzy, robisz tu z Lauren, kiedy mama na górze...

– Posłuchaj mnie...

– Tak czy nie? – podniosłem nieco głos, na czym od razu się złapałem. Nie potrzebowałem uciszającego gestu ręką, który skutecznił mój ojciec. Nie chciałem, żeby mama słyszała. Nie mogłem jej tego zrobić.

Trzy minuty do dziewiętnastej. Trzy minuty do zgaszenia świateł w Grace Village.

Christian nieco zwalnia kroku, gdy zbliża się do domu Lauren w swoim kostiumie Ponurego Żniwiarza. W pasie ma przewiązany sznur. Kilkukrotnie. Sznur? Nie było go w zestawie z kostiumem. Po co mu ten sznur?

Muszę przyznać, że wygląda w tym kostiumie zdecydowanie lepiej ode mnie. U mnie długa szata ciągnie się po ziemi. Co prawda nie w tej chwili. Na razie mój kostium leży schowany w poszewce na poduszkę, którą mam przy sobie. Christian jest wyższy, więc jego szata kończy się akurat w miejscu, w którym zaczynają się buty marki Paul Roy Peak Explorer.

Ach Christianie, Christianie... muszę przyznać, że ty i Vicky wymyśliście całkiem niezły plan, żeby mnie zrobić. Ale widzisz, jest jeden problem. Jak to powiedział mi kiedyś pewien mędrzec: „Jeśli chcesz kogoś zrobić, upewnij się najpierw, że zrobisz mu w ten sposób niespodziankę”.

Właśnie idzie chodnikiem, a później znika pod zadaszeniem jej domu. Zapewni mu odrobinę prywatności, kiedy zadzwoni dzwonkiem i Lauren otworzy mu drzwi.

Spręż się, Christian. Nie każ mi czekać za długo.

Kiedy wszystkie naczynia były już pozmywane i wytarte, ojciec usiadł w salonie z łokciami opartymi o kolana. Wlepił wzrok w kieliszek burbonu. Wszystko, żeby tylko nie spojrzeć mi w oczy, gdy tak stałem przed nim przy kominku.

– Słuchaj... są pewne rzeczy, których tak młody mężczyzna jak ty może nie doceniać – powiedział. – Twoja mama i ja... nasz związek... Wciąż kocham twoją matkę, Simon. I zawsze będę. Zawsze będę.

– Ale Lauren cię pieprzy.

– Hej, słuchaj.

Podniosłem brwi. Nigdy wcześniej nie odzywałem się do mojego ojca w ten sposób, ale tym razem nie miałem najmniejszego zamiaru być „tym mądrzejszym”.

– OK, słucham. Ale właśnie o to chodzi, prawda? Mama jest na wózku, a ty masz teraz kupę kasy, zrzuciłeś dwadzieścia funtów... nawet fryzurę zmieniłeś. Nowy, odchudzony i odpicowany Ted Dobias. Mama niespecjalnie pasuje do twojego nowego stylu życia, co nie? Chcesz się zabawić. A z Lauren bawisz się świetnie. W to nie wątpię.

Dotknął ręką twarzy i powiedział:

– Zawsze potrafiłeś przedstawić mnie w jak najgorszym świetle.

– Och, to nie takie trudne, tato. Uwierz mi – wtedy wstałem. – To musi się skończyć. Ty i Lauren. To musi się skończyć. Teraz.

– Nic z tego, synu – w tej kwestii był bardzo stanowczy.

Podszedłem do niego. Pamiętam, że wargi mi się trzęsły, kiedy zapytałem:

– Zamierzasz zostawić mamę? Teraz, kiedy nie jest w stanie...

– Nie, nie, nie... nic z tych rzeczy – machnął na mnie ręką. – Nie zostawię twojej matki. Nigdy bym tego nie zrobił.

– Ale nie przestaniesz spotykać się z Lauren.

Przez chwilę nic nie mówił, a potem zamknął oczy i pokiwał głową ze słowami:

– Zgadza się. To mój wybór. Nie twój, Simon. Przykro mi, ale taka jest moja decyzja i w tej kwestii nie masz nic do powiedzenia.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Mogłem czymś rzucić, rozbić coś... ale co by to dało? Mogłem walnąć go w twarz tak, by zobaczył gwiazdy przed oczami, ale jak bym wytłumaczył to mamie?

Mamie. Kobiecie, która zawsze troszczyła się o mnie. O nas.

– I chyba oboje jesteśmy zgodni co do jednego: lepiej, żeby twoja matka o tym nie wiedziała – powiedział ojciec.

Nie powiedziałem jej. Ze względu na stan, w którym się wtedy znajdowała, wolałem wszystko przed nią ukrywać. Bałem się, że to przelałoby czarę goryczy. Kompletnie ją zniszczyło. Nie mogłem tego zrobić. Nie mogłem jej powiedzieć.

Wprawdzie nie pomogłem Lauren Lemoyne wtargnąć do małżeństwa moich rodziców, ale swoim milczeniem pozwoliłem jej w nim pozostać. Stałem się współwinny.

Po tej rozmowie nie poruszaliśmy więcej tematu Lauren. W ciągu dnia byłem na uczelni, a mamą w tym czasie opiekowała się Edie. Nigdy nie komentowałem późnych lub niezapowiedzianych „spotkań” i „konsultacji” ojca, nawet tych w soboty lub w Wigilię. Mama też nie.

Czy wiedziała, co się dzieje? W końcu była najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałem, wybitną specjalistką z ostrym jak brzytwa prawniczym umysłem. Czy pomimo otepienia poudarowego wiedziała, co robi jej mąż? Jeśli nawet, to nic nie powiedziała. Ja też nie.

Podobnie ojciec, aż do tamtego dnia. To było prawie rok później, pod koniec października 2004. Ojciec wrócił do domu z płaczem, pełen rozpacz i wstydu. Przyznał się wtedy do tego, że uczynił Lauren współwłaścicielką konta, na którym trzymał wszystkie pieniądze. I rzecz jasna ta kasa zniknęła.

– Powiedziała, że czuje się jak piąte koło u wozu – wykrztusił przez łyżę. – I chce poczuć, że mamy coś wspólnego.

I tym czymś musiało być konto bankowe? Dostęp do wszystkich naszych pieniędzy?

Ale tak to już jest z osobami, które się kocha. Ufa się im. Ufa się im aż do momentu, w którym nadużyją tego zaufania. Dopóki cię nie zdradzą.

A wtedy reagujesz. Reagujesz tak, jak zostałeś zaprogramowany.

– Wesołego Halloween!

Cóż, przesadą byłoby stwierdzenie, że wszyscy w Grace Village równo o dziewiętnastej wychodzą przed swoje domy, by pożegnać dzieci zbierające cukierki, ale wiele osób rzeczywiście to robi.

A w kwestii oświetlenia panuje jeszcze większa zgodność. W ciągu sekundy lub dwóch praktycznie wszystkie zewnętrzne światła zostają zgaszone. Village pogrąża się w niemal całkowitej ciemności. Jedyne na skrzyżowaniach ulic znajdują się nieliczne lampy uliczne, dające naprawdę znikome światło.

Niestety, dom Lauren jest tu wyjątkiem od reguły. Zewnętrzne światła wciąż są włączone. Co się stało? Co się tam dzieje?

Idę Lathrow po drugiej stronie ulicy. W swoim prezydenckim kostiumie staram się zachowywać na luzie. Patrząc na prawo. Drzwi do domu Lauren są zamknięte, ale światła na zewnątrz wciąż nie gasną.

Co się tam dzieje?

Zwalniam tempo, jak tylko mogę. Widoczność jest słaba, ale to akurat działa na moją korzyść. Dzięki kontrastowi z zapalonymi światłami domu Lauren mogę spokojnie kryć się w ciemności. Zastanawiam się, jak długo będę mógł przechadzać się tą ulicą, nie zwracając na siebie uwagi.

Światła przed domem Lauren wreszcie gasną, pogrążając zewnętrzną część domu w całkowitych ciemnościach.

Nagle moim oczom ukazuje się szerokie pasmo światła – czyżby otworzyły się frontowe drzwi? – które jednak znika prawie tak szybko, jak się pojawiło.

Christian wyłania się spod zadaszenia i idzie zwawym krokiem w stronę chodnika. Na północ. W przeciwnym kierunku do mojego. Idzie zdecydowanie za szybko. Powinien zwolnić. Wygląda zbyt podejrzanie.

Jednak to miałyby znaczenie tylko wtedy, gdyby ktoś zwrócił na niego uwagę, a prawdopodobnie tak się nie stało i nie stanie. Każdy, kto zdecydował się na późne zbieranie cukierków w tej okolicy, opuszczał właśnie Grace Village, a zarówno ja, jak i Christian wyglądamy właśnie na takie osoby.

Obracam się i też idę na północ, tylko po to, by jeszcze raz zerknąć na jej dom. Światło w domu zgaszone. To dobrze. Drzwi frontowe zamknięte. Też dobrze. Ciekawe, czy mają samozamykający zamek? Trudno powiedzieć. Nigdy nie byłem w tym domu.

Robię długi wydech i idę dalej. Nie zatrzymuję się.

Dziękuję, Christianie. Nawet pomimo tego, że nie wiesz, komu właśnie wyświadczyłeś przysługę.

Dni po Halloween

78
Jane

– Dzięki wielkie, Dee. Będę ci za to wisieć przysługę.

– Drobiazg. Zależy wam na czasie, więc przejdźmy do rzeczy – to mówiąc, agentka specjalna Dee Meadows wprowadza Jane Burke i Andy’ego Tate’a do sali konferencyjnej mieszczącej się w biurze terenowym FBI.

– Często macie do czynienia z CSLI?

– Niespecjalnie mamy ku temu okazję – mówi Jane. – Ale rozumiemy istotę. Telefon przesyła sygnał, który łączy się z daną wieżą komórkową, najczęściej tą najbliższą. Wieża rejestruje fakt połączenia i dokładny czas, w którym do niego doszło. Co do sekundy. Dzięki temu możemy prześledzić przemieszczanie się telefonu. A więc i jego właściciela. Firma telekomunikacyjna przekazała nam historię lokalizacji różowej jednorazówki Lauren Betancourt i telefonu, którego używał jej rozmówca. Dostarczyliśmy ją wam do analizy.

– W sumie się zgadza – odpowiada Dee.

Dee Meadows siedzi teraz głównie w kryminalistyce, ale swego czasu pracowała z matką Jane w terenie.

– Więc po pierwsze – mówi Meadows – porozmawiajmy o ich komunikacji, z pominięciem Halloween, ponieważ ten jeden dzień znacznie różni się od pozostałych.

– Jasne.

– OK, poza Halloween: te dwie jednorazówki kontaktowały się tylko ze sobą. Z żadnym innym numerem – mówi Meadows. – Ani razu.

– Rozumiem.

– I, jak doskonale wiesz, ich komunikacja była starannie zaplanowana. Przebiegała według pewnego schematu. Wymiana esemesów miała miejsce o dziesiątej rano od poniedziałku do piątku oraz o dwudziestej od poniedziałku do czwartku. W piątkowy wieczór oraz w weekendy robili sobie wolne.

– Tak, zgadza się.

– I przez resztę czasu ich telefony pozostawały wyłączone.

– O, a to ciekawe – mówi Jane. – Tego nie wiedziałam.

– Nie mogłaś wiedzieć bez spojrzenia na CSLI. Ich telefony nie przesyłały żadnych sygnałów poza tymi konkretnymi godzinami. Wygląda to na klasyczny przypadek dwóch osób w związku małżeńskim, które bardzo nie chcą, żeby ich romans się wydał.

– Wiemy, że Lauren miała męża, ale nic nam nie wiadomo o mężczyźnie, z którym pisała, Dee.

– Słuszna uwaga – mówi Meadows. – Kolejną ważną kwestią jest fakt, że Lauren za każdym razem pisała ze swojego domu. Jeśli natomiast chodzi o drugi telefon, pomijając oczywiście Halloween...

– Tak, pomijamy na razie Halloween.

– Tak więc, pomijając Halloween, wygląda na to, że rozmówca Lauren wysyłał esemesy z dwóch różnych lokalizacji: jednej rano, a drugiej wieczorem. Obie znajdują się w Chicago. Więc skupmy się na chwilę właśnie na nich –

Meadows zaczyna klikać na swoim laptopie. – Ale żeby było jasne... mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z tego, że na podstawie CSLI nie określacie lokalizacji z nie wiadomo jak dużą dokładnością, prawda?

– Tak, mamy tego świadomość. Wieża odbiera sygnały z pewnego obszaru. Im więcej wież w okolicy, tym mniejszy obszar obsługują.

– No właśnie. Na wsi CSLI może się okazać niespecjalnie pomocne. Jednak w tym wypadku mamy więcej szczęścia, bo mówimy o dużym mieście z licznymi wieżami. Stąd określenie położenia telefonu będzie precyzyjniejsze. OK, wracając do głównego wątku... już powiedziałam wam, że Lauren wszystkie esemesy wysyłała ze swojego domu. A raczej, wyrażając się nieco bardziej precyzyjnie, z domu lub jego bliskiej okolicy.

– Racja – mówi Jane. – Mogła być na przykład na podjeździe.

– Kurde, mogła być spokojnie nawet parę domów dalej i wciąż sygnał z jej telefonu łączyłby się z tą samą wieżą w Grace Village. Ale tak, wszystkie esemesy Lauren łączyły się z tą samą wieżą. Stąd nie musimy tego oglądać. Chcę wam natomiast pokazać aktywność drugiego telefonu. Czy może jak wolicie: telefonu sprawcy.

Agentka Meadows gasi światło i wraca do swojego laptopa. Na białym ekranie projekcyjnym w sali konferencyjnej pojawia się obraz, przedstawiający fotomapę z setkami niebieskich kropek i kilkoma grubymi czerwonymi kółkami.

– To obszar w pobliżu Clark i Lake – mówi Meadows. – W przypadku wszystkich wiadomości wysyłanych o dziesiątej rano jednorazówka łączyła się z jedną z dwóch wież. Jedna znajduje się bezpośrednio przy Clark i Lake, a druga na Dearborn, pomiędzy Washington i Randolph. To są obszary o dużym zagęszczeniu.

– Dużo sporych obiektów komercyjnych – mówi Andy Tate.

– Daj mi jeszcze chwilę. Zaraz do tego przejdę – mówi. – Każda stacja bazowa ma swoje anteny sektorowe. W przypadku Clark i Lake sygnał łączył się z anteną na południowym-wschodzie, a jeśli chodzi o Dearborn, była to antena północno-zachodnia. To znacznie zawęża nasz obszar poszukiwań.

– Do obszaru ze sporymi obiektami komercyjnymi?

– Tak właściwie... to nie – mówi Meadows. – Spójrzcie, proszę, na budynki w tych sektorach. Mamy na przykład Daley Center. Sędziowie, prokuratorzy... takie klimaty. Jest też Thompson Center ze swoimi pracownikami rządowymi i ratusz – Meadows patrzy na Jane. – To pasuje do profilu twojego nieznanego sprawcy, prawda? Pracownik rządowy? Mówiłaś, że masz pewną hipotezę roboczą, według której sprawca jest przy forsie, zgadza się?

– Tak jak powiedziałaś, to tylko hipoteza – mówi Jane.

A raczej tak zakłada żona Conrada, Cassandra – że Lauren szukała kolejnego bogacza w miejsce tego, który się z nią rozwodził.

– No dobra, tu mamy kilka budynków rządowych, a w tym sektorze stoi ogromny parking. Myślisz, że to prawdopodobne, żeby sprawca pisał z niego o dziesiątej rano w dzień powszedni?

– Raczej nie – mówi Jane. – Przypuszczam, że pisał z pracy, ale... no właśnie, to tylko przypuszczenie.

– Ale całkiem niezłe – mówi Meadows. – Więc jeśli ktoś jest dziany i jednocześnie pracuje w tym sektorze, to prawdopodobnie właśnie w tym budynku – wskazuje na miejsce na rogu Clark i Randolph. – Czterdzieści... może pięćdziesiąt pięter. Mnóstwo firm z prywatnego sektora, zajmujących się między innymi usługami pożyczkowymi i prawnymi. Białe kołnierzyki. Raczej przy kasie.

Jane patrzy na mapę i mówi:

– Grant Thornton Tower.

– Taa.. tak się teraz nazywa – mówi Meadows. – Ale ja jestem kobietą starej daty i wciąż lubię myśleć o nim jako o Chicago Title & Trust Building.

Meadows przechodzi do kolejnego miejsca.

– A stąd były wysyłane wiadomości o dwudziestej. To jest obszar Bucktown/Wicker Park. No wiesz, przy tym sześciowłotowym skrzyżowaniu North, Damen i Milwaukee.

– Znam je aż za dobrze – mówi Jane. – Często tam bywałam. Za młodu, oczywiście.

Meadows puszcza do niej oko i kontynuuje:

– Tutaj ponownie, jak spojrzemy na sektory wież, to zobaczymy, że sprawca znajdował się w tej okolicy – Meadows kreśli palcem kółko na ekranie

projekcyjnym. – Czyli Damen lub Winchester.

– A co tam jest? – pyta Jane, zerkając na mapę.

– Na Winchester lokale mieszkalne. Apartamenty – mówi Meadows. – A na Damen różne obiekty komercyjne. Między innymi sklep AT&T, Nike, Lululemon, pizzeria i restauracja o nazwie Viva Mediterránea, którą zresztą bardzo polecam. Świetne martini.

Jane była w Vivie, ale nie z powodu martini, tylko faceta. Jak się później okazało, niesłusznie. Martini było zdecydowanie lepsze.

– Ale raczej nie pisałby codziennie ze sklepu Nike, Lululemon czy też Vivy. Najprawdopodobniej – mówi Meadows – po prostu mieszkał w Wicker Park. Najpewniej tutaj, na North Winchester.

– Tak byś obstawiała?

– Zdecydowanie – odpowiada Meadows. – Szczególnie że właśnie tam udał się po zabójstwie.

Jane pochyla się do przodu i zaczyna mówić:

– CSLI...

– Sprawca pisze do niej w noc zabójstwa, w Halloween, tak?

– Tak.

– Stojąc przed jej domem, zgadza się?

– Zgadza się.

– Potem przestaje pisać. Zakładamy, że w tym czasie jest w domu ofiary.

– Dokładnie.

– Jest w domu, zabija ją, a potem wychodzi. Tylko tym razem nie wyłącza swojego telefonu.

– I co potem?

– Jak dobrze wiesz – mówi Meadows – twoja komórka pozostanie aktywna, nawet jeśli nie piszesz na niej esemesów ani nie dzwonisz. Będzie się odświeżać, aktualizować.

– Czyli po zabójstwie sprawca nie wyłączył swojej jednorazówki i możemy prześledzić jego dalsze kroki?

– Dokładnie tak. Gdy wyizolujemy trzydziesty pierwszy października, tworzy nam się tutaj bardzo ładna, wyraźna trasa.

Agentka Meadows gmera przy swoim komputerze i wyświetla CSLI z Halloween. Jane wstaje i wpatruje się w miejsca, gdzie doszło do połączenia się sygnału z konkretną wieżą oraz obszar, który obejmuje dana stacja bazowa.

– Wszystko wskazuje na to – mówi agentka Meadows – że udał się na wschód od domu Lauren, przeszedł przez jakiś park, by dostać się do Harlem Avenue. Stamtąd pojechał aż do skrzyżowania North, Damen i Milwaukee i dalej przeszedł się spacerkiem do swojego domu w Wicker Park.

Jane patrzy na swojego partnera i mówi:

- Pewnie złapał taksówkę.
- Albo zaparkował tam samochód – mówi Andy.
- Niby tak, ale dość trudno zaparkować tam auto – zauważa Jane. – Założę się, że pojechał taksówką albo Uberem.
- A to by znaczyło, że będzie można namierzyć ten pojazd – zauważa Andy.
- Zajmę się tym.
- Tak czy inaczej, sprawca wraca do domu, gdzieś w Wicker Park, w pobliżu tego sześciowylotowego skrzyżowania. Wtedy wysła swojego ostatniego esemesa – mówi Jane. – Tak zwany list pożegnalny.

Jane patrzy na zapis wiadomości, którą Lauren otrzymała już po swojej śmierci:

PON., 31 PAŹ., 22:47

Przepraszam, Lauren. Jest mi przykro. Z powodu tego, co zrobiłem. Z powodu tego, że mnie nie kochałaś. Ale nie zamierzam przeproszać za to, że Kocham cię jak nikt inny. Idę do ciebie. Mam nadzieję, że przyjmiesz mnie z otwartymi ramionami i pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie Kochanym na tym świecie.

- Zrobił to o dwudziestej drugiej czterdzieści siedem – mówi Jane.
- To ma sens – mówi agentka Meadows, która nie otrzymała zapisu wiadomości tekstowych, a jedynie historię lokalizacji. – Wtedy po raz ostatni sygnał z telefonu połączył się z wieżą. Po dwudziestej drugiej czterdzieści siedem nie mamy już żadnych danych.
- Czyli wyłączył telefon – Jane patrzy na Andy’ego – a potem... się zabił? Andy wzrusza ramionami.
- Nie bardzo rozumiem, po co w takich okolicznościach miałyby wyłączać komórkę – kontynuuje Jane. – Co? Oszczędzał baterię?
- Na razie nie wiemy nawet, czy faktycznie się zabił – zauważa Andy. – Spróbujmy się tego dowiedzieć.

– Jaki masz problem z tą sprawą? – pyta Andy, gdy razem z Jane opuszczają biuro terenowe FBI.

Jane potrząsa głową.

- Wiesz, jaki mam problem. To wszystko jest jakieś takie dziwne.
- Co w tym takiego dziwnego?
- Czemu Lauren wyłączyła swój telefon w domu nawet po wyprowadzce Conrada? Dopóki tam mieszkał, OK, ale później? Przecież nie miała się już

przed kim kryć.

– Może myślała przyszłościowo. Pod kątem rozwodu – mówi Andy. – Może obawiała się, że Conrad będzie grał nieczysto i wynajmie prywatnego detektywa, który namierzy w jakiś sposób jej telefon.

– Telefon, o którego istnieniu Conrad nie miał nawet pojęcia?

– Kurde, Janey, nie wiem. To nie jest wcale aż takie dziwne, OK? Ludzie mający romans potrafią wpaść w niezłą paranoję, prawda?

Jane milknie. Oczywiście, można na to wszystko spojrzeć w ten sposób. Tłumaczyć tak, jak robi to Andy.

– Myślisz o Simonie Dobiasie – mówi Andy. – I o tym wszystkim, co dziś o nim usłyszeliśmy. O tym, jak manipuluje ludźmi i zaciera po sobie ślady.

– Noo... tak – docierają do samochodu. Andy siada na miejscu kierowcy. Jane nie lubi prowadzić podczas snucia swoich teorii. – Nie wydaje ci się, że to wszystko jest jakieś takie wyreżyserowane? Zbyt oczywiste? Nie masz takiego wrażenia? Chociażby te lokalizacje... za każdym razem te same. Tak jakby nigdzie indziej nie chodzili.

– No to jaka jest twoja teoria? – pyta Andy. – Załóżmy, że to Simon Dobias stoi za tym wszystkim. Myślisz, że jeździłby codziennie rano do pracy jakiegoś innego typu, żeby pisać esemesy? A potem, wieczorem, do jego domu?

– Pamiętaj, że wcale nie musiał być w jego domu – podkreśla Jane. – Wystarczyło, że był w okolicy, prawda? Mógł pisać spod jego domu, a nawet pobliskiego lokalu i wciąż sygnał łączyłby się z tą samą wieżą. Tak jak powiedziała Dee.

– OK, ale wciąż... to takie upierdliwe. Tyle trudu...

– No właśnie. Między innymi dlatego mógł chcieć go sobie zadać. Żebyśmy tak myśleli.

– Kurde, Janey, możemy się tak bawić cały dzień, ale wtedy daleko nie zajdziemy. W ten sposób zbijesz każdy argument świadczący o jego niewinności: „On chce, żebyśmy właśnie tak myśleli”, albo „Tak to upozorował” i tym podobne. Wiesz, o co chodzi. Poza tym, czy on... w ogóle zna się na tych rzeczach?

– Nie wiem, Andy, ale wielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że ich telefony wysyłają sygnały, które łączą się z wieżami.

– OK, ale czy wiedzą, że te informacje są zapisywane z dokładnością co do sekundy? I czy wiedzą, że historia lokalizacji jest przechowywana przez lata i możemy uzyskać do niej dostęp?

– Nieważne, jak wielu ludzi to wie. Pytanie tylko, czy Simon Dobias jest tego świadom? – zauważa Jane. – I mogę się założyć, że odpowiedź na to pytanie brzmi: „tak”.

79 Simon

– Szczęśliwej środy i witajcie w listopadzie! – mówię do znajdujących się na sali studentów. – Mam nadzieję, że miło spędziliście Halloween i wczoraj mieliście odrobinę luzu. A teraz przejdźmy do konkretów. Carpenter przeciwko Stanom Zjednoczonym... sprawa, którą najlepiej można podsumować w następujący sposób: o-rany-to-straszne-co-rząd-może-z-nami-zrobić.

Mój tekst rozwesela kilka osób. Staram się, żeby było w miarę lekko i przyjemnie.

– Telefony komórkowe – mówię – od dawna nie służą nam już tylko do dzwonienia i wysyłania esemesów. Ba! To nie tylko małe komputery umożliwiające korzystanie z internetu, Spotify i mierzenie liczby przebytych kroków. Komórki służą obecnie również jako urządzenia szpiegujące, o czym nieszczęsny pan Carpenter miał okazję się przekonać. Telefony komórkowe pozwalają na śledzenie naszych niedawnych ruchów, ale też tych sprzed lat. Te ustrojstwa działają nawet wtedy, kiedy ich nie używacie. Chociażby po to, by mogły odebrać wasze wiadomości. Zawsze łączą się z najbliższą wieżą, która przechowuje informację o takowym połączeniu z dokładnością co do sekundy. Jeśli rząd ma wasz numer telefonu, może pozyskać takie historyczne dane dotyczące lokalizacji – CSLI – i odtworzyć wasze kroki. Może dowiedzieć się nie tylko o wszystkich wykonanych przez was telefonach lub wysłanych esemesach, ale też o miejscach, w których w danym czasie byliście. W skrócie: rząd może was inwigilować, prześledzić z całkiem niezłą dokładnością, gdzie byliście i kiedy tam byliście. Chyba że wyłączycie telefon. Tylko kto w dzisiejszych czasach to robi? A jeśli nawet, to na jak długo?

(Niektórzy. Czasami. Niektórzy czasami to robią).

– W tej sprawie podejrzewano pana Carpentera o dokonanie serii sklepowych kradzieży w ciągu czterech miesięcy. Uzyskano dostęp do CSLI jego telefonu z tego okresu. Prawie trzysta tysięcy punktów lokalizacyjnych – mniej więcej sto dziennie – pozwoliło powiązać pana Carpentera z czterema kradzieżami. Okazało się, że był na miejscu lub bardzo blisko miejsca ich dokonania. Oczywiście w czasie, kiedy doszło do kradzieży. Jednak w związku z tą sprawą zrodziło się następujące pytanie: czy pozyskanie przez rząd tak cennych i jednocześnie prywatnych danych – jak historia lokalizacji telefonu bez nakazu – jest zgodne z czwartą poprawką?

Po zajęciach wracam do swojego gabinetu. Otwieram dzisiejsze „Chicago Tribune” i po raz kolejny czytam artykuł na stronie trzeciej:

POLICJA BADA OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI MIESZKANKI GRACE VILLAGE

We wtorek rano żona prominentnego inwestora funduszy hedgingowych została znaleziona martwa w swoim domu w Grace Village. Choć okoliczności śmierci wskazują na to, że doszło do „czynu przestępnego”, komendant policji w Grace Village, Raymond Carlyle twierdzi, że nie ma żadnego powodu, by sądzić, że istnieje jakiegokolwiek zagrożenie dla pozostałych mieszkańców.

Zakład medycyny sądowej hrabstwa Cook zidentyfikował ofiarę. Jest nią Lauren Lemoyne Betancourt, lat trzydzieści dziewięć, która mieszkała z mężem Conradem – lat pięćdziesiąt cztery – przy Lathrow Avenue. Para nie miała wspólnych dzieci.

Komendant Carlyle przekazał informację, że policję wezwano do domu we wtorek około siódmej trzydzieści rano, po tym jak Lauren Lemoyne Betancourt została znaleziona martwa przez osobę, która przyszła posprzątać rezydencję.

„Na podstawie wstępnych informacji zebranych na miejscu zdarzenia można wnioskować, iż doszło do czynu przestępnego” – twierdzi komendant Carlyle w pisemnym oświadczeniu wydanym przez Village. – „Wygląda na to, że żadne z odniesionych przez ofiarę obrażeń nie powstało na skutek jej własnego działania”.

Nie powstało na skutek jej własnego działania? Zależy, jak na to spojrzeć.

Zabieram gazetę ze sobą na korytarz, by wyrzucić ją do najbliższego kosza na śmieci. Czuję się trochę źle z faktem, że jej nie posortowałem, ale zdarzało mi się robić w życiu gorsze rzeczy.

Tak bardzo mnie korci, żeby poszperać w internecie i dowiedzieć się czegoś o nowych ustaleniach w śledztwie. Tak. Czytałem dzisiejszą poranną gazetę, ale artykuł w niej zamieszczony trudno nazwać aktualnym. W końcu był pisany wczoraj w nocy. Teraz jest późne popołudnie. Środa. Mogę jedynie spróbować wyobrazić sobie, co od tamtej pory udało im się znaleźć.

Ale nie, muszę się powstrzymać. Nie mogę czytać o tej sprawie w sieci. W końcu wcale nie tak trudno sprawdzić, jakie strony przeglądałem na komputerze lub telefonie. Gdyby, oczywiście, ktoś był zainteresowany. Na przykład policja.

Jestem więc skazany na archaiczne źródło informacji, jakim są gazety, mając pełną świadomość tego, że informacje w nich zawarte są tak „świeże” jak chleb sprzed miesiąca.

Nagle moja komórka zaczyna bzyczeć. Nie rozpoznaję tego numeru.

– Halo, tu Simon.

– Simon? Z tej strony sierżant Jane Burke. Jestem funkcjonariuszem...

– Jane Burke? Z Grace Consolidated?

– ...policji.

Wszedłem jej w słowo. Wiem, kim jest i gdzie pracuje. Nie wiedziałem, że przydzielą jej tę sprawę, ale liczyłem się z taką ewentualnością. Zasoby ludzkie policji w Grace Village są mocno ograniczone.

– Jane Burke z Grace Consolidated? Jesteśmy z tego samego rocznika, prawda?

– Tak, zgadza się.

– Przepraszam, wszedłem ci w słowo. Powiedziałaś, że jesteś sierżantem?

– Tak, jestem sierżantem i pracuję w Komendzie Policji w Grace Village. Czy moglibyśmy spotkać się na rozmowę?

– Jasne, ale czy... to będzie dla ciebie spotkanie służbowe?

– Tak.

– OK... a czy mogłabyś mi powiedzieć w jakiej sprawie?

– Cóż, jeśli można, wolałabym to omówić w cztery oczy.

No tak. Chce zobaczyć moją reakcję, kiedy powie mi o zabójstwie Lauren Betancourt.

– Aha, OK.

– Czy mogłabym wpaść do ciebie dziś wieczorem? Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne, nie ma sprawy. Nie mam planów na wieczór – odpowiadam. – Powiedz mi tylko o której.

Halloween

80 Simon

Idę na północ. Dwie przecznice od domu Lauren. Mniej więcej odwzorowując trasę Christiana sprzed kilku minut. Jednak on szedł dość szybko. Ja staram się naśladować spokojne i wyważone ruchy byłego prezydenta, którego maskę mam na sobie. Robi się coraz chłodniej. Odczuwam dotkliwie zimno, będąc tylko w garniturze. Bez płaszcza. Dobrze, że mam na sobie chociaż maskę Obamy przykrywającą całą twarz. Dzięki niej jest mi ciepło w głowę.

Docieram do szkoły podstawowej, nasłuchując i często oglądając się za siebie. Nie chcę przeoczyć radiowozu lub dźwięku policyjnych syren. Jednak na razie cisza. Albo policja zjawi się tu dość szybko, albo wcale.

Idę na tyły szkoły i zatrzymuję się za śmietnikiem, by nie było mnie widać z ulicy. Czekam cierpliwie. Musi upłynąć trochę czasu. Pozwalam mu na to. Pozwalam mu płynąć. Byle minął szybko. Inaczej zwariuję.

Głęboki oddech. Głęboki oddech, Simon.

Rozmarzać to homograf. W zależności od tego, jak go czytamy, może znaczyć dwie różne rzeczy: pobudzać do marzenia lub roztopiać się.

Płaz to zwierzę, ale i płaska strona chociażby miecza – stąd coś może ująć komuś płazem. Czasem w swojej wspaniałomyślności jesteśmy też gotowi daną rzecz puścić płazem.

Skaczę w miejscu, by się ogrzać i zachować spokój. Już nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się skończy, ale wolę się nie rozmarzać, że ujdzie mi to płazem.

Głęboki oddech.

Dziesięć minut do dwudziestej. Wyjmuję kostium Ponurego Żniwiarza z mojej poszewki na poduszkę, czy też, jak kto woli, „torby na słodycze”. Trochę się z nim siłuję. Nie jest łatwo przełożyć go przez głowę bez zdejmowania maski Obamy. Ale tak, zamierzam użyć podwójnego zabezpieczenia. Kaptur Ponurego Żniwiarza jest na tyle długi, że i tak nie muszę się obawiać o brak anonimowości, ale jeśli nawet ktoś dojrzałby pod nim jakąś twarz, będzie to oblicze pierwszego afroamerykańskiego prezydenta.

Jest mi naprawdę cholernie zimno. W końcu stoję tak już od pół godziny, a dzisiejsza noc do najcieplejszych nie należy. Kostium zapewnia mi więc potrzebne ciepło.

I tutaj zaczyna się ryzyko. I zabawa. Ostatecznie kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. A ja jestem już tak blisko. Zaszedłem zbyt daleko, żeby teraz się wycofać.

Od początku powtarzam sobie, że jeśli mnie złapią, to trudno. Celem numer jeden jest Lauren. I wygląda na to, że Christian go dla mnie załatwił. A cel numer dwa? Postarać się, żeby uszło mi to płazem. Muszę jednak liczyć się z ewentualnością, że tak się nie stanie.

Znów idę w stronę domu Lauren. Gdy jestem już bardzo blisko, stoję za dużym drzewem. Minęła godzina, odkąd Christian opuścił rezydencję Betancourtów. Nigdzie nie ma policji, więc najwyraźniej nikt nic nie widział ani nie słyszał. A przynajmniej niczego nie zgłosił.

Dom, obok którego stoję, ma włączone światła na parterze, a te na piętrze pozostają zgaszone. Więc teoretycznie ktoś mógłby mnie zobaczyć. Tylko co ja takiego złego robię? Nic. Co nie znaczy, że mam ochotę na bliskie spotkanie trzeciego stopnia z policją. Wręcz przeciwnie.

Nadszedł ten moment. Chwila, w której jestem najbardziej na widoku.

Raz kozie śmierć.

Przechodzę na drugą stronę ulicy w stronę domu Lauren. A konkretnie jej okien i krzaków. Nie zwalniam tempa. Staram się zachowywać naturalnie. Na ile to oczywiście możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie włożę komuś na posesję w kostiumie Ponurego Żniwiarza. Staram się wyglądać tak, jakbym wcale się nie skradał, tylko miał wszelkie prawo tam być.

Stoję przy oknie i zaglądam do środka. Pozwalam swoim butom Paul Roy Peak Explorer mocno wgrzyźć się w miękką ziemię. Myślę, że po dzisiejszym krótkim deszczu można nazwać ją błotem. Macham, jakbym starał się zwrócić uwagę kogoś w środku domu Lauren. Robię to na wypadek, gdyby właśnie obserwował mnie jakiś sąsiad. Chcę, by pomyślał sobie, że jestem przyjacielem, może trochę dziwnym, ale nieszkodliwym, a nie podglądaczem.

Serce wali mi jak szalone. Oddycham płytko. Czuję się tak, jakbym był na świeczniku. Wskazuję na drzwi wejściowe, jakbym prosił przez okno o wpuszczenie mnie do środka. Znów może się to wydawać dziwne, ale postronny obserwator zapewne odniósłby wrażenie, że nawiązałem przez okno kontakt z Lauren. Jestem przyjaznym dziwakiem, a nie zbokiem-kryminalistą.

Potem unoszę kciuki do góry, jakby Lauren zgodziła się mnie wpuścić frontowymi drzwiami.

Co pomyślałby sobie w takiej sytuacji wścibski sąsiad? Prawdopodobnie nie założyłby, że dzieje się tu coś podejrzanego. Nie na tyle, by wzywać policję. W końcu macham do niej. Komunikuję się z nią za pomocą gestów. Prawda?

Idę pewnym siebie krokiem w stronę ceglanego zadaszania, które swoją drogą jest jak dar od losu. Pięknie chroni przed ciekawskimi spojrzeniami z każdej strony. W tej chwili nikt nie może mnie zobaczyć.

Przyciskam stopę do drzwi frontowych. Mocno, ale cicho. A przynajmniej taką mam nadzieję, bo teraz głowa pulsuje mi na tyle mocno, że nie słyszałbym nawet dźwięku tłuczonych talerzy.

Powtarzam tę czynność raz jeszcze. Miętko, ale stanowczo przykładam but do drzwi. Wzór podeszwy jest pięknie widoczny. Paul Roy Peak Explorer. Bez dwóch zdań. Rozmiar 47.

A teraz czas wejść do środka.

Czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz? Czy Christian zostawił je otwarte? Czy z reguły są zamknięte? Nie mam pojęcia. W razie czego wejdę oknem. Tym kuchennym, które cały czas jest otwarte. Jednak wolałbym wejść od frontu z oczywistych względów.

Krople potu wpadają mi do oczu. Moje ciało płonie. Kładę swoją dłoń w rękawiczce na klamce i...

...otwieram drzwi.

Jednak nie były zamknięte na klucz. Zaglądam do środka. Patrzę w dół, spodziewając się, że jej ciało leży gdzieś w holu.

W końcu podnoszę nieco wzrok i zauważam ją. Jednak nigdzie nie leży, tylko... wisi!!! Zwisa z barierki schodów na długim sznurze – tym samym, który wcześniej oplatał pas Christiana. Nic dziwnego, że tak długo mu się tu zeszło. Czemu jej po prostu nie zastrzelił?

Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi. Tak długo czekałem na tę chwilę.

Patrzę w górę, w te puste oczy. Niestety, jej martwe spojrzenie nie jest skierowane na mnie. No trudno. Życie. Nic nie jest doskonałe.

– Kopę lat, Lauren – szepczę. – Pamiętasz mnie?

Czekam. Z ciałem Lauren zwisającym przede mną na sznurze. Obok moich stóp leży rozbita szklana misa. Wyglądam przez wizjer na Lathrow. Jeśli jakiś sąsiad zadzwonił na policję, niedługo powinien tu podjechać radiowóz. W ciągu paru minut.

Jeśli zjawią się gliny, od razu desperacko rzucę się do ucieczki przez tylne drzwi. Chyba nie muszę mówić, że nie jest to preferowana przeze mnie opcja.

Wyciągam zieloną komórkę i odpalam ją. Piszę wiadomość do różowego telefonu:

Cukierek albo psikus?

Następnie wyciągam z kieszeni jaskraworóżową komórkę i również ją włączam. Teraz mam dwa telefony: różowy i zielony.

Widzę, że na ten pierwszy już doszła moja wiadomość o „cukierek albo psikus”. Bardzo dobrze.

Znowu czekam. Po raz kolejny zaglądam przez wizjer. Jeśli jakiś sąsiad zadzwonił, pewnie był bardzo zestresowany: „Jakiś dziwny facet zagląda do mojej sąsiadki przez okno, a teraz jest w jej domu!”. Po takim telefonie policja raczej by nie zwlekała. Przyjechałyby szybko. Jeśli ktoś ją wezwał, prawdopodobnie będzie tu za chwilę. A co, jeśli nie? Może wcale nie będzie tak, jak mówię. Niewykluczone, że jakiś sąsiad wprawdzie mnie zauważył, ale miał ambiwalentny stosunek do tego, co zobaczył. Nie był pewien, co o tym myśleć i nie chciał niepotrzebnie wszczynać alarmu i zrazić tym do siebie Betancourtów. Jednak wciąż mógł poczuć instynktownie, że warto zadzwonić na policję, jednocześnie bagatelizując przez telefon całą sprawę. Wtedy gliny nie śpieszyłyby się aż tak bardzo. A to by znaczyło, że wciąż mogą się tu zjawić w ciągu kilku najbliższych minut. Teren jeszcze nie jest czysty...

Oddychaj, Simon. Nie doprowadzaj się do szaleństwa. To takie niepotrzebne. Skup się na zadaniu.

Piszę kolejną wiadomość na zielonym telefonie:

Halo? Jesteś w domu?

Muszę z tobą porozmawiać.

Różowy telefon byczy w odpowiedzi – wiadomość dostarczona. Kolejne dwie minuty mijają mi w prawdziwych męczarniach, ale muszę robić drobne przerwy między kolejnymi wiadomościami. Potem znowu piszę:

Próba mikrofonu... 1, 2, 3...1, 2, 3...

próba mikrofonu... 1, 2, 3

Teraz koncentruję swoją uwagę na różowej jednorazówce. Piszę odpowiedź, która wydaje się odpowiednia, zważywszy na okoliczności:

Nie ma mnie w domu. Mówiłam ci,
że jestem poza miastem

No, to teraz pora na szybką odpowiedź zielonego telefonu:

*Dziwne. Mógłbym przysiąc,
że dopiero co widziałem cię
w salonie. Może to jakiś duch!*

Różowy telefon nie może zareagować inaczej jak szokiem i niedowierzaniem:

Jesteś przed moim domem???

I rozsądna, uspokajająca odpowiedź zielonego telefonu:

Chcę tylko porozmawiać.

Teraz zaczyna się prawdziwa gra w podchody. Odbijanie piłeczki. Nie jest łatwo. Szczególnie w tych rękawiczkach. Choć te i tak są pierwsza klasa. To rękawiczki do biegania. Są więc dostosowane do potrzeb współczesnego człowieka – można w nich pisać esemesy, włączyć sobie jakąś muzykę i ogólnie bawić się telefonem. Niestety, moje trzęsące się ręce nie ułatwiają zadania, a na ten problem żadne rękawiczki na świecie nie pomogą. Jednak dotarłem tak daleko, że nie mogę wszystkiego zaprzepaścić. Teraz pora na dynamiczną i przede wszystkim finalną wymianę wiadomości między telefonami:

Nie ma o czym. Proszę cię, wracaj do domu!
Proszę!

Wpuść mnie. Nie traktuj mnie
jak dziecka. Wiem, że wciąż
mnie kochasz. Czemu udajesz,
że nie?

Więc ZACHOWUJ SIĘ jak dorosły. Przykro mi.
Przecież wiesz, że mi przykro, ale to koniec

Co ty robisz zwariowałaś??!

Przestań mi kopać drzwi bo zadzwonię na policję

Proszę bardzo dzwoń sobie
na zdrowie.

Wpuszczę cię jeśli obiecasz że
będziesz się zachowywał normalnie

Obiecuję, przysięgam.

No i gotowe. Odpowiednia oprawa dla wydarzeń tej nocy. Christian jest w nie najlepszym stanie. Przychodzi pod jej dom i robi scenę na zewnątrz, wtedy ona nie ma innego wyboru, niż go wpuścić. Musi go wpuścić. Ale kiedy tylko się na to decyduje, Christian ją zabija.

Dobrze. Już prawie koniec. Prawie.

81 Christian

Jestem z powrotem w swoim mieszkaniu przed dwudziestą trzydzieści. Po drodze pozbyłem się kostiumu Ponurego Żniwiarza i butów. Wywaliłem je komuś do śmietnika dwie mile od Grace Village. W drodze powrotnej zrobiłem sobie jeszcze jeden przystanek, żeby wypierniczyć ten zasrany, bezużyteczny pistolet od Gavina, który zablokował się akurat w momencie, kiedy go potrzebowalem.

Chwytam butelkę Basil Hayden, jakby to była ostatnia deska ratunku, i pociągam sobie z niej konkretnie, żeby nieco ukoić nerwy.

Zrobiłem to. Naprawdę to zrobiłem. Aż trudno uwierzyć. Do tego chyba ujdzie mi to płazem.

Teraz, kiedy jestem już w domu, mogę na spokojnie przeanalizować w myślach ten wieczór.

Byłem w kostiumie. Dzięki długiemu kapturowi nikt nie mógł przyjrzeć się mojej twarzy. Miałem na rękach rękawiczki. Jeśli nawet zostawiłem tam jakieś ślady butów, to Simon ma dokładnie taką samą parę. Byłem zakryty od stóp do głów. Nie zostawiłem w jej domu żadnego DNA ani odcisków palców (dzięki rękawiczkom).

Staram się przepędzić od siebie dźwięki, które wciąż wracają do mnie w myślach: odgłos duszącej się pod naporem stryczka Lauren Betancourt i odgłos łamanego karku po tym, jak przerzuciłem ją przez barierkę.

To już koniec. Zrobiłem to.

Lauren albo ja – powtarzam sobie. – Dwadzieścia jeden milionów albo nic.

Sama była sobie winna. Próbowała ukraść moje pieniądze.

Nic mnie nie łączy z Lauren Betancourt, Vicky i Simonem Dobiasek. Nie ma między nami żadnych powiązań. Jestem tylko zwykłym facetem z miasta, który...

Przekręcam głowę w lewo na dźwięk drzwi garażowych. Ktoś do mnie przyszedł. Gavin? Tylko po co miałby...

– Kto tam? – serce wali mi tak, że ledwo mówię.

Rozpoznaję dźwięk jej kroków, gdy wchodzi po schodach.

– To tylko ja – odpowiada Vicky.

Spotykam ją na szczycie schodów.

– Co ty tu robisz? Nie możesz tu być – mówię.

– Musiałam się z tobą zobaczyć – jest ubrana w płaszcz, a na głowie ma wełnianą czapkę, pod którą schowała włosy. Do tego rękawiczki. Przykłada dłoń do mojego policzka. – Chciałam się upewnić, czy wszystko w porządku. Myślałam, że zwariuję. Tak bardzo się o ciebie martwiłam.

– Nic mi nie jest. Wszystko OK. Nie powinnaś była tu przychodzić. Wyczyściłem wszystko, żeby...

– Nie będę zdejmować rękawiczek – mówi. – Ani płaszcza. Ani czapki. Nie martw się.

Mógłbym protestować dalej, ale nie chcę. Oczywiście mam rację – nie powinno jej tu być – jednak muszę przyznać, że cieszę się na widok Vicky. Przyda mi się teraz towarzystwo. Słowa otuchy.

– No więc? Powiedz, co się stało.

– Co się stało? – wypuszczam powoli powietrze z płuc. – Zrobione. Po problemie.

– Naprawdę? – upewnia się. Patrzę na jej twarz. Na to połączenie ulgi i niepokoju.

– Taa... ale zrobiłem to nie do końca zgodnie z planem. Pistolet się zablokował. Ale poradziłem sobie inaczej. I nie sędzę, żebym zostawił po sobie jakieś ślady.

– Ale... ona nie żyje, tak? – szepcze Vicky.

– Tak.

– Na pewno?

– Na sto procent – chwytam ją za ramię i ciągnę w stronę kuchni. – Powinnaś już iść. Chciałbym, żebyś została, ale nie możesz. Wyjdź przez garaż.

– Musimy porozmawiać – ona na to. – Musimy porozmawiać o Simonie.

– Przecież mówiłaś, że sobie z nim poradzisz – mówię. – Co... o co chodzi? Co z Simonem?

– Myślę... myślę, że on coś podejrzewa.

– Zaraz, zaraz... co? Co podejrzewa?

– Myślę, że... podejrzewa, że się z kimś spotykam.

– Dlaczego tak sądzisz?

– On... – przemyka obok mnie, wymachując rękoma. – Zadawał mi dzisiaj różne pytania.

– Co ty wyprawiasz?

– Nalewam sobie drinka – odpowiada. – Mam rękawiczki. Nie przejmuj się. Usiądź. Odpręż się. Przez ciebie robię się jeszcze bardziej zdenerwowana. A skoro o tym mowa... Wiesz, co powinieneś zrobić?

– Co?

– Powinieneś wziąć prysznic. To cię uspokoi. Wyszoruj się porządnie. Zmyj z siebie to wszystko. Potem pomyślimy, co dalej. Razem.

Nosi mnie tak, że prysznic wydaje się wręcz doskonałym pomysłem.

Naprawdę pomaga. Myję się szybko, ale efektywnie. Szoruję każdy skrawek ciała, od stóp do głów. Namydlałam się porządnie i zmywam z siebie to wszystko – tak jak mówiła Vicky. Po prysznicu wkładam T-shirt i szorty. Dobrze by było się ogolić, ale gdzie... gdzie jest moja maszynka? Jasna cholera. Gdzie, do kurwy nędzy, jest...

– Nie mam całego dnia – Vicky stara się mówić głośno, ale nie za głośno. Słyszę, że wciąż jest w salonie.

OK, OK. No dobra. Wracam do salonu. Na szczęście Vicky została w płaszczu, czapce i rękawiczkach. Pewnie i tak po jej wyjściu tutaj poodkurzam, ale raczej nie zostawi żadnego śladu.

– Za nas – mówi z dwoma kieliszkami Basil Hayden w ręku. Widzę, że mi nie pożałowała, ale i tak żłopię wszystko na raz. Dziś nie piję dla przyjemności, tylko żeby ukoić nerwy.

Vicky też bierze łyk i mówi:

– Nie zapomnij umyć po mnie kieliszka.

– Spokojnie, nie zapomnę – biorę głęboki wdech. Uspokajam się. – Co takiego powiedział Simon?

Siada obok mnie na kanapie ze słowami:

– Zapytał mnie o to dzisiaj wprost. Bez ogródek. Zapytał: „Czy ty mnie zdradzasz?”. Nawet nie jakoś oskarżycielsko. Bardziej tak, jakby próbował ustalić fakty. Rzeczowo. Bez emocji. Dodał: „Wiem, że od jakiegoś czasu nie jest tak, jak być powinno”.

To niedobrze. To bardzo niedobrze.

– Robi sobie grunt pod rozwód – mówię. – Powoli cię przygotowuje. Do tego stara się wybielić samego siebie, oskarżając cię o zdradę.

Typowe. Znam to z własnego doświadczenia w rozbijaniu małżeństw. Kiedy ludzi zżera poczucie winy z powodu własnej zdrady, starają się pokazać drugą połówkę w jak najgorszym świetle. Zaczynają paskudnie ją traktować.

Patrzy się na swój kieliszek i mówi:

– Może i tak. Ale teraz...

– Kiedy dowie się o śmierci Lauren, będzie w szoku. Tak dużym, że zapomni o bożym świecie. Nic nie będzie miało dla niego znaczenia.

– Oby tak było – mówi. – Przynajmniej do trzeciego listopada. Tylko tyle nam trzeba.

Zgadza się. Najpierw musimy jakoś dotrzeć do trzeciego listopada. Vicky musi. Inaczej zostanie całkowicie odcięta od kasy. Później zajmiemy się całą resztą. Muszą zostać ze sobą jeszcze tylko kilka dni. Inaczej Vicky będzie zmuszona walczyć z Simonem o część kasy podczas rozwodu. To nie wchodzi w grę. Muszą być „szczęśliwym małżeństwem” do czasu, aż Vicky przejmie kontrolę nad pieniędzmi i mi je powierzy.

Skup się na tym. Myśl o tym dniu. Dwadzieścia jeden milionów.

– Po prostu bądź dla niego bardzo miła przez kolejne kilka dni i rzuń głupa – mówię Vicky. Miło tak udzielać dobrych rad. Dzięki temu czuję, jakbym miała większą kontrolę, niż mam w rzeczywistości.

– Raczej szybko dowie się o Lauren. Stawiałabym na to, że jutro – mówi. – Pewnie będą o tym trąbić w mediach.

– Wtedy będzie już pierwszy listopada. Widzisz? Szybko zleci.

Damy radę. Vicky da radę. Stać ją na to. Wiem o tym.

– Posiedzę sobie tutaj jeszcze parę minut, OK? – mówi. – Kiedy jestem tu z tobą, czuję się spokojniejsza.

Ja też. Czuję się już lepiej. Zdecydowanie. Udało się! Odwaliłem kawał dobrej roboty i ujdzie mi to płazem.

Czy może jednak nie? Schrząniłem coś? Znów przepełnia mnie lęk. Rozważam najgorsze możliwe scenariusze, ale wciąż nie widzę takiej opcji, żeby policja powiązała mnie w jakikolwiek sposób z Vicky lub Simonem.

Siedzimy chwilę w ciszy. Vicky sący swojego drinka. Ja nalewam sobie kolejny kieliszek.

Napięcie zaczyna ze mnie schodzić. Udało się. Naprawdę się udało i wszystko będzie dobrze. Jak w tej piosence Boba Marleya.

Czym ja się przejmuję? Dlaczego zawsze muszę szukać dziury w całym?

Serio, za bardzo się przejmuję. Przecież wszystko idzie dobrze.

– Dobrze się czujesz? – pyta Vicky.

O tak. Czuję się bardzo dobrze. O wiele lepiej.

– Wszystko się ułoży – mówi. – Mamy przecież alibi.

Alibi. Śmieszne słowo. A-li-bi. Brzmi trochę jak Ali Baba. Ali Baba i czterdziestu rozbójników. Pamiętam, że czytałem to, będąc dzieckiem.

A potem sam zostałem złodziejem!

Zabawne.

Nie wiem, dlaczego tak się tym wszystkim przejąłem. Skąd ten strach?

Zaraz! Może to powinna być moja kolejna tożsamość – Ali Baba. A nie. Przecież nie będzie kolejnej tożsamości. Następnego razu. Po tej akcji będę obrzydliwie bogaty!

– Co cię tak śmieszy? – pyta Vicky, przekrzywiając głowę.

– Nie wiem, chyba za mało spał... spałem... jestem po prostu...

Vicky siada na mnie okrakiem. Napiera mi na nogi. Jej twarz jest tuż przy mojej.

– Jesteś wyczerpany. Wyglądasz na wyczerpanego. Potrzebujesz snu, Christian. To już koniec. Udało się. Zrobiłeś to. A teraz powinieneś się porządnie wyspać. Jutro będziemy już o krok bliżej do bycia razem.

Odchylam głowę. Opieram ją o poduszkę i mówię:

– Jestem, jestem... o wow, jestem wykończony.

– Wreszcie możesz się zrelaksować – mówi, kładąc swoją rękę na mojej kłacie. – Nikt nas nie złapie. Dostanę te dwadzieścia jeden milionów, dam ci je, a ty zrobisz z nich sto milionów.

Zamykam oczy. Czuję, jak zmęczenie przejmuje kontrolę. Jestem już w półśnie.

– Tak. Tak... będzie – mówię.

Vicky ze mnie schodzi.

– Gdzie...

– Idę umyć po sobie kieliszek. Nie chcemy przecież, żeby zostało na nim moje DNA, prawda?

– Taa... do... dokład... dokład... – nie jestem w stanie otworzyć oczu. Nie ma sensu z tym walczyć.

Co?

– Jestem z powrotem – Vicky znów na mnie siedzi. Tak jak poprzednio. Czuję na twarzy jej oddech. – Wyglądasz na zmęczonego. Gotowy na spanko, kochanie?

Otwieram oczy tylko do połowy. Bardziej nie mogę.

– Taa...

– OK, dobry pomysł. Umyłam kieliszek. A ty usunął wszystkie pozostałe ślady mojej obecności z tego apartamentu, prawda?

Kiwam głową. Chyba. Jestem prawie pewien, że ruszam głową.

Jej palce, wciąż w rękawiczce, muskają mi twarz. Sunie nimi po moim nosie.

– Mogę ci ufać, prawda, Christian?

– Oczywiście...

– Nie zamierzasz mnie okraść po tym, jak dam ci pieniądze, prawda? – jej palce podskakują mi na nosie.

– Co... n-nie...

Mam coś zimnego pod brodą. Napiera na mnie. Zmusza do odchylenia głowy do tyłu.

– A czy przypadkiem nie udajesz tylko, że ci na mnie zależy? Przecież właśnie tak działasz. Znajdujesz kobietę, która wydaje się nieszczęśliwa w swoim małżeństwie, i udajesz wielką miłość, żeby zostawiła męża, zgadza się? A potem kradniesz jej pieniądze, czyż nie?

Całkiem niezłe podsumowanie. Ale skąd... skąd ona to...

Dotykam lewą ręką tego czegoś pod moją brodą. Nie mogę otworzyć oczu, ale słyszę znajomy, nieprzyjemny dźwięk. Poznałem go dopiero niedawno...

– Poczekaj. Tylko chwilkę – szepcze Vicky. Zimne stalowe coś znowu na mnie napiera. Jest tuż pod moją brodą. – To nie zrobi ci krzywdy. Dotknij, a przekonasz się.

Dotykam. Gładka powierzchnia, walcowaty kształt... jak w tłumiku, którego używałem...

...Zaraz, dlaczego...

– Żegnaj, Nicku Caracci – mówi.

82

Vicky

Otwiera oczy w tym samym momencie, kiedy pociągam za spust. Strzał odrzuca jego głowę do tyłu. Patrzę na rozbryzg na ścianie. Jego lewa ręka opada mi na nogę.

Powoli wydecham powietrze. Przez chwilę nie ruszam się z miejsca.

Potem ostrożnie z niego schodzę, trzymając broń w górze, w prawej ręce. Wstaję i robię krok w tył. Spoglądam na siebie. Nie widzę żadnego rozbryzgu. No może jest coś mikroskopijnego, ale na pierwszy rzut oka nic nie widać. Nie wyglądam jak ktoś, kto właśnie zabił człowieka.

Cały czas mam na sobie rękawiczki. Jedną ręką trzymam lufę Glocka, a drugą wykręcam tłumik. Szkoda, że w ogóle musiałam go użyć, ale nie chciałam, żeby sąsiedzi słyszeli dźwięk wystrzału.

Wkładam tłumik do kieszeni mojego płaszcza. Zabieram go ze sobą. Jeszcze jedna rzecz.

Wprawdzie pistolet mógł wypaść mu z ręki, ale z tego, co słyszałam od swojego starego kumpla i byłego policjanta – Rambo – z reguły tak się nie dzieje. Najczęściej po samobójstwie broń zostaje w dłoni, a palec na spuście, kiedy ręka opada na bok.

Ostrożnie wkładam pistolet do jego lewej dłoni, ale nie kładę palca wskazującego na spuście. Wolę nie ryzykować. Już i tak spluwa wystrzeliła o jeden raz za dużo. Wystarczy.

Niepotrzebnie machał tą łapą. Po raz pierwszy pistolet wystrzelił, kiedy Nick próbował go od siebie odsunąć. Na szczęście potem Caracci przejechał palcami po tłumiku. Mam nadzieję, że dzięki temu, że dwa razy dotknął spluwy, znalazły się na nim pozostałości po wystrzałach. Ślady prochu. Możliwe, ale mało prawdopodobne. Kiedy używa się tłumika, GSR-ów jest o wiele mniej.

Wyciągam z kieszeni buteleczkę valium, wokół której owijam jego prawą dłoń. Dobra, jest. Następnie mocno przyciskam do buteleczki palce Nicka, po czym je odchylam. Wyjmuję valium z jego ręki i kładę je obok na kanapie. Przewracam buteleczkę tak, by jej zawartość rozsypała się na boki. Część tabletek wylądowała na podłodze.

OK. Zrobione. Choć mogło być lepiej. Boże, jaka ja byłam głupia. Mogłam od razu go zastrzelić. Ale nie... musiałam mu najpierw powiedzieć, że znam jego plan. Jego imię. Nie mogłam sobie odpuścić.

I teraz przez to mam dziurę w rogu ściany. Na pamiątkę mojej głupoty.

Biorę kolejny głęboki oddech. Trudno, już po ptakach. Nie odzyskam tego pocisku. Nie powinnam niczego dotykać. Wystarczy, że musiałam umyć, wysuszyć i odłożyć na miejsce kieliszek po swoim burbonie.

Umyłam, wysuszyłam i odłożyłam także kieliszek po drinku Nicka. Usunęłam wszelkie ślady po dodanym do niego leku.

Butelka burbonu Basil Hayden wciąż stoi na stoliku kawowym, tuż przed Nickiem.

Spoglądam na niego ostatni raz. Ma otwarte oczy, skierowane ku górze. Co, Nicky? Szukasz przebaczenia?

Schodzę po schodach do jego garażu. Wychodzę na uliczkę i wpisuję kod, by zamknąć za sobą drzwi. Chłodne, świeże powietrze owiewa mi twarz.

Wszystko idzie ku dobremu. Co więcej mogłoby się...

– Cześć, Vicky.

Czuję silny chwyt za ramię. Ktoś mnie szarpie. Ciągnie w głąb uliczki, zanim zdążę zareagować.

– Ręce na widoku – mówi. – I spróbuj tylko pisnąć.

Przystawia mi lufę do policzka.

– A teraz pójdziemy na mały spacer – mówi Gavin. – I zastanowimy się, co, do kurwy nędzy, będzie dalej.

83

Vicky

Gavin prowadzi mnie ciemną uliczką. Jest pusta. Przypiera mnie do ogrodzenia przy śmietniku, żeby kompletnie nie było nas widać.

– Wiesz, kim jestem, prawda? – mówi, przyciskając mi lufę pod brodę, tak samo jak ja Christianowi.

Zamykam oczy i kręcę głową.

– Wiesz, wiesz... powiedz, kim jestem. Inaczej pożegnamy się tu i teraz. Kolejna zdzira zamordowana w środku miasta. Nic nowego. Dzień jak co dzień – przybliży swoją twarz do mojej. – No dalej, do kurwy nędzy. Wykrztuś to z siebie. Jak się nazywam?

– Gavin... Finley – mówię przez zaciśniętą szczękę.

– A Christian? – domaga się odpowiedzi.

– Nick Caracci.

– OK, czyli zrobiłaś niezły research... Vicky Lanier. Z Fairmont w Wirginii Zachodniej, zgadza się? Uciekłaś z domu w 2003 roku, tak?

Nic nie mówię.

– Choć musisz przyznać, że to trochę dziwne – kontynuuje – że kilka miesięcy temu znaleziono szkielet dziewczyny o tym samym imieniu i nazwisku, zakopany gdzieś w górach, prawda? Cóż za zbieg okoliczności.

On wie. Sprawdził mnie. Ale... skoro tak... czy to znaczy, że Nick wiedział, i...

– Nick zrobił swój mały research, ale go nie zaktualizował – tłumaczy Gavin, jakby czytał mi w myślach. – Ja dopiero niedawno poznałem twoje dane. Wtedy postanowiłem sam trochę poszperać. I od razu wyskoczyło mi niedawne odnalezienie zwłok Vicky Lanier z Fairmont, która zaginęła w 2003 roku. Może powinienem był mu powiedzieć, ale Nick tak się nakręcił... a wręcz zafiksował na swoim planie... Stwierdziłem, że może faktycznie warto spróbować. Dać temu szansę. Ale podejrzewałem, że możesz zechcieć go wyruchać tak samo jak on ciebie. No i proszę... właśnie to zrobiłaś.

Nic nie mówię. Nie wiem, co powiedzieć. Odkąd tylko znaleziono ciało prawdziwej Vicky Lanier, obawiałam się, że coś takiego się stanie.

Muszę jakoś uciec Gavinowi. Wydostać się stąd. Żywa.

– Muszę przyznać, Vicky, że mądra z ciebie kobitka – szepcze ostrym tonem.
– Nick nie żyje. Simon będzie podejrzany w sprawie o zabójstwo Lauren

Betancourt. A skoro tak, prawdopodobnie nie będzie mógł zostać zwolniony za kaucją. Będziesz mogła spokojnie chwilkę odczekać. Wyczuć odpowiedni moment... i wtedy ulotnić się z kasą. Mam rację?

Wie o truście. Wie o Simonie. Wie wszystko.

No, może nie wszystko, ale dużo.

Przed zabiciem Nicka nie zamknęłam żaluzji. Chciałam to zrobić. Miałam to zrobić. Ale nerwy wzięły górę i zapomniałam. Gavin musiał stać po drugiej stronie ulicy i nas obserwować. Trudno powiedzieć, ile udało mu się zobaczyć przez otwarte żaluzje, ale wie, że zabiłam jego najlepszego przyjaciela.

Nie odpowiadaj. Nic nie mów. Po prostu...

Przyciska pistolet jeszcze mocniej. Przypiera mi głowę do siatki ogrodzenia.

– Mam rację? – pyta ponownie.

– Tak, masz rację – mówię. Czuję, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Zaczynam myśleć najszybciej, jak tylko potrafię, ale nic to nie daje. W głowie kołacze mi się tylko jedna myśl: Zwiewaj od niego jak najszybciej i jak najdalej potrafisz.

– Ciekawe, co by powiedział Simon – mówi Gavin. – Myśli, że poślubił Vicky Lanier. Kobieta z czystą kartą. Podejrzewam, że nie bez powodu posługujesz się fałszywą tożsamością. Może masz jakąś kartotekę? Prostytucja? A może coś gorszego? Taki bogaty facet jak Simon nie poleciałby na tanią kurewkę. Musiałas się wybielić, co nie? Zacząć od nowa. Z nową tożsamością.

– Tak – mówię, bo czuję, że moja głowa nie wytrzyma jeszcze mocniejszego przypierania do ogrodzenia.

Nie wiem, co robić. Nic nie mogę zrobić. Nie mam nad nim żadnej przewagi, którą mogłabym wykorzystać podczas próby ucieczki. W końcu przyparł mnie do siatki i wierci mi pod brodą dziurę swoją spluwą. Czegokolwiek bym spróbowała, nie wypali. A raczej wypali, ale pistolet. A tego bym bardzo nie chciała.

– Powiedz mi, jak naprawdę się nazywasz, „Vicky” – mówi.

O rany, dzięki Bogu... nie zna mojego prawdziwego nazwiska. Nie doszedł w swoim researchu aż tak daleko. Nie ma moich odcisków palców.

Nie mogę do tego dopuścić. Szybciej zdechnę, niż pozwolę Gavinowi poznać moją prawdziwą tożsamość.

– No gadaj, ty głupia pizdo!

Przestaje napierać na mnie pistoletem. Na chwilę odpuszcza. Ale tylko po to, by walnąć mnie z plaskacza drugą, wolną ręką. Po chwili znów jestem przyparta do ogrodzenia. Tym razem jednak przyciska mi spluwę do czoła.

– Gadaj! W tej chwili, albo...

– No dawaj, strzelaj, jeśli musisz – odpowiadam. – Nic ci nie powiem.

Przez chwilę bacznie mi się przygląda. Widać, że intensywnie myśli. Ale nie naciska na spust. Nie zamierza mnie zabić. W przeciwnym razie już by to zrobił.

– No proszę, proszę... Toś mnie teraz naprawdę zaciekała... – mówi. – Ale wiesz co? Nie obchodzi mnie, jak masz na nazwisko. Przejdźmy do konkretów, Vicky. Twoje małżeństwo to ściema, bo posłużyłaś się fałszywą tożsamością. Gdyby to się wydało, nie dostałabyś złamanego centa.

Nogi się pode mną uginają.

– Dlatego chcę połowę – mówi. – Inaczej zostaniesz z niczym. Trzeciego listopada będziesz mogła położyć łapy na kasie, co nie?

Nie jestem w stanie mówić. Próbuję kiwnąć głową, ale czuję się teraz tak, jakby pistolet był integralną częścią mojego czoła.

– W takim razie trzeciego listopada złożę ci wizytę i wtedy dasz mi dziesięć milionów dolarów. Ładna, okrągła sumka.

– Ja... jak? – szepczę.

– O to niech cię głowa nie boli. Zostaw to mnie. Wszystkim się zajmę. Więc od teraz do trzeciego listopada, Vicky, bądź milutka dla swojego mężusia. To tylko dwa dni. Rozkładaj przed nim nogi na każde zawołanie. W końcu masz w tym wprawę, co nie?

Z całej siły ciska mną o ogrodzenie, od którego się odbijam i ląduję na ziemi. Na czworakach. Tuż obok jakiegoś kartonu po przeprowadzce i torby z niedojedzonym fast foodem.

– Jeśli mi zwiejesz lub w jakikolwiek sposób mnie wydymasz, Simon dowie się o wszystkim. Całe dziesięć lat czekania na forszę... o kant dupy potłuc. I nawet nie myśl o tym, żeby załatwić mnie tak jak Nicka. Jego wzięłaś z zaskoczenia. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo.

– To będzie... podejrzone – mówię – jeśli trzy dni po jej śmierci prześlę na anonimowe konto dziesięć milionów.

Kopie mnie w zębra. Ból jest tak silny, że upadam twarzą do ziemi w obskurnej uliczce.

– Mam to w dupie – mówi. – To już twój problem. I twoja decyzja. Czy wolisz narazić się na drobne podejrzenia, czy może pożegnać z forszą? Rusz głową. Wierzę w ciebie. Na pewno coś wymyślisz. O! Byłbym zapomniał... – mówi, odchodząc. – Wesołego Halloween.

84

Simon

Mijam rozbitą misę po halloweenowych cukierkach i idę schodami w górę, obok zwisającego ciała Lauren, upewniając się przy tym, że zostawiam ślady butów. Dziwnie mi się chodzi w tak długiej szacie. Cały czas mi przeszkadza. A jeszcze trudniej i niewygodnie chodzi mi się w tych butach w rozmiarze 47, podczas gdy ja sam noszę 45.

Docieram na półpiętro. Na podłodze, niedaleko miejsca, gdzie do barierki został przywiązany sznur, widzę krew. Następnie patrzę na Lauren. Czy ta konstrukcja ją utrzyma? Raczej tak. Barierka wygląda na naprawdę solidną. Zresztą, co mnie to obchodzi.

Nie mam czasu do stracenia. Liczy się każda sekunda. W końcu niewykluczone, że ktoś jednak zadzwonił na policję i gliny są już w drodze. Ale jeśli uwinę się w minutkę lub dwie, może uda mi się stąd wydostać przed ich przybyciem.

Zaczynam od rzeczy najważniejszej, czyli różowego telefonu. To jedno muszę zrobić. Nie ma bata. Resztą zajmę się, jeśli wystarczy mi czasu.

Tam, gdzie na podłodze jest krew, musiało dojść do walki. Właściwie nie wiem, co się wydarzyło, ani jak do tego doszło, ale to właśnie tutaj Lauren walczyła o życie. Tak, jestem w stanie wyobrazić sobie jej przerażenie. Jej ból.

Na półpiętrze jest mały brązowy stoliczek z giętymi nóżkami. Stoi na nim waza z kwiatami i oprawione w ramkę zdjęcie Lauren i Conrada.

Stolik ma półeczkę, ale jeśli położę na niej telefon, policja będzie się zastanawiać, czemu sprawca nie wziął go ze sobą. Musi być poza zasięgiem wzroku.

To musi wyglądać tak, jakby telefon wylądował pod stolikiem podczas szarpaniny. Christian spanikował... nie myślał trzeźwo... może nawet zapomniał o telefonie i nie wpadł na to, żeby go poszukać, albo nie miał na to czasu.

Kucam i ostrożnie, omijając krew, kładę różowy telefon na drewnianej podłodze.

Popycham go mocno w stronę stolika.

Jasna cholera. Zatrzymał się przed stolikiem. OK, w takim razie... wychodzi na to, że podczas szarpaniny telefon został pchnięty drugi raz.

Sięgam do niego i kładę na komórce palec w rękawicze. Ponownie popycham jednorazówkę – tym razem na tyle silnie, by mieć pewność, że

wylądaje pod stolikiem, zasłonięta przez półeczkę.

Udało się. Christian był kłębkim nerwów po zabiciu ukochanej i tak bardzo się spieszył, że w tym całym zamieszaniu nie zauważył telefonu. Spanikował i uciekł.

Ale ja jeszcze nie jestem gotowy, żeby się stąd ulotnić.

Mocno potrząsam stolikiem – na tyle, by przewrócić wazę, która roztrzaskuje się o podłogę. Woda leci na wszystkie strony. Oprawione w ramkę zdjęcie Lauren i Conrada leży teraz płasko na podłodze. Szybka do ziemi. Twarzami do ziemi. Jaka szkoda. Nad stolikiem wisi jakiś obraz, ale nie sposób go ruszyć. No trudno. Nic nie szkodzi.

Koniec? Powiniennem obrócić się na pięcie i wyjść? Darować sobie resztę?

Mógłbym, ale dokończę to, co zacząłem.

Ostrożnie wysuwam stopy z butów. Chociaż to jedno nie sprawia mi trudności, zważywszy na fakt, że są o dwa numery za duże.

Krwi nie jest za dużo, ale i tak robię porządnego susa. Tak na wszelki wypadek. Od głównej sypialni dzieli mnie teraz raptem kilka stóp. Wciąż trzymam w ręce poszewkę na poduszkę.

Przez główną sypialnię wchodzę do dużej łazienki i otwieram szafkę wiszącą nad umywalką, by dokończyć dzieła.

Teraz, kiedy adrenalina trochę ze mnie zeszła, przyszedł czas na strach i panikę. Wyszedłem z rezydencji i przemierzałem ulice tego małego miasteczka w kostiumie Ponurego Żniwiarza, nie zwracając na siebie uwagi. Nie minął mnie też po drodze żaden radiowóz. I tak dotarłem do parku, którym mogę przejść z Grace Village do Grace Park.

Mogę próbować z nią walczyć poprzez gry językowe i na przeróżne inne sposoby, jednak i tak panika bierze górę. Sprawia, że aż uginają się pode mną nogi. Są praktycznie do niczego. Chowam się więc za szopą na narzędzia. Siadam na ziemi, zdejmuję kaptur i maskę Obamy. Czacha dosłownie mi dymi, a włosy są całe mokre od potu.

Grzebię w mojej poszewce na poduszkę. Teraz, kiedy nie ma w niej kostiumu Ponurego Żniwiarza, jest o wiele lżejsza. Schowałem w poszewce duży nóż kuchenny (przezorny zawsze ubezpieczony), ale i tak go nie użyłem i już nie użyję.

Muszę się uspokoić. Wyciągam zielony telefon i zaczynam pisać:

Przepraszam, Lauren. Jest mi przykro. Z powodu tego, co zrobiłem. Z powodu tego, że mnie nie kochałaś. Ale nie zamierzam przepraszać za to, że Kocham cię jak nikt inny. Idę do ciebie.

Mam nadzieję, że przyjmiesz mnie z otwartymi ramionami i pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie kochanym na tym świecie.

Ale nie naciskam „wyślij”. Na razie nie. Na to przyjdzie jeszcze czas. Zapobiegawczo kopiuję wiadomość. Na wypadek gdyby mi znikła, kiedy później ponownie ją otworzę. Potem kładę sobie telefon na kolanach. Wyciągam do przodu rękę dłonią w dół i patrzę na nią. Nadal nie drży.

OK, już mi lepiej. Jestem gotowy.

Zakładam z powrotem maskę Obamy, naciągam na głowę kaptur i kieruję się w stronę Harlem Avenue. To ruchliwe skrzyżowanie. Nietrudno złapać tam taksówkę. Przez ten kostium i zasłoniętą twarz kierowca patrzy na mnie jak na skończone dziwadło, ale hej! W końcu jest Halloween, a poza tym wygląda na to, że pięć dwudziestodolarówek, które mu wręczyłem, kiedy tylko wszedłem do taksówki, rozwiało wszelkie jego wątpliwości odnośnie do mojej osoby.

– Wicker Park – mówię do taksówkarza.

Pochylam głowę tak, żeby nie mógł dostrzec mojej twarzy. A jeśli chodzi o mój głos... cóż... nigdy nie byłem dobry w udawaniu innych głosów, ale staram się brzmieć tak, jakbym miał lekką chrypkę. Nawet trochę pokaszuję dla wzmocnienia efektu.

Taksówkarz puszcza jakiś popowy kawałek. Coś Panic! at the Disco, więc najwyraźniej ktoś tam na górze uważa, że zasługuję na karę za to, co zrobiłem.

– Skrzyżowanie North, Damen i Milwaukee – precyzuję.

Zaledwie kilka przecznic od domu Christiana.

Dni po Halloween

85
Jane

– Dzięki, Simon. Do zobaczenia wieczorem.

Umówiwszy się na spotkanie z Simonem Dobiasek, Jane Burke chowa telefon i rozgląda się po głównej sypialni domu Lauren Betancourt. Pomieszczenie jest przestronne i gustownie urządzone. Jednak wbrew temu, czego Jane się spodziewała, nie bije po oczach luksusem. Jest eleganckie, ale w prosty, a nie ostentacyjny sposób: wysoki sufit z ozdobnymi listwami, duży płaski telewizor z dyskretnym oświetleniem po obu stronach i kominkiem pod spodem. Nie ma tu żadnej komody. Nie jest potrzebna. Wszystkie ubrania znajdują się w garderobie. Fajna sprawa.

– Dzisiaj? Byłoby świetnie, gdyby się udało. Zależy nam na czasie. Im szybciej, tym lepiej – mówi Andy, po czym się rozłącza i kieruje wzrok na Jane. – Szef ochrony w Grant Thornton Tower prześle nam listę wszystkich firm, które mają tam swoją siedzibę oraz osób posiadających kartę wstępu. Powinniśmy dostać te informacje do końca dnia. Będziemy też mieć listę wszystkich osób, które pracują w dawnym Chicago Title & Trust Building. Rozmawiałaś z Dobiasek?

– Tak, rozmawiałam z Simonem. Złożymy mu małą wizytę dziś wieczorem. O dwudziestej.

Jane sprawdza zegarek. Co za dzień. Ma wrażenie, że jest blisko północy, a przecież dopiero szesnasta trzydzieści. Drugi dzień śledztwa, a czuje się tak, jakby trwało już ze dwadzieścia tygodni.

– Będziemy z nim gadać w jego domu? Nie na komendzie? – pyta Andy.

Jane wzrusza ramionami i mówi:

– Chcę zobaczyć jego dom. Poza tym ciekawiło mnie, jak zareaguje na taką propozycję jak pomysł spotkania u niego w domu.

– Myślałaś, że nie zgodzi się na rozmowę u siebie? Nie będzie chciał, żebyśmy myszkowali mu po domu?

– Taa... ale nie miał nic przeciwko temu. Powiedział, żebym sama zdecydowała, jak mi pasuje, a on się dostosuje.

– Czyli zachowuje się tak, jakby nie miał nic do ukrycia – mówi Andy i macha na Jane palcem. – Tak właśnie chce, żebyśmy myśleli! Co nie?

– Ha, ha. Nie rób sobie ze mnie jaj.

– OK, przyznaję, że trochę mnie to bawi – mówi Andy. – Ale to nie znaczy, że uważam, że się mylisz. Po prostu moim zdaniem jest jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić. Chcę, żebyśmy zachowali otwarty umysł. Brali pod uwagę różne możliwe scenariusze. W końcu wiele wskazuje na to, że Lauren miała romans, który bardzo nieciekawie się zakończył... a przecież raczej nie spotykałaby się z Simonem, prawda? Po tym, co mu zrobiła? Simon pewnie nie chciałby mieć z nią nic wspólnego nawet wtedy, gdyby była ostatnią kobietą na świecie. I zakładam, że Lauren miała podobne odczucia względem niego.

– No... jesteśmy tutaj właśnie po to, żeby to ustalić, prawda? – Jane macha na niego ręką. – Przyjechaliśmy, żeby znaleźć dowody na obecność w tym domu innego mężczyzny. Innego niż Conrad. Oczywiście zakładając, że spotykali się tutaj na schadzki.

– To by miało sens – mówi Andy, idąc w stronę garderoby. – Jeśli kochanek Lauren jest żonaty, a tak przypuszczamy, nie mogli spotykać się u niego. A skoro Conrad wyniósł się na dobre jeszcze przed połową września, to po co mieliby się bawić w hotele. W końcu w takich miejscach jest monitoring, portierzy i często trzeba płacić kartą. A tutaj mogli się bzykać w spokoju.

– Sprawdzę w łazience – mówi Jane, szykując sobie papierowe torebki dowodowe.

Andy wychodzi z garderoby i mówi:

– Tak na pierwszy rzut oka nic ciekawego nie widzę. Conrad zdecydowanie opróżnił swoją stronę garderoby. Do zera.

Jane wchodzi z sypialni do dużej łazienki pełnej marmurów. Jest tam wanna na nóżkach, ogromny prysznic oraz podwójna umywalka z dwoma lustrami. Obok każdego z lusterek wisi zdobiona szafka łazienkowa. Stolarstwo artystyczne. Jane od razu zestawia w myślach to pomieszczenie ze swoją małą łazienką i głośno wzdycha.

Andy podchodzi do swojej partnerki i otwiera szafkę wiszącą po lewej stronie.

– Ta wygląda, jakby była Lauren – mówi.

Jane otwiera tę na prawo: płyn do soczewek, jakiś krem, ibuprofen, witaminy...

– Hej – mówi do swojego partnera. – Spójrz na to.

Andy podchodzi bliżej.

– Ej! Fajna ta maszynka do golenia. Wygląda na drogaśną. A to co? Trymer do kompletu?

– Tak, to trymer. Taki do nosa albo włosów w uszach. I też wygląda na drogaśny – mówi Jane, przyglądając się badawczo znalezionemu trymerowi. Choć ma na sobie rękawiczki, na razie woli go nie dotykać. – Marki BK i jest... tytanowy? Na to wychodzi. Tak tu jest napisane. O tak, musi być naprawdę drogaśny.

– Czy kobiety używają takich rzeczy? Trymera do nosa? – pyta Andy.

– Nigdy takiego nie miałam. Ale elektryczna maszynka do golenia? To musi być jakiegoś faceta.

Andy wyciąga telefon i zaczyna klikać. Po chwili mówi:

– Proszę bardzo. To część pięcioczęściowego zestawu. Bentley-Kravitz Elite Men's Care Set. Cały tytanowy. Matowa czerń. Szczoteczka, obcinacz do paznokci, elektryczna maszynka do golenia, trymer do nosa i uchwyt do nici dentystycznej. Jasna cholera... cały zestaw chodzi po prawie dziewięć tysięcy dolarów.

Pokazuje Jane fotografię. Tja. Zgadza się. To części tego zestawu.

Jane podnosi torebkę na dowody. Działa ostrożnie. Używa długopisu, by delikatnie przechylić trymer. Tak, by wpadł prosto do torebki na dowody. Podobnie robi z maszynką do golenia. Oczywiście wrzuca ją do innej torebki na dowody, ale działa z podobną zręcznością.

– Tutaj mogą być ładne odciski – mówi. – W końcu takie rzeczy trzyma się w dłoni dość mocno. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle da się ściągnąć odciski z tytanu.

– Może nawet jakieś DNA? – mówi Andy. – Warto spróbować.

Jane potakuje i mówi:

– Czyli to dwie części pięcioczęściowego zestawu. Dowiedzmy się zatem, czy należą do Conrada.

– Ten zacieniony obszar na mapie to zakres naszych poszukiwań wyznaczony na podstawie CSLI – mówi Andy do telefonu, kiedy wraz z Jane wracają na komendę. – Sprawdźcie każdy lokal komercyjny. Zwróćcie szczególną uwagę na te, które są otwarte o dwudziestą. Nasz sprawca mógł chodzić do nich codziennie, a przynajmniej od poniedziałku do czwartku, i wysyłać swoje miłosne esemesy. Jeśli to stały klient, obsługa będzie go kojarzyć. Albo... tak, tak... to może być też ktoś z obsługi. Dokładnie, zgadza się. Więc ogarnijcie też dane pracowników i monitoring.

– Ale i tak bardziej prawdopodobne – kontynuuje Andy – że ten ktoś pisał ze swojego domu. Dlatego skontaktujcie się też z właścicielami wszystkich domów i mieszkań, które znajdują się w tym obszarze. Prawdopodobnie wielu mieszkańców tej okolicy to najemcy.

Wchodzą do pokoju narad na komendzie. Jane rozgląda się dookoła. Patrzy na przymocowane do tablicy korkowej zdjęcia zwłok Lauren i zapisy najbardziej przydatnych pod kątem śledztwa wiadomości tekstowych. Przygląda się sznurowi użytemu do powieszenia Lauren. Jest tam nawet różowy telefon, który wrócił już z laboratorium kryminalistycznego. Został podłączony do ładowania.

Jane podchodzi do jednej ze stron zapisów wiadomości tekstowych i czyta wieczornego esemesa z 17 sierpnia:

Ojoj... jak na kogoś z tak religijnym imieniem potrafisz być bardzo niegrzeczny...

– Simon Peter Dobias – szepcze sama do siebie.

Ale Andy ma rację. Niby dlaczego Simon miałby pisać z Lauren? Przecież jej nienawidził. Obwinił ją o śmierć swojej matki. Na pewno nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Nawet jeśli Simon naprawdę jest na tyle diaboliczny (określenie Andy’ego, które Jane przywodzi na myśl twórczość Agathy Christie), by udawać zainteresowanie Lauren, ona na pewno by na to nie poszła. Prawda? Przecież dobrze wiedziała, co zrobiła rodzinie Dobiasów. Nie kupiłaby tego, że Simon chce mieć z nią romans. Nie ma szans.

To nie ma sensu. Coś tu śmierdzi.

– OK, Timpone ogarnie Wicker Park – mówi Andy, chowając swój telefon do kieszeni. – Ach, to „religijne imię”... takie jak na przykład Simon Peter Dobias, co nie?

– Masz rację, Andy – przyznaje Jane. – To bez sensu. Nawet jeśli Simon stoi za tym wszystkim, to za cholerę nie wymieniałby się z Lauren esemesami.

– Czyli pisała z kimś innym – mówi Andy. – Na przykład z kimś, kto ma tytanowy trymer do nosa.

– I religijne imię – dodaje Jane.

Nagle słyszą bzyczenie telefonu. Andy przykładą dłoń do kieszeni spodni. Nic. Jane podnosi swoją komórkę. Też nic.

– Ja pierdolę – mówi Andy.

Jane patrzy się na swojego partnera, a potem na wskazywany przez niego palcem stolik w kącie pokoju.

Różowa jednorazówka. To ona tak bzyczy.

Jane podchodzi do telefonu i rzuca Andy'emu ciekawskie spojrzenie. On kiwa głową i daje jej znak, by czyniła honory.

– Halo? – mówi Jane, odbierając połączenie.

– Halo, kto mówi? – odzywa się męski głos.

– A z kim JA mam przyjemność? – odpowiada pytaniem na pytanie Jane.

Chwila ciszy.

– Czy może mam przyjemność rozmawiać z... Lauren?

Jane patrzy na Andy'ego, który stoi blisko i wszystko słyszy.

– Niech on pierwszy się przedstawi – szepcze Andy.

– Proszę mi najpierw powiedzieć, z kim ja mam przyjemność rozmawiać – mówi Jane.

Dzwoniący mężczyzna chrząka i mówi:

– Z tej strony sierżant Don Cheronis z Departamentu Policji Chicago. Czy mam przyjemność rozmawiać z Lauren?

– Nie. Tu sierżant Jane Burke z Komendy Policji w Grace Village.

– O kurde, serio? – mówi. – Mamy tutaj śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach. Podejrzany przypadek.

Jane patrzy się na wyraz zaskoczenia na twarzy Andy'ego.

– Cóż za zbieg okoliczności – mówi sierżant Burke. – My też.

86

Jane

Sierżant Donald Cheronis z Departamentu Policji Chicago (czternasty dystrykt), mężczyzna o bujnych siwych włosach i wąskiej twarzy pooranej zmarszczkami, czeka na Jane i Andy'ego przy drzwiach wejściowych.

– Powinniśmy już zabierać stąd ciało – mówi Don, witając się z nimi przez uścisk dłoni – ale kazałem na was zaczekać.

– Dziękujemy, Don. Naprawdę to doceniamy.

Jane uderza w nozdrza ostry zapach rozkładającego się ciała. Z tego, co mówił Don, dzięki lekarzowi medycyny sądowej oraz zgromadzonym poszlakom udało się mniej więcej określić czas zgonu. Według ustaleń miał miejsce jakieś dwie noce temu. W Halloween.

Don macha do nich w zapraszającym geście.

– Na wasze lewo – mówi. – Oto i on. Christian Newsome.

Jane zatrzymuje się w pewnej odległości, próbując wychwycić jak najwięcej szczegółów. Na stoliku kawowym leży otwarta butelka burbonu Basil Hayden.

Na kanapie Christian Newsome w pozycji siedzącej. Sztywny i blady. Jego głowa jest odchyłona do tyłu, a puste oczy są skierowane ku sufitowi. Dzięki temu bardzo dobrze widać ranę wlotową. Znajduje się pod brodą. Obok Christiana na kanapie leży przewrócona buteleczka, na której nie ma żadnej etykiety. Do tego kilka rozsypanych tabletek: część na sofie, a pozostałe na podłodze.

Za ciałem mężczyzny na ścianie znajduje się konkretny rozbryzg krwi i mózgu.

Christian ma na sobie biały T-shirt i szorty treningowe.

Jest boso. Obok niego leżą buty z grubą podeszwą w kolorze karmelu. Wyglądają tak, jakby niedbale zrzucił je z nóg.

– Mogę zerknąć na buty? – pyta Jane.

– Ależ proszę bardzo, nie krępuj się – mówi Cheronis. – Zdjęcia cyknięte, wideo nagrane. Buty też zapakujemy, jak tylko z nimi skończysz.

Jane wkłada rękawiczki, podnosi jeden but i przygląda się podeszwie od spodu, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. To Paul Roy Peak Explorer. Wewnątrz buta – na języku – znajduje się informacja o rozmiarze.

Patrzy na Andy'ego i mówi:

– Rozmiar 47.

Andy wygląda na uradowanego, ale Jane nie podziela jego entuzjazmu.

– Z oczywistych względów usunęliśmy mu broń z ręki – wyjaśnia Cheronis. – Procedury. To był glock 23 z prawie pełnym magazynkiem. Wystrzelono z niego tylko dwa pociski. Numer seryjny został usunięty.

DWA pociski.

– Czyli samobójstwo? – mówi Andy.

– Być może – odpowiada mu Cheronis. – Zerknijcie w górę. O tutaj.

W rogu ściany, przy suficie widać dziurę po pocisku.

– Rzecz jasna to nie od strzału, który go zabił – mówi Cheronis. – Kąt się nie zgadza.

– Drugi strzał – mówi Jane.

– Drugi strzał – potwierdza Cheronis.

Jane patrzy najpierw na Dona, a potem na Andy'ego i mówi:

– Może to jednak nie było samobójstwo?

– Nie mamy jeszcze wyników badań toksykologicznych, więc trudno powiedzieć, jak bardzo się upił i naćpał – mówi Cheronis. – Ale powiem wam, że już niejedno widziałem. Przez tyle lat służby oglądałem wiele miejsc zdarzenia. Wiem, że często samobójcy się wahają. Ale jak żyję nie widziałem, żeby ktoś skierował pistolet na siebie i spudłował.

– Czyli nazywa się Christian Newsome – mówi Jane, zerkając na Andy'ego, bo wie, że na bank myśli o tym esemesie z komentarzem o „religijnym imieniu” .

Cheronis wręcza jej wizytówkę. Całą zieloną – kolor pieniędzy. Żadnego logo ani chwytliwego sloganu. Tylko imię i nazwisko: „Christian Newsome”, nadrukowane prostą czarną czcionką, a niżej, oddzielone poziomą linią: „Newsome Capital Growth”.

W rogu wizytówki znajdują się dane kontaktowe:

NEWSOME CAPITAL GROWTH
Grant Thornton Tower
161 North Clark Street
Lok. 1320
Chicago, IL 60601

Jane wręcza Andy'emu wizytówkę i mówi:

– Grant Thornton Tower.

– To na rogu Clark i Randolph w centrum – mówi Cheronis. – Po drugiej stronie ulicy jest Daley Center i Thompson Center. Większość ludzi zna to miejsce jako Chicago...

– Chicago Title & Trust Building – mówi Jane. – Tak, wiem.

– Czy ten facet jest żonaty? – pyta Jane.

– Jak dotąd nic nam o tym nie wiadomo. Znaleźliśmy ciało dopiero kilka godzin temu, więc na razie niczego nie możemy być pewni, ale mogę wam powiedzieć tyle, że nic nie wskazuje na to, że mieszka tu jakaś kobieta. A nawet jakakolwiek druga osoba.

Jane zgina się w pasie. Nie dotykając zwłok, przygląda się ranie wlotowej pod brodą, rozbryzgowi na ścianie i miejscu, gdzie utkwiał drugi pocisk.

Układa z palców pistolet, przystawia sobie palec wskazujący w odpowiednie miejsce pod brodą, a potem paca go drugą ręką na prawo. Tak, by zmienił położenie. Teraz palec wskazujący nie znajduje się już pod brodą. Następnie Jane udaje, że oddaje strzał.

Właśnie to się tutaj wydarzyło. Pocisk, który nie trafił w Christiana, wylądował w ścianie, przy suficie, na prawo od Newsome'a (patrząc z jego perspektywy). Strzał musiał paść, kiedy pistolet znajdował się tuż przy twarzy Christiana. Kiedy został przesunięty na prawo. Inaczej pocisk nie wylądowałby w tym miejscu. Nie ma innej możliwości.

Najpierw pistolet znajdował się pod brodą Christiana, a potem został przesunięty na prawo i padł strzał.

– Nietrudno sobie wyobrazić, że facet się wahał – mówi Cheronis. – Nietrudno sobie wyobrazić, że przystawił sobie pistolet pod brodę, a potem nerwy wzięły górę i przesunął go w bok.

– Ale trudno sobie wyobrazić, że w takim momencie oddał strzał – mówi Jane. – Przynajmniej celowo.

– Niby tak – zgadza się Cheronis. – Ale z drugiej strony, kto wie, co może siedzieć w głowie komuś, kto zdecydował się na taki krok? Na samobójstwo? Prawdopodobnie trzęsły mu się ręce. W takich okolicznościach nie można wykluczyć, że wystrzelił z pistoletu przypadkowo. Plus nie wiadomo, ile połknął tych tabletek.

Co racja, to racja.

– Albo – mówi Jane – ktoś przystawił mu pistolet pod brodę, a Christian próbował odtrącić broń i wtedy wypaliła.

– To... możliwe. Zgadza się – przytakuje Cheronis.

– Czy sąsiedzi coś słyszeli? Odgłosy walki? Wystrzał?

– Nie, a rozmawialiśmy ze wszystkimi. Biorąc pod uwagę godzinę, o której wysłał swój list pożegnalny, musiał umrzeć około dwudziestej trzeciej w Halloween. Większość ludzi już wtedy spała. A poza tym Wicker Park jest tłoczne i głośnie. Zwłaszcza w Halloween.

– List pożegnalny... – mówi Jane.

– O dwudziestej drugiej czterdzieści siedem wysłał esemesa do Lauren.

– Tak, wiem. Mam telefon Lauren.

– Upewnijmy się najpierw, że mamy na myśli tę samą wiadomość – to mówiąc, Cheronis pokazuje jej jednorazówkę, która wygląda tak jak ta Lauren, z tą różnicą, że ma zieloną obudowę.

Jane bierze do ręki zielony telefon i pyta:

– Z iloma osobami kontaktował się przez tę komórkę?

– Tylko z tą całą Lauren.

Jane, wciąż w rękawiczkach, znajduje w zielonej jednorazówce listę kontaktów. Rzeczywiście jest tam tylko jeden numer, zapisany jako „Lauren”. Jane wchodzi w esemesy. Są tu wszystkie wiadomości, które para ze sobą wymieniała. Nie wyłączając tej ostatniej.

PON., 31 PAŹ., 22:47

Przepraszam, Lauren. Jest mi przykro. Z powodu tego, co zrobiłem.

Z powodu tego, że mnie nie kochałaś. Ale nie zamierzam przeproszać za to, że kocham cię jak nikt inny. Idę do ciebie. Mam nadzieję, że przyjmiesz mnie z otwartymi ramionami i pozwolisz kochać się tak, jak nie było mi dane być przez ciebie kochanym na tym świecie.

– To wszystko pokrywa się z naszymi ustaleniami – mówi sierżant Burke.

– Jane! – woła swoją partnerkę Andy. – Chodź tutaj, musisz to zobaczyć!

Andy stoi w łazience z rękami w kieszeniach

– Widzisz tu może coś interesującego? Nietuzinkowego? – pyta Tate.

– Aaa... tak. Ten gość ma szczoteczkę do zębów z pierdzielonego tytanu, do kompletu z innym tytanowym szajsem. Wiecie, co to jest?

Jane dostrzega je na zlewie: trzy z pięciu części zestawu Bentley-Kravitz Elite Men's Care Set. Są to tytanowe matowoczarne: szczoteczka do zębów, obcinacz do paznokci i uchwyt do nici dentystrycznej.

– Ten cholerny dynks jest do nici dentystrycznej – mówi Cheronis. – Macie pojęcie, ile takie dziadostwo kosztuje? Ile pieniędzy trzeba mieć...

– Prawie dziewięć tysięcy – mówi Andy, pokazując Cheronisowi swój telefon, na którym wyszukał w internecie oferty sprzedaży. – To pięcioczęściowy

zestaw. Tutaj brakuje nam dwóch przedmiotów: elektrycznej maszynki do golenia i trymera do nosa. Zgadnij, gdzie je znaleźliśmy?

Andy unosi ostrożnie dwoma palcami długą szatę. Na rękach ma rękawiczki. Na łóżku w sypialni Christiana Newsome'a leży kostium Ponurego Żniwiarza z naprawdę długim kapturem. Dokładnie takie przebranie widziała przez okno mała dziewczynka w ciemną halloweenową noc.

Jane wychodzi z sypialni, wyciąga telefon i wybiera numer.

– Simon, z tej strony znowu Jane Burke. Posłuchaj, coś nam wypadło i nie zdążymy podjechać dziś do Grace Park. Czy moglibyśmy przełożyć nasze spotkanie na jutro, czyli na trzeciego listopada?

87

Jane

Komendant Carlyle uderza otwartą dłońią o swoje biurko.

– No. I ja to rozumiem. Bajka. Po prostu bajka. Miał jednorazówkę. Miał ten przeklęty kostium Ponurego Żniwiarza i buty, które pasują do śladów zabezpieczonych na miejscu zdarzenia. Nawet część swojego tytanowego zestawu trzymał w łazience Lauren Betancourt! Pracował w budynku, z którego najpewniej wysyłano poranne esemesy, i mieszkał w okolicy zgodnej z CSLI zielonej komórki, podczas wymiany wieczornych wiadomości. Do tego był wysokim, ciemnowłosym przystojniaczkiem, prawda? Czyli pasuje do opisu z esemesa. A! I z tego co wiem, Christian to całkiem „religijne imię”.

Komendant rozkłada ręce i mówi:

– Jane... skąd taka mina? Nie cieszysz się?

– Cieszę się, cieszę, szefie.

– Ale nie jesteś co do tego wszystkiego przekonana. Przecież widzę. O co chodzi? Według ciebie dowody nie są wystarczająco mocne?

– Wręcz przeciwnie. Są mocne. W zasadzie... – mówi Jane – ...brakuje tylko pisemnego oświadczenia złożonego przez Christiana Newsome’a pod przysięgą, że to on sam, bez żadnej pomocy ani namowy ze strony Simona Petera Dobiasa, dopuścił się zabójstwa Lauren Betancourt. Ale przypuszczam, że to tylko kwestia czasu i niedługo przyjdzie pocztą.

Komendant przez chwilę zastanawia się nad jej słowami, oblizując wargę, po czym mówi:

– Janey, przypomnij mi, żebym nigdy, przenigdy nie dawał ci prezentu. Najwyraźniej lubisz je wyśmiewać i komentować, co jest z nimi nie tak – po tych słowach zwraca się do Andy’ego. – A co na to sierżant Tate?

Andy jest lojalnym kolegą, więc nie postawiłby Jane w niezręcznej sytuacji, w której najadłaby się wstydu. Jednak sierżant Burke doskonale wie, że jej partner w dużej mierze zgadza się z komendantem.

– Rzeczywiście dowody są mocne, jednak uważam, że wątpliwości Jane nie są bezpodstawne i w związku z tym należy się jeszcze pochylić nad sprawą pod ich kątem – odpowiada dyplomatycznie Andy.

Komendant siada w fotelu w swoim gabinecie i stuka palcami o biurko. Jakby grał na pianinie. W końcu mówi:

– OK, Jane. Przejdźmy teraz przez te twoje wątpliwości. Przedstaw mi je pokrótce. Tylko szybko. Zanim pożałuję, że w ogóle dowiedziałem się o istnieniu tego całego Simona Petera Dobiasa.

Jane udaje, że odhacza coś w powietrzu i mówi:

– Wątpliwość numer jeden: różowy telefon. Jak wszyscy wiemy, po śmierci Lauren ktoś specjalnie pchnął go pod stół stojący na półpiętrze.

– Nie wiesz na pewno, że zrobił to SPECJALNIE.

– Wiem na pewno, że jednorazówka została delikatnie pchnięta po raz drugi tak, żeby nie rozmazać krwi. Taki stopień skupienia i precyzji wyklucza nieumyślne działanie. Zrobił to specjalnie. Dlaczego sprawca, widząc telefon Lauren, nie zabrał go ze sobą? Przecież wiedział, że to najbardziej obciążający go dowód. Czemu pchnął – lub leciutko kopnął – telefon pod stół, wiedząc, że dość szybko zostanie przez nas znaleziony?

– Bo przestępcy panikują. Robią różne durnoty na miejscu zdarzenia – mówi komendant. – Popełniają durne błędy.

– To NIE był błąd, szefie. Gdyby sprawca nie zauważył telefonu, niechcący by go kopnął i rozmazał przy tym krew, to byłby błąd. Wtedy można by było pomyśleć, że spanikował. Śpieszył się. Nie poczuł, że coś kopnął. To wszystko bym zrozumiała. Ale to nie ten przypadek. Tutaj sprawca działał w sposób przemyślany i ostrożny. – Jane potrząsa głową. – On CHCIAŁ, żebyśmy znaleźli ten telefon. Ale nie chciał, żebyśmy się połapali, że zostawił go tam specjalnie.

– Rozumiem, że „on” to Simon Dobias, tak?

– Taką mam hipotezę. Tak.

Komendant krzyżuje ręce.

– OK, chyba możemy się zgodzić co do jednego: mamy odmienne zdanie na ten temat. Mów dalej.

– Wątpliwość numer dwa: historia lokalizacji wygląda tak perfekcyjnie, że aż nierealnie. Jak odegrane przedstawienie – mówi Jane. – A Simon Dobias jest profesorem, który specjalizuje się w czwartej poprawce. Dopiero co znaleźliśmy jego blog. Nazywa się „Simon Says” – tak wiem, bardzo oryginalnie... ha, ha. Dobias pisze na nim o tym, w jaki sposób rząd może naruszać prywatność obywateli. Prawdopodobnie jeśli chodzi o wykorzystywanie CSLI do śledzenia ludzi, wie więcej od nas.

– OK, czyli w skrócie: CSLI jest zbyt przekonujące i pomocne. Dowody zbyt mocne. OK. Proszę, śmiało. Mów dalej.

Jane bierze głęboki oddech, by zapanować nad rosnącą frustracją. Doskonale rozumie, że możliwość szybkiego zamknięcia sprawy jest dla jej szefa jak dar od losu. Pięknie zapakowany prezent. Ze śliczną kokardką na górze. Pierwsze zabójstwo w historii Grace Village rozwiązane w mniej niż tydzień. Morze

pochwał dla komendanta i całej reszty zespołu z ust burmistrza, ulga w oczach strwożonych mieszkańców miasta i... niekończące poklepywanie po plecach oraz wszelkie inne wyrazy uznania.

– Wątpliwość numer trzy – kontynuuje Jane – błąd w esemesie. Lauren pisała o tym, że nie mogła spać przez chrapanie Conrada. Tyle że państwo Betancourt nie mieszkali już wtedy pod jednym dachem. Z początku myślałam, że Lauren okłamała swojego kochanka.

– A teraz...?

– Teraz wydaje mi się, że to był błąd wynikający z tego, że Simon Dobias nie wiedział o rozstaniu Betancourtów. Nie wiedział, że ze sobą nie mieszkają. Silił się na autentyczność, ale mu nie wyszło. Przegiął, pisząc o czymś, o czym nie miał pojęcia.

– Jasne, to możliwe. Ale podobnie możliwe jest to, że Lauren okłamała swojego kochasia. Christiana.

– Dlaczego w halloweenowy wieczór Lauren miała włączoną jednorazówkę?
– Jane drąży temat. – Po tym, jak zerwała ze swoim kochankiem, którym rzekomo był Christian Newsome, napisała, że wyjeżdża za miasto i będzie miała wyłączony telefon. Więc dlaczego go włączyła?

– Nie wiem i średnio mnie to obchodzi – odpowiada komendant.

– Czemu Lauren włączała jednorazówkę tylko wtedy, kiedy pisała ze swoim lubym? – Jane nie daje za wygraną. – Po tym, jak Conrad wyprowadził się z ich domu w Grace Village w połowie września, nie było takiej potrzeby. Miała cały dom dla siebie. Nie musiała ukrywać przed nikim tych wiadomości. Wiem, że Betancourtowie się rozwodzili, ale co to zmienia? Nie miała nic do stracenia. Na podstawie intercyzy w przypadku rozvodu i tak otrzymałaby „tylko” milion dolarów. Do reszty pieniędzy Conrada nie miała dostępu. Więc po co ten niepotrzebny trud? Wyłączanie telefonu po każdej „esemesowej sesji”? Czego się bała?

– Jane, nie mam błędnego po...

– I dlaczego Christian Newsome w ogóle wyłączał swoją jednorazówkę? Najwyraźniej nie był żonaty. Co więcej, nic nie wskazuje na to, że z kimkolwiek mieszkał. Najprawdopodobniej facet był singlem. Nie miał przed kim ukrywać tej komórki.

Komendant unosi brwi. Wyciąga przed siebie ręce i pyta:

– To jeszcze raz... jaka właściwie jest ta twoja teoria?

– Na tę chwilę niczego nie jestem pewna – mówi Jane. – Po prostu nie chcę się śpieszyć z osądem.

Na te słowa komendant aż się krzywi. Nie to chciał usłyszeć. Nie to lubi słyszeć.

– Jak dla mnie, sierżancie, biorąc pod uwagę cały zgromadzony przeciwko Christianowi Newsome’owi materiał dowodowy, wcale nie „śpieszymy się z osądem”.

– Jednak warto rozważyć możliwość – mówi Jane – że to Simon Dobias pociągał w tej sprawie za sznurki. Telefony były wyłączone pomiędzy „esemesowymi sesjami”, żebyśmy nie mogli śledzić JEGO kroków.

– Czyli co? To Simon Dobias wysyłał esemesy z telefonu Christiana? Zielonej jednorazówki?

– Tak, taką mam teorię.

– Czyli Christian Newsome i Lauren Betancourt nie romansowali ze sobą?

– Taką mam hipotezę roboczą, zgadza się.

– I wcale się nie znali?

– Raczej nie.

– I Lauren nie miała z nikim romansu?

– Mało prawdopodobne – mówi Jane. – Nie zwierzyła się żadnej ze swoich najbliższych przyjaciółek. I nie zapominajmy, że jednej z nich wprost wspomniała o tym, że „brakuje jej seksu”. To było w zeszłym tygodniu. Jeśli wierzyć tym esemesom, nie miała na co narzekać, bo akurat seksu jej nie brakowało.

– I nie ma opcji, że kłamała przyjaciółkom na ten temat?

– Opcja zawsze jest, ale nie widzę powodu, dla którego miałyby to robić.

– A maszynka i trymer Christiana? Simon podłożył je w domu Lauren, tak?

– Tak, zgadza się.

– Czyli... Christian nie zabił Lauren Betancourt? To był Simon? On to zrobił?

– Zgadza się. Taką mam hipotezę roboczą.

– Bo jak dla mnie wygląda na to, że Christian zostawił w swoim mieszkaniu kostium Ponurego Żniwiarza i nosił model butów, którego ślady zostały zabezpieczone na miejscu zdarzenia.

– To prawda. Właśnie na to wygląda.

– Więc Simon zabił Lauren około dwudziestej, następnie pojechał do mieszkania Christiana i jego też ukatrupił, a potem podrzucił mu kostium Ponurego Żniwiarza i buty. Zgadza się?

– Tak. Coś w tym stylu.

Komendant pochyla się do przodu na swoim fotelu i mówi:

– OK. Tylko skoro Simon wysyłał esemesy z lokalizacji Christiana, to kto na nie odpowiadał? Mniemam, że nie Lauren, bo z tego, co wiem, ciągnęło ich do siebie jak wodę do oleju.

– To... największa luka w mojej hipotezie roboczej – przyznaje Jane. – Jeśli mam rację, to by znaczyło, że Simon nie działał sam.

– A z kim? Masz jakiś pomysł, któż to może być?

– Nie miałam jeszcze sposobności porozmawiać z Simonem. Po tym, jak znaleziono Christiana Newsome'a, przełożyliśmy spotkanie. – Jane podchodzi do biurka komendanta. – Szefie, nie mówię, że mam rację. Może mylę się co do wszystkiego. Biorę pod uwagę taką ewentualność. Ale nie jestem przekonana co do rozwiązania, które zostało nam podane na tacy. Po prostu chcę dalej szukać odpowiedzi. O nic więcej nie proszę.

Komendant rusza nerwowo szczęką, zerka na Jane i mówi:

– Cóż... faktycznie... minęły dopiero dwa dni.

Zastanawia się nad tym wszystkim jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową. – Zrobimy tak. Wydam oświadczenie, że mamy osobę podejrzaną, której bardzo dokładnie się przyglądamy, ale jesteśmy właśnie na etapie dogłębnego pozyskiwania nowych informacji i analizowania zgromadzonego materiału dowodowego. Badamy różne tropy, ale jesteśmy głęboko przekonani co do tego, że do zabójstwa doszło z pobudek osobistych i w związku z tym pozostali mieszkańcy Grace Village mogą spać spokojnie. Czy coś takiego. Chyba zgadzamy się co do wszystkich tych kwestii, prawda?

– Tak, szefie.

Nie ma potrzeby wspominać o tym, że osoba podejrzana jest już trupem.

– Więc porozmawiaj sobie jutro z tym całym Dobiasek, skoro tak się na nim zafiksowałaś – mówi komendant. – Zobaczymy, co z tego będzie. Tylko pamiętaj, Jane, że Simon nie mógł pisać z obu telefonów, bo były od siebie oddalone o jakieś dwadzieścia mil. Więc jeśli chcesz, żebyśmy wstrzymał się z zamknięciem tej sprawy, daj mi cokolwiek, co wskazywałoby na to, że Simon miał współnika.

Halloween

88

Simon

– Ale spierdoliłem. Ale spierdoliłem – kołyszę się w przód i w tył na tylnym siedzeniu taksówki z głową spuszczoną w dół, żeby kaptur zasłaniał mi twarz. Pocę się. Pewnie nie tylko za sprawą ogrzewania, ale i z nerwów.

Taksówkarz to młody mężczyzna mówiący z bardzo wyraźnym akcentem. Widzę jego licencję. Wychodzi na to, że nazywa się Dembe Abimbola. Słyszając moje wynurzenia, ścisza radio, w którym leci jakiś popowy kawałek.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – pyta. – Niedobrze panu?

– Nie, nie. Wszystko dobrze – odpowiadam, potrząsając energicznie głową. Mam nadzieję, że to widać. Nawet pomimo długiego kaptura. – Ale spierdoliłem. Ale spierdoliłem.

Staram się mówić szeptem i udawać nieco inny głos od mojego, ale bez przesady. Nie chcę, żeby wyszło groteskowo. Poza tym pojęcia nie mam, jak brzmi głos Christiana.

– Może mogę jakoś pomóc? – pyta taksówkarz.

Macham ręką i wykonuję gesty na znak, że wszystko w porządku. Ostatnie, czego teraz mi trzeba, to żeby wysadził mnie pod szpitalem, albo – co gorsza – posterunkiem policji.

– Na pewno wszystko dobrze? Może chce pan, żebym wydał panu jakąś resztę?

Macham ręką na znak, że to nie będzie konieczne, i wychodzę z taksówki na Wicker Park, na skrzyżowaniu North, Damen i Milwaukee. To jedna z moich ulubionych miejscówek w Chicago. Zbliża się dwudziesta druga. Tutaj oznacza to, że noc jeszcze młoda. Blisko skrzyżowania kręcą się tłumy ludzi. Wielu z nich ma na sobie kostiumy. Tak samo jak ja.

Po wyjściu z taksówki czuję się o wiele lepiej. Jak to dobrze móc się wyprostować. Zginanie pleców i trzymanie głowy cały czas w dole nie jest najwygodniejszą pozycją, szczególnie podczas podwózki. Co nie znaczy, że przestałem uważać. Trzymam głowę nisko, z oczywistych względów. Na szczęście nie jest już daleko.

Kiedy docieram na Winchester, idę na północ w stronę apartamentu Christiana.

Grupka trzech paplających osób zmierza w moim kierunku. Jedna z nich gapi się w telefon. Wyglądają na takich, co to lubią sobie pokomentować, a ja nie chcę się teraz wdawać w dyskusję. Wyciągam więc zieloną jednorazówkę, przykładam ją do ucha – a raczej do kaptura – a następnie zaczynam kiwać głową i mówić cichym głosem. Kiedy grupka mnie mija, jedna z osób mówi: „dziwadło”, ale ja nie odpowiadam na zaczepkę, tylko idę dalej.

W pobliżu nie ma nikogo innego. Żadnych radiowozów, zero ruchu ulicznego. Tylko dwa rzędy samochodów zaparkowanych jeden za drugim po obu stronach ulicy. W większości mieszkań wciąż pali się światło. Zwykła ulica Chicago w mimo wszystko dość typową noc. Wprawdzie część dorosłych też obchodzi Halloween, ale jako że w tym roku wypada w poniedziałek, zapewne większość urządziła sobie bal przebierańców w weekend.

Patrzę w panoramiczne okno apartamentu Christiana Newsome’a. Żaluzje są opuszczone, ale otwarte, więc choć widoczność nie jest najlepsza, można zajrzeć do środka i co nieco zobaczyć. Nie dostrzegam żadnej poruszającej się postaci. Tyle dobrego.

Jesteś w domu, Christian?

Jesteś martwy, Christian?

Czy Vicky zabiła cię po tym, jak grzecznie wykonałeś swoje zadanie i pozbyłeś się Lauren?

Mam nadzieję! Inaczej będziesz naprawdę zaskoczony moją wizytą.

Patio na tyłach Viva Mediterránea jest puste, co nie dziwi, zważywszy na pogodę. Zrobiło się naprawdę chłodno. W uliczce też nie ma nikogo.

Ani jednej żywej duszy. Tylko ja. Stoję obok garażu Christiana. Wbijam kod. Drzwi garażowe otwierają się.

Wchodzę do środka, obchodzę jego samochód i opuszczam za sobą drzwi. Zapalam światło.

Odkładam na chwilę poszewkę na poduszkę i zdejmuję kostium Ponurego Żniwiarza. Zostawiam sobie maskę Obamy – lepiej, żebym na razie miał zasłoniętą głowę. Wolałbym nie zostawić tutaj swojego DNA. Chciałbym za to bardzo zdjąć już te buty, bo cholernie źle mi się w nich chodzi. No cóż, nic dziwnego. Czego się spodziewałem, wkładając buciory o dwa rozmiary za duże? Muszę przejść w nich jeszcze tylko kawałek. Wejść po schodach i do mieszkania. Potem mogę z nich wyskoczyć i włożyć swoje buty na zmianę, które na razie trzymam w poszewce na poduszkę.

Wypuszczam głośno powietrze. Raz kozie śmierć.

Otwieram drzwi i nasłuchuję. Słyszę tylko dudnienie mojego serca.

– Halo?

Nic.

– Halo?

Rzucam kostium Ponurego Żniwiarza na łóżko Christiana. Kładę buty obok kanapy, blisko jego stóp, żeby można było odnieść wrażenie, że Christian niedbale zrzucił je z nóg. Nieważne. Po prostu to nie może wyglądać zbyt idealnie lub schludnie.

Najwyraźniej Christian pozbył się swojego kostiumu i butów. Byłbym naprawdę zawiedziony, gdyby tego nie zrobił.

Wyciągam zielony telefon, który tym razem zostawiłem włączony. List pożegnalny, napisany w parku, nie znikł. Jest gotowy do wysłania. Więc właśnie to robię. Naciskam „wyślij”. Wiadomość została zapisana jako dostarczona o dwudziestej drugiej czterdzieści siedem.

Wyłączam telefon i rozglądam się dookoła.

No proszę, proszę. Widać, że naprawdę się postarałaś, żeby to wyglądało na samobójstwo, Vicky. Bez dwóch zdań. I muszę przyznać, że całkiem nieźle ci to wyszło. Ułożenie pistoletu, otwarta butelka burbonu i przewrócona buteleczka z rozsypanymi tabletkami.

Miałaś radochę? Sprawilo ci to przyjemność, Vicky?

Czy może było trudniejsze, niż myślałaś?

Nieeee... na pewno nie. Jestem prawie pewien, że miałaś przy tym niezłą frajdę.

Dni po Halloween

89
Vicky

Ktoś, kto jako pierwszy powiedział, że „czekanie jest najtrudniejsze”, chyba nawet nie wiedział, jak prawdziwe jest to stwierdzenie.

Jestem w pracy i właśnie robię remanent w kuchni przed kolejnym wyjściem na zakupy. Mus to mus. Z reguły robię to w poniedziałek, ale w tym tygodniu w ten dzień wypadało Halloween i (rzecz jasna) nie było mnie w pracy. Z kolei wczoraj, we wtorek, nie miałam kiedy się do tego zabrać. Nie wiedziałam, w co ręce włożyć. To był jeden z takich dni, w których trzeba sobie radzić z nagłymi drobnymi problemami – a to wysiadł nam piec, a to zjawił się agresywny mąż, który żądał rozmowy z żoną, a potem jeszcze musieliśmy przyjąć trzy nowe kobiety posiniaczone, pokaleczone i z oparzeniami. Jedna z nich przyszła do nas z niemowlakiem.

Nawet dzisiaj, w środę, drugiego listopada, mamy tu niezły młyn. Jest już prawie szesnasta, a mam nieodparte wrażenie, że moja zmiana dopiero się rozpoczęła.

Ale to dobrze. Wczoraj pracowałam na dwie zmiany, dzisiaj też będę. Jestem skupiona na tych kobietach i ich dzieciach. Odciągają moje myśli od Gavina oraz od śledztwa.

Słyszę, że przed ośrodkiem parkuje jakiś samochód. Chrzęst opon w zetknięciu ze żwirem. Safe Haven istnieje już trzydzieści lat, a wciąż nie mamy utwardzonego parkingu. Przez cały ten czas nie udało się wygospodarować na to funduszy. Jednak dla mnie ma to jeden zasadniczy plus – nikt nie podjedzie tutaj po cichu, niezauważony.

Wyglądam przez okno. Od Halloween robię to za każdym razem. Czy to Gavin? Policja?

Nie wiem nawet, co by było gorsze. Gavin mógłby dowiedzieć się o tym miejscu, tylko gdyby mnie śledził. Christian... to znaczy Nick nie wiedział, gdzie pracuję. Nie mógł mu więc powiedzieć. Co prawda wspomniałam o pracy w ośrodku zajmującym się pomocą ofiarom przemocy domowej, ale w ramach

wolontariatu (co jest półprawdą – wprawdzie zarabiam marnie, ale jednak coś tam zarabiam). No i nie podałam Nickowi nazwy. Jeszcze by tu przyszedł.

Jeśli Gavin wie, gdzie pracuję, zna też moje nazwisko. Moje prawdziwe nazwisko. Vicky Townsend. Połowa naszych funduszy pochodzi z dotacji, więc działamy całkowicie transparentnie. Jesteśmy jak otwarta księga. Moje nazwisko i odciski palców są w rejestrze. Pobrano mi je w celu sprawdzenia, czy nie mam założonej kartoteki.

Podchodzę do okna. Na parkingu stoi radiowóz. Dwóch umundurowanych i uzbrojonych funkcjonariuszy idzie pewnym krokiem w kierunku naszych drzwi wejściowych.

Wróc do tego, co robiłaś wcześniej. Zakupy. Kupony. Dzień jak co dzień. Nic nie wiesz. Christian Newsome? Nigdy o nim nie słyszałam. Nick Caracci? Nie, nie kojarzę.

Nie przyszli tu z mojego powodu. Nie, na pewno nie. To niemożliwe, prawda? Czy może jednak znaleźli jakiś odcisk palca?

– Vicky – Miriam, moja szefowa, zagląda do kuchni.

Patrzę na nią, podnosząc brwi, pełna obaw o to, czy głos mi nie zdrży. Już samo obrócenie głowy sprawia, że bolą mnie żebra. Gavin nieźle mnie urządził.

– Jeden z kaloryferów na górze nie działa – mówi Miriam. – A to ci nowość, co nie?

– Nie... Ooo... – przepełnia mnie poczucie ulgi. – Rzucić na niego okiem?

– Tylko ty posiadasz dar naprawiania takich rzeczy. I potrzebną do tego cierpliwość.

– Jasne, nie ma sprawy. Kto... Czy mi się wydaje, czy ktoś przyszedł?

– Gliny. Chcą porozmawiać z tą kobietą, która przyszła do nas dwie noce temu. Jamie. Chodzi o jej mężulka. Zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

Otrząsam się z nerwów i biorę kilka głębokich oddechów. Nie przyszli tu po mnie.

Idę pogmerać przy tym niedziałającym kaloryferze. Brak klimatyzacji to jedno, ale utrzymanie ciepła to podstawa. W zeszłym roku, w lutym, całkiem padło nam ogrzewanie. Wszystkie koce i farelki poszły w ruch. Modliłyśmy się wtedy z Miriam o to, by ośrodek nie poszedł z dymem.

Na dworze jest zimno. W dodatku mamy tutaj niemowlę. I zerowy fundusz na naprawy.

Udało się. Działa. Trzpień kaloryfera się zablokował. Rozruszałam go i nasmarowałam olejem, żeby nie było powtórki z rozrywki. Żadna filozofia, ale każdy ruch przypominał mi o kopniaku w żebra. Prezencie od Gavina.

Rozprawivszy się z kaloryferem, znowu wyglądam przez okno.

Czy Gavin mnie dziś odwiedzi?

Czy poczeka do jutra. Do trzeciego listopada?

Tak, Gavin stanowi problem. I to przeze mnie. Niedokończoną sprawę.

Nie znoszę niedokończonych spraw.

90

Jane

– Pani Bilson, właśnie dlatego zwołaliśmy to spotkanie – mówi Alex Galanis, burmistrz Village, siedzący pośrodku długiego stołu. – Zależy nam na transparentności. Na ile to oczywiście możliwe w tych okolicznościach. Naszym priorytetem jest dobro śledztwa.

Jane uśmiecha się półgębkiem. Spotkanie dla mieszkańców zostało zaplanowane na ósmą rano specjalnie po to, by przyszło możliwie jak najmniej ludzi. Niestety, plan się nie powiódł. W sali jest ponad czterysta osób. Wszystkie ściśnięte jak sardynki. Wszystkie na stojąco. Sierżant Burke cieszy się z całego serca, że nie musi tam być osobiście. Dzięki monitoringowi wizyjnemu ogląda to przedstawienie wraz ze swoim partnerem, Andym Tate'em, siedząc wygodnie w gabinecie komendanta.

– Eee... już jest trzeci listopada – mówi pani Bilson, stojąc na podium. – Mieliście całe dwa dni na śledztwo, a wychodzi na to, że nikt nic nie wie. A przynajmniej nic nie chcecie nam powiedzieć. Nie wiemy nawet, jak umarła. Czy to prawda, że ktoś ją podduśił?

– Że co? Chyba chodziło jej o „udusił”? – Jane zawsze miała niską tolerancję dla takich błędów. Andy daje jej kuksańca.

– ...jak już wcześniej zostało wspomniane, dla dobra śledztwa nie możemy zdradzać żadnych szczegółów – mówi komendant Carlyle. – Możemy powiedzieć jedynie tyle, że doszło do zabójstwa.

– Jakież tropy? Czy to prawda, że sprawca miał na sobie kostium?

– Proszę pani, powtórzę jeszcze raz...

– Rany, jak dobrze, że mnie tam nie ma – mówi Andy. – Jeśli kiedykolwiek powiem, że chciałbym zostać komendantem, przypomnij mi o tym spotkaniu.

– Nazywam się Donald Fairweather. Doszły nas słuchy, że to była jakaś inicjacja do gangu. Podobna do tych, które mieliśmy tu parę lat temu ze złodziejami samochodów. Czy to prawda?

Jane zasłania oczy ręką. Trzy lata temu w Village drastycznie wzrosła liczba kradzieży samochodów. Rzeczywiście, były one powiązane z działalnością gangu, ponieważ stanowiły jeden z etapów inicjacji potencjalnych członków. Potrzeba było współpracy policji z pięciu miast, w tym Chicago, by to rozgryźć.

– No cóż, myślę, że wszyscy chcielibyśmy wiedzieć o tym, że jakiś gang z Chicago morduje u nas ludzi!

– Proszę pana... Panie Fairweather – jak już wcześniej wspomnieliśmy, jesteśmy przekonani o tym, że do zabójstwa doszło z pobudek osobistych. Związanych ściśle z rodziną Betancourtów.

– Czy to znaczy, że jesteście blisko rozwiązania sprawy?

– Kurna, właśnie tego się obawiałam – mówi Jane. – Czego ci ludzie chcą? Nieudolnego śledztwa? Rzucania oskarżeniami na lewo i prawo? Czy może ciężkiej i rzetelnej pracy, wolnej od uprzedzeń i przedwczesnych osądów?

– Ludzie się boją – mówi Andy. – Łatwo ulegają emocjom, bo nie przywykli do czegoś takiego.

– Czy wzmożono częstotliwość patroli w Village?

– Uważamy, że nie jest to konieczne – mówi komendant – jako że ta sprawa nie wiąże się z zagrożeniem dla ogółu mieszkańców.

– Ale to... – burmistrz Galanis patrzy na komendanta – ...jest coś, co moglibyśmy zrobić, prawda, panie komendancie?

No pięknie. Szef na sto procent jest zachwycony tym pomysłem. Oczywiście, panie burmistrzu. Ile tylko patroli pan zechce. Tylko proszę najpierw wyczarować nam na to fundusze.

Jane sprawdza godzinę na swoim zegarku. Ona i Andy mają się wkrótce spotkać z sierżantem Cheronisem w centrum Chicago.

– Skoro jesteście tacy pewni, to czemu nikogo nie aresztowaliście?

– Przeprowadziliśmy się tutaj, żeby uciec od przemocy w Chicago – mówi jakaś kobieta. Jane umknęło jej imię. – Czy to będzie również tutaj normą?

Po raz czwarty (co najmniej) komendant mówi:

– Sprawa nie wiąże się z zagrożeniem dla ogółu mieszkańców. Jesteśmy przekonani co do tego, że motywy zabójstwa są ściśle związane z rodziną Betancourtów.

No i się zaczęło. Pal licho kulturę osobistą. Do diabła z procedurami. Wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Mówić jeden przez drugiego. Każdy zadawał jeden z wariantów tego samego pytania:

– To kiedy rozwiążecie tę sprawę?

91

Simon

Czwartek rano. Trzeci dzień śledztwa. Trzeci dzień listopada.

Wczoraj wieczorem miałem się spotkać z Jane Burke. Przygotowywałem się do tego na różne sposoby, w tym mentalnie. A później zadzwoniła i wszystko odwołała. A raczej przełożyła. Na dzisiaj.

Dlaczego? Nie mam pojęcia. Czy znaleźli już ciało Christiana i zielony telefon? Zapewne tak. Możliwe, że właśnie to było powodem zmiany terminu naszego spotkania. Tak. Z dużą dozą prawdopodobieństwa właśnie tak było. A przynajmniej tak być powinno. Christian miał telefon zawierający pełną konwersację esemesową z Lauren. Na jego łóżku leżał kostium Ponurego Żniwiarza, a niedaleko jego stóp leżały zabłocone buty z charakterystyczną podeszwą. Na tej podstawie ciężko jest wysnuć inny wniosek niż następujący: Christian sypiał z Lauren, ona chciała zerwać znajomość, a on nie mógł tego przeżyć (jak się później okazało, całkiem dosłownie) i ją zabił.

Niedługo policja uzyska dostęp do CSLI obu numerów. Kwestia czasu. Może nawet już ma historię lokalizacji? Jeśli znaleźli Christiana, to szybko połączą kropki. W końcu wszystkie esemesy z zielonej komórki (z drobnym halloweenowym wyjątkiem) były pisane i wysyłane albo z jego apartamentu w Wicker Park, albo z budynku, w którym pracował.

No to chyba szach-mat. Koniec gry. Nieprawdaż?

Dzisiaj siedzę w domu kompletnie sam. Mogłem pójść do pracy, ale Jane nie była pewna, o której będzie mogła ze mną porozmawiać, a ja nie chciałem, żeby przychodziła do mnie na uczelnię. Więc powiedziałem jej, że popracuję z domu i może przyjść w najbardziej dogodnej dla siebie porze. Miałem wrażenie, że wyluzowany i niewinny człowiek właśnie tak by się zachował.

Przeglądam dzisiejszą poranną gazetę. W „The Tribune” niewiele piszą o sprawie zabójstwa Lauren. No tak. Jeszcze za wcześnie. Tak przypuszczam. Nie ma też żadnej wzmianki o śmierci Christiana. Przynajmniej na razie. Ot, kolejna osoba, która dokonała swego żywota w wielkim mieście.

Ale wciąż trzymam się twardo i nie zaglądam do internetu. Nie. Nie zrobię tego. Nie ma szans. Pozostaje mi więc tylko poranna gazeta i zawarte w niej szczątkowe informacje. To sprawia, że ogarnia mnie niepokój. A przecież wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że „dni po” będą przepełnione nerwami,

frustracją i strachem. Na tym etapie mogę już tylko wierzyć w swój plan. Tja. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Słyszę dzwonek do drzwi. Siedzę na górze przed komputerem. Właśnie odpowiadałem na maile studentów.

Jane powiedziała, że zadzwoni z wyprzedzeniem. Poinformuje mnie, o której będzie. Podnoszę komórkę i sprawdzam, czy nie mam żadnych nieodebranych połączeń. Nic.

Wyglądam przez okno.

Przed moim domem z wypiętą piersią stoi krótkowłosa mężczyzna ubrany w garnitur.

Schodzę na dół i otwieram drzwi.

– Simon Dobias? – upewnia się.

– Taak... a pan kim jest?

Wyciąga odznakę. Widać, że chce nią przyszpować.

– Agent specjalny John Crane. FBI – mówi. – Chciałbym pomówić z panem na temat Lauren Betancourt oraz pańskiej żony Vicky.

– Ja... Przepraszam... czy mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko? – pytam.

Po raz kolejny pokazuje mi odznakę i mówi:

– Jestem John Crane. Agent specjalny FBI.

Nieeee... wcale nie. Jesteś Gavin Finley, kumpel Christiana.

– Oczywiście – mówię. – Zapraszam do środka.

92

Jane

Jane Burke i Andy Tate siedzą o dziesiątej rano w pokoju przesłuchań sąsiadującym z salą odpraw w czternastym dystrykcie Departamentu Policji Chicago.

– Nicholas Christopher Caracci – mówi Jane, przerzucając strony. – Znany także jako Collin Daniels, Richard Nantz, David Jenner... – zamyka akta.

– No i Christian Newsome – mówi sierżant Don Cheronis. – Niezły krętacz. Obierał sobie za cel bogate mężatki. Uwodził je, nakłaniał do rozwodu i wyboru jednorazowej wpłaty w ramach ugody rozwodowej. Wielokrotnie zmieniał miasta i tożsamości.

– Czyli... co? – mówi Andy. – Upatrył sobie Lauren na kolejny cel, ale sam się w niej zadurzył? A kiedy go rzuciła, to mu odwalilo?

Jane wzrusza ramionami i mówi:

– Jasne, mogło tak być. Co nie znaczy, że tak było.

– Taa... ale Jane...

– Przecież powiedziałam, że mogło tak być. OK? – odpowiada sierżant Burke.

Sierżant Don Cheronis odpala nagranie na komputerze.

Jane i Andy stoją tuż za jego plecami i oglądają.

Na czarno-białym nagraniu kiepskiej jakości widać, jak taksówka zatrzymuje się przy skrzyżowaniu ulic North, Milwaukee i Damen w Chicago. Z tylnego siedzenia po prawej stronie taksówki wysiada postać w kostiumie Ponurego Żniwiarza.

– O! To to! – mówi Dembe Abimbola, taksówkarz, który zrezygnował ze swojej pracy księgowego w Nigerii, by przenieść się do Stanów Zjednoczonych osiemnaście miesięcy temu. – To moja taksówka. To jest ten mężczyzna.

– To był ten mężczyzna – mówi Jane.

– Tak, tak.

– Rozmawiał pan z nim?

– W kółko powtarzał, to samo: „Ale spierdoliłem. Ale spierdoliłem”.

– Ale spierdoliłem? – Jane upewnia się, że dobrze zrozumiała. Mężczyzna mówi naprawdę niezłe po angielsku, ale widać od razu, że to jego drugi język.

Ma bardzo ostry akcent.

– Tak, właśnie to mówił. Pytałem, czy wszystko w porządku i czy mogę jakoś pomóc. Nie chciał pomocy. Mówił tylko „Ale spierdoliłem. Ale spierdoliłem”.

Jane puszcza resztę nagrania. Niestety, te głupie kamery umieszczone w najbardziej newralgicznych rejonach Chicago nie pozostają w jednym miejscu. Rotują. Stąd nie udało się uchwycić wszystkiego. Zanim obróciła się znowu w odpowiednie miejsce, postać była widoczna już tylko od tyłu. Kierowała się w stronę Winchester. Czyli tam, gdzie mieszkał Christian Newsome – Nicholas Caracci.

– Czy przyjrzał się pan jego twarzy? – pyta Jane.

– Widziałem tyle co pani – w tym momencie Abimbola wskazuje na monitor, na zakapturzoną postać. – Nie widziałem jego twarzy, nie. Nie przyglądałem się. Prowadziłem.

Cheronis i Burke wymieniają spojrzenia.

– Coś jeszcze? – Don pyta Jane.

Sierżant Burke przerzuca to pytanie na Abimbolę:

– Czy przypomina pan sobie coś jeszcze?

– Dał mi dobry napiwek – mówi mężczyzna.

– Ach taak?

– Tak, dał mi sto dolarów, a powinien był zapłacić może ze dwadzieścia pięć. Takich, co dają dobre napiwki, dobrze się zapamiętuje.

Jane zerka na Andy'ego, po czym mówi:

– Coś o tym wiemy.

Wróciwszy na komendę, Jane i Andy zabierają się do czytania akt dotyczących Nicholasa Caracciego, przekazanych przez FBI. Jedzą przy tym kanapki podgrzane w mikrofalówce, choć jest już grubo po porze lunchowej. Dzwoni telefon Jane. Sierżant rozpoznaje numer i ustawia tryb głośnomówiący.

– Mamy wyniki toksykologii – mówi zrzędlwym głosem Cheronis. –

W organizmie Caracciego oprócz alkoholu znajdowało się ponad czterdzieści miligramów diazepam. Normalna dawka to coś koło dziesięciu miligramów.

– Czyli to mogło wystarczyć, żeby przedawkował? – pyta Jane.

– Jest to możliwe. Medyk sądowy stwierdził, że biorąc pod uwagę jego budowę, na dwoje babka wróżyła. Oczywiście to nie były jego słowa, ale wiecie, o co chodzi. Jedno jest pewne. Ta dawka wystarczyła, żeby w krótkim czasie zrobił się senny i otepiały.

– Diazepam... – mówi Jane. – Znaczy się valium?

– Tja. Standardzik. Typowy środek uspokajający.

Jane patrzy na Andy'ego i mówi:

– Hmm... no proszę. Może został mu podany bez jego wiedzy. Na przykład w drinku? Tylko kto mógłby zrobić coś takiego? Podać komuś daną substancję w napoju bez jego wiedzy? Masz jakiś pomysł?

– Proszę bardzo – mówi zarządca budynku Grant Thornton Tower, solidnie wyglądający mężczyzna w ciemnym garniturze. – Mam poczekać tutaj czy wolicie państwo po mnie zadzwonić, kiedy skończycie?

– Damy znać – odpowiada Andy.

Wnętrze biura Newsome Capital Growth, apartament 1320. To miejsce z całą pewnością nie wygląda, jakby było gotowe na przyjęcie gości. Ani trochę.

– Wygląda na to, że pan Caracci planował zmianę siedziby – podsumowuje Andy.

W biurze świeci pustkami. Na biurku w recepcji widać miejsce, w którym wcześniej stał monitor. Odznacza się inną warstwą kurzu. Spod biurka wystaje kabel zasilający. Jane i Andy podchodzą bliżej. Na wykładzinie pod biurkiem odznacza się prostokątne wgniecenie. Prawdopodobnie stał tu komputer. Ktoś dokładnie przetrząsnął szafki w recepcji i w dużej mierze je opróżnił.

– Komputer i papiery zabrane... – mówi Andy. – Usunął stąd wszystkie ślady swojej obecności.

– Swojej albo kogoś innego – zauważa Jane. – Czy tak zachowuje się ktoś, kto zamierza popełnić samobójstwo? Czy kogoś, kto strzela sobie w łeb, obchodzi, co ludzie powiedzą? Po co w takiej sytuacji ukrywać swoje szwindle czy ślady obecności Lauren?

– Wiem, do czego zmierzasz, ale... – mówi Andy, zamykając szufladę. Ma na sobie rękawiczki na wypadek, gdyby to miejsce miało być później sprawdzane pod kątem odcisków – ...może pierwotnie zamierzał zabić tylko Lauren i dlatego chciał pozbyć się wszelkich śladów jej obecności ze swojego biura. Może nie planował samobójstwa. Pomieszał alkohol z lekami i zebrało mu się na wyrzuty sumienia. Emocje wzięły górę i nagle przystawienie sobie pistoletu pod brodę wydawało się najlepszym pomysłem na świecie. Nie możesz wykluczyć takiej możliwości.

– To prawda, nie mogę wykluczyć takiej możliwości – przyznaje Jane. Andy ma rację. Mogło tak być. – I nie podoba mi się to.

Idą przeszukać gabinet. Jest naprawdę imponujący. Pasuje do kogoś takiego jak Nicholas Caracci, czyli faceta podającego się za Christiana Newsome'a – bogatego i genialnego inwestora. Jest tu barek, kanapa i trzy telewizory. Do tego

eleganckie, duże, masywne stalowe biurko oraz drogie dywany. Tak, to odpowiednia oprawa dla jego małego przedstawienia.

Jednak tutaj również nie znajdują niczego w szufladach. Komputera też nie ma.

Nie wiadomo, kto i co tu robił.

Gdy znajdują zarządcę budynku, ten pyta:

– Czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc, sierżant Burke?

Nienaganne maniery. Choć w sumie większość osób pokazuje się policji od jak najlepszej strony, kiedy ta przychodzi węszyć.

– Bardzo dziękujemy za pana dotychczasową pomoc – mówi Jane. – Potrzebujemy już tylko jednej rzeczy. Czy prowadzicie państwo rejestr wejść i wyjść z budynku? Księgę odwiedzin?

Jane i Andy przechodzą przez niską bramę i idą małym ogródkiem do budynku przy Lincoln Park, w którym mieszkają trzy rodziny. Jane znajduje guzik przy nazwisku Fielding.

– Nadal w to nie wierzysz – mówi Jane do Andy’ego. To nie było pytanie.

– Tego nie powiedziałem. Po prostu wolę zachować otwarty umysł.

– No dobrze, partnerze – mówi Jane i naciska guzik. Słychać bzyczenie.

– Halo? – ktoś mówi skrzekliwie przez głośnik.

– Emily Fielding?

– Tak?

– Nazywam się Jane Burke. Jestem z policji w Grace Village. Spokojnie, nie przyszliśmy tu w pani sprawie. Chcielibyśmy tylko zadać pani kilka pytań odnośnie do pani pracodawcy Christiana Newsome’a.

93

Simon

– Proszę iść przodem – mówi Gavin, choć muszę pamiętać, żeby tak go nie nazywać. „Agent specjalny John Crane” – tak mi się przedstawił.

– Możemy sobie tutaj usiąść – mówię.

Zapraszam go do salonu, czyli pierwszego pomieszczenia widocznego z korytarza po wejściu do domu – wedle projektu mojej matki. Kiedy byłem mały, rodzice nie pozwalali mi tu wchodzić. Sami też rzadko korzystali z tego pomieszczenia. Lubili urządzać prośzone obiady, ale do salonu zapraszali gości tylko na kawę i deser. Niczego tu nie zmieniałem. Zachowałem wszystkie stare meble.

Kanapa jest twarda, więc właśnie na niej sadzam Gavina, a sam wybieram jeden z foteli, na których leżą staromodne aksamitne poduszki. Chociaż kto wie, może moda zatoczyła koło i są teraz na czasie?

– Więc... proszę mi powiedzieć, w czym mogę panu pomóc? – pytam.

Widziałem Gavina parę razy na patio Christiana, ale z bliska wydaje się trochę straszniejszy. Ma szeroką szyję, ramiona i klatę. Do tego głęboko osadzone oczy. Drapieżne spojrzenie. Do tej pory nie spotkałem nikogo, kto tak bardzo przypominałby mi Mitchella Kitchensa.

– Panie Dobias, czy zna pan niejakiego Christiana Newsome’a?

Udaję, że się zastanawiam, po czym mówię:

– Nie, nie znam nikogo takiego.

– A czy zna pan może Nicka Caracciego?

Rozkładam ręce.

– Nie, przykro mi – odpowiadam.

– A Lauren Betancourt? Ją chyba pan zna... prawda, panie Dobias?

Aj, nie najlepsza strategia. Marnie skonstruowane pytanie. Prawdziwy agent FBI, w przeciwieństwie do kogoś, kto tylko się pod niego podszywa, zadawałby mi otwarte pytania. Dał szansę na popełnienie błędu. Podanie nieprawidłowej odpowiedzi, żeby można mi było zarzucić okłamywanie agenta federalnego.

– Powiedziałbym raczej, że ZNAŁEM Lauren – odpowiadam na to.

– Czemu mówi pan o tej znajomości w czasie przeszłym? Dlatego że niedawno została zamordowana?

Ajajaj... agencie Gavinie! Znów wszystko nie tak. Nie odpowiadaj na własne pytania. Daj mi sznur, żebym mógł sam się powiesić (wybacz aluzję).

– Mówię o niej w czasie przeszłym – tłumaczę – ponieważ nie miałem z Lauren kontaktu od dziewiętnastu lat.

Gavin stara się zachować kamienną twarz, jak na agenta FBI przystało, ale lekko się skręca. Zabawnie to wygląda u osoby siedzącej.

– Przez ostatnie dziewiętnaście lat nie miał pan żadnego kontaktu z Lauren?

– Zgadza się. Od 2003 roku. Wprawdzie wyjechała z Chicago w 2004, ale ostatni raz rozmawiałem z nią w 2003 roku – wyjaśniam. – Słyszałem, że wróciła. I wiem też oczywiście, że niedawno umarła.

Na to Gavin podnosi palec do góry. Jest teraz o wiele bledszy niż jeszcze kilka minut temu.

– Panie Dobias, zdaje pan sobie sprawę z tego, że okłamywanie agenta federalnego jest przestępstwem?

Tak. Jestem tego świadom. I nie kłamię. OK, odezwałem się do Lauren, kiedy była już martwa, ale według mnie to się nie liczy.

Nie zamieniłem z Lauren ani jednego słowa od dnia, kiedy skonfrontowałem się z nią w dość delikatnej sprawie – pieprzenia mojego ojca.

– Panie Dobias... wiemy, że miał pan romans z Lauren – mówi.

– Że co proszę? Myśli pan, że miałem romans z LAUREN? To ostatnia osoba, do której chciałbym się zbliżyć.

Najszczęśliwsza prawda.

– Panie agencie Crane... – kontynuuję – dlaczego pan uważa, że sypiałem z Lauren? Czy jest ku temu jakiś konkretny powód?

Oczywiście, że jest. Całkiem prosty. Christian mu to powiedział.

– Czytaliśmy pana pamiętnik, panie Dobias.

Praktycznie rzecz biorąc, to Christian czytał ten pamiętnik. Wolę określenie „dziennik”, ale nieważne. Nie czas, żeby się spierać o terminologię.

– Jaki pamiętnik? – pytam. – Nie prowadzę żadnego pamiętnika.

Przyznam, że akurat z dziennika jestem naprawdę dumny. Był taki melodramatyczny. Pełen wzlotów i upadków. Pełen pasji. Jak większość romansów. Jasne, było w nim ziarnko prawdy. W końcu najlepsze kłamstwa to te najbliższe prawdzie, czyż nie? Ale tak – w przeważającej mierze był fikcją literacką. Burzliwy romans? Moje rozdarcie wewnętrzne? Cięża Lauren? Ściema, ściema i jeszcze raz ściema. Jednak to nie była sztuka dla sztuki. O nie. To było potrzebne. Dla Christiana. Za pomocą dziennika mogłem upchnąć w jednym miejscu jak najwięcej soczystych szczegółów w strawnej i uporządkowanej formie.

Gavin pochyła się do przodu.

– Czy mam rozumieć, że pan zaprzecza? Twierdzi pan, że nie opisywał swojego romansu z Lauren w pamiętniku?

– Tak właśnie twierdzą. Nie prowadzę pamiętnika, agencie Crane. I gdyby znał mnie pan choć trochę, wiedziałby pan, że wolałbym uraczyć się cyjankiem niż wdać w romans z Lauren Lemoyne czy tam Betancourt. Nieważne.

– To... – Gavin potrząsa głową. – To niemożliwe.

– Skoro jest pan taki pewny – mówię – to proszę mi pokazać ten pamiętnik, agencie Crane.

– Panie Dobias, doskonale pan wie, że to tak nie działa.

– Cóż... w takim razie ktoś napisał jakieś słowa na kartce, zgadza się? Każdy mógł to zrobić. Napisać, co mu się żywnie podoba, czyż nie? To, że coś jest na papierze, nie oznacza, że jest prawdą.

Gavin odchyła się do tyłu. Zaczyna łapać. Wie tylko tyle, ile powiedział mu Christian, a ten łyknął wszystko jak młody pelikan.

Doprawdy paradne. Ten facet sam jest oszustem. Do tego bratającym się z innym oszustem. A jednak wzięcie pod uwagę możliwości, że to ONI zostali oszukani, wydaje się w tym momencie wykraczać poza granice jego zdolności poznawczych. Nie mieści mu się to w głowie.

O wiele łatwiej jest oszukać człowieka, niż go przekonać, że został oszukany.

– Zamierzał pan rozwieść się z żoną. Zostawić ją dla Lauren – mówi Gavin, choć tym razem w jego głosie nie słychać już wcześniejszej pewności. Zaczyna pojmować, że łód pod jego stopami jest o wiele cieńszy, niż przypuszczał.

Prawie dławię się swoim własnych chichotem.

– Pan żartuje, prawda? – pytam.

– Nie zamierzał pan rozwieść się z żoną?

– To naprawdę niedorzeczne.

– Nie jesteście państwo w separacji?

Potrząsam głową i mówię:

– Pojęcia nie mam, skąd pan czerpie te inf...

– TO GDZIE ONA JEST?! – wybucha Gavin. – Gdzie obecnie przebywa pana żona, Vicky? Obserwowaliśmy pana, panie Dobias, i od halloweenowej nocy, w którą zarówno Lauren Betancourt, jak i Christian Newsome zostali zamordowani, pańska żona nie wróciła do domu.

– Jest na to całkiem dobre i proste wytłumaczenie.

– Ach tak? W takim razie proszę mnie oświecić.

Układam ręce wokół ust tak, jakbym chciał krzyknąć. Zamiast tego mówię lekko podniesionym głosem:

– Nie mam żony! Nie jestem żonaty i nigdy nie byłem!

Gavin nie tak wyobrażał sobie to spotkanie. Myślał, że pójdzie gładko. Niedoczekanie. Kładzie jedną rękę na oparciu kanapy, jakby miał się zaraz przewrócić.

– Vicky Lanier – mówi, sapiąc i wymachując rękoma.

– Vicky... jaka Vicky?

– Vicky... Lanier – mówi prawie błagalnym głosem.

– Pierwsze słyszę.

– Kobieta, która z panem mieszka – mówi.

– Nikt ze mną nie mieszka. Żadna Vicky ani ktokolwiek inny. Mieszkam sam. Jestem kawalerem. Nie mam żony. Co więcej, nie mam nawet dziewczyny.

Nie mam, ale miałem. Kocham Vicky Townsend. Poprosiłem ją nawet o rękę. Nie zgodziła się. Potem poprosiłem po raz drugi, na co ona znów odrzuciła moje oświadczenia. Zerwała ze mną, bo widziała, że chcę ślubu i dzieci, a ona nie mogła się na to zdobyć. Przynajmniej nie ze mną.

Ostatnie kilka miesięcy, choć stresujące z powodu tego całego knucia, były o tyle szczęśliwe, że Vicky ze mną mieszkała. Zawsze przychodziła i wychodziła tylnym wejściem, pod osłoną ciemności i wysokiego ogrodzenia, ale cieszyłem się jak głupi, że znów była blisko. Żałuję, że nie może zostać ze mną na zawsze. Jednak to, co miałem jej do zaoferowania – miłość, wierność i zaangażowanie – nie wystarczyło.

– Jest pan żonaty od dziesięciu lat, panie Dobias. Dziś mija dziesięć lat.

Biedny Gavin. Wciąż desperacko próbuje utrzymać się na powierzchni.

Dziesięć lat temu nawet nie znałem Vicky. Poznaliśmy się przed trzema laty na spotkaniu SOS. To było niedługo po tym, jak siostra Vicky przedawkowała OxyContin. Ale tak, Christian otrzymał inne informacje. Vicky powiedziała mu o zbliżającej się dziesiątej rocznicy ślubu, a ja czerpałem garściami z tego motywu w swoim dzienniku.

– Widzieliśmy pozew o rozwód – dodaje Gavin.

– Brzmi jak kolejna fałszywka, podobnie jak ten cały pamiętnik – mówię.

– Widzieliśmy akt małżeństwa.

– Cóż, w takim razie najwyraźniej również został podrobiony, agencie Crane. Myśli pan, że jak trudno zrobić coś takiego? Zresztą proszę sprawdzić w rejestrze hrabstwa Cook, czy jestem żonaty.

– Jeśli małżeństwo zostało zawarte za granicą, niekoniecznie będzie widnieć w naszym rejestrze – do oczu zaczynają mu napływać łzy. Najpewniej łzy wściekłości.

– ZAGRANICZNY akt małżeństwa? Kurde, brzmi jak coś, co jeszcze łatwiej podrobić.

I muszę przyznać, że rzeczywiście było całkiem łatwo. Wystarczyło pobrać wzór dostępny online i edytować go w PDF. Zajęło mi to może z pół godziny. Nie więcej. Vicky mi z tym pomogła. Podobnie jak z dziennikiem. Pomogła mi spojrzeć na niektóre rzeczy z kobiecej perspektywy. To było bardzo cenne.

Rzecz w tym, że kiedy do takiego oszusta jak Christian przychodzi z obrączką na palcu – tak na marginesie, należąca do mojej matki – taka kobieta jak Vicky i mówi, że jest żoną Simona Dobiassa, czemu miałby jej nie wierzyć? Po co miałaby kłamać w takiej sprawie? Próba oszukania Vicky pochłonęła go do tego stopnia, że nie połapał się, kto tak naprawdę od początku był celem – on sam.

– Jest p-pan benef-ficjentem... trustu – jąka się Gavin – P-ponad dwadzieścia m-milionów do-dolarów.

– Tak, to prawda. Zgadza się – mówię, bo tak właśnie jest.

Po raz pierwszy w trakcie naszej rozmowy Gavin zobaczył płomyczek nadziei. Otrzymał odpowiedź, jaką chciał usłyszeć. Jednak nawet nie zdaje sobie sprawy, jak malutki to płomyczek i jak łatwo go zgasić.

– I zgodnie z jego postanowieniami pańska żona nie uzyska dostępu do tej kwoty przed dziesiątą rocznicą ślubu, zgadza się?

To też prawda. Dzięki, tato. To właśnie te postanowienia podsunęły nam nasz pomysł. W oczach Christiana zabicie Lauren musiało się stać nagłą koniecznością. Więc zaczęliśmy od końca. Jaki dzień byłby najlepszy na zabójstwo? Halloween. OK, czyli nasza dziesiąta rocznica przypada parę dni po Halloween.

Christian musiał się dowiedzieć o komplikacjach i szykowanym pozwie o rozwód na kilka dni przed Halloween. Tak, by miał niewiele czasu na zastanowienie się, co robić dalej. Na podjęcie decyzji. Tak, by czuł, że nie ma innego wyboru, jak zabić Lauren dla tych pieniędzy.

– Sporo pan wie o moim truście – mówię. – Muszę przyznać, że jest to dość niepokojące.

– Dzisiaj obchodzą państwo dziesiątą rocznicę ślubu – mówi uparcie.

Na to ja uśmiecham się tylko i odpowiadam:

– Wie pan, jak to wygląda? – mówię. – Wygląda to tak, jakby ktoś zrobił niezły przekręt. Ta cała Vicky Lanier... dobrze zapamiętałem? Na bank tak się nie nazywa.

Nie mogłem się powstrzymać. Vicky powiedziała mi, że Gavin jest na jej tropie. Wiem też, że zarobiła od niego mocnego kopniaka w żebra.

– Czegóż mi pan nie mówi. Co to takiego? – Gavin schodzi z kanapy. Ja wciąż siedzę w fotelu, więc góruje teraz nade mną.

– O co chodzi? Mówię, jak jest. Odpowiadam na każde pana pytanie. Nie mam nic do ukrycia.

Słyszę bzyczenie mojego telefonu. Gavin też. Podnoszę komórkę ze stolika kawowego, który stoi między nami. To esemes od Jane Burke.

– Mam kolejne spotkanie za... wychodzi na to, że za kilka minut.

– Proszę je odwołać – mówi, wciąż stojąc dość blisko mnie. Nade mną.

– Mam odwołać spotkanie z policją z Grace Village? – pytam.

– Z... co?

– Z policją z Grace Village – powtarzam. – Chodzi o zabójstwo Lauren. Powinien pan zostać. Wymienić się z nimi spostrzeżeniami. Prawdziwa współpraca stróżów prawa, mam rację?

Jakimś cudem udaje mi się zachować powagę, podczas gdy Gavin przebiera nogami, myśląc szybko, co by tu zrobić w zaistniałej sytuacji.

– Albo proszę zostawić swoją wizytówkę. Przekażę ją tym funkcjonariuszom – dodaję. – Ma pan wizytówkę, prawda, agencie Crane?

– Yyy... prowadzimy oddzielne śledztwo i wolimy, by tak zostało – mówi w końcu.

– Ach tak? Rozumiem. W pana sytuacji w pełni to rozumiem.

– Co pan ma na myśli? – pyta.

Wstaję i podchodzę do okna. Patrzę na ulicę. Podobno dziś może spaść śnieg.

– Mam na myśli to, że Nick ostro się przeliczył. Przecenił swoje możliwości i wpadł po uszy – mówię. – A to znaczy, że ty też, Gavinie.

– Że co? – gwałtownie obraca głowę. – Jak mnie nazwałś?

– Gavin Finley – mówię. – Który myśli, że dostanie dziesięć milionów dolarów od Vicky Lanier. Ale nic z tego, Gavin. Nie dostaniesz ani centa. Ach, już tu są. Policjanci. Właśnie parkują samochód – obracam się w kierunku Gavina. – Raczej nie będziesz wychodził od frontu, prawda?

– Ja... nie wiem, to nie... – wysuwa brodę do przodu. – To jeszcze nie koniec, dupku.

– Koniec, koniec. A co? Chcesz powiedzieć glinom wszystko, co wiesz? Proszę bardzo, nie krępuj się. Droga wolna. Nic na mnie nie znajdą. Niczego nie będą w stanie mi zarzucić. Ani mnie, ani tej kobiecie widmo, „Vicky”, która... ojej... nie uwierzysz... pewnie używa lewej tożsamości. Pamiętnik? Akt małżeństwa? Pozew o rozwód? Nie istnieją. Już nie. Ale gliny z pewnością będą ciekawe, skąd TY tyle wiesz. Wezmą cię na widelec. Jesteś na to gotowy? Na prześwietlenie przez policję tych twoich wszystkich drobnych szwindli? Nie wydaje mi się. Za to wydaje mi się, że liczyłeś na tę kasę z trustu. Ale niestety. Dałeś ciała. I ciesz się, że nie jest gorzej. Bo mogłoby być. A właściwie wciąż

może być. Lepiej, żebyś nie wiedział, jaki mam plan awaryjny. Na twoim miejscu nie próbowałbym się przekonać.

– Kurwa... zabiję cię, do kurwy nędzy, jeśli cokolwiek im o mnie powiesz – pokazuje mi pistolet przy swoim biodrze, jakbym nie wiedział, że go ma i może mnie nim zabić.

– Właśnie wysiadają z auta, Gavin.

– Jedno słowo o mnie i nie żyjesz.

– Myślisz, że tego nie wiem? Nie zamierzam im o tobie mówić. To w żaden sposób mnie nie urządza. Najlepsze, co w tej sytuacji możesz zrobić, Gavin, to rznąć głupa. Jeśli chodzi o życie uczuciowe Nicka, to na twoim miejscu powiedziałbym, że niewiele wiem na ten temat. Caracci nie był zbyt wylewny, jeśli o to chodzi. Za to pomógłbym im zrozumieć jego decyzję o samobójstwie: Christian miał depresję, wahania nastroju, potrafił strasznie dramatyzować – no wiesz, coś w tym stylu. Zresztą bystry z ciebie facet. Na pewno coś wymyślisz.

Wyciąga przed siebie palec. Chce mi pogrozić, ale dobrze wie, że byłyby to groźby bez pokrycia.

– Idą chodnikiem, Gavin. Na twoim miejscu bym się stąd zmywał. Uciekł przez podwórko na tyłach.

Gavin rzuca się do wyjścia. Otwiera na oścież tylne drzwi i znika. Mógł je chociaż za sobą zamknąć.

94

Simon

– Jane Burke. Wow. Miło cię widzieć – mówię. Wygląda w zasadzie tak samo jak w liceum: niesforne kręcone włosy przed ramię, mała okrągła twarz i taki sam nos oraz rumiane policzki. Zawsze ją lubiłem, choć tak naprawdę średnio znałem. Była jedną z tych osób, których nie sposób nie lubić.

Siedzimy w tym samym salonie, w którym wcześniej rozmawiałem z Gavinem.

– Ładny dom – mówi Jane. – Mieszkasz tu sam?

– Tak, sam.

– Nie ożeniłeś się, prawda?

– Zgadza się. Nie jestem i nigdy nie byłem żonaty – mówię, klepiąc dłońmi swoje kolana.

– Spotykasz się z kimś? Masz dziewczynę? – dopytuje Jane.

– Nie, z nikim się nie spotykam. Nie mam dziewczyny.

Kiwa głową, jakby to była zwykła pogawędka. Nie jest.

– Dobrze, w takim razie zaczynamy – mówi, jakbyśmy jeszcze nie zaczęli. – Czy wiesz, czemu tu jesteśmy?

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Jane, czy wiesz, że kiedy policja każe zjechać komuś na pobocze, pierwsze pytanie prawie zawsze brzmi: „Czy wie pan/pani, dlaczego pana/panią zatrzymaliśmy?”. Koszmar. Nie znoszę tego. Zawsze miałem poczucie, że to pogwałcenie prawa Mirandy. W końcu nie można wtedy tak po prostu sobie odjechać, a sformułowane w ten sposób pytanie ma na celu wymuszenie obciążającej odpowiedzi.

– Zawsze byłeś bystrzaczą, Simon – mówi. – Oczywiście masz prawo nas wyrzucić. Mogę cię też „zmirandować”, jeśli wolisz.

– Nie trzeba – odchylam się do tyłu w fotelu. – Domyślam się, że odwiedziliście mnie w związku ze sprawą Lauren Lemoyne. Czytałem o jej śmierci.

Ta wypowiedź jest wynikiem następującego procesu myślowego: gdybym zdecydował się rznąć głupa, Jane musiałaby mi powiedzieć, co się stało, a ja z kolei byłbym zmuszony udawać wielce zaskoczonego wieścią o śmierci Lauren. Problem polega na tym, że nie jestem najlepszy w udawaniu emocji. Cholernie dobry ze mnie reżyser, że tak nieskromnie powiem, ale aktor marny.

– Ach tak? A gdzie o niej czytałeś?

– W „The Tribune”.

– I jaka była twoja reakcja?

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że płakałem po nocach – odpowiadam. – Nie piliśmy sobie z dzióbków. Ale jestem pewien, że doskonale o tym wiesz. Inaczej nie byłoby was tutaj.

Jane nic nie mówi, ale rzuca mi intensywne spojrzenie.

– Jak umarła? – pytam. – W gazecie były zdawkowe informacje.

– Niestety, w tej kwestii nie mogę wchodzić w szczegóły. Kiedy się zorientowałeś, że Lauren wróciła w te strony?

– Wydawało mi się, że widziałem ją ostatniej wiosny – mówię. – W kwietniu? W maju? Jakoś wtedy.

– Gdzie to było?

– W Chicago. Na Michigan Avenue. Przeszła obok mnie. A przynajmniej tak mi się wydaje. W końcu minęło prawie dwadzieścia lat.

– Rozmawiałeś z nią?

– Nie, tylko ją widziałem. Nic więcej. Obróciłem się, żeby spojrzeć na nią raz jeszcze. Upewnić się, że to ona. I tak, odniosłem wrażenie, że to była ona. Tak wyglądała.

– I co zrobiłeś później?

Cóż, niech pomyślę... kilka rzeczy: (1) Pobiegłem do Vicky, żeby jej o tym powiedzieć; (2) Zacząłem tworzyć z Vicky plan zabicia Lauren; (3) Pomyśleliśmy, że skoro Vicky będzie grać przed Nickiem moją żonę, musi też udawać, że ze mną mieszka, na wypadek gdyby Caracci zechciał ją śledzić; (4) Postawiłem porządne ogrodzenie, żeby Vicky mogła spokojnie wchodzić i wychodzić tylnym wejściem niezauważona.

O to mniej więcej ci chodziło, Jane?

– Hmm... później, tego samego dnia obczaiłem ją na Facebooku – mówię. – Znalazłem jej profil, z którego wynikało, że mieszka w Grace Village.

Wolę dmuchać na zimne. Wątpię, żeby do tego doszło, ale jeśli na pewnym etapie śledztwa policja zechce sprawdzić mój komputer, szybko się dowie, że wszedłem na profil Lauren. Wolę powiedzieć o tym sam, z własnej, nieprzymuszonej woli. To stawia mnie w o wiele lepszym świetle.

Wejście na jej profil 13 maja było błędem. Ale wtedy nie myślałem trzeźwo. Byłem w szoku. Nie mogłem w to uwierzyć. Na początku w ogóle nie myślałem o zabiciu Lauren. Ale po licznych rozmowach z Vicky dojrzałem do tej decyzji.

– Skontaktowałeś się z nią?

Przekrzywiam głowę.

– Z kim? Z Lauren?

– Tak, czy...

– Nie. Nie skontaktowałem się z nią. Czemu miałbym to robić? Była ostatnią osobą, z którą chciałbym się skontaktować.

Nie ma sensu udawać, że nie żywię do Lauren urazy. W takich okolicznościach niewinna osoba nie kryłaby swojej niechęci do zmarłej.

Nie skontaktowałem się z nią. Praktycznie rzecz biorąc, mówię prawdę. I istotnie była ostatnią osobą, z którą chciałbym się skontaktować.

– Wciąż należysz do Grace Country Club?

– Tak, jestem jego członkiem, ponieważ moi rodzice nimi byli.

– Kiedy ostatni raz tam byłeś?

– O rany, lata temu.

– Czy byłeś tam choć raz, odkąd Lauren do niego dołączyła?

– Nie wiedziałem, że Lauren była członkinią klubu – mówię. – I nie wiem, kiedy dokładnie wróciła w te strony.

Nie ze mną te numery, Jane. Ale rozumiem, że warto było spróbować.

– Ponoć chodziła tam prawie codziennie – mówi Jane. – Na tenisa, golfa i lunch.

– Jak miło – mówię.

– Czyli nie rozmawiałeś z Lauren ani razu, odkąd zamieszkała w Grace Village?

– Nie, nie rozmawiałem.

– I nie byłeś u niej w domu?

Na to śmieję się i mówię:

– Daj spokój, bez żartów.

– Czy mam rozumieć, że „nie”, Simon?

– Zdecydowanie „nie”. Nie byłem.

– Czyli tak po prostu puściłeś jej płazem, że wróciła? Kobiecie, która ukradła wszystkie pieniądze twojej rodzinie i przyczyniła się do śmierci twojej matki?

– Dobrze wiem, co zrobiła Lauren. Wierz mi. I niespecjalnie lubię wracać do tych wspomnień myślami.

Jane podnosi ręce do góry i mówi:

– Masz rację. Przepraszam. Po prostu każdy szczegół może być ważny. Stąd muszę czasem podrażnić temat. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Rób, co musisz, i miejmy to już z głowy.

– Jasne. Rozumiem. Robi się. Więc, tak dla jasności... – składa razem dłonie i wyciąga je w moją stronę – ...nigdy nie przekroczyłeś progu domu Lauren Betancourt, tak?

– Zgadza się – mówię. Nic mi się nie trzęsie: ani ręce, ani kolana, ani stopy. Nie krzyżuję też rąk, wypowiadając te słowa.

– Czyli nie znajdziemy tam twoich odcisków palców?

– Nie wyobrażam sobie, jak mogłyby się tam znaleźć.

To też prawda. Kiedy tam byłem, cały czas miałem na sobie rękawiczki. Przypuszczam, że Christian również.

– Ale oczywiście możecie to sprawdzić, jeśli chcecie – dodaję. – Nie będę też miał nic przeciwko, jeśli zechcecie pobrać mi odciski palców.

– To nie będzie konieczne.

– Ależ proszę, nie krępujcie się. Żaden problem. Zgadzam się również na pobranie mojego DNA. Czego tylko potrzebujecie. Możemy od razu jechać na komendę i...

– To nie będzie konieczne, Simon. Mamy już twoje odciski. I DNA.

Jej partner, Andy Tate spogląda na nią znad swojego notatnika. Chyba jest zaskoczony, że Jane zdradziła mi te informacje.

– Ach, no tak. OK – odchylam się do tyłu w fotelu. – Od policji w St. Louis, prawda? OK, teraz rozumiem. Cóż, w takim razie pewnie myślicie, że rozgryźliście sprawę. Zabiłem swojego ojca, a potem, po wielu latach, wykończyłem też jego kochankę. Zemsta najlepiej smakuje na zimno. Czy tak?

– Nie wykonywałeś przypadkiem żadnego telefonu do terapeuty z samego rana po Halloween, prawda? – mówi Jane.

Klaszczę w udawanym aplauzie.

– Czyli naprawdę uważasz, że to zrobiłem? – mówię. – Myślisz, że zabiłem Lauren?

– Uważam, że jesteś piekielnie bystrym facetem, który woli pomyśleć, zanim coś zrobi.

– Z jakiegoś powodu mam wrażenie, że to nie był komplement.

Zresztą... na jakim etapie śledztwa mogą teraz być? W końcu jest dopiero czwartek. I ciekawe, co z Nickiem. Czy znaleźli już jego ciało?

– Czy znasz niejakiego Christiana Newsome'a? – pyta Jane.

Aha. Mam odpowiedź na swoje pytanie.

– Nie.

– A Nicka Caracciego?

– Też nie.

– Mogę spytać, jaki masz rozmiar buta?

– Rozmiar buta? – równie dobrze mogę udać, że jestem zaskoczony tym pytaniem. – Hmm... cóż, najczęściej noszę buty w rozmiarze 44 i pół lub 45.

Na pewno nie 47!

– Bywasz może często w Wicker Park? – pyta.

– Ostatnimi czasy nie za bardzo. Ale biegam po całym Chicago. Zmieniam trasy. Więc od czasu do czasu biegam też tamtędy.

– A czy pamiętasz, kiedy ostatni raz byłeś w okolicy skrzyżowania Milwaukee, Damen i North?

– O rany... nie pamiętam.

– A czy byłeś tam może w tym lub zeszłym tygodniu? Tyle chyba powinieneś pamiętać.

– Nie przypominam sobie, żebym tam był w tym lub zeszłym tygodniu – mówię. – Choć nie mogę tego wykluczyć. Gdybym wiedział, że to będzie takie ważne, zapisywałbym wszystko w dzienniku czy coś w tym stylu.

(Wiem, że nie załapie tego żartu, ale nieważne. Nie mogłem sobie odmówić tej małej przyjemności).

– Dużo biegasz, Jane? – pytam.

– Ja? Ostatnio? Nieeee... przecież mój trening sprowadza się do wyciągania nóg na kanapie i pochopnych wniosków, co nie?

Uśmiecham się.

– W takim razie jutro będziesz miała zakwasy.

Na co ona lekko schyla głowę i mówi:

– *Touché*. Ale wracając na chwilę do tematu Wicker Park... mówisz, że tamtędy biegasz. Robisz sobie tam przerwy? Zatrzymujesz się gdzieś na chwilę? Spotykasz ze znajomymi? Na przykład na piwo? Cokolwiek?

– Podczas biegania nie robię sobie przerwy na piwo.

– I nigdy się nie zatrzymujesz? – dopytuje Jane. – Na przykład w okolicy North i Winchester? A może Wabansia i Winchester?

– Winchester, nie kojarzę – mówię. – Znam North Avenue i wiem, że Wabansia jest tuż obok. Bardzo blisko.

– I nie kojarzysz Winchester?

– Nie, nie kojarzę. To jedna z tych bocznych ulic?

– I nigdy nie zatrzymujesz się przy lub niedaleko Winchester, pomiędzy Wabansia i North, żeby wysłać esemesy z jednorazowego telefonu?

– Wow! – mówię. – To się nazywa konkretne pytanie. Bardzo szczegółowe. Widać, że masz pewną teorię. Więc? Mogę spytać, jak brzmi?

– Zadałam ci tylko pytanie, Simon.

– Nie. Nieprawda. Chcesz, żebym wiedział, że masz swoją teorię. Więc proszę. Chcę ją usłyszeć. Cóż takiego tym razem wymyślił geniusz zbrodni? Bo za takiego mnie masz, prawda? – wysuwam się do przodu w swoim fotelu i pochylam w jej stronę. – Znowu dodałem coś do swojego gatorade'a?

Czeka, aż skończę się produkować.

– Skrzykniesz się z tymi policjantami z St. Louis – mówię – i zanim się obejrzą, oskarżycie mnie o uprowadzenie dziecka Lindbergha. Co? Może zabiłem też Kennedy'ego i wrobiłem Lee Harveya Oswalda?

Wygląda na to, że gra pozorów się skończyła. Nie mam pojęcia, ile wie, ale skoro znaleźli już ciało Nicka, powinna mieć całkiem spójną teorię, która potwierdza moją niewinność. A raczej winę Caracciego. Prawdopodobnie znaleźli część jego zestawu przyborów toaletowych w domu Lauren. Dzięki pytaniom Jane o wysyłanie przy Winchester esemesów z jednorazówki wiem, że mają historię lokalizacji. Dowody mówią same za siebie.

A jednak z jakiegoś powodu Jane jest pewna, że patrzy na winnego człowieka. Zawsze wiedziałem, że jest bystra.

– Czy kiedykolwiek byłeś w apartamentowcu, w którym znajduje się mieszkanie Lauren? Tym przy Michigan Avenue?

– Nie.

– Na rogu Superior i Michigan?

– Ani razu nie byłem w jej apartamencie – mówię i to prawda. Nigdy nie byłem w jej apartamencie.

– Ale na pewno wiesz, że mają tam monitoring, prawda? W całym budynku.

Tak, wiem. I byłem tam tylko raz. W lobby. Tego dnia, kiedy zobaczyłem Lauren w maju. To było głupie, ale trudno. Stało się. Nie wspomniałem o tym Jane, ale powiedziałem, że spotkałem Lauren na Michigan Avenue. Więc nawet jeśli nagrania z monitoringu w tym budynku są przechowywane przez tyle miesięcy, zobaczą tylko tyle, że stałem przez kilka sekund w lobby. Więc jest to dość spójne z tym, co powiedziałem wcześniej.

– Ani razu nie byłem w jej apartamencie – powtarzam.

Jane się uśmiecha.

– I jesteś absolutnie pewien, że nigdy nie byłeś w jej domu w Grace Village? Tego na Lathrow?

– Nigdy nie byłem w jej domu. Myślałem, że już to ustaliliśmy.

– A powiedz mi, co robiłeś w halloweenowy wieczór? – pyta Jane. – Gdzie wtedy byłeś?

– W Halloween? Rozdawałem cukierki.

– Do której?

– Do... dopóki mi się nie skończyły – mówię. – Co roku to samo pytanie: ile cukierków kupić? Znasz to, prawda? Jeśli kupisz za mało, nie starczy dla wszystkich. Jeśli kupisz za dużo, trafią do spiżarni i będziesz zmuszona podjadać je powolutku przez całą zimę. Odwieczny dylemat.

Staralem się wyobrazić sobie tę rozmowę od Halloween. Szykowałem się na nią. Przygotowałem sobie ten tekst zawczasu. Chciałem, żeby był zabawny i lekko sarkastyczny. I taki mi się wydawał. W myślach. Ale teraz, w tych okolicznościach, mam wrażenie, że jest jakiś taki wymuszony.

Mogę zakończyć tę rozmowę w każdej chwili i zadzwonić do adwokata. Ale nie zrobię tego, bo muszę się dowiedzieć, ile oni wiedzą. Muszę się upewnić, że nie wpadli na trop Vicky.

– Byłeś sam? – pyta Jane. – Czy ze swoją dziewczyną?

Wciąż nie odpuszcza. Próbuje mnie przyłapać na kłamstwie.

– Byłem sam – odpowiadam. – Nie mam dziewczyny.

– A chłopaka? – mówi Jane. – Nie chcę wściubiać nosa w twoje prywatne sprawy, Simon, ale wiesz, o co chodzi. Czy masz jakąś sympatię?

– Nie mam nikogo takiego. Byłem w domu przez całą halloweenową noc – mówię, starając się zapanować nad głosem. Nie dopuścić do jego drżenia. – Oglądałem Netflixa. Mogę to udowodnić.

Jane przytakuje, jakby właśnie tego się spodziewała.

– Nie wątpię. Co więcej, założę się, że doskonale pamiętasz, co wtedy oglądałeś i jesteś gotowy mi to opisać.

– *House of Cards* – mówię bez entuzjazmu.

Andy stuka Jane w ramię i mówi:

– Świetny serial. O facecie, który manipuluje wszystkimi dookoła. Wykorzystuje ich do własnych celów. A! No i potrafi zabić, jak trzeba.

– A wiesz, co dla mnie jest świetne? – Jane odpowiada Andy’emu. – Fakt, że jeśli chcesz puścić sobie serial na telefonie, wystarczy nacisnąć „odtwórz” i kiedy jeden odcinek się kończy, zaraz automatycznie ładuje się następny. Komórka może sobie tak leżeć całą noc i odtwarzać jeden odcinek za drugim. Tak jakbyś był „seryjnym oglądaczem”. A telefon, oczywiście, cały czas będzie przesyłał sygnał i łączył się z najbliższą wieżą.

– Racja, więc jeśli jest się fanem CSLI – mówi Andy – na przykład, profesorem prawa, specjalizującym się w czwartej poprawce, który wie wszystko o historii lokalizacji telefonu... można to wykorzystać. Uprawdopodobnić w ten sposób twierdzenie, że całą noc siedziało się w domu i oglądało serial.

Podczas całej tej wypowiedzi Jane przytakuje. A potem mówi:

– Racja, tyle że czego to tak naprawdę dowodzi? Tylko tego, że czyjś telefon był w domu całą noc. Natomiast nie uzyskamy informacji, gdzie była dana OSOBA.

Jane kieruje wzrok na mnie.

– Mam rację, Simon?

– Na pewno masz całkiem ciekawą teorię. Ale posługujesz się dość pokrętną logiką – mówię. – Mój telefon był w domu całą noc, więc ja nie byłem? Z takim twierdzeniem raczej daleko nie zajedziesz.

– Ach – Jane macha ręką. – To nic takiego. Tylko drobna przeszkoda. Wciąż mamy przed sobą trochę pracy. No cóż, sierzancie Tate, to by było chyba na tyle,

zgadza się?

– Tak sędę – odpowiada Andy. – Musimy porozmawiać jeszcze z jedną osobą.

– No to jedziemy – mówi Jane. – Porozmawiamy sobie z Vicky.

95

Simon

– Co? – wyrwało mi się, zanim zdążyłem włączyć myślenie. Vicky. Znają jej imię. To, że Gavin je poznał, to jedno. Ale policja?

Jak?

Jane Burke jeszcze przed chwilą próbowała zwlec się z kanapy, robiąc przy tym z siebie przedstawienie. Trochę teatralne. I tak, nie myślę się. To było tylko przedstawienie, ponieważ po wypowiedzeniu przeze mnie tego jednego słowa, od razu siada z powrotem na swoim miejscu i mówi:

– Vicky. Vicky Lanier.

Mają imię i NAZWISKO.

Wzruszam ramionami, ale jestem pewien, że z twarzy całkowicie odpłynęła mi krew. Jeśli w ogóle miało co odpływać. Miejmy nadzieję, że nie.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku.

– Oczywiście, że nie znasz – odpowiada mi Jane. – Nie znasz Nicka Caracciego, nie znasz Christiana Newsome’a... więc czemu miałbyś znać Vicky Lanier.

Jak? Skąd mają jej nazwisko? Z tego fałszywego pozwu o rozwód, który napisałem, żeby Vicky mogła pokazać go Christianowi? Z wpisu w moim fikcyjnym dzienniku? Czy Christian zrobił im zdjęcie telefonem? Vicky była pewna, że nie, ale... może jej to umknęło?

– Wszystko dobrze, Simon? – pyta Jane. – Wyglądasz... jak by to delikatnie ująć... wyglądasz na z lekka zdenerwowanego.

– Denerwujesz się, Simon? – pyta Andy Tate.

– Nie, ja... chyba jestem po prostu trochę ciekawy. Rzucacie różnymi nazwiskami, nie mówiąc mi, o co chodzi.

– To prawda. Masz rację – mówi Jane. – OK, chyba mogę uchylić rąbka tajemnicy.

Siedzę, jakbym był zupełnie emocjonalnie niezaangażowanym słuchaczem. Czyli swoim przeciwieństwem.

– Nick to niezwykle przystojny facet – mówi Jane. – Do tego bardzo zdolny inwestor. Z Vicky łączyła go... duża zażyłość. Wiemy, że uprawiali seks w gabinecie Nicka. Pewnego popołudnia recepcjonistka została odprawiona do domu przed końcem pracy. Ale zanim wyszła, zdążyła usłyszeć niejedną charakterystyczny dźwięk dochodzący zza drzwi jej szefa.

- OK – mówię, przytakując. – A o co chodzi z tą całą Vicky?
- Vicky zależało na śmierci Lauren Betancourt – mówi Jane.
- Ach tak? A dlaczego?
- Hmm... widzę tu dwa możliwe powody. Jeszcze nie wiem, który jest tym właściwym. Powód pierwszy: Nick zdradził Vicky z Lauren, więc Lanier postanowiła się zemścić. Zabiła Lauren. Wrobiła Nicka. A potem i jego zabiła, pozorując samobójstwo popełnione z powodu poczucia winy.
- To brzmi dość ekstremalnie – zauważam.
- Prawda? – mówi tonem graniczącym z kpina. – Dlatego osobiście nie jestem jakąś wielką fanką tej teorii. Druga znacznie bardziej mi się podoba.
- Tak? A jaka jest ta druga?
- Vicky nie działała sama, tylko razem z kimś, kto NAPRAWDĘ pragnął śmierci pani Betancourt – mówi Jane, patrząc mi prosto w oczy. – Na przykład z kimś, kto bardzo ucierpiał z powodu Lauren, która komuś okradła i rozbiła rodzinę. No wiesz, Simon. Z kimś takim.
- WOW! – potrząsam głową. – Masz naprawdę bujną wyobraźnię.
- Nie aż tak bujną. Po prostu łączę ze sobą fakty.
- O! Czyli w tej sprawie zostały wreszcie ustalone jakieś fakty, tak? – teraz moja kolej na lekką kpinę.
- Tak. Do tego całkiem istotne. Na przykład: Nick został zamordowany. Nie popełnił samobójstwa. Zostało upozorowane.
- Czy ona rzeczywiście to wie, czy tylko podejrzewa? Co Vicky schrzaniła? Przecież sam tam później byłem. Widziałem, jak to zrobiła. Jak dla mnie wszystko wyglądało całkiem przekonująco. Byłem pod wrażeniem. Ale z drugiej strony... co ja tam wiem? Nie jestem biegłym. Skąd mogę wiedzieć, jak powinno wyglądać takie miejsce zdarzenia?
- Wymieszał alkohol z lekami, wysłał list pożegnalny esemesem, miał ranę wlotową pod brodą... czy to nie wystarczy? Czy znaleźli jakiś zgrzyt? Coś, co świadczyłoby o tym, że Nick nie popełnił samobójstwa?
- Czy Jane tylko blefuje? Próbuje mnie podpuścić?
- Myślę, że Vicky i jej „partner” – kontynuuje Jane – wykorzystali Nicka Caracciego do zabicia Lauren. W jaki sposób? Tego nie jestem pewna. Potem, rzecz jasna, musieli pozbyć się również Nicka, by móc spokojnie zwalić całą winę na niego.
- Czyli uważasz, że Nick został wrobiony.
- Tak właśnie uważam.
- To brzmi jak fabuła jakiegoś filmu.
- To ty byłeś na miejscu zdarzenia, Simon. To ty podłożyłeś tam różowy telefon.

Wow, to się nazywa bezpośredniość. Nie patyczkuje się ze mną.

– Co? Przepraszam... że co niby zrobiłem?

Uśmiecha się do mnie od ucha do ucha.

– Różowy telefon, Simon. Został przemieszczony bardzo ostrożnie i precyzyjnie więcej niż raz. Dzięki smugom krwi na miejscu zdarzenia widać to jak na dłoni. Teoretycznie telefon został ukryty, ale tak, byśmy bez problemu go znaleźli.

– Nie nadążam – mówię, choć doskonale wiem, o co jej chodzi. Przeklinam się w myślach za ten telefon. Nie powinienem był tak się z nim cackać, tylko jednym, zdecydowanym i silnym ruchem pchnąć go pod stół. Albo, kiedy to się nie udało, zostawić komórkę tam, gdzie wylądowała za pierwszym razem. Przemieszczając go drugi raz w taki sposób, w jaki to zrobiłem, osiągnąłem jedynie tyle, że pokazałem im, co robię i po co to robię.

Co ja sobie myślałem? Że uda mi się wszystkich przechytryć dzięki odrobinie rozwagi i namysłu? Dzięki swojemu planowi?

Andy macha na mnie ręką i mówi:

– Tak czy siak, skoro nie znasz tych ludzi, nie masz się czym przejmować, Simon. Co cię obchodzi jakaś Vicky. Przecież to dla ciebie obca osoba. Co nie, Simon?

– Jesteś absolutnie pewien, że nie znasz Vicky Lanier? – pyta Jane.

– Ja... nie znam nikogo o tym nazwisku.

Jane uśmiecha się do mnie półgębkiem i mówi:

– No dobrze, Simon. W takim razie jesteśmy w kontakcie.

96

Jane

Jane i Andy wstrzymują się z rozmową. Wolą najpierw wsiąść do samochodu i odjechać spod domu Simona. Wcześniej nie zamieniają ze sobą ani słowa. Andy siedzi za kółkiem.

– No i jak? Co o tym myślisz? – pyta Jane. – Widziałeś wyraz jego twarzy, kiedy wspomnieliśmy o Vicky. Chciałam się z nim tylko podrażnić. Troszkę go sprowokować.

– I ci się udało – mówi Andy. – Ale nie kłamałaś z tą swoją „teorią”, prawda? Właśnie taką masz hipotezę, mam rację? Uważasz, że to Vicky pomogła Simonowi? To ona wysyłała esemesy z drugiego telefonu, tak?

– Ktoś musiał mu pomóc, Andy. Był w ciężkim szoku, kiedy usłyszał to imię.

– OK, czyli recepcjonistka, Emily Fielding, mówi, że niejaka Vicky Lanier i Nick gzili się w jego gabinecie – mówi Andy. – Wtedy też Emily widziała ją po raz ostatni. Załóżmy, że potem dalej ze sobą sypiali. I co z tego? Jak to się ma do Simona pociągającego za sznurki? Dlaczego Vicky Lanier musiała się zbliżyć do Nicka Caracciego? W jaki sposób to pomogło Simonowi w realizacji jego planu? Osiągnięciu ostatecznego celu, jakim było zabicie Lauren Betancourt?

– Cóż, Nick był kozłem ofiarnym, prawda?

– Powiedzmy, że tak. Ale dlaczego Vicky musiała się do niego zbliżyć?

– Chociażby po to, żeby dostać się do jego apartamentu i ukraść część zestawu przyborów toaletowych. Lub po to, żeby nakłonić go do zabicia Lauren. Możliwe, że Nick to zrobił. Nie wiem. Nie znam wszystkich szczegółów – Jane macha przed sobą palcem. – Na razie. Mam nadzieję, że zgadzasz się ze mną, że coś w tym jest.

– Kurde, Janey, sam nie wiem. Nick Caracci pewnie był niezłym podrywaczem, co nie? Przystojnym, bogatym... a przynajmniej udającym bogatego, zgadza się? Fakt, że bzykał się z jakąś kobietą w swoim gabinecie, jeszcze o niczym nie świadczy. To, że mnie nic podobnego nigdy się nie przytrafiło, i raczej nie przytrafi, nie znaczy, że jemu nie mogło się przytrafić. Jakoś mnie nie dziwi, że taki facet miał powodzenie u kobiet. Może niepotrzebnie dorabiamy sobie do tego całą „teorię”. Może nie kryje się za tym nic więcej?

Jane patrzy się na Andy’ego. Podchodzi do sprawy praktycznie i rozsądnie. Co więcej, może mieć rację. Nawet pomijając naciski ze strony burmistrza,

zgrupowali tylko dowody przeciwko Nickowi, że sprawa wkrótce zostanie zamknięta. Jane nie będzie miała tu nic do powiedzenia.

– Jeśli nie kryje się za tym nic więcej – odpowiada sierżant Burke – to dlaczego Simon, słysząc nazwisko Vicky Lanier, zareagował w ten sposób?

– No tak, masz rację – Andy stęka. – Przez tę sprawę boli mnie brzuch.

– Dlaczego?

– Bo wszystkie dowody wskazują na Caracciego, Jane. Dlatego.

– To prawda, ale co ci mówi twoja intuicja?

Andy wydaje z siebie niepokojący odgłos.

Puka palcami w kierownicę. Zatrzymuje się na parkingu przed komendą, wyłącza silnik, po czym odwraca się w kierunku Jane ze słowami:

– Moja intuicja mówi mi, że Simon zna Vicky Lanier.

– To na pewno.

– Ale nic o niej nie wiemy. Jeśli siedzi w tym razem z Simonem i jej zadaniem było wplątanie Caracciego w tę całą intrygę, to wątpię, że naprawdę nazywa się Vicky Lanier.

– Prawdopodobnie nie. To nazwisko to prawie na pewno ślepy zaułek. Sprawdźmy ją, rzecz jasna, ale na bank to nie jest jej prawdziwa tożsamość.

– Czyli guzik wiemy.

– Na razie – podkreśla Jane. – Zająłeś się wszystkimi odciskami palców zabezpieczonymi w domu Lauren, prawda?

– Tja. Wczoraj je wysłałem. Jeśli AFIS coś wypluje, dowiemy się o tym być może jeszcze dziś (mam nadzieję), a najpóźniej jutro.

– Cheronis wysłał z kolei odciski z apartamentu Nicka Caracciego – mówi Jane. – A nóż widelec nam się poszczęści. Możliwe, że biegli okażą się naszą ostatnią deską ratunku. Simon może sobie manipulować, kim tylko zechce, ale nie zmanipuluje odbitek linii papilarnych.

97

Jane

Godzina później. Pokój przesłuchań.

– Dziękujemy za przybycie, panie Lemoyne – mówi Jane. – Mam nadzieję, że miał pan przyjemny lot.

Albert Lemoyne, lat sześćdziesiąt dziewięć, jest dużym, steranym życiem facetem z rumianą twarzą i głęboko osadzonymi, przekrwionymi oczami. Był związkowcem. Kierowcą ciężarówki, co jego szorstkie dłonie mogą poświadczyć. Ma swoje lata i nadwagę, ale mimo to Jane wciąż widzi w nim mężczyznę, który swego czasu przykuwał kobiecie spojrzenia. Jest ładnie opalony. Obecnie mieszka w Scottsdale.

– Przyleciałem tu, żeby pochować córkę – odpowiada – więc nie. Nie był zbyt przyjemny.

– Oczywiście, przepraszam. To było...

– Macie go? Wiecie, kto to zrobił?

– Wydaje się nam, że możemy być naprawdę blisko, panie Lemoyne.

– Bez jaj, mów mi Al, jak wszyscy.

– Dobrze, Al. Muszę ci zadać kilka pytań na temat twojej córki.

– Nie dość się napytałaś, jak dzwoniłaś do mnie we wtorek?

– Jeszcze tylko kilka dodatkowych pytań – mówi Jane.

– Wiedziałem, że się rozwodzą – mówi. – Wciąż mi powtarzała, że wszystko w porządku. Że sobie poradzi. Nie, nie zwierzała się za bardzo swojemu staruszkowi. Była o wiele bardziej zżyta z matką.

Mama Lauren, Amy Lemoyne, zmarła cztery lata temu na raka. Od tamtej pory Al mieszka sam. W Arizonie. W domu, który Lauren kupiła rodzicom.

– Al, wiesz może, czy Lauren poznała kogoś nowego? Weszła w nowy związek?

Potrząsa głową, po czym mówi:

– Ale raczej by mi nie powiedziała. Chyba, że to by było coś poważnego.

– Czy mówi ci coś nazwisko Christian Newsome?

– Nie, nie-e.

– Nick Caracci? Vicky Lanier?

Za każdym razem pada ta sama, przecząca odpowiedź.

– A może Simon Dobias?

Nagle w jego oczach pojawia się błysk.

– Ten chłopak – mówi. – Syn. To on oskarżał ją o kradzież.

– Tak, zgadza się.

– Nadal mieszka w tej okolicy?

– Czemu pytasz?

Zaciska dłoń w pięść i delikatnie uderza nią o stół.

– Mówiłem jej. Pytałem, czy na pewno chce zamieszkać tak blisko niego. Powiedziała, że to nie problem. Kiedy przeniosła się do Chicago, machnąłem na to ręką. W końcu to duże miasto. Ale potem poznała Conrada i zamieszkała w Grace Village. Zapytałem ją: „Jesteś pewna, że to dobry pomysł, słonko? W końcu on jest miasto obok”. Ale powiedziała mi wtedy, że nie przejmuję się tym chłopakiem. Wcześniej obawiała się jego ojca, ale ten umarł. Więc doszła do wniosku, że nie ma się czego bać.

– Przepraszam, ale muszę się dopytać o parę kwestii, które przed chwilą poruszyłeś, Al. Kiedy trzy lata temu Lauren wyszła za Conrada i przeniosła się do Grace Village, martwiłeś się, bo to bardzo blisko Grace Park, a tam właśnie mieszkała rodzina Dobiasów, zgadza się?

Potakuje i dodaje:

– Powiedziała, że nawet jeśli wciąż tam mieszka, istnieje całkiem duża szansa na to, że nigdy na niego nie wpadnie.

– Rozumiem, że masz na myśli Simona, zgadza się?

– Tak. Jego ojciec, Ted, po wszystkim przeniósł się do St. Louis. A potem wychodzi na to, że umarł.

Jane podnosi do góry brwi i dopytuje:

– Co masz na myśli mówiąc: „po wszystkim”?

Jego spojrzenie staje się surowe, jakby Jane w jakiś sposób go obraziła:

– Dobrze wiesz po czym.

– Proszę, Al, muszę...

– Po tej sprawie z pieniędzmi. Powiedzieli, że Lauren ich okradła. To nieprawda. Ted dał jej te pieniądze. Nie powiem, że miała się czym chwalić. W końcu wdała się w romans z żonatym mężczyzną. Ale miała wtedy ledwo dwadzieścia lat. On był o wiele starszy. Więc czyja to wina, ja się pytam?

– Chcesz powiedzieć, że Ted Dobias DAŁ Lauren te pieniądze?

– Był prawnikiem przy forsie. Nie zbiedniał.

W rzeczywistości zbiedniał. I to bardzo. Ale wychodzi na to, że właśnie wtedy tak powiedziała córka rodzicom. W jej wersji wydarzeń Ted Dobias wyjął sześć milionów dolarów z kieszeni i dał je Lauren do ręki. W końcu dla niego to były drobniaki. Niewielki procent jego ogromnego bogactwa. Al zdaje się nie

być świadomy tego, co zrobiła jego córka. Tego, że Lauren ograbiła rodzinę Dobiasów ze wszystkich pieniędzy, które wtedy mieli.

Być może w głębi duszy Al wie, jak było naprawdę, ale z automatu trzyma stronę córki. A może ślepo wierzył w każde słowo Lauren. Niewykluczone też, że upływ osiemnastu lat skutecznie przemienił wiarę w prawdę. Czas i więzy krwi potrafią zaciemnić rzeczywistość.

Tak czy inaczej Jane nie ma zamiaru niszczyć jego złudzeń. Nie teraz, kiedy Al opłakuje swoją córkę.

– Bidulka musiała wyjechać z kraju, żeby przed nim uciec.

– Gdzie się przeniosła? – pyta Jane, choć zna odpowiedź na to pytanie.

– Do Paryża. Mieszkała w Paryżu. Była też w innych miejscach w Europie. Trochę podróżowała. W końcu była młoda. No i miała pieniądze. Ale Paryż był jej domem.

– Czy ona...

– Miała wrażenie, że on ją obserwuje. Jeździ za nią. Śledzi ją i takie tam.

– Kto?

– No jak to kto? – mówi Al. – Dobias. Ted Dobias. Mówiła mi, że czuje się obserwowana. Śledzona. Wciąż się pieklił o te pieniądze. Nie potrafił odpuścić.

– Ted Dobias, tak? Nie Simon?

– Chłopak? O nim nic nie mówiła. Tylko o Tedzie. Cholercia, tyle lat była w Europie. Wszystko przez tego typa.

– I w ogóle nie przyjeżdżała do Stanów?

– Nie, ona... no, raz jeden przyjechała. Kiedy ja i Amy świętowaliśmy trzydziestą piątą rocznicę. Zarezerwowała kilka pokoi w Drake'u na tydzień. Wszyscy się tam zatrzymaliśmy: mój brat Joe, moja siostra Louise, ich dzieciaki, no i kilku moich kumpli z pracy. A nie... tak właściwie to na dwa tygodnie.

Jane kiwa głową i pyta:

– Czyli Lauren była w Chicago przez dwa tygodnie?

– Nie inaczej.

– Czy to możliwe, że w tym czasie spotkała przypadkiem Simona Dobiasa?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli nawet spotkała tego chłopaka lub Teda, to nic mi nie powiedziała.

– No dobrze, Al, a kiedy to było?

– O Chryste – patrzy się w górę, na sufit. Ma zwężone oczy. – Mieliśmy rocznicę osiemnastego maja. Pobraliśmy się osiemnastego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Więc... – zamyka oczy – ...o ile mnie pamięć nie myli, w tym roku, w którym wyprawiała nam przyjęcie, nasza rocznica wypadła w środku tygodnia, więc impreza w Drake'u była w następny

weekend. A potem wszyscy zostali jeszcze tydzień dłużej, do Dnia Pamięci Narodowej.

– Lauren też?

– O tak. Strasznie się cieszyliśmy, że mogła spędzić z nami aż dwa tygodnie.

– I przez cały ten czas ani razu nie widziałeś Simona Dobiasa?

Wzrusza ramionami.

– Nie widziałem. Właściwie to nigdy go nie widziałem. Nigdy z nim nie rozmawiałem. Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– No dobrze, cóż...

– Myślisz, że to ten chłopak? Myślisz, że to on to zrobił, prawda? Inaczej nie zadawałabyś mi tych wszystkich pytań. Myślisz, że Simon Dobias zabił moją córkę?

Jane podnosi rękę w uspokajającym geście i mówi:

– Musimy sprawdzić każdy trop. Rozumiesz, prawda, Al?

98 Vicky

W przerwie między jedną a drugą zmianą jadę do swojego mieszkania w Delavan. To mała kawalerka typu studio, od której do Safe Haven w Elkhorn mam jakieś dziesięć minut jazdy. Jest tu tak mało miejsca, że ledwo można zrobić krążenia ramionami. Ale to moje miejsce. Z kuchenką, lodówką i działającym kaloryferem.

Nie tęsknię za dziewięćdziesięciomilowymi przejazdami do i z Grace Park, gdzie „żyłam” z Simonem od lipca. Codziennie musiałam jeździć do pracy taki kawał.

Jednak będę tęsknić za wygodnym łóżkiem Simona. Będę tęsknić za jego wielką kuchnią i gorącą kawą czekającą tam na mnie z samego rana. Będę tęsknić za pełną lodówką i spizarką. Będę tęsknić za tarasem, a raczej oazą na dachu, którą u siebie stworzył.

Będę też tęsknić za samym Simonem. Za jego troskliwością i dziwactwami. Za jego poczuciem humoru. Ale przede wszystkim za tym, jak na mnie patrzy. Żałuję, że to za mało. Żałuję, że nie mogłam powiedzieć „tak”, kiedy mi się oświadczył – zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem.

Gdybym miała brać ślub, to tylko z nim. Tylko z Simonem. Ale nigdy tego nie zrobię. Nie związę się na stałe z drugą osobą. Nauczyłam się żyć sama. Aż za dobrze. Wygląda na to, że weszło mi to w krew.

Na początku było nam razem dobrze. To było trzy lata temu, kiedy przeniosłam się do Chicago po samobójstwie siostry. Byłam w totalnej rozsypce, a on nie. Pomógł mi wytrzeźwieć. Rzucić narkotyki. Od tamtego czasu nie biorę. Nie sprzedaję też swojego ciała. Simon był pierwszym mężczyzną, który traktował mnie tak, jakbym była coś warta. Postawił mnie na piedestale. Ale widziałam, że chce ode mnie czegoś więcej. Dużo więcej. Małżeństwa... dzieci. Więc zakończyłam to. Wiedziałam, że to nie dla mnie. Nie chciałam dla nas takich kompromisów. Nie chciałam, żebyśmy rezygnowali z tak dużej części siebie. Przeniosłam się więc do Wisconsin i rozpoczęłam pracę w Safe Haven.

I przez jakiś czas nie rozmawiałam z Simonem.

Aż do maja tego roku. Do dnia, w którym zobaczył Lauren na Michigan Avenue.

Po zjedzeniu obiadu z mikrofalówki w moim mieszkaniu jadę do rezerwatu leśnego w Burlington. Droga zajmuje około trzydziestu minut. Odwiedzam to

miejsce trzy razy dziennie – z samego rana, w porze lunchu i po pracy. Idę szlakiem turystycznym aż do punktu widokowego. Jest tam duża drewniana tablica opisująca historię jeziora znajdującego się poniżej. Sięgam za tablicę i odklejam przymocowany rzepem pojemnik, w którego wnętrzu znajduje się jednorazówka. Simon dał mi ją pod kątem tej całej pohalloweenowej zabawy.

Włączam komórkę i czekam, aż załadują się na niej wiadomości. Pierwszy esemes jest ode mnie do Simona. Jeszcze z Halloween:

PON., 31 PAŹ., 23:09

Gavin mnie widział. Wie o aliasie.

Chce dostać połowę \$\$ 3.11,

inaczej mnie zdemaskuje.

Nieźle mnie skopał. Po żebrach.

Potrzebujesz mojej pomocy??

A potem odpowiedź Simona i pozostałe wiadomości, które wysłał do mnie w ciągu tych ostatnich kilku dni, w tym ta z dzisiaj:

WT., 1 LIS., 12:06

Nie, zajmę się nim. W gazetach

nic ciekawego.

ŚR., 2 LIS., 11:39

W gazetach ciągle brakuje detali.

Ustalam godzinę spotkania z policją.

Nie martw się.

DZISIAJ, 16:34

Dobre/złe wieści. Gavin z głowy.

Spotkałem się z policją.

Mają cały alias (repcjonistka?),

ale poza tym dają ciała

– Jasna cholera.

Znają nazwisko Vicky Lanier. Gliny wiedzą. Simon pewnie ma rację – to ta recepcjonistka musiała im powiedzieć. Emily? Chyba tak się nazywa. Też nikt i nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Ale w esemesie Simon napisał też: „ale poza tym dają ciała”. To dobrze. Czyli mają nazwisko, ale nic im to nie daje. Na to właśnie liczyliśmy. Na to

mieliśmy nadzieję. Oprócz nazwiska nie będą mieć na mnie niczego. Żadnych śladów. A samo nazwisko nigdzie ich nie zaprowadzi.

No i dobrze, że Simon zajął się Gavinem. Tylko co ma na myśli, mówiąc „z głowy”? Co takiego zrobił Simon? Pewnie nic takiego. Znajac Simona, udało mu się jakoś przekonać Gavina. Przemówić mu do rozsądku.

Dla mnie wszystko sprowadza się do odcisków palców. Jeśli zostawiłam jakiś w apartamencie Nicka lub w jego biurze, to już po mnie. Sprawdzą je w krajowej bazie danych i znajdą mnie w pięć sekund, zarejestrowaną w stanie Wisconsin.

Z tego, co mówił Simon, wyniki daktyloskopii otrzymają w ciągu kilku dni od znalezienia Lauren.

To oznacza, że lada moment mogę się dowiedzieć, czy jestem uratowana, czy ugotowana.

99

Jane

– Co? CO?! – krzyczy do telefonu Jane.

– Hej, ja tylko mówię, co i jak – broni się sierżant Don Cheronis. – Biuro koronera robi, co chce. Mówiłem im, żeby się wstrzymali, ale tam mają moje zdanie głęboko w du...

– Chyba trochę przesadzasz.

– Rzecz w tym, że nie bardzo.

– A chociaż starałeś się im to wyperswadować, Don?

– Jane, ja... zrozum, że...

– Zgadzasz się z nimi, prawda?

– Cóż, ja... myślę, że to słuszna decyzja. Tak.

Samobójstwo. Lekarz medycyny sądowej hrabstwa Cook stwierdził, że Nicholas Caracci popełnił samobójstwo. A Cheronis nic w tej sprawie nie zrobił, ponieważ zgadza się z tą kwalifikacją.

Niezły początek piątkowego poranka.

Komendant Carlyle siedzi za biurkiem z kamienną twarzą i splecionymi dłońmi, podczas gdy Jane przekazuje mu najnowsze informacje.

– To, co mówisz, jest interesujące – stwierdza komendant – ale to żadne dowody. Odrzucasz solidny materiał, który zgromadziliśmy przeciwko Caracciemu, i naśmiewasz się z niego, ale tak naprawdę twoim jedynym argumentem jest przeświadczenie, że to wszystko przyszło nam zbyt łatwo i dlatego musiało zostać tak ukartowane. Coś takiego można by powiedzieć o większości rozwiązanych spraw w historii tego kraju. A potem zafiksowujesz się na „dowodach” przeciwko Simonowi Dobiasowi, które tak naprawdę żadnymi dowodami nie są. To tylko zlepek: „może”, „niewykluczone”, „a jeśli”, „a gdyby” i tak dalej. Teraz dorzucasz do tego jakąś „Vicky Lanier”, ale nie wiesz o niej nic z wyjątkiem tego, że po pierwsze: różnęła się z Nickiem w jego gabinecie, a po drugie: Simon Dobias bardzo silnie zareagował na jej imię. Kurna, przecież niedawno wykopali Vicky Lanier w... gdzie to było?

– Wirginii Zachodniej – mówi Jane. – Szefie, rozumiem, że jeszcze daleko nam do rozwiązania tej sprawy, ale...

– O, wręcz przeciwnie. Wiele osób jest zdania, że rozwiązaliśmy ją, a raczej sama się rozwiązała, kiedy tylko znaleziono ciało Nicka Caracciego. Ten facet był kanciarzem żerującym na bogatych i nieszczęśliwych mężatkach. Brzmi znajomo? Lauren Betancourt była bogatą i nieszczęśliwą mężatką. A to ci niespodzianka.

– Szefie, gdyby był pan wczoraj z nami w domu Simona Dob...

– Jane, rozumiem. Ty i Andy jesteście dobrymi glinami i kiedy rozmawialiście z tym gościem, od razu zapaliła się wam lampka ostrzegawcza. Podejrzany z niego typ. Defensywny. Jakby coś ukrywał. Ale tak szczerze, to czego się spodziewałaś? Jak miał zareagować? Wie, że z marszu będziemy go podejrzewać o zabójstwo Lauren, bo to dla niego powtórka z rozrywki. W końcu oskarżono go o zabicie własnego ojca... wprawdzie nie formalnie, bo nawet nie postawiono mu zarzutów, ale wiesz, o co mi chodzi. Defensywne, a nawet wrogie nastawienie nie powinno w takim przypadku nikogo dziwić.

– To było coś więcej.

– OK, ale rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć, prawda? Sprawa jest rozwiązana, Jane. Siedzimy na niej jak na wyklutym kurczaku, ale już niedługo. Burmistrz i sześciu członków zarządu cały czas na zmianę do mnie dzwonią lub piszą. I widziałaś, co było na spotkaniu z mieszkańcami o ósmej RANO. Masakra. To nie Chicago. To małe, urokliwe i bezpieczne miasteczko, w którym ludzie są zestrachani, kiedy ktoś zostaje zamordowany. Takie rzeczy nie powinny mieć tutaj miejsca. Dlatego ci ludzie wybrali Grace Village. Więc teraz, kiedy po tylu latach coś takiego się wydarzyło, mieszkańcy oczekują, że rozwiążemy sprawę najszybciej, jak się da. A zamiast tego już słyszę o „godzinie amatorskiej” zamiast „policyjnej”, „gliniarzach ściemniaczach” i „psiakach przeciętniakach”. Nie wiem, kto wymyśla te durnoty, ale wiesz, co się za tym kryje. Ludzie myślą, że sobie nie radzimy. Że porwaliśmy się z motyką na słońce. Jeden z członków zarządu już zaczyna gadać o tym, że powinno nam tu wjechać FBI.

– Boże jedyny, jest dopiero pięprzony piątek rano! – wybuchła Jane. – Ciało znaleziono we wtorek! Co jest nie tak z tymi ludźmi?

– Jane, znam ten ból, ale spróbuj na to spojrzeć z innej perspektywy. Wszystkie dowody wskazują na sprawstwo Caracciego. A teraz w dodatku ustalono przyczynę jego śmierci i jest nią samobójstwo. Który prokurator stanowy zdecydowałby się postawić zarzuty Simonowi Dobiasowi? Dobry obrońca, na którego twojego profesorka stać, rozjedzie sprawę w sądzie. Nie doprowadzisz do skazania Simona Dobiasa. Zapomnij. Wiesz, że mam rację.

Jane składa razem ręce, bierze głęboki oddech i mówi:

– Proszę, szefie. Poczekajmy chociaż na daktyloskopię. Dziś powinniśmy otrzymać informację zwrotną. Być może zostawiła po sobie jakiś ślad w apartamencie Nicka Caracciego lub domu Lauren Betancourt i odfitki linii papilarnych „Vicky Lanier” znajdują się w rejestrze. Kurczę, niewykluczone nawet, że uda się ją powiązać z miejscem zdarzenia z St. Louis. Zabójstwem Teda Dobiasa.

Komendant odchyła się w fotelu i mówi:

– Co? Ojca Simona też według ciebie zabiła?

– Proszę nie traktować mnie tak, jakby to, co mówię, było niedorzeczne, szefie. Na butelce, którą Ted Dobias oberwał w głowę, znajdowały się ślady linii papilarnych. Do tego na kieliszku znaleziono kobiece DNA. Wszyscy myślimy, że Simon zabił swojego ojca, prawda? A co, jeśli nie działał na własną rękę? Może w przypadku wszystkich trzech zabójstw mógł liczyć na pomoc tej samej osoby. A może nie. Poczekajmy na wyniki. Ślady linii papilarnych nie kłamią. Jeśli okaże się, że są w AFIS, może dowiemy się, kim jest kobieta podająca się za Vicky Lanier. A jeżeli nie, to trudno. Będę musiała się jakoś z tym pogodzić.

– Chyba nie zaszkodzi poczekać na daktyloskopię, szefie – wtrąca Andy.

– No dobra, zobaczymy, co wypłuje AFIS – mówi komendant, wyrzucając ręce do góry. – Wtedy wrócimy do tej rozmowy.

Jane i Andy wychodzą z gabinetu komendanta.

– Mów, co chcesz, Jane, ale szef ma rację – mówi pod nosem Andy. – Może i czuje presję polityczną, ale to nie znaczy, że się myli. Żaden prokurator nie postawi Dobiasowi zarzutów. Nie w sytuacji, kiedy wszystkie dowody wskazują na Nicka.

– Poczekaj na pieprzone odciski palców – mówi Jane. – Daj mi... Czekać – patrzy na telefon – właśnie dzwoniła Brenda Tarkington z St. Louis. Nie zdążyłam odebrać.

– Oddzwoń od razu.

– Chodźmy do sali konferencyjnej – mówi Jane. Potrząsa telefonem, jakby skrywał klucz do jej przeznaczenia. – Cześć, Brenda, z tej strony Jane Burke. Jest tu ze mną Andy Tate. Mamy cię na głośniku.

– Rozumiem, że daliście do sprawdzenia odciski palców z waszego miejsca zdarzenia – sierżant Tarkington mówi skrzekliwym głosem – bo właśnie dostaliśmy info z AFIS.

– Macie dopasowanie ze swojego miejsca zdarzenia?

– W rzeczy samej, sierżant Burke. W rzeczy samej...

Jane uderza dłonią w stół i mówi:

– No dawaj, Brenda, mów! I proszę... proszę powiedz mi, że to dobre wieści. Zrób mi tę przyjemność.

100 Vicky

– Nieprawda. Ale ściemniasz – mówi Mariah.

– A właśnie, że prawda. Wszystko pamiętam – odszczekuje się Macy.

– Ta, aha. Jasne. Akurat pamiętasz. Już to widzę. Ile miałaś wtedy lat? Z sześć? – Mariah robi taką minę, jakby jej młodsza siostra była najgłupszą istotą na świecie.

– Dziewczyny...

– Siedem! Miałam siedem lat, a ty płakałaś i strasznie się denerwowałaś! Cykor.

– Dziewczyny, litości – mówię. – Obie denerwowałyście się przed przekłuciem uszu. I obie byłyście dzielne w trakcie.

Piątkowy wieczór w Elm Grove. Mniej niż godzina jazdy od mojej głównianej kawalerki w Delavan. Po kilku dniach pracy na dwie zmiany należał mi się luźniejszy piątek. Skończyłam więc wcześniej i myślałam, że będę siedzieć w mieszkaniu, ale Macy bardzo chciała przekłuć sobie uszy i namówiła mnie, bym jej towarzyszyła. Widać było, że zależało jej na tym, żebym z nią była.

Jadę samochodem Adama na Sunflower Drive i kieruję się w stronę jego domu.

Dostrzegam, że na podjeździe jest zaparkowany sedan. Zwalniam na tyle, by móc przyjrzeć się tablicy rejestracyjnej. Widzę logo – część słów okala je od góry, a część od dołu. Razem tworzą napis:

Departament Sprawiedliwości Wisconsin
Biuro Prokuratora Generalnego

Nie zatrzymuję się. Jadę dalej.

– Eee... Vicky? To jest nasz dom.

– Hej, wiecie co? Kompletnie zapomniałam, że wasz tata ma teraz spotkanie – mówię, odjeżdżając od domu. – Co wy na to, żebyśmy zjadły obiad na mieście? Weźmiemy też coś dla waszego taty na wynos.

– Mam do niego napisać? – pyta Mariah.

– Nie, nie. Po prostu wyleciało mi to z głowy. Nie ma sensu zawracać mu głowy podczas spotkania.

Ściskam kurczowo kierownicę i liczę do pięciu.

Mogłabym uciec. Mogłabym. Teraz. Zaraz. Tak. Mogłabym uciec. Rambo załatwiłby mi nową tożsamość. Ale mam ze sobą dziewczynki.

Boże, to nie dzieje się naprawdę.

101 Simon

Piątkowa noc. Czuję się więźniem własnego domu. Czekam, na wypadek gdyby przyszli z nakazem przeszukania. Boję się ruszyć, by nie robić przypadkiem fałszywego ruchu. Myślę o Vicky. Czekam dalej. Wzdrygam się na każdy dźwięk. Podskakuję na widok własnego cienia. Kręcę się po domu. Nie mogę spać. Staram się skupić na nowym wpisie blogowym o wyjątkach od konieczności posiadania nakazu w celu przeszukania oraz związanej z tym zagadnieniem decyzji sądu apelacyjnego w Teksasie.

Słyszę zamykające się w pobliżu drzwi samochodu. Siedzę nieruchomo przy swoim biurku i nasłuchuję.

Do moich uszu dochodzi dźwięk butów na chodniku. Światła na ganku przed domem zapalają się aktywowane przez czujnik ruchu.

Nikt nie dzwoni dzwonkiem. Żadnego pukania do drzwi.

Kto tam jest?

Schodzę na dół, podchodzę do frontowych drzwi i otwieram je. Stoi w nich sierżant Jane Burke z beznamiętnym wyrazem twarzy i sporą torebką przewieszoną przez ramię.

Otwieram moskitierę drzwiową.

– Ciężko o nakaz o tej porze, prawda?

– Nie przyszłam przeszukiwać ci domu – mówi i prześlizguje się obok mnie do środka.

– Nie pozwoliłem ci wejść, Jane.

– Nie jestem wampirem.

– Nie, jesteś policjantką, która nie ma prawa wchodzić do mojego domu bez zgody lub nakazu.

Mija mnie, wchodzi do salonu i mówi:

– Wiesz co, Simon? Możesz wziąć tę swoją ukochaną czwartą poprawkę i wsadzić ją sobie w dupę.

Idę za nią do salonu, ale nie siadam.

– Mogę cię zacytować? – pytam.

Zdejmuje torebkę i zaczyna w niej grzebać.

– Mam coś dla ciebie – mówi.

Wyciąga z torebki butelkę szampana i dwa barwione na czerwono plastikowe kieliszki, po czym kładzie je na stoliku kawowym.

Szampan to Laurent-Perrier Ultra Brut. Po dziś dzień nie wiem, co to znaczy i czy w takim razie jest też na przykład „super brut”?

– Co świętujemy? – pytam.

Robi minę i mówi:

– Mam tu dwa tandetne, czerwone, plastikowe kieliszki i butelkę szampana. Kojarzysz tę markę? Właśnie taka butelka została znaleziona na miejscu zbrodni w St. Louis. Przy twoim zabitym ojcu.

– Nie pamiętam dokładnie, jaka to była marka szampana – mówię – ale tak, wiem, że został uderzony w głowę...

– Oj, Simon, Simon... – wzdycha Jane. – Powiedz mi, kto trzyma pustą butelkę po szampanie całymi latami, czekając na właściwy moment, by dokonać zemsty?

– Nie wiem, Jane...

– Butelkę po szampanie, który twój ojciec popijał sobie z Lauren. Pewnie nieźle cię to podkurwiło. No i te plastikowe kieliszki. Trzymałeś je CAŁYMI LATAMI, Simon. Czekąłeś na właściwy moment, by pojechać do St. Louis i walnąć ojca w głowę tą pustą butelką, zanim dźgnąłeś go nożem.

– Właściwy moment? – pytam. – Dzień przed moim ostatnim egzaminem na studiach to był ten „właściwy moment”, na który tak długo czekałem?

Grozi mi palcem i mówi:

– Ucięłam sobie miłą pogawędkę z ojcem Lauren, Alem Lemoyne’em. Lauren długo mieszkała w Paryżu, ale w tym czasie raz wróciła do Stanów na dwa tygodnie, żeby uczcić trzydziestą piątą rocznicę ślubu swoich rodziców.

– Jak miło – odpowiadam.

– Tak, milutko. Rodzice Lauren pobrali się osiemnastego maja 1975 roku. Więc ich trzydziesta piąta rocznica ślubu przypadała osiemnastego maja 2010.

Rozkładałam rękę.

– OK...?

Świdruje mnie wzrokiem.

– Rocznicą przypadała na środek tygodnia, więc właściwą imprezę zrobili sobie w weekend. A potem wszyscy zatrzymali się w hotelu jeszcze na kolejny tydzień, aż do Dnia Pamięci Narodowej, który przypadał na trzydziesty pierwszy maja, Simon. Trzydziesty pierwszy maja 2010 roku. Wiesz, co to znaczy?

– Nie, nie wiem.

– Chcesz, żebym ja to powiedziała? Serio?

– Obawiam się, że będziesz musiała, bo ja niestety nie nadążam.

– Oj, nadążasz, nadążasz... ale niech ci będzie. Twój ojciec został zamordowany dwudziestego siódmego maja 2010 roku. Lauren była w Chicago, kiedy go zamordowano.

– O, wow – mówię.

– Tja, o, wow. – Mógłbyś udawać choć trochę bardziej zaskoczonego.

– Hej, Jane, wiesz, co powinnaś zrobić?

Przekrzywia głowę, udając ciekawość.

– Ależ proszę, Simon, oświeć mnie. Co powinnam zrobić?

– Powinnaś pobrać odciski palców Lauren. A, no tak. Pewnie pobraliście je dla celów eliminacyjnych, kiedy znaleźliście jej ciało.

– Tak właśnie zrobiliśmy, Simon. Tak właśnie zrobiliśmy...

– Powinnaś sprawdzić, czy jej odciski pasują do tych z butelki, którą ugodzono mojego ojca, by go obezwładnić.

Jane podnosi się z kanapy i mówi:

– Naprawdę, Simon? Powinnam?

– Tak, powinnaś – mówię – bo skoro uznano, że mogłem pojechać do St. Louis i zabić własnego ojca, nie widzę powodu, dla którego Lauren nie mogła tego zrobić. Poza tym nie miała na drugi dzień z rana egzaminu, prawda?

– Tak, Simon. To prawda. Masz całkowitą rację. I wiesz co? Nawet już to zrobiliśmy i mamy dopasowanie. A to ci niespodzianka, prawda? Na tej butelce były odciski Lauren.

– To... to wspaniale. Sprawa zamknięta! Zagadka zabójstwa z St. Louis została rozwiązana!

Uśmiecha się gorzko i mówi:

– Wszyscy zachodzili w głowę, dlaczego czekałeś tak długo? Czemu zwlekałeś z zabiciem ojca? I czemu zabiłeś go w przeddzień swojego ostatniego egzaminu? A tu okazuje się, że wcale nie wybrałeś tego terminu ze względu na egzamin. Wybrałeś go, ponieważ akurat wtedy Lauren Lemoyne była w Stanach.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. I skąd mogłem niby wiedzieć, że Lauren była wtedy w Chicago?

– Z Facebooka.

Wyciąga z kieszeni złożoną kartkę papieru i mi ją wręcza. To wydruk posta zamieszczonego na profilu na Facebooku. Zakładam, że został napisany przez Lauren. No dobra, nie zakładam, tylko wiem. Pamiętam, jak przed laty go czytałem. Post z dwunastego maja 2010 roku:

W przyszłym tygodniu wpadam do Chicago świętować 35. rocznicę ślubu moich rodziców! Zatrzymam się w Drake'u do Dnia Pamięci. Już nie mogę się doczekać!

Oddaję jej kartkę, zachowując kamienną twarz. Jane Burke jest bardzo dobrym detektywem. Ale skoro tu przyszła, to znaczy, że przegrała tę bitwę.

Podchodzi do mnie i mówi:

– Chcę, żebyś wiedział, że JA WIEM. Wiem, że to ty za tym wszystkim stoisz: twój ojciec, Lauren i Nick Caracci... I uszło ci to kurewskim płazem.

Przechodząc obok, lekko o mnie zahacza. Kieruje się w stronę drzwi.

– Grace Village ma chociaż jednego cholernie dobrego detektywa. Prawdziwą bystrzачę – mówię.

Patrzy się na mnie ze śmiertelną powagą.

– Gdyby powiedział mi to jakikolwiek inny człowiek chodzący po tym świecie – mówi Jane – uznałabym to za komplement.

102

Vicky

Przeciągałam ten obiad, jak tylko mogłam, ale w końcu zamówiłam z dziewczynkami jedzenie dla Adama i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Podczas posiłku starałam się angażować w rozmowę z siostrzenicami (Macy tak bardzo cieszyła się, że ma kolczyki), ale w kółko w myślach powtarzałam te same zdania.

Nie żeby było jakoś specjalnie dużo do powtarzania. Muszę tylko wszystkiemu zaprzeczyć. A jeśli zapędzą mnie w kozi róg, to zawsze mogę odmówić odpowiedzi.

Gdzie byłam w Halloween? W mieszkaniu, które wynajmuję w Delavan w Wisconsin, panie władzo. Rozdawałam cukierki. Zostawiłam tam swój telefon. Zgodnie z planem. Nie odpaliłam Netflixa, żeby sam odtwarzał mi kolejne odcinki serialu. Wiem, że Simon tak zrobił. Ale ja po prostu zostawiłam telefon w domu. I tak, co jakiś czas łączył się z najbliższą wieżą.

Christian Newsome? Pierwsze słyszę.

Jaki mam samochód? Jeżdżę rzęchowatym chevroletem lumina z 2007 roku. Chcą państwo sprawdzić tablicę rejestracyjną, by upewnić się, że ten pojazd nie został uchwycony przez monitoring miejski w Chicago? Proszę bardzo. Nie został. Ten samochód nie przekroczył granicy Wisconsin, odkąd prawie rok temu przeniosłam się do Delavan.

Do Chicago i z powrotem jeździłam jeepem, ale tego samochodu już dawno nie ma, a jego tablice nie doprowadzą policji ani do mnie, ani do Simona.

Simon Dobias? Nie znam nikogo takiego, panie władzo. Ma pan na myśli faceta, który wysłuchiwał mnie całymi godzinami po moim pierwszym spotkaniu SOS i zeskrobywał z podłogi w łazience tydzień później, kiedy próbowałam pójść w ślady mojej siostry do krainy przedawkowania – w moim przypadku kokainy, a nie oxy?

Ma pan na myśli faceta, który wysłał mnie na odwyk, za wszystko zapłacił i czekał na mnie, kiedy z niego wyszłam?

Ma pan na myśli faceta, który przekonał mnie, by dać życiu kolejną szansę?

Nie. Nie mam pojęcia, co to za człowiek. Pierwsze słyszę.

Jadę z powrotem do domu, zabawiając przy tym dziewczynki i śmiejąc się z ich dowcipów, choć wewnątrz przepełnia mnie tępy ból. Ale jestem gotowa. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie władzo. Będę odpowiadać pewnie, ale nie perfekcyjnie.

Kiedy wjeżdżam w odpowiednią ulicę, od razu zauważam, że sedan odjechał. Przepełnia mnie ulga. Parkuję w garażu. Dziewczynki wbiegają do domu.

– Tato, mam przekłute uszy!

Wchodzę do domu. Powoli. Puls mi zwalnia. Adrenalina ze mnie schodzi. M&Msy biegną od pomieszczenia do pomieszczenia – najpierw do sypialni Adama, później do jego biura. Zaglądają nawet do piwnicy.

– Gdzie jest tata?

Wyglądam przez okno i zauważam go na podwórku na tyłach domu. Patrzy w przestrzeń. Trzyma coś w ręce... papierosa?

– Dziewczynki, odłóżcie jedzenie na blat w kuchni. Tata jest na dworze. Pójdę z nim porozmawiać. Sam na sam – mówię, bo młodsza z sióstr już pędzi do drzwi. – Macy, daj nam chwilkę, dobrze?

– Hej.

Adam stoi przy kamiennej fontannie na podwórku. Jest ubrany nieodpowiednio do temperatury. Ma na sobie tylko lekki sweter i niebieskie jeansy, a jest zimno. Papieros powoli spala mu się w dłoni.

– Od kiedy palisz? – pytam.

– Właściwie to nie palę – patrzy na papierosa, rzuca go na trawę i przydeptuje nogą. – Monica zaczęła palić, żeby rzucić OxyContin. Zawsze uważałem, że to głupota, ale na tamtym etapie zgodziłem się na wszystko, żeby tylko odstawiła te tabletki. Nawet czasem z nią popalałem. Teraz, od czasu do czasu, kiedy o niej pomyślę, zapalam jednego. Szczyt głupoty, prawda?

– Czyli przed chwilą o niej myślałeś... – mówię.

Zerka w moją stronę i wpycha ręce głęboko do kieszeni.

– Byli tutaj ludzie z biura prokuratora generalnego. No wiesz, ci, u których składałem zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa po tym, jak przed...

– Pamiętam.

Adam spogląda na mnie z drżącą szczęką i oczami pełnymi łez.

– On nie żyje – mówi.

– On... kto? Kto nie żyje?

– David.

– David?

– David Jenner? Facet, który ukradł nam Monicę, a potem ukradł jej pieniądze i zostawił z buteleczką pieprzonych tabletek, żeby mogła przedawkować. No wiesz, ten przystojny, charyzmatyczny i wychwalany przez nią pod niebiosa diler.

Staram się wyglądać na zaskoczoną.

– Oczywiście, że wiem. Pamiętam. Po prostu starałam się, jak mogłam, żeby zapomnieć to imię.

Adam wzdycha.

– Ja też. A przecież i tak nie było prawdziwe, tak jak podejrzewaliśmy.

– Zgadza się. Tak myśleliśmy.

– Nazywał się Nicholas Caracci – mówi Adam. – Popełnił samobójstwo.

– Zabił się? Serio?

Adam potrząsa głową.

– Najwyraźniej próbował tej samej „sztuczki” z jakąś kobietą z okolic Chicago, ale tym razem coś mu nie wyszło i wygląda na to, że dostał za swoje, ale nie wiem, nie znam szczegółów.

Kładę mu rękę na ramieniu.

– Co teraz czujesz? – pytam.

– Co czuję? Czuję, że chciałbym odzyskać żonę. To czuję...

Wybucha płaczem. Prawie nigdy tego nie robi. Zasłania twarz dłońmi i zaczyna głośno ryczeć. Wyrzuca to z siebie. Głaszczę go energicznie po plecach.

– Boże, żebyś wiedziała, co ja jej wtedy powiedziałem – mamrocze.

– Adam, proszę cię...

– Po tym, jak odeszła, znowu zaczęła brać to świństwo na potęgę i związała się z tym przystojniaczkiem, który dawał jej tabletki, jakby to były cukierki... kazałem jej trzymać się z dala od dziewczynek.

– Musiałeś to zrobić.

– Powiedziałem, że nie chcę, żeby widziały swoją matkę jako naćpaną dziwkę...

Obejmuję Adama w silnym uścisku, podczas gdy on szlocha i pojękuje.

– Musiałeś chronić dziewczynki – szepczę. – Próbowaleś jej pomóc i by ci się udało. Wyszłaby z tego, gdyby on nie przeciągnął jej dragami na ciemną stronę mocy. Zamienił ją w kogoś, kim nie była. Nie mogłeś pozwolić dziewczynkom oglądać ją w takim stanie.

Ja też pamiętam dobrze, co się wtedy działo. Moje codzienne rozmowy z Monicą i sporadyczne gorączkowe, a wręcz paniczne telefony Adama. Powinnam była zrobić więcej. Sama byłam wtedy w szponach nałogu i czułam się nie na miejscu z udzielaniem rad swojej starszej siostrze, której życie było

wcześniej pasmem sukcesów. To była dla mnie zupełnie nowa sytuacja, w której nie potrafiłam się odnaleźć.

– Przecież mogła tu wrócić. Przyjąłbym ją z powrotem – mówi wciąż drżącym głosem.

– Wiem.

– Po tym, jak zwiął z jej pieniędzmi i żyła w brudzie i smrodzie... praktycznie w rynsztoku... przyjąłbym ją z powrotem, pomógłbym jej to rzucić i moglibyśmy... wiem, że moglibyśmy...

– Wiem, Adam. Wiem. To nie była twoja wina. Nic z tego wszystkiego nie stało się z twojej winy.

Wydaje się, że nieco mu ulżyło. Adam nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać o takich rzeczach. O swoim poczuciu winy. Dla takich jak Adam nie ma SOS ani terapeutów. W życiu by na to nie poszedł.

Ja miałam kogoś takiego. Miałam Simona. On słuchał. Słuchał wszystkiego, co miałam do powiedzenia. Kiedy mówiłam o swojej siostrze. O tym, że zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo ją kocham, dopiero po jej śmierci. O tym, jak bardzo kocham jej córki. Nie oceniał mnie, kiedy wyznałam mu, dlaczego przeniosłam się do Chicago. Gdy powiedziałam o wynajętym przeze mnie prywatnym detektywie, który znalazł Nicka. O tym, że czekałam, aż Caracci wróci do Chicago, żeby go zabić.

Próbował mnie od tego odwieść. Mówił, że to niczego nie rozwiąże. Podkreślał, że przecież teraz jestem trzeźwa i nie biorę, więc powinnam się skupić na budowaniu swojego życia od nowa i spędzaniu czasu z dziewczynkami. Oświadczył mi się i mówił o chęci założenia rodziny. I nawet kiedy mu odmówiłam, nie zostawił mnie. Powiedział, że powinnam iść do przodu. Tak jak on poszedł w sprawie Lauren. Zostawił ją za sobą i ja powinnam zrobić to samo z Nickiem.

Jednak nie oceniał mnie także wtedy, kiedy powiedziałam mu, że nie potrafię odpuścić. Pozwolić, żeby Nickowi wszystko uszło na sucho. Wtedy Simon pomógł mi spakować graty przenieść się do Delavan, żeby mieszkała w pewnym oddaleniu od Chicago. Tak, by nikt nie mógł mnie powiązać z tym miastem i Nickiem, kiedy już go zabiję.

I już byłam gotowa to zrobić. Czekałam tylko na lato. Planowałam pojechać do Chicago i „przypadkowo” wpaść na Nicka w barze, licząc na to, że zabierze mnie ze sobą do domu. Gdyby ten „plan” nie wypalił, znalazłabym jakiś inny sposób.

Ale w maju Simon zobaczył Lauren w Chicago i mój prosty, a wręcz prostacki plan podejrzenia gardła Nickowi-potworowi ewoluował. Stał się

o wiele bardziej skomplikowany. Jednak przede wszystkim w teorii miał zapewnić spokój ducha zarówno mi, jak i Simonowi.

I czy to się udało? Czy plan się powiódł? Czy mamy spokój ducha? Czy ja mam?

– Adam – mówię łagodnym tonem. – Macy naprawdę bardzo chce ci pokazać swoje przekłute uszy. Pamiętaj, że wciąż masz dwie piękne córki.

– Wiem, wiem – mówi, ocierając łzy i doprowadzając się do porządku. Bierze kilka głębokich oddechów i kieruje wzrok na mnie. – OK, po prostu przez chwilę to wszystko tak jakby wróciło... Przepraszam. Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

– Powiedzieć ci coś? – mówi. – Coś, czego nikomu innemu bym nie powiedział?

– No dawaj.

Bierze kolejny głęboki oddech i spogląda na mnie.

– Żałuję, że sam go nie zabiłem. Naprawdę.

Idziemy pod rękę w stronę domu. Macy czeka na nas w drzwiach, podskakując.

– Znam to uczucie – odpowiadam.

103 Simon

Następny poniedziałek po Halloween. Godzina dziesiąta trzydzieści. Czas na telefon. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy to ja miałem zadzwonić do niego, czy on do mnie. Ale chyba jednak on, bo słyszę bzyczenie telefonu dokładnie o umówionej porze.

– Cześć, Dennis – mówię.

– Cześć, Simon. Jak się masz?

– Tak dobrze, że jeszcze trochę, a będą musieli mnie aresztować – odpowiadam.

– Cóż, chciałbym móc powiedzieć to samo. Będzie nam ciebie brakowało.

– Dzięki, Dennis. Miło to słyszeć. I dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Naprawdę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Więc... przejdziemy przez wszystko jeszcze raz?

– Byłbym wdzięczny.

– OK – mówi. – Pięć milionów dla Amerykańskiego Stowarzyszenia Udaru Mózgu.

– Zgadza się.

– Pięć milionów dla Krajowej Infolinii Przeciwdziałania Samobójstwom.

– Tak.

– Pięć milionów dla Krajowego Centrum Zdrowia Psychicznego oraz Przeciwdziałania Przemocy Domowej i Traumie.

– Zgadza się.

– Pięć milionów dla Krajowego Telefonu Zaufania dla Osób Uciekających z Domu.

– Tak.

– W porządeczku – mówi. – I kilka miesięcy temu wyciągnąłeś jeden milion. Pewnie pamiętasz, ale wolę o tym wspomnieć, tak na wszelki wypadek. Więc... zostaje ci tylko kilkaset tysięcy dolarów. Mogą zostać u nas, ale być może zechcesz ulokować...

– Pozostałe pieniądze rozdziel po równo każdej z wcześniej wymienionych przez ciebie organizacji – mówię.

– Nie chcesz sobie nic zostawić, Simon?

Nie chcę ani centa z tych pieniędzy.

104

Simon

– Dziękujemy panu, profesorze Southern. Profesorze Dobias, teraz pana kolej.

Prawie stu profesorów siedzi w wygodnych, skórzanych, zdobionych fotelach, w jednym z wielu majestatycznych pomieszczeń naszej uczelni. W sali, która, jak większość innych – została nazwana na cześć jednego z wyjątkowo szczodrych darczyńców.

Stoję z przodu sali. To moja jedyna okazja do zabrania głosu i przedstawienia się w jak najlepszym świetle. I tak – mam na sobie garnitur i krawat.

– To nie będzie długa przemowa – zaczynam. – Chciałbym jedynie opowiedzieć o tym, czemu tu jestem. I nie chodzi mi o moją aplikację na stanowisko profesora, ale bardziej ogólnie. Z początku chciałem zostać prawnikiem, ponieważ moi rodzice nimi byli. Zwłaszcza moja matka, którą z pewnością część z państwa pamięta, zaszczepiła we mnie miłość do prawa. Do jego celów i ideałów. Co jednak nie znaczy, że przymykała oko na wady i słabości prawa. Jednak prawda jest taka, że byłem wtedy jeszcze dzieckiem. A potem stałem się trochę większym dzieckiem, które poszło na studia prawnicze, nie mając pewności, czy to jest właśnie to, czego chce.

– Jak wielu z was wie – kontynuuję – moja matka zmarła, gdy zaczynałem studia. Przerwałem wtedy na kilka lat edukację, nie mogąc sobie poradzić z jej stratą i faktem, że popełniła samobójstwo. Przez pewien czas przebywałem nawet w ośrodku dla osób borykających się z problemami natury psychicznej. Obwinałem siebie. Obwinałem ojca. Obwinałem o jej śmierć wielu ludzi. Na szczęście miałem bardzo dobrą terapeutkę, która nauczyła mnie patrzeć na pewne rzeczy inaczej. Z jej pomocą udało mi się przebrnąć przez ten trudny okres i wrócić na studia. Pod sam ich koniec, dosłownie w przeddzień ostatniego egzaminu na Uniwersytecie Chicagowskim, mój ojciec został zamordowany w St. Louis, gdzie wtedy mieszkał. I choć wydawało mi się to tyleż szalone, co niedorzeczne, policja podejrzewała MNIE o jego zabójstwo. Po samobójstwie matki nie utrzymywałem z ojcem żadnego kontaktu. Nasze drogi rozeszły się w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach. To wszystko prawda. Jednak próbowałem wytłumaczyć funkcjonariuszom, że „było, minęło”. I istotnie, minęło sześć lat. Próbowałem im również wytłumaczyć, że nie mogłem popełnić tej zbrodni ze względu na fakt, że następnego dnia z samego rana podszedłem do

jednego z najważniejszych egzaminów w moim życiu. Nie zdążyłbym. To było fizycznie niemożliwe.

(No może prawie niemożliwe).

– Jednak to nie powstrzymało funkcjonariuszy, którzy byli przekonani o mojej winie. Przeszukali mój dom rodzinny w Grace Village, pozostawiając po sobie totalny chaos. Przesłuchiwali moich przyjaciół i kolegów z klasy. Próbowali nawet przesłuchać moją terapeutkę. Pogwałcili moje prawo do prywatności. Wywrócili mi życie do góry nogami.

– Byłem niewinny, jednak na podstawie niczym nieuzasadnionych podejrzeń rząd, działając poprzez funkcjonariuszy publicznych, był w stanie zniszczyć mi życie. A co się stało, kiedy wreszcie zdali sobie sprawę z tego, że nie sposób będzie postawić mi jakichkolwiek zarzutów? Kiedy zrozumieli, że nie mogłem tego zrobić... czy publicznie przyznali się do błędu? Nie. Nie pomogli oczyścić mojego imienia. Po prostu zrzucili na moje życie bombę, roztrzaskując je na kawałki i pozostawili mnie samego z ich zbieraniem.

– I to właśnie wtedy nabrałem pewności, że chcę być prawnikiem. Dopiero kiedy na własnej skórze doświadczyłem łamania moich praw, byłem w stanie dostrzec w pełni wagę gwarancji konstytucyjnych. Od tamtej pory w pełni poświęciłem im swoją działalność naukową. Obserwowałem zmiany w orzecznictwie i w związku z tym również w doktrynie czwartej poprawki i moim zdaniem mamy tu do czynienia z erozją. Głównie za sprawą sądów. Walczyłem o potrzebne zmiany w tym, jak rozumiemy prawo do prywatności naszych obywateli. I dalej będę to robił. Nigdy nie przestanę próbować. Nigdy nie przestanę rzucać wyzwań, naciskać, przypominać, a czasem dawać prztyczka w nos. Nigdy nie przestanę o tym pisać. Nigdy nie przestanę tego uczyć. I niczego bardziej nie pragnę niż dalej to robić.

Nie przygotowywałem się do tej przemowy. Nie ćwiczyłem jej. Nie musiałem. Powiedziałem to, co myślę. Co czuję. Nie powiedziałem im tylko prawdy o St. Louis. Nie mogłem. I ta jedna rzecz mnie gryzie – kłamstwo wplecione w wypowiedź od serca.

Jednak zdecydowałem się żyć z tym kłamstwem. A teraz, po Lauren, nawet z dwoma kłamstwami. Geniusz prawa polega na tym, że nie skupia się ono na jednej osobie, lecz na systemie obowiązującym wszystkich. By móc chronić niewinnych, chroni także tych winnych. I tego również doświadczyłem na własnej skórze. Dwukrotnie.

– Panie profesorze? – kobieta siedząca w jednym z ostatnich rzędów podnosi rękę. Nie znam jej dobrze. Zamieniłem z nią może parę słów oprócz „cześć” na korytarzu. Mam ochotę powiedzieć do niej po imieniu – Amara Rodriguez – ale

nie jestem go pewien na sto procent, więc bezpieczniej będzie trzymać się tytułu naukowego.

– Słucham, pani profesor?

– Wspomniał pan o St. Louis. Zapewne pan wie, że Komisja powzięła informację o tej sprawie podczas procesu weryfikacji kandydatów.

Wiem, ale tylko dlatego, że Anshu mi powiedział.

– Chętnie odpowiem na wszelkie pytania dotyczące St. Louis – mówię.

– Czy to prawda, że zaledwie kilka tygodni temu, w listopadzie, policja w St. Louis zidentyfikowała podejrzanego, który według jej ustaleń jest winny zabójstwa pana ojca? Identyfikacja była możliwa dzięki nowym dowodom, zgadza się?

– Tak, to prawda – mówię.

Nie mogę być pewien, że policja w St. Louis doświadczała podobnej presji, by zamknąć sprawę jak ta z Grace Village. Jednak jest to wysoce prawdopodobne. Ktokolwiek był odpowiedzialny za tę starą sprawę, dostał nowe dowody w postaci odcisków palców Lauren na butelce oraz jej DNA na kieliszku wraz z informacją, że w dniu, w którym dokonano zbrodni, pani Betancourt przebywała w kraju. Sprawa została zamknięta jako rozwiązana. Było to tym łatwiejsze, że podejrzana nie żyje i w związku z tym nie podlega oskarżeniu, a także nie jest w stanie zakwestionować żadnego z poczynionych ustaleń.

– Rozumiem, że oczyszczenie pana imienia po dwunastu latach – kontynuuje kobieta – jest zapewne niewielką pociechą.

Powiedzmy. Nie mogli postawić mi zarzutów w sprawie z St. Louis, jak długo nie mieli prawa przesłuchać mojej terapeutki, której wygadałem się ze wszystkiego następnego dnia (chwila słabości, błąd, którego nigdy nie powtórzę).

Pociechą? Nie użyłbym tego słowa. Nie powiedziałbym nawet, że jestem szczęśliwy lub nieszczęśliwy z powodu tego, co zrobiłem. Praktycznie każdy kodeks moralny i karny potępiłby moje postępowanie. Jednak ja widzę tu analogię do prawa wojennego. Ojciec i Lauren wypowiedzieli wojnę matce i mnie. Zabili ją, a ja zabiłem ich. W takich okolicznościach żołnierze nie muszą się obawiać odpowiedzialności karnej za zabicie innych żołnierzy. Są ścigani tylko za zabijanie niewinnych. A Lauren i mojemu ojcu zdecydowanie daleko było do niewinności. Nie wymagam aprobaty, ale nie akceptuję też dezaprobaty za to, co zrobiłem.

Czy wiedziałem, że policja w Grace Village pobierze odfitki linii papilarnych Lauren i próbkę jej DNA? Jasne, zawsze to robią, chociażby dla celów eliminacyjnych – by możliwe było odróżnienie śladów daktyloskopijnych ofiary od innych odcisków palców zabezpieczonych na miejscu zdarzenia. Podobnie

sprawa ma się z DNA. Czy wiedziałem, że wprowadzą te informacje do baz danych FBI? Oczywiście – to standardowa procedura. Czy wiedziałem, że te nowo wprowadzone informacje znajdą w bazach danych dopasowanie z tymi sprzed lat, wprowadzonymi po zabezpieczeniu śladów z butelki po szampanie i plastikowego kieliszka? Miałem taką nadzieję. Nie mogłem być pewien, że odciski Lauren będą na butelce, a jej DNA na kieliszku. Ale pomarzyć zawsze można. I czasem marzenia się spełniają.

I czy zgrałem to wszystko w czasie tak, by policja w St. Louis mogła ogłosić, że jej stara sprawa została wreszcie rozwiązana i zamknięta zaledwie kilka tygodni przed tym, jak musiałem stanąć przed tą Komisją i odpowiadać na jej pytania?

Cóż, powiedzmy, że była to kwestia dobrego wyczucia czasu.

– Po prostu cieszę się, że mam to już za sobą – mówię, patrząc prosto na dziekana Comstocka.

105

Simon

Rezerwat leśny w Burlington, gdzie Vicky ukryła swoją jednorazówkę na pohalloweenową zabawę, żeby móc się ze mną porozumieć, jest miejscem dobrym na spotkanie jak każde inne. Docieram tam wcześniej, ponieważ musiałem jechać większy kawałek, a nie chciałem się spóźnić. Idealne zgrywanie się w czasie z Vicky, które było dla nas tak ważne latem i jesienią, weszło mi już trochę w krew.

Prawdopodobnie nie musimy być już tak ostrożni. Nazajutrz po tym, jak Jane Burke odwiedziła mnie w domu i przekazała informację, że odciski palców Lauren znajdowały się na butelce po szampanie, policja w Grace Village ogłosiła rozwiązanie sprawy zabójstwa pani Betancourt. Nicholas Caracci, znany też jako Christian Newsome, zabił ją w afekcie po tym, jak wzgardziła jego dalszymi zalotami, a następnie odebrał sobie życie targany wyrzutami sumienia. Oglądałem konferencję prasową, na której Jane Burke stała tuż za komendantem. Wglądała na tak zadowoloną, jakby właśnie dostała hemoroidów.

Vicky idzie w górę szlaku w nowym długim wełnianym płaszczu i kapeluszu do kompletu. Prosto z nieba spadają na nią lekkie, świeże płatki śniegu.

Zastanawiam się, jak mnie przywita. Czy wyciągnie ręce do uścisku, czy raczej schowa dłonie głęboko do kieszeni i będzie trzymała dystans? W końcu nie jest tajemnicą, że mamy zupełnie inne odczucia co do naszej relacji. Ja chcę od niej zdecydowanie więcej. Przez to czasem, w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy wspólnego knucia, bywało między nami niezręcznie. Nie było łatwo zrealizować ten plan. Bywało wręcz przerażająco i stresująco. Czasem Ignęliśmy do siebie w poszukiwaniu pocieszenia – niewinny uścisk, cmoknięcie w policzek czy energiczne pocieranie pleców.

Jednak z dzieleniem tego typu sekretów niezaprzeczalnie wiąże się pewnego rodzaju bliskość. Intymność. Byliśmy my kontra cały świat. Mogliśmy ufać tylko sobie nawzajem. Leżeliśmy obok siebie, przechodząc jeszcze raz przez wszystkie punkty planu. A to w rozkładanych fotelach na tarasie na dachu, a to na kanapie w salonie. Nie zawsze byliśmy jednomyślni. Sprzecialiśmy się głównie o sypianie Vicky z Nickiem. Dla mnie ta myśl była nie do zniesienia, a dla niej ostatnia rzecz, którą chciałaby robić, ale nalegała. Mówiła: „Ten typ tak ma. Dla niego to część przekrętu i będzie miał poczucie komfortu, że wszystko działa tak jak zawsze”, „Jak inaczej zbliżymy się do siebie na tyle,

żeby to mogło się udać?” lub „Spokojnie, zniosę to. Wiem, jak się wyłączyć, odciąć się od emocji. Tak, żeby to nic dla mnie nie znaczyło. Mam lata doświadczenia”.

Robiłem jej przepytki, żeby była w stanie szybko odpowiedzieć na dane pytanie bez zastanawiania się: „Jak miała na drugie imię moja matka?”, „Data naszego ślubu?”, „Gdzie chodziłem do ogólniaka?”. Omawialiśmy „sesję esemesową” na następny dzień: „Trochę polotu i finezji. Bądź figlarny. W końcu to dopiero początek romansu!”, „Może bądź jutro trochę marudna? Każdy jest czasem, nieprawdaż?”, „Jutro zacznij okazywać wahanie. Wątpliwości”.

Vicky czytała moje wpisy w dzienniku i służyła radą: „Napisz, że jestem z Wirginii Zachodniej, ale tak, żeby to wyglądało jak informacja rzucona mimochodem”. Czasem też krytyką: „Musisz trochę popanikować. W końcu zakochałeś się w Lauren, a jesteś w związku, i to małżeńskim, ze mną!” lub „Musisz pokazać, że masz pewne wątpliwości. No wiesz, zbyt piękne, by było prawdziwe i takie tam”.

Przyznaję, że czułem, jakby to były jakieś dziwaczne, ponowne zaloty. Ale cały czas widziałem ostrożność w zachowaniu Vicky. Obawę o to, czy aby mnie nie zachęca. Nie wysyła sprzecznych sygnałów. Starła się sprowadzać mnie na ziemię. Na przykład podczas rozmów o tym, co będzie potem. Cieszyła się na myśl o zamieszkaniu w Wisconsin ze swoimi siostrzenicami, ale to był też jej subtelny sposób na przypomnienie mi, że nic się między nami nie zmieni.

Niestety, musiałem sobie ciągle przypominać, że Vicky się we mnie nie zakochuje. Ona po prostu okazywała mi troskę i czułość. Po prostu bardzo mnie lubi. Tylko o to chodzi.

Oraz o to, że razem planowaliśmy podwójne zabójstwo.

Im bliżej do mnie podchodzi, tym szerszy staje się jej uśmiech. Coś we mnie pęka. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. A byłem pewien, że widziałem już wszystkie twarze Vicky. Widziałem ją pełną goryczy i jadu. Widziałem ją przygnębianą i bez życia. Widziałem ją skupioną i zdeterminowaną, potrafiącą ukierunkować swoją wściekłość. I tak, przez chwilę – zanim wszystko spieprzyłem, zakochując się w niej tak bardzo i proponując małżeństwo, naciskając na nią – widziałem ją zadowoloną. Wtedy myślałem, że tak właśnie wygląda szczęśliwa Vicky.

Ale się myliłem. To nie było szczęście. To, co widzę teraz – to jest prawdziwe szczęście. Vicky aż cała promienieje. W jej krokach widać ogromną pewność siebie. Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety.

Wyciągam do niej rękę, a ona wślizguje się między nie i trzyma mnie przez długi czas w uścisku, mrużąc z przyjemności. Zamykam oczy i upajam się tą

chwilą: jej zapachem, dotykiem, ciepłem. Całkiem możliwe, że ostatni raz jest mi dane obejmować ją w ten sposób.

– Ummmm... tęskniłam za tobą, „partnerze” – szepcze.

Na pewno nie aż tak jak ja za nią. Ale nie mówię tego. Nie chcę jej tego utrudniać.

– Wesołych Świąt – mówię, kiedy odsuwamy się od siebie na tyle, by widzieć nawzajem swoje twarze. Ujmuje moje ręce w swoje.

– Wesołych Świąt. Moje już takie są – mówi. – Mikołaj był w tym roku bardzo hojny. Bardzo. Szkoda, że nie widziałeś wyrazu twarzy Miriam, Simon. Płakała. Krzyczała. Liczyła pieniądze z dziesięć razy. Ciągłe wrzeszczała: „Milion dolarów! Milion dolarów! Kto dał nam milion dolarów w gotówce?”. Oczywiście nic jej nie powiedziałam. Chociaż chciałam.

Kręcę głową i mówię:

– Lepiej, żeby darczyńca pozostał anonimowy. Tak na wypadek, gdyby ktoś wciąż mnie obserwował. Lepiej, żeby nie wiedziała, że dałem jakiemuś małemu ośrodkowi dla ofiar przemocy domowej w Wisconsin taką kasę. Naraziłbym cię w ten sposób.

Przytakuje:

– Ale to tylko tak z przesadnej ostrożności, prawda? Chyba nie myślisz, że ktoś nadal cię obserwuje?

– Nie sądzę, ale od początku z naszej dwójki to ja byłem większym paranoikiem.

– Dobrze, że byłeś – studiuje moją twarz. – Wiesz, że nie musiałeś tego robić, prawda? Dawać nam tych wszystkich pieniędzy...

– Hej, co ja bym robił z milionem dolarów? Przecież mam już ogrzewanie i klimatyzację.

Przewraca oczami.

– Mogłeś zatrzymać trochę pieniędzy z tego trustu dla siebie.

– A ty mogłaś wziąć trochę dla siebie.

Proponowałem jej. Całą kwotę. Odmówiła. To jeden z powodów, dla których tak bardzo ją kocham. Przez całe życie była biedna. Oszczędzała, na czym tylko się dało. Sprzedawała swoje ciało, żeby się utrzymać. Ale kiedy facet jest gotów wyłożyć na nią dwadzieścia jeden milionów dolarów, ona nie chce ich przyjąć. Dla ośrodka, w którym pracuje – OK. Ale sama nie wzięłaby ani centa.

Jest w trybie odbudowy. Odbudowuje całe swoje życie i chce to robić na własnych warunkach.

– Ach! A skoro już mowa o kupie kasy – mówi. – Chciałam zapytać... czy awansowałeś na profesora?

Jej oczy wyglądają teraz na większe. Naprawdę jest ciekawa. Sam fakt, że pamiętała, podnosi mnie na duchu. A ja pamiętam, jak bardzo chciała dla mnie tego awansu i co była gotowa zrobić, abym go otrzymał.

– Niestety nie – mówię. – Reid awansował. Słyszałem, że wygrał niewielką przewagą głosów.

– Ech, przykro mi. – Wierci mi lekko palcem w klatce piersiowej i lekko wysuwa do przodu dolną szczękę. – Powinieneś był wykorzystać to nagranie, które ci dałam, głuptasie.

Wzruszam ramionami i mówię:

– Dobra wiadomość jest taka, że policjanci z St. Louis oczyścili moje imię. Sprawa została rozwiązana i zamknięta, więc pierdziekan Ciućmok może się schować. Nic na mnie nie ma. Kto wie? Może następnym razem się uda.

Zastanawia się przez chwilę nad moimi słowami. W końcu mówi:

– Zrobiłeś to po swojemu. I dobrze. Tak powinno być.

Przez chwilę zapada między nami cisza, a potem ona powraca do gadki szmatki. Pyta jak tam praca i tym podobne. Więc też się przyłączam. Opowiada mi o dziewczynkach i nie umyka mojej uwadze, jak bardzo promienieje, kiedy o nich mówi.

Ale nasz czas dobiega końca. Czuję to. Czuję to i nic nie mogę na to poradzić.

– Pewnie musisz wracać – mówię.

– Niestety tak. Odprowadzisz mnie?

Biorę ją pod ramię, a raczej ona oplata swoim ramieniem moje, i idziemy w stronę parkingu. Czuję i słyszę, jak wali mi serce, gdy tak liczę każdą sekundę.

Muszę jej powiedzieć. Muszę jej powiedzieć jeszcze raz, co czuję. Muszę spróbować jeszcze raz. Dla nas. Co mam do stracenia?

– Słuchaj...

– Nie jesteśmy normalnymi ludźmi, prawda? – mówi.

Zwalniam tempa, wypuszczam powietrze z płuc. Potem zastanawiam się przez chwilę nad jej pytaniem, po czym zaczynam chichotać.

– Daj mi znać, kiedy będziesz w stanie zdefiniować dla mnie „normalność” – odpowiadam.

– Tja, ale wiesz, co mam na myśli.

– Nie bardzo – mówię. – Czy to normalne okradać ludzi ze wszystkich pieniędzy i rujnować im życie?

– Pewnie wielu ludzi puściłoby to płazem. Odpuściło. Może by nie wybaczyli, ale z czasem coraz mniej by o tym pamiętali. Albo nauczyliby się z tym żyć.

– Nick nie tylko ukradł Monice pieniądze, Vicky. On ją zniszczył. Wykorzystał jej uzależnienie. Odciągnął ją od rodziny, poróżnił z nią. Zwabił do siebie narkotykami. A potem zabrał wszystkie jej pieniądze, zostawiając ją na pastwę losu. W zasadzie na śmierć. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Wiem.

– A Lauren? Znała sytuację mojej rodziny. Gdyby ukradła część tych pieniędzy... milion dolców czy coś takiego... i zostawiła resztę – w porządku. Byłoby to wprawdzie niezłe świństwo, bez dwóch zdań, ale pewnie jakoś byśmy to przetrwali i zostawili za sobą. Ale nie. Lauren musiała ogołocić konto do zera. Zabrać wszystko, co mieliśmy. Pieniądze, których potrzebowaliśmy, by opiekować się moją matką. Zniszczyła naszą rodzinę, nie oglądając się za siebie. Powiedziałbym, że to całkiem, kurwa, dalekie od normalności. Więc nie widzę powodu, dla którego moja reakcja na coś takiego miałaby być normalna.

Ściska moje ramię, wyczuwając, że się nakręcam. Bo tak jest. Ale od czasu do czasu muszę sobie przypominać, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

Zatrzymuję się i odwracam do niej.

– Żałujesz tego, co zrobiliśmy? – pytam.

– A ty?

– Ja zapytałem pierwszy – zauważam.

– Tak, ale ja jestem kobietą.

O tak, bez dwóch zdań.

– Moja terapeutka z dawnych czasów mówiła mi, że oddawałem władzę ludziom, którzy robili złe rzeczy – mówię. – I NIE myliła się w tej kwestii. TEGO żałuję. Żałuję, że oddawałem im tę władzę. Żałuję, że pozwoliłem Lauren i mojemu ojcu zdominować moje myśli.

– OK, ale nie o to pytałam.

Wydmuchuję zimne powietrze. Czuję, jak się za mną ciągnie.

– Czasem myślę o moim ojcu jako o po części złym facecie, a po części ofierze. Lauren rozgrywała go od samego początku. Nigdy jej na nim nie zależało. Więc czasem kusiło mnie, żeby mu odpuścić. Tyle że... może i Lauren nie powinna była wchodzić z buciorami w nasze życie. Ale to on ją wpuścił. A potem podjął świadomą decyzję, by z nią zostać. Nie mogę... nie, nie potrafię wybaczyć mu tego, co zrobił mojej matce. – Wskazuję na nią głową. – Twoja kolej.

– Często o tym śnię – mówi.

– Masz koszmary?

– Nie wiem, czy można je nazwać koszmarami. Jest w nich Nick, ale i Monica. Zabawne, bo na jawie nigdy tak naprawdę nie widziałam ich razem. Zresztą nieważne. Są razem. Zazwyczaj w ich mieszkaniu, albo w jakimś innym

przypadkowym miejscu – na lotnisku lub w restauracji. Jak to w śnie, co nie? Ale jedno się nie zmienia... jest jej ciężko, ma swoje demony. Boryka się z nimi. Wiem, że on ją wykorzystuje, ale nic z tym nie robię. Po prostu siedzę tam i patrzę na to.

– Cóż, ja...

– Czasem tak sobie myślę, że to, co zrobiłam Nickowi... że to wszystko było dla mnie. Zrobiłam to dla siebie, żeby jakoś ukoić własne poczucie winy. W końcu to wszystko nam jej nie zwróci, prawda? Nie sprowadziłam jej z powrotem na ten świat, prawda? Nie zwróciłam tym kochanym dziewczynkom ich matki. Więc po co to wszystko? Czemu to służyło? A raczej komu to służyło?

– Pozbyłaś się z tego świata jednej złej osoby – mówię. – Osoby, która krzywdziłaby dalej inne kobiety.

– Prawda – mówi. – Ale nie dlatego to zrobiłam. To tylko produkt uboczny.

– Jezu, Vicky. OK. W takim razie wychodzi na to, że raczej nie jesteś normalną osobą.

Miało być zabawnie, a wyszło, jak wyszło.

– Hej! – Obejmuję jej podbródek dłonią. – Przeżyłaś gówniane dzieciństwo i udało ci się przejść spory kawałek naprawdę gównianą drogą. Większość na pewno odpadłaby w przedbiegach. To by ich złamało. A ty walczyłaś z uzależnieniem i udało ci się stanąć na nogi i teraz poświęcasz dużą część swojego życia na pomoc ofiarom przemocy. I bez względu na to, czy to był twój powód, czy nie, pozbyłaś się naprawdę paskudnego człowieka. Wypadł z obiegu na dobre. Więc w sumie, Vicky Townsend, powiedziałbym, że nie musisz się raczej przejmować złą karmą. I może to niewiele znaczy, ale sprawiasz, że takiemu skończonemu cynikowi jak ja miękną kolana. Więc chyba musisz mieć coś w sobie. I to coś bardzo dobrego.

Vicky milknie. Patrzy na mnie. Potem kładzie ręce na mojej twarzy i przyciska swoje usta do moich w najdelikatniejszym, najcieplejszym i najseksowniejszym pocałunku, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem.

Potem uśmiecha się do mnie i wycofuje. Podnosi rękę i macha palcami.

Próbuję wymyślić jakiś soczysty tekst na pożegnanie, ale wciąż nie mogę dojść do siebie po tym pocałunku. Ba! Ledwo mogę oddychać po tym pocałunku. Możliwe, że dostanę zawału po tym pocałunku.

Odjeżdża minivanem. To ostatni pojazd, w którym spodziewałbym się zobaczyć Vicky Townsend. Ale jej życie się zmieniło. Ma teraz inne priorytety.

Przez dłuższą chwilę stoję w miejscu, dławiąc się emocjami i czekając, aż ciężkość w mojej klatce piersiowej ustąpi... tak długo, że hipotermia staje się realnym zagrożeniem. W końcu zdobywam się na uśmiech.

Co to w ogóle jest „soczysty tekst”? A „soczysty opis”?

Po szybkim researchu okazuje się, że soczysty opis to taki, który przez swoją znaczną wyrazistość silnie działa na odbiorcę.

Myślałem, że „soczysty” oznacza w jakiś sposób smakowity. Wyrazisty tak, ale w bardzo określony, apetyczny sposób.

Ale skoro tak, to wychodzi na to, że „ciemno jak w dupie” kwalifikuje się jako soczysty opis.

Nie kupuję tego, coś tu jest bardzo nie w porządku. Tak nie może być.

Chyba muszę dodać „soczysty opis” do mojej listy. To będzie wymagało dłuższego zastanowienia...

Podziękowania

Dziękuję moim wczesnym czytelnikom: mojej agentce Susannie Einstein oraz przyjaciółce i pierwszej redaktorce Sarze Minnich-Blackburn za cierpliwość, zachętę, cenne spostrzeżenia i zaangażowanie w całą historię. Bez was to by nie było to samo.

Specjalne podziękowania dla mojej nowej przyjaciółki i redaktorki Danielle Dieterich za to, że nie przegapiła żadnego fragmentu i od samego początku „załapała”, o co chodzi w tej powieści oraz jej ekscentrycznemu autorowi. A także za ostatnie szlify, które (mam nadzieję) sprawiły, że ta książka jest dopieszczonym cacuszkiem. Czekam na kolejną owocną współpracę!

A przede wszystkim mojej wspaniałej żonie Susan Nystrom-Ellis, która zna mnie lepiej niż ja sam. Za to, że mnie wysłuchujesz, kiedy biadolę. Za twoje błyskotliwe spostrzeżenia dotyczące zarówno spraw dużych, jak i tych całkiem małych. Ta powieść nigdy nie powstałaby bez ciebie, moja damo. Kocham cię.

Przypisy

1. Jedna stopa to 30,48 centymetra. [\[wróć\]](#)
2. Magnificent Mile oznacza po polsku Wspaniałą Milę. [\[wróć\]](#)
3. Czwartego lipca w Stanach Zjednoczonych obchodzone jest święto państwowe – Dzień Niepodległości. [\[wróć\]](#)
4. 3 mile kwadratowe to około 7,77 kilometra kwadratowego. [\[wróć\]](#)
5. 1 mila to w zaokrągleniu 1,61 kilometra. [\[wróć\]](#)
6. W wolnym tłumaczeniu „bezpieczna przystań”. [\[wróć\]](#)
7. Pięć stóp to w zaokrągleniu metr pięćdziesiąt dwa wzrostu. [\[wróć\]](#)
8. Sto funtów to w zaokrągleniu czterdzieści pięć kilogramów. [\[wróć\]](#)
9. Chicago Cubs to amerykańska drużyna baseballowa. [\[wróć\]](#)
10. Simon to po polsku Szymon, natomiast Peter jest angielskim odpowiednikiem imienia Piotr. [\[wróć\]](#)
11. A to odpowiednik oceny bardzo dobrej (5). [\[wróć\]](#)
12. Święto Pracy w USA obchodzone jest w pierwszy poniedziałek września. [\[wróć\]](#)
13. Dwa tysiące galonów dla płynów to w zaokrągleniu 7570,82 litra. [\[wróć\]](#)
14. Jeden funt to w zaokrągleniu 0,45 kilograma. [\[wróć\]](#)
15. W USA Święto Dziękczynienia obchodzone jest w czwarty czwartek listopada. [\[wróć\]](#)
16. Pięć stóp i jedenaście cali to w zaokrągleniu metr osiemdziesiąt. [\[wróć\]](#)
17. Paul Bunyan to postać z amerykańskiego folkloru. Legendarny olbrzymi drwal przedstawiany jest najczęściej w kraciatej flanelowej koszuli i masywnych butach. [\[wróć\]](#)
18. W USA jest to numer alarmowy. [\[wróć\]](#)
19. Simon Says można przetłumaczyć jako Szymon Mówi. Jest to gra słów nawiązująca do dziecięcej zabawy, w której należy wykonywać polecenia poprzedzone słowami „Simon says”. [\[wróć\]](#)
20. William H. Rehnquist był wieloletnim prezesem Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. [\[wróć\]](#)
21. 15 stóp to w zaokrągleniu 4 metry i 57 centymetrów. [\[wróć\]](#)
22. 18 stóp i 3 cale to w zaokrągleniu 5 metrów i 56 centymetrów. [\[wróć\]](#)